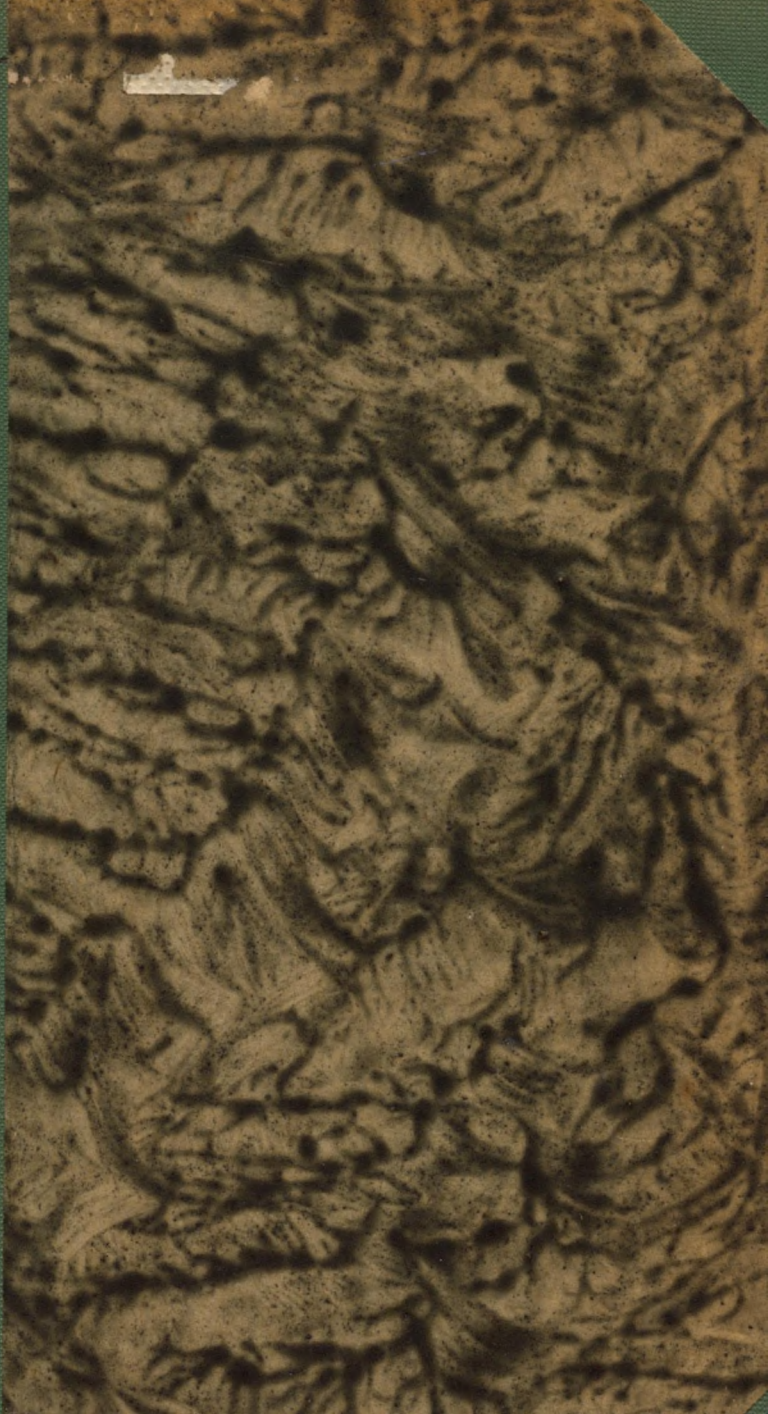
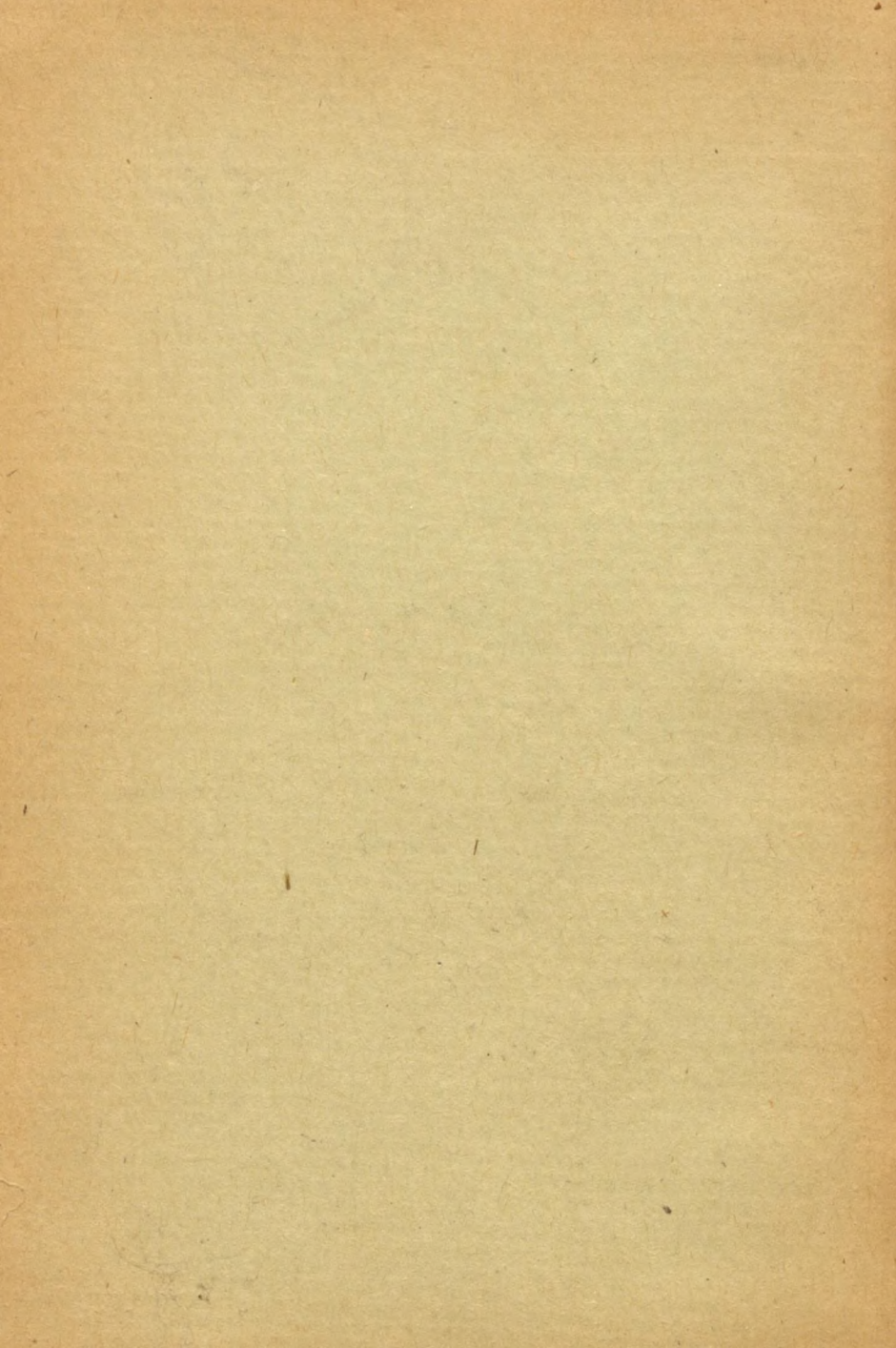


70647





BIBLIOTEKA
PW
SP.
KRAKÓW

3571

Hoesick

39

400-B



ienkiewicz jako feljetonista

Zapomniane kartki z teki Litwosa

(1873 — 1883)

Warszawa

Nakładem księgarni Ferdynanda Hoesicka

1902

90/69/39

SIENKIEWICZ JAKO FELJETONISTA



Kup. 9/10 1912

ST. JAMES' AND FLETCHER'S

FERDYNAND HOESICK

SIENKIEWICZ JAKO FELJETONISTA

ZAPOMNIANE KARTKI Z TEKI LITWOSA

(1873—1883)

Feljetony w »Gazecie Polskiej« (1873—1875). — Życie i obyczaje Warszawy (1873—1875). — Mieszaniny literacko-artystyczne w »Niwie« (1879—1881). — Malarstwo i rzeźba (1873—1883) — Kroniki tygodniowe i feljetony w »Słowie« (1882—1883).

No. 2.



Hayden Devry

WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI FERDYNANDA HOESICKA

1902

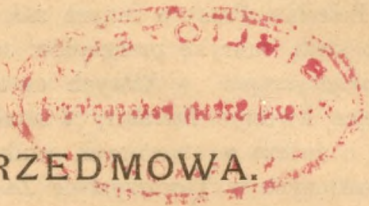


70647

UP - Kraków BG



1050234161



PRZEDMOWA.

*Zapomniane kartki z teki pisarza tej miary, co Sienkiewicz? Na pierwszy rzut oka wydaje się to nieco dziwnem, bo chyba niema w Polsce człowieka inteligentnego, któryby nie rościł sobie pretensyi do znajomości wszystkiego, co kiedykolwiek wyszło z pod genialnego pióra twórcy Trylogii. Począwszy od *Starego sługi* i *Hani*, a skończywszy na *Krzyżakach*, wszystkie Sienkiewiczowskie utwory cieszą się jednakową popularnością wśród naszego czytającego ogółu, a nie dowierzać komuś, iż czytał *Ogniem i mieczem* lub *Quo vadis*, równałoby się prawie obeldze. W ostatnich czasach, dzięki p. Stefanowi Dembemu, poznaliśmy nawet młodzieńcze utwory belletrystyczne Sienkiewicza, „nie objęte wydaniem zbiorowem“, bądź należące do białych kruków bibliograficznych, jak *Humoreski z teki Worszykły*, bądź wcale nie wydane osobno, jak *Selim Mirza* lub *Sabałowa bajka*. Zdawałoby się zatem, że już wszystko, co kiedykolwiek napisał Sienkiewicz, stało się przystępnem dla jego wielbicieli, że już nie ukrywa się pod korcem, że po przeczytaniu wszystkich trzydziestu kilku tomów *Pism Henryka Sienkiewicza*, wydanych nakładem a będących dziś także i własnością firmy Gebethnera i Wolffa, oraz po zapoznaniu się z edycją Dembego (obliczoną na pięć tomów), można mieć czyste sumienie, iż się zna całego Sienkiewicza, jego dzieła wszystkie.*

Tak jednak nie jest. Sienkiewicz bowiem, w początkach swego literackiego zawodu, a nawet aż do chwili rozpoczęcia *Ogniem i mieczem*, uprawiał przez całych lat dziesięć, od 1873

aż do 1883 roku, prócz literackiej t. j. beletrystycznej, również i dziennikarsko-publicystyczną niwę, pisując do jednych pism, jak do *Gazety polskiej* i *Słowa*, stałe kroniki tygodniowe (w rodzaju tych, jakie do dziś dnia jeszcze pisuje w *Kuryerze Codziennym* Bolesław Prus), w innych zaś, a mianowicie w *Niwie*, prowadząc stałą rubrykę przeglądów teatralnych i *Mieszanin literacko-artystycznych*, w których co miesiąc omawiał wszystkie bieżące kwestye literatury i sztuki, pisując o nowych książkach, o świeżo wystawionych sztukach w teatrze, o obrazach wystawionych w Towarzystwie Zachęty. Cała ta strona działalności pisarskiej Sienkiewicza, niezmiernie zajmująca, bo w niej złożył niemało „swych myśli przędzy i swych uczuć kwiatów“, jest dziś szerokiemu, czytającemu ogółowi polskiemu całkiem nieznana; ukryta w starych rocznikach czasopism z przed lat dwudziestu kilku lub kilkunastu, utonęła ona „w fali zapomnienia“, na co była z góry skazana, bo rzeczy dziennikarskie, pisane dla potrzeb chwili, mają wartość bieżącą jedynie, są efemerydami, które, o ile na razie mogą narobić wielkiego hałasu, o tyle już po upływie dni kilku wietrzeją, jak kamfora, przestają budzić interes, a tem samem skazane są na zagładę. „Piasek niepamięci“ przysypuje je w bardzo krótkim czasie tak całkowicie, iż zaciera się wszelki ślad po nich. Życie, które je wywołało, przechodzi nad niemi do porządku, choćby to były arcydzieła stylu, jak feljetony tygodniowe Juliusza Janina w *Journal des Débats*, lub nie zrównane korespondencye polityczne Heinego z Paryża do *Augsburger Allgemeine Zeitung*. Zagłada do nich czasem historyk, ale dla ogółu są to rzeczy przebrzmiałe, o których on najczęściej nie wie...

Podobny los spotkał feljetony Sienkiewicza, pomimo, że w swoim czasie, gdy wychodziły, zwracały na siebie powszechną uwagę, że o nich wiele mówiło się w mieście, że z ich powodu nieraz toczyły się zażarte polemiki w dziennikach, że bardzo wielu oburzało się na nie, a wszyscy czytali z ogromną przyjemnością, bo były świetnie pisane, pełne humoru, sarkazmu, poezji, obserwacyi, a nadewszystko odznaczały się niepospolitą werwą i polotem. Niezależnie od tego, dziś, po upływie

ówierci wieku, zapomniano o nich, podobnie, jak zapomniano o tysiącu innych feljetonów, kronik tygodniowych i korespondencji, które się czytało dwadzieścia pięć lat temu i później. I nie dziwnego: kwestye, które w nich poruszał Sienkiewicz, dziś przestały być aktualnemi, bo jeśli jego ówczesne narzekania na złe bruki w Warszawie, lub nawoływania o kanalizację, miały uzasadnioną rację bytu, mogły znajdować echo w umysłach czytelników, którym okropny stan pierwszych i brak drugiej, dotkliwie dawał się we znaki, to dziś, gdy Warszawa ma bruki drewniane, a jej kanalizacja należy do najdoskońalszych w Europie, czytanie Sienkiewiczowskich jeremiad na temat cuchnących rynsztoków i wybojów na pryncypalnych ulicach, przestało być kwestyą palącą i aktualną, a tem samem nie może budzić takiego zainteresowania, jakie budziło wtedy. A kwestyi takich, które dziś kwestyą być przestały, a podówczas zajmowały całą Warszawę, musiał Sienkiewicz, jako dziennikarz, poruszać mnóstwo: kwestye te, jak n. p. ogrodu zoologicznego, kąpeli ludowych, mieszkań dla robotników, malwersacyi na giełdzie, wyborów w obu resursach, walnych zebrzań Towarzystwa Muzycznego i koncertów na cele dobroczynne etc. stanowiły treść jego feljetonów, bo trzymając rękę na pulsie społeczeństwa, poruszał wszystko, co na razie wymagało publicznego omówienia i przedyskutowania, potępienia lub poparcia w prasie. Ale dziś odbieглиśmy od tego wszystkiego tak daleko, że obecnie sprawy te, wtedy budzące roznamiętnienie, już nam są obojętne, nie a przynajmniej bardzo mało nas obchodzą. To jest powodem, iż te Sienkiewiczowskie feljetony, kroniki, przeglądy artystyczne, literackie i teatralne, spotkał taki sam los, jak i inne płody dziennikarskie, że o nich zapomniano zupełnie, jak zapomniano o kwestyach, któremi były wywołane.

A jednak w tych Sienkiewiczowskich artykułach dziennikarskich, podobnie jak w pokładach pospolitego węgla kamiennego i kwarcu, kryje się niemało brylantów najczystszej wody, które aż po dziś dzień nic nie straciły ze swego blasku i ognia, które zasługują na to, by je wydobyć, oprawić, i tem

samem od zapomnienia uchronić. Sienkiewicz bowiem, choć zaprzężony do dziennikarskiego jarzma, nawet wtedy, gdy pisał o złych brakach warszawskich lub o narowach naszego Towarzystwa Gazowego, ani na chwilę nie przestawał być artystą i poetą, talentem literackim pierwszorzędnym, którego paleta mieniła się najświetniejszymi farbami, w którego duszy grała poezya, którego umysł tryaskał humorem, skrzył się dowcipem, a na każde zawołanie miał niewyczerpany zapas soli atyckiej, której, nawiasem mówiąc, nigdy nie żałował. Dzięki powyższym przymiotom, feljetony Sienkiewicza (zwykle nie podpisywane, lub podznaczane literami H. S., a wreszcie podpisywane pseudonimem Litwosa), choć w całości *in extenso* mogą nie bawić dzisiejszego czytelnika, jak go bawiły przed laty 25-ciu, gdy chwytaly życie warszawskie na gorącym uczynku i były jego migawkowem a po większej części satyrycznem odbiciem, to jednak znajduje się w nich mnóstwo ustępów takich, które nie utraciły ze swej pierwotnej woni, które po dziś dzień zachowały swą literacką wartość, tak że mogą z równą przyjemnością być czytane w 1901 roku, jak były czytane w roku 1873 lub 1875. Doskonały znawca charakteru narodowego, świetny malarz piórem, poeta i artysta *hors ligne*, a wreszcie bystry obserwator, Sienkiewicz rozrzucił w feljetonach tych z prawdziwie królewską hojnością tyle drogocennych klejnotów literackich, że nie znać ich — doprawdy szkoda wielka, a wyszukiwać w powodzi rzeczy przebrzmiałych — trud niewdzięczny. Wybrane jednak, odłączone od czysto dziennikarskiej, a więc zwietrzałej i wyblakłej reszty, ustępy te, niby szlachetny kruszec wytopiony z pospolitej rudy, mogą się stać niezmiernie ciekawym przyczynkiem do dziejów twórczości Sienkiewicza i nowym liściem wawrzynu w wieńcu jego sławy...

Książka niniejsza jest właśnie takim zbiorem najcenniejszych wyjątków z feljetonów i artykułów dziennikarskich autora *Quo Vadis*, a wyjątki te, spojone w organiczną całość, tworzą rodzaj mozaiki literackiej, która, ułożona z kamyków najróżnorodniejszego rodzaju, pstrzy się i mieni wszystkimi barwami, a ogarnięta jednym rzutem oka, robi wrażenie świetnego

fresku, malowanego *a tempera*... Co przedstawia ten fresk? Można powiedzieć o nim, że jest to obraz społeczeństwa naszego, a warszawskiego w szczególności, w epoce pomiędzy rokiem 1873 a 1883, obraz, który, dziwna rzecz, w pojedynczych epizodach jest przeważnie wesoły, o nastroju humorystycznym, a jednak w całości, pod względem ogólnego kolorytu, przedstawia się ciemno, ponuro: nad temi dowcipnemi scenami, przy których czytaniu nieraz bierze śmiech homeryczny, unosi się jakieś rozpaczliwe widmo, w którym łatwo odgadnąć pesymizm. Na szczęście w nierozłącznej parze z tym pesymizmem (który wogóle cechował Sienkiewicza do roku 1883 w stopniu bardzo wysokim) idzie czarowna poezja, idzie rzewny „liryzm młodej duszy“, idzie niezwykła plastyka słowa, idzie wyborna a niewyszukana polszczyzna, a wszystko to opromienia pogodny szczeropolski humor, który tam nawet, gdzie autorowi nasuwają się różne czarne myśli, nie opuszcza go nigdy, a dopisuje mu zawsze.

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, iż humor i pierwszorzędne zalety literackie, to już wszystko, co na korzyść tych Sienkiewiczowskich feljetonów powiedzieć można. Jest jeszcze jeden przymiot, które je cechuje od pierwszego do ostatniego wiersza, to myśl obywatelska, myśl o dobru publicznem, myśl, która nieustannie powodowała piórem młodego feljetonisty, a która płynęła z przezrystego źródła miłości ogółu, miłości swego społeczeństwa i ziemi rodzinnej. To gorące umiłowanie sprawy, której, jako najświętszej dla każdego z nas, służymy wszyscy, „jako kto może“, a której Sienkiewicz podówczas służył piórem publicysty, podyktowała mu w ciągu tej dziesięcioletniej pracy na dziennikarskiej niwie tyle mądrych i zdrowych myśli „o skutecznym rad sposobie“, tyle praktycznych i trzeźwych „wskazań politycznych“ i społecznych, tyle bystrych uwag o naszych wadach narodowych, tyle praktycznych lekarstw na nasze choroby organiczne, że na ich podstawie śmiało by można autora *Krzyżaków* zaliczyć również i do naszych „pisarzy politycznych“ z ostatniej ćwierci XIX w. A wyniki tych jego „doświadczeń i rozmyślań“, rozproszone bez-

ładnie w starych rocznikach *Gazety polskiej*, *Słowa i Niwy*, choć były pisane przed laty, nie do dziś dnia nie straciły ze swej aktualności i mogą być i teraz czytane z równym pożytkiem, jak były czytane wtedy... Tylko że wówczas pozostały głosem wołającego na puszczy, odbiły się od naszych ułomności i przywar, jak groch od ściany, jak tyle innych zresztą „prawd żywotnych“, któremi nas od XVI wieku karmili nas statyści. Może dziś, odczytane na nowo, odniosą pomyślniejszy skutek? W każdym razie sędzę, że przypomnienie tych „napomnień braterskich“, zawartych w feljetonach Sienkiewicza, a zgoła nie przestarzałych, może być dla nas tylko z korzyścią i przyczynić się tem samem, choć w niewielkim stopniu, „ku pożytkowi dobra wspólnego“.

Myśl o tem przyświecała mi także między innemi w czasie układania niniejszej książki.

Warszawa, 29 Marca 1901.

I.

FELJETONY W „GAZECIE POLSKIEJ“.

1873 r. — Bez tytułu.

1873 r. — Chwila obecna.

W jednej z *Kronik tygodniowych*, które jako Litwos pisywał w ciągu roku 1882 w redagowanym przez siebie *Słowie*, dzieli się Sienkiewicz z czytelnikami swoimi następującem wspomnieniem:

W swoim czasie pisywałem kroniki dla jednego z redaktorów, który całą swą postacią uosabiał bóstwo, zwane w starożytności *Jupiter tonans*. Byłem młodszy znacznie i pisywałem, Bóg widzi, jak umiałem najlepiej. Co sobota przelewałem cały liryzm mej młodej duszy w czterysta wierszy kroniki, w piątek odczytywałem te liryczne kroniki na sesyi, i cóż powiecie: oczy mojego redaktora zachodziły krwią, broda rozwiewała się na pół horyzontu, a z głębi tej brody wychodził grzmiący głos: „Mój panie, ja nie proszę pana o poezję! Mnie trzeba faktów!“... „Panie, odpowiadałem, skądże ich wezmę, przecie to nie odemnie zależy!“ „Mnie trzeba faktów!“ grzmiał redaktor. Ja się nie łapię na pięknobrzmiące frazesy!“ Czułem się bardzo nieszczęśliwy¹⁾...

Wspomnienie to odnosi się do roku 1873, do czasów, gdy 27-letni autor *Humoresek z teki Worszytły* i powieści *Na marne*, zaczął na przemiany z Władysławem Bogusławskim pisywać w *Gazecie polskiej* kroniki tygodniowe o życiu warszawskim. Było to za redakcyi Józefa Sikorskiego. Zdolny pisarz, doskonały stylistą, niepośledni znawca sztuk pięknych, a zwłaszcza muzyki, autor pięknego *Wspomnienia o Chopinie* i wydawca do roku 1861 *Ruchu muzycznego*, stał on i jako kierownik literacki *Gazety polskiej* na wysokości zadania, ale zadanie swe, niestety, pojmował w taki sposób, że często współpracownikom nader boleśnie dawał się we znaki. Szczególniej przykrym i bezwzględny okazał się w stosunku do młod-

¹⁾ *Słowo*, Nr. 65 z d. 23 marca 1882 roku.

szych pisarzy, z których manuskryptami postępował sobie całkiem bez ceremonii, kreśląc i poprawiając wszystko, co jego zdaniem wymagało skrócenia lub poprawki...

Jednym z tych, których manuskrypty najbardziej stępały redaktorski ołówek Sikorskiego, był właśnie Sienkiewicz, a feljetony jego, gdy się ukazywały w druku, najczęściej wychodziły w bardzo odmiennej formie, aniżeli ta, w jakiej pierwotnie wyszły z pod pióra. Zdaniem Sikorskiego, wychodziło im to na dobre, ale Sienkiewicza bardzo często ogarniała rozpacz, tak, że zniechęcony do literackiego zawodu, przemyślał o porzuceniu go raz na zawsze, a ideałem zaczęła mu się wydawać spokojna praca biurowa¹⁾...

Pierwszy z tych feljetonów, niepodpisany, ukazał się w Nr. 67 z dnia 24 marca 1873 roku, a ponieważ nosił tytuł *Bez tytułu*, więc zaczynał się od usprawiedliwienia podobnego nagłówka.

Żeby się długo na obranem stanowisku utrzymać, należy się na niem jaknajwygodniej urządzić. Cóż wygodniejszego dla feljetonisty, jak nadpis: *Bez tytułu!* Nazwa niby a nie nazwa, może okryć wiele, wszystko niemal, choć nie zapowiada stanowczo; elastyczna jest, jak byt Hegłowski, szeroka, jak ufność w siebie młokosa, obiecująca jak kalendarzowa wróżba i tyleż co ona obowiązana dotrzymać, pociągająca jak wędka, chwiejna jak kaprys, mądra jak hieroglif, wymowna jak tajemniczość, milcząca jak sfinks, niebardzo jeszcze podszarzana, a mimo to skromna!... Niechże będzie „bez tytułu;“ to tyle przynajmniej warte, co inny tytuł. Wystarczy on na przyczepkę do wszystkiego, co jest i czego niema, na odczepne dla tych, którzyby wołali, iż to za wiele albo że za mało.

Taki sobie wytknąwszy program, zaczęli kronikarze *Gazety Polskiej*, co tydzień karmić swych czytelników długimi feljetonami o różnych sprawach warszawskich, o tem zaś, w jaki sposób, wobec pewnej posuchy na interesujące tematy, wywią-

¹⁾ Rzecz dziwna: ten sam Sikorski, który w tak niemiłosierny sposób znęcał się nad feljetonami Sienkiewicza, z podobnemi artykułami innych współpracowników *Gazety Polskiej*, czy to Bogusławskiego, czy Lea, czy Głowackiego, obchodził się nadzwyczaj względnie, a najczęściej drukował je bez zmiany jednego wyrazu.

zywali się z niełatwego zadania, informuje nas w jednym z feljetonów Sienkiewicz, który na tego rodzaju artykuły dał swym kolegom po piórze następującą aptekarską receptę: „Weź reżyserję teatrów albo właścicieli domów, utłucz na miazgę, dodaj kilka dobrze odleżałych i wysmażonych dowcipów, rozpuść to wszystko w stylistycznej wodzie i dawaj po pięćset wierszy na tydzień aż do skutku... Aż do skutku? Ale pytanie komu? Pokazuje się, że można, jak król Mitrydates, przyzwyczaić się do wszelkich trucizn, albowiem ani na reżyserję ani na właścicieli domów nie działa ta mikstura. Nic godniejszego uwielbienia, nic bardziej nawet rozczulającego, jak rezygnacya i spokój, z jakim pierwsza i drudzy znoszą te niesprawiedliwe obelgi i napaści... Niech sobie co chcą gadają, a ja nowych sztuk nie stworzę! mówi reżyser. A my podniesiemy jeszcze na przyszły rok komorne! dodają gospodarze. Co to jest mieć czyste sumienie! Będziesz bezpiecznie po źmijach gniewliwych i po padalcach deptał niecierpliwych“... Pomimo nieskuteczności tej mikstury, dwaj główni, zaprzyjaźnieni z sobą kronikarze *Gazety Polskiej* najczęściej posługiwali się powyższą receptą: Bogusławski najwięcej w swych feljetonach poświęcał miejsca teatrowi i muzyce, Sienkiewicz zaś ze szczególnem upodobaniem rozpisywał się o sprawach miejskich, literackich, artystycznych, nie przepuszczając też kamienicznikom, których, jak biczem, chłostał swym sarkastycznym dowcipem. Nie przepuszczał też i warszawskiemu światkowi dziennikarskiemu, którego stosunkami bynajmniej się nie zachwycał.

Były to czasy t. zw. pozytywizmu warszawskiego, czasy zażartych walk młodej i starej prasy, czasy, na które przypadała najgorętsza walka dwóch kierunków: pozytywnego i idealnego. Walka ta, zdaniem Sienkiewicza, była zupełnie normalnym objawem społecznym. „Walka rozmaitych zasadniczych kierunków nietylko że niema nie naganego ani zgubnego, ale przeciwnie jest tętmem, wedle którego mierzy się zdrowie i bujna żywotność ogółu; jest objawem życia i konieczną jego potrzebą, a nakoniec jest potężnym środkiem wzajemnej kontroli, wzajemnego przestrzegania się i wzajemnego dążenia do możliwej

doskonałości. Niestety, w walkach, toczących się w prasie warszawskiej, stanęły niebawem i inne, lichsze, bardziej prywatnej natury żywioły, mianowicie interes wydawnictw i miłość własna piszących. Wiadomo zaś, a wie o tem dzisiaj każdy z warszawskich literatów, że gdzie takie pobudki wejdą w grę życia i walki, tam z wielką szybkością stają na pierwszym planie, przez co i walka sama traci również szlachetny charakter, a staje się marnem maceniem wody, paszkwilem pełnym cierpkości, wzajemnem rzucaniem na się ogryzionemi kośćmi, hypokryzyą względem publiczności, zdradą względem idei⁴. W Warszawie, w roku 1873, gdy pozytywiści z *Przeglądu Tygodniowego* walczyli, a raczej kłócili się, o zasady z idealistami i konserwatystami, takie wzajemne obrzucanie się ogryzionemi kośćmi powtarzało się coraz częściej, a rezultatem tego była wzajemna nienawiść, objawiająca się ordynarnemi napaściami i szkalowaniami. „Powiedzą nam, pisze dalej Sienkiewicz, że jednak publiczność interesuje się temi walkami. Prawda! Nie-raz się zdarzy widzieć ludzi śmiejących się serdecznie, jak kiwając nad jakim artykułem głowami, mówią: A to mu dał! A to się odciał! A to się czubią! i t. p. Ale nowe pytanie: co w tem dziwnego? Niechaj wypadkiem poczubi się na ulicy dwóch posłańców o to, który ma odnieść jaki list lub paku-nek, zaraz koło nich tworzy się kółko widzów. Anglicy chętnie przypatrują się walkom kogutów; Chińczyków bawia świersz-cze walczące na dnie filiżanki; w Hiszpanii istnieją walki by-ków. Czyżbyśmy u nas chcieli ku większej ucieście publiczności zaprowadzić stałe walki literatów? Zapewne widzów by nie brakło, ale nie wiem, czyby wynikała ztąd jakakolwiek dla ko-gokolwiek korzyść. Angielskie koguty i hiszpańskie torosy do-starczają przynajmniej po śmierci pozytywnej strawy dla ubo-gich, a mądry by był, ktoby z poległego literata warszaw-skiego umiał osiągnąć jeszcze jakikolwiek pożytek“...

Ten nastrój humorystyczny dominował we wszystkich feljetonach Sienkiewicza: ztąd nawet wówczas, gdy mu przy-szło omawiać kwestye doniosłego znaczenia, okraszał je za-wsze dowcipem, który go nigdy nie zawodził. Gdy mu przyszło

pisać o antagonizmach niektórych pism warszawskich, zaraz przewidywał „czasy zgody i wzajemnej adoracji“, w których *Kurier Codzienny* zakocha się w *Niwie*, *Przegląd tygodniowy* będzie robił słodkie oczy do *Kroniki rodzinnej*, ten zaś, kto pierwszy podał projekt jakiegoś towarzystwa¹⁾, będzie jego prezesem, i poglądając na zakochane pary, będzie błogosławił je i potomstwu ich aż do wnuków i prawnuków“. Gdy, na wyrażne życzenie domagające się „faktów“ redaktora, wypadło napisać coś o złym stanie naszych mostów, wówczas prozaiczną tę kwestyę przedstawił Sienkiewicz w taki sposób:

Był sobie w okolicy Zakrocymia poczciwy most, któremu ze starości powypadały dyle, nie przymierzając jak człowiekowi zęby. Przez uszanowanie dla wieku przejeżdżano przezeń bardzo wolno, tembardziej, iż po obu stronach ciągnął się głęboki parów, napełniony błotnistą wodą, w której kąpiel nie uśmiechała się nikomu. Aż wreszcie przyszła chwila, że syt sławy i zasług staruszek-most rozsypał się w proch, a na jego miejsce postawiono nowy, młody i pełen nadziei murowany. Ten ostatni służyłby niechybnie, jako wyborny środek komunikacji, gdyby nie to, że w niemowlęcym jeszcze wieku, bo w 3 miesiącu życia, poszedł w ślady swego poprzednika i zarwał się w dwóch częściach swojej szerokości. Dziś, kto nie chce ryzykować, przejeżdżając przez trzecią część pozostałą, ten przejeżdża przez parów. Najemni woźnice wybierają zwykle parów, w którym można się wywrócić. „Niech jegomość się trzymają! Wio!“ przestrzega woźnica. A że wypadkiem jest, aby kto zdołał utrzymać się w bryczce, przeto słusznie mówi miejscowa kronika, że „wypadki zdarzają się rzadko“. Uprzedzamy tylko, że wyrazu „wypadek“ nie należy poczytywać za jedno z wyrazem „wypadnięcie“, inaczej bowiem możnaby zarzucić kłamstwo miejscowej kronice. O, drogi nasze i mosty! Jakim że wy cennym jesteście zabytkiem dla poetów, rozmiłowanych w ruinach, i dla historyków, badających stan kultury przedpotopowej pierwotnych mieszkańców globu!

Już to wogóle humor, mocno zaprawny solą atycką, do-

¹⁾ Miał tu Sienkiewicz na myśli projektowano wtedy towarzystwo literackie, którego założenie proponował ktoś z powodu dziwnej niejednolitości krytyk w pismach warszawskich. „Otóż to jest złe (pisał Sienkiewicz). Recenzenci są płytki, to jeszcze gorzej. Ale cóż na to poradzić? Utworzyć stowarzyszenie literackie. Wielka myśl! Jak się zbierze dwudziestu płytkich literatów, to utworzone ztąd towarzystwo będzie głębokie“...

minował w tych feljetonach młodego publicysty-poety. Gdy nagabywany przez redaktora, musiał pisać o malowaniu domów na wiosnę i myciu okien, potrafił i ten „fakt“ przedstawić z humorystycznego punktu widzenia: „Domy (pisał), których wiosenna toaleta zajmowała jeszcze niedawno spostrzegawczy zmysł feljetonistów, obecnie wyblanszowane już i wyróżzowane pozwalają przyglądać się sobie z bliska. Możnaby także pisać jeszcze o oknach, zapłakanych wapiennymi łzami, i o niebezpiecznych sposobach mycia okien, skutkiem których każda Kasia lub Magdzia stojąca na wąskiej framudze lada chwila grozi spadnięciem na głowy podziwiałych z ulicy jej zręczność młodzieńców“. Gdy mu wypadło pisać o towarzystwie gazowym, wywiązywał się z tego poważnego zadania w takiż dowcipny sposób: „Towarzystwu gazowemu dostarcza wiosna poważnych myśli: iż ponieważ z zimowym sezonem kończą się rauty i wieczory, można przeto latarnie gasić o dziesiątej. Jak deszcz pada, to nikt nie chodzi po ulicach, a jak jest pogoda, to księżyc świeci. To już jedno usprawiedliwienie. Obok niego dałoby się zapewne przytoczyć i wiele innych, istotnych i poważnych bardzo. Odpowiadamy: ciemno nam! Może towarzystwo osłaniać się kontraktami; odpowiadamy: ciemno nam!... Wszystko to nietylko jest niebezpieczne dla naszych nosów i kości, ale nawet i dla naszych wyobrażeń religijnych. Jak zbiorowe konieczności zmuszają nas zimowymi nocami modlić się do Brahmy, tak znów ciemności łatwo doprowadzić mogą do czci gwiazd i księżyca, czyli do sabbeizmu“.

Mając pisać o Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, o czytelnich rzemieślniczych itp. aktualnych kwestyach, opisał je młody feljetonista *Gazety Polskiej* w taką parafrazę *Wstępu do bajek* Krasickiego.

Czasy zmieniają się. Czy na lepsze? Jak dla kogo. Ze stanowiska podmiotowego, na gorsze dla tych, co żyją wspomnieniem; na lepsze dla tych, co żyją nadzieją. Przedewszystkiem zmieniają się na inne. Zresztą, co komu lepsze, drugiemu gorsze. Kronikarzowi niechaj to będzie wolno objaśnić przykładami z naszego brukowego życia. I tak: gdyby np. latarnie gazowe paliły się nocami dłużej i większym płomieniem, dla

publiczności przysłyby czasy lepsze, dla towarzystwa gazowego gorsze; gdyby marzenia o kanalizacji Warszawy miały się urzeczywistnić kiedykolwiek, dla ludzkich nosów przysłyby czasy lepsze, dla epidemii znów gorsze, i t. d. Ale to są marzenia!... Marzyć wolno o wszelkich niepodobieństwach. „Był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził, był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzedził, i t. d.“ mówi Krasiecki. My na wzór jego rzec możemy. Były instytucje dobroczynne, które ogłaszały roczne sprawozdania; było Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, które starało się o coraz nowe obrazy; były czytelnie rzemieślnicze, do których ofiarodawcy nie same tylko teologiczne książki znosili; były reżyserie, starające się o różnorodność repertuarów; były resursy, w których, zamiast grać w karty, zajmowano się czemś pożytecznem. „Wszystko to być może, jednakże ja to między bajki włożę“. Z tych bajek największą i najmniej prawdopodobną byłby właściciel domu nie podnoszący komornego. „Co to będzie? co to będzie? powtarzają nakszał Mickiewiczowskich chórów lokatorowie. Łatwa odpowiedź: bieda będzie, na którą i kronikarz nie umie nic poradzić, choć, jako nie posiadający domu, sercem i głosem łączy się do chóru lokatorów“.

Ale Sienkiewicz, w którego twórczości humor odgrywa tak wielką rolę, jest nie tylko humorystą w stylu Marka Twain'a: on przede wszystkim jest poetą z wyobraźnią pokrewną fantazji Słowackiego, z podobną słowiańską i szczeropolską uczuciowością, melancholią i zadumą. Ztąd i w tych jego feljetonach w *Gazecie Polskiej*, obok humorystycznych, przy których czytelnik nieraz musi się roześmiać, raz po raz można się spotkać z ustępami lirycznymi, które wyszły z pod pióra poety-marzyciela, a których wogóle było znacznie więcej w rękopisie, lecz je do minimum ograniczała i skracała żądna „faktów“ redakcja. Ustępy te, których poetyczna woń dotąd nie zwietrzała, wymownie zapowiadają przyszłego autora takich poematów prozą, jakimi są Sienkiewiczowskie powieści i nowelle.

Oto np. jeden z takich poetycznych fragmentów, skreślony pod wpływem pierwszych powiewów wiosennych.

A jednak piękna jest wiosna, owo wielkie epos zmartwychwstania, którego autorem jest sam Bóg, a piewcą cała natura. To też każdy z wiedzą lub bez wiedzy czuje potężny jej wpływ na siebie. Chłopak wiejski nie tylko dlatego wygrywa na fujarce, iż wierzbina puściła pąki i da zdjąć z siebie korę, ale i dlatego, że ot sam nie wie dlaczego mu jakoś od duszy chce się pieśni i grania. Czarodziejstwo owego wpływu

dochodzi do najwyższego stopnia w pogodne wieczory. Wtedy to od wsi do wsi dochodzi szczekanie psów i głosy kilku dziesiątków fujarek; w wilgotnych olchach kuka kukawica, huczy zdala młyn wodny; z pobliskich stawów wiodą senną rozmowę arystofanesowe chóry żab; słowiki stroją gardła do nocnego koncertu; a co dziwniejsza, iż dla mieszkańca miast wszystkie te głosy, zebrane razem, stanowią wiejską ciszę.

Jużto w ogóle, zdaniem młodego feljetonisty *Gazety Polskiej*, wiosna usposabia jakoś poetycznie.

Toby nie wierzył temu, niechaj pogrzebie w popiołach swych wspomnień, niechaj przypomni sobie, czy mu nie trafiło się kiedyś w życiu w cichy śliczny wieczór wiosenny, czy to na wsi, czy w ogrodach miejskich, iść na przechadzkę obok młodziuchnej, jak wiosna, a miłej, jak własna dola, towarzyszki. Mama i ciocia gwarzyły sobie, podążając za młodą parą, wiatr szemrał liściem, biła woń kwiatów, pomrukiwał może i jaki strumyczek, coś jakby pacierz, jakby *ave* wieczorne... Czy pamiętasz, czytelniku? Gdzież się podziały wówczas twoje drobne troski życia, gdzie jego strona powszednia? Twa towarzyszka była to sobie poprostu Marylka lub Ziułka, jakich wiele na świecie; ale wówczas czy pamiętasz, jaką ci się wydawała w świetle i cieniu, z czołem skąpanem w blaskach zorzy wieczornej, ze wzrokiem zaginionym gdzieś w widnokręgu, z rozwianemi promieniami włosów na głowie, z twarzą zamyśloną a łagodną. Rzekłbyś: to anioł, przed którym tylko klęknąć i wyrzec: *Ave!*¹⁾ Hej! Hej! szron życia ubielił ci dziś włosy, a jednak na głos takich wspomnień pokiwasz głową, palcem uderzysz w denko tabakierki, zażyjesz, uśmiechniesz się i powiesz sobie: „Dobre były czasy, zakaty!“ A to był ów wpływ wiosny i pięknej natury: duszę opęta wtedy egzaltacya. I nic dziwnego, iż wyrwana z codziennych warunków istnienia rozmarzy się na chwilę i rozwinie zwiędłe pod wpływem rzeczywistości skrzydła. W ludziach leży poczucie piękna, jak złoto wkropione w skałę; trzeba tylko warunków, żeby owo złoto spłynęło na wierzch. Dusza świeci wtedy dziwnem bogactwem.

W tym rodzaju były wszystkie kroniki Sienkiewicza, pod-

¹⁾ Jest to naśladowanie strofy z poematu Słowackiego *W Szwajcaryi*: „I wówczas modlić się zacząłem do niej: *Ave Maria!*“ Ten wpływ Słowackiego daje się u Sienkiewicza w tych czasach (jak i w późniejszych) zauważyć bardzo często. Czemże np. jest *Przez stepy* jeżeli nie *W Szwajcaryi* prozą? W kronikach swych powołuje się Sienkiewicz najczęściej na Słowackiego i cytuje go raz po raz. W *Niewoli tatarskiej* widać ogromny wpływ *Księcia niezłomnego*, a w mnóstwie scen Trylogii można się dopatrzeć wpływu *Beniowskiego*.

pisywane przezeń tylko inicjałami H. S. Doskonale pisane, pod względem polszczyzny i stylu nie nie pozostawiające do życzenia, były to świetne feljetony, pełne młodzieńczej werwy, okraszone staropolskim humorem, a nadewszystko opromienione „liryzmem młodej duszy“ swego autora. Ten liryzm był — i pozostał aż po dziś dzień — ich największą ozdobą, jemu zawdzięczamy najpiękniejsze ustępy tych kronik. Nie brak w nich też i wielkiej znajomości naszego społeczeństwa, naszych narodowych wad, przywar, śmieszności, co znowu kronikom tym nadawało charakter wybitnie satyryczny.

Już pierwsza nie stanowi wyjątku pod tym względem. Oto n. p. obrazek *genre*, przedstawiający naszych domorosłych polityków. Zdaniem Sienkiewicza, materyał to niewyczerpany dla humorystyki, ludziom bowiem małego i średniego wykształcenia nie tak nie zawraca głów, jak polityka.

Mikołaj Rej powiedział, że człowiek składa się z czterech wilgotności: „z krwi, kolery, flegmy i melankolji“, i że od przewyżki jednego z tych pierwiastków zależy temperament. Otóż zdaje się, że temperament naszych polityków przeważnie składa się z tej wilgotności, którą Rej nazywa kolera. Mało dysput bywa u nas tak ożywionych, mało sporów tak zaciętych, jak te, które toczą się o europejskiej dyplomacyi w naszych parafiach i zaściankach. Bujny a krwisty temperament polski uwydatnia się tu z całą siłą. Ktoś tam wymaga np. od Thiersa, żeby w przeciągu dwóch tygodni rozpędził opozycję, czego jeśli nie zrobi, to nasz polityk zapowiada, że słyszeć o nim nie zechce. Ileż to razy zdarza się słyszeć jakiego poczmajstra, dzierżawcę, urzędnika, a szczególnie emeryta osiadłego w małym mieście, mówiących: „Ja żebym był Bismarkiem“, albo: „Ja na miejscu Thiersa, tobym to i to zrobił“. Jakoż nasz polityk zrobiłby to, co zamierza, jak Bóg w niebie. Jakby tam Francya albo Prusy na tem wyszły — no!... ale nasz polityk zrobiłby swoje.

Wobec tego, nie dziw, że w prasie podnosiły się głosy przeciwko politykowaniu, a głosy te szły tak daleko, że aż zaczęto się domagać, by pisma nasze, t. z. polityczne, mniej zajmowały się polityką, zwłaszcza zagraniczną. Sienkiewicz nie dzielił tego zapatrywania.

Nie można utrzymywać, że polityka na nie się nie zdała, bo znajomość jej faz bieżących, a mimochodem zapoznawanie się z jej podsta-

wami dodatniami czy ujemnemi, należy do ogólnej kultury ludzkiego umysłu. Od polityki nie już międzynarodowej, ale i wewnętrznej państw niektórych, zależą, a czasem i bardzo zależą nasze własne sprawy. Wiedzieć o tem pożyteczne jest, a czasem i konieczne, żeby nie robić błędów. Dobrze jest mieć sposobność nauczania się, jak też to ludzie radzą sobie w swoich wewnętrznych i międzynarodowych stosunkach, dosyć niekiedy subtelnych i zawiłych, a tak zawiłych niby i gorących, że je aż mieczem rozcinać, krwią i łzami chłodzić za stosowne uważają.

Zdaniem młodego kronikarza *Gazety polskiej*, nawet pisma ludowe, jak *Zorza* lub *Gazeta świąteczna*, nie powinny całkiem zaniedbywać obznajmiania czytelników swych z różnemi wypadkami politycznemi, by i nasz kmiotek miał jakieś takie pojęcie o tem, co się w innych krajach dzieje.

Gotów kto powiedzieć, że włościanin może się obejść bez wiadomości z historii, geografii, a szczególnie z polityki. Zapewne, człowiek się bez wielu rzeczy może obejść, ale i to pewna, że od wiedzy zdrowo mu podanej nie zachoruje. Każda zresztą gałąź wiedzy stać się może i staje się istotnie, gimnastycznym ćwiczeniem dla mózgu i do ogólnej umysłów uprawy się przykłada.

Już to wogóle do wykształcenia powinniśmy przykładać wagę największą, a jeśli chodzi o jego kierunek, to według Sienkiewicza, szkoły realne są nam potrzebniejsze, niż filologiczne. Mniej łaciny i greki, a więcej matematyki¹⁾ i nauk przyrodniczych.

Pożytki, płynące z tych nauk, namacalnniejsze są i bliższe, niż korzyści z humaniorów. Zresztą, co komu służy. Rej miał wiele rozsądku i w owych już czasach widział, że „przyrodzenie ludzkie nadobnie rozumem hamować trzeba, a czego mu brak, tego dodać, czego zaśię ma nadto, tego ująć“. Stosując tę zasadę do nas, winniśmy wyrabiać w so-

¹⁾ Nasz naród (pisze w innem miejscu tejże kroniki Sienkiewicz) jak się to pokazało niejednokrotnie, ma wysokie zdolności matematyczne. Dowodem Ciołek, Kopernik, Śniadecki, Hoene-Wroński i inni, dowodem pochwały, oddawane naszej młodzieży, kształcącej się w szkołach matematycznych za granicą; dowodem imiona Folkińskiego, Gosiewskiego, Niewęglowskiego, Sagajły, Feliksa Kucharzewskiego, ludzi po większej części młodych, a już znanych zaszczytnie na polu naukowem.

bie przedewszystkiem praktyczność, której nam najwięcej brak i którą bardzo górują nad nami nasi sąsiedzi Niemcy.

Zmysł ten powinna w nas także wyrabiać prasa, która w naszych warunkach ma nierównie szersze pole działalności, niż w innych krajach. Być może, iż to właśnie jest powodem niesłychanego wzrostu naszej prasy, począwszy od jakiegoś roku 1865...

Najważniejszym faktem, który w ostatnich czasach uderzyć musiał każdego myślącego człowieka, jest nadzwyczajny rozwój naszej prasy perjodycznej. „Nowi poeci rodzą się jak grzyby“ powiedział w swoim czasie Słowacki; dziś możnaby to powiedzieć o nowych dziennikach. Liczba ich zwiększa się — więc widać, że i liczba czytających się zwiększa. Są ludzie, których to mnożenie się pism przestrasza, ale niesłusznie. Jeśli nadzwyczajny rozwój prasy ma w szczegółach swoje słabe strony, to wogóle jest faktem pocieszającym. Podnosząc tysiące najróżnorodniejszych kwestyi, pisma trzymają w ciągłym napięciu opinię publiczną, zachęcają nieśmiałych a gotowych do czynności, budzą ośpałych, skłaniają do myślenia, związują węzły społeczne. Czem eklerowie dla armii; tem pisma dla społeczeństwa. Idą naprzód i ostrzegają. Różne kierunki muszą znaleźć odpowiedni wyraz. Przyjając je, ogrzać, wprowadzić do krwi, ucieleśnić je w czynach — to rola ogółu społeczeństwa; głosić o tem — rola pism. Rolę tę spełniają i nasze pisma. Czynność ich podobna nieraz do działań pionierów w ciemnych lasach. Potrzeba nam więcej światła, a i powietrza więcej, więc szerszego widnokręgu. Więc las się trzebi. To powołanie jednych. Ale są i drudzy, którzy baczają, by trzebierz nie była zbyt hurtowną; trzeba coś na nasienie zostawić, żeby nie była powszechna golizna. Więc gdy siekiera zbliży się do pnia, za pożyteczny i za potrzebny uznanego, ci drudzy w krzyk i w spory z gorliwcami! Walce pojęć odpowiada walka pism. Na wojnie, jak na wojnie: budzą się namiętności, a prywatnie nieraz płaszczem dobra publicznego się okrywa. Widzimy to i w naszej prasie. Niejeden, prawiąc rzekomo o idealizmie lub pozytywizmie, załatwia się po drodze ze swymi osobistymi przyjaciółmi lub wrogami; nie jednemu osobistość zasłania ideję; nie jeden tak dalece zżył się z danym kierunkiem, że nie umie swych pojęć od swego *ja* odróżnić. Nie można zaprzeczyć, że dwa kierunki, idealny i pozytywny, głównie reprezentowane przez nasze pisma, walczą ze sobą zawzięcie i zajmują stanowiska krańcowe. Mimowoli przypomina się heglowska teza i antyteza. Dokąd dążą, gdzie cel ich, gdzie dopełnienie heglowskiego prawa syntezy? Syntezą powinno być dobro społeczne. Ale, że do jednego celu różne mogą prowadzić drogi, więc nie dziwnego, że różne drogi ludzie wybierają i różnemi dążą. I konie-

czne to i potrzebne. Nikt nie zaprzeczy, że w dziedzinie umysłowości naszej panuje dziś niezwykle ruch i niezwykle ożywienie. Nim do tego przyszło, było rozpatrywanie się w położeniu wyglądające pozornie na ospałość. Prasa uderzyła pobudkę; to jej zasługa, najgłówniejsza dotąd. Były chwile, w których marzyliśmy; osłabieni pięknem może, ale smętnem marzeniem, zdawaliśmy się zasypiać głęboko. Przez chwile owe czas nie zatrzymał się nad nami. Życie toczyło się zwykłym ogromnem kołem; inni nas wyprzedzili — zostaliśmy w tyle. Obecnie gonimy za tymi, którzy poszli naprzód. Do tej pogoni potrzeba sił odpowiednich; nie zwątpiła o nich nasza prasa i powiedziała sobie: idź, a gdzie nie zdołasz przeskoczyć, tam przeleż. Zasada to wprost przeciwna herbowej dewizie: „złam się, nie zegnij“, ale odnośnie do naszego ogółu, sprawiedliwsza. Sprawy naukowe, ekonomiczne i społeczne leżały u nas odłożeniem; jeliśmy się więc owych pustek — a dziś ruch na niejednym już polu. Ubiegają się robotnicy o lepsze i zabiegają wedle pracy; podniósł się nieco poziom umysłowy, ożywił się nieco przemysł i handel, pojawiły się banki, spółki zarobkowe i dobroczynne stowarzyszenia; prawdy ekonomiczne zapuściły korzonki w naszą glebę, rozpoczął się ruch, ożywiła energia, życie wrzeć zaczęło. Choć to dopiero początek, niech nam wolno będzie widzieć w nim szczęśliwe wróżby. Ile z tego, co się robi, winniśmy prasie: ile starszej, ile młodszej? niech sędzi ogół. Z naszej strony zrobimy uwagę, że dziennikarstwo nasze bardzo często nie ograniczało się na notowaniu tylko reform społecznych, ale częściej jeszcze dawało do nich inicjatywę.

Ale obok tych zalet prasa nasza, a głównie warszawska, nie jest zupełnie wolna od pewnych wad. Wadą n. p. jest zbyt, bo prawie wyłączne zajmowanie się miastami. Tymczasem nie powinno się zapominać, iż poza temi, jak je słusznie czy niesłusznie nazywamy, ogniskami, „ciągnie się jak okiem dojrzyć, kraina pól, łąk i lasów, bezbrzeżna równina, pełna nowych domków włościańskich i dawnych zaścianków, i dworów szlacheckich, i żydowskich gwarnych a szachrujących miasteczek: i tam są ludzie: należy mówić do nich i o nich“. Zadanie to dla prasy niezmiernie doniosłe. „Szlachećca i włościanina trzyma w kieszeni handlarz; wszystko, co jeden i drugi produkuje, wszystko, czego obaj potrzebują, musi przejść ręce frymarchących i zostawić w nich połowę, często więcej wartości“. Czy nie dałoby się obejść bez tego pośrednictwa! Warto

by się nad tem zastanowić, w naszym położeniu bowiem kwestya to pałaca.

Dla nas wieś więcej znaczy, niż miasto. Choćbyśmy nie wiem jak daleko posunęli się na drodze przemysłowej, zawsze głównym naszym warsztatem będzie rola, głównem bogactwem jej produkty; nikomu więc prawie nie zależy tyle, ile nam, na pilnem baczeniu na wszystko, co ma związek z rolnictwem.

Nasuwa się tylko poważna wątpliwość czy artykuły dziennikarskie, choćby najbardziej wyczerpujące, mogą się przyczynić do podniesienia rolnictwa. W każdym razie nigdy nie zawadzi, gdy się często porusza jakąś kwestyę, bo „trzeba się ludziom naprzykrzać, żeby pełnili dobro dla siebie samych i dla innych“.

Tymczasem, gdy młody feljetonista *Gazety Polskiej* zastanawiał się w swej kronice nad tyloma pierwszorzędnej wagi „faktami“, faktem było również, że właśnie zaczął się post, że świeżo przebrzmiały ostatnie echa karnawału, co znacznie się przyczyniało do zwolnienia gorączkowego pulsu życia warszawskiego.

Bo tak w małym, jak i wielkim mieście, póki zima, póty czas. Życie miast ma swoją kolej odrębną od kolei, którą bieży natura. Są stworzenia, które przesypiają zimę; miasto, ten potwór pełen wrzawy i ruchu, niespokojny, zgłębliwy, ogromny, dyszący dymem kominów fabrycznych, brzącający odgłosem pracy i pieśnią próżniaków, potwór ten zasypia tylko latem. Pusto wtedy, cicho i głucho; zda się usłyszysz echo własnych kroków odbite o mur sąsiedni. Waga społecznego żywota przechyla się w lecie na stronę wsi. Zimą za to kolej na miasto... Jak ptactwo na wielkie mrozy chroni się pod dachy ludzkie, tak i wieśniactwo, przynajmniej możniejsze, lubi zimą ciągnąć do miasta. Kto napracował się latem, ten ma prawo odetchnąć a nawet się pobawić zimą. A więc w karnawał, hulaj dusza!... Przez wzgląd na panów obywateli nie kończę do rymu tego wesołego wykrzyknika, choć w drugiej, niedomówionej jego połowie, może on i prawdziwszy, niż w pierwszej. Ale karnawał już minął: umarł i pogrzebion. Mówki pogrzebowe wypowiedziano mu tu i owdzie; zatem nie wspominajmy o nim więcej. Teraz post, a więc i postne zabawy i odczyty, których się nie słucha, rauty, na których się ziewa, i koncerty, na które się nie chodzi. Co do rautów, ziewać na nich jest w dobrym tonie i żaden człowiek, który się szanuje, nie powinien o tem zapominać.

Jednocześnie w powietrzu — ile że był to już koniec marca — dawały się czuć pierwsze powiewy wiosenne. Poetycznie usposobiony Sienkiewicz skorzystał z tego „faktu“ i rozpiisał się o nim *con amore* w zakończeniu swej kroniki. Nieestety, z całego lirycznego ustępu, do którego natchnęła go myśl o tej najpiękniejszej porze roku, Sikorski, który „nie łapał się na pięknobrzmiące frazesy“, wydrukował zaledwie kilkanaście wierszy: resztę, a mianowicie wszystko, co było poezją, wykreślił. A jednak był to — podobno — najpiękniejszy ustęp z całej kroniki! To, co ocalało, brzmiało, jak następuje:

Łatwiej wróżyć o wiosnie, nawet bez kalendarza; widzimy ją przecież, jak się ku nam zbliża wielkim krokiem. Nam mieszcuchom trudno wprawdzie poznać, czy zima poszła już sobie na dobre, czy przyczaiła się tylko; ale to pewne, że na wsi wierzą już w jej koniec. Pełno wszędzie oznak wiosennych. Były już błyskawice i grzmoty, a zagrzmiało na goły las, z czego rolnik zwykł wyprowadzać szczęśliwe wróżby przyszłego urodzaju. Wędrownie ptactwo tłumami wraca, a jemu lepiej jeszcze, niż człowiekowi, wierzyć można, że wiosna się zbliża.

To też ludzie zaczynają już myśleć, gdzie komu wypada, trzeba lub przystoi odlecieć na piękną porę. Gdy ona nastanie, co my tu będziemy robili, o czem mówili? Mały to kłopot, a choćby był i duży, to łatwiej z nim, jak z zimą. Żegnamy ją więc, patrząc na zegar niebieski, jak popatrując co chwila na zegarek kieszonkowy daje się do zrozumienia natrętnemu gościowi, że już dosyć go mamy. Nie każdy jest domyślny, ale prędzej czy później zima musi odejść, musi się skończyć, jak się kończy wszystko, co się zaczęło, jak i ta nasza wstępna kronikarska gawęda.

Niezależnie od wstępu, jaki Sikorski żywił do poezji, przynajmniej gdy chodziło o feljetony *Bez tytułu*, Sienkiewicz czuł tak nieprzeparty pociąg do tej „zesłanki niebios“, że swój drugi feljeton zaczął, o zgrozo! od rozbioru poematu, i to poematu nieznanego, zapomnianego, wydanego przed kilkunastu laty. Co dziwniejsza, że Sikorski nie wykreślił tego ustępu. Wi docznie mu się podobał...

Noc włoska, cicha, wonna i marząca:

Gwiazdy się palą, świecą jak w koronie

Madonny perły. Wiater ledwie trąca
Kielichy kwiatów, ledwie plusną tonie;
Po niebie czasem płynie chmurka drżąca,
Biała, jak muślin w dziewiczej zasłonie.

Jest to ustęp z mało znanego poematu *Guido* jeszcze mniej znanego poety Jabłońskiego. Nie nowa to rzecz, bo poemat wyszedł w 1855 r. i nowa zarazem, bo mało kto ją zna, mało kto miał sposobność podziwiać ową mieszaninę siły, słodyczy i natchnienia, jaką tu znaleźć w każdym prawie ustępie. A zapewne i niewielu wie przytem, że kiedy poeta kreślił ów cudny obrazek włoskiej nocy, wówczas może nad jego głową inna noc rozciągała ciemne skrzydła; nad czołem świecił mu miasto naszej niedźwiedzicy, krzyż południowy, a z niedalekich pustyń Sudanu może dochodziły go właśnie głębokie basowe głosy lwów, groźne i majestatyczne zarazem, jak huk grzmotów. Wówczas i poeta chwycił pióro w rękę; ale myśl jego, zerwawszy się, jak ptak, z afrykańskiego brzegu biegła w strony ojczyste, gdzie Boh szumi srebrną wodą, gdzie oko tonie w bezbrzeżnej równinie stepu, wiatr grywa na cienkich źdźbłach trawy, a pierś kozacza, niby w ekstazie zapamiętania, nie może pohamować wykrzyku: „Hej, Hej! Wy fale sine i stepy bez końca!“ Więc z pod pióra poety płynęły dumki i rusałczanki. Ta smętna nuta ukraińska wśród afrykańskiej nocy, nad brzegiem Zanzibaru! ma to w sobie coś dziwnego!... Jedyny większy utwór Jabłońskiego, *Guido*, maluje młodzieńca, który, porzuciwszy ojca, matkę i szlachecki dworek rodzinny, pogonił za ideałem sztuki, do którego chciał dojść „choćby przez płomienie“. Ojciec umarł z rozpaczy, że syn szlachecki rzemiosłem grajka kała klejnot herbowy; matka umarła z tęsknoty, chata zapadła się ze starości, a on, nie odwróciwszy głowy, biegł dalej za ideją. Potem, w Italii już, pokochał młodą Angełę. Los zdawał mu się uśmiechać: czekała go miłość Angeli, spokojna chata pokryta bluszczem i życie pełne cichego szczęścia. Ale i owa sielanka nie zatrzymała go na długo. Angela nie umiała go pojąć i umarła, chata nie umiała go zatrzymać i, jak niegdy rodzinna, rozsypała się w gruzy. On pobiegł dalej. Zyskiwał czasem pieniądze, czasem oklask, ale wogóle szedł nieoceniony i zapomniany: sławy nie zyskał. Jakoż i niewolno mu było dążyć za nią; cel jego leżał wyżej i dalej. Odczuć wszystkie nadzieje, odgadnąć boleść i całość, doleć i niedoleć bliźnich, zrozumieć wszystko, co się muzyką wyraża, podstuchać wszystkie tony swojskiej nuty i z tego stworzyć jedną pieśń wielką, będącą wyrazem uczuć całego ogółu: oto miał być kres i zadanie jego żywota. Ale nie doszedł tam, gdzie zamierzał. Nieraz grywał dla sławy, nieraz gwoli własnym pigmejskim uczuciom; wyczerpał siły. Nim był w połowie drogi, nagle poczuł ich brak; więc marniał, sechł, jak zwędły liść i umarł. Ale nie tu koniec poematu. Epilog, najpiękniejszy ze wszyst-

kiego, przedstawia ducha poety na sądzie bożym. Przebaczają mu tam wszystko, śmierć ojca, matki, Angeli, nie przebaczą mu tylko jednego, że nie doszedł celu, że nie umiał stać się wyrazem ogółu, że żył dla siebie, że zdradził ideę. Wyrok Boży osadza go na skale dopóty, dopóki nie znajdzie się mistrz, który spełni to, czego on spełnić nie umiał.

Mistrz taki, który miał wyzwolić ducha Gwinona, znalazł się niebawem: zdaniem Sienkiewicza, był nim Moniuszko. Nie wiadomo tylko, czy obecnie żyjący artyści, a zwłaszcza poeci mogą rachować na to, że przyjdzie ktoś, co ich wyzwoli. Nie bardzo się na to zanoszą, sądząc po naszej poezji lirycznej... Wszystko to mniej lub więcej nieudolne echa poezji twórcy *Beniowskiego*, a choć wzór jest wspaniały, to jednak co mistrz, to nie jego uczniowie i epigoni. Kto wie na wet, czy mylił się ów pesymista, który twierdził, że każdy wielki poeta byłby jeszcze większym, gdyby nie tworzył szkoły. Słowacki ją stworzył, niestety!

Cała najmłodsza generacja poetów, nie dość, że sama się żywi okruchami ze stołu Słowackiego, ale przerobiwszy je na przysmak własnego wynalazku, i nas nim częstuje; gryziemy więc *tęcze i obręcze, męki serdeczne i tajne cierpienia*, a popijamy *sekretnie wylanemi łzami*. Hola panowie! Każdy z nas był na uczcie dawanej przez samego Słowackiego, a kto nie był, ten może być jeszcze, bo i pisma jego nie zaginęły. Prawda, że podlewacie swe okruchy Heinowskim sosem, ależ i Heine nie za górami. Utwory wasze tak się mają do ich utworów, jak sztuczne fajerwerki do wybuchu Wezuwiusza. Podmiotowość mistrzów ma to do siebie, że ogarnia przedmiotowość. Sam Słowacki powiada o jednym ze swych bohaterów, że: „Czuł za trzech, a więc żył potrójnie“. W tem i rzecz, że wielcy mistrze już nie za trzech, ale za miliony ludzi czują; dlatego w ich uczuciach, napozór osobistych, znajdują echo uczucia milionów, i dlatego uczucia mistrzów obchodzą wszystkich. Inna cokolwiek sprawa z tymi, którzy czuć zaledwie za siebie umieją; ci nie mogą wymagać za opis swoich sentymentów ani sławy, ani pieniędzy (w języku poetycznym *mamony*), ani współczucia. Zdradza cię kochanka? Przykra rzecz, zapewne; ale trudno wymagać, abym nad tem płakał, skoro mnie moja nie zdradza. Zamiast więc drukować swe narzekania w pismach peryodycznych, poślij je do niej miejską pocztą, lub zapisz w album. Jeżeli świat cię nie rozumie, mów doń zrozumiałym językiem; jeżeli nie umiesz, to jak Gwido po stepach, tułać się będziesz po pułkach księgarskich, z tą różnicą, iż z takiego piekła nikt cię nie zdoła wyzwolić.

Chyli się powoli do grobu stara generacya poetów. Czy młodsza zdoła ją zastąpić? Wolno powątpiewać. Nie rozumie i nie chce słuchać jej nikt, a — co godne uwagi — najmniej młodzi. Ci inni młodzi pracownicy, radykalnie trzeźwi, biegną do swych celów z takim pospiechem, że jeśli czasem nadeptany w biegu poeta pisnie im żałośnie z pod nóg, żaden na to nie zwraca uwagi. Owszem: największą sumę szyderstw na głowy młodych poetów rzucają młodzi. I tak będzie dopóty, dopóki owa młoda poezya nie porzuci egzotycznych marzeń, nie obejrzy się po świecie i nie zajmie się życiem ogółu.

Dzisiaj z powodu braku poezyi cenimy powieści. Prawda, że i na tej niwie nie zanosi się na wielki urodzaj; ale mierna powieść łatwiej się daje czytać, niż mierne poezye, i z natury swej musi się wspierać więcej na gruncie społecznym, musi podnosić wyraźniej kwestye blisko nas obchodzące, poznać sprawy bliższe, a przytem malować ludzi, zwyczaje i obyczaje w warunkach realniejszych. Dlatego powieść ma przed sobą przyszłość, a choć wielu już narzeka na zbytnie jej rozwielenienie się w literaturze, choć wielu, jako *Kassandra Troi*, przepowiada jej bliski upadek, to jednak zdanie jednych i drugich niewczesne lub niesłuszne. Powieść jest pożyteczną, bo nie tak jak ona nie wpływa na masy i nie działa na opinię publiczną. Powieść nie upada, a przeciwnie zdobywa sobie coraz szersze koła czytelników, a nadewszystko coraz nowe pola.

To samo dało się w roku 1873 powiedzieć i o odczytach, które sobie zdobywały coraz większe powodzenie wśród publiczności warszawskiej. Szczególniej podobał się odczyt *Świętochowskiego* o powieściach *Hofmanowej*, o jej poglądach na kobiety i małżeństwo. Zdaniem *Sienkiewicza*, teoria *Hofmanowej*, iż kobieta powinna być ślepo posłuszną mężowi, jest jako system, przestarzała.

Niech kto mówi, co chce, ja utrzymuję, iż większość naszych małżeństw reguluje wzajemne stosunki na wzór *Sobieskiego* i jego *Marysieńki*. Niektórzy uważają nawet, iż powody podobnych stosunków leżą w naszym charakterze narodowym. Przyznać należy, iż była by to smutna cecha narodowego charakteru. Może tak źle nie jest. Ale na czyjąkolwiek stronę pada dola ślepego posłuszeństwa, zawsze wykładnik takich stosunków będzie jednaki, i zawsze ujemny. Podstawą szczęścia w małżeństwie jest równowaga znaczenia obojga stron; żeby jednak równowaga ta miała miejsce, należy wyrównać skalę umysłowości stron obojga, czyli należy gruntownie kształcić kobietę, przypuszczając, że mężczyźni bywają gruntownie kształceni. Gruntownie, to znaczy się nie

tak, jak dotąd. Dzisiejsza edukacja służy głównie ku ozdobie kobiety; trzeba, aby edukacja przyszła służyła ku jej pożytkowi. Dzisiejsza służy na pierwszą połowę życia, gdy kobieta jest panną; trzeba, iżby przyszła służyła na drugą, gdy kobieta jest matką. Dzisiejsza służy do zamążpójścia, przyszła ma służyć po zamążpójściu.

Skoro mowa o kobietach, mimowoli, na mocy bardzo naturalnego snucia się wyobrażeń, myśli się o wiośnie.

Piękność i kaprysy, to cechy wspólne pogodzie i kobietom. Nie zapomnijmy zwrócić uwagi i na tę okoliczność, że pierwszy dzień kwietnia, prawdziwie wiosennego miesiąca, poświęcony jest bóstwu (takby powiedział starożytny Rzymianin) zwodniczości. Czyżby kobieta nie dostrzymywała także później tego, co w wiosnie życia zapowiadać się zdaje? Nie wdając się w rozbiór tej kwestyi, zrobimy uwagę, że na zwodzenie przeznaczony jest jeden tylko dzień w roku. Być może nawet, że dlatego zwodzenie w tym jednym dniu uprawniono niejako, iżby każdy, używszy do syta tej przyjemności, w następnych dniach roku miarkował tego rodzaju zachcianki. Pozwalanie ich sobie byłoby co najmniej nudne.

Każda rzecz bowiem, za często powtarzana, w końcu staje się nudną. Nie dziw więc, że nam sprzykrzyły się owacy, raz po raz wyprawiane różnym „wielkim“ naszego partykularza.

Prawda! mamy wśród nas tyle wielkości, tyle znakomitości i tyle wielkopomnych zasług, że trudno się wstrzymać od okazania im czci przynależnej. Wyprawiamy więc *bene merentibus* obiadki, na których rozczułamy się nad ich zasługą (nie obiadków, ale zasłużonych), palimy do nich i z ich powodu mówki; wkładamy sobie w ich osobach wieniec na głowy i dochodzimy przy którymś z kolei kieliszku do przekonania w duchu, wypowiedzianego często na cały głos, że „cały świat“ (tak się nazywa sala bankietowa) zazdrości nam naszych wielkości. „Czterdzieści wieków patrzy na nas!“ ani jednego mniej. Czterdzieści wieków i kwita!... jak to skromnie! Możemy dodać jeszcze zero na rachunek przyszłości, boć i ona podziwiać nas będzie. Czy będzie podziwiała?... Czemużby nie? „I swoich czasów śpiewak nie obwini“, jak powiedział Mickiewicz. W każdym razie zarzucić im trzeba, że się przeceniają. Umiejmyż wybrać, co nam czcić przystoi, ażeby potem przyszłość nie skarciła nas za to, że czcimy bez wyboru, co się nawinie.

Z drugiej strony jednak, o ile jesteśmy skorzy do wydymania na wielkości i znakomitości ludzi, którym tytuł zwy-

klej mierności bardziej przystoi, o tyle nie zawsze jesteśmy skorzy do uczczenia prawdziwej wyższości i zasługi. I tu nam animusz nasz częste płata figle.

O którym że to bohaterze, o jakiej wyższości, ludzie nie gadają tego i owego. Każda wyższość nieznośną jest pełzającym poziomo, szczególnie współczesna, i dopiero potomni schylają głowy przed wystawionym jej pomnikiem. Któraż go nie zdobyła wyższość, trzymająca się zasady: cel (szczególniej osobisty) uświęca środki. Takich wyższości nie brak nigdzie; są i u nas, a poznać je można po krzyku na innych i pozowaniu na obrońcę dobra powszechnego, obrzucaniu innych paszkwilami, częstowaniu się obiadami i t. d.

Nie należał do tej kategorii ludzi Królikowski, choć i jemu, po jego wystąpieniu w kwietniu 1873 r. w *Mazepie* Słowackiego, wyprawiono obiad składkowy. Zdając sprawę z wrażenia, jakie ten „wspaniały, choć pełen trupianej grozy utwór“ uczynił na publiczności, kronikarz *Gazety polskiej* uważał za stosowne sprostować przy tej sposobności zdanie swoich kolegów po piórze, którzy w swoich „na wzór i z pomocą dzieła Małeckiego pisanych recenzyach“ usiłowali przekonać czytający ogół, że poeta w *Mazepie* przedstawił charakter Jana Kazimierza niezgodnie z historią. Według Sienkiewicza, który już wtedy gorliwie się zajmował historią polską, równało się to wprowadzaniu w błąd nieświadomych, gdyż w tragedii tej, o ile wypadki są niehistoryczne, o tyle charakter króla jest „jaknajściślej historyczny“.

Dziwić się raczej przychodzi szczęśliwemu wypadkowi, czy szczęśliwej intuicji poetycznej w kreśleniu tego charakteru. Historia uczy nas, że było w tym monarsze i wiele stron dodatnich. Mógł on, składając koronę, z całą słuszością powiedzieć: „Pierwszy bywałem w potrzebie, ostatni w odwrocie“. Niemniej jednak domowa strona jego życia, a raczej obyczaje, nie były zbyt czyste i moralne.

Kwestya jednak, jaki był charakter Jana Kazimierza, mniej na razie zaprzętała umysły Warszawiaków, aniżeli... dwugłowy słowik, który w przelocie, a raczej w przejeździe do Wiednia, zatrzymał się w cyrku Salamońskiego. Szczególny ten ptaszek tem się — zdaniem Sienkiewicza — różnił od naszych

słowików, że nie żywił się mrówczemi jajami i muchotrzewiem, ale papierkami bankowemi, co oczywiście tembardziej zaostrzało ciekawość mieszkańców naszego syreniego grodu.

Warszawa jest prawdziwym rajem dla wszelkiego rodzaju osobliwości. Kto tylko ma zbyt krótkie nogi, zbyt wielką głowę, albo cokolwiek za wielki żołądek, może śmiało przyjeżdżać do nas, a niezawodnie po jakim miesiącu pobytu zarobi wcale sporo grosiwa. A nie tylko w Warszawie może rachować na połów, ale jeszcze bardziej w miastach prowincjonalnych. Toż była wieść, że niedawno pokazywano w jednym z nich niezmiernie osobliwą fokę, tem ciekawszą, że chodziła na dwóch nogach, mówiła po niemiecku i nosiła kobiece suknie. Sceptycy twierdzili nawet, że była to sobie poprostu nie stara i wcale nawet przystojna Niemka, żona impresaria; nie mniej jednak tłumy odwiedzały fokę i dziwiły się, że taka łaskawa bestyjka. „A że moiście dzieju są tacy, co nie wierzą, żeby to była foka, to nic dziwnego — bo heretycy w nic nie wierzą“. Zresztą stojąca obok balja z wodą usuwała wszelkie wątpliwości. W Radomiu znów przed niedawnym czasem miejscowa publika miała sposobność podziwiać uciętą głowę, która mówiła i jadła befsztyk. Radomianie żadną miarą nie mogli pojąć, gdzie się ów befsztyk po zjedzeniu podziewa. Szczęściem, poszukiwania miejscowej policji zdołały wykryć i resztę kadłuba, należącego do tej głowy, a ukrytego starannie pod stołem, na którym spoczywała sama głowa. Pomyślny ten wypadek uspokoił ciekawość Radomian, a głowa wlokąc za sobą tułów, powędrowała w inne strony szukać tułówów bez głów.

Tymczasem ukazał się prospekt nowego pisma, poświęconego pszczelarstwu i ogrodnictwu, a że ruch na tem polu bardzo był pożądanym z wielu względów, więc omówienie tego „faktu“ należało do obowiązków młodego kronikarza *Gazety polskiej*.

Podniesienie ogrodnictwa i pszczelnictwa nie byłoby nowością, ale raczej powrotem do tradycyi, która twierdzi, że ongi kwitło u nas i jedno i drugie. Okolice Niemna słynne były niegdyś jako kraina miodowa, brzęcząca mirjadami pszczoł, osiadłych w barciach leśnych. W wielu miastach i miasteczkach znajdowały się woskobójnie; miód i wosk spławiano Wisłą i Niemnem do portów bałtyckich, zkąd zagraniczni kupcy rozwozili te produkta daleko na Zachód. W Polsce stare miody do picia ceniono na równi z węgrzynem i małmazją. Z nadwiślańskich krain, pszczelnictwo kwitło szczególnie w lesistej Małopolsce, a jeszcze dawniej na Pomorzu. Szajnocha wspomina, że szczególnie w Małopolsce

wedle górnego biegu Wisły szumiały całe lasy lipowe, roznosząc latem dziwnie cudną woń po okolicy. Wówczas to w pogodne dnie brzmiał taki las ogromną z tysiąca tonów złożoną muzyką pszczolną, którą lubował się współczesny w lasach żyjący bartnik. Kochanowski sam mówi, jako w znojne godziny południowe lubił położyć się pod cieniem lipy i słuchać kapeli pszczoł nad głową, które „radośnie becząc“ dziwną zabiegłością przypominały mu obowiązki i sprawy ludzkiego żywota. Szkoda doprawdy, że ten piękny a tyle swojski przemysł gospodarczy tak długo był w zaniedbaniu i tak późno budzi się z letargu.

Ale choć kwestya ogrodnictwa i pszczelnictwa należała do kategorii tych, które mogłyby sobą zainteresować nasze ziemianstwo, to jednak podniesienie jej przez Sienkiewicza w miesiącu maju, gdy zbliżał się sezon kąpielowy, równało się prawie wystąpieniu nie w porę. Jest to czas bowiem, gdy wszyscy, zarówno w miastach, jak po wsiach, którzy tylko nie czują zupełnej pustki w kieszeni, myślą o wyjeździe za granicę „dla poratowania zdrowia“. Jest to prawdziwa choroba! Takich bowiem, co naprawdę jeżdżą dla rzetelnej kuracyi, jest olbrzymia mniejszość: większość jeździ, by świata użyć i, zrzucawszy domową skórę, stać się podobnymi do ludzi. Nawiasem mówiąc, ta ostatnia operacya nie zawsze się udaje.

Mój Boże! Ileżto naszych pocciwych wróblí, przesiedziawszy czas jakiś za granicą, wraca z czubkami na głowach! A wiadomo przecie z przysłowia, jaki to ptak ma swój czubek! Gdyby zmartwychwstał Owidyusz, mógłby jeszcze raz napisać swoje *Metamorfozy*, oparte na gruncie polskim, w których za jedną drogą i metempsychosis egipska i nowsza teorya Darwina znalazłyby swoje usprawiedliwienie. Wówczas to poznalibyśmy dokładnie cały proces, na mocy którego dusza i ciało szlachcica polskiego przemienia się w duszę i ciało Anglika lub Francuza“.

Napisawszy tę filipikę, mimowoli zadał sobie Sienkiewicz pytanie: czy też słowa jego wywrą jaki skutek? Lecz po namyśle doszedł do wniosku, że stanowczo nie będą grochem rzuconym na ścianę, „wszyscy ci bowiem, którzy na bieżące lato mają zamiar wyjechać za granicę, przypomną sobie, że już czas starać się o pieniądze i paszporty“.

Niemniej sceptycznie zapatrywał się przyszły autor *Komedyi z pomyłek* na kwestyę odczytów kobiecych, których szu-

mna zapowiedź właśnie ukazała się w owym czasie. Sienkiewicz nie obawiał się tej konkurencji dla prelegentów, bo jeśli to będą takie odczyty — rozumował — jak powieści, pisane przez kobiety, to niema się znów tak bardzo na co cieszyć.

Wprawdzie złośliwi zarzucają wogóle niewieściom brak siły, prawdy życiowej, logiki w pomyśle i charakterach, zarzucają im, iż tworzą idee a raczej mrzonki, nie osoby; mówią im, że piszą wodniście, że nie umieją stanąć na stanowisku przedmiotowym, że nakoniec — zaledwie śmiem powtórzyć — powieści ich nie mają sensu!... Ale zarzuty powyższe nie wielkiej zapewne są wagi, bo... bo kobiety piszą powieści i trzeba im przyznać, że przynajmniej ilością wynagradzają jakość. Dla czytelników powinno to być wszystko jedno.

Zdaniem Sienkiewicza przyszłe owe prelegentki zrobiły by lepiej, gdy tę chęć czy ambicję oświecania nieoświeconych spożytkowały na innem polu.

Uczyć drugich, dzielić się z nimi własną wiedzą, niby kawałem chleba, jest zapewne wielką zasługą; ale chcąc ją zdobyć, niekoniecznie należy szukać sali w Resursie obywatelskiej. Wiemy o bardzo wykształconych kobietach, które wolne chwile poświęcają na dawanie lekcji w ochronkach. Tam nie wygłasza się wprawdzie dźwięcznych frazesów o wiedzy, postępie, ludzkości, cywilizacji, pochodniach, zastępach dzielnych pracowników i reformach społecznych, ale uczy się małe dzieci a, b, c. Kto wie, czy to nie większa jeszcze zasługa i nie godniejsza praca czystych, miłujących dobro społeczne dusz niewieści, tembardziej, że nie idzie za nią sława.

Niestety, paniom prelegentkom bardzo na sławie tej i popularności zdawało się zależeć, a pokusa ta o tyle była silniejszą, iż nie wszędzie tak łatwo zarobić na sławę i zostać wielkim i „znanym“, jak u nas.

Dość wystąpić z katedry, dość napisać jedną i drugą powiastkę, dość umieścić parę artykułów w któremkolwiek z pism peryodycznych, by otoczyć swe skronie glorią wielkości. Nasi i nasze geniusze nie mają powodu się skarżyć. Najprzód rodzina, ciotki i kuzynki, następnie koteria i cały ogół otacza ich z łatwością uznaniem. Dostaje się wówczas przydomek „nasz znany“. Mówimy: nasz Kopernik, nasz Mickiewicz, nasz Matejko, a obok tego naiwnie i nasz... „Wiesz pan dobrodzieju, ten co to... o!.. jego artykuł był tu a tu drukowany“. Chcąc być konsekwentnymi, powinniśmy kalosze, laski i parasole takich naszych wielkości

także nazywać naszymi. Mówiliby się wówczas: „Idzie nasz ten i ów... w naszych kaloszach, podpierając się naszym kijem“... Zapomnieliśmy dodać, że jeśli autor lub autorka nie liczą się do pełnoletnich, wówczas do wyrazu *nasz* dodaje się jeszcze „młody i sympatyczny“ lub „młoda i sympatyczna“. Tylko w rodzaju nijakim nie odmieniają dotychczas gwoźli sławie tych przymiotów; ale przy dobrych chęciach może być, że z czasem przyjdzie i do tego. Cóż więc dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy i wobec tylu geniuszów, tak często trafiają się okazyje do rozmaitych na ich cześć uroczystości. Jeżeli wielkość ma za sobą lata, więc wiwat wielkość i zasługa! jeżeli ich niema, to chwalić Boga, iż młoda! Zresztą może i słusznie je czcimy. Trudno zdecydować czy owe wspomniane wielkości nie są istotnie wielkościami w swoim rodzaju. Można tylko napewno twierdzić, że ich rodzaj jest mały.

Jeśli co da się powiedzieć na pochwałę tych naszych wielkości warszawskich, to że najczęściej nie należą do tej warstwy społecznej, która lubi wywozić pieniądze za granicę. Wprawdzie dzieje się to najczęściej dzięki pewnym *drobnym* przyczynom, ale bądź co bądź faktem jest, że na zarzut podróžomanii ci nasi „sympatyczni“ rzadko kiedy zasługują. Chwali się im to tembardziej, że jak my wogóle lubimy podróżować, tak lubią to i nasze pieniądze. Różnica w tem tylko, że my, jakkolwiek poturbowani nieraz, obdarci i ubożsi, wracamy jednak z podróży do domu, pieniądze zaś nasze nie wracają nigdy.

I gdybyśmy przynajmniej zawsze przywozili za nie naukę, światło, gorące chęci dorównania tym, którzy nasze pieniądze biorą, ogniste dusze, męskie serca, a mądre, pełne planów na przyszłość myśli, nie żal by było i czasu i pieniędzy. Ale czyż zawsze tak jest?... Kto za granicą zamiast istoty rzeczy przyswaja sobie zewnątrz tylko cechy cywilizacyi, przypomina owego króla negrów, który by w oczach cudzoziemców nie uchodzić za barbarzyńcę, włożył na nagie ciało czerwoną frak angielską, nie rozumiejąc, że przy braku innych części toalety, frak jest najmniej właściwym. A iluż to z naszych młodzieńców po powrocie z zagranicy przywozi tylko frak na nagości umysłowe, i to frak, którego kieszenie są puste! Co wówczas robią? Starają się napęcznieć kieszenie owego fraka jakimkolwiek bądź sposobem, najczęściej posagiem.

Cokolwiek bądź, dopóki są w Warszawie, widuje się ich wszędzie, gdzie się zbiera *la haute volée* warszawskiego towa-

rzystwa, więc w teatrze i na koncertach, a przede wszystkim na wyścigach. Tutaj, w atmosferze trybun i totalizatora, czują się w swoim żywiole. W swojej kronice z d. 4 czerwca 1873, z powodu rozpoczęcia się sezonu wyścigowego, Sienkiewicz opisał warszawskie wyścigi na polu Mokotowskim, a opis ten, lubo nie jest tak świetny, jak w *Bez dogmatu*, to jednak jeszcze i tem się od tamtego różni, że jest ironiczny.

Wyścigi! ta wielka uroczystość w życiu naszych sportsmanów, rozpoczęła się... Mnóstwo powozów i pieszych zgromadziło się naokoło sznurów i mety, ze drżeniem niecierpliwości oczekując dzwonka, który miał dać hasło do biegu. Tymczasem w hippodromie, gdzie zgromadziło się *fine fleur* towarzystwa, rozprawiano we wszystkich — z wyjątkiem ojczystego — językach; popisywano się końmi, robiono „kurę“ damom siedzącym w powozach, zakładano się, stawiając „trzy przeciw jednemu“, słowem bawiono się we Francuzów, Anglików i tym podobne modne gry, które u nas coraz bardziej wchodzą w użycie. Podobno mamy do takich gier talent i udajemy Anglików tak, że sami Anglicy nie umieją być takimi wybornymi Anglikami... Powyższe uwagi przerwał nam dzwonek, dający hasło do biegu. Uciechło wszystko... Podajcie mi pindarową lutnię! Rozpoczęły się igrzyska... W dwóch pierwszych biegach przepowiednia *Kuryera Świątecznego* sprawdziła się, albowiem nagrody wszystkie jak zwykle wziął pan Grabowski... Trzeci bieg, w którym palma pierwszeństwa miała wielce ponętną postać dwóch tysięcy rubli, roznamiętnił w niezwykle sposób publiczność. Zakładano się o dość znaczne sumy, jedni trzymali za Foscari, znanym z szybkości koniem p. Grabowskiego, drudzy, bacząc na poważny wiek Foscarego (lat 9), stawiali za innemi begunami. Tym razem sprawdziło się przysłowie: „Do czasu dzban wodę nosi:“ Foscari, uwieńczony w tyłu gonitwach zwycięzca, niosący na sobie zakłady tyłu swych admiratorów, nie spełnił ich nadziei. Napróżno rozgorączkowana publiczność, biegnąc na przełaj przez hypodrom, śledziła każdą minutę walki: Foscari nie biegł, jak zwykle, najpierwszy, a nagrodę wziął młodszy i szczęśliwszy współzawodnik Wadim... Tak odbyły się pierwsze gonitwy. Zwycięzcy i zwyciężeni rozjechali się do domów, a ja, który tam byłem, jakom widział, tak opisałem. Jeżeli zaś koniecznie chcecie, czytelnicy, wiedzieć, do czego wyścigi służą, jaki z nich pożytek i jaki z nich sens moralny, to odmalujcie go sami. Ja nie potrafię.

W bardzo bliskim związku z wyścigami, na których czas zjeżdża mnóstwo szlachty z całego Królestwa, stoi także Jarmark Świętojański, na którym się odbywają targi wełną.

Od czasu do czasu toczą się zwolna po ulicach ogromne ładowne wańtuchami wozy, zdążając zwolna na plac targowy. Na samym placu ruch także nie mały, a lubo spodziewano się większego dowozu wełny, przecie wagi nie próżnują, a drzemkę zmęczonych upałem urzędników wagowych, przerywają raz wraz świeżo przybyłe partye wańtuchów. Koło wag i zagród, w których beczą spotniałe, krętorogie, przysłane na okaz tryki, kręcą się nasi wasaci, o opalonych twarzach wieśniacy, kupcy niemieccy, i nakoniec ci, bez których nie się u nas nie dzieje, żydkowie faktorzy. Największy ruch panuje w przedpołudniowych godzinach, wówczas to słychać ożywione rozmowy, wzajemne zaklinania się, targi, przybijania kupna i t. p. Kupiec daje cenę, wieśniak chce wyżej, rozechodzą się, faktor godzi ich, zbliża, zaklina na wszystkie świętości, wzywa na swoją głowę wszelkich nieszczęść przewidzianych w Starym Testamencie, przysięga na własne dzieci, że chce tego, aby jasny pan dobrze sprzedał; życzy sobie samemu, żeby do domu nie doszedł, żeby go tyle a tyle porwało, jeżeli mu o co innego chodzi, jak tylko o zgodę; szepce do kupca, namawia i przekonywa szlachcica, zapewnia go, że kupiec głupstwo robi, dając taką cenę, że się oszukuje, nakoniec wzrusza wieśniaka i przyprowadza interes do skutku.

Wieczorem, po pertraktacyach na placu targowym, uwieńczonych popołudniowemi wyścigami i korsem w Alejach Ujazdowskich, idzie się do teatru, bądź do *Letniego* w Ogrodzie Saskim, bądź do którego z t. z. ogródków, do Alhambry lub Eldorado. W lecie roku 1873 nie brakło i takich, co wieczór spędzali w Alkazarze, gdzie gościła trupa niemiecka.

Teatr, a raczej teatrzyk ten widocznie liczy tylko na poparcie swych rodaków, kiedy nawet afisze nie ogłaszają programów po polsku. Pierwsze przedstawienie jednak podobało się zwolennikom i czcicielom... Gambrinusa. Na dowód przytaczamy rozmowę, jaka miała miejsce po skończeniu sztuki przy wyjściu: „No jakże się panu podoba?“ pytał swego towarzysza jakiś otyły i nie młody już jegomość. „Podoba mi się. Jest panie świeżość i moc! Muszą je w lodzie trzymać“. „Kogo?“ „Beczki“. „Ale ja pytałem nie o piwo tylko o sztukę“. „Ehe! o sztukę? Przyznam się panu, że nie wiele słyszałem, bo mnie tak jakoś rozebrało, że trochę się zdrzymnąłem“.

Rozmowa ta przypomina nam inną, jaka miała miejsce dawniej w jednym z salonów literackich. Podczas gdy jakiś tytułowany literat czytał swój utwór, pewien lubownik i mecenas sztuki, który spał był już od kwadransa, pochyla się nagle przez sen i uderza głową o ramiona

swego sąsiada. „Przepraszam pana najmocniej“. „Nie nie szkodzi“. „Zlituj się pan i powiedz pan prawdę, dawno ja już śpię?“ „Nie wiem, boś mnie pan w tej chwili obudził“. Istotnie, gorąco usposabia do drzemki, śpiąją więc ludzie i w towarzystwach, i w teatrach, i w ogródkach. W danym wypadku składa się to na zamyślenie lub kontemplację.

Bądź co bądź rauty takie, nawet najnudniejsze, mają tę dobrą stronę, że się siedzi w ciepłym salonie, którego 16-stopniowa atmosfera, wraz z koniecznością słuchania różnych mniej lub więcej nudnych poetyckich utworów, mile usposabia do drzemki. Tymczasem w letnich teatrach i teatrzykach warszawskich, z powodu zmienności aury, nieraz z zimna szczeka się zębami. Jeden z takich chłodnych wieczorów, spędzony w Teatrze Letnim na *Mazepie* Słowackiego, opisał Sienkiewicz w swej kronice z d. 16 czerwca.

Upały, panujące na kilka dni przedtem, zdawały się zachęcać i namawiać Melpomenę, aby i ona raz przecie odetchnęła świeżem powietrzem i wonią rozkwitłych kasztanów, którą wieczorne powiewy przesycają ogrodową atmosferę. Zmęczona muza nie oparła się ponętnej pokusie i... o zdrado niegodziwa! omal nie przypłaciła tego zdrowiem, a w najlepszym razie katarem. W niedzielę bowiem było zimno, chmurno i wietrzno. W Letnim Teatrze, który nie tylko letnim, ale zupełnie chłodnym się wydawał, wiatr wyprawiał harce, jak na rozstajnych drogach, pochylał migotliwe płomienie świateł, rozrzucał misterne grzywki na czołach dziewczycy i widocznie rozczulony losami Amelji, gwizdał sobie rzewnie żałośliwe piosnki pod dachem, jakby dla wyręczenia orkiestry, której zgrabiałe ręce tępo jakoś chodziły w międzyaktach... Publiczność także zachowywała się chłodno, czemu zresztą i dziwić się nie należy. Złe humory były widoczne, a nigdy człowiek nie jest mniej zdolny do wzruszeń, jak kiedy napadnie go zły humor. To też w chwili może najbardziej wzruszającej, gdy zamknięta w więzieniu Amelja mówi do starego sługi: „Powiedz, że pod tym ołowianym dachem zimno mi — ja mam febrę“. Jakiś gruby jegomość siedzący obok mnie zawołał: „E! żeby ona wiedziała, jak nam tu pod tym drewnianym dachem zimno, toby się z nami nie pomieniała z pewnością“. To rzekłszy bez śladu rozczulenia podnosił kołnierz paletota, zapinał się na wszystkie guziki i mruczał: „Oto są przyjemności miejskie w lato“.

Do przyjemności tych należy n. p. deszcz ulewny, kiedy ulicami huczą i pienia się bujne, pełne mniejszych i większych

wodospadów, potoki, kiedy bruk pod falami znika z przed naszych oczu, a przechodzień, pogrążając nogę w chłodne wody, nie wie, czy trafi na grunt kamienisty, czy na pokład błota, czy na koniec na jakiś ściek otwarty. Wówczas brak tylko gondoli, a Warszawa mogłaby walczyć o lepsze z Wenecją. Nie wszystkim to się wprawdzie podoba; niektórzy krzyczą na gwałt o kanalizację; ale są to zmateryalizowani i bezduszni zwolennicy nowości, którzy jakieś zagraniczne wymysły ośmielają się wyżej stawiać nad nasze czyste i swojskie widoki natury.

Inne znów przyjemności pociąga za sobą pogodny i skworny dzień letni,

kiedy to słońce, odbite od murów, oślepia oczy, kiedy nogi lgną w asfalt, a atmosferę przepełniają tumany kurzu. Pod względem kurzu niektóre ulice są szczególnie uprzywilejowane. Tradycya, jeżeli nie niesie, to mogłaby nieść, że na przykład Marszałkowska ulica zbudowana była na rozstajnych drogach, gdzie za króla Ćwieczka „złe“ wyprawiało harce na przestrach podróżnym. Istotnie dzieją się tu nieraz rzeczy zadziwiające. Idziesz sobie np. w najspokojniejszy dzień, kiedy powietrza nie wzrusza najłżejszy powiew wiatru, raptem przed tobą lub za tobą zakręci się coś nad bruku ulicznym, zaszumi, i ni ztąd ni zowąd podnosi się słup kurzawy, zbliża się zwolna, potem prędzej i jeszcze prędzej, rośnie, wzmacnia się, rozszerza, potężnieje, na koniec jeden olbrzymi powiew i na ulicy robi się ciemno z dwóch powodów, raz wskutek burzy, a powtórnie, że wszyscy zamykają oczy. Wtedy to dorożkarze wołają: „na bok!“ czy jest potrzeba, czy niema, dla pewności dzwoni omnibus żelazny, gnana wiatrem płeć piękna puszcza się mimowolnego truchejka, a ty, mój miły przechodniu, zamykasz oczy, usta, słowem wszystko co możesz, wyciągasz przed siebie łaskę, i po niedługiej chwili trafiasz na coś miękkiego. — „Mój panie, co to za żarty?“ pyta cię głos, po którym poznajesz, że osobą pytającą jest kobieta. „Ach! przepraszam panią najmocniej!“ „Co ci ten pan uczynił“, odzywa się nagle drugi gruby i groźny głos męzki. „Postawił mi łaskę na nodze“. „Jak pan śmiesz stawiać mojej żonie łaskę na nodze?“ Ty, czytelniku, nie odpowiadasz już więcej, a korzystając z tego, że i pytający nie mogą również oczu otworzyć, dyskretnie usuwasz się na bok. Po chwili tuman przechodzi, znów cicho i spokojnie, a kurz spada jakby dla nabrania sił do nowego rzucenia się na oczy ludzkie. I tak bez końca. Mniej przesądni tłumaczą ten fenomen nie tradycją, prawiając o harcach szatańskich, ale sposobem zabrukowania ulicy. Nasypano (mówią) między kamienie żwiru pomieszanego z miałem — i oto powód. Nie przesądając, które z powyższych zdań słuszne, powiemy tylko, że jeżeli w wielu rzeczach naśladujemy zagranicę, w kwe-

styli bruków mamy napewno swoje własne, a chwalebne i oryginalne pojęcia. Mój Boże! Spierają się np. ludzie, czy sztuka istnieje dla sztuki, czy dla pożytku? Można by odpowiedzieć: jak jaka sztuka? Sztuka na przykład brukowania istnieje bez żadnej kwestyi dla siebie samej. Ma też ona swoje tajemnice, niby owe rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Ktoby np. podjął się wytłomaczyć, dlaczego asfalt kładzie się tylko do połowy ulicy, czy tak sobie, dla różnaitości, czy nie tak sobie... ale z jakimś celem, którego umysły ludzi pospolitych żadną miarą zbadać nie mogą?

Z końcem czerwca, gdy się kończą egzaminy w szkołach, Warszawa się opróżnia, wyludnia. Niema wieczorów, więc niema i zebrań wieczornych, niema jour fixów ani owych salonowych pogawędek, „lekkich bo pustych, a poważnych, bo pełnych etykiety“.

Upały i etykieta nie znoszą się i wyłączają wzajemnie. Etykieta n. p. wymaga, abyś, miły czytelniku szedł na wizytę w zapiętym czarnym surducie, upał radzi ci go rozpiąć; etykieta wymaga, aby twe ręce obeisnięte były w rękawiczkach, upał każe ci chodzić bez rękawiczek; etykieta każe ci być sztywnym i silnie przestrzegać w ruchach prawideł dobrego tonu, upał robi cię ociężałym, a ruchom twym nadaje pozór zaniedbania; etykieta każe ci podtrzymywać żywą rozmowę z gospodynią domu i prawie jej komplementa, upał sprawia, że mówić ci się nie chce, a radbyś oprzeć plecy o poręcz wygodnego fotelu i usnąć.

Tak, tak! Lato bezwarunkowo nie sprzyja salonowemu życiu. Natomiast, o ile się jest zmuszonym pozostawać w mieście, żyje się na ulicy i w ogrodach, na spacerach i przechadzkach, słowem, poza domem.

Za to owo pozadomowe życie wre, kipi i pryska ogromnym ruchem. Ktoby wieczorem np. porzuciwszy na chwilę duszne miasto, umiał się wnieść wysoko, wysoko w czyste wieczorne powietrze, i stamtąd spojrzeć z góry na miasto, temu ów ruch przedstawiłby się najplastyczniej. Z dołu dochodziłby go gwar i turkot miejski, w ciemnych skrzętach i rozkrętach ulic widziałby tłumy ludzi płynące w różne strony. Ogródki, gdzie grywają teatryzki i orkiestry, wydałyby mu się niby błyszczącymi jeziorami, w których, w falach gazowego światła, kręcą się cywilni, wojskowi, wystrojone i wyróżzowane kobiety, damy kameljowe etc. Zdołu dochodziłyby fale tonów muzycznych; może nawet powietrzny wędrowiec przez jakie dobre szkła zdołałby odróżnić Gungla i haftowany mundur Baloga — może dojrzałby nawet swoich znajomych i zna-

jome spacerujących po alejach Saskiego ogrodu, zakochane pary, znakomitości literackie, które patrzącemu z tak wysoka wydałyby się zapewne bardzo małemi, bankierów, poetów, hrabiów, kupców, żydów, aktorów — a wszystko to przysłonięte rdzawą, niezdrową, pełną wyziewów i dymu i gorączkową jakąś atmosferą. Czyby jednak skrzydlaty ów wędrowiec chciał wówczas porzucić swą ciemną i samotną powietrzną wyżynę, a wrócić w owo morze światła między duszne, pozbawione kanalizacyi ulice — wątpimy. Wolałby może ponad srebrną wstęgą Wisły polecieć na lasy, bory i wioski. Bądź co bądź, miasto bywa nieznosne latem. „Bóg stworzył wieś, a człowiek miasto“, mówią wieśniacy broniący wyższości swojej wsi ukochanej. Na lato przyłączam się do zdania wieśniaków: wieś jest wyższą i miłszą, niż miasto.

Wobec tego

Wyjeżdżaj więc, czytelniku, na wieś: porzuć swe miejskie zwyczaje, wszystkie ogródki i teatry, i kawę czarną, i budki z wodą sodową, i Saski ogród, i modne przechadzki, i widok wielkości, i mury, a przede wszystkim ową atmosferę, w której co lato krąży jak gdyby drapieżny ptak — cholera. Masz już dosyć tego wszystkiego, i jeszcze będziesz miał dosyć; męczyłeś się, potrzebujesz odetchnąć — jedź więc tam gdzie powietrze czyste, gdzie zamiast miejskich orkiestr słychać: „dana oj dana!“ wiejskiej dziewczyny; gdzie zamiast opery, ptastwo wyśpiewuje do zapamiętania; gdzie siano pachnie, gdzie brzmi dźwięk bitych osekami kos, gdzie sierp w zbożu szeleści, gdzie spokój — gdzie zdrowie, gdzie radość i wesele. Żebyś jednak potem nie narzekał na powyższe rady — z góry uprzedzam, bądź na wsi ostrożny. My tu sobie mieszczenie podrzynamy z wieśniaków, gdy przyjadą do Warszawy, zowiąc ich „wełną“, śmiejąc się z ich prostoty i tak dalej. Otóż ostrzegam cię, że wieśniacy wypłacają nam to z lichwą na wsi. Prawdę bo też rzec, my Warszawiaczy mnóstwa rzeczy nie rozumiemy na wsi i nie raz mamy takie miny, jak gdybyśmy spadli z księżycy. Ztąd dla wieśniaków śmiech, dla nas ambaras i wstyd często. Wystaw sobie np. czytelniku, że jesteś par excellence mieszczuchem, który oprócz Wilanowa, Marcelina i Mokotowa, prawdziwej wsi nigdy jeszcze nie widział — i że bawisz na prawdziwej, nie podwarszawskiej, ale odległej na jakie kilkanaście mil wsi — u twego, dajmy na to, kuzyna — i nie żadnego wielkiego pana, ale tak sobie, zwyczajnego wioseczkowego szlachcica. Otóż póki rzecz się dzieje w salonie, na ganku, lub pod werendą, dopóty jesteś panem położenia. Dziwi cię wprawdzie, że dziewczyna posługująca chodzi boso, uważasz nawet, że to jest cokolwiek mauvais genre, ale trudno! Zresztą bawisz panny, o których potem piszesz w liście do przyjaciela, że są „dość pojedyncze“ (simples), powtarzasz często frazes: „chez nous à Varsovie“, zakładasz i zdejmujesz binokle, intrygujące naj-

młodszego synka rodziny; słuchają cię wszyscy z otwartymi ustami, ty uśmiechasz się z pobłażliwą wyrozumiałością — słowem wszystko idzie dobrze. Z chwilą jednak, w której towarzysząc damom na przechadzkę stawiasz nogę poza wrotami, zaczyna cię prześladować nieszczęście. Przeprowadzają ci konia — boisz się go co prawda, ale zamykasz oczy i siadasz; krzyczą: nie z tej strony! przysiągłbyś, że to wszystko jedno — ale siadasz z drugiej. Dopiero jedną nogę masz w strzemieniu, a opętana szkapa rusza z kopyta. Krzyczą: trzymaj! Trzymasz — ale gdzie tam! Zlatujesz — podnoszą cię i śmieją się, aż ich oczy bołą. Mówisz tedy, że jesteś przyzwyczajony tylko do koni tresowanych i idziesz piechotą. Na drodze wybiega i pędzi na ciebie jakaś istota zwierzęca, i nie poznajesz, czy to jest „un cochon“, czy „un chien“. Pokazuje się, że to jest „un chien“, który przylatuje, szczeka i wyje, jakby za to brał osobną pensję, i z dziwną pożądlivością spogląda na twoje sztarkmanowskie ineksprymable. Nie rozumiesz, czego on od ciebie chce, ale przypominasz sobie w ostatniej toni, że poeta w „Musze“ radzi wołać: „A pudziesz!“ wołasz więc: „a pudziesz“, co istotnie pomaga daleko więcej — wreszcie dajesz dyskę jakiemuś chłopcu, który porywa bez ceremonii brysia za ogon i wciąga do chałupy. Co krok, to kłopot. Wyszedłszy już za utrapioną wieś, nie umie Warszawiak odróżnić owsa od jęczmienia, z czego towarzyszeki jego znowu się wyśmiewają, pokazują mu kartofle i mówią, że to groch. Przekonywa się, że zaczynają drwić z niego; odtąd podejrzewa wszystkich i wszystko. Przeląkł się ropuchy, którą wypadkiem spotkał na drodze, i sądzi, że naumyślnie kazano jej tam siedzieć. Właściciel wioski każe chłopcu od bydła zajmować bociany sąsiada ze szkody, przyczem spogląda złośliwie na gościa, a ten istotnie nie jest pewny, czy to żart, czy na seryo. Zapraszają go na polowanie i wsadzają mu w rękę jakąś machinę, której się boi i z której nie wie, jak strzelać. Mówią mu, że będą polować tylko na wilki, bo na nic innego nie wolno; a on jak żyje nie widział i nie chciałby widzieć żywego wilka. Nakoniec wraca kontent, że znowu zapanuje na ganku i w salonie; tymczasem o dziewiątej, t. j. o godzinie, w której w Warszawie bierze się kapelusz i idzie na spacer, wszyscy rozechodzą się spać.

Dla gimnazystów, którzy po ukończonym roku szkolnym, wracają na wieś dla spędzenia tu wakacyi na łonie rodziny, zwykle pierwsze chwile, bezpośrednio po przywitaniu z rodzicami, bywają połączone z pewnemi przykrościami. Jakiego rodzaju są to przykrości, o tem rozpisał się kronikarz *Gazety polskiej* w feljetonie swym z d. 30 czerwca.

W zakładach naukowych cisza: lekka warstwa kurzu pokrywa ławki i katedry, na korytarzach pajak po kątach zakłada szarą siatkę, a owe gmachy szkolne, tak pełne życia, zgiełku i gwaru, tak ruchliwe i ożywione, stoją teraz pępne i milczące; z okien świeci im pustka, zdają się tęsknić za wychowawcami i dumać: co też oni robią obecnie. Łatwa odpowiedź. Roi się od nich miasto, pełno ich w wagonach, karetach pocztowych. Wszystko to podąża na wieś. Przyszedł dobry i wesoły czas odpoczynku, zatem w kącie algebry, chemie, gramatyki, Homery, Cycerony i Virgiliusza — teraz czas swobody i niezależności, teraz papierosa wolno zapalić, choćby w oczach inspektora, przypomni on wprawdzie o tem, ale to dopiero na rok przyszedł, a to jeszcze daleko, teraz nie straszny nikt... prócz taty. Istotnie chwila, w której z cenzurą w rękę staje się wobec groźnego taty, należy do najstraszniejszych w życiu. A nuż nie ma na owej cenzurze promocyi? Wówczas to tata nie mówi zwykle nic, szarpie wąsa i odejdzie w milczeniu. Zamknęły się za nim drzwi... i... włosy powstają na głowie, bo klucz zgrzytnął raz i drugi w zamku.. A tu wpadam w styl Wiktora Hugo. Czujesz się być zamkniętym. Dusza ucieka ci w piętę. Głowa twoja jest niby strasznym emetaryzkiem, na którym przestraszyć zaślubia zgrozę. Świat wydaje ci się kawałem skamieniałej ohydy. Zamiast powietrzem, oddychasz przerażeniem. W piersiach uderza ci nie serce, ale worek napełniony okropnością. Cisza wydaje ci się urągówiskiem przybranem w błazeńską czapkę bezecności. Nagle dają się słyszeć jakieś kroki. Cały zamieniasz się w ucho. Zapuszczamy zasłonę na scenę, która następuje potem.

Po napisaniu tej kroniki, Sienkiewicz, zgodnie z wygłoszonymi w niej teoryjami o wyższości *w lecie* wsi nad miastem, opuścił mury Warszawy. Powrócił tu dopiero późną jesienią, tak iż nie prędzej aż w dniu 6 października objął na nowo swe obowiązki feljetonisty ¹⁾.

Wstawiając się w przykre położenie swego kolegi, który go przez całe lato wyręczał w pisaniu kronik, zaczął Sienkiewicz — podpisany tym razem „H. S -cz“ — swoją pierwszą z nowej seryi od ubolewania nad smutną dolą feljetonisty-kronikarza, zmuszonego przez cały czas t. z. ogórkowego sezonu zdawać co tydzień sprawę z zaszłych w mieście wypadków, wypadków, które się... nie zdarzają, bo nie się wtedy nie dzieje.

¹⁾ Kroniki te, podpisywane literą j. pisywał zdaje się sam Józef Sikorski.

Jak czasami zawodzą nas formuły logiczne, na dowód niechaj posłuży następujący wniosek: Feljetony, jak ci wiadomo czytelniku, są odbiciem faktów z życia miejskiego, a ponieważ życie to wysycha w lecie, zatem i feljetony... Myślałbyś, że wysychają także? Gdzietam! Kto mi zaprzeczy, jeśli oparty na doświadczeniu i studiach nad letniami feljetonami w niektórych pismach, powiem, że stają się coraz wodnistsze w lecie.

I trudno się temu dziwić, bo przecież z próżnego i Salomon nie naleje. Tymczasem feljetonista musi być mędrszym od Salomona, bo gdyby co tydzień nie dokazywał tej sztuki nalewania z pustego, groziła by mu tragiczna pustka w kieszeni, której się lęka, jak zmory.

Łatwa to rzecz — napisać feljeton — dla wszystkich w zimie: z faktów każdego tygodnia, których wówczas nie brak, układa się mniej więcej wdzięczną mozaikę i koniec; ale w lato, w owe ogórkowe, na szczęście przeszłe już czasy, niektórzy feljetoniści są istotami prawdziwie godnymi pożałowania. Znajdziesz takiego feljetonistę wówczas osowiałym i zniechęconym, z oczyma zamglonemi i wyrazem apatii w twarzy; on, który zawsze pytał się wszystkich, co tam słyszą, on, który zawsze z obowiązku wiedział o wszystkim, a co wiedział, każdemu lubił opowiadać, minie cię wówczas obojętnie, zaledwie uchyliwszy kapełusza, tak jakoś zdesperowany i osłabiony, że gdyby nie pewne środki, które lubo nie obficie, dostarczają mu jednak czasem feljetonowego pokarmu, prawdopodobnem jest, że umarłby z głodu wrażeń.

Kiedy mowa o feljetonistach, mimowoli na myśl nasuwa się świat literacki w ogóle, a nasz warszawski w szczególności, jego rozłam na starą i młodą prasę, na pozytywistów i idealistów, na ich polemiki i osobiste napaści w pismach i t. d. Była to walka zacięta, Sienkiewicz jednak, wogóle sceptyk z natury, i tej walki nie traktował na seryo. Inaczej nie napisał by o niej, co następuje:

Literaci mieli jednak dotychczas coś, co ich godziło. „Dobro ogółu!“ — powiesz czytelniku? Dobro, niech będzie i tak, ale oprócz dobra ogółu było jeszcze coś innego, a mianowicie czarna kawa, którą reprezentanci starej i młodej prasy, przepomniawszy na poobiednią chwilę wzajemnych walk i nienawiści, zapijali dotychczas w najlepszej zgodzie w cieniach drzew Saskiego ogrodu w istniejącej tam cukierni. Trudno bo inaczej wytłumaczyć, dlaczego ludzie, którzy częstokroć suchej nitki

nie zostawiali na sobie w dziennikach, tam siedząc obok siebie rozmawiali życzliwie i po przyjacielsku, obgadując wprawdzie nieobecnych, ale nie mówiąc sobie nigdy impertynencji w oczy. Niektórzy chcieli w tem widzieć pacyfikacyjny wpływ obiadu, inni jednak przypisywali nie bez słuszności wpływ ten mokce, której rozweselające własności znane są całemu światu. Jakże dziwnym jest łańcuch przyczyn i skutków, i jak odległe bywają czasem jego ogniwa! Ktoby się np. spodziewał, że kozy Jemenu, które, jak wiadomo, pierwsze odkryły kawę, wpłyną z czasem na złagodzenie walki między starą i młodą prasą w Warszawie! Ale walka ta może wkrótce przybrać znów ostrzejszy charakter, albowiem nadeszła jesień, a zatem chłód i częsty deszczyk nie pozwalają reprezentantom prasy zbierać się na cygarowe poobiednie sesye sub Jove.

Ale cokolwiek dałoby się powiedzieć o naszych stosunkach literackich, o zaciętości walki starych z młodymi, stosunki te, choć o ich wojennej stopie wymownie świadczyła nieustanna kanonada wystrzałów z za płotu, nie były tak złe, jak oplakany stosunek naszych majstrów i czeladników rzemieślniczych z ich terminatorami.

Na wstyd panów majstrów i czeladników, wyznać należy, że los tych biednych dzieci przypomina niemal los murzynów, pracujących w amerykańskich plantacyach. Niepodobna powstrzymać głosu oburzenia, słuchając opowiadań terminatorów o wymysłach, biciu, szturchaniach i brutalnem obchodzeniu się z nimi przełożonych; a trudno opowiadaniom tym niewierzyć, bo potwierdzają je aż nadto sińce i guzy, z którymi chłopcy wracają codziennie z warsztatów. Nie! panowie majstrowie i czeladnicy! tak się nie godzi; to ani po bożemu, ani po ludzku. A wszakże dzieci te, to albo biedactwo zdane na waszą łaskę i niełaskę przez rodziców, albo sieroty, których nie ma kto bronić, ani opiekować się nimi! A wszakże malcy te to dzieci jeszcze, które z braku wychowania mogą mieć dużo wad i złych instynktów, ale od których niepodobna jeszcze wymagać statku i rozsądku! Przechodziliście te czasy, sami nie byliście lepsi od nich. Ale przypomniście sobie, jak nieraz gorzko może oblewaliście smutną dolę terminatorską, jak bolało was ciało i dusza, gdy was biło lub wymyślano! Mieście więc wyrozumienie dla tych, którzy dziś są pod waszą ręką. Bat niczego nie nauczy, a zabija resztki ambicji, resztki godności ludzkiej, i człowieka w zwierzę zamienia. Szacunek dla siebie jednajecie sercem nie pięścią; rozbudzajecie poczucie obowiązku i honoru w dzieciach: to lepsza droga. Pilnujcie chłopców w robocie, bo to wasz i ich chleb, ale nie pastwicie się nad nimi, bo z tego i ludziom

i własnemu sumieniu ciężki rachunek zdać przyjdzie. Wiemy, że jest między wami dużo ludzi oświeconych i ludzkich, że nie we wszystkich warsztatach tak źle się dzieje, ale że w wielu jeszcze tak bywa, to jeśli nie wierzycie, pytajcie tych, którzy na te rzeczy nieraz własnymi patrzą oczyma.

To znęcanie się majstrów nad terminatorami, znęcanie się iście barbarzyńskie, było jedną z tych spraw palących, któremi prasa winna się zająć przedewszystkiem. Od czegoż jest? Niestety, warszawskim dziennikom nietyle chodziło — w r. 1873 — o trzymanie ręki na pulsie społeczeństwa, ile o to, żeby sobie zdobywać jaknajwiększą ilość prenumeratorów, choćby kosztem dobrej sławy pism konkurencyjnych. Sienkiewicz, widząc podobną walkę pomiędzy Kuryerami *Warszawskim* i *Codziennym*, ich wzajemne obwinianie się o brak zasad, etc. co w gruncie rzeczy było tylko pretekstem do zarzucania wędki na abonentów, rozpiśtał się d. 3 listopada o tej gigantomachii, demaskując obie strony w sposób niekoniecznie dla nich przyjemny.

Wojna! Tą straszną wiadomością rozpoczynamy dziś kronikę: Wojna! „Co? gdzie? jak? Prusacy? Francuzi? Bismarck? Hrabia Chambord?“ spytacie zaciekawieni czytelnicy. Zaraz! Pewien amerykański kazonodzieja wyrzekł, że prasa peryodyczna jest jako trąba... (nie przerywajcie!) jako trąba słonia, która zarazem wyrwa drzewa z korzeniami i podnosi szpilki. Pyszne porównanie! nieprawdaż? „Mniejsza o to!“ — wołają niecierpliwi: „gdzie wojna?“ Pozwólcie! porównanie to bardzo nam się przyda, albowiem w tej chwili podnosimy szpilkę. Szpilką tą jest nasza wojna, czyli inaczej mówiąc jest ona tak drobną jak szpilka. Słyszymy głosy rozczarowania. Jakto? czy spodziewaliście się, że to będzie prawdziwa wojna z iglicówkami, z Moltkem, z Kruppem, z Bazaine'm i tym podobnie niszczącymi przyborami? A wszakże w takim razie doniosłyby o niej telegramy, pisałyby przeglądy polityczne, opiewali korespondenci we własnych i niewłasnych korespondencyach; czytalibyśmy niezawodnie takie proroctwa i ostrzeżenia, jak np.: „Horyzont polityczny się zachmurza! przewidujemy, że jeśli się chmury nie rozejdą, to będzie grzmiało“. Nie! nie! Dzięki bystrości naszych polityków, wojna europejska nie może nas zaskoczyć nieprzygotowanych... Nie o takiej więc wojnie mowa. My podnosimy szpilkę: „Lepszy rydz niż nic“ mówi przysłowie; „Na bezrybiu i rak ryba“, wtóruje mu drugie. Czy wiecie co się stało? Wypowiedzieli sobie wojnę roznosiciele Kuryerów *Codziennego* i *Warszawskiego*. Homerami i Tuceydydesami jej będą roznosiciele

Świątecznego. Walczącym poszło o to, kogo częściej za drzwi wyrzucają za nieregularność w odnoszeniu numerów. Pierwsi, t. j. *Codzienni*, utrzymują, że wyrzucają ich wprawdzie często, ale biorąc ich przez omyłkę za drugich, t. j. *Warszawskich*; drudzy zaś, że wylatują równie często, ale poczytywani za pierwszych. Walka ta rozpoczęła się w szpaltach *Kuryerów* — z dalszym zaś interesującym jej przebiegiem poznajamić mają publikę wyżej wspomnieni przez nas Homerowie, to jest roznosiciele *Świątecznego*. Kto dziś nie polemizuje i czy są rzeczy, o które nie spierano się już po dziennikach? Czasem też chodzi o co innego, niż walka głosi. Porównanie amerykańskiego kaznodziei, małych sprawek do szpilek, tem słuszniejszym nam się wydaje, że częstokroć sprawki owe umyślnie dlatego bywają poruszane, by się wzajemnie, jeżeli nie zabić, to chociaż ukłuć. Mógłby i tym razem kto złośliwy pomyśleć, że w owej wojnie roznosicieli nie chodzi o nich samych, ale pierwszy z *Kuryerów* (*Codzienny*), który rozpoczął polemikę, rozpoczął ją dlatego, by oskarżywszy przeciwnika o nieregularność w odsyłaniu numerów, psuć mu sprawę między prenumeratorami. W ten sposób szpileczka miałaby koniec zatruty, a wojna nie przestawałaby być śmieszną, ale byłaby niezbyt rycerską. Czy tak nie jest, kto może ręczyć? Wiadomo, że *Kuryery* nie żywią wzajem do siebie uczuć sympatyj, chociaż *Warszawski*, jako wychodzący codzień, jest przecie codziennym, a *Codzienny* jako wychodzący w Warszawie — warszawskim. Utrzymują jednak, że im chodzi o zasady... pryncypia... „O pryncypia — woła Słowacki — jakżebym chętnie powiedział, co o was myślę!“ Co do nas, powiemy otwarcie, że w tych wszystkich walkach, które o pryncypia toczą się na szpaltach naszych dzienników — w gruncie rzeczy połowie przynajmniej walących chodzi o to pryncypium, które w języku wydawniczym zwie się: prenumerator.

Ale cokolwiek by się dało złego powiedzieć o naszej prasie, pod jednym względem góruje ona bezwarunkowo nad innemi, iż poza chęcią łapania prenumeratorów (czemu znów tak dalece dziwić się nie można) sprawy ogólne leżą jej rzeczywiście na sercu, iż troszczy się o nie szczerze, że służy pewnej szlachetnej idei, że stara się trzymać rękę na pulsie swego społeczeństwa, że w dobrej i złej godzinie zawsze mu służy radą, stara się je oświecić, i że wówczas nawet, gdy gromi, nigdy nie powoduje się innem uczuciem, tylko uczuciem miłości tego ogółu, któremu służy. Z tego źródła płyną również jej wszystkie projekty w celu podniesienia naszego cywilizacyj-

nego poziomu, projekty, na których nadmiar skarżą się niekórzy...

Wy, czytelnicy, którzy narzekacie na projektomanie prasy, na poruszanie wiecznie jednych i tych samych kwestyi, na artykuły wstępne, na odcinki, na łapanie wody sitem, na nawoływania, odezwy i zachęty, i tym podobnie, czy sądzicie, że bez tego nasze wady, nasza niezaraźliwość, nasze lenistwo, obojętność o dobro ogółu, słowem to wszystko, o czem mówimy w modlitwie: „Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy!“ — czy sądzicie, mówię, że te braki i niedostatki nasze i wasze, które sprawiają, że w porównaniu z innemi społeczeństwami jesteśmy ubodzy i ciemni, nie byłyby jeszcze większe? Ileż jednak mógłbym naliczyć, czyto przedsięwzięć, czy instytucyi, bądź społecznych, bądź dobroczynnych, które poprostu mówiąc, wykukała prasa tem kukaniem ciąglem, ustawicznem, które i wam może nieraz się znudziło, i dla niej nieraz było gorzkim. A przytem pamiętajcie, że jeżeli mówi się tu i ówdzie rzeczy dla naszej miłości własnej niemiłe, nie płynie to z przesadzzonego pesymizmu, z nienawiści lub pogardy, ale z nader czystego źródła: z całej pełni serca rozżalonego, że gorzej jest u nas niż gdzieindziej. Prawda, że dzienniki, często swarzą się ze sobą, często walczą w imię wiedzy, czy w imię środków do różnych celów prowadzących, czy nawet — co jest nagannem — z powodu osobistych jakichś niechęci — ale można rzec jednak, że wedle francuzkiego przysłowia: pierzemy naszą bieliznę w domu. Spory istnieją, obozy istnieją, ale nie masz ani jednego — wyraźnie mówię: ani jednego dziennika, któryby w zasadzie ogólnej nie dobru społecznemu chciał służyć. Właśnie owe nawoływania, owo poruszanie jednych i tych samych kwestyi, najlepiej tego dowodzi.

Z nadejściem jesieni, jak zwykle o tej porze, rozpoczęła się serya odczytów. Prelegentem, który miał największe powodzenie, na którego lekcyę schodziła się największa liczba słuchaczów, był Ochorowicz. Prelekcyę tę *O zasadniczych sprzecznościach naszej wiedzy o wszechświecie*, odbywały się w sali teatru Rappo, która, zdaniem Sienkiewicza, miała tę wadę, że kiedy w niej zimową porą była menażerya, „mimo, że właściciel rozpalał do czerwoności ad hoc postawione piece, słoń odmroził sobie ogon“. Wada to bardzo niemiła, jak na salę odczytów, gdyż mogła się boleśnie dać we znaki uszom słuchaczów, „które to organy są jednak na prelekcyi najpotrzebniejsze, a zatem i osłaniać ich niepodobna“. Drugą wadą tej sali był czarnoskóry Indyanin, który w niej pokazywał się za pie-

niądze, a który podczas prelekyi Ochorowicza „robił sobie po swojemu reklamę, rycząc (w przyległym pokoju) od czasu do czasu w tak okropny sposób, że dreszcze przechodziły słuchających: publiczność ze strachem spoglądała na kurtynę, słusznie obawiając się, aby lada chwila kto ze słuchaczy nie utracił czupryny pod nożem indyjskiego wojownika. Ponieważ indyanin ten zjadał — w oczach publiczności — króliki i gołębie, więc zdarzyło się z tego powodu na prelekyi Ochorowicza następujące arcyzabawne *qui pro quo*, doskonale opowiedziane przez Sienkiewicza.

Pewien starozakonny, widząc tłum osób spieszących do teatru, kupił także bilet, wszedł do sali, naturalnie przekonany, że razem z innymi będzie oglądał dzikiego człowieka, pożerającego żywcem króliki i gołębie. Kiedy więc prelegent ukazał się wreszcie z za kurtyny, nasz ciekawski począł z nateżoną uwagą przypatrywać się jego postaci i ubiorowi, dziwiąc się trochę w duchu, że „dzikie ludzkie“ zupełnie podobni są do swojskich. Tymczasem prelekcyja rozpoczęła się i starozakonny słuchał jej uważnie, biorąc słowa prelegenta za jakąś niezrozumiałą przedmowę, po której, jak się spodziewał, miało nastąpić pożarcie królika. Gdy więc nakoniec grzmot oklasków oznaczył koniec odczytu, a prelegent zniknął za kurtyną, zawiedziony żydek odwrócił się do najbliższego sąsiada z następującem zapytaniem: „No? a co będzie z królikiem?“ „Z jakim królikiem?“ „No, z tym, co on miał go zjeść?“ „A cóż ty myślał, że ten pan to dziki człowiek?“ „Za co on nie ma być dziki? Jak ja go zobaczyłem, to ja miszlałem, że on taki, jak i wszyscy, ale jak on zaczął mówić, to ja nic nie rozumiałem i miszlałem, że on dziki. Czemu on nie zjadł królika, kiedy ja za to zapłacił?“ Powiadając, że napróżno usiłowano wytłómaczyć zawiedzionemu, czem był ten odczyt, którego stał się mimowolnym słuchaczem.

Była to pora zaduszek, gdy cała Warszawa zdążyła na Powązki, by tam, wśród tysięcy różnokolorowych lampek na grobach, modlić się za umarłych. Ponieważ był to „fakt“ nadający się do omówienia w feljetonie, więc i Sienkiewicz napisał o nim *de visu*. Ze względu, że bezpośrednio przedtem rozpisał się o szkołach wogóle, o ich potrzebie u nas, przeto, gdy mu pisać wypadło o dniu zadusznym, o cmentarzu powązkowskim w ciągu tego „święta umarłych“, mimowoli skojarzyło się w umyśle jego porównanie cmentarza ze szkołą. Szkoła to

„pod gołem niebem a pod osłoną gajów, rozleglejsza niż dawne Akadema ogrody“, a przez cały rok odwiedzana przez osoby bez różnicy płci, wieku i stanu, szkoła, do której pielgrzymów prowadzi „pamięć i serce, wdzięczność i boleść, miłość pod najróżnorodniejszą postacią, obrona ze wszystkiego, co ją na zwykłym świecie podżega“.

Szkołą tą jest cmentarz. Jego cisza, przerywana cichem westchnieniem lub głośnem łkaniem, jego przestrzeń skrapiana łzami, migająca światłami, stanowiącemi symbol gorejącego uczucia, dysząca modlitwą, chłonie w siebie czasowych gości, gotujących się do zamieszkania tam na zawsze... Byłem i ja tam, a z tego com widział i co się we mnie działo, czerpię przekonanie, żeśmy przecie nie jacy tacy... Pamięć o umarłych odradza żywych.

Byle tylko nie za wiele wieczorów spędzali w takich przybytkach podkasanej muzy, jak słynne warszawskie Tivoli, tam bowiem, patrząc na różne *żywe* istoty, tańczące, śpiewające, etc. bardzo łatwo nie pamiętać o tych, co już spoczywają snem wiecznym.

Tivoli jest rodzajem Mabilu warszawskiego, rodzajem wprawdzie zmniejszonym, mniej okazałym i eleganckim, ale w każdym razie jedynem miejscem w Warszawie, w którym strojny w winogrodowe wieńce Bachus, brata się z złotowłosą Afrodytą, i przejęty duchem dziewiętnastego wieku, otwiera na oścież wrota nowożytnym bachanaljom. I tu więc atmosfera ęmi się dymem ofiarnym wprawdzie nie mirry lub bursztynu, ale cygar i papierosów; i tu migoce płomień, wprawdzie nie pochodni, ale gazu, i tu powietrze dyszy żarem, krew burzy się w żyłach, a lud wykrzykuje „ewoe!“ — który to wyraz odgrzebał w wykopaliskach starożytności i powołał do życia Offenbach. Tivoli i jego wieczory są także smętną w skutkach szkołą, która przerabia naszych gołowąsych „synków mamuni“ na ludzi bez złudzeń, na modnie znudzonych bajronistów, na „interesujących nil admirandi“, admirowanych z kolei przez pensyonarki, przypuszczające, że musieli wiele cierpieć w życiu, jak to zaświadcza wczesna na ich głowach łysina. Tivoli jest dalej wyspą, jak mówi Słowacki, „dla naszych grubych Sancho-Panszów“, na której wi-szą, jak pijawki na uszach kufi napełnionych piwem, i wodząc mętne-mi oczyma za tańczącemi parami, zasypiają wreszcie — „procul negotiis“. Tivoli jest nakoniec sztucznym horyzontem dla błędnych gwiazd, schronieniem dla koników polnych, prześpiewujących lato życia, słowem jest to

taki przybytek, jakich wiele w każdym większym mieście, przybytek wesołości w zamiarze, sztucznego szafu w czynie, nudów w skutku.

Ale miało się już pod koniec listopada, zaczęły się przymrozki, wstępowano w sezon zimowy, który, o ile jest ożywiony i wesoły w mieście, zwłaszcza w Warszawie, o tyle na wsi przedstawia się bardzo jednostajnie i nudno. Dlatego tak wielu ziemian, z nadejściem zimy, zjeżdża do Warszawy. Na wsi niema co robić wtedy? Bo nudzić się przez cały dzień, włączając się z kąta w kąt, i chodzi spać z kurami, o ile się nie gra w karty, to nie może wystarczyć wszystkim.

Na dworze, jak to zwykle zimą: czasem przymrozek, czasem śnieg z deszczem, czasem deszcz ze śniegiem, wilgotno, dżdżysto, wietrzno, posępnie a ciemno. Co robić na wsi w taką pogodę? W szarą godzinę, siadasz zapewne, czytelniku, przed kominkiem i rozpoczynasz rozmyślać nad dniem ubiegłym. Oto na kominie trzaska rażny płomień, malując na czerwono białe ściany i ciemne obrazy na ścianach; przy twoich nogach drzemie stary a wierny pies, twój towarzysz myśliwski; z dalszych pokojów dojdzie cię czasem wesoły śmiech bawiących się dzieci; w sali jadalnej Wojciech nakrywa do herbaty i hałasuje, wpuszczając z brzękiem łyżeczki do szklanek: zresztą cisza, „tylko kołki załopocą lub panienki zachychocą“, jak mówi Pol; zresztą cisza, ot zwyczajnie szara godzina na wsi. Nagle otwierają się drzwi, wchodzi twój fornał, wiejski kurier, którego codzień posyłasz do powiatowego miasta na pocztę. „Niech będzie pochwalony!“ „Na wieki. Listy masz?“ „Są listy, jest dwie gazety i tyła“. „No to dawaj i ruszaj z Bogiem“. Walenty wychodzi, zostawiając ślady zabłoconych butów na podłodze, ty zaś bierzesz się do czytania. W listach rzadko bywa coś dobrego. Są to zwyczajnie korespondencye urzędowe: jakaś awizacya o niezapłacony podatek z roku... z roku... mniejsza o to z którego; zawiadomienie naczelnika powiatu o szarwarku, jakiś okólnik prezesa dozoru kościelnego, kończący się słowami: „Znana troskliwość J. W. pana o postępy reperacyi kopuły w kościele parafialnym i jego hojność“ etc... Słowem są to wiadomości, przy odczytywaniu których wpadasz w stan pewnej melancholii; dla rozrywki zatem bierzesz się do gazety i po odczytaniu telegramów, objaśnionych ostatniemi wiadomościami, trafiasz na rubrykę: „Bez tytułu“. „Ano, zobaczmy co tam słychać w Warszawie“ mówisz sobie. W ten sposób zawiązuje się między nami pogawędka.

Warszawa najczęściej dostarcza tematu do rozmowy, bo pan dziedzie, choć siedzi na wsi, myśli tylko o tem, jakby się

znaleść w Warszawie, gdzie córki mogą znaleźć konkurentów, a on, ojciec, z pewnością znajdzie partnerów do winta. Bo, że jest wielkim amatorem kart, tego się wcale nie wypiera. A zresztą na to zgodzi się chyba każdy, że przyjemniejszego zabicia czasu, aniżeli zielony stolik, jeszcze nikt nie wymyślił. Zdanie to podziela u nas wielu, Sienkiewicz jednak, zastanowiwszy się nad niem, doszedł w swej kronice z dnia 1 grudnia do wcale smutnych wniosków.

Nieszczęśliwa to u nas istota, ten czas. Anglik n. p. szanuje go i ceni na równi z monetą; my „zabijamy“ go bez miłosierdzia, jak największego wroga, wysilając się jeszcze na wynajdywanie przeróżnaitych tortur, z których kto wie, czy nie najstraszniejszą, a przynajmniej nie najdłuższą, jest tortura zielonego stolika.

A jednak tyle jest rzeczy do zrobienia, tyle różnych projektów rozbija się o brak wykonawców, na każdym kroku uczuwa się brak ludzi, którzy by się chcieli zaprządz do społecznej taczki. Takich, co by się nadawali do owocodajnej pracy na polu dobra publicznego, można wskazać bardzo wielu, ale cóż, kiedy oni, gdy są starsi, wołają winta, a gdy są młodzi, rozbijają się parokonnemi dorózkami, zapełniają gabinety „u Stępka“, na dowód zaś, że dla nich czas nie równa się pieniądзом, mają nierównie więcej wolnego czasu, aniżeli gotówki. W zimie używają szlichtady w Alejach Ujazdowskich, a gdy nadejdzie karnawał, w dzień śpią do wieczora, a w nocy tańczą do rana. Pozatem o nic ich głowa nie boli. Lakierki, frak i biały krawat, to trzy symbole ich karnałowej egzystencji. Bawią się i dobrze im na świecie! Nie zapominają nawet o biednych, na których dochód tańczą przynajmniej kilka razy w karnawale...

Mroźne dnie, w których śnieg skrzypi pod nogami, jasne a widne noce, miła to perspektywa dla tych, których czeka zabawa, płonące okna i woskowane posadzki salonów, iskrzące oczy z pod masek, uśmiechy dam i cały ów hulaszczy, szalejący wesołością karnawał pełen życia i gwaru, ogłuszający dzwonekami sanek, nawoływaniem woźniców i rżeniem koni. Ale nie wszystkich dola jednaka... „Im zima tęższa, tem dola cięższa“ skarży się smętnie ubóstwo, a w tej rzewnej skardze tkwi bo-

lesna prawda i bolesne doświadczenie, nabyte chłodem i głodem. Pośpina to strona medalu, te izby obok salonów, nieopalone, błyszczące szronem na ścianach, dniem ciemne, wieczorem ozłacane światłem łójówki, a tak puste, że tylko garść słomy i dzban zmarzniętej wody ubierają podłogę, a tak ciche, że tylko drżący oddech zamieszkujących je istot, przerywa głucho milczenie. Czasem tylko na tle tego obrazu przesunie się, jak weselszy promień słońca, cicha postać szarej siostry miłosierdzia, niby anioł niosący z sobą wspomnienie i pociechę. Jakoż zimą poruszają się żywiej wszystkie instytucje dobroczynne, organizują się odczyty, bale, koncerty, a drżące potrochu latem miłosierdzie publiczne, wraz z pierwszemi przymrozkami budzi się z uśpienia i, wytańcowawszy się na balach, albo nasyciwszy koncertową muzyką, śpieszy odegrzać i odchuchać skostniałą, tymczasem nędzę. Można by nawet postawić zarzut, że spóźnia się nieco z pomocą, i że ogrzewa biednych wtedy dopiero, kiedy już na dobre przemarzną. Trudna jednak rada! Bawić się można tylko w zimę, a nasze miłosierdzie musi koniecznie się bawić. Kiedy poczyną się nudzić, natychmiast idzie spać. Taka już jego natura.

W miarę, jak się zbliżają Święta Bożego Narodzenia, zwiększa się ruch handlowy, pismom przybywa ogłoszeń, każdy bowiem, mający coś do sprzedania, stara się zareklamować swój towar. A że nie tak nie działa, jak reklama, więc na każdym kroku dostrzega się jej panowanie.

W swojej kronice z d. 15 grudnia opowiedział Sienkiewicz czytelnikom *Gazety polskiej* niezmiernie ciekawe podanie o reklamie, zapisane — podobno — w jakiejś amerykańskiej kronice, znajdującej się w Muzeum Barnuma w Nowym Yorku.

Był sobie pewien bardzo bogaty gentleman, nazwiskiem Handel, a miał on córkę, która nazywała się Chęć zysku. Córka ta była jeszcze panną, co gorsza, panną bardzo niemłodą; nie była przytem piękną — prędzej brzydką, nie była także zbyt enotliwą — przeciwnie: zimna, wyrachowana, samolubna, nie podobala się nikomu i wszyscy jej nie lubili, wszyscy mówię, z wyjątkiem ojca. Ojciec za to, master Handel, wady jej poczytywał za cnoty i kochał ją całą siłą ojcowskiego serca. Kochał, ale przywiązanie to, jak każde zresztą przywiązanie, przynosiło mu niemało zmartwień i kłopotów, bo córkę trzeba było wydać za męża, panna starzała się i brzydła; z wiekiem stawała się coraz mniej pojętną, coraz wyrachowańszą, chciwszą, samolubniejszą, a tu starających się o jej rękę jak nie było, tak nie było. Łatwo wystawić sobie teraz radość ojca i córki, gdy pewnego razu rozeszła się wieść, że przybył w ich strony pewien gentleman z wyraźnym zamiarem starania się

o rękę panny Chęci zysku. Oczekiwano go z niecierpliwością. Gdy wreszcie zajechał przed pałac pana Handel, i ojciec i córka wybiegli aż na ganek na jego spotkanie. Wybiegli, spojrzeli i... Boże, cóż za rozczarowanie! Przybyły gentleman przyjechał na „bidzie“. Ubiór na nim był wyszarzany, jakaś krótka, kusa, kusiuteńka bonjourka okrywała jego ramiona, na głowie miał dziurawy kapelusik z różnokolorowemi piórkami, przez bok przewieszony pusty sac de voyage, w ręku teczkę bez zamka, kamizelka jego była za krótka i bez guzików, dewizka tom-bakowa, inne części ubrania w nieporządku, buty... ach! o butach lepiej już nie wspominać, albowiem i pióro samo zaczyna skrzypieć właśnie z litości nad butami owego gentlemana. Mimo to jednak nie здаwał się on tracić fantazyi; twarz jego kusił uśmiech, zadarty nos zdradzał usposobienie wesołe, czarne kręcone loki zapowiadały spryt, w oczach była pewność siebie. Wyskoczył rażno z bity, na której przyjechał, i zbliżył się swobodnie do stojącego poważnie w ganku p. Handel i jego córki Chęci zysku. „To jakiś wartogłów“, poszepnął tym razem do córki pan Handel. „To jakiś fireyk“, odparła panna i, zmarszczywszy impertynencko brwi, spojrzała surowo na przybysza. Przybysz tymczasem ukłonił się z gracyą panu i rzucił na córkę tkliwe, pełne uroku spojrzenie. „Kogoż mam przyjemność?“ zagadnął chłodno pan Handel. „Nazywam się Dowcip“. „Jakiemuż szczęśliwemu wypadkowi?“... „Ach panie! — przerwał przybyły — czyż panu to przystoi pytać się o to? czyż czarowne wdzięki córki pańskiej — jej urok — czar anielski, nie są przyczynami tłómaczącemi moje tu przybycie. Wstydzić się, i bardzo wstydzić powinienem, panie Handel, zadawać podobne pytania. Ublizasza niemi własnej córce. Co do mnie, nie mogłem się oprzeć chęci poznania jej. (Tu pan Dowcip rzucił spojrzenie na pannę, która skrzywiła się okropnie). Spójrz pan, co za cudowny uśmiech, ile w nim wdzięku i słodyczy! Ale! czy ja powiedziałem, że nazywam się Dowcip? Zdaje mi się, że powiedziałem. To dobrze. Ojcem moim był Humor, matką Trafnosć. Co do dóbr ziemskich, ruchomych lub nieruchomych, nie przypominam sobie dokładnie w tej chwili, gdzie je posiadam. Zresztą mniejsza o to. Władam zato rozmaitemi talentami, jestem usposobienia żywego, wesołego, i pochlebiam sobie, że umiem się podobać. Oto moja rekomendacya, której w braku naszych wspólnych znajomych lub listów od nich, sam dopełniam. „No! — pomyślał sobie pan Handel — jużci córki nie dam temu wierci-pięcie, ale że człowiek zda mi się wesoły, a my oboje z córką pomimo naszych bogactw nudzimy się, prawdę rzec, serdecznie, więc go zaproszę, niech nas zabawi“. I zaprosił go do wnętrza pałacu. Ach! ale jakże pobłądził pan Handel! Ojcowie nie znają zwykle serc swych córek, nie wiedzą, że miłość może znienacka uchwycić serce każdej dziewczycy, choćby jej na imię było: Chęć zysku. Tak się też stało i w tym wypadku. Pan Dowcip jak raz wpadł do domu państwa Han-

del, tak już począł stałym w nim bywać gościem. Zabawiał ojca, rozrywał pannę, towarzyszył jej na przechadzkach, nosił jej wachlarz, parasolkę i chusteczkę od nosa; grywał z nią na cztery ręce i śpiewywał duety, pochlebiał, szeptał miłe słówka do ucha i co dnia silniej i silniej zaciskał obręcz miłości koło jej wolnego dotychczas serca. Co większa, i pan Handel sam także polubił młodego gościa. Wpadł w wyborny humor, ożywił się, odmłodził i ze zdziwieniem dostrzegł w końcu, że od czasu, gdy Dowcip bawi w jego domu, nawet i obroty idą mu daleko lepiej. „Czem się to dzieje?“ łamał sobie głowę pan Handel. A tymczasem panna Chęć zysku, coraz silniej przywiązywała się do młodego gentlemana i nakoniec... Nie pamiętamy, czy noc była jasna, cicha, ciepła, księżycowa, czy pobliski strumień szeptał modlitwę wieczorną, czy srebrna rosa odbijając księżycowe blaski lśniła na liściach i kwiatach, czy chór słowików w wilgotnych olchach kaskadą tonów zalewał i mącił świętą ciszę nocy, czy woń biła w powietrzu... nic nie pamiętamy tego, a wiemy tylko, że w takiej lub podobnej chwili Chęć zysku złożyła romansową głowę na łonie Dowcipu. Pan Handel, kiedy dowiedział się o tem, może i protestował z początku, może i chciał udawać ojca-tyrana z komedyi, może i rzucał się i groził, ale... któż zdoła sobie poradzić z kobietą? od czegoż broń niewieścia. *Ce que femme veut, Dieu le veut!* Koniec końcem Chęć zysku uparła się i, uzyskawszy pozwolenie i błogosławieństwo ojcowskie, wyszła za gentlemana zwanego Dowcip. Kronika milczy, czy młoda para zaraz po ślubie odbyła modną podróż, czy pozostała w domu; jeden jednak nasz uczony, słynny badacz źródeł, używszy do zbadania tej kwestyi analizy, syntezy, genezy i tym podobnych niezawodnych logicznych sposobów, oparty przytem na rozmaitych świadectwach współczesnych, dowiódł jak na dłoni, że młoda para podróżowała po całym świecie, że między innemi była i w Warszawie, i że wszędzie zostawiła mniej więcej wyraźne ślady swego pobytu. Dalsza jej historia znów staje się jasną. Pożycie ich było zgodne i szczęśliwe, niektórzy jednak historycy utrzymują, że zgoda ta utrzymała się dopiero kosztem pewnych ofiar ze strony Dowcipu. Poszedł on podobno zupełnie na usługi swej małżonki, czyli obyczajem większości mężów, oddał się pod pantofel. Po pewnym czasie (którego jednak z powodu kilku wierszy wypłowiałych w kronice niepodobna ściśle oznaczyć) niebo pobłogosławiło ową parę dziecięciem. Urodziła im się córka, której rodzice po długich debatach, jak ją nazwać, nadali w końcu jednozgodnie na chrzcie imię: „Reklama“. W kronice Barnuma znajduje się jeszcze obszerny opis dzieciństwa tej miłej istotki. My jednak wypisujemy z niego tylko to, co najważniejsze. Od najmłodszych lat Reklama okazywała dziwne instynkta: lubiła się przystrajać we wszelkiego rodzaju jaskrawości; jeszcze w kolebce dokładała wszelkich starań, by się wydać piękniejszą, aniżeli była rzeczywistość. Tym celem używała bielidła i różu. Lubiła pasyami chwalić się

i mówić o sobie, opowiadała zaś wszystko z niesłychaną przesadą. Przytem nigdy nawet żartem nie mówiła prawdy. Wcześniej i bardzo wcześniej, weszła w niezmiernie ścisłe związki przyjaźni z prasą peryodyczną. Gdzie pojawiła się jedna z tych przyjaciółek, tam niezawodnie wkrótce znalazła się i druga. Wreszcie kazała sobie zbudować pałac z ostatnich kart dzienników, w których umieszczają się ogłoszenia. Pałac ten był ulubionem jej mieszkaniem: nie opuszczała go nigdy. Mieszka w nim i dotąd; — kto się chce przekonać a zarazem poznać ją, niech tam zajrzy.

Legendę tę opowiedział Sienkiewicz w feljetonie *Gazety polskiej* z dnia 15 grudnia, w chwili, gdy Warszawa, usprawiedliwiając swą nazwę „miasta melomanów“, tonęła w powodzi koncertów, gdy w Teatrze Wielkim gościła opera włoska pod wodzą Trombiniego (którego samo nazwisko już mogło, zdaniem feljetonisty, natchnąć zaufaniem w muzyczne zdolności jego osoby), i gdy wszystkie pisma illustrowane kaptowały sobie prenumeratorów na rok przyszły szumnymi obietnicami w prospektach... Obiecanka cacanka!... Niezależnie od tego, hałas, sprawiany przez prospekty o tej porze roku, ma zdaniem Sienkiewicza niezaprzeczenie i swoje dobre strony, „zwraca on uwagę publiczności na ruch piśmienniczy, a zachęcając, niechby nawet przesadnymi obietnicami, do czytania i prenumerowania, lecz ową chorobę ze sfery patologii umysłowej, która zwie się książkowstrętem, a na którą przed niedawnymi jeszcze laty ogół nasz cierpiał potrochu“.

Kronika powyższa, ostatnia w roku 1873, była zarazem ostatnim feljetonem Sienkiewicza w *Gazecie polskiej* za redakcyi Sikorskiego. Zniechęcony przykrym stosunkiem swoim do „gromowładnego Jowisza“, który nie przestawał „poprawiać“, przerabiać i skracać jego artykułów, Sienkiewicz, wogóle zniechęcony do literackiego zawodu, zwątpiwszy o swoim talencie, zaczął przemyślać nad tem, czyby nie skierować się na inną drogę (ideałem wydawała mu się w tym czasie praca biurowa), i przestał być współpracownikiem *Gazety polskiej*: dosyć już miał redaktorskich perorów Sikorskiego. Jakoż przez cały rok 1874 nie napisał dlań ani litery¹⁾...

¹⁾ Głównym kronikarzem *Gazety polskiej* przez ciąg roku 1874 był Aleksander Głowacki (Bolesław Prus).

Ale na szczęście był to ostatni rok redaktorstwa „gromowładnego Jowisza“. Począwszy od 1 stycznia 1875 roku redaktorem *Gazety polskiej* na miejsce Józefa Sikorskiego został Edward Leo. Zaprzyjaźniony z Sienkiewiczem, którego talent cenił bardzo wysoko, odrazu zaprosił go do współpracownictwa, obiecując mu, że nie będzie „poprawiał“ jego artykułów, że wszystko, co napisze, będzie drukowane bez zmiany. Zachęcony podobnemi warunkami, Sienkiewicz nie odmówił i z nowym zapałem wziął się do pracy. A praca to była niemała, bo podjął się pisywać kroniki tygodniowe, w rodzaju tych, jakie poprzednio pisywał za Sikorskiego, a miał je pisywać nie, jak dawniej, na przemiany z Władysławem Bogusławskim i Edwardem Leo, ale sam jeden, co oczywiście równało się pracy podwójnej, prawie potrójnej.

Przedmiotem pisywanych przez niego kronik miała być *Chwila obecna*.

Zanim jednak ukazał się pierwszy feljeton pod tym jasno określającym a nie banalnym tytułem, umarł Jan Chęciński, utalentowany poeta i komedyopisarz. Przejęty głębokiem uznaniem dla zasług literackich zmarłego, Sienkiewicz poświęcił mu N-rze 2 *Gazety polskiej* z d. 4 stycznia rzewne wspomnienie pośmiertne, które, podpisane tajemniczem *Os....* (widoocznie autor myślał już o Litwosie) jest tak piękne, że je warto przypomnieć w całości *in extenso*.

Ze dwa tygodnie temu, a może i trochę dawniej, jak spotkałem się z Janem Chęcińskim. Jakkolwiek poprzednio nie często się z nim widywałem, uderzyła mnie jednak dziwna zmiana na pierwszy rzut oka w jego twarzy. Chęciński zawsze szczupły był i mizerny, ale teraz wyglądał jak gdyby po długiej chorobie dopiero co wstał z łóżka. Błady był tą bledością woskową, przezroczystą. Wyraz głębokiego smutku, cierpienia i pogńębienia, malował się w jego wyrazistych rysach; oczy świeciły mu gorączką, zdawał się zmęczony bardzo i przybity, ruchy zaś jego zdradzały niezwykle jakiś nastrój moralny. Znając go dobrze, odgadłem, że na ciernistej ścieżce życia o nowe jakieś musiał się zranić kolce. „Co panu jest, i co u pana słychać?“ spytałem. „Źle, że i gorzej być nie może“, odpowiedział z westchnieniem. „No, cóż takiego?“ Machnął tylko ręką, a potem wsparłszy czoło na dłoni przymknął oczy,

jakby szukając ulgi w chwilowem milczeniu. Wreszcie jednak ożywił się, i począł mi opowiadać swoje dolegliwości i umartwienia. Istotnie zważyło się nań takie brzemię, że chyba nadludzkich trzeba było sił, aby je unieść. W domu miał prawdziwy szpital; dzieci jedno po drugim chorowały mu na tyfus. Ojcowskie serce, zawieszone między rozpaczą i nadzieją, biło ustawiczną trwogą. Trzeba było czuwać nad chorem, co chwila odrywać się od pracy na jęk chorego dziecięcia, spędzać bezsenne noce, a przytem pracować i to pracować podwójnie, by zwiększonym zaradzić potrzebom. Skarżył się, że sił mu brak, że ledwo może podołać obowiązkom; mówił, że sam nie może zrozumieć, że jeszcze trzyma się na nogach; narzekał na niedostatek, który mimo wszelkich wysiłen coraz szerszym wyłomem wdierał się do jego domu. Tu do pracy trzeba świeżości myśli, spokoju, a on był znękany, przybity. Obowiązki reżysera nakoniec, ciężkie i kłopotliwe obowiązki, prawdziwym ołowiem ciążyły na każdej chwili jego życia. „Oj, nie po różach stącam, nie po różach!“ rzekł zakrywając twarz rękoma. „Gdyby przynajmniej zostawiono mnie wśród moich cierpień w spokoju, ale... pan wiesz?“ Uciął nagle, a potem dodał: „Ach, jak to boli, jak boli!“ „Nie mówmy o tem“ rzekłem. „I któż to wolny jest od szkalowań i nienawiści ludzkiej“. Chęciński uśmiechnął się smutno. „Ha! to i nie mówmy. Taki już jestem zmęczony, że wolę o niczem nie myśleć, jak ty!ko o spokoju. Ach! doprawdy, bardzo jestem zmęczony. Potrzeba mi spoczynku, odetchnienia. Co to za słodka rzecz, co to za rozkosz, spokój i spoczynek. O! gdyby się Bóg zlitował nademną i zesłał spokoju i spoczynek na moją biedną głowę!“... „Daj Boże“ rzekłem ściskając mu rękę na znak pożegnania. We dwa tygodnie po tej rozmowie, tłumy ludu zgromadziły się przed kościołem Przemienienia Pańskiego. W kościele brzmiały smętne śpiewy chóralne, migotały płomyki świec; smutno było, cicho i poważnie: na środku kościoła na katafalku stała otoczona rzędami świec trumna, na której żółtawej blasze czytałeś napis: Jan Chęciński. Ach tak! więc znalazł spokój ten skołatany duch upadający z trudów i zmęczenia, znalazł ów spoczynek i ów spokój, do którego tęsknił, którego pragnął tak gorąco, i o który prosił Boga. Dni pracy Syzyfowej i serdecznych cierpień, zawodów, rozczarowań, dni doli twardej, zwątpień i rozpaczyny skończyły się nazawsze. Dziś co? Trumna, mały krucyfiks na niej, garstka popiołu i cisza wielka. Strudzony pracownik usnął, a snu jego nie przerwie już szum i gwar ludzki, nie zbudzi go tróśka, nie przerwie nikt i nic, wiosną chyba akacya strząśnie białe kwiaty na grób jego, zaszumi w liście topola, zaśpiewa skowronek. Ale pamięć ludzka, otoczy niby szara przedza pajęcza jego cichy grobowiec. Zniknął człowiek, został poeta i artysta, niechajże więc, skorośmy mówili o człowieku, teraz o poecie i artyście będzie nam wolno parę słów powiedzieć. Jan Chęciński urodził się w 1826 roku. Wcześniej

bardzo, bo już w latach szkolnych począł iść o własnych siłach, krwawą pracą zdobywając sobie chleb i naukę. Zagrzewała go 'na tej trudnej drodze wielka miłość wiedzy i wielka miłość sławy. Dusza młoda skrzydlata, wrażliwa a poetyczna, snuła złotą nić marzeń o przyszłych tryumfach poetycznych i scenicznych. Wyszedłszy ze szkół, wstąpił do szkoły dramatycznej, gdzie wcześniej zdołał wyróżnić się wśród grona kolegów pracą i inteligencją. Bystre zrozumienie rzeczy i nieklamane uczucie rokowwały w nim niepospolitego artystę. Pierwszy raz wystąpił w komedyi Bogusławskiego pod tytułem: *Lwy i lvice*, i już wówczas zyskał zasłużone uznanie publiczności i krytyki. Nie był wprawdzie geniuszem scenicznym, ale pierwszy rzut oka odkrywał w nim jednego z tych prawdziwie pożytecznych i rozumnych współpracowników, bez których nie może się obejść żadna scena, a którzy radą i wrodzonym smakiem artystycznym podnoszą skalę sceny, kształcą gust publiczności i na nowe, szlachetniejsze wprowadzają teatr narodowy tory. Odtąd brał udział we wszystkich poważniejszych sztukach. Kilkakrotnie, i aż do chwili śmierci, był także reżyserem naszej sceny. Ile i jakimi kłopotami nieraz obarczały go te obowiązki, to dziś Bóg jeden wie. Trudne i bardzo trudne okoliczności nie zawsze pozwalały mu iść drogą, jaką dla dobra sztuki niezawodnie sam chciał postępować. Nieraz może doświadczył niechęci kolegów; nieraz prasa, nie wchodząc w żadne powody i okoliczności, ostro przyganiała kierunkowi, w jakim scenę prowadził. Wołano o nowe sztuki, trzeba więc było dawać, co się znalazło pod ręką. Z drugiej strony publiczność nie zawsze chętnie chciała słuchać sztuk poważniejszych, reżyser musiał czasem iść wbrew jej wymaganiom, a tym sposobem nowe na siebie ściągać niechęci. Na duszę bardziej obojętną, mniejby może oddziaływały krytyki i niechęci, ale poetyczna, wrażliwa dusza Chęcińskiego, głęboko odczuwała każde słowo niechęci i przygany. Chęciński gryzł się wewnątrz i zużywał w walce. A tu przychodziły jeszcze kłopoty domowe, niedostatek, umęczenie z nadmiaru pracy, i wreszcie, trzeba wyznać, publiczne szkalowania, owe syczenia węzowej zawiści, które systematycznie sączyły truciznę do tej zbolalej duszy. A jednak, powiedzmy prawdę, ileż to arcydzieł dramatycznych, ile sztuk prawdziwie pięknych i wyższym nacechowanych talentem ujrzeliśmy na naszej scenie, dzięki niezmordowanym zabiegom i pracy tego człowieka. Tak jest! Bądź co bądź, wiele pracował i wiele zrobił, a gdzież i jaką za to nagroda? Oto życie męczeńskie, a potem trumna, martwa zielona gałązka na wyziębniętą pierś i słowo uznania... po śmierci. Dziwna rzecz jednak: owa gorycz powszedniego życia nie odbiła się w utworach Chęcińskiego. Ach! widać życie jego wewnętrzne, inne, idealniejsze i czystsze było, niż zewnętrzne, w którym miotany falami niedoli, może i wypuszczał czasami wiośło z dłoni. Samotny, z piórem w ręku, wśród ciszy nocnej, w której tylko szept zegara opowiadał o uciekających godzinach, prze-

nosił się Chęciński w świat harmonii, pogody i tego spokoju, którego w życiu nie zaznał. Wówczas to w ciszy i samotności dusza jego otwierała się jak kwiat, jasna, czysta w swych celach i pragnieniach; zamierał człowiek, a żył poeta. Dlatego w utworach jego nie masz złości, ani zawiści, ani gorączkowego niepokoju. Nawet ironja jego pogodna i ucieyszna, po staropolsku, wesoła jest raczej, niż zjadliwa. Co więcej: przebija w nim wszędzie pewna, prawie dziecięca naiwność. Pierwsze jego utwory liryczne p. t. *Anioł i Czart, Jałmużna*, trzymane są w tonie ludowym, serdecznym, a nawpół naiwnym. Nie masz w nich wprawdzie wysokiego lirycznego polotu; Chęciński nie buja pod obłokami Pindara, ale jako skromny lirnik, z niekłamanem uczuciem nuci pieśń swojską na dobrze znajomą nutę. Szczere uczucie, jasność myśli, potoczystość dykcji, oto najcenniejsze przymioty tych utworów. Zresztą nie liryka, ale scena była dlań polem najwłaściwszem. Pierwsze jego wystąpienie na tem polu przypada na rok 1851; afisze pierwszy raz wówczas ogłosiły jego komedię w 1-ym akcie pod tytułem: *Poeta*. Sam autor spodziewał się wiele od tego utworu, łatwo więc wystawić sobie jego niepokój, obawę, nadzieję. Nadszedł wreszcie oczekiwany wieczór. Publiczność zebrała się dość tłumnie, ponieważ grano przytem i inne sztuki. Zaczęło się przedstawienie — i nieszczęśliwy *Poeta* przeszedł bez oklasków i entuzjazmu, a nakoniec po kilku jeszcze przedstawieniach usnął snem nieprzespanym na półkach biblioteki teatralnej. Sztuka upadła, ale była to pierwsza próba. Upadła słusznie: Chęciński nie umiał w niej jeszcze stanąć na stanowisku przedmiotowym; brak w niej było obserwacji życiowej i życiowej prawdy. Młody autor (wówczas miał lat 24) własne wewnętrzne zapatrywanie się na świat brał za rzeczywistość; przedstawiał pomysły, sądząc, że przedstawia ludzi; swój światek, swoje sympatyje i antypatyje brał za rzeczy obchodzące wszystkich. Próba więc nie udała się, ale kto wie, czy nie na korzyść autora. Następne jego prace noszą cechy większej dojrzałości i głębszych badań życiowych. Komedia dwuaktowa pod tytułem: *Rozwód, czyli dwie mężatki* cieszyła się już większem uznaniem krytyki. Znać tu już było talent wydobywający się z więzów niedoświadczenia, jak motyl z gąsienicy. Umysł autora kształcił się coraz bardziej; wyrabiał się dar obserwacji; młodzieńczą podmiotowość zastępowało obiektywne poczucie rzeczywistości. Chęciński wzmochnął się, dojrzał, i wreszcie wystąpił w 1859 roku z trzecią z kolei komedią p. t. *Szlachectwo duszy*, którą krytyka przyjęła z pochwałami, publiczność zaś z prawdziwym zapalem. W sztuce tej autor przeprowadza walkę idei nowszych i bardziej postępowych z głęboko jeszcze wówczas wkorzenionymi pojęciami kastowymi. Młody doktor Wilczura, syn prostego, ale pełnego hartu, uczciwości i zdrowego rozsądku rolnika, kocha się w arystokratycznej pannie baronównie. Za doktorem jest prócz panny i jej ojciec, pan baron, człowiek rozumny i doświadczony; prze-

ciw doktorowi zaś matka, pani baronowa, wielka dama, nerwowa, mdlejąca na zawołanie i pełna najrozmaitszych wielkoświatowych grymasów. Popiera ona innego pretendenta, młodego światowca, próżniaka, utracjusza, ale dobrze urodzonego. Młodzieniec ten dowiedziawszy się, że baron, uchodzący nawet w oczach żony i córki za ubogiego, w rzeczywistości posiada znakomity majątek, postanawia z pomocą tego posagu podtrzymać upadającą własną fortunę. Tu naturalnie następuje kolizja między Wilczurą ojcem i synem z jednej, a baronową i jej protegowanym z drugiej strony. Intrzygi wielkoświatowca zdołały zachwiać ufność w sercu panny do młodego doktora i zerwać na chwilę sympatyczne więzy, łączące dwa te szlachetne serca; ale wkrótce próba, którą wymyśla nie w ciemie bity i znający ludzi baron, wyświeca rzeczywistą wartość każdego z dwu pretendentów. Obaj Wilczurowie okazują się ludźmi serca i czynu, wielkoświatowiec zaś pospolitym łowczym na posagi. Oczywiście panna oddaje rękę doktorowi, z czego korzystając baron, wypowiada w formie sensu moralnego przekonanie, że tylko szlachectwo duszy, nie zaś pusty tytuł, stanowi prawdziwą wartość człowieka. Trudno zaprzeczyć, że tak sama tendencya sztuki, jak i sposoby, którymi autor usiłuje ją przeprowadzić, dziś wydałyby się już zużyte. Ale wówczas byłyto trochę inne czasy; droga na polskiej scenie mniej była utorowana, rzecz zatem trafiła do smaku publiczności i obudziła niezwykły zapal. Były to może najjaśniejsze chwile w życiu poety. Imię jego zyskało pewną popularność, krytyka go chwaliła. Pod wpływem pierwszego wrażenia nie zauważono, że kwestya traktowana była w sztuce zbyt miękko, że właściwie nie występowały w niej do walki zasady, boć jedna tylko baronowa, ze swemi słabemi nerwami i ze swem wiecznem na ustach: „zemdleje!“ żadną miarą nie mogła być uważaną za przedstawicielkę potężnej i nie na samych tylko kobiecych grymasach opartej idei arystokracji rodowej. W gruncie rzeczy, autor ślizgał się tu tylko po zasadach. Zamiast wszczepić je w charaktery, przelał w wybitne postacie ludzkie i przedstawić kolizję jako z natury tych charakterów i tych ludzi płynącą, wprowadził miękkie istoty, których kolizya z pomocą bardzo drobnych i pospolitych środków się wyradza, a zaledwie przez trochę żywszą i więcej patetyczną deklamacyę się wypowiada. Mimo jednakże tych wad, których zaprzeczyć trudno, krytyka sprawiedliwie podnosiła wysokie zalety tej sztuki tak zewnętrzne, jak i wewnętrzne. Do pierwszych należy piękny wiersz, potoczystość i pewna wymowność, pozwalająca autorowi wypowiadać swe przekonania w sposób wielce sympatyczny; do drugich: niezaprzeczona zachoć tendencyi, żywość akcji, logiczny rozwój charakterów, a wreszcie i głównie owo ciepło serdeczne, rozlane w całej sztuce, które po wieczne czasy będzie zawsze kluczem do sere publiczności i krytyki. Było też ono najciekawszą zaletą wszystkich utworów Chęcińskiego, tak jak znów miękkość

najcelniejszą ich wadą. I jedno i drugie przejął poeta od Syrokomli, swego przyjaciela i mistrza, pod którego wpływem zostawał całe życie. Gdyby Syrokomla stworzył był szkołę, możnaby śmiało zaliczyć do niej Chęcińskiego. Też same przymioty, też same wady; wiersz nawet i sposób wypowiadania się podobny, z tą jednak różnicą, jaka między mistrzem, a uczniem zawsze musi zachodzić. Po *Szlachectwie duszy*, nastąpiła z kolei komedia pod tytułem: *Porządni ludzie*. Jestto satyryczny obraz ludzi, którzy pod przyzwoitą powierzchownością, przyzwoitemi słowami i przyzwoitem obejściem się, kryją wielką, nicość moralną. Człowiek taki przestrzega usilnie form światowych, mówi rozsądnie, ubiera się jak inni, nie wydaje więcej niż może, jeżeli jest młodzieńcem nie popełnia tych wszystkich głupstw i szaleństw, jakie zwykle popełniają młodzi; nie hula, nie pije, nie gra w karty, nie kocha się w baletniczkach, nie bywa ateuszem ani bigotem, nie próbuje pisać niedorzecznych wierszy, nie wdaje się w awantury ani mniejsze ani większe. Jest sobie dajmy na to urzędnikiem, więc godzin biurowych pilnuje; pan naczelnik go chwali; matki, sypiające podczas zimowych zabaw na kanapach, mają go za ideał przyszłego męża i polecają go córkom, słowem: na pozór nie mu nie brak, a jednak wyjmij serce z tego człowieka, znajdziesz pustkę, wyjmij mózg, znajdziesz maszynkę. Jestto orzech świstun. Z wierzchu piękny, w środku tabaka. Zaród filistra, wcielony egoizm. Jeżeli jest ojcem i mężem, dręczy służbę wymaganiami i łaje chłopców, którzy to nie jak on, co to nagrody brał w każdej klasie, nie tylko nagród, ale i promocyi nie dostają; uważa się za uczciwego człowieka, inni poczytują go także za wzór godny do naśladowania, co w gruncie rzeczy nie przeszkadza mu być cynicznym, nudnym, niewyrozumiałym pedantem i egoistą wcielonym, obrzydliwym. Takich to ludzi, „taki zwykły pomiot ludzki“ (jak mówi Hamlet), co to „płacze się między stopami wielkich tego świata“, takich to nowożytnych Poloniuszów chciał wymalować Chęciński w swojej komedii. Zadanie zaiste nie łatwe, bo tu samo założenie, sam rodzaj typu znosi możność istnienia cech wybitnych. Trzeba wielkiej zręczności, niezmiernie wyrobionego daru obserwacyi, żeby nie zatrzeć wyrazistości obrazu. Chęciński typ ten pojął wprawdzie jednostronnie, a raczej nie stworzył skończonych typów, nie wycieniował może z całą dokładną drobiazgowością swych postaci, nie mniej jednak kontury ich zarysował śmiało i trafnie. Bądź co bądź *Porządni ludzie* lubo nie tak żywo jak *Szlachectwo duszy* przyjęci, przewyższają jednak tę ostatnią sztukę pod wieloma względami i stanowią (nie przesadzając losu *Krytyków*) kulminacyjny punkt twórczości scenicznej Chęcińskiego. Przedstawienia komedyi *Krytycy* nie doczekał się poeta. Mamy jednak nadzieję, że śmierć jego nie tylko nie odwlecze, ale raczej przyspieszy ukazanie się jej na scenie. Ci, którym zgasły Chęciński ią czytał, stawiają tę pracę wysoko. Humor i cięta,

pełna polotu ironja, przenikająca całość od początku do końca, mają być najcenniejszymi jej przymiotami. Nie chcąc zbyt rozszerzać naszych wspomnień, opuszczamy wiele pomniejszych utworów zmarłego poety, tak dramatycznych, jak i lirycznych; nie możemy jednak pominąć zupełnie milczeniem działalności Chęcińskiego, jako pisarza dla dzieci. Pisał dla dzieci wiele i bardzo wiele; pisał serdecznie, ciepło, z wielką miłością dla swoich małych czytelników i czytelniczek, zrozumiale, prosto, a jednak zajmująco. Imię też jego wielką cieszyło się między dziećmi sympatya. Na wieść o śmierci ulubionego autora nie jedna tam jasna główka dziecięca musiała pochylić się smutno; nie jedne oczka błysnęły łzami żalu po dobrym przyjacielu, któryto podczas długich wieczorów zimowych i zaciekawie umiał i nauczyć. Wieczny mu teraz odpoczynek! Oto zakres prac Chęcińskiego, do których zasiadał z natchnieniem i miłością. Ale poza niemi ciągnie się jeszcze długi orszak rzemieślniczych prac dla chleba, codziennych wysileń, do których zmuszał go niedostatek, wysileń często niezgodnych z duchem poety, a męczących, prawdziwych trudów Syzyfa. Ludzie często brali mu je za złe, Bóg może mu je do cierpień za winy policzyć. Słusznie ktoś powiedział, że gdyby ten człowiek posiadał tylko setną część tego, co przyniósł teatrowi, umierałby spokojny o los dzieci. A jednak... jeżeli umierał spokojny, to chyba na myśl, że ogół nie pozwoli żyć w niedostatku sierotom tego, kto bądź coby bądź dobrze mu się zasłużył.

Pierwszy feljeton Sienkiewicza o *Chwili obecnej*, nieopisany zupełnie, ukazał się w dniu 11 stycznia, a zaczynał się w sposób następujący:

Niejedno dziewicze serduszek, niejednen spragniony uciech życia umysł młodzieńczy, spędzając smutne wieczory gdzieś na ustroniu wiejskiem, słuchając jednostajnego świstu wiatrów, widząc przez okna piętrzące się zasypane śnieżne, zamary tęsknie o hucznym karnawale warszawskim, o jaśniejących światłem salach balowych, o strojnych wdziękach, o skocznej muzyce Lewandowskiego, o wesołym gwarze maskaradowym. Westchnie i pomyśli sobie: szczęśliwi ci Warszawianie, wszystko dla nich, oni się bawią, weselą; a dla nas co: krosienka, pasyans lub maryasz z proboszczem. Tak jest: zazdroszczą nam, uprzywilejowanym mieszkańcom wielkiego miasta, opływającym w zabawy i uciechy wszelkiego rodzaju. O! bo jest i czego pozazdrościć! Na szarem tle nędzy, dokuźliwym zwiększonej mrozem, odbija się jaskrawo kilka rozweselonych postaci, które za zadanie poczytują przechować u nas tradycję o karnawale. Nie chcemy przecież by nas pomawiano o zamiar strofowania tych, którzy pragną ubawić się, uchowaj Boże! Młodość ma swoje prawa, próżność swe dążności, lekkomyślność swe nałogi; a zresztą wesołych

i swobodnych chwil w życiu tak mało, że nie należy unikać tych, które się wydarzają. A wszelako musimy zaznaczyć, że dawniejsza cecha zimy w Warszawie, skłonność do zabaw, powoli zacierać się zaczyna. O balach, wieczorach tańczących i innych rozkoszach zimowych, mało słychać. Co się do tego przyczynia, czy brak środków, czy ogólny zwrot umysłów ku poważniejszym sprawom, czy przesycenie starszego pokolenia a brak rzeźkości i młodzieńczości w młodszym? tego rozbierać nie będziemy; dość, że okrzyczana z wesołości Warszawa, tegoroczną zimę niemal za nieistniejącą uważa. Więc nie bawią się tak jak ongi. Znajdujemy się w położeniu człowieka, który lubo dotknięty organiczną chorobą, nie uważa na ostrzegające napady; podczas ich trwania leczy się na gwałt uśmierzającymi środkami, a skoro przeminą, na nowo życie różnorodnymi uciechami przeplatać zaczyna. Aż nareszcie wybija godzina fatalna, w której niemoc ogólna ogarnia; wtedy dopiero uznaje się konieczność radykalnego leczenia, ustają uciechy, wesele, rozkosze, i rozpoczyna się sumienna auskultacya. Doszliśmy, jak się zdaje, i my do tej chwili, czujemy w organizmie niedostatek. Braki i ułomności, spowodowane głównie anemią pienięzną, widoczniejszemi coraz się stają.

Tymi, którzy z powodu tej anemii cierpią najbardziej, jest młodzież i panny na wydaniu.

Biedne to młode pokolenie! Dotąd nic nie zawiniło; w grzechach społeczeństwa przeciwko oszczędności udziału nie brało, pragnęłoby żyć i bawić się jak starsi za młodu i żyli i hulali, tymczasem przychodzi pokutować za nie swoje winy. Może smutne to doświadczenie zbawiennie wpłynie na losy przyszłych pokoleń, którym obyśmy nie pozostawili w spuściźnie przykrego naszego „Katzenjammeru!“

Wobec takiego społecznego spleenu, który swe piętno wyciska nawet na karnawale, (od tego czasu zmienił się bardzo ogólny nastrój), nie dziw, że i feljetonista musiał walczyć z dotkliwym brakiem materiału. O czem tu pisać? Z kłopotu tego, bardzo niemiłego dla dziennikarza, (zwłaszcza, gdy chodzi o *pierwszy* feljeton, który powinien być wyjątkowo świetny) wybawił Sienkiewicza feljetonista *Gazety warszawskiej*, który w przeglądzie roku upłynionego, mówiąc o działalności prasy peryodycznej, ze słusznem oburzeniem wspomniął o mnożących się z dniem każdym paszkwilach, będących istnym trądem piśmiennictwa, wstrętnym chwastem, który na naszej dziennikarskiej niwie rozplenia się coraz bardziej.

Tak jest: trąd ten, objawiający się sporadycznie, dziś już przybrał cechę choroby częstszej, coraz bardziej wpływem swoim społeczności zagrażającej. Wiktor Hugo w dramacie *Le Roi s'amuse* wprowadza osobistość, która tylko w ustroju społecznym średnich wieków wyrodzić się mogła. Jest nią Saltabadil, najemny oprawca, którego rzemiosłem, za dobre wynagrodzenie wygadzać zemście lub widokom prywatnym. Ponieważ podówczas prasa peryodyczna jeszcze nie istniała, przeto Saltabadil obowiązki swoje wykonywał w domu, na ulicy, na rynku publicznym, a nie będąc piśmiennym, używał sztyletu. Dramatu tego nie widzieliśmy na naszej scenie, ale treść jego znaną jest publiczności, choćby z opery Verdiego *Rigoletto*, w której opisana wyżej postać, pod nazwą Sparafucile, zgrozą słuchaczy przejmując. Minęły czasy średniowieczne, inny nastał porządek społeczny, kodeks karny i uorganizowana siła zbrojna, czuwająca nad porządkiem publicznym, zepsuły najzupełniej interesu takim Saltabadilom i Sparafucilom; ale złe namiętności przetrwały i, zdaje się, póty trwać będą, póki się ludzkość nie wyanieli, co zapewne nigdy nie nastąpi. Saltabadilowie przeto zmuszeni byli szukać innej formy, z wymaganiami dzisiejszego stanu społecznego zgodnej, dla wykonywania swego zacnego a zapewne intratnego rzemiosła. Cincinnat, jako prawy obywatel, zamienił miecz na lemiesz, i nie mogąc walczyć za kraj, uprawiał go. Saltabadil zaś, jako na drugim krańcu społeczności stojący, z najemnika przedzierzgnął się w spekulanta, schował sztylet i wziął pióro do ręki; a nie mogąc zabijać, obsługuje kundmanów swoich zniesławianiem bliźnich. I widocznie rzemiosło to musi być korzystnem, skoro rozgałęziwszy się szeroko po świecie, i u nas zwolenników znajduje. Smutna to rzecz, ale zdaje się, że nowy ten sposób do życia, wielkie ma tutaj widoki powodzenia. Przy usposobieniu do wzajemnej podejrzliwości, stanowiącej coraz wybitniejszą cechę naszego społeczeństwa, każde szarpnięcie cudzego dobrego imienia, każde pokuszenie się na cudzą sławę, czy to piórem, czy ołówkiem, czy też na deskach scenicznych, znajduje poklask i uważaniem jest przez wielką część ogółu za dowód odwagi i bezstronności. Śmiejąc się z cudzej krzywdy, nikt nie pamięta, że sam każdej chwili pokrzywdzonym być może! A jakąż wtedy opiekę znajdzie, gdzie się o krzywdę upomnieć zdoła? Czy na drodze satysfakcyi honorowej? Trudno; albowiem zadosyćuczynienia honorowego żądać można tylko od ludzi kierujących się poczuciem honoru, a do tych Saltabadile nie należą. Czy na drodze prawa? Jestto droga niepewna, gdyż w materyi tak drażliwej jak honor, pojęcia kodeksowe do ustanowienia istoty czynu nie wystarczają; jestto droga długa, gdyż jak nam wiadomo, są sprawy o potwarz, które ciągną się rok przeszło; jestto wreszcie droga niebezpieczna, gdyż pokrzywdzony a skarżący, przy przedstawieniu sprawy, skazanym jest na milczenie, wtenczas gdy oskarżony ma obronę swobodną i do wyrządzonych znie-

wag jeszcze nowe dorzucić może. Cóż więc na to robić? Czy milezieniem pogardy zbywać takie obrzucanie błotem? Nie, stokroć nie! paszkwil jest brudem społecznym, a kto milezieniem pomija brud, sam wkrótce przezeń opanowanym zostaje. Wymieść ten brud, tępić wszelkimi środkami ohydne robactwo, które, zagnieżdżwszy się u nas, coraz szerzej się rozsiada, coraz zuchwalej głowę podnosi, dla którego wszystko co jest zacnem, uczciwem, jest tylko przedmiotem do oplwania dla zarobku, a które, siedząc w brudnej kałuży, uważa ją za zwierciadło, odbijające świat i jego stosunki. Paszkwile należy karcieć; i wszyscy uczciwi ludzie, pragnący uchronić społeczność od wkradającej się gangreny, powinni poczuwać się do solidarnego obowiązku karcenia tych zuchwałych i bezczelnych objawów. Jeżeli uczciwi ludzie zdołają należycie upomnieć się o swe prawa, to pierwszy omlot da miarę dalszej wydajności panów paszkwilistów!

Niestety, nic się pod tym względem od roku 1875 w stosunkach naszych nie zmieniło, chyba tyle tylko, że w ciągu tych lat 25 paszkwil rozzuchwalił się — w pewnej części prasy — jeszcze bardziej, że ogólny ton, panujący na łamach czasopism, obniżył się raczej, niż podniósł. Jakby przewidując rewolucję w tym kierunku, pisał Sienkiewicz, zaraz w następnym feljetonie, co następuje:

Dziś wojna i wojna wszędzie, a w niektórych kolonijkach piśmieniowych stanowczo uznano już paszkwil za roślinę, której uprawa najlepiej się opłaca. Według nas paszkwil jest rośliną pastewną. Można by o niej powiedzieć to, co humorysta Prus mówi o humorze: „Kaleczy dobrze uformowaną gębę, ale niezmiernie smakuje osłom“. Nie wiemy i nie chcemy przesądzać, jak wielu znajduje się w naszym społeczeństwie amatorów na nowo wprowadzony specyał; zaznaczyć jednak musimy, że podaż jego coraz się zwiększa.

Tymczasem karnawał, z początku jakiś bezkrwisty, ożywał się pomału, zaczęło poszło, że mniej troszczono się o kwestyę paszkwilów, a natomiast na pierwszy plan wysuwały się kwestye mazurów, walców, kotylionów, etc. Co się tyczy kotyliona, to nawet Sienkiewicz poświęcił mu w swej kronice z d. 18 stycznia obszerniejszy ustęp.

Doszła mnie z Paryża przerażająca ze względu na rozpoczęty sezon karnawałowy wiadomość. Oto ni mniej ni więcej miał być zniesiony na wieki wieków kotylion. Jeden z humorystów francuzkich napisał na-

wet mowę pogrzebową, której wyjątki o ile zapamiętałem przeczytałem: „Żegnaj (mówi ów humorystyk) o ty najgłupszy z tańców! Byłeś tem w sztuce przebierania nogami, czem operetka w sztuce dramatycznej. Dziś przeżyliście się oboje. Tobie przeznaczono iść za nią, żegnamy cię więc: idź do dyabła!“ Na szczęście nekrolog okazał się zbyt wczesnym. Nie umarła ani operetka, ani kotylion. O tak, mili czytelnicy, nie umarło ani jedno, ani drugie: żyją. Tak jedno, jak drugie, nadto jest głupie, aby mogło umrzeć w naszych czasach. Dziś zabawy godne Ni-niwy więcej cenimy, niż zabawy godne Aten. Taki nasz gust i cała rzecz. Dowcip nie stanowi najcelniejszego przymiotu zabaw. Dowcip, to rzecz bardzo przyjemna, ale ma tę niedogodność, że wymaga pewnego natężenia umysłu, a właśnie cechą naszego wieku jest, że nie lubi natężyć umysłu. Otóż czy np. *Życie paryzkie* jest dowcipne? Nie, ale żyje i żyć będzie, bo jest dostatecznie niedorzeczne. Więc bądźcie spokojne, o piękne czytelniczki, i o kotyliona. Francuzki humorysta ożenił go z operetką najśluszniej w świecie. Czyż od aryi: „Na plecach lufcik ma“, od szwajcarskich admirałów, od generałów sardyńskich z pudełkami od sardynek zamiast orderów, nie proste przejście do orderów kotylionowych, do pukających cukierków, do ineksprymabli z angielskiej bibułki, do głów oślich, lisich i kocich, w które kotylion tak chętnie ubiera głowy tancerzy, że spojrzawszy po sali, może się nam wydawać, że jesteśmy w menażeryi. A przytem ileż to wątku do rozmów, które zyskały nawet osobną nazwę rozmów kotylionowych! Wyobraź sobie, czytelniku, salę balową, pełną światła, przepychu, pięknych kobiet, francużczyzny, białych krawatów, matek siedzących po kanapach, i wszystkiego tego, co właśnie istotę balu stanowi. Posłuchajmy o czem rozmawiają w chwilach odpoczynku pary tańczące. Ach, nie masz nic trudniejszego, jak rozmawiać z tancerką, którą się pierwszy raz w życiu widzi; ale kotylion wszystko ułatwia. Oto dowody: „Ach pani, mówi młodzieniec przybrany w osłą głowę z angielskiej bibułki. „Te wyroby, te ordery, te cacka kotylionowe my na nieszczęście sprowadzamy z Berlina nie z Paryża. Wszystko to niemieckie wyroby“. „Francużkie daleko lepsze?“ pyta dama. „Bez porównania“, mówi dalej młodzieniec. „Naprzykład ktoby poznał, że ta głowa, którą mam na sobie, ma wyobrażać osła?“ „Ach, poznać jednak można“. „Z trudnością“, odpowiada młodzieniec. „Przecież wiem dobrze, jak wygląda prawdziwy osioł“, dodaje spoglądając ukradkiem w zwierciadło. „Doprawdy, mam to ochotę zdjąć, sądzę, że będę lepiej wyglądał“. „Ależ przeciwnie, bardzo z tem panu do twarzy“, kończy dama. I takimi lub podobnemi rozmowami brzmi cała sala. Umysł nie potrzebuje się wysilać. Milczenie, owo milczenie kłopotliwe, zapadające w zwykłych rozmowach między młodzieńcem pytaniem: „Czy pani lubi tańczyć?“ a dziewczęcią odpowiedzią: „O tak, panie!“ — owo milczenie, podczas którego młodzieniec kręci szapokłak,

robi sobie w duszy uwagę, że wypada coś jeszcze powiedzieć, i poprzestaje na tej uwadze, zastępując słowa uprzejmem chrząkaniem, przy kotylionie nie ma miejsca. Niechże więc żyje ten taniec, ułatwiający na gruncie zoologicznym stosunki obu płci, dekorujący papierowymi orderami kłapy fraków i sprowadzający Offenbachiadę ze scen teatralnych do salonów! ¹⁾

Offenbachiadą w swoim rodzaju, choć z pretensjami do wyższego artyzmu, była bawiąca w Warszawie przez zimę roku 1875 opera włoska. Właściwie była to opera, która — według Sienkiewicza — miała nam raz na zawsze obrzydzić słuchanie muzyki nie włoskiej, wykonywanej na sposób nowo-włoski t. j. bez głosów. „Słusznie ktoś zauważył, że publiczność warszawska corocznie zadawałniać się musi trupą, składającą się z artystów, albo jeszcze nie umiejących, albo już nie mogących. Chodzimy na operę po to, by odgadywać przyszłość, lub domyślać się przeszłości; ale teraźniejszości, która by łączyła w sobie umiejętność z możliwością, nigdy doczekać się nie możemy. *Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait!*“ Na domiar złego, zima w roku 1875 była bardzo ostrą, tak, że Włochom — jak się wyraził kronikarz *Kłosów* — pozamarzały głosy.

Może być w tem część prawdy, choć z drugiej strony inne wieści głoszą, że właśnie personelowi owej opery winniśmy... ustanie mrozów. Jak wiadomo, panuje u nas zwyczaj wyliczania łysych dla zawstydzenia mrozu; otóż pomiędzy wyliczonymi miało się znajdować kilku kochanków tejże opery, co miało szczególnie podziałać skutecznie na zmniejszenie się zimna; mroź bowiem zawstydzony tu był potrójnie: raz że mroził łysych, jako łysych, drugi raz, że mroził łysych, jako synów Italii, do cieplejszego przyzwyczajonych klimatu, a nakoniec, że mroził łysych kochanków, którzy młodość swoją i łysiny swoje i talary swoje

¹⁾ Zbytni kult Warszawy dla podkasanej Muzy Offenbacha wogóle dawał niemało do myślenia Sienkiewiczowi. Oto, co raz pisał w tej materii w jednym ze swych feljetonów: „Ach ten Offenbach! Spytacie, co grają w Eldorado? Offenbacha. W Alhambrze? Offenbach. W Dolinie? Offenbacha. Słowem wszędzie i na wszystkie strony Offenbacha! Smakuje, bo trafia w owo uczucie sceptycyzmu, nurtujące dziś wszystkie głowy i serca, nawet te, które same o tem nie wiedzą“.

oddają na usługi naszej sceny. Mróz więc sfolgował; śnieg taje, na ulicach jeziora, a sanki jeżdżą po gołych kamieniach. Ma to jednak swoje dobre strony. Jak wiadomo, w ostatnich czasach szczególnie, weszła w modę hydropatya; otóż teraz nie potrzebujemy wyjeżdżać do zakładów hydropatycznych zagranicę, ani nawet do Nowego Miasta nad Pilicą, mamy bowiem u siebie, w domu, w naszej poczeiwej Warszawie, ogólną bezpłatną wodną kuracyę. Może być nawet, że hydropaci innych krajów do nas wysyłać będą swoich pacjentów. Dość niech chory wyjdzie na ulicę, pierwszą lepszą, jaka mu się będzie podobać, i przejdzie chodnikami kilkadziesiąt kroków, a za kohnierz tyle mu naleci najmniejszej w świecie wody, że wystarczy to na uśmierzenie choćby najuporczywszej gorączki. Że zaś czasem z wodą zleci mu z wysokości trzeciego piętra na głowę jaki kawałek lodu, ważący koło czterdziestu funtów, albo mniej więcej pół fury śniegu, no, to przynajmniej cierpienia jego skończą się raz na zawsze.

Cierpień tych przysparza wielu mieszkańcom Warszawy karota, która tu w ostatnich czasach rozpowszechniła się w sposób przerażający. Co moment trzeba się chwycić za kieszeń, a choć to jest wszystko żebranina na cele dobroczynne, równająca się krzewieniu miłosierdzia, to jednak, zwłaszcza w porze karnawałowej, gdy się zaczynają różne bale na ubogie matki, na moralnie zaniedbane dzieci, na szwalnie, etc. pieniądze tak ulatniają się z kieszeni, że człowiek ani się obejrzy, jak dostrzeże pustki w pugilaresie.

Nie masz wyrazów przejmujących większą trwogą ojców i mężów, jak te dwa maleńkie wyrazy: bawiące się miłosierdzie. Bal na dobroczynność!!! Jakże tu żonom odmówić... Bal matek chrześcijańskich!!! Jakże tu wymagać, aby córki chrześcijańskie nie wyhasały się na takim zebraniu; bal na szpital dziecinny — czyto bilety takie drogie? — Ee! Ee! dzieciństwo: wcale nie drogie! — Żywe obrazy: oj! oj! już były tyle razy. Hola! hola! Wreszcie i nie żał wydać pieniędzy, gdy cel piękny i ludzki, a choćby i było żał, nie podobna odmówić. Żeby to bilety sprzedawały się w kasach, no, to można nie pójść; ale rozprzedają się zupełnie inaczej.

Przychodzi kuzynek domu, albo jaki ktoś znajomy, z takich poważniejszych znajomych: człowiek miły, poważany, i tak sobie ot, zwyczajnie zaczyna rozmowę o przyszłym najbliższym balu, a potem mimochodem dodaje: „Ach! wklepali we mnie aż dziesięć biletów do rozprzedazy. (Tu ojciec rodziny chrząka niespokojnie). Opierałem się... wiecie państwo to taka przykra rzecz zmuszać kogoś, a z drugiej strony... Tak...

rzeczywiście bal będzie świetny, młodzieży mnóstwo (tu dwie córki domu zaczynają słuchać uważniej, mówiący zaś wydobywa z kieszeni bilety i zaczyna się nimi bawić), całe dystygowane towarzystwo się wybiera (tu matka domu rzuca na ojca domu znaczące spojrzenie), tak jest! ale państwo — dodaje gość podniesionym głosem — ale państwo pewnie nie znajdziecie czasu?“ „Hm, hum!“ mówi na to ojciec domu. „Tak, to jest, hm, hum!“ dodaje matka. Rzecz na pozór się kończy. Gość chowa bilety i mówi o czym innym. Po chwili jednak, młodsza z panienek podchodzi do papy i całuje go w rękę. „Czy chcesz czego, moje dziecko?“ Nie; ona nie chce niczego; ona tak sobie!... Przyszła się popieścić... koteczka! Ona zupełnie niczego nie chce... ale sama nie wie z kąd jej przyszła myśl... że ten bal... o którym właśnie pan wspominał... to pewno będzie bardzo ładny. Nieprawda papo?“ Tu gość uśmiecha się tryumfalnie, ojciec wzdycha, starsza córka podbiega z drugiej strony i całuje drugą rękę papy. Zapewniam was, czytelnicy, że rzecz jest skończona!

Z kawalerami robi się oczywiście dziesięć razy mniej zachodu. Poprostu pani domu, której powierzono bilety, wydobywa je i mówi: „Pan zapewne będzie?“ „O tak, pani. Z największą radością. E! he! he! he! z największą przyjemnością. (Tu zaczyna się gorączkowe dotykanie dłońmi wszystkich kieszeni). Z największą przyjemnością... ale, to jest... zdaje mi się... bo to właśnie“... „O już to drobnych pan na mnie nie znajdzie. Z góry zapowiadam, że reszty nie zdam“. „A to ja jutro chyba odeszłę“. „Naturalnie wszystko jedno“. Zapewniam was, czytelnicy, że rzecz jest skończona.

W ten sposób — opowiada Sienkiewicz — znalazł się na przedstawieniu w teatryku Dobroczynności. „Tak kazały fata, uosobione w matce nie dwóch, ale aż trzech pięknych córek. Fata te zwyciężyły nawet pustki jego portmonetki, w której na razie, prócz biletów ban... chciałem powiedzieć wizytowych, biletu Towarzystwa Muzycznego, kartki posłańca, papierosów i całej tej milej, prawdziwie feljetonistycznej rozmaitości, znajdowało się tylko... Eh, nie warto o tem mówić!“ Co się tyczy zabawy na tem przedstawieniu, to najzabawniejszą rzeczą, a raczej najsmutniejszą, były dekoracye.

Boże, cóż za dekoracye! Nie wiem, czy w Pacanowie, gdzie kozy kują, w Kiernozi, gdzie jest środek ziemi, i w Łysobykach, sławnych z jarmarków na gęsi, są teatry; ale gdyby były, niezawodnie dekoracye miałyby lepsze. Panie nie mogły wychodzić przez drzwi. W pierwszej

sztuce topole, otaczające dom, nie dochodziły do cylindra kochanka Zdzisława; dom Orgona wyglądał, jak budka strażnicza; kurtyna wreszcie, w chwili, gdy ją przed drugą sztuką podnoszono, podniosła się na łokieć! i dalej ani rusz. Publiczność widziała cztery pary nóg, poruszające się niespokojnie, i kawałek podłogi. Poczęły się śmiechy. Dopiero wspólne usiłowania służby, a może i członków Dobroczynności, zdołały skłonić zasłonę, że skrzypnąwszy, stęknąwszy, namyśliła się okazać oczom publiczności nie tylko buty i trzewiczki, ale i głowy grających.

Bądź co bądź, pomimo tych braków, wieczór spędzony w teatrze Dobroczynności, nie należy do straconych, bo amatorowie czasami grają nie gorzej od artystów, a że repertuar składa się z wesołych komedijek, więc nie ziewa się z nudów: owszem, można się zabawić i uśmieć.

Inaczej dzieje się na warszawskich maskaradach w salach reutowych. Jest to najnudniejsza ze wszystkich zabaw, na której ludzie wśród upału i tłoku włóczą się z kąta w kąt, popychają się wzajemnie, pocą się, ziewają z nudów, bo ostatecznie nie bardzo wiedzą, co mają robić. O szalonej zabawie, jaka podobno towarzyszyła dawniejszym balom maskowym, dzisiaj niema się wyobrażenia. Stanowczo straciliśmy animusz.

Tradycja głosi, że za szczęśliwego panowania króla Ćwieczka maskarada była zebraniem się osób, zwykle do wyższych warstw społeczeństwa należących, wykwintnych i dowcipnych. Dowcip w takim zebraniu miał tryskać na wszystkie strony, skrzyć się i błyszczeć. Cięte szyderstwa krzyżowały się wzajemnie jak szpady, sypały się słynne *bons mots*, powtarzane później przez całe miasto; a czasem pod czarną maską szukała szerszej chwili miłość, czy to zbyt lekka, czy nie wyznana jeszcze, czy zabroniona, czy to nakoniec nie wzajemna. Dziś się czasy zmieniły. Dziś maskarada jest zebraniem, na którym się popychają, gniotą, łokciują, depeczą, pocą i nakoniec nudzą. Tak zwane: „towarzystwo“, a przynajmniej damy z towarzystwa, zarzuciły tego rodzaju zabawy, co też odebrało im dawny wykwintny i elegancki charakter. Dziś nawet dobrze wychowani mężczyźni nie wiele sobie robią z zaczepiających ich masek. Bo zresztą i pocóż robić ceremonie, gdy dama, która cię intryguje, może być dziewczyną z restauracyi, w której jadasz obiad, albo twoim własnym przebraniem za damę fryzjeryczkiem, który cię co rano goli. Francuzczyzny coraz mniej daje się słyszeć na tych zebraniach; co jednak wcale nie dowodzi, aby damy nasze przejęte poczuciem obowiązku mówienia po polsku, porzuciły nadsekwańską mowę. Damy z „to-

warzystwa“ parują po dawnemu, a damy maskarady po dawnemu parlować nie umieją! Co więcej, często i polszczyzna maskaradowa, a zwłaszcza sposób wymawiania, kuleje na obie nogi: „Kogo szukasz, piękna maseczko? pyta maski przechodzący młodzieniec. „Czebie“, brzmi uprzejma odpowiedź.

To samo, niestety, co o maskaradach, da się powiedzieć i o innych zabawach w Warszawie. Dawniej, gdy nadszedł karnawał, ludzie szaleli poprostu, tańczyli do upadłego, kochali się na zabój, a wogóle bawili się całą duszą. Dzisiaj młodzież nie tylko iż tańczy gorzej, ale tańczy niechętnie, trzeba ją wypychać do salonu, żeby tańczyła, a najlepiej bawi się w pokoju, gdzie stoi bufet z przekąskami i baterią butelek węgryna i reńskiego. Wogóle kolacya stała się najulubieńszym tańcem, w którym celują zwłaszcza tancerze.

Ztąd większe powodzenie mają proszone obiady i śniadania, niż bale, na których trzeba tańczyć do rana.

Ostatni to już cios, powiada Sienkiewicz, zadany poezyi życia warszawskiego. Bał, zabawa, taniec, to poezya, tymczasem obiad proszony, na którym się odbywają saturnalia żołądkowe, to okropna proza. „Rozogniona mazurem, rozmarzona walcem, wreszcie rozkołysana kadrylem tancerka z biciem serca, ze wzruszeniem słucho, nawet przy kolacyi, szeptów miłosnych tancerza, w którym wir tańca wszystkie uczucia spotęgował“. Tymczasem gastronomiczny nastrój proszonego obiadu uczuć tych nie potęguje bynajmniej. Bo cóż to jest taki proszony obiad?

O szóstej zbierają się balownicy, wszyscy znudzeni, bo głodni, w duszy wyklinając każdego spóźniającego się. Nareszcie nadchodzi upragniona chwila: gospodyni podaje rękę najbardziej siwemu, łysemu lub najbardziej udekorowanemu gościowi, gospodarz zaokrągla ramię i podaje je najpokazniejszej damie, inni goście muszą się kojarzyć, nie podług woli, życzenia i sympatii, ale tak jak im nieubłagane fatum przez usta gospodyni nakazało. Serce przeto musi milczeć i ustąpić miejsca żołądkowi. Ale gdyby nawet los przychylny obdarzył sąsiedztwem zachwycającej partnerki, to i wtedy trudno odezwać się sercu wobec rozgorączkowanej działalności żołądka. Czyż podobieństwo słodkie słówka półgłosem do ucha pięknej sąsiadki wpuszczać, kiedy w tej chwili lokaj

również słodziutkim głosem do ucha szeptec: „Lafit, czy Iquem?“ Czyż uchodzi powiedzieć komplement o łabędziej szyi i śnieżnej białości ramionach, kiedy jednocześnie półmisek objęty w lokajskie szpony, niciani rękawiczkami okryte, przedstawia zgłodniałemu oku jakiś *suprême de volaille aux truffes*? Po obiedzie zaś romansować nie można, ka wa, likiery i cygaro rozdzielają dwie połowy rodzaju ludzkiego. Ostatni kłab dymu z ust wypuszczony zwiastuje początek trawienia; jakżeż tu kochać, kiedy chciałoby się drzemać. Słowem, obiady karnawałowe zupełnie chybiają celu. Ale ponieważ są przyjęte i nieraz zastępują tańce, przeto należałoby nadać im pewną formę przypominającą zwykłe dzieje balowe. Dobrze by było tego rodzaju rozmowy obiadowo-balowe zaszczerpić: „Czy pani raczy nie odmówić mi następnej kuropatwy?“ „Przepraszam, kuropatwę już przyrzekłam, ale combrem służyć mogę“. „Stokrotnie pani dziękuję, więc comber ze mną“. Albo: „Panie X. chcesz być moim vis-à-vis do Chateau Margaux“. „Do wszystkich czerwonych win już jestem zamówiony, ale chętnie będę służył do wszystkich białych“. „Zgoda; do likierów zaangażował mnie pan Alfons, który jest niezmordowany“. Panie mogłyby używać tabliczek do notowania zamówień, dla zapobieżenia nieporozumieniom i wynikać ztąd mogącym krwawym spotkaniom. Na takiej tabliczce dałoby się czytać: „Zupa z hrabią O., ryba z panem Adolfem, poncz rzymski z księciem; jarzynka, chciałabym z panem Adolfem, ale to za dużo, coby świat na to powiedział?“ Podczas obiadów odbywałyby się w miarę zamówienia, *chaîne de dames*, *chassé croisé*; do kieliszka *cavaliers seuls*. Możeby się i niejednej obiadniczce wydarzyło usłyszeć takie np. zdanie: „Pani, wspomnienie tego łososa nigdy w sercu mem nie wygaśnie“, albo też: „O gdybym wiecznie przy boku pani mógł taki *salmis aux truffes* zjadać!“ Tym sposobem zastąpienie tańców karnawałowych jedzeniem nie wydałoby się kochliwej młodzieży zbyt dotkliwem. Karnawał by istniał, w innej formie, lecz z takimi samymi następstwami; i niejedno by małżeństwo pod wpływem żółtowej zupy skojarzyć się dało. Dotąd tak jeszcze nie jest, i zabawa towarzyska na tem cierpi. Panie się nudzą, a panowie rozmawiać z nimi nie chcą, czy też nie umieją. Wrócić trzeba czempredzej do dawnego sposobu bawienia się, bo na tej drodze ztraci się tradycja miłości, której epoka karnawałowa zawsze najobszerniejsze przedstawia pole.

Co gorsza, że to upodobanie w żołądkowych saturnaliach, ogarnawszy sfery zamożne, powoli zaczyna zarażać i służbę. Wymownym dowodem, stwierdzającym tę obserwację, był w roku 1875 arystokratyczny bal w ratuszu, bal, na którym nie tylko jaśnie państwo oddawali się żołądkowym saturnaliom

przy bufecie, ale to samo czynili także i lokaje z woźnymi z kontramarkarni, gdzie zamiast pilnować zostawionych okryć, palono a raczej spijano obfite libacye na cześć Bachusa.

Widocznie wesołość, panująca w sali głównej, udzieliła się pod postacią niedopitków z butelek mężom pilnującym rzeczy w przedsiönkach. Lica tych dostojników pokryły się rumieńcem, rozjaśniły się ich wejrzenia, rozwiązały się języki, a niestety rozwiązały się i rzeczy, których mieli pilnować. W sali głównej brzmiała muzyka, a w kontramarkarni poczęły się śpiewki. Wiadomo, że kiedy człowiek jest w dobrym humorze, to mu się czasem i chce zaśpiewać. Zresztą, że tam sobie ktoś mruknie przez zęby „Wiwat kawalerski stan“, albo: „Sułtanem być to jest los“, to znowu nie tak złego. Gorzej już gdy na pytanie: „Gdzie moje futro?“ — odbiera się odpowiedź: „Niech mi pan głowy nie zawraca!“ A podobno trafiało się i tak. Zresztą przy wyjściu był prawdziwy zamęt. „Moje futro! a mój paltot! a moje kalosze; a laska! a parasol!“ Takie coraz rozpaczliwsze okrzyki wydierały się z piersi wychodzących. Jeden nie dostał, drugiemu ofiarowano zamiast paltota salopę damską. Innemu dostał się w podziale jeden tylko kalosz, a gdy nieszczęśny dopominał się o drugi, odebrał odpowiedź: „czy ja panu stworzę kalosz?“ Istotnie! Stworzyć kalosz niełatwo, zwłaszcza po pijanemu, ale w jednym kaloszu chodzić, zwłaszcza po trzeźwemu, nie uchodzi. Byli jednak i tacy szczęśliwi, którym ad libitum podawano po dziesięć futer, ale takich było niewielu. Wogóle wszczął się płacz i zgrzytanie zębów. Ojcowie córkom, mężowie żonom, narzeczeni oblubienicom nie mogli dostać ani futer, ani okryć, ani szalów, ani żadnej rzeczy, która ich była, przynosząc za to z łatwością bardzo wiele rzeczy, które ich nie były. Damy nie chciały owych rzeczy przyjmować, ztąd nieukontentowanie, ztąd suche uwagi, że są czasem między mężczyznami istoty tak niezaradne, że nawet, kiedy idzie o rzeczy, nie można na nie rachować; ztąd rozpaczliwe usiłowania, ztąd powiększenie zamętu, ztąd hałaśliwe zajścia, ztąd dygotanie od zimna, i — utinam sim falsus vates! ztąd gorączki, bóle gardła etc.

Los okazał się, jak zwykle, dziwnie złośliwym. Widziano mężczyzn przypominających wzrostem grenadyerów pruskich, wracających do domu w paltocikach, przypominających długością kurtki myśliwskie. Wiatr szarpał na ulicy zwieszzone smutnie i niczem nie nakryte, a widoczne z poza krótkich kaftaników, poły ich fraków. O! jakże szarpał je, jak kręcił niemi, jak rozdzierał je i łączył, lub podnosił niby żagle dmąc, w nie swobodnie! Przyczyniało się to może do szybszego powrotu do domu; albowiem było chłodno. Małych oczywiście tenże sam złośliwy los obdarzył paletotami, które im miejsce szlafroków zastąpićby mogły, a że było ślisko, łatwo więc wystawić sobie, że takie assyryjskie szaty, przy-

deptyjące się za każdym krokiem, nie przyczyniały się wcale do silniejszego trzymania się na nogach.

Ale powoli gmach ratuszowy począł opróżniać się coraz bardziej; coraz mniejsza liczba nieszczęśliwych poszukiwała swoich ubrań, aż wreszcie ucichło wszystko, światła pogasty, ciemność otuliła gmach cały, i na pobojowisku pozostało kilka podobno maruderów z wojska kaloszy i jakich kilku futerek, których właściciele się nie znaleźli.

Oprócz balów takich, jak ten w ratuszu, na których warszawskie towarzystwo udawało, że się bawi, tańczono trochę i po domach prywatnych, ale najlepiej bawiono się w pewnych kółkach, które można by nazwać półświatkowemi, a którym „łatwość pożycia i niepotracania się o legalność stosunków szczególnego widocznie dodają powabu“. Odbywały się tam — i odbywają dotychczas przez okrągły rok — rozmaitego rodzaju saturnalia, nie tylko żołądkowe, a rej na nich wodzili ludzie żonaci, oczywiście w największej tajemnicy przed żonami. Podobno, że na jednej z takich „agap“, jak o tem ktoś opowiadał kronikarzowi *Gazety polskiej*, odznaczał się szczególną wesołością młodzieniec świeżo z prowincyi przybyły. Znajomy warszawianin, spotkawszy się z nim, zapytał go, co w Warszawie porabia? „A widzisz, mój drogi, ożeniłem się zeszłego tygodnia i przyjechałem do Warszawy na miodowe miesiące“. „A gdzież żona?“ „Żonę zostawiłem w domu przy matce“...

Praktyczne to pojmowanie miodowych miesięcy może się rozpoznać przy coraz więcej rozkrzewiającem się zapatrywaniu na małżeństwo ze strony wyłącznie utylitarnej. Czy to zapatrywanie się jest wytworem nowoczesnym, czyli też ono i dawniej istniało, trudno określić. Zdaje się wszelako, że zrozumienie małżeństwa, wyłącznie jako kontraktu cywilnego, lub też jako operacyi, wszelkie inne cele prócz sercowych mającej, nie jest pomysłem nowym. Ograniczało się dawniej tylko w pewnych sferach i na pewnych zasadach. Extra-sercowe pobudki do małżeństwa były, albo polityczne, albo zachowawcze. Przy kojarzeniu związków miano na względzie koligacje rodów i konserwowanie lub powiększenie istniejących majątków rodowych. Tak bywało w arystokratycznych rodzinach. Na zachodzie, w wielkich rodzinach kupieckich, łączono się także związkami małżeńskimi dla utrzymania majątku pracą długoletnią nabytego, lub wniesienia nowych zasobów, do podtrzymania dawno istniejącej firmy potrzebnych. W domu kupieckim zdolny, pra-

cowity i ucziwy subjekt, już z samego porządku rzeczy był pretendentem do ręki córki pryncypała; albo też dwie firmy zlewały się w jedną, przy błogosławieństwie kościoła, lubo serce wcale do rady nie należało. Zdarzały się nawet dziwne pod tym względem wypadki. Kupiec, dajmy na to w Hamburgu, liczący sobie dużo konsolacyi, rozesławszy synów w świat dla szukania karyery, wyglądał z niecierpliwością konkurenta dla starszej córki, dobiegającej już do pruskiej pełnoletności. Zgłasza się do niego usłużny pośrednik małżeński, z propozycją: „Panie, mam zięcia dla pana“. „Kogo, jak się nazywa?“ „Tego jeszcze nie wiem, ale jest to człowiek młody, przystojny, z uczciwego podobno gniazda. A co większa dorobił się już pięknego majątku“. „A gdzież jest, tutaj w Hamburgu?“ „Nie, on teraz jest w Berlinie, gdzie od kilku lat pracuje u bankiera X., który go obecnie do współpracy przypuścił“. „A niechże pana wszyscy dyabli wezmą, żeby mi proponować własnego syna dla własnej córki!“ Więc, mówiliśmy, że dawniej żeniono się dla konserwowania. Dziś zaś konserwacya nie ma przedmiotu i ludzie chcą się żenić dla zyskania. Małżeństwo jest interesem, jest wspólką, do której jedna strona, żona zwykle, wnieść ma kapitał, druga zaś, osobę i zdolności. Panna uważaną jest najczęściej za nieunikniony dodatek do posagu, malum necessarium; tak przynajmniej zrozumiął ów czuły narzeczony, który na oświadczenie teścia, że córkę chętnie odda, ale posag zabezpieczy na hipotecę, odrzekł: „Lepiejbyś ojciec oddał mi pieniądze, a córkę na hipotecę ubezpieczył“. Kto takiemu stanowi rzeczy winien, Bóg to wiedzieć raczy! Kobiety w strojach dochodzą do przesady i tłumaczą się coraz większą wybrednością mężczyzn. Mężczyźni zaś twierdzą, że kobiety myślały tylko o strojach i zabawie, i dlatego zachodzi potrzeba szukania dużych pieniędzy na zaspokojenie łokciowych rachunków. Mógłbym tu dla ubarwienia felietonu, przytoczyć kilka firm odznaczających się przesadzonymi likwidacyami, ale lękam się być posądzonym o reklamę, i rozbudzić drażliwość rozmaite. Gdybym bowiem, wyliczając zakłady, które okrywając żony, zdzierają mężów, zapomniał wymienić jeden albo drugi, wnetby się upomniano o pokrzywdzenie; bo żaden z modnych warsztatów nie pragnie uchodzić za tani u nas, gdzie drogość popłaca, gdzie nie tylko wytwornym i gustownym sprawunkiem, ale głównie wysoką ceną pochwalić się wypada. Panie mniej może dbają o prawdziwą gustowność, jak o autentyczność najświeższej mody, a cechę autentyczności nadaje pochodzenie i cena! Tak więc, jak głoszą kandydaci do małżeństwa, najbardziej zatrważającym szczegółem, który największą trudność w utrzymaniu żony stanowi, są stroje. Wszystko inne da się z góry obliczyć. Wydatek na lokal, na opał, światło, na sztukamięs, chleb i pieczyste, wszystko to da się wziąć pod kredkę i w pewne granice zamknąć, ale stroje, stroje, ten wydatek nigdy się nie da z góry obrachować ani ograniczyć, nie zawisł on bowiem od naszej woli, ale od konkurencyi. Jakżeż

tu bowiem powstrzymać małżonkę od rywalizowania z przyjaciółkami i znajomymi, któreby ją zaćmić mogły. Tem trudniej, że przedmiotem tej szlachetnej emulacji jesteś ty, o mężu drogi! tobie się pragnę przypodobać, w twoich to oczach pragnę być najpiękniejszą, bo inaczej, widok innej, ozdobniejszej, piękniejszemi koronkami okrytej, większą ilością „Żetu“ ugarnirowanej, mógłby cię ująć, zachwycić, sprowadzić z drogi miłości i wierności, o którą tyle dbają. Gdybyś ty w zapalach dla prawej towarzyszkii ostygł, cóżby się z nią stało? ona twą miłością tylko żyje, oddycha, i dlatego płac rachunki, kochanku! Na tej drodze można by dojść do oryginalnego wniosku: że wielkiem ułatwieniem do zawierania małżeństw, byłby zupełny brak miłości ze strony żony dla męża. Żona obojętna dla męża, nie dba o przypodobanie się jemu, a że moralność nie dozwala przypodobania się innym, przeto wszelkie preteksta do strojenia się upadają. Radziłbym wszelako powyższego wniosku zbyt na seryo nie brać. Rachuby ludzkie są bardzo mylne, i pod tym względem łatwo by można było dostać się na bezdroża.

Szczególniej łatwo dostać się na nie człowiekowi, który wraz z żoną swoją ma zaszczyt należeć do tak zwanego „towarzystwa“. Wprawdzie w tem towarzystwie żony nie zawsze starają się podobać tylko mężom, ale to żaden argument. Skoro się jest z *towarzystwa*, należy ponosić pewne tego konsekwencje... Ale co to jest „towarzystwo?“ Na pytanie to dał Sienkiewicz w jednej ze swych kronik ¹⁾ następującą odpowiedź:

„Czy pan dobrodziej dużo tańczył w tym karnawale?“ spytałem niedawno znajomego mi wieśniaka na raucie u państwa X. „Ja panie, odrzekł nie bez pewnej dumy, nie zwykłem gdzieindziej tańczyć jak w *towarzystwie*, a ponieważ towarzystwo tego roku się nie bawiło, więc nie tańczyłem“. „To jest... właściwie... o jakim pan chce mówić?“ „*Towarzystwo* jest tylko jedno i nie może być ich więcej“. Aha! — myślę sobie — wieśniak! wioskę ma obdłużoną, więc i towarzystwo mu w głowie. „He! he! he! — począłem się śmiać — to możesz pan dobrodziej koło *towarzystwa* tańcować, i to zapewne nie jeden raz. Takie to teraz czasy“. „Co pan przez to rozumiesz?“ „Rozumiem przez to, kochany panie, że teraz prawie wszyscy obywatele tańczą koło Towarzystwa“. „A ja panu powiadam, odrzekł marszcząc się wieśniak, że nie rozumiem pana. Ja zwykłem tańczyć w samem towarzystwie, nie zaś koło towarzystwa, he!“ „I! to wszystko jedno!“ „Przepraszam, to wielka różnica!“ odrzekł. „Chyba się nie rozumiemy?“ „O jakimże, spytał mnie, towarzystwie pan

¹⁾ Nr. 41 *Gazety polskiej* z d. 22 lutego 1875.

mówi?“ „Ja mówię o kredytowym ziemskim“. „Ha! ha! ha!“ zaśmiał się wieśniak. „A o jakimże u licha pan mówiłeś, przecie nie o kredytowym miejskim?“ „Nie! Ja mówiłem o „towarzystwie“, jakby tu powiedzieć?... No, pan wiesz co to jest towarzystwo. Ale nie żadne kredytowe. Jestto, jakby tu powiedzieć, jestto poprostu *świat*“. „Aha! rozumiem: *Świat*?“ O czytelniku! rozumiem doskonale, ale nie wiem czy ty rozumiesz? Istotnie tak zwane: *towarzystwo*, nie jestto ani Towarzystwo Kredytowe miejskie, ani wiejskie, jakkolwiek zarówno mieszkańcy wsi jak miast do niego należą i jakkolwiek, tak jedni jak drudzy nader często do kredytu odwoływać się muszą. Otóż żeby do tego towarzystwa należeć, potrzeba wiedzieć, co robić; czyli po pierwsze: nie nie robić; powtóre: niewiele sobie z każdego bliźniego robić; a potrzecie: wiedzieć, czego nie należy robić. Ostrzegam cię więc, że jeżeli po zjedzeniu zupy kładziesz łyżkę na podstawce obok noża i widelca, a nie zostawiasz jej w talerzu; jeżeli lody jesz łyżeczką, co jest nie wygodnie; jeżeli nie wiesz, że gdy kto przyjdzie do ciebie, grzeczniej jest odpowiedzieć mu: żeby sobie poszedł, niż przyjąć go i ugościć; jeżeli nie wiesz, że wychodząc z kądem, modniej jest nie kiwnąć głową gospodarzowi ani gospodyni, niż pożegnać ich uczciwie; jeżeli sądzisz, że frak można wziąć przed zachodem słońca; jeżeli tajemnicą dla cię jest, że nowy rok stanowi pod tym względem wyjątek; jeżeli nieszczęsny wdziałeś kiedy ineksprymable ciemniejszego koloru od tużurka; jeżeli nie pogardzałeś bliźnim, który wdział je; jeżeli barbarzyństwo twe posuwa cię aż do nietłuczenia skorup od jaj, po spożyciu takowych; jeżeli mówiłeś zawsze czysto po polsku, i każdej rozmowy nie kończyłeś wyrazem: *enfin*, choćbyś po tem *enfin* miał głupstwo powiedzieć, tedy jesteś prostakiem, i proszę cię bardzo, nie kłaniaj mi się w miejscach publicznych. Nie należysz do towarzystwa, i prawdopodobnie nie widziałeś go nigdy...

Niestety, należenie do *towarzystwa*, o ile z jednej strony jest bardzo przyjemnem, o tyle z drugiej często bywa połączone z przykrościami, których uniknąć niema sposobu. Oto n. p. wybierasz się na koncert czy raut, który warszawskie *Przytulisko* co roku w poście urządza w Ratuszu. Niedosć, że ci przysłano bilet za trzy ruble (dobrze, jeśli ci przysłano tylko jeden), ale zaledwie minąłeś schody, gdy zaraz na wstępie, wchodząc do przedsionka, gdzie się zostawia futra, widzisz u wejścia do sali dwa stoliki, przy których damy z *towarzystwa* sprzedają afisze. Jakkolwiek damy te nierzadko bywają bardzo przystojne, tak, że warto by im się przyjrzeć uważnie, widok ich przyprawia cię o wielce niemiłe uczucie...

Napróżno starasz się zamieszać w tłum, prześliznąć, ukryć; napróżno udajesz krótkowidza, napróżno podnosisz kołnierz futra lub paltota, ironiczny głos: „Proszę afisz!” dojdzie cię, zatrzyma, uchwyci; dama, która sprzedaje afisze, jest twoją znajomą, przypomina cię sobie tak łatwo jak nigdy; starałeś się zawsze uchodzić w jej oczach za gentlemana; nie ma więc rady: wyjmujesz portmonetkę, składasz grosz wdowi, i dopiero w przedśionku folgujesz swym wezbranym uczuciom i życzeniom, które, gdyby się sprawdziły, wówczas losy Herkulanum i Pompei, w porównaniu z losami *Przytuliska*, byłyby dziecinną igraszką.

Cokolwiekbyś, *Przytulisko* należy do instytucji społecznych, zasługujących na poparcie, tylko się na tę kwestyę nie należy zapatrywać w taki sposób, w jaki pewien szlachcic zapatrywał się na kwestyę założenia w Warszawie Ogrodu Zoologicznego, o którym w roku 1875 wiele pisano w naszych dziennikach...

Poprzeć ogród czy nie poprzezć!? Na pozór rozumną i słuszną zdaje się być rzecz, poprzezć, ale z drugiej strony, czy wiecie też, za ile nam rocznie zjadają wilki inwentarza w każdej gubernii? Oto mniej więcej za sto tysięcy rubli rocznie. „No i proszę acana“, mówił pewien obywatel z pod Płońska, miasta słynnego z inteligencji mieszkańców, jak starożytna Abdera, „no i proszę acana i ja będę jeszcze płacił, żeby mi rozmaite bestye po ogrodach trzymali, kiedy człowiek i tak swoich rodzonych cieląt nie pewny?!“ Prawda, jakie szczęśliwe połączenie faktów i jak się to ma blisko jedno do drugiego? Otóż i druga strona medalu. Po prostu: zamorskie wymysły!

Z powodu Ogrodu Zoologicznego, o którego użyteczności dla Warszawy nikt nie powątpiewał ani na chwilę, opowiedział raz Sienkiewicz czytelnikom swym następujące zdarzenie:

Rzecz, którą chcę opowiedzieć, działa się właściwie nie na bruku warszawskim w ścisłem znaczeniu tego słowa, ale na moście. Pewnego razu, wybrawszy się do kąpieli, siedłem sobie myśląc o niebieskich migdałach, gdy nagle zatrzymał mnie głos jakiś. „Przepraszam pana! — spytał mnie jakiś z wiejska wyglądający, a mówiący silnym litewskim akcentem jegomość — przepraszam pana, duszo! którądy tu się idzie do ogrodu zoologicznego, a?“ „Dokąd? dokąd?“ „Do ogrodu zoologicznego!“ „Pan dobrodzieju z prowincyi?“ „A tak. Izdaleka: z pod Grodna“. „Nie ma u nas żadnego ogrodu“. „Jakto niema. A ja już tak dawno czytałem, że mają go założyć, że część jakiegoś parku już jest na

to przeznaczona, że składki się zbierają. Toż myślałem, że choć z połowę już zrobili i że choć połowę obaczę“. O! pomyślałem sobie o przybyśzu z głębokiej prowincyi, jakże ty nas znasz mało, jeżeli sądzisz, że tak zaraz od słów do czynów przechodzimy. Jakżeś zacofany biedaku, jeżeli nie wiesz, że naprzód potrzebujemy z rok jaki pogadać, potem przestać gadać, potem przypomnieć sobie znowu, potem ogłosić składki, potem je zbierać, potem nie wiedzieć, co z nimi robić i jak ich użyć, potem naznaczyć kilka posiedzeń, mieć na nich kilka mów i mówek: wybrać naszych znanych, naszych powszechnie szanowanych na przewodników, potem rozejść się do domów i razem z naszymi znanymi, powszechnie szanowanymi i światłymi opuścić ręce i czekać na zmiłowanie Boże. „A proszę pana, mówił dalej wieśniak, boć to przecie był jakiś komitet opiekuńczy, co miał się tem zajmować, a? Cóż on dotychczas zrobił, a?“ „Niech nie wie lewica co robi prawica“. „Cóż pan mówi?“ „Mówię, że prawdziwa zasługa jest skromna i nie lubi się chwalić“. „No, ażeby ją fakta pochwaliły. Na seryo, powiedz pan, co zrobił?“ „A? na seryo to nie nie zrobił“. „Ależ tu już był jakiś początek, tu były już zwierzęta“. „O, to co innego. To był i jest zwierzyniec pana Bartelsa. Zwierzyniec ten ma być uważany, jako zarodek przyszłego ogrodu, ale kiedy to wszystko nastąpi, Bóg jeden wie“. Rozstaliśmy się, i każdy poszedł w swoją drogę. W powrocie jednak począłem nad tą kwestyą rozmyślać. Rzeczywiście był uformowany komitet tak zwany opiekuńczy; rzeczywiście ten komitet miał się zaopiekować sprawami zwierzynca, rzeczywiście posypały się składki: zebrały się jakie takie, lubo niewielkie jeszcze fundusze i... cicho jak makiem siał. Nie wie nikt, i nie słyszał nikt o niczem. Jakoś jeszcze w siedemdziesiątym czwartym komitet wydał drukowaną odezwę, w której spodziewa się, że etc... że szanowna publiczność poprze etc. słowem odezwę zachęcającą, i na tem się skończyło. Trzebaby raz dać jakiś znak życia, trzebaby coś o sobie i o ogrodzie, i o pieniądzach publiczności powiedzieć. Niech wie czego się trzymać: czy będzie ogród, czy nie będzie? czy się jeszcze czeka? czy też sprawa odłożona *ad calendas graecas*? Odezwy są to zapewne rzeczy bardzo piękne, ale jeśli prowadzą do czegoś więcej, niż do zadrukowywania welinowego papieru. Dziwna rzecz, że komitet nie daje znaku życia! Tak rozmyślałem, wracając o zmroku już z Pragi do domu, a rozmyślań tych nie zdołał przerwać nawet widok statku parowego, który osiadł sobie w najlepsze na piasku i ani na prawo, ani na lewo ruszyć się nie mógł. Kobiety i mężczyźni, stojący na pokładzie, spoglądali z utęsknieniem na brzeg warszawski; narzekali, skarżyli się, niektórzy kłęli, komin sapał i oddychał kłębami dymu jakby z wściekłością, para gwiżdżała przeraźliwie, a koła poruszały się, tłukąc o piasek. Stałem i patrzyłem. Upłynęła godzina, zciemniło się; Saska Kępa osnuła się mgłą; na niebie błysła gwiazda jedna, druga; światła po brzegach, odbijając

się w wodzie, zaczęły błyszczeć długimi kolumnami; na bulwarku od strony Pragi jakiś rybak czy przewoźnik zanucił wcale pięknym głosem: „Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną!” Statek ciągle sapał i zgrzytał, z komina poczęły się sypać snopy złotych iskier. Ale z miejsca ani rusz. Mała woda! mała woda, wszędzie zasy pyłaczyste, płytko, nieledwie możnaby przejść w bród całą Wisłę. Tam coś czerni się zdaleka: to tama Daniszewskiego. Nie rozplynęła się, stoi sobie tak jak ją postawiono wbrew mądrości niektórych naszych inżynierów, ale jedna taka tama to nie dosyć. Zapomniałem o ogrodzie zoologicznym, a zacząłem marzyć o uregulowaniu brzegów Wisły. Tak: marzyć, podobne życzenia bowiem są dotąd, a może i długo będą marzeniami tylko, i to zachwałami marzeniami. Myślą przeniosłem się w daleką przyszłość. Wiedziałem potężną rzekę, toczącą głębokie żółtawe fale, zwarte w kamiennych wysokich brzegach, na niej ogromne parowce przybyłe aż het od Gdańska, galary ze zbożem i owocem; komiegi, berlinki, krypty, wielkie łodzie żaglowe: jedne przywoziły produkt zagraniczny, drugie za granicę wiozły krajowy; wszędy ruch był ogromny, mnóstwo ludzi, statków, znać że to potężna arterya bogactw i handlu ta rzeka... alboż i ten gród na lewym brzegu, co to za wielkość, co za potęgą... Nagle ocknąłem się. Statek parowy cudem jakimś właśnie wydostał się z pyłaczystego podścieliska. Przedemną była rzeka nie zwarta w kamienne brzegi, ale rozlana na wszystkie strony, nawpół wyschnięta: nie było na niej ani parowców, ani galarów, ani łodzi, ani handlu; na lewym brzegu był wprawdzie gród, ale ciemny, źle wybrukowany, źle zabudowany, na dobitkę wiatr powiał od miasta i uderzył o mój nos zapachem, który wszelkie marzenie na temat potężnego i pachnącego grodu uczynił niemożliwym. Przestałem więc marzyć stanowczo...

Bo że się u nas więcej mówi wogóle, aniżeli robi, że najczęściej słowo zostaje słowem, a nie staje się ciałem, że z wielkiej góry projektów zwykle rodzi się mysz, a czasami nawet nie się nie rodzi, prócz kilku nudnych posiedzeń, na to zgodzi się chyba każdy...

Przypomina mi to powiastkę o Radziwille Panie Kochanku, który, przyjechawszy raz głodny, jak wilk, do jakiejś karczmy żydowskiej, krzyknął, żeby mu co prędzej jeść podawali. „Możeby Jaśnie Książę kurę pozwolił?” spytał żyd. „Dobrze żydzie, dawaj kurę”. „Cóż kiedy niema!”... „A możeby Jaśnie Pan jajecznicę?” „Dawaj jajecznicę!” „Cóż kiedy niema. A możeby Jaśnie Książę tak coś zimnego... półgęsek”. „Dawaj trutniu!”... „Cóż kiedy niema”. Te żarty źle się podobno nawet skończyły dla dowcipnego syna Izraela. Ale powiedźcież teraz, czytelnicy, czy z nami nie tak samo postępują, jak z Radziwiłłem. Raz wraz przycho-

dzi ktoś i pyta: „Możebyście chcieli mieć muzeum?“ „Dobrze“. „Cóż kiedy nie macie. A może ogród zoologiczny?“ „I to dobrze“. „Cóż kiedy nie macie“.

Poruszona tu kwestya ogrodu zoologicznego w Warszawie bardzo leżała na sercu Sienkiewiczowi i w kronikach swoich powracał do niej niejednokrotnie... Kroniki te zwracały na siebie powszechną uwagę, co o ile mogło być z korzyścią dla projektów Bartelsa (gdyż on głównie krzątał się około założenia zwierzyńca w naszym mieście), o tyle nie zawsze przypadało do smaku warszawskim „wielkościom“ vel miernościom literackim, którym te feljetony Sienkiewicza spać nie dawały: za dużo się o nich mówiło, za bardzo je chwalo no wogóle. Ztąd zaczęto się czepiać ich autora, przypinać mu łatki, dokuczać w pismach humorystycznych. Sienkiewicz przez pewien czas zachowywał się wobec tych koleżeńskich przycinków milcząco, z „przebaczenia anielską pogardą“, raz jednak, gdy mu już te łobuzowskie dokuczania zaczęły się przykrzyć, dał im kilkuwierszową odpawę, wzięwszy do tego asumpt z użytego przez siebie wyrażenia o minionym karnawale, że zginął *w oceanie zapomnienia*.

Niech was ten *ocean* nie zrazi, mili czytelnicy: wprowadziłem go jedynie dla przeblagania niektórych z pomiędzy zacnych moich kolegów pióra, którzy stanowczo uważają mnie za intruza w dziedzinie publicystyczno-literackiej, dlatego głównie, iż brak mi pretensyi do wyrównania im pod względem formy. Pochlebiam sobie, że „oceanem zapomnienia“ zdołam ich przejednać, gdyż użycie komunału stylowego wzniesie mnie do wysokości poziomu, przez surowych arystarchów zajmowanego.

Już to wogóle stosunek dowcipnego autora *Chwili obecnej* do kolegów po piórze, widocznie zazdroszczących mu powodzenia, wcale nie był harmonijnym. Doskonale zdając sobie sprawę z pobudek, któremi się w napaściach na niego lub złośliwych polemikach z nim powodowali, odcinał im się raz po raz, a że miał więcej talentu, niż oni wszyscy razem wzięci, więc niejednokrotnie odbierali porządne cięgi.

Wszystko ma swój czas: blaga obecnie popłaca, ale i to minie, a prawda, mimo wrzawę, krzyki i oszczerstwa, wiecznie prawdą bę-

dzie! Co prawda, pragnęlibyśmy polemiki, tak potrzebnej do rozjaśnienia wielu kwestyi, które dotąd należycie roztrząsanemi nie były, ale, pragnęlibyśmy ją znaleźć przyzwoitą, uczciwą i na dobrej wierze opartą; lecz widocznie o to u nas trudno, więc trzeba się jej wyrzec i poprzestać na odpięciu zaczepki, często osobistością tchnących. My stano-
wczono uchylamy się od udziału w grze do puli z prenumeratorem, w której, zdaniem grających, kozera jest schlebienie, a sztuką oszezerstwo.
...Po napisaniu powyższego ustępu, przekonałem się, że jeszcze nie dorósł do wysokości moich krytyków. Nie znalazły się bowiem pod piórem mojem owe jaskrawe, dosadne, straganiarskie wyrażenia, któremi ciężko łaskawi krytycy tak hojnie szafować umieją... Ale tak to bywa i czas poezyi minął z nastaniem cywilizacji; Alcybiadesi zamienili się na wykrochmalonych zdechłaczek, szyszaki na sprężynowe kapelusze, miecze na parasole, rydwany na dorożki, saturnalia na baliki przyjacielskie, Olimpiady na igrzyska z Ujazdowskiego placu, filozofowie na dziennikarzy. Tych ostatnich zwłaszcza starożytność nie znała, i to się przyczyniło do przechowania ówczesnych pojęć w właściwym i bezstronnem świetle, tak jak w rzeczywistości istniały i w ówczesnym się krzewiły społeczeństwie. Czybyśmy mogli mieć tak dokładne wyobrażenie o ideach w świecie greckim panujących, gdyby podówczas pisywano artykuły o rzeczach społecznych „na obstalunek“...

Swoją drogą zaprzeczyć się nie da, że i te Sienkiewiczowskie feljetony na temat *Chwili obecnej* nie były niczem innym, jeno takimi artykułami o rzeczach społecznych, pisywanymi na obstalunek. A jednak, niezależnie od tego, czytając te kroniki, nabiera się doskonałego pojęcia o ideach panujących w świecie warszawskim, ideach, które często bywają bardzo dziwaczne, a które Sienkiewicz doskonale umiał uwydatniać przez to, że je ośmieszał... Oto n. p. w jaki sposób scharakteryzował panujący u nas zwyczaj odkrywania głów we wszystkich miejscach publicznych, zwyczaj, nigdzie w Europie w tym stopniu nie rozpowszechniony, a będący wymownym dowodem naszych arystokratycznych słabostek i przesądów.

Utrzymują, że może dzieje się to klimatem, ależ klimat u nas bardziej, niż gdzieindziej, każe nakrywać głowy. Nie wymagamy, aby siedziano w kapeluszach w teatrze, tego bowiem zwyczaju niema nigdzie; możnaby jednak n. p. po cukierniach śmiało zatrzymywać kapelusze na głowach. Nieraz niemasz gdzie kapelusza położyć, a jeżeli i jest próżny stolik, to niezawodnie świecą na nim niestarte od wczoraj strumyki kawy,

śmietanki, błyszczą się lepkie cząstki pół rozpuszczonego cukru i tym podobnie. A jednak, jeżeli zostawisz kapelusz twój na głowie, jako na części ciała, która u wielu ludzi po to tylko jest stworzona, aby mieli na czem nosić tę nieodstępną część ubioru, wnet zbliża się cukiernik, już zdaleka stara się nadać swym oczom wyraz słodkiej i poprawnie paryzkiej uprzejmości, pochyla się nad tobą, uśmiecha grzecznie i mówi: „Pan będzie łaskaw, przepraszam najmocniej, zdjąć kapelusik“. „A to z jakiego powodu?“ „Albowiem ciastka... ten! chciałem powiedzieć damy“... „Nie ma ich“. „Mogą nadejść“. Nie lubisz być upominany, nie zdejmujesz kapelusza, ale wychodzisz zły. Czasem zdarza się, że nie gospodarz zakładu, ale jaki ultrakonserwatywny gość upomina cię w sposób mniej lub więcej szorstki, abyś odkrył i okazał światu wierzch twej czupryny, peruki lub łysiny. Odpowiadasz mu, żeby patrzył swej filiżanki z kawą; ztąd sprzeczki, ztąd ekspens bezpożyteczny wielkich zapasów ironii, a czasem rozwiązanie sprawy jeszcze ostrzejsze. Niedawno z tego powodu, w jednej z najbardziej uczęszczanych cukierni miała miejsce scena następująca. Pewien jegomość, nie zdjęwszy kapelusza, mimo uprzejmych rad gospodarza zakładu, opuścił takowy wcale nie w różowem usposobieniu. Tymczasem inny jegomość, który poprzednio już siedząc za pierwszym, mierzył go wzrokiem wyzywającym, zbliżył się do gospodarza i spytał: „Kto jest ten pan, który wyszedł, a który siedział tu wobec mnie w kapeluszu?“ „Jestto fabrykant szczotek“, odpowiada cukiernik. „Gdyby nie był wyszedł, dałbym mu nawet naukę. Kto to jest?“ „Fabrykant szczotek“. „Tak? Aha! Jakto zaraz czuć człowieka z gminu. Szczotkarz! Dlaczego ja tego nie zrobię?“ To mówiąc, trzaska drzwiami i wychodzi. „Kto jest ten młody arystokrata?“ — pytają wszyscy po odejściu drugiego jegomości. Cukiernik chwyta się za nos i poczyina palcem prowadzić po twarzy jak brzytwą: „Golarz p. dobrodzieju“, odpowiada. Golarz więc poczytywał szczotkarza za człowieka z gminu. A wszystko to à propos kapelusza. Widzimy z tego, że razby już przecie wypadało uregulować tę kwestyę, która już nietylko od czasu do czasu prywatnie indywidua na się obrusza, ale może się stać powodem niechęci całych korporacji sławetnych golarzy i szczotkarzy, które tem względem siebie powinny być zawsze bliższe, że zadaniem ich jest utrzymanie porządku w częściach organizmu ludzkiego, tak blizkich sobie jak broda i czupryna. Ale może to właśnie zazdrość wywołuje emulacyę, która z lada powodu zmienia się w mniej więcej otwartą i mniej więcej zaciętą wojnę.

Ta ukryta „pyszka“, która sprawia, że u nas golarz poczytuje szczotkarza za człowieka z gminu i sam się ma za coś znacznie lepszego odeń i arystokratyczniejszego, stała się

także przyczyną w roku 1875, że projektowana resursa rzemieślnicza w żaden sposób nie mogła dojść do skutku. Zastanawiając się nad szkopułami, o które wciąż rozbijał się projekt założenia w Warszawie podobnej, tyle pożytecznej instytucyi, doszedł Sienkiewicz do wniosku, na podstawie gruntownej znajomości naszej polskiej szlachecko-arystokratycznej natury, że na właściwy powód niepowodzenia tej sprawy wskazało jedno z pism warszawskich, według którego projekt ten nosił zarody śmierci, a raczej powody niemożliwości przyjscia na świat *w samej swej nazwie*, nazywa się bowiem resursą *rzemieślniczą*. Tymczasem, zdaniem owego pisma, rzemieślników u nas niema wcale.

Jakto? spytacie ze zdziwieniem. A ten, który klęcząc na podłodze bierze mi białym papierkiem miarę od pasa do ziemi, a ten, dzięki któremu mam wieczne odciski, a ten, który sprawił, że drzwi mieszkania mojego nie zamykają się dobrze, a ten, który uczynił meble moje czułem na wszelkie zmiany powietrza? a czyż wszyscy, którzy obiecawszy coś na jutro, dotrzymują obietnicy za miesiąc, nie są rzemieślnikami? Otóż nie, miły czytelniku. To nie są rzemieślnicy, to są przemysłowcy; ci wstydzą się nazwy rzemieślnika i do przyszłej resursy nie zechcą należeć, właśnie dlatego, że nazywa się rzemieślniczą. Ale czyż już niema biedniejszych, którzyby się tej nazwy nie wstydzili. Na upartego są. Mieszkają na jakichś ulicach, o których nie słyszeliśmy nigdy; trudnią się łataniem, naprawianiem, odnawianiem i tym podobnemi robotkami. Biedni są, aż włosy na głowie powstają. Za łada chorobą kwalifikują się do bióra wyjątkowej nędzy, resursy zaś żadnej nie potrzebują, bo resursy mają na każdym rogu ulicy, do projektowanej zaś stanowczo należeć nie będą, nie dlatego, że ma być rzemieślniczą, ale dlatego, że ma być resursą. Owóż i losy resursy rzemieślniczej! Jedni nie chcą jej, bo jest rzemieślniczą, drudzy, bo jest resursą. W jednych wstręt budzi przymiotnik, inni z rzeczownikiem pogodzić się nie umieją; skutek zaś tych gramatycznych wstrętów taki, że tak rzeczownik, jak i przymiotnik prawdopodobnie pozostaną przez czas jeszcze długi w niebie platońskich idei. Tak się to u nas dzieje z większą częścią projektów. Pomienione pismo radzi, aby dla nieobrażania arystokratycznych uczuć naszych rzemieślników nazwać resursę resursą nie rzemieślniczą, ale resursą przemysłowców, oraz, aby choć kilku hrabiów zostało teje resursy platonicznymi członkami. Co do ostatniej rady, pouczeni doświadczeniem lat ostatnich, poręczamy za jej skuteczność. Możliwość zasiadania w komitecie resursy pod prezydencją dziewięciopółkowej korony, będzie

ponętą, zbyt wielką, aby mógł się jej oprzeć jakikolwiek przemysłowiec, wstydzący się nazwy rzemieślnika. Z drugiej strony, jeżeli między innemi zadaniami, celem takiej resursy jest być szkołą uobyczajenia towarzyskiego, w takim razie choćby tylko platoniczny w niej udział indywiduów, uosabiających wielko-światową wykwintność, może tylko bardzo zbawienne wydać owoce. W najgorszym razie moglibyśmy oczekiwać znakomitego poprawienia się francuzkiego akcentu tych córek naszych przemysłowców, które biorąc nie dość długo lekye od rozmaitych mam Cotschedan, Chifon, etc., używają francuzczyzny miejscowego wyrobu.

To nasze upodobanie we francuzczyźnie, które Sienkiewicz tak często piętnował w swych feljetonach, jest również jedną z naszych wad narodowych, wadą, która prawie zasługuje na nazwę śmieszności, a która jest gorszą o wiele, aniżeli nasza projektomanja. Wprawdzie i jedna i druga wypływają z jednego źródła, mianowicie z próżności, ale nasze zamięłowanie do „paryzkiego akcentu“ ma jeszcze i drugą psychologiczną genezę, mianowicie głupotę. Na zarzut zbytniego hołdowania językowi francuzkiemu kosztem ojczystego zasługują szczególnie nasze panie, mające pretensję należenia do miejscowej *haute volée*, co nieraz kronikarzowi *Gazety polskiej* nasuwało pod pióro bardzo złośliwe uwagi.

Gdybym chciał mówić nie o zamiarach, ale o czynach, przyszło by mi chyba pisać o ornatach, wyhaftowanych rękoma naszych arystokratycznych dam dla rozmaitych wielebnych i przewielebnych, odznaczających się paryzkim akcentem i paryzkimi ruchami, i umiejących ze szczególniejszą pokorą chrześcijańską zbierać kożuszki z kawy na poobiednich przyjęciach. Musiałbym chyba wymówić się z tem, co usłyszałem w sekrecie, że pewne arcy-pobożne bractwo damskie podało do swego duchownego przewodnika adres, aby na posiedzeniach tygodniowych podawał swej wiernej trzódce obrok duchowy po francuzku. Czegóż bo to zresztą dowodzi? Można umieć i po francuzku i po polsku. Że nasze damy umieją, o tem nigdy nie wątpiłem, a teraz wątpię jeszcze mniej, niż kiedykolwiek, ponieważ sam byłem świadkiem, jak pewna arystokratyczna dama, po stosunkowo krótkim namyśle, przypomniała sobie jak-najszybciej, że pies, po polsku, nazywa się: pies! Czegóż tu chcieć więcej. I to posądzają jeszcze takie damy o kosmopolityzm.

Swoją drogą francuzczyzna zaczyna w ostatnich czasach coraz bardziej ustępować angielszczyźnie, bo, jak słusznie ktoś

zauważył, po francuzku mówią już dziś u nas nawet porządni lokaje, tak, iż nie chcąc być zrozumianymi przez nich, trzeba mówić po angielsku. Nadto zrodził się w sferach arystokratycznych, obok upodobania w języku angielskim, także i prawdziwy kult dla obyczajów angielskich, kult, który z naszych angłomanów robi najczęściej śmieszne karykatury, kwalifikujące się do farsy, bo nawet nie do komedyi.

Na kult ten zwrócił po swojemu uwagę Sienkiewicz w feljetonie *Gazety polskiej* z d. 24 maja 1875 r.

Kiedy pewnego poranku młody jeden tutejszo-krajowy gentleman, który udawał angielskiego lorda, to jest bawił się w ten sposób, że się nudził, wyjrzał przez weneckie okno na dziedziniec swego pałacu, ujrzał tam widok, na który zimno go przeszło od stóp do głów. A jednak w widoku owym nie było na pozór nic okropnego. Na dziedzińcu stangret Jan czyścił spokojnie elegancki angielski powozik. Powozik był jakby prosto z igły, a Jan nie mógł obrazić nieczyich oczu. Chłop był rostry, pleczysty, prawdziwy mazur, do koni sprawny. Na koźle wyglądał jak świeca. Polewał oto właśnie wiaderkiem koła powozu czystą wodą, a polewając nucił po mazowiecku: „Kiedy orzech czerwienieje! czerwienieje!“... Chwilami przerywał robotę, odstępował parę kroków, przypatrywał się z zadowoleniem kołom, a potem śpiewał znowu: „Kiedy orzech czerwienieje! czerwienieje!“... „Dżon!“ — zawołał po angielsku tutejszo-krajowy lord. Ale Jan dwa dni dopiero był w służbie, nie rozumiał, że to na niego, chlusał jakby nigdy nie wodą na koła i śpiewał: „Kiedy orzech czerwienieje! czerwienieje!“... „Jan do milionset d...“ „Słucham jasnie pana“. „Co to jest?“ — spytał lord, wyciągając rękę w kierunku nosa Jana. Jan spojrzał na siebie, na pana i nie wiedział, o co chodzi. „Co to za obrzydliwe wąsy, mówił dalej lord. Goddam! Zgolić mi to natychmiast. Rozumiesz? Zgolisz, albo ze służby!“ Janowi markotno się jakoś zrobiło na duszy. Bo żeby on to przynajmniej rozumiał, dlaczego mu kazali golić wąsy? No! — ale on obyczajów angielskich nie znał. On sobie myślał, że toć to wstyd, by zasię taki chłop rostry miał gołe jak pięść lice i rozumował sobie po mazowiecku, że „przez obrazy bożkiej“ wąsisków obrzynać nie może. Bah! Ale tu inaczej służbę stracisz, a tu służba dobra. Podrapał się nieboraczysko w głowę, co zresztą było bardzo shoking; skłonił się panu i, nie rzekłszy słowa, odszedł kończyć mycie powozu. Ale kończąc mycie myślał i myślał. Służba bo to i dobra, ale i obraza bozka także nie żarty. A przytem myślał sobie jeszcze Jan, że on to nie żaden „mechanik ni fizyk“, by się miał na śmiech ludzki podawać. Ot i ta np. Jagusia, pokojówka od jasnie pani, co to

się tak uśmiecha do niego, że ile razy na nią spojrzy, to mu się tak miło robi, jakby się napił czego gorącego, co ona powie, jak go bez wąsów zobaczy? Wyśmiej się chyba, wyśmiej jak Bóg na niebie! Ha! trudna rada! Nie jeden pałac na świecie, nie jeden pan i nie jedna służba. Niech się więc dzieje wola boża, myśli, trzeba będzie podziękować za służbę. Jak pomyślał, tak i zrobił, choć mu żal było. Szczęściem, nie długo poczekawszy, znalazł sobie drugą służbę. Nie była ona tak dobra, jak pierwsza, bo choć równie dobrze płatna, ale jak miarkował Jan, nie u takiego wielkiego pana, tylko u kogoś innego. Co tu jednak przebierać? Dzięki Bogu i za taką. Myślał już Jan, że się wybawił z kłopotu, aż tu po dwóch dniach wołają go do pana. „Co ty Jan?“ — mówi nowy pan do niego. „Co ty Jan? Co ty sobie myślisz z takimi wąsami. To nie jest eleganckie. To nie jest żaden szyk, to wcale nie jest po angielsku. Ty Jan musisz mi zaraz takie wąsy ogolić, bo inaczej ja ciebie ze służby wypędzę“. W Jana jakby piorun uderzył. Wyszedł z pokoju, grzotnął czapkę o ziemię. Biedak nie wiedział, że nowy pan daleko jeszcze ściślej trzymał się mody niż dawny. Zapłakał mazur nad swoimi wąsami. Ale cóż tu i robić? przecie nie pójdzie kraść, ani żebrać. Przecie z głodu nie może umrzeć. Ha! Raz kozie śmierć, mówi chłopskie mazowieckie przysłowie. Pod wodę nie popłyniesz. Wziął więc Jan czapkę i poszedł do cyrulika. Cyrulik spojrzał się nań podejrzliwie. Ogolić wąsy? Hm! hm! bardzo dobrze! Kto jednak chce takie piękne wąsy golić, ten djable musi mieć do tego przyczyny. Po ogoleniu takich wąsów ani rozpoznasz, że to ta sama twarz, ale właśnie może o to chodzi, żeby twarzę nie rozpoznać. Cyrulik rozrobił więc mydło, ale poprzednio szepnął coś chłopcu do ucha, potem uchwycił klasycznie Jana za nos, umalował mu dobrze pół twarzy na białe i począł golić. Gdy skończył, spojrzał Jan w lustro i aż za głowę się pochwycił. Oj! dolaż jego, dola! A toć on do stworzenia bozkiego nie podobny, a Jagusi to się już i na oczy nie pokaże. Radby zapłakać był, ale że wstyd przy ludziach, zapłacił więc i chce wychodzić, aż tu „Stój!“ Jezus Marya! i anieli niebiescy! a toż to policya go bierze. Jak? co? za co? dlaczego? Prowadzą go, sam nie wie gdzie. Mówią, że kogoś zabił, czy coś podobnego? Nic nie pomoże. Przyszła widać ostatnia jego godzina. Zaprowadzili go do sądziego, aż tam pytania, badania, a potem śmiech, i dopiero cała sprawa się wyjaśnia. Oto jest historia Jana, za której autentyczność ręczymy. Całą tę sprawę możnaby nazwać historią mazowieckich wąsów, złożonych na ołtarzu mody angielskiej.

Niemniej dla nas charakterystycznym jest nasze upodobanie w rozprawach na temat dobra społecznego, które niby miłujemy nadewszystko, ale naprawdę więcej o niem mówimy,

niż usiłujemy słowa nasze stosować w praktyce. Bo uczucia te, niestety, przeważnie są czysto platonicznej natury.

Znam pewnego obywatela, który całe życie nie trudni się niczem, tylko wypalaniem pięknej piankowej cygarniczki, a który miłuje przytem dobro społeczne. Cóż chcecie: powiada, że miłuje, i może nawet na prawdę. Platonik! Prawda, że przy tak bezinteresownej miłości, dobro społeczne mogłoby utopić się, być zjedzone przez psy, rozbić sobie głowę o kamień, połamać ręce i nogi, nie mniej jednak nie przestałoby być kochane. Gdyby naprzykład wpadło w wodę i krzyczało w niebogłósy „topię się!“ — pomieniony obywatel swoją drogą nie wlażyłby dla ratowania go do wody, ale natomiast, jestem pewny jego serca, swoją drogą powtarzałby ze łzami w oczach: Jaka szkoda! topi się, a takie piękne dobro społeczne! Gdyby rzuciło rękawiczkę, nakształt pięknej Marty z Szyllerowskiej ballady, między dzikie zwierzęta, taki obywatel postąpiłby wprost przeciwnie, jak sławny Emrod, to jest po rękawiczkę wprawdzie by nie poszedł, ale też i kochać dobra społecznego by nie przestał. A teraz, mili czytelnicy, chcecie wiedzieć, jak się taki platoniczny wielbiciel wdzięków dobra ogólnego nazywa. Mogę zdradzić tajemnicę, albowiem po pierwsze: nikt mnie o sekret nie prosił, a powtóre: choćby to był sekret, wygadałbym się z nim umyślnie. Taki obywatel nazywa się: przeciętny. Jestto na nieszczęście doskonale skoligacona, a przytem i liczna rodzina. Tak jest, przeciętny. Gdyby nie on, gdyby nie ta platoniczna rodzina, natenczas ów znany wiersz, że dla dobra ogółu, każda smakuje trucizna, ten wiersz bez psów, liszek i czajek, nie byłby „najlepszą z Krasickiego bajek“. Gdyby nie ta „przeciętna“, a nieszczęśliwa rodzina, chora jednocześnie na krewkość w zamiarach, a niedołęztwo w czynach, na gadatliwość i lenistwo, łatwowierność, pychę, łakomstwo, słowem na wszystkie siedem grzechów głównych, wówczas nie płonęłyby nasze miasta, nie świeciłyby gołemi pieńkami nasze lasy, a gołemi piętami nasi przyszli potomkowie, nie waliłyby się nasze domy. Ach! gdyby nie ta rodzina, nasze stowarzyszenia nie potrzebowałyby ogłaszać drukiem melancholicznych ód do zalegających z opłatą członków; nasza spółka jedwabnicza, poparta jak należy przez ogół, sprzedawałaby już jedwab na wszystkich targach sąsiednich; w Studzieńcu stałby już budynek i uczyłyby się już moralności przestępne dzieci; nasz Merkury nie byłby najchudszy i zdychającym z głodu Merkurym, tanie kuchnie nie potrzebowałyby grać roli dziada z szopki, występującego z woreczkiem na końcu przedstawienia i proszącego „o talary i o zboże, i o wszystko co być może;“ wy zaś wszyscy, t. j. ja i wy, mili czytelnicy, nie potrzebowalibyśmy każdego nowego roku kończyć rachunki z roku ubiegłego w ten sposób: zero od zera, zero, nie mogę: pożyczam... od żyda. „Mówię, bom smutny, i sam pełen winy“, powiada Słowacki, ja zaś po-

wtarzam za nim. Powtarzam nie dlatego zresztą, żebym doszedłszy matematycznej prawdy, że zero od zera jest zero, miał już pożyczać od żyda. Nie, do tego jeszcze nie doszło! Ale, że pod pewnym względem należę i ja do tej przeciętnej rodziny, jako dowód może posłużyć choćby i to, że obowiązkiem moim jest dostarczyć feljetonu na poniedziałek, a piszę go na wtorek, skutkiem czego stosunki moje z redakcją pozostawiają w tej chwili wiele do życzenia, a nawet spowodowały wymianę niezbyt dyplomatycznych not między mną a pomienioną redakcją, która nie omieszkła wystosować do mnie pewnego, dość nieprzyjemnej natury ultimatum, którego tylko dlatego za *casus belli* nie uważam, że nie jestem uzbrojony. Co do mnie jednak, przyrzekam sobie, że odtąd stale odcinek mój będzie gotowy nie na wtorek, ale na poniedziałek; a oprócz tego, rozważając wszystkie grzechy rodziny przeciętnej, bijąc się w piersi i powtarzając *mea culpa*, wzywam ją, aby uczyniła toż samo.

Wątpliwości nie ulega również, że „zawsze grzeszyliśmy i grzeszymy przesadą w kadzidle dla ogółu, w pieprzu dla jednostek“, a jeśli pieprz często budzi niesmak, to na kadzidle raz po raz zawodzimy się najfatalniej.

Przynajmniej raz w tydzień któreś z pism doniesie nam ze łzami w oczach, że Warszawa to gród najpełniejszy wszelakich cnót ewangelicznych. Co rusz, to któryś z kuryerów oznajmia wzruszonym głosem, że największą rozkosz dla Warszawian stanowi spełnienie wszelkich dobrych uczynków tak co do ciała, jak i co do duszy, o jakich tylko katechizm księdza Putyjatyckiego wspomina, że byle sposobność się zdarzy wesprzeć jakąś dobroczynną instytucję, to wszyscy natychmiast z gotowym dla niej spieszymy groszem. I tak kołysaliśmy się w błogiem przeświadczeniu o naszym miłosierdziu, o naszej gotowości do ofiar. Cóż ztąd wynika? Oto, że gdy przychodzi dać dowód istnienia tych chrześcijańskich cnót, każdy z nas, licząc na ogół, o którym tyle czytał i słyszał, powiada sobie. „Ja tam już niepotrzebny. Warszawa, ta miłosierna, litościwa a hojna Warszawa, pójdzie tam i bezemnie, spojrzy i swoje zrobi. W ten sposób, ani ja straty nie poniosę, ani biedni nie ucierpią“. Tymczasem nazajutrz pokazuje się, że w Warszawie sto tysięcy ludzi kombinowało podobnie, skutkiem tego nikt nigdzie nie poszedł, o niczem się nie przekonał i nie nie dał. Ileż to razy podobne wypadki miały miejsce.

Ale za to, przy łada okazji, rozprawiamy o naszych dobrych chęciach, o naszej gotowości do poświęceń na rzecz ogółu, choć wszystko to są puste słowa, bo naprawdę sami

nie wierzymy w to, co głosimy, i z góry jesteśmy przekonani, że na wiatr mówimy, że zawsze tam, gdzie chodzi o jakąś robotę społeczną, usuniemy się w ostatniej chwili, żeby inni robili za nas... Smutna to prawda, ale ktokolwiek bliżej przypatrywał się naszym robotom *dla dobra ogółu*, ten przyznać musi, że tak się dzieje najczęściej... Takich, co wojują szumnemi frazesami, zawsze mieliśmy legion, tylko takich, coby robić chcieli, liczba niedostateczna. Ztąd nauka, „żebyśmy o zamiarach naszych nie trąbili na wszystkie strony świata, nim będziemy mieli jakąś pewność, że zamiary owe kiedykolwiek w czyn się zmieniają; żebyśmy sobie nie winszowali obywatelskich zasług i uczuć na mocy chęci tylko, nie zaś czynów“.

Powinniśmy nauczyć się mówić sobie prawdę w oczy: powinniśmy zrozumieć, że niektóre nasze popularności są to nadęte powietrzem pęcherze, na które, gdy jaki istotny ciężar obowiązków spadnie, wnet się dziurawią, robią wiele huk i puku, a pozostaje tylko trochę dymu i lichy szmat, na obwinienie palca nawet nie zdalny. Powinniśmy wyznać sobie, że nie umiemy nic zrobić porządnie, że jedni chcemy iść do lasa, drudzy do Sasa, że ruch społeczny, jaki zdawał się chwilowo ożywiać i wzrastać, osłabł znowu, że brak wybitniejszych osobistości, że widocznie żyjemy w dniu Sabbatu, bo jak mówi poeta: „Dziś dzień siódmy, Bóg rękę na rękę założył, Odpoczywa po pracy — nikogo nie stworzył“. Tak! tak! mili czytelnicy. Gdyby nas jaki olbrzym zebrał wszystkich razem potężną dłonią i popróbował przesiać, choćby przez najdrobniejsze sito, przelecielibyśmy wszyscy napewno razem z naszymi znakomitościami. W sicie pozostałoby chyba tylko kilka czapek, ponieważ każda czapka, jako obejmująca głowę, musi być od niej większa, kilka grubszych projektów i spora ilość ogromnych zamiarów, z którymi olbrzym ów nie wiedziałby co robić, bo się nawet na podpałkę w piecu nie zdały.

Czego to dowodzi? Chyba nie rzetelnej miłości dobra ogółu... Nadomiar złego jesteśmy niezaradni, zaczem idzie, że często najlepszy projekt, choć się zrodzi nawet, musi upaść niebawem, bo nikomu nie zależy naprawdę, by projekt nie pozostał projektem, lecz przyobłókl się w szaty czynu dokonanego. Przykładów, ilustrujących ten nasz brak troskliwości obywatelskiej, na każdym kroku widzi się mnóstwo.

„O! bardzo się obecnie obawiam o nasze miasteczko“, mówił jeden z moich znajomych. „Żydzi poubezpieczali się wysoko: może być źle. O pożar łatwo“. „Powiedz mi, dlaczego nie założycie ochotniczej straży pożarnej?“ Mój znajomy wziął się za boki i począł się śmiać długo i serdecznie. „I któż będzie do niej należał? Ja jeden“. Pytałem, czy przynajmniej mają narzędzia pożarne: beczki, topory, bosaki do zdzierania dachów i tym podobne. Odpowiedziano mi, że tak jest. Przed laty kilku kupiono beczkę. Na nieszczęście z jednego jej końca spadła obręcz. Zawołano więc bednarza, żeby ją nabił, ale na nieszczęście, gdy ją nabijał na jednym końcu, spadła druga obręcz na drugim końcu. Bednarz, który nad pierwszą napracował się cały dzień, odłożył drugą na dzień następny. Przyszedł dzień następny, bednarz nabił drugą, ale spadła znów pierwsza, trzeciego znów druga, czwartego znów pierwsza, i tak już od paru lat: co jednego dnia nabije z jednej strony, to zleci z drugiej. Skutkiem tego, poczciwy bednarzyna ma już od kilku lat robotę, i jeżeli tak pójdzie dalej, i klepki się wreszcie nie rozlecą, będzie ją miał do końca życia. Ale co będzie w razie pożaru? Co się tyczy innych narzędzi, do bosaków nie mają wprawdzie jeszcze okuć, ale mają już kije. Pogniło to tam wprawdzie trochę, bo raz obsunęło się ze ściany, o którą było oparte, i wpadło do kałuży przed Zajazdem, która i podczas największej suszy nie wysycha, a jak wpadło przed czterema laty, tak nikomu nie przyszło jakoś do głowy wydobyć.

W ten sposób w wielu naszych miasteczkach myśli się o straży ochotniczej, ale wszystko kończy się na owej beczce. Na szczęście dzieje się tak nie wszędzie i nie brak miasteczek, jak n. p. Konin, gdzie zorganizowano straż ochotniczą, która się dzielnie sprawnia w razie potrzeby, a zarazem może służyć za dowód, jak dalece jesteśmy... obojętni na sprawy publiczne. Stosunek bowiem *narodowościowy* ochotników, do straży pożarnej zapisanych, upoważnia do najpesymistyczniejszych refleksyi.

Ktoby uwierzył, że na stu ochotników, poczuwających się do obowiązku służenia, jest 98 Żydów i Niemców, a *tylko dwóch* (gdzie jest mój bicz satyryczny, podajcie mi mój bicz!!!) wyrażnie tylko dwóch nie niemców i nie żydów. Stosunek to piękny, nieprawda? i pięknie świadczący o patriotyzmie i odwadze nie żydowskiej i nie niemieckiej młodzieży, zamieszkującej wspomniane miasto. Ale sądzić będziecie może, że tam prócz Niemców i Żydów niema nikogo więcej? Przyznam się, że i ja tak sądziłem, ale myliłem się równie, jak wy, czytelnicy. Widziałem, niestety! całe dziesiątki rośliwych, zdrowych i młodych gentlemanów konińskich. Widziałem ich wygładzających paznogie, ziewających, palących

papierosy, przypatrujących się pod światło końcom piór z takimi mianami, jakby zasiadali co najmniej na konferencyach brukselskich, zachowujących się względem interesantów w ten sposób, że mimowoli popadałeś w wątpliwość, czy tabakierki zostały stworzone dla nosów, czy nosy dla tabakierek. Widziałem ich także w miejscowej cukierni, w restauracyi przy bilardach, i wierzę mi, o zrozumieli Warszawianie! że moglibyście być ich uczniami w piramidkę. Idę także o zakład z wami, Łęczycanie, że w walce z nimi o wypitkę nie utrzymalibyście swego piśkorskiego honoru. Gotówem dalej trzymać trzy przeciw jednemu, że żaden wikary nie gra tak w preferansa, jak pierwszy lepszy z tych brylantów konińskich, o których chyba tylko wyrafinowana złośliwość mogła powiedzieć, że mają głowy tak twarde, iż możnaby nimi tłuc orzechy. Również nie widzę, co by w tem miało być złego, że się trochę za mocno pomadują. Zbytne używanie pomady przyczynia się wprawdzie do wypadania włosów, że jednak na mocy pewnego znanego przysłowia o łysinach i głowach, młodzież konińska nie potrzebuje się obawiać łysin, zarzut więc ten okazuje się równie płonnym, jak i wszystkie inne, któremi ją, t. j. tę młodzież obarczają. Jak widzimy, zanadto ważnych obowiązków leży na tych pięknych ramionach, aby obciążać je pożarnemi drabinami; zanadto darów rozsypała natura na te oblicza, aby narażać je na osmalenie dymem i sadzą; zanadto pomady wychodzi na czupryny, aby przypruszać je popiołem. Zresztą, kto codzień wypił taką a taką ilość kufli piwa, ten w nocy potrzebuje spać, nie latać z beczkami do ognia. Nakoniec, komu Pan Bóg nie dał odwagi, zkądże jej ma wziąć u licha, i poco się ma na nią zdobywać skoro ci, co jej mają dosyć, to jest jak n. p. w Koninie, Żydzi i Niemcy, potrafią go zastąpić.

Wskutek podobnej opieszałości, obojętnie patrzymy na niski kulturalny stan naszego kraju, nie razi nas, że gdy inni wciąż postępują i idą naprzód, my stoimy w miejscu, a więc zostajemy daleko w tyle. Refleksye te nasunęły się autorowi *Chwili obecnej* w sposób szczególnie uderzający w czasie wyćieczki w Podlaskie, gdzie, jak się o tem naocznie przekonał, ludzie orzą jeszcze drewnianemi sochami, a gospodarują na trójpółówkach. „Wszystko, jak było za króla Ćwieczka. W czytanie i pisanie oczywiście nie bardzo się tam bawią, są to bowiem pomysły zamorskie. Czytają kalendarze: prócz tego, w je-dnym inteligentniejszym domu znalazłem dzieło pod tytułem: *Święta Genowefa, czyli niewinność uciemiężona na puszczy Anno 1756*. Co do pisania, zauważyłem jedną okoliczność, którą

prawdopodobnie miejscowym zwyczajom przypisać należy. Oto wyraz wtorek, piszą powszechnie przez: f. Między majątkami jest tylko jeden, zagospodarowany świetnie i urządzony na płodzmian; ale to tam mówić nie warto: właściciel ma nazwisko niemieckie. Ale, ale, zapomniałem: byłbym skrzywdził tamte strony. Widziałem jedną rzecz postępową: wycieli swoje lasy. Wycieli: widać całe obszary pokryte pniakami. Wycieli i sprzedali żydom, którzy sprzedali tam jeszcze komuś i t. d. Nie było nas, był las"... O, bo umiejętność wycinania lasów, to specjalność wielu naszych ziemian, podobnie, jak zdolność sprzedawania zboża na pniu żydowi!...

A teraz opowiem wam małą historię o Icku Popycku. Historia to nie z Bajarza, ale z rzeczywistości. Tego Icka Popycka nawet znacie. Dzisiaj to milionowy pan; zrobił ogromną fortunę na lasach, w jaki zaś sposób ją zrobił, właśnie prawić zamierzam. Był szlachcic, pan, ale to pan całą gębą. Dobra krew, ogromna fortuna, ogromna fantazyja; słowem: wszystko Bóg dał, niczego nie odmówił. Ożenił się z córką magnata, wziął dobra ogromne i wyjechał za granicę. W dobrach tych szczególnie cudne miał lasy: starodrzew! sosny gubiły w niebie wierchołki, a dęby, a buki, a wszelki rodzaj drzewa. Wśród tych lasów była fabryka, co lasom nadawało olbrzymią wartość, w tych bowiem czasach jeszcze kamiennego węgla nie używano. Otóż Icek Popycek postanowił sobie kupić te lasy. Kupić? Łatwo powiedzieć. Ale jak kupić? Właściciel bogaty, jak Krezus, siedzi za granicą i ani myśli sprzedać. Jak ktoś czego nie chce sprzedać, to na pozór zdaje mi się, iż tego kupić po prostu niepodobna. Wszelki rozum wobec takiej alternatywy przestaje działać. Tak, wszelki, ale nie Icka Popycka. Wyobraźcie sobie zdziwienie naszego szlachcica-magnata, gdy pewnego poranku otwierają się drzwi pysznego numeru w Grand Hôtel na Bulwarach w Paryżu i wchodzi kto? Icek Popycek. Tak tak, Icek Popycek w Paryżu, z pejsami, w chałacie i z fajką porcelanową, wyglądającą wygiętym cybuszkiem z tylnej kieszeni. Uradowała się dusza naszego magnata. Zobaczyć w Paryżu coś tak par excellence swojskiego, któżby się nie uśmieł, nie ucieszył. Zerwał się: „Icek! jak się masz?!“ „Padam do nóg, Jasnego Pana“. „Co ty tu robisz?“ „Ja za interesami. Ot jak zwiezajni Żid“. I rozmowa potoczyła się żwawo; aż po niejakiem czasie Icek mówi: „Ja mam do Jasny Pana wielką prośbę“. „Co takiego?“ „Ja mam tu 200 tysięcy franków, co odebrałem po żonie, po jej krewnych. Tyle pieniędzy ja się boję. Tu same złodzieje i rozbójniki. Niech Jasny Pan mi to schowa. Ja może za pół roku, może za rok przyjadę znowu i odbiorę“.

Jasny pan nie chciał, nie chciał, wzdragał się, wreszcie ustąpił i pieniądze schował. Icek Popycek wyjechał z Paryża, i wkrótce Pan o nim zapomniał. W Paryżu, jak w Paryżu, jest dużo wrażeń, robi się wiele znajomości. Nasz magnat porobił nawet znakomite, poznał się bowiem z członkami świty zmarłego cesarza Napoleona III. Byli to gentlemen, niektórzy wysoce urodzeni, wszyscy bogaci, świetni, wspaniali; używali życia, podróżowali, uwodzili kobiety, polowali; jeździli na wyścigi, grali. Grali nawet gracko. Raz nasz rodak, skuszony może widokiem złota, może chcąc szczęścia próbować, usiadł z nimi do gry. Przegrał. Przegrał 800,000 franków i zapłacił częścią swoją gotówką, częścią Icka. Na drugi czy trzeci dzień zjawia się Icek. „Padam do nóg Jasnego Panu“. „A! to ty. Co powiesz?“ „Chciałem Jaśnie Pana prosić o swoje pieniądze. Trafia mi się geszeft na las. Ech! ce, ce, ce, ce, co za geszeft. Jaki las, drugi raz się taki nie zdarzy: muliony zarobię“. Magnat przechodził się szybkim krokiem po pokoju. Nagle stanął. „Co? co?“ „Eh, jaśnie panie, co za las! Ce! ce!“ „Czego ty masz kupować u obcych. Kup u mnie“. „No, jeśli jaśnie pan tanio sprzedaje... Reszty domyślacie się, czytelnicy. Psycholog Icek Popycek znał grunt, na którym budował. Icek Popycek był wielkim dyplomata, wielkim, w swoim małym rodzaju, wodzem. Wygrał ogromną kampanię, zrobił ogromną fortunę, i dziś cieszy się wielkim uznaniem, tych zwłaszcza, którzy jeszcze mają lasy do sprzedania. Z drugiej strony historia ta maluje i nas doskonale. Byłe pieniądze w rękę, oho! Mówi się sobie: pójdą na wkłady gospodarcze, na ulepszenia, na spłatę długów, etc. A w rzeczywistości idą... gdzie? Ot, do ludzi. Rozłazą się. Część się przeżyje..

Poglądy tego rodzaju, jakkolwiek nacechowane prawdą, nie wszystkim trafiały do przekonania, zwłaszcza tym, którym wzrastający rozgłos feljetonów w *Gazecie polskiej* zaczynał być solą w oku. Ztąd częste polemiki z autorem *Chwili obecnej*, polemiki, które prawie zawsze równały się osobistym napaściom, a ponieważ społeczeństwo nasze, dzięki swemu wyjątkowemu położeniu, lubi być karmione optymizmem, a nie znosi pesymizmu, więc nie było łatwiejszego sposobu zdepopularyzowania młodego publicysty, jak przekonanie ludzi, że jest to czarny pesymista, który dlatego o wszystkim wątpi, że niczego naprawdę nie kocha.

Mój Boże! pomawiają mnie o pesymizm, o umyślne przesadzanie w ciemnych barwach, ile razy dotykam miejscowych stosunków. Pominąwszy już źródło tego pesymizmu, które Bóg widzi czyste jest i prze-

jasne, osądźcie sami, czy ja mam zbyt zakopcone szkła na oczach, czy też rzeczywistość ciemna jest i smutna.

Bo jakże tu nie być pesymistą, kiedy wszystko, czemukolwiek przyjrzeć się bliżej, musi usposabiać pesymistycznie. Czyta się np. korespondencję z prowincyi.

Oto w Kaliszu był rodzaj wystawy pod nazwą: „popis przemysłu i rolnictwa“. Wszystko udało się wybornie. W żywe oczy postawiono dowody, że okolica zamożna jest, dobrze uprawnna i pod rolniczym równie jak i przemysłowym względem wysoko posunięta. Śliczne były okazy fabryczne i rolnicze. Śliczne były rasy bydła, owiec, śliczne zboża, bajeczne jarzyny, a wszystkiego w bród. Bogdaj tak wszędzie, powiecie czytelnicy, ale nim dokończycie okrzyku, zawołam: bogdaj tak nigdzie. Co znowu? spytacie zdziwieni. Słuchajcie! Była na tej wystawie jedna dziwna i bardzo dziwna strona. Oto, między większością przepysznych okazów rolniczych, między temi świadectwami intelligencji, bogactw i pracy, kryły się okazy wprost przeciwnie. Kryły się po kątach, jakby wstydząc się same za siebie: marne, ubogie, wątłe, również prawdziwe świadectwa ubóstwa i obliczonej z dnia na dzień wegetacyi. A teraz czy wiecie, czyje były te okazy? pierwsze były niemieckie, drugie nasze. A! więc to nie mój pesymizm czytelnicy, to rzeczywistość, którą oglądały oczy wszystkich obecnych, o której pisali korespondenci do wszystkich pism, rzeczywistość tak bolesna, że nawet szydzić z niej nie można, ale ubolewać razem z wami wypada. Majatki tam najlepsze w rękach obcych; intelligencya w głowach obcych, wytrwałość w duszach obcych, pieniądze w workach obcych. A żywioł swoich? Ustępuje powoli. Miejsce naszych wielmożnych zajmują obcy przybyłce, nie poczynający gospodarstwa od czwórek, „mości dobrodzieju dobranych“, od „koczyka, mosterdzieju, dla imości, wiedeńskiego“, ale też i nie kończący na westchnieniach o racostwo w Tow. Kredytowem, z symulacyjnego dziedzictwa, przez dobroć łaskawych sąsiadów.

Dlaczego wam mówię to, czytelnicy, skoro wiem, że wam słyszeć boleśnie. Mnie równie boleśnie, ale nie o to tu chodzi. Mówię prawdę, bo trzeba, żebyśmy ją sobie mówili, nie oszczędzając się wzajemnie. Mówię prawdę i ostrzegam. To nasza, prasy, rola.

Dlatego też, w imię tej zasady prawdomówności, której, jego zdaniem, powinna hołdować nasza prasa, gdy mu przyszło dać ogólną charakterystykę Kaliszan, nie cofnął się przed napisaniem im kilku gorzkich słów *veritatis*; bo choć mu za-

imponowali, jako przemysłowcy, to z drugiej strony nie bardzo był nimi zachwycony, jako jednostkami społecznymi.

Czy wiecie też, czytelnicy, co to jest przeciętny Kaliszanin? Otóż napozór zdawałoby się, że jest to jednostka idealna, wypadła z podziałenia ilości cnót, wad, wszelakich dodatnich i ujemnych cech i czynności przez liczbę mieszkańców, w każdym razie jednostka teoretycznie idealna. Tymczasem coś się pokazuje: oto że ta jednostka w teorii idealna, w praktyce jest, chciałem powiedzieć: dyabło idealną, mówię zaś: arey realną. I tak: gdyby ktoś podzielił ilość wypitych kufli piwa przez ilość mieszkańców, pokazałoby się, że przeciętny Kaliszanin ma doskonałe pragnienie. Dalej, jeżeli podzielimy ilość zjedzonych wołów, bułek, chleba, cebuli, ilość wypitej herbaty, ponczu, ilość zjedzonych korecy kartofli, mleka, masła, przez ilość mieszkańców, okaże się, że apetyt przeciętnego Kaliszanina może wzbudzić prawdziwą zazdrość w duszy przeciętnego mieszkańca każdego innego miasta, położonego bądź po prawym, bądź po lewym brzegu Wisły. Dalej jeszcze: ilość zrobionych przez rok pletek przez ilość mieszkańców, świadczy wyraźnie, że i przeciętny Kaliszanin prawie dwa razy więcej interesuje się bliźnim, niż sobą samym. Mężka połowa mieszkańców twierdzi wprawdzie, że zasługa tak świetnego rezultatu co do ostatniej wypadkowej spada głównie na piękną połowę mieszkanki Kalisza, zwłaszcza zaś na te, które poślubiwszy dziewictwo, doczekały w niem wieczornych dni żywota swego. Ale nie o to chodzi; rzecz w tem, że przeciętny Kaliszanin dobrze je, pije jeszcze lepiej, sypia długo i dużo gada. Zobaczmyż teraz, ile przeciętny Kaliszanin czyta. Ponieważ nie mam pod ręką dokładnej cyfry prenumeratorów „Kaliszanina“, ani ilości pism wysyłanych do Kalisza z Warszawy, biorę więc te dane, które wziąć mogę. Oto panowie Heybowicz, Giler i Sp. założyli w Kaliszu tanią czytelnię, sprowadzili do niej kilkaset tomów książek i znaleźli w kilkunastotysięcznem mieście ośmnastu prenumeratorów. Wypada z tego, że Kalisz zażądał w swej czytelnii ośmnastu tomów, wyraźnie: ośmnastu tomów, co podzielone przez ilość mieszkańców, daje ułamek tomu na mieszkańca tak mały, że go z tego powodu nie cytuję, albowiem w obliczaniu sum większych zbyt małe ułamki zwykle się opuszcza.

Wszystko to, smutne i niepocieszające, o ile mogło czło wieka myślącego, szczerze miłującego swoje społeczeństwo, usposobić pesymistycznie, o tyle musiało, jak śnieg pod promieniami słońca, stopnieć wobec pierwszych powiewów wiosny, która największego pesymistę, o ile ten pesymista jest podszyty poetą, potrafi nastroić optymistycznie i różowo. Ponieważ

autor *Chwili obecnej* był właśnie w tem położeniu, więc gdy tylko zaczął się kwiecień, zaraz mu inne myśli zaczęły się cisnąć do głowy.

Mój czytelniku, powiem ci coś na ucho. Wiosna idzie! wiosna idzie, zawsze młoda, wonna, uśmiechnięta, stokroć miłsza i piękniejsza, niż bale i rauty. Wiosna! wiosna! Nie długo nad szarą rolą zwiśnie w powietrzu skowronek, śniegi stopnieją, popłyną strugi, strumyki i strumienie; potem jedno i drugie ciepła rozkoszne technienie, a zakwitnie sasank, drzewa wypuszczą jasną zieleń pąkowania, po wsiach bydło wypędzą do boru; ozwie się fujarka jedna, druga, trzecia, dziesiąta: oj dana! oj dana! — ptakom ledwo gardziołka nie popękają od rozkosznego śpiewu, i będzie wesoło, a rzeźwo, a radośnie.

Niestety, co innego jest wiosna na wsi, a co innego wiosna w Warszawie, gdzie nawet sasanki, dopiero co wspomniane z takim lirycznym rozmarzeniem, mogą się dać we znaki, gdy, jako pierwsze zwiastuny wiosny, w formie małych bukiecików, obwiniętych w zielony listek i posypane utartym fijołkowym korzeniem, zaczynają być, jako fijołki, sprzedawane po ulicach ¹⁾.

Małe chłopcy, trudniący się sprzedażą takich bukiecików, latają na wszystkie strony, chwytają niemal za poły przechodniów, proszą, pochlebiają, słowem, używają wszelkich możliwych sposobów do spieniężenia swego towaru. Jeżeli idziesz sam, miły czytelniku, łatwo sobie z nimi dasz radę; ale jeżeli towarzyszysz kobiecie, a do tego młodej i ładnej kobiecie, z którą jesteś na stopie ceremonialnej i której nie bardzo śmiesz kupić i ofiarować bukiecik, wówczas częstokroć bywasz

¹⁾ W kilka dni później, gdy znowu się oziębiło, pisał Sienkiewicz d. 22 marca, w Nr. 63 *Gazety polskiej* co następuje: „Ach ta wiosna, ta wiosna! Nie mogę sobie darować pewnego uniesienia lirycznego na cześć wiosny, jakiego dopuściłem się jeszcze w zaprzeszłym feljetonie. Mój Boże: w duszy grały mi już fujarki wieśniacze, ptastwo śpiewało w zagajnikach, słyszałem szelest strumieni, powstałych ze stopniałego śniegu, widziałem zielone pąki na drzewach, gotówem przysiąc, że kreśląc tamte hymny, słyszałem już kukułkę w dąbrowie; a tymczasem w chwili gdy piszę te wyrazy, wiatr niesie płatki śniegu, zaczyna wiatr, i mimowoli przypomina się gawędka poczynająca się od słów: „Cóż Michale tam na dworze? Żle, że człowiek z domu wyjść nie może“.

w niemałym ambarasie. Zaledwo bowiem wszedłeś w jakąś bardziej uczęszczaną ulicę, zdaleka widzisz, jak dąży ku tobie obdarty kwiatciarz i mówi: „Panie! kup pan bukiet, nie drogo sprzedaje! dychacz biorę, dulca biorę“. „Idź sobie!“ odpowiadasz. „Panie! jak Stwórcy dobrze życzę, kup pan dla panienci“. W tej chwili nie wiesz, co masz robić: uśmiechasz się w umiarkowanie mądry sposób do swej towarzyszki, mieszasz się i dajesz chłopcu nieme a wymowne znaki, żeby sobie poszedł do dyabła. „Panie! — woła mały psycholog — taka ładna panienci, jak życzę szczęścia Bogu! ja żeby z taką chodził, tobym nie żałował. Phi! phi!“ Mieszasz się jeszcze bardziej, wreszcie chcąc kres położyć sytuacji, odzywasz się: „Pani pozwoli?“ „Ależ panie!“ „Weźnie panienci (wtrąca chłopak), powzdraga się i weźnie, jak Boga kocham!“ Radbyś go za uszy złapał i podrzucił aż do zenitu, ale przy towarzysze nie wypada. Dałbyś mu wreszcie dwa razy tyle za każdy bukiet, ale nie śmiesz kupić go dla swej towarzyszki; nie możesz zaś zatrzymywać jej, aby kupić dla siebie. Ale przypuszczam, że towarzyszka twa zgadza się na bukiet. Otóż naprzykład: pokazuje się, żeś zapomniawszy w domu portmonetki; albo co gorzej, że nie masz drobnych i dajesz rubla, żądając wydania reszty. „Reszty? he! reszty? Albo to taka panienci nie warta rubla, woła mały potwór, jabym dla niej dał dziesięć! hu! hu!“ Zrzekłeś się więc i reszty.

Ale przypuśćmy, że przyszedł na cię dzień feralny. Oto idziesz dalej i nagle po przebyciu dziesięciu kroków słyszysz: „Panoczku! daj grosik, trzy dni nie jadłem“... Czasem taka Odyseja po Warszawie godną bywa istotnie opisu. Przeszedłszy nie dalej, jak od domu Kronenberga do teatru, lub od Ś-to Krzyckiej do Poczty, możesz być napadniętym przez kwiatciarza, druciarczyka, przez młodą dziewczynę sprzedającą z płaczem (przez 12 godzin) kalendarzyki kieszonkowe; słowem cały legion istot, których zatrudnieniem jest żebractwo pod pozorem handlu. Jeżeli się na koniec cudem jakim wymknął nie znudzony i nie oszołomiony, nie mów jeszcze hop! bo możesz łatwo się spotkać z żebractwem bez pozorów handlowego. Patrz, oto zbliża się młoda i dość przystojna kobieta, nieźle nawet ubrana, i mówi równie płaczliwie, jak szybko: „Panie poratuj! jam wdowa, mąż mi umarł; rok tylko z nim żyłam: jedenaścioro biednych sierot z głodu umiera etc.“ Czasem to będzie pseudo emigrant z czerwonym nosem, który dla cywilnych jest emigrantem, dla wojskowych byłym wojskowym, dla Abdul-Medziga byłby Turkiem i czem kto chce wreszcie. Ten nie prosi cię od razu o jamażnę, ale przedewszystkiem pyta o mieszkanie angielskiego konsula. Przypatrujesz mu się, przypominasz coś sobie; wreszcie mówisz: „Ależ mój panie! pan mnie już przed rokiem pytałeś o to samo“. „Ah! pardon monsieur!“ Z temi słowy znika. Dziś i żebranina staje się ulepszoną: staje się sztuką opartą na znajomości serc ludzkich. Dziś dawny typowy dziad, który to nucił po

bramach, a siedząc pod kościołem wyciągnął puszkę od szuwaksu, lub glinianą miseczkę, krzycząc, aż się rozległo: „wspaniały dobroczyńco!” etc., dziś taki dziad, mówię, staje się rzadszym. Trzyma się jeszcze kościołów, pomniejszych ulic, wreszcie głównie Powązek; ale lepsze, bogatsze i piękniejsze dzielnice miasta opuścił wyparty przez nowy, bardziej ucywilizowany gatunek. Za to ten ostatni rozmnaża się z coraz większą szybkością, eksploatuje domy, ulice, cukiernie, restauracje, ogrody i często, jak słychać, ma się wcale nie źle.

Już to pod względem żebractwa, Warszawa niewątpliwie trzyma prym pomiędzy stolicami Europy.

Są miasta, które mają więcej proletaryatu, ale mało jest takich, któreby miały więcej różnej płci i wieku żebraków. Włóczę się po domach, dzwonią do mieszkań, nie dają ci spokoju na ulicy, w kościele, w restauracji, na przechadzkach, słowem chwytają cię za poły wszędzie. Nie masz ani chwili spokojności, ani jednej, w którejbyś, wyszedłszy na miasto, nie był zaklinany, przeklinany i błagany, to przez jaką nieszczęśliwą wdowę, która od pięciu lat nie ma za co pochować męża; to przez kogoś wypuszczonego ze szpitala, który przez dwa miesiące nie miał nic w ustach; to przez rozmaite tym podobne indywidua, nieraz zdrowe, silne i młode, żebrzące z próżniactwa i posuwające beczelność do najwyższego stopnia. Przed niedawnym naprzykład czasem chodził po mieszkaniach młodzieniec lat dwudziestu kilku, zbudowany jak dąb, zdrow jak ryba, przystojny i wcale nieźle ubrany, który wiecznie wyjeżdżał za granicę dla kształcenia się w zawodzie artystycznym; a że również brakło mu do wyjazdu tylko dwóch złotych, więc żebrał. Indywiduum to odznaczało się nawet pewnym dowcipem, a nawet humorem. Kiedy raz oburknął się ktoś nań, że człek tak młody i zdrow nie powinien żebrać, odpowiedział: „O panie, ja nie należę do żebraków”. „A do kogoż, jeśli łaska?” „Ja należę do... do... aha! do wstydzających się żebrać”. A że, jak wiadomo, kategoria ta zasługuje na szczególniejszą litość, dostał więc hojny datek. Gdy mu ktoś przeczył, że należy do wstydzających się żebrać, odpowiadał. „Zkąd państwu wiadomo, że ja się nie wstydzę, owszem, ja się wstydzę, ale to moja rzecz, to jedno drugiemu nie przeszkadza”. Podobnych sztuczek trafia się codziennie zbyt wiele, żeby się o nich rozpisywać. Jest to jednak smutne i bardzo smutne. A jakież tego powody?

Jak nic we wszechświecie nie dzieje się bez przyczyny, tak i żebractwo w Warszawie, tak denerwujące dla bardziej kulturalnych jednostek, ma swoje powody, dla których na naszym bruku grasuje z takim powodzeniem.

Obok wielu przyczyn żebractwa ekonomicznych i społecznych, obok braku oświaty, zamiłowania w próżniactwie, obok braku opieki nad małoletnimi, pozbawionymi rodziców i opiekunów, sądzę, że jest jeszcze jedna ważna przyczyna, powodująca wzrost żebractwa, a tą jest groszowe miłosierdzie. Czujemy węża w kieszeni, kiedy bez zabaw, tańców, prelekcyi, bez koncertów i tym podobnych miłosierno-artystycznych zabaw, przychodzi dać odrazu rubla lub dwa na jakąś instytucję dobroczynną. Ale w groszowy sposób dziadom, babom i wogóle wszelakiemu żebractwu na ulicy, nie żałujemy dać miesięcznie dwa i trzy razy tyle. Daje się, żeby uniknąć natręctwa, nudzenia, albo zresztą i z popędu serca, które nie rozumuje i dlatego błądzi; takie bowiem groszowe miłosierdzie podsyca żebractwo, zachęca je i ośmiela, a przez to czyni daremnymi wszelkie dla ukrócenia go przedsiębrane środki. Nie wchodzimy, czy ubóstwo jest prawdziwe, czy kalectwo nie zmyśłone; nie zastanawiamy się, że dajemy może pijakom, kosterom, oszustom, wydrwigroszom i t. p. Kopiejka nie wielka rzecz, więc ją dajemy. Trzeba się będzie od tego odzwyczaić. Trzeba się koniecznie odzwyczaić dla dobra ogółu, któremu się przez to szkodzi. Wogóle wszelka groszowość, tam gdzie o ogół chodzi, do niczego nie służy. A jednak groszowość w najobszerniejszym znaczeniu, to jedna z kapitalnych, a dotychczas cierniem satyry nie kłótych jeszcze wad naszych. Ma to swoje nader ujemne pod względem moralnym znaczenie. Iluż to mamy groszowych miłośników dobra publicznego, groszowych sentymentów dla wielkich idei, groszowych poświęceń, groszowej filantropii, groszowej energii, groszowych działań wobec wielkich zadań! A ilużto między nami po groszu trwoni skarb życia na rzeczy małe, liche i marne, i bankrutuje w końcu na rozumie, uczuciu i woli, wydając wszystko po groszu. Ot! mógłbym tu powiedzieć razem z poetą: „żeby też jedna pierś“... Niepodobna ukrywać. Owo zdrobienie intelektualne i moralne daje się widzieć w wielu i bardzo wielu objawach. Kto umie patrzeć, ten dostrzeże je łatwo... Hej! hej! co się to znaczy!?

Sienkiewicz zawsze należał do tych, co umieli patrzeć i dlatego widział nie tylko różne objawy tego „intelektualnego zdrobienia“, ale je często widział z komicznej strony. I tak n. p. gdy nadszedł Wielki Tydzień przed Wielkanocą, który wszystkich nastraja tak poważnie, autor *Chwili obecnej*, pomnąc na przygotowania przedświąteczne, tak absorbujące dla naszych gospodyń, użył ich, jako komicznej ilustracyi do tego intelektualnego zdrobienia, którego tyle objawów dostrzegał na każdym kroku.

Oto i wielki tydzień. Jeżeli jesteś żonaty, o czytelniku! to wiesz, co to znaczy. Żona zapowiada ci, że nie myśli wprowadzić piec święconego, ale ot... byle tam coś mieć dla gości, i od tej chwili poczyną się w domu jarmark. Zamiast zwykłych rozmów, słyszysz tylko narzekania, że jaja podrożały, że rzeźnicy zdzierają, że trzeba kupić to rodzynków, to gorzkich migdałów, to słodkich, to macek, to fig, to orzechów. Coraz to ciężiej wdychasz i coraz częściej sięgasz do kieszeni. Coraz to częściej słyszysz przytem takie zdania, jak np. „Ja także jestem oszczędna i z pewnością nie wydam więcej jak potrzeba, ale przyznam się“... Tu następuje lekkie ruszenie ramionami i pewien grymasik, który rozumiesz tak dobrze, jak i ja. Żle: żona w coraz gorszym humorze. Frazes: „nudzisz, mój drogi!“ poczyną stawać się w jej ustach przysłowiem. Z kuchni dochodzą cię dyalogi tak ożywione i tak smaczne, jak echa *Przeglądu Tygodniowego*. Na dobitkę post. Żona nie da z mięsem. Na próżno rzucasz w przejściu wzrok pełen namietności na czerwone wżórzystości szynki i wieńce wonnych kielbas. A uciekniesz z domu i zjesz w restauracyi z mięsem; to znów wyrzuty sumienia męczą cię. Coraz gorzej! Ktoś dzwoni: wchodzi rządcą domu z listą przesłaną z magistratu, uśmiecha się, jakby coś najdowcipniejszego miał powiedzieć, i z niezwykłą tej potworze słodyczą mówi, pokazując ci listę: „Oto nazwisko pana dobrodziej, pan dobrodziej zechce wpisać, ile ofiaruje na biednych?“ A ty odpowiadasz: Ofiaruję djaba... chcę mówić djabelnie nie wiele, bo ciężkie czasy — i ofiarujesz jakiegoś tam rubla, bo mniej dać nie wypada. W wielki piątek, gdy wszyscy mężowie z żonami i dziećmi żon swoich (jak mówi Pismo) idą na groby, idziesz i ty wedle starego obyczaju z żoną i małym Jasiem. Wchodząc do kościoła, starasz się przemknąć między dwoma stolikami, przy których kwęstują arystokratyczne damy; patrzysz w sufit sklepienia kościoła i odkrywasz w nim nieznane ciekawości, które nie pozwalają ci zauważyć, że właśnie arystokratyczna dama uderza pierścionkiem w tace i uśmiecha się, spoglądając na ciebie wzrokiem przechodzącym wszelkie pojęcie, jakie o uprzejmości mieć można. Już sądzisz, że dzięki sklepieniom przemknąłeś się między Scyllą i Charybdą, gdy nagle słyszysz głośnie: dyaaa! swojego Jasia. Co się stało? Jaś podszedł do stolika, dostał od damy obrazek i dziękuje jej. Cóż robić! trzeba i tobie za Jasia podziękować. Wydobywasz trzy ruble. „Jaki grzeczny pański synek! — słyszysz od arystokratycznej damy — jak się grzecznie kłania!“ „Już ja mu się ukłonię, myślisz sobie, jak tylko przyjdziemy do domu“, i wreszcie wracasz do domu zły, bo lekki i głodny. Wielka sobota: niepodobna w domu wytrzymać! coś się tam przypaliło, czy przyswędziło, czy przydymiło. Jaś łasował rodzynki z brytwanny i sparzył się. W domu krzyk, zgiełk, hałas. Żona nieubrana, nieuczesana, zamęczona. Przekonywałeś się, że jestto osoba opryskliwa, wychodzisz na ulicę i przychodzisz późno w nocy. Wielka niedziela. Ranek.

Jesteś zły; nie patrzysz na żonę. Idziecie do kościoła. Godzina 1-sza. Wracacie. Żona wychodzi do drugiego pokoju i wkrótce wraca, niosąc talerz z jajkiem święconem. Spoglądasz na nią. Cóż to za rozkoszna, miłutka i czyściuchna istota. Ciemne jej włosy wiją się ślicznie uczesane nad białem czołem, a w łagodnych niebieskich oczach ma łzy. Padacie sobie w objęcia i rozezulacie się. Godzina kwadrans na trzecią: zjadłeś święcone, napiłeś się ciepłego buljonu, nakładasz fajkę, siadasz koło żony na kanapie i poczynasz śpiewać: „Raz gdy w gaiku zielonym Korydon ujrzał Palmirę“ (etc. na nutę: Było to pod Ciechocinkiem). Wesółych a spokojnych świat, czytelniku.

Zaraz po Wielkiejnocy, zwłaszcza, gdy Wielkanoc wypada w drugiej połowie kwietnia, rozpoczyna się sezon wiosenny w Warszawie. Od pierwszego maja zaczynają się koncerty w Dolinie Szwajcarskiej, a w Saskim Ogrodzie otwierają się podwoje Teatru Letniego. Zaczynają się również wyścigi.

W roku 1875 gościła w Dolinie Szwajcarskiej orkiestra Fliegego. Pierwszy jej popis nastąpił dnia 7 maja, a ponieważ pora była dżdżysta, więc koncert odbył się nie w ogrodzie, na świeżem powietrzu, ale w sali, co, zdaniem kronikarza *Gazety polskiej*, nie wyszło na dobre ani panu Fliegemu, ani jego licznie zgromadzonym słuchaczom.

Nie sądzicie, żeby słuchacze wyszli niezadowoleni z muzyki. Bynajmniej; ale jeśli miło jest słuchać Rossiniego, upajać się Bethovenem, Haydnem i t. p., słowem, jeżeli miło oddawać się wrażeniom i rozkoszom natury czysto idealnej, to tylko wówczas, kiedy wrażeniom tym nie towarzyszą inne, wprost im przeciwne i arepyzoizome. Tymczasem w sali Doliny Szwajcarskiej dziwnie jednocześnie doświadczasz rozmaitych wrażeń. Oto grają np. Wilhelma Tella. Przymykasz oczy i z zachwytem słuchasz dźwięków górskiego rogu, którego echo roztrąca się o skały. Myślisz przenosisz się do Szwajcaryi. Widzisz góry i śniegiem okryte wierzchołki, i przepaście, i dzikie równiny. Słyszysz metaliczne dźwięki źródlanej wody, uderzającej o skały, dochodzi cię huk wodospadu, nad którym kraczą orły. Słońce rozkłada w siedem barw promień w mgłę wodnego obruza. Otacza cię natura i poezya. Marzysz... aż nagle urok pryska. Co się stało? E, nic! to tylko uderzył cię nagle zapach wątróbki cielęcej, którą, jak każdemu wiadomo, przyrządzają z cebulką. Oto właśnie garson stoi na końcu sali przy bufecie, trzymając w ręku dwa mocno dymiące talerze. Niezła to nawet rzecz jest ta wątróbka cielęca, tylko szkoda, że tak mocno pachnie i że niepodobna jej pogodzić z muzykalno-poety-

cznemi zachwytałami. Zresztą przyjemniej jest spożywać przeróżne sosy, niż za swoje dwa złote wachać przeróżne sosy. Na to zgodzą się wszyscy. Przytem gorąco jest w sali, duszno, pianissima nikną głozone przez rozmowy, fortissima rozsadzają uszy. Bogdaj to na świeżem powietrzu, bogdaj uśmiechnięty wieczór letni, i zielone drzewa, i powiew wiatru, niosący nie zapach zrazów lub kotletów, ale bżów, jaśminu i akacyi.

Co się tyczy samej orkiestry, to jakkolwiek wydała się ona Sienkiewiczowi bardzo dobrą, to jednak nie śmiał rozpisywać się o jej zaletach i wadach; bo „choćbym chciał to uczynić, pisał, Bóg widzi, iż nie mogę dla braku wtajemniczenia się, kiedy należy używać i w jakim sensie, mówiąc o muzyce, wyrazów takich, jak kontury, koloryt, cieniowanie, tło i t. p., które składają dzisiejszy język muzyczny; gdybym użył tych wyrazów na chybi trafi, napisałbym może potężną recenzję, ale nie stałbym się od innych zrozumiałszym“...

Nierównie pewniejszym siebie, aniżeli na gruncie muzycznym, czuł się młody kronikarz jako obserwator pewnych objawów społecznych, na które szczególną zawsze w kronikach swych zwracał uwagę, a które w jego oświeceniu satyrycznem ogromnie zyskiwały na wypukłości. Oto n. p. uderzył go fakt, że obok francuzczyzny, która tak kwitnie w pewnych sferach naszego społeczeństwa, coraz bardziej zaczynało wzrastać upodobanie w języku niemieckim, co on uważał za nadzwyczaj dodatni symptom, gdyż jest to język praktyczniejszy i potrzebniejszy, niż francuzki, a następnie, że my specjalnie możemy więcej daleko nauczyć się od Niemców, aniżeli nauczyliśmy się dotąd od Francuzów.

Zrozumieli to dobrze mężcy przedstawiciele miejscowego i okolicznego patrycyatu, pół-patrycyatu i ex-patrycyatu, uprawiając od niejakiego czasu z całą zawziętością język niemiecki. Kto nie wierzy, niechaj pójdzie do cyrku, a naocznie i przekona się i zbuduje, widząc naszych młodych gentlemanów uczących się języka niemieckiego od miejscowych, t. j. cyrkowych artystek. Doprawdy, nie umiemy znaleźć dość słów pochwały dla tego rodzaju edukacyi, daje ona bowiem znajomość obcych języków, a jednak nie jest zupełnie obca. Przeciwnie, jest nawet swojską, gdyż panny cyrkowe dają tylko młodym gentlemanom lekcye, ale nad ogólnym kierunkiem ich edukacyi czuwają tutejszo-kra-

jowcy, t. j. starsi i wytrawniejsi gentlemani, których łysinki, lubo przez skromność starannie zakrywane, świadczą o długoletniem doświadczeniu; zdolności zaś pedagogiczne dowiedzione zostały i niejednokrotnie potwierdzone przez pierwszorzędne takie zakłady wychowawcze, jak Stępkowski, Bokiet, Franciszek etc. Że tedy młodzi gentlemanowie, mając tak wytrawnych mentorów, a tak powabne nauczycielki, robią szybkie pod każdym względem postępy, nikogo to dziwić nie powinno. Ktoby zaś chciał się o tem własnouslynie i własnoocznie przekonać, niech się przysłucha rozmowom, a przypatrzy uczniom i nauczycielkom w czasie wieczornych cyrkowych przedstawień. Miejscem nauki służą łoże, położone blisko wjazdu do stajen. Ileż tam ożywienia, ileż wesołości, jaka gorliwość uczniów i pedagogów. Wreszcie, jak zwykle w rozumnie obmyślanych systematach pedagogicznych, rozrywka następuje tu po nauce. Po skończonem przedstawieniu w cyrku, wdzięczni uczniowie zabierają nauczycielki i łysych pedagogów i ruszają na wspólną zabawę. Następuje kolacyjka w Europejskim hotelu; puka jedna, druga, dziesiąta buteleczka szampana, wesołość wzmagą się; czarowne sylfidy wydają się jeszcze bardziej czarowne i powiewne, niż zwykle, wino otwiera na rozcież bramy swobodzie, więc i tańce huczą tak ożywione, że choćby kto był kulawy, nie usiedzi na miejscu. Wszystko trwa dopóty, póki bład promień poranka nie zakradnie się przez rolety i nie oświeci białych twarzy, łysin, zmarszczek, pudru, bielidła, sztucznych zębów, przyprawianych włosów i pustych butelek, pustych głów... Niektórzy gorszą się tem. Są moralisci, których cała cnota w ponurej twarzy i spojrzeniu kata, śpiewa się w *Pięknej Helenie*. Z drugiej strony, że zawsze z wilka można zrobić barana, dowodem jest, iż pewien stary szlachcic francuzkie przysłówie: „il faut que le jeunesse se passe“ przetłumaczył na polskie: „Trzeba, żeby młodzież spasawała“. Co do mnie, nie sędzę. Niech się bawią. Cacy dziateczki! cacy! cacy! jak mówi Odynieć. Bo proszę też łaskawie mi powiedzieć, do czego istotnie służą pieniądze? Oto do tego, żeby je wydawać. Więc jeżeli ojcie zbierali pieniądze, to oczywiście po to, żeby synowie mogli mieć salony w Europejskim hotelu, powozy, konie, groomów, ostrzygi, szampana, bakara, tancerki cyrkowe, a na starość... Ech! ktoby tam myślał o przyszłości. Od czasu, jak Hartman dowiódł, że dla przyszłych pokoleń pracować nie warto, coż to może komu szkodzić, że tam kiedyś w odległej przyszłości synowie owych gentlemanów będą z kolei groomami u synów, np. małego Fredego Salomońskiego.

Fortuna kołem się toczy. Był szlachcic na wozie, będzie i pod wozem. W przysłowiu siedzi tak nieruchomie prawda praktyczna, jak mrówka utkwiona przed tysiącem lat w bursztynie. Przysłowia są mądrością narodów; że zaś gentlemanom mądrość ta nie jest obcą, kto nie wierzy, niech spyta, czy jest między nimi choćby jeden np., któryby nie umiał dokończyć przysłowia: „Kiedy bieda“... Zresztą: pamiętać, wiedzieć i po-

wtarzać pewne prawdy, to jeszcze nie wielka rzecz. Grunt stosować je w praktyce. Więc „kiedy bieda“, stosują się i w praktyce do przysłowia gentlemani. Stosują się, zapewniam was. Co to jednak za szkoda, że starsi i doświadczeńsi z nich, ci zwłaszcza, którym zawistne losy nie pozwoliły objąć roli mentorów przy pieniężnych pupilach, nie ogłaszają drukiem swych życiorysów. Byłaby to wysoka nauka moralna dla tych, którzy dopiero na podobne ścieżki wstępują. Takie np. zamknięcie rachunku z życiem jak następujące: „Zero z majątku ojczystego, a zero z majątku po wujaszku, jest zero. Posiadam więc majątku zero. Gdy dodam własną osobę, będzie zero, co powiększone przez moje zdolności, chęci i umiejętność do pracy, daje także zero, czyli: *finita la comedia!* Potem się jedzie do krewnych na pomagającego w gospodarstwie i czwartego do wista, albo osiada się w małym miasteczku, albo na cichym pensjonacie Towarzystwa Dobroczyńności — i rzeczywiście: *finita la comedia!*

W każdym razie, gdy chodzi o cyrk Salomońskiego, to na tym punkcie dał się wśród pewnej części mieszkańców Warszawy zauważyć nadzwyczajny postęp, a przynajmniej zwrot. Niedalej jak w r. 1873 skarżył się p. Salomoński na złe interesy, a przybyli z jego trupą kłowni dziwili się niezmiernie, dlaczego warszawska publiczność nie umiała ich jak należy ocenić, kiedy dopiero co między Hotentotami doznawali niesłychanego powodzenia. Tymczasem po upływie dwóch lat niespełna, notował już Sienkiewicz w jednym ze swych feljetonów, że „przedstawienia cyrku Salomońskiego tak dalece zaprzatają wszystkie dobrze uczesane i dobrze ukapeluszowane głowy, że w towarzystwie prawie nie mówi się o czem innem“.

Nawet w rozmowie z damami wolno jest spowiadać się z doznanych wrażeń cyrkowych, zwłaszcza gdy się jest młodym i mającym gentlemanem, mającym opinię, która w języku salonowym streszcza się w zdaniu: *il faut que la jeunesse se passe*. Ktoby sądził, że w towarzystwie zdanie takie przynosi jakąkolwiek ujmę młodzieńcowi, z powodu którego bywa powtarzane, ten nie tylko by błdził, ale zarazem dowiodłby, że jest prostakiem, nie mającym najmniejszego o highlifie pojęcia. Owszem, najprzód i samo zdanie mieści w sobie tyle pobłażliwości, że owa pobłażliwość kipi z niego jak z przepełnionego naczynia, a powtóre, opinia trochę lowelasa, trochę utracyusza, a razem wzięwszy: znanego i niebezpiecznego pogromcy serc niewieścich, uważa się nawet za coś, z czem młodemu człowiekowi arcy do twarzy, co daje mu pewien ton towa-

rzyski i nakoniec istotnie furtki panieńskich serduszek otwiera. Znałem jednego młodego poetę, który w staraniach o opinię zjadacza serc niewieścich zaszedł tak daleko, że publicznie przeproszał wierszem drukowanym, nie pamiętam w którym z Kurjerów, jakąś piękność za jakiegoś winy, których jakoby się miał dopuścić. „Wybacz (mówił ten młody wieszcz), to nie ja, aniele, byłem winien. To była winna ta noc letnia, cicha, ciepła, księżycowa; winien był szmer bzów, których listki trącane powiewem, szemrały nad naszymi głowami; winną była kalina i te dwa stawy, w których rozhovor wiodły senne chóry żab; winien był słowik, płaczący w olszynie, i ta ławka, na której siedzieliśmy oboje rozmarzeni, zatopieni w sobie. O wybacz aniele: ja nie wiem, jak się to stało!“ I czy myślicie czytelnicy, że istotnie się coś stało? Gdzietam! nie się nie stało, nie siedzieli na żadnej ławce, a ten biedaczysko nie dopuścił się żadnej winy, nie dlatego zresztą, żeby nie chciał... Ot tak! napisał sobie wierszyk, raz że jako poeta, własne dobre chęci i niedoszłe marzenia poczytał za coś spełnionego, a powtóre dla zrobienia sobie skandalicznej sławy. Widzicie więc, że to popłaca. Inny znany mi młodzieniec, posadzony raz (klnę się na bogów piekielnych, że żartem i tylko żartem) o serdeczne stosunki ze znaną z wdzięków osobą, odrzekł skromnie: „Więcej tam ludzie mówią niż jest“, czem zabił wprawdzie w oczach przytomnych kobiet opinię wyżej wzmiankowanej osoby, ale natomiast tak podniósł swoją, że zbiera dotąd jej owoce. Trzeci nakoniec młodzieniec, niedościgniony wzór szyku i poloru, rozpytywany przez młodą panią o cyrk Salomońskiego, rzekł: „Warto widzieć pannę ***“. „A czy ona jutro jeździ?“ spytała panią. Mój znajomy oparł się wygodniej o poręcz krzesła, wyciągnął trochę nogi i odrzekł z pyszną niedbałością: „Mówiła mi, że jutro i pojutrze“. „Jako, to pan znasz pannę *** osobiście“. Młodzieniec zatoczył szapoklakiem, wydobyl z za kamizelki fularową, błękitną chustkę, przytknął oczy i dotykając zlekka chustką ust, na których błędził jakiś nieokreślony uśmiech, odpowiedział: „To jest... *un peu!*... *vous savez*“... I tu zaczyna się niby trochę tłumaczyć. Nie może się zaprzeć, że ją zna. Poznał ją na próbach. On wie, że było z tego powodu dużo plotek. Zawsze tylko o nim i o nim. Ale cóż robić! Jest już do tego przyzwyczajony. Nakoniec w pannie *** kochali się zagranicą najznakomitsi ludzie z całej Europy, on jeden tylko nie, i może właśnie dlatego.. Tu urywa i stara się przejść do innego przedmiotu. Co do mnie, mam to przekonanie, że mój znajomy nie zna się z panną ***, bo nie bywa na próbach; na próbach znowu nie bywa, bo nie jest ani hrabią, ani siodlarzem, czyli jest człowiekiem bez pozycyi.

Cóżkolwiekby, niewinne te kłamstwa świadczą niezbicie o naszym kulcie dla płci pięknej, bo nie ulega wątpliwości, że *das Ewig Weibliche zieht uns heran* silniej, niż innych, i że,

co za tem idzie, jesteśmy po Francuzach najgrzeczniejszym dla kobiet narodem na świecie, z czego ani należy się wyśmiewać, ani tego potępiać, bo lepiej jest być zbyt uprzejmym dla niewiast, niż za mało. Ta chęć przypodobania się piękniejszej polowie rodzaju ludzkiego idzie u nas tak daleko, że w Warszawie n. p. już uczniowie gimnazjum uczą się nadzwyczaj pilnie, jak to należy się z damami, niby z porcelaną, delikatnie obchodzić.

Praktyczne tego rodzaju wykłady prowadzą się po naszych warszawskich dystrybucjach, od których młode panny, o kokach przechodzących, tak dobrze mają jak i twoją wyobraźnię, czytelniku, otoczone młodzieżą gimnazjalną, uczą ją należytej dla płci pięknej galanterii. Przy dymie z papierosów i zapachu piżma, jaki wonią szaty tych rusałek, nabiera młodzież przytomności, pewności siebie; tu pierwszy raz doznaje lubych wzruszeń sercowych, tu pierwszy raz doznaje zawodów, zdrad i rozczarowań, tu poznaje, że: „ona, która zdawała się być tak kochającą i wierną, ona tak niby niewinna... Boże! tak okropnie zdradziła!” Kobieto, puchu marny! A potem nieunikniony bajronizm siódmoklasowy i pół dzika romantyczność szóstoklasowa, która, jako z natury swej do najwyższego stopnia klasycyzmowi przeciwna, prowadzi za sobą fatalne kollizye z profesorami łaciny i greckiego, a w następstwie nierównie jeszcze fatalniejsze krępowanie polotu młodych dusz dwuletnim pobytem w każdej klasie.

Nie dobrze to świadczy o opiece, jaką nasza młodzież znajduje w domu. Bo, że młodych chłopców ciągnie do łobuzerki, nie dziwnego, ale, że ojcowie i matki nie potrafią przeciwdziałać podobnym pokusom, to nie młodzieży wina. „Ej rodzice, rodzice! Baczenia więcej, przedewszystkiem baczenia na dzieci! Naukę da im, a przynajmniej ma im dać szkoła; ale i wasze zadanie nie mniejsze. Do was należy wyrobić zasady, waszą rolą jest stworzyć charakter dzielny, godny prawdziwego męża, a jednolity; nie żaden zlepek jaskrawych strzępków, nie żaden omnibus“.

Dlatego i z wodzeniem młodzieży do teatru należy być ostrożnym i nie pozwalać synom swym uczęszczać na wszystkie sztuki, na które pójść mają ochotę. A tej samej zasady godzi się trzymać i w odniesieniu do córek.

Teatr psuje ludzi, tak samo jak ich i podnosi. Za cesarstwa, we Francyi, do rozmiękczenia obyczajów, do upadku moralności, do zdenerwowania i skarlenia młodej generacyi, przyczyniły się w znacznej części teatry, które pobłażały złym skłonnościom, nie chciały, czy nie umiały uczyć, pragnęły bawić tylko, usypiać i głaskać. Zamiast podawać proste i zdrowe ziarna moralności, filozofowały przez usta Dumasa syna, kto, komu, mąż żonie, czy żona mężowi ma prawo w razie wiarołomstwa głowę ukrecić: wołały na męża: „wal ją, bo to małpa“, lub „przebacz nieszczęśliwej“. Nikezemna filozofia, przyjmująca wiarołomstwo i rozkład rodzinny, jako fakt, w praktyce życia już spełniony. Nikezemna filozofia!!! Szuka niby lekarstwa na wiarołomstwo, a oswaja z niem i poznaje tych, którzy go nie znali; poddaje myśli tym, którzy ich nie mieli, i zamiast koić rany społeczne, jeszcze je rozdrażnia i zaognia. Dlatego też przedewszystkiem zastrzegamy się przed Dumasem synem. Nie znam utworów, któreby na zepsucie smaku ogólnego silniej wpłynąć mogły, zwłaszcza tam, gdzie trafiają na umysły niewykształcone, proste i łatwo otumanie się dające błyskotliwą szatą paradoksów, wrzekomo szlachetnemi uniesieniami i czynami, pseudo-poświęceniem i pseudo-uniewinnieniem jednostki, w imię wadliwego ustroju społeczeństwa. Wprawdzie dyrektorowie mogą odpowiedzieć, że te sztuki, wedle wyrażenia utartego w teatrach: robią kasę. Prawda, może być; ale wierzajcie mi, o dyrektorowie i nie dyrektorowie, ale wogóle wszyscy czytelnicy nasi, mówię wam po prostu, a z ręką na sercu: są rzeczy ważniejsze, niż kasa, lepsze, niż dochody, bardziej niezbędne niż *quaerenda pecunia*: oto zdrowie moralne, zwarta rodzina, surowy stary obyczaj, ano i przyszłość, która od zdrowia, od rodziny i od obyczaju zależy. A teraz przebaczenie morał, ale czasem on nie zawadzi: mnie ciepłej, gdy wypowiem, a i wam się może czasem przydać, gdy usłyszycie. Nieźle jest sobie czasem wzajemnie przypomnieć rzeczy dobre, choć znane.

Do takich rzeczy powszednie znanych, należy n. p. fakt, że artyści teatralni są najdrażliwszymi ludźmi pod słońcem. Rzeczą nową natomiast, a przynajmniej nie przez wszystkich dostrzeżoną, jest nietolerancya, jaką publiczność, t. j. pewna jej część, powoduje się na przedstawieniach teatralnych.

Mówię tu o zarówno nieusprawiedliwionych jak i nagannych oznakach niecierpliwości i oburzenia, jakie ze strony mniej dbałej o dobry ton publiki spotykają co wieczór te osoby, które przychodzą w połowie pierwszego, a wychodzą w połowie ostatniego aktu granej sztuki. To trudno! Miło jest słuchać sztuki od początku do końca, ale trzeba umieć uszanować wolność ludzką. Chyba bardzo przewrócona nowoczesnemi

zasadami i na wskrós przejęta demagogią głowa nie chce zrozumieć, że pani Dziurdziurlewiczowa wraz z synem młodym Dziurdziurlewiczem i córką panną Dziurdziurlewiczówną, nie może przychodzić do teatru o wpół do ósmej, t. j. o tej godzinie, o której przychodzą zwykli śmiertelnicy, którym do Dziurdziurlewiczów tak daleko, jak ztąd do Krakowa. Choćbyśmy zresztą zapomnieli, że Dziurdziurlewicze o mały włos nie są spokrewnieni z najznakomitszymi rodzinami kraju, pamiętać w każdym razie należy, że jak wiele innych równie świeżo wyprzesowanych, wyderektorowanych i wogóle wyobywatelowanych rodzin, tak i Dziurdziurlewicze reprezentowanie dobrego tonu uważają za swe dziejowe posłannictwo, od posłannictwa tego nie odstępują, choćbyście dziesięć razy jeszcze głośniej sykali, gdy wam przeszkadzają w zrozumieniu początku lub dosłuchaniu końca sztuki. Wprawdzie, jeżeli nie zrozumiecie początku, nie będziecie rozumieć i dalszego ciągu, gdy zaś nie dosłuchacie końca, nie będziecie mogli zbudować sere i dusz waszych widokiem wynagrodzonej enoty, a ukaranego występku; macie jednak za te wszystkie szkody znakomitą nagrodę, której dlatego nie cenicie, że się na niej nie umiecie poznać, lub żeście jej nie warci. O wy, którzy siedzicie w krzesłach! sami powiedzcie, czy na wasze maniery nie wpłynie zbawiennie widok młodego Dziurdziurlewicza, nakrywającego głowę i wychodzącego w chwili, w której kurtynie ani śni się jeszcze zapadać. Depce on wasze odciski, i odciski żon waszych, i odciski córek waszych, to prawda; ale z jakąż to gracyą kołysze się całym korpusem, przeciskając się między wyciągniętymi kolanami bliźnich swoich, a parapetami! Z jakąż wytwornością i z jakimże akcentem, godnym samego Jardin Bullier, powtarza niezrównanie grassejowane: „pahdon“, jeżeli wypadkiem postawi obeas buta swego na nodze któregokolwiek z siedzących. Dwa tygodnie tylko był w Paryżu, a już zepsuł sobie język w tak wykwinicie arystokratyczny sposób, że nawet do psa swego nie mówi inaczej, rzucając mu kawalek sucharka, jak: „otwórz... jakże się tam nazywa?... otwórz guełę“. O ludzie, ludzie! czy wy myślicie, że młody gentleman Dziurdziurlewicz dlatego tylko nosi głowę tak wysoko, że wedle praw natury części lżejsze w połączeniu z cięższymi, zajmują miejsca górujące? Wcale nie! Ale oto dlatego, że nikt niema tak głęboko wyciętych kołnierzyków, tak wąskich u góry, a tak szerokich u dołu ineksprymablów i tak dokładnie angielskiego przekosmato-kosmatego paltota z pałą na plecach i guzikami, któreby wygodnie, pod względem wielkości, spodki do filizanek zastąpić mogły. Ale to jeszcze nie wszystko: jeżeli bowiem wy, ze względu na to, że z młodego Dziurdziurlewicza poznajecie dopiero, czem jest prawdziwa cywilizacya, nie powinniście się nań gniewać za małą dystrakcyę, jaką wam sprawia w teatrze, cóż dopiero mówić o córkach waszych i żonach waszych, które jeśli mają jakiekolwiek pojęcie o tem, co jest dobry ton i ułożenie, winne to bezsprzecznie pani Dziurdziurlewiczowej i pannie Dziur-

dziurlewiczównie. Pani Dziurdziurlewiczowa przychodzi w pół aktu: *prawa*. Ah, czyż która z was, o czytelniczki moje! potrafi odsunąć drzwi-
czki łoży z hałasem tak pełnym godności i przeświadczenia, że cały świat
jest dla nas, a nie my dla niego? Jakto zaraz znać osobę, która należy
do „towarzystwa!“ Dalej zaręczam, że żadna z was nie zdoła o zakład
narobić tyle szurgotania czterema nędznymi krzesłami, tyle szelestu
dwoma sukniami, i nie wiem na pewno, bo i z kądzie mógłbym wiedzieć,
iloma spódnicami! Tak, tak! moje panie! Chwila, w której p. Dziurdziur-
lewiczowa sadowi wielmożność kształtów i obwodów swoich w ciasno-
ściach łoży teatralnej, jest szczytem wielkoświatowej elegancji, jest chwilą,
w której dobry ton podaje obie ręce wytworności, a nieklamany wdzięk
rzuca się w objęcia nonszalaney. Uczcie się więc, o piękne panie,
do rodziny Dziurdziurlewiczów nie należące! Wprawdzie, żeby dojść do
takiej doskonałości, niemało potrzeba; ale dobra wola i dobry przykład
wiele mogą. Uczcie się więc, przypatrujcie, nie pozwólcie braciom, mę-
żom i narzeczonym sykać w chwili, kiedy Dziurdziurlewicze wam i im
przeszkadzają, i nakoniec wykrzyknijcie wraz ze mną: niech żyją Dziur-
dziurlewicze!

Mimo to, publiczność syka, oburzona zachowaniem się
wszelkiego rodzaju Dziurdziurlewiczów, niezależnie od tego, czy
ich musi podziwiać w Teatrze Wielkim, czy w Rozmaitościach,
czy w Letnim. Ten ostatni, zamknięty przez zimę, z nastaniem
wiosny, wraz z pierwszymi jaskółkami, otwiera swe podwoje,
co zwłaszcza podczas pierwszych przedstawień, gdy jeszcze
aura pozostawia wiele do życzenia, nie jest wolnem od różnych
ale. „Wiatr wykręca po sali, jak mu się podoba, a fluksye,
bóle zębów, reumatyzmy, strzykania w uszach, etc. są najpo-
spolitszymi wrażeniami, jakie się ztamtąd wynosi“. Płyną one
może ze zbyt ażurowego rodzaju architektury tego przybytku
Melpomeny, ale ostatecznie niema na to rady, bo z chwilą
otwarcia Teatru Letniego ustają przedstawienia w Rozmaito-
ściach, skąd cały personel wraz z dekoracyami i meblami prze-
nosi się jakby na letnie mieszkanie do Saskiego Ogrodu. „Pe-
wnego dnia pojawia się na ulicy Niecałej kilka fur, wiozących
papierowe drzewa, wody, skały, strumienie i inne części kraj-
obrazów, papierowe ściany kilku bez zbytniego przepychu urzą-
dzonych pokojów, i oto sprawa załatwiona“. Nazajutrz po tych
przenosinach, które zdaje się nie są połączone z wielkim am-

barasem, kochankowie i kochanki, margrabiowie i księżęta, czarne i białe charaktery, deklamują już wśród ścian drewnianych, a kochają się, żenią i umierają wobec publiczności, trzymającej kapelusze nie w ręku, ale na głowie, trzymanie bowiem kapeluszków na głowie jest rzadkim u nas przywilejem Teatru Letniego. Po skończonem przedstawieniu, gdy publiczność wysypie się z teatru, przychodzi kolej na najrozmaitsze sceny z powodu prawdziwie egipskich ciemności, jakie w bezksiężycowe noce panują wśród zadrzewionych alei Saskiego Ogrodu. Rzadkie latarnie naftowe dają tak mało światła, że idzie się po omacku, od drzewa do drzewa, kierując się więcej instynktem i pamięcią, niż oczyma.

Czasem, na oślep idąc, z wyciągniętymi rękami, trafisz na głowę bliźniego, idącego przed tobą; czasem idziesz sobie w najlepsze, aż tu czarna jakaś postać zamajaczy ci niewyraźnie przed oczyma; nagle ktoś łapie cię za nos i poczuwszy, że miękko, mówi przestraszonym głosem: „Och! przepraszam, ja myślałem, że to gałęź!“ „He? co?“ „Myślałem, że gałęź. Tak ciemno!“ „Ciemno?“ „Bardzo przepraszam. Mogliby też już tę drogę oświecić!“ „Kiedy to u nas wszystko tak... Jezus Marya!“ „Co to?“ „Drzewo. Rozbiłem się o drzewo“. Czasem znów, jeżeli z teatru wyszedłeś z towarzyszem lub towarzyszką, przez drogę z całem zaufaniem opowiadasz jakieś sekreta lub sprawy natury domowej, aż tu przy bramie, gdy światło latarni was obleje, spostrzegasz z przerażeniem, żeś towarzysza zgubił, a siedłeś z kim innym, a co gorsza, może z kim znajomym, który tych sekretów nie powinien był wiedzieć. Żle do licha! Wystawmy sobie młodzieńca, opowiadającego w najlepszej wierze mężowi sukcesu, jakich się spodziewa u jego żony; albo ojca rodziny, który z całym zaufaniem pochylił się do ucha konkurenta jednej ze swych córek, i sądząc, że mówi do córki, pyta: „Kiedyż ci się ten cymbał oświadczy?“

Żywo interesując się sprawami teatru wogóle, kronikarz *Gazety polskiej* nie był także obojętnym i na wynik konkursu dramatycznego, który właśnie w tych czasach ogłoszono w Warszawie. Był to pierwszy konkurs tego rodzaju, bo do r. 1875 konkursy podobne odbywały się zawsze w Krakowie, gdzie, nawiasem mówiąc, sztuki z Królestwa nadsyłane, stałe nie budziły zachwyty w sędziach. Przypisywano to uprzedzeniu ze strony jury konkursowego, ale zdaniem Sienkiewicza nie stron-

ność sędziów była tu winna, jeno straszna lichota nadsyłanych utworów.

A i wogóle powiedzmy sobie, że, nie licząc kilku ludzi zdolniejszych, poziom naszego komedyopisarstwa stoi bardzo nisko. Krzyczą wprawdzie na krytyków w niebogłosy, że zabijają każdą sztukę oryginalną, ale to przesada. Nie krytycy zabijają, ale sztuka sama rozbija się o deski sceny, jak żółw, który chcąc latać, uniesiony w powietrze, spadł i rozbił się o skałę. Gdy zdarzy się coś lepszego, krytycy umieją i chwalić, jak tego mieliśmy i w ostatnich czasach dowody. Ale też chwalić sztukę dlatego, że swojska, kiedy ze wstydu radoby się ją odrazu pogrzebać, właśnie dlatego, że tak zła a swojska, chwalić taką sztukę nie leży w mocy sumiennego człowieka.

Że w tym pesymistycznym poglądzie na stan naszego komedyopisarstwa dużo było prawdy, na to dowodów dostarczył świeżo wspomniany konkurs dramatyczny, na który wprawdzie nadesłano mnóstwo „sztuk“, ale były to wszystko rzeczy tak słabe, że, przy najtragiczniejszych, czytelnika ogarniał śmiech pusty. Oto n. p. treść jednego z takich dramatów, niedyskretnie opowiedziana przez Sienkiewicza, który zdaje się zasiadał w Komitecie sędziów konkursowych.

Oto rzecz się ma tak, jak następuje: Onemi czasy (właśnie nie wiem dobrze jakimi) istniał a może istnieje dotąd, jeden z najznakomitszych, najbogatszych i najbardziej historycznych rodów, ród Pempuchonów. Przedstawicielem rodu tego w chwili, o której opowiada sztuka, był stary kasztelan Pempuchon (dziwne to czasem bywają nazwiska), pan dumny, jak król, i ceniący przede wszystkim swoje nazwisko. (Nie to ładne, co ładne, etc.). Otóż o pannę Pempuchonowiczównę, córkę kasztelana, począł się starać pewien młody człowiek, absolutnie źle urodzony. Naturalnie, ojciec panny ani rusz nie chce pozwolić! (inaczej nie byłoby tragedji). „Idź precz (powiada), człowieku źle urodzony. Gdybyś to miał dwa miliony, to co innego! idź precz!“ Tak powiedział kasztelan. Panna w płacz, on (ten młody) w płacz, ale potem obciera oczy i idzie (imaginiujecie sobie państwo) do zbójców, aby zdobyć wymagalne dwa miliony. Węzeł dramatyczny zawiązany okropnie, ale rozwiązanie jeszcze okropniejsze. Oto jedzie się starać o pannę książę Giedymin, który zrobił ogromny majątek na cukrowniach (o czem już było). Młody człowiek (źle urodzony) napada na niego, zaczynają się bić. (A, a!) Nadbiega kasztelan, nadbiega jego córka, wszyscy się zabijają, kto się nie zabija, ten bierze i umiera; sam sufler bierze i ucieka ze strachu, a publiczność

bierze i płacze. Taki to jest ten okropny dramat. Czy myślisz, czytelniku, że to żarty! Wcale nie żarty! Dramat przysłany przecie na konkurs?!

A teraz pozwólcie mi czytelnicy, że ponieważ przed chwilą mówiliśmy o teatrze, teraz powiem parę słów o pewnej komedyi, która nie dawniej jak wczoraj odegraną była, jeżeli nie na samej scenie, to przynajmniej blisko sceny, i którą nietylko, że własnymi oczyma, (dziś tak często ludzie patrzą cudzemi oczyma, że ten pleonazm się dozwała), widziałem, ale bezpośrednio wnięszany byłem między jej aktorów. Komedyi tej nadałbym tytuł: „Posiedzenie parlamentarne“, gdyby nie to, że złośliwe języki posadzają mnie o bezustanną ironię, a w tym razie, wyrażenie: parlamentarne, istotnie na ironię wyglądałoby mogło.

Rzecz dzieje się w sali ogrzanej do trzydziestu stopni Reaumura, przy powszechnem uderzeniu krwi do głowy; bohaterami zaś „Posiedzenia“ są: Prezes, Komitet, Mówcy, Demos, Stołki, Ołówki, Kartki do głosowania. „Posiedzenie“ poczyną się ożywiać: jeden z mówców proponuje (zresztą rozsądnie) oszczędności i kończy wnioskiem, by tych oszczędności nie robić na pensyi Dyrektora, ponieważ obowiązki jego są ważne i trudne. *Głos drugi*: A czy dyrektor odpowiada swym obowiązkom? (śmiechy, ogólna radość, Demos uszczęśliwiony bije brawo). *Prezydujący*: Demosie nie śmiej się, albowiem jestto głupie i nieprzyzwoite. *Demos*: brawo prezydujący! brawo! brawo! Po takim objawie radości Demos siada (brawo! brawo!). *Jeden z mówców*: Mówmy o oszczędnościach! *Demos*: Mówmy o oszczędnościach! *Głos z lewej strony*: Sądę, że można skasować trzech woźnych, a miejsce ich zastąpić dwoma. *Demos*: I ja tak sądę, skasować dwóch, zastąpić trzema. *Głos z lewej*: Ależ przeciwnie. *Demos*: A tak, przeciwnie. *Głos z prawej*: Mojem zdaniem, dwóch będzie to zamało. *Demos*: I mojem zdaniem będzie zamało. *Prezydujący*: Demosie, zostaw to komitetowi, jesteś niekompetentny. *Demos*: Owszem, jestem kompetentny. *Głosy z różnych stron*: Tak! Demos jest kompetentny. Nie jest! Jest! Nie jest! Jest! Wrzawa, słychać głosy: Opozycjo grupuj się! *Demos*: Jestem kompetentny i dam tego dowody, niech mówcy mówią. *Pierwszy mówca*: Ja sądę czarno! *Demos*: I ja czarno! *Drugi mówca*: Ja biało! *Demos*: Ha! co? i ja biało, brawo! brawo! *Prezydujący*: Demosie siadaj. *Głosy*: Opozycjo grupuj się! (Wrzawa, zamieszanie, widać mówców ruszających ustami, ale głosu ich nie słychać). *Prezydujący*: Demosie ucisz się! (wrzawa i ogólna pantomina mówców). *Prezydujący*: Demosie, zaklinam cię, ucisz się, inaczej będziesz siedział do wieczora bez obiadu, nim zdołasz co postanowić. *Głosy*: Jeść! Jeeść! *Prezydujący*: A widzisz! a teraz słuchaj, jeżeli chcesz czarno, to wstań. (Demos wstaje). *Prezydujący*: Ale jeżeli chcesz biało, to siadaj

(Demos siada). *Prezydujący*: Demosie, Demosie, na miłość boską zdecyduj się, zdecyduj się. *Opozycja*: Panowie, grupujmy się! ty zaś Demosie powtarzaj za mną: no! czarno! *Demos*: czarno. *Opoz.*: czarniej! *Demos*: czarniej. *Opoz.*: krzycz, głośniej: najczarniej. Demos wrzeszczy: najczarniej! najczarniej! najczarniej! brawo! brawo! *Prezydujący*: Demosie, kiedy więc mówisz czarno, dlaczegoż więc kiedyś ci zaproponowałem, żebyś usiadł, jeżeli chcesz biało, usiadłeś? *Opoz.*: Nie rozumiałeś pytania. *Demos*: Nie rozumiałem pytania. *Prezydujący*: A teraz rozumiesz? *Opoz.*: Tak! *Demos*: Tak! *Komitet*: Szanowny Demosie! przedstawiam ci tu projekt pewnych zmian w ustawie, bez których, jak ja przynajmniej sądzę, nie możemy dalej istnieć; najgłówniejsza z tych zmian jest następująca: Wyrzeknij się, o Demosie, zjadania co piątek lekkich i słodkich wprawdzie, ale nie pożywnych blamanżów, które ci nie wychodzą na zdrowie, a ja wzamian będę ci dawał w miarę możliwości, co dwa tygodnie uczty co się nazywa. Czy zgoda? *Demos*: Niech jaki mówca co powie. (Jeden z mówców wstaje, mówi długo, płynnie i stara się namówić komitet, żeby dawał uczty co dwa tygodnie, ale blamanżów nie odbierał, albowiem, jakkolwiek same przez się nie dość może pożywne, przy posilniejszej jednak strawie służą i pomagają do strawności). *Prezydujący*: I cóż Demosie!? *Demos*: Brawo! braaawo, brawo! brawo! *Opozycja*: Krzycz! krzycz! *Demos*: A! a! a! o! braawo! *Komitet*: Demosie! służyłem ci jak umiałem, nie pobierając za to pensyi, ale ponieważ na blamanże nie mam, podaję się do dymisyi. *Opozycja*: Krzycz. *Demos*: Braaaawo! (Komitet wychodzi. Krzyki, wrzawa, zamieszanie, słychać dzwonek prezesa, ścisk, powinszowania. Powoli cichnie jednak coraz bardziej. Demos spogląda w okół siebie, poczyną się dziwić, stopniowo wpada w osłupienie i spogląda na drzwi, któremi wyszedł komitet). *Demos*: Hej! Co to? Co? Gdzie on poszedł? Co ja teraz będę robił? Aa! a! (poczyną płakać). *Opozycja*: Idź poproś go, żeby został, póki nie znajdziesz sobie kogo innego. Ja ci będę służyć. Ho! ho! Ale nim mnie wybierzesz, idź poproś go.

Epilog. Scena I. Opozycja sama. Opozycja: Ha! ha! ha! Zgrupowałam się! Ależ z tego Demosa można wszystko zrobić jak z wosku. Pocziwina! pocziwina! No, teraz przyjdzie moja kolej! Pocziwy safanuła! Pocziwina! pocziwina!

Scena II. Mówcy sami. Pierwszy mówca: Mówiłem za Demosem i z głębi duszy jestem przekonany, że miałem słusność; ależ to brawo komitetowi, w chwili gdy się podał do dymisyi, co za brak taktu, co za brak szlachetności, co za nizkość uczuć. Wiesz, że mnie to boli prawdziwie! *Drugi mówca*: Młody jesteś, bracie, i nie miałeś jeszcze czasu zbadać Demosa serce, które on ma dobre, ale jeśli chcesz się przekonać, co warta głowa, przeczytaj, co o nim mówi nieboszczyk Arystofanes

w *Rycerzach*, jeszcze w roku 425 przed narodzeniem Pańskim. Przeczytaj! co ci to szkodzi.

Zaciekawiony tą rozmową, a zwłaszcza jej zakończeniem, wróciwszy do domu, wyszukałem w literaturze greckiej wzmiankowanych *Rycerzy* i począłem ich czytać. Ciekawe to rzeczy! Były to czasy wojny peloponezkiej; lud (demos) w Atenach wodzony na pasku przez demagogów, szedł ślepo tam dokąd go ci ostatni wiedli. I oto, jak dwaj dymisyonowani wodzowie, przywódcy również niedawno dymisyonowanej partii rządzącej, scharakteryzowali przed widzami swego Demosa: „Otóż panowie, mamy pryncypała Gorączkę, mruka, wściekła, świszczypała, starego głupca. Demos skapryszony, Wraz na ostatnim targu kupił sobie Garbarza franta, co w swojej osobie, Wszystkie postępy łączy i zdrady. A gdy my z starcem nie możemy już rady Dać sobie, Kteon, ów garbarz przebiegły, Zbadał go wkrótce, łasił się uległy, Lizał się, schlebiał, widział w chwałę blasku I na rzemiennym głupca wodzi pasku“.

Do napisania tej komedyi natchnęło Sienkiewicza posiedzenie ogólne Towarzystwa Muzycznego, posiedzenie, na którym komitet przedstawił zebraniu projekt zmiany ustawy, który to projekt został ogromną większością głosów odrzucony, skutkiem czego prezes Towarzystwa, jego dyrektor, a nakoniec i komitet, podali się do dymisyi.

Oczywiście, że wobec tego musiały się odbyć nowe wybory. Wiele wody upłynęło, a zwłaszcza namącono wiele wody, zanim w końcu, po mnóstwie intryg, agitacyi, posiedzeń, walnych zgromadzeń, mów, warcholstw opozycyi etc. zdołano wybrać i uformować nowy komitet.

Szło, jak po grudzie, ale posiedzenie ogólne i posiedzenie szczegółowe, agitacje wyborcze, wota ufności i nieufności, wnioski, mowy, poprawki, słowem, cała owa technika parlamentarna, której w ostatnich czasach więcej w Towarzystwie, niż muzyki, a która miała pomagać do wytworzenia nowej władzy, zrobiła przynajmniej, może zresztą pomimo woli, tyle, że nie zdołała przeszkodzić uformowaniu nowego komitetu. Jest komitet, a więc będzie i muzyka. Pokrzępieni tą radosną nadzieją, gotowiśmy usprawiedliwić czasy interregnum, t. j. okres między zejściem się jednego, a sformowaniem nowego komitetu, owe czasy rzeczypospolitej z domyślnym trybunem Narwickim na czele. Przyszły historyk Towarzystwa muzycznego, jeżeli to tylko nie będzie uprzedzony jaki me-

loman, któremu przedewszystkiem chodzi o muzykę, potrafi nie tylko usprawiedliwić ową epokę przełomu, ale nawet podnieść te jej zasługi, które niezawodnie położyła, kształcąc parlamentarnie, niewykształcone parlamentarnie nasze społeczeństwo. Istotnie, otucha wstępuje w serce moje na myśl, ile jednak mamy prawdziwych zdolności, które tak świetnie zabłyśły w czasach agitacji wyborczej; ilu doskonałych mówców, ile głów niewyczerpanych w pomysły, dążące prosto ku uszczęśliwieniu, rozszerzeniu i utrwaleniu wszelkich instytucji; ile nakoniec wielkości, które niezawodnie wiedłyby i marniały zapoznane, gdyby nie owe przewroty muzyczne, obecnie należące już wprawdzie do przeszłości, ale zawsze pamiętne przez wielkie reformy, jakie zdołały przeprowadzić.

Obecny na posiedzeniach tych Sienkiewicz wzbogacił znacznie dotychczasowy swój zasób obserwacji, a nawet w jednej kwestyi wprost zmienił swe dawne zapatrywania, przekonał się bowiem, że były mylne. I tak n. p. dawniej żywił przekonanie, iż wszelka opozycja powinna mieć powody realne, natury czysto podmiotowej. Teraz przekonał się, iż to fałsz.

Pokazuje się, że można urodzić się oponentem, tak jak flegmatykiem, sangwinikiem i tym podobnie. Jestto sobie temperamencik taki dobry jak i każdy inny. Achilles, jak to wiemy z *Pięknej Heleny*, urodził się wrzący zacięty, wrzący zacięty, i z góry, wchodząc na scenę, sam to zaznacza. Kogóżby więc to, o akcyonaryusze, dziwić mogło, gdyby ktoś urodziwszy się oponentem, wchodząc na posiedzenie, również z góry zapowiadał: „Jestem oponent z zasady, ponent z zasady, ponent z zasady, Jestem negatywny, tywny, tywny mąż, Da-rem-ne wszelkie obrady, wszelkie obrady, wszelkie obrady, Ja protestuję, tuję, tuję, tuję wciąż“. Nie można zmienić własnej natury tak dobrze, jak nie można płynąć przeciw wodzie.

Co ciekawsze, iż taka opozycja z zasady, takie *veto* rzucone większości, imponuje kobietom (w ogólnych zebraniach Towarzystwa Muzycznego bierze również udział i płeć piękna): wystarcza należeć do opozycji, a zwłaszcza stać na jej czele, by w oczach niewieścich otoczyć się aureolą bohaterstwa i wielkości, a tem samem pobudzić niejedno serce do żywszego bicia dla siebie, a nawet zapalić w niem miłość i pragnienie wzajemności. Fakt ten, o którym autor *Chwili obecnej*, dotychczas nie miał pojęcia, nie uszedł jego baczności...

O piękne kwiaty! o wy córki opozycyi, nim przyjdzie czas, że zasiądziecie w komitecie i komisji rewizyjnej, powiem wam na ucho, że nie dziwię się wam. Dobra jest muzyka, dobre wieczory piątkowe, ani słowa; ale jest coś lepszego od piątków i od muzyki, a tem czemś lepszem jest oddać serce prawdziwie wielkiemu człowiekowi. Ach! być Heloizą Abelarda, być oblubienicą męża, którego nazwiska nikt bez sakramentalnego zaimka nasz nie ośmieliłby się wymówić; być żoną męża, którego parasol i kalosze potomność pod szklannym kloszem umieści i w muzeach z podziwem i namaszczeniem oglądać będzie; opleść bluszczowemi ramiony wspaniały dąb, który sam nie wie, gdzie mu się wierzch w obłokach podział; lecieć do słońca wraz z orłem, czyż jest większe szczęście dla kobiety? Cóż więc dziwnego, że otworzyłyście serca, i że oczy wasze, patrząc na młodych agitatorów, zdały się mówić: Wejdz panie! przybytek cichy czeka cię! wejdz panie, tu radość, tu szczęście, tu cisza, tu wesele i zapomnienie życia. Niech nikt nie wmawia we mnie, że tak nie jest. Wiem ja dobrze, że stan małżeński ma swoje kłopoty i umartwienia, ale wiem także, że poświęcenie ma swój urok i nie cofa się przed lada przeszkodami, zwłaszcza jeżeli chodzi o poświęcenie serca dla geniuszu, dla prawdziwej a potężnej wielkości.

Zmuszony, z obowiązku dziennikarskiego, bywać na rozmaitych posiedzeniach różnych towarzystw, nietylko Muzycznego, ale i akcyjnych, kronikarz *Gazety polskiej* miał aż nadto okazji do podziwiania próżności ludzkiej, małości i tysiącznych słabostek naszych wielkich i małych akcyonaryuszów. Oto n. p. spostrzeżenie, jakie zrobił na jednym z takich posiedzeń (na posiedzeniu Spółki Jedwabniczej).

Co chcecie, znałem człowieka, który tak często chwalił się wysokiemi znajomościami, że gdy ktoś przy nim pewnego razu narzekał na upał, ów odpowiedział: Istotnie jest gorąco, powiadam wam, że dziś takżeśmy się spocili z Branickim, że to okropność! „Mój drogi, spytał go ów „ktoś“, dlaczego ty się nigdy z kim innym nie pocisz, tylko zawsze z Branickim?“ Nie było odpowiedzi, ale łatwo się jej było domyśleć. Ot wolał się pocić z Branickim, jak z kim innym chłodzić.

Jakkolwiek była to śmiesznośćka ludzka, to jednak, o dziwo! bywając na różnych posiedzeniach akcyonaryuszów, zauważył Sienkiewicz, że i on do pewnego stopnia zaczyna jej podlegać, bo choć takie posiedzenia nie należą do najzabawniejszych rozrywek dla literata, to przecież zaczynał smakować

w bywaniu na sesjach tego rodzaju. „Wolę, pisał, być na posiedzeniu akcyonaryuszów, jak gdzieindziej. Gdy się człowiek o akcyach nasłucha, zdaje mu się, że sam ma akcyę“. Poza tem błogiem złudzeniem, które niestety rozwiewało się bardzo prędko, posiedzenia takie, choć na każdym zawsze była mowa o czem innem, przez to mogły się stać nudnemi dla człowieka, który sam nie miał akcyi, że na nich wiecznie odbywa się to samo, w tym samym porządku, że zatem wszystko można przewidzieć z góry, jeśli się ma choćby jakiegokolwiek doświadczenie w tym względzie.

Przedewszystkiem członkowie zaznaczają brak czasu, następnie ułatwiają sobie uprzejmie tracenie tegoż czasu, przez spory i rozprawy o szczegółach całkiem podrzędnej wagi. Występują rozmaici mówcy, wspominają o upałach, o Adamie i Ewie, nieco o czasach starożytnych, przerywają sobie wzajemnie, przepraszają się, nazywają się „znanymi z gorliwości“, napomykają o prasie peryodycznej, o wdzięcznej potomności, o spóźnionej godzinie, o nieprzyjemności uczucia głodu i o wielu rzeczach, tak dobrze głównego przedmiotu dotyczących, jak i nie dotyczących. Nie raz się zdarza, że dwóch mówców mówi odrazu, a wówczas jeszcze odzywa się dzwonek prezesa, co wszystko razem tworzy interesujące trio, osnute na temat omawianej materii.

Skoro mowa o posiedzeniach, których przebieg tak zwykle zaostrzał dowcip Sienkiewicza, to tylko jedno zaimponowało mu naprawdę, mianowicie posiedzenie członków Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych. Gdy sobie przypomniiał inne posiedzenia, jakie w tych czasach odbyły się w Warszawie, a szczególnie „przesławne sejmy Towarzystwa Muzycznego“, autor *Humoresek z teki Worszyłły*, poprostu, jak się do tego przyznał otwarcie w jednej ze swych kronik, nie mógł wyjść z podziwu, tak wszystko odbyło się cicho i spokojnie.

Nikt nie proponował votum nieufności dla komitetu; nikt nie kapał uszów słuchaczy w oceanie wymowy, nikt nie pozyskał nieśmiertelnej sławy, któraby go przydomkiem „nasz“ przynajmniej na jaki tydzień obdarzyła; nie było ani komitetów wyborczych i agitacyi uprawianej, jako sztuka dla sztuki; żadna rodzina białych charakterów nie mąciła wody między publiką, aby potem nałapać ryb w postaci krzeseł kurulnych w komitecie; na miejsce dyrektora nikt nie polował z naganką,

co jak wiemy, gdzieindziej nietylko miało miejsce, ale i na polującego z naganką sprowadziło kompletną, chociaż nieco spóźnioną naganę opinii, która jak zwykle „mądra po szkodzie“ spostrzegła się jednak wreszcie na sztuczkach. Nakoniec: posiedzenie nie wydało swego męczennika, swej „uciśnionej niewinności“, alias swego „Narwickiego“¹⁾, któryby poświęcenie dla dobra Demosa posuwał aż do tego stopnia, aby dać się przybić, wprawdzie nie do krzyża, ale do dyrektorskiego krzesła na rok cały.

Niestety, nie wszystkie posiedzenia naszych instytucji społecznych, odbywają się w tak przykładowy sposób: najczęściej dzieją się na nich sceny, które byłyby arcyzabawne, gdyby w istocie nie nasuwały bardzo smutnych refleksyi na temat naszego niedołęstwa, gdzie chodzi o rzetelną pracę produkcyjną.

O, Stowarzyszenia nasze! O, spółki połączonej pracy! O, Towarzystwa! i wy, wszystkie inne, mniej więcej pięknie nazwane i tytułowane wytwory ekonomicznego rozbudzenia się lat ostatnich, czy myślicie, że celem waszym służyć społeczeństwu wedle ducha waszych ustaw? Pokój z wami! dobrze myślicie! Ale jakże często jesteście tylko ciepłem pierzem dla safandulów, jakże często bywacie przytułkami dla paralityków, albo warsztatami, w których nasze filistry z głupich przerabiają się na szanownych, bardzo szanownych, zasłużonych i bardzo zasłużonych. Znane to drogi, o miłe filistry! Jesteś niczem, a pragniesz być czemś. Zapisujesz się więc na członka jakiego Stowarzyszenia, nie dlatego, żeby mu służyć, ale że członek, to już jakiś tytuł. Z początku należysz do opozycji, bo nie rozumiesz, jak zarząd, w którym ciebie niema, może dobrze kierować instytucją. Tymczasem nadchodzą wybory. Agitujesz wraz ze swymi przyjaciółmi. Obierają cię do komisji rewizyjnej, a potem i do komitetu. Zyskujesz stanowisko i wpływ. Stajesz się głośnym. Znajomi tytułują cię radcą. Dotąd byłeś poprostu Cymbalkiewiczem, teraz słyszysz w publicznych miejscach, jak nazywają cię „Cymbalkiewiczem z komitetu“. Oczywiście stajesz się konserwatystą, choć dobrze nie wiesz, co ci konserwować wypada, i człowiekiem zasad, choć niekoniecznie zdajesz sobie sprawę, jakich zasad. Powoli zdobywasz opinię człowieka zacności i człowieka niezachwianej prawości. Nie robisz nic a nic, a ludzie sądzą, że wszystko na twych barkach spoczywa, i twoją biedną łysinę, która na dobrą sprawę, za grzechotkę ledwo służyłaby mogła, mają za ministeryalną głowę. Obchodzisz jubileusz czterdziestoletniej działalności na polu... okręcania koło siebie wielkich palców dla konkocy na żołądku. Wreszcie „wśród powszechnego żalu ziomków“, syt lat i sławy oddajesz

¹⁾ Wybrany w roku 1875 dyrektor Towarzystwa Muzycznego.

ducha, ale uspokój się. Sława twoja dłużej żyć będzie od ciebie. Oto widzę twój portret w jakiejś efemerycznej ilustracyi, oto w twym nekrologu czytam co następuje: „Ze śmiercią Cymbalkiewicza społeczeństwo nasze straciło jedną ze swych głównych podpór. Był to mąż etc... Wieki potomne... etc.“ A wreszcie zakończenie: „Śpij, śpij Cymbalkiewiczul... Po życiu, pełnem trudów i syzyfowej pracy, niechaj sen drogi będzie twoim udziałem; niechaj ci ziemia lekka, a spoczynek wiekuistym będzie. Śpij, o Cymbalkiewiczu!“ Ależ, duchu pobożny! Całe życie nie robiłeś nic innego. Amen! Łam, znany feljetonista, powiedział kiedyś przez usta jednego ze swych komicznych polityków: że murzyni dlatego są murzynami, że nie mają arystokracji, a ja twierdzę, że murzyni jeszcze bardziej dlatego są murzynami, że nie mają tego rodzaju „szanownych“ i „zasłużonych“, jak Cymbalkiewicz. Pod tym zato względem niema społeczeństwa mającego bielszą skórę, jak nasze. Tak jest! Pod tym względem jesteśmy, co się nazywa, ucywilizowani. Niestety jednak, żarty żartami, a liczba Cymbalkiewiczów coraz bardziej się u nas mnoży. Czemże bowiem, jak nie Cymbalkiewiczostwem, podszywajacem egoizm i próżność, wytłomaczyć można ową obojętność na sprawy społeczne, owo chrómanie ekonomicznych instytucyi krajowych, owo rozmijanie się ich z celem, marną działalność i wreszcie rozpadanie się ich po kilku latach nędznego żywota. Należy powiedzieć prawdę. Dla próżności, dla pozycyi towarzyskiej wielu ubiega się o tytuły członków, radców etc., ale jakże niewielu dzielnie i energicznie spełnia swe obowiązki; jakże nie wielu nie poczuwając się do innej odpowiedzialności, jak do odpowiedzialności przed własnem sumieniem, boi się jej i unika, jak najstraszniejszego sądu. Winna temu i opinia publiczna: chwiejna, kapryśna, grymaśna, ale miękka, naiwna jak dziecko: leniwa i pełna bojaźliwości jak filister, a pozwalająca się wodzić na pasku nawet... Cymbalkiewiczom.

Wyjątku pod tym względem nie stanowił w roku 1875 także i komitet Resursy Obywatelskiej, choć kto wie, czy główną tego przyczyną nie był fakt, że pomiędzy członkami Resursy olbrzymia większość składała się z Cymbalkiewiczów. Bądź co bądź, Resursa „tonęła w falach obojętności“, a najbardziej oburzająca była obojętność komitetu, który nietylko nie nie robił, ale nawet na posiedzenia nie przychodził regularnie: przychodziła zaledwie trzecia część członków, co oczywiście miało ten skutek, że obrady prowadziły do niczego.

O obywatele moi mili! Przychodzi trzecia część członków, to prawda, ale gdyby przychodziło tylko trzech, to byłoby także wszystko jedno. Widocznie członkowie znają siebie doskonale, a zara-

zem nie zapomnieli jeszcze matematyki i wiedzą, że zero, zero, zero a zero, wypadnie zawsze zero. Ja, co prawda, byłem zawsze jak najgorszym uczniem z matematyki, skutkiem czego nawet, po każdym przyjeździe na wakacje do domu, miewałem pewne hałaśliwe zajęcia z rodzicielską powagą, o których wolę zamilczeć, ale przecie rozumiem nie bywających na posiedzeniach członków, bo jeszcze takie proste rzeczy pamiętam. Otóż powiem wam, że ci, którzy nie przychodzą na mocy tej zasady: $0 + 0 + 0 = 0$, czynią to z przekonania: że czy na posiedzenie przyjdą, czy nie przyjdą, obrady zawsze wypadną jednakowo.

Bo czyż nie zerem jest „obywatel“, dla którego po za wistem naprawdę nie nie istnieje. A z takich „obywateli“ składał się, w roku 1875, w znacznej części komitet Resursy Obywatelskiej.

Znam pewnego członka, który każdego nowo poznanego człowieka pyta w ten sposób: „Panie! (mówi), cobyś pan grał, żebyś pan miał tak: asa, damę, dwie młódki karo, asa, króla, waleta pik i t. d. „Czy słyszałeś pan, pytam go raz, że podobno Verdi ma przyjechać do Warszawy i że wystąpią na jego cześć w Resursie obywatelskiej?“ „Verdi, rzeczce członek, Verdi w resursie? Ciekawybym też był, coby on grał, żeby miał tak: asa, damę, dwie młódki karo“ i t. d. Co to jest przejąć się jakąś myślą do głębi duszy: przejdzie człowiekowi w krew i opanuje go całego.

Jak nazwać podobny objaw? Jeśli się jest tak pobłażliwym sędzią, jakim w tym razie okazał się kronikarz *Gazety polskiej*, to chciałoby się takiego „obywatela“ przynajmniej nazwać po turecku...

Nie jestem pewny, czy wiecie, czytelnicy, że wielki obywatel znaczy po turecku: Safandula. Otóż, mając zamiar pisać w niniejszym odcinku o komitecie, wydelegowanym do założenia ogrodu zoologicznego z powodu ostatniej sessyi tegoż komitetu i chcąc uczcić jak należy mężów do jego składu wchodzących, o mało nie popełniłem wielkiego głupstwa. Pragnąłem poprostu nazwać ich wielkimi obywatelami, bo, z ręką na sercu, jużci im się to należy, ale, że z drugiej strony wiem, że prawdziwa wielkość zawsze ze skromnością w parze chodzi, chciałem to tak jakoś zgrabnie zrobić, żeby owej skromności nie obrazić. Myślę więc sobie: nazwę ich po turecku. Termin, może się utrże, oddam co komu należy, a przytem wzbogacę trochę język (niechże i ja mam jaką taką załugę!) więc tedy i nazwałem ich po turecku. Nagle przyszła mi do głowy pewna wątpliwość. Nuż moje dobre chęci nie zostaną zrozumiane i ocenione jak należy, mój Boże! świat jest tak zepsuty i złośliwy! nuż

będzie jakie nieporozumienie, a ztąd nowe kwasy, albo co gorzej nqwe wezwanie o „zjawienie się!“ Przekreśliłem więc turecki wyraz, i wolę poprostu, nie uciekając się do tureczczyzny i bez względu na czyją skromność, nazwać wielkim obywatelem, nie zaś safandulą, każdego, kto na to zasługuje. Czy zaś komitet mianowany do założenia ogrodu zoologicznego na to zasługuje? Ktoby o tem wątpił, ten pozwoli mi także powątpiewać o swoich zdrowych zmysłach, poczytalności prawnej, o wybieralności na członka krajowych resurs, o posiadaniu książeczki legitymacyjnej, regularnem opłacaniu tak zwanej karty pobytu i innych kwalifikacyach, które odróżniają każdego porządnego i statecznego obywatela od pierwszego lepszego „demagoga z brodą“, nie wierzącego w nic...

Dosłownie to samo, co tu o członkach komitetu, zajmującego się założeniem ogrodu zoologicznego, można powiedzieć i o innych członkach różnych komitetów, różnych towarzystw, i dlatego wydało się dowcipnemu autorowi *Chwili obecnej*, że i on posiada wielkie kwalifikacye, potrzebne na członka komitetu, a zatem, że społeczeństwo powinno go powołać na jedno z takich odpowiedzialnych stanowisk.

Nie naraziłem się nigdy nikomu niczem, w odcinkach swoich zawsze chwale kogo mogę, nie pomijając nawet i *Israelity*, który też wżajem, jak uważam, żywą ku mnie pała sympatyą, spodziewam się więc, że jedno przy drugim zdoła zapewnić mi pewną popularność, która z czasem uczyni mnie osobą niezbędną. Tuszę sobie, że wszelka nowo powstająca instytucya, będzie ubiegać się o zaliczenie mnie do grona członków założycieli, tembardziej, że zdrowie moje nie jest do tego stopnia zniszczone, abym narzekał na bezsenność. Przeciwnie: na wszelkich sesyach, dążących do uszczęśliwienia ludzkości, bądź to przez rzeczy spożywcze, bądź przez gotówkę, bądź przez tanie kuchnie, bądź przez rumfordzką zupę, mogę być mężem zaufania tak dobrze jak i każdy; mogę asystować przy obcinaniu wszelkiego rodzaju kuponów; mogę być członkiem, któremu się mówi: panie prezesie, lub panie radco dobrodzieju! mogę grać: tra la-la! na trąbce obywatelskich uczuć. Tak jest: przysięgam, że mogę być tem wszystkim! Co więcej, mogę z czasem zostać nawet konsulem jakiego państwa, jeżeli współobywatele moi zostawią mi na to czas i z jedno państwo, choćby wyspy Fidżi, lub Dahomej, które, o ile wiem, nie mają jeszcze swych pełnomocników, wybranych z pośród grona współobywateli naszego grodu.

Zostawszy konsulem, coby mu także nie przeszkadzało należeć do jednego i drugiego komitetu, w bardzo krótkim

przeciągu czasu, miał nadzieję, stałby się jedną z popularnych osobistości w Warszawie, jedną z tych wielkości, których tyle przechadza się po ulicach naszego miasta, pytanie tylko, czy te czeigodne wielkości, tak u nas szanowane przez ogół, istotnie są tak znakomitami jednostkami społecznymi, za jakie je nasz warszawski *Vox populi* poczytuje? Pod tym względem nasuwały się autorowi *Chwili obecnej* dość poważne wątpliwości, a gdy raz, w dzień Bożego Ciała, znalazł się na wieży Świętokrzyskiej, i gdy z jej wysokości spojrzął na Warszawę, wówczas, o dziwo! niejedno, co oglądane w zwykłych warunkach wydawało mu się nie na zwykłą miarę, ztąd robiło wrażenie lilipucie.

Jakże małemi wydają się naprzykład, niektóre nasze znakomitości miejscowe, widziane choćby tylko z takiej wysokości, jak Świętokrzyska wieża; nasi wielcy filantropowie, przytulający wszelaką nędzę z taką siłą, że aż jej oczy na wierzch wylażą; nasi *patres et conscripti* wszystkich towarzystw i komitetów, głosujący przez zastępstwo, chorujący na niestrawność, a skorzy do dawania rad prasie, co może a co nie może być przedmiotem dziennikarskiej dyskusyi; nasi powszechnie uznani mówcy zebrań, rozpoczynający zawsze od słów: „Panowie! Zgromadziliśmy się tu“ i t. p.; nasze filary postępu opiewanego wierszem i prozą; nasze tromtadraty literackie, grające na trąbce dobra publicznego pobudkę do „jaknajrychlejszego“ składania prenumeraty we własnym interesie prenumeratorów; nasze tarany do bicia zakwestyonowaną zresztą głową w zapleśniały mur ciemnoty; słowem, cały ów nasz panteon, który, widziany zblizka, świat nam przesłania, a oglądany stąd maleje tak, że go zaledwie gołem okiem rozpoznać można. Pod naszymi oczyma przechodzą w lewo i w prawo te olbrzymy, i o dziwo! wydają się nam robaczkami.

Ach! warszawscy moi czytelnicy, na wyżyny wchodźcie, zapraszam was. Na wyżyny jak najeczęściej! Ztamtąd nie tylko nasze mury cuchnące widać, nasze rogatki, nasze małomiejskie kłótnie i burze w łyżce wody. Tam horyzont szerszy, atmosfera jaśniejsza; w blaskach zachodzącego słońca widać Wisłę rodzoną, a tam pola i łąki i wierzbowe gaje i lasy i bory i szare strzechy wieśniacze i szeroki szmat kraju całego. Na wyżyny, o czytelnicy moi, na wyżyny!

Tam między innemi nie dzieją się takie rzeczy, jak n. p. oryginalna przygoda, która zdarzyła się pasażerom jednego z omnibusów „żelaznych“, kursujących od Bernardynów do

kolei Petersburskiej, a następnie do Terespolskiej. Omnibus ten, przejechawszy Zjazd, minął szczęśliwie most, gdy nagle...

Nagle tuż za mostem omnibus zatrzymuje się, konduktor zagląda przez drzwiczki i mówi: „Wysiądać“. „Co to jest? my jedziemy do kolei Terespolskiej“, wołają pasażerowie. „Nie pojedziemy do kolei Terespolskiej“, odpowiada ze spokojną godnością dygnitarz, zbrojny w blaszaną puszkę. „Dlaczego?“ „Bo na drodze stoją trzy wagony“. „To każ pan odjechać trzem wagonom“. „Trzy więcej znaczą niż jeden. Wysiądać!“ Pasażerowie, przekonani z pomocą arytmetyki, wysiadają i śpieszą do owych trzech wagonów, przy których znajdował się jakiś drugi dygnitarz od tejże kolei konnej. Przybiegłszy, pytają o powody. Pytają o powody!... Co za zuchwalstwo. Dygnitarz wysuwa naprzód wargę i patrzy na suplikantów wzrokiem, w którym maluje się zdumienie. Onby miał odpowiadać. On dziwi się sam sobie, że dotąd nie obrócił w proch zuchwalców. Zastanawia się przez chwilę; następnie obraca ich w proch i nie odpowiada, bo do prochów, jak wiadomo, nie ma co mówić. Prochy jednak skarżą się, dopominają o zwrot pieniędzy, narzekają na zawód. Dygnitarz wybucha! „Jak nazwisko tego, który tu najgłośniej krzyczał?“ woła z wysokości swego majestatu. Człowiek, który najgłośniej krzyczał, błędnie. Oho! już po mnie, myśli sobie. Obrazić takiego człowieka. Któż go tam wie, co to za jeden. Może to... (tu następuje szereg przypuszczeń) takie ma świecące guziki... A nuż każe wziąć do kozy? Nieszczęśliwy nie przewidywał, że stanie się nierównie gorzej. Aleksander Macedoński obraził się na mieszkańców Tyru, to wiadomo z historii Skrzypińskiego, dygnitarz omnibusowy gniew swój przeniósł z jednego mieszkańca na wszystkich mieszkańców Warszawy i postanowił ich ukarać. Obecnie kara się dokonywa. Omnibus kolejowy od owego pamiętnego dnia nie chodzi już wcale na kolej Terespolską. Wszyscy cierpią, dlatego, że ktoś ze świecącymi guzikami obraził się na kogoś bez świecących guzików.

Obserwując podobne przejawy naszego charakteru narodowego, a widząc jednocześnie, jak żyją i pracują cudzoziemcy w naszym kraju, nie dziw, że człowieka czasami opadnie pesymizm, graniczący ze zwątpieniem.

W podobnie minorowy nastrój wpadł raz Sienkiewicz, gdy, zrobiwszy wycieczkę do Rudy Guzowskiej, zwiedził wielkie zakłady Żyrardowskie.

Ach! miły czytelniku, jakież cuda oglądały nasze oczy! Cóż to za fabryka! Sale tam tak rozległe, że stojąc na jednym końcu, zaledwie

rozeznasz rysy ludzi pracujących na drugim. Olbrzymie, straszliwe potwory parowe, rycząc groźnie i wywijając z piekielnym rozmachem żelaznemi ramionami, nadają ruch wszystkiemu. W przedzalni tysiące większych i mniejszych kół, o smoczycy kształtach, kręci się z przerażającą szybkością na osiach; wszędzie huk, łoskot i burza taka, że ani jednego słowa nie dosłyszysz. Ściany budynku drżą. Zdaje się, że wszystkie te maszyny żyją i mają dusze; zda się, że jakaś niepojęta wściekłość ogarnęła te żelazne potwory. Patrzysz na nie i wydaje ci się, że lada chwila wyciągną się ku tobie jakieś straszne ramiona i porwawszy rzucać cię na owe zęby, haki i pasy, które rozerwą ciało twe na atomy, zmielą je, uprzedzą i zrobią z ciebie łokieć płótna. Przemienić się nagle w ręcznik, co za niemiła metempsychoza, nie mówiąc już o innych kształtach, na wypadek, gdyby się było przerobionym na cieńsze płótno. Powoli jednak prawidłowość tych ruchów uspokaja wzburzone nerwy i chłodzi rozbudzałą fantazję. Widzisz, że ów potwór, który ci się przed chwilą wydawał wściekłym, piastuje w swych objęciach subtelne, jak pojęcie, włókienko - nitczkę; snuje i nie zrywa jej. Wówczas to dopiero poznajesz, że istotnie ożywia go przezorny, potężny i więcej tu niż gdziekolwiek tryumfujący nad ślepą siłą rozum ludzki, dla którego te smoki są posłusznymi na każde skinienie niewolnikami. Przedzalnie i sale warsztatów tkackich, farbiarnia, blichownia, to prawdziwe muzea. Ostatnia, t. j. blichownia, jest to sobie ni mniej ni więcej jak olbrzymia, otoczona wysokim parkanem łąka, która na przestrzeni kilku morgów, na pierwszy rzut oka, wydaje się być pokryta śniegiem. Po bliższem przypatrzeniu się poznajesz dopiero, że ten śnieg stanowią wszelkiego rodzaju płótna, poddane podwójnemu działaniu słońca i wody. Płótna te pójdą potem na cały kraj, do Rosyi, do Niemiec i Austrii nawet. Trzy tysiące ludzi pracuje w tych olbrzymich zakładach. W Żyrardowie zakładają się powoli sklepy, wznoszą się po trochu budowle i domy fabryczne. Osada powiększa się wolno, ale stale. Działalność fabryki wzrasta z dniem każdym; obroty roczne miliony rubli wynoszą, jak również miliony przynoszą na czysto szczęśliwym, ale zarazem pracowitym i energicznym przedsiębiorcom, właścicielom. Zwiedzanie tych wszystkich cudów, ułatwia niezmiernia uprzejmość właścicieli, którzy chętnie i z pewną dumą oprowadzają wszędzie zwiedzających. Z dumą, bo byli to podobno ludzie za młodu biedni, którzy szli świat o własnej sile i własną siłą się wybili, z dumą, bo kiedy obejmowali fabrykę, wszystko było w rozstroju i upadku; dziś ład i porządek w niej wzorowy, a rozkwit niebywały. Tak jest: ład, porządek i rozkwit.

Patrząc na to wszystko, zadumałem się mimowoli. Ach! czemuż te dotykalne przykłady samopomocy są wiecznym grochem, rzucanym na ścianę, dla naszych skich i wieczów; czemuż przychodząc na świat, przynosimy już niejako ze sobą więcej gustu do „kwaszonych ogórków“, do

zółtych najtyczanek, do wielmożności, do karczowania lasów, do głównych, biernych ról w dramacie zatytułowanym: subhastacya, do wielkiej polityki, streszczającej się w słowach: „na wiosnę!“ do pachciarzy, do parcellacyi, do utyskiwań na złe czasy, do ciężarów hipotecznych, do zwykłego: „jakoś to będzie;“ czemuż, niestety, powtarzam, przynosimy więcej skłonności do tego wszystkiego, niż do wytrwałej, upartej a organicznej pracy, do tej mrówczej pracy, która sprawia, że mrowisko choćby dziesięć razy na dzień nogą przechodnia rozrzucone, wznosi się i staje znów całe, odbudowane. Czyż istotnie rodzimy się słabsi, czy słowiańska rasa nasza, jak tego jeden głupi Francuz dowodził, a jedno mądre pismo nasze za nim powtórzyło, rodzi się wtlejsza, żyje słabiej i wymiera prędzej od sąsiedniej germańskiej?... Było się nad czem zadumać. Ale nie. To nieprawda! Nie rodzimy się słabsi, nie natury więc winą; umieramy słabsi, to nasza wina. Było się nad czem zadumać.

Co pewna, to że przysłowiowa *l'improductivité slave* pokutuje w nas silniej, niż w innych plemionach słowiańskich, że jesteśmy skłonniejsi do próżniactwa, niż inni nasi pobratymcy, nie mówiąc już o Niemcach, których w tylu wypadkach powinniśmy starać się naśladować... Nieraz powtarzamy o Niemcach, że to największy nasz wróg, ale nie zawsze chcemy pamiętać o tem, że jest to nieprzyjaciel, który stoi zewnątrz nas; przed tym, przy pewnej dozie przezorności i rozsądku, można się obronić.

Groźniejszy jest nieprzyjaciel, który mieszka wewnątrz nas, a który nas popycha na drogi łatwego z bogacenia się bez trudów i pracy, na drogi loteryi, spekulacyi pieniężnych, gry loteryi i tym podobnie. Z tym nieprzyjacielem groźniejsza sprawa, bo rodzi się z własnej naszej skłonności do próżniactwa, i z ogólnej dziś *febris aurea*, a przytem przystraja się jeszcze w zielone szaty nadziei... a nadzieja to... Nie! nie tak chciałem powiedzieć. Nadzieja matka głupich! w tem leży prawda bezwzględna, a mnie tym razem względnej potrzeba: powiem więc, że nie nadzieja, ale łudzenie się, to jedna z ważniejszych i bardziej niebezpiecznych naszych chorób. Drugą jest gorące pragnienie, żeby pieczone gołąbki same wpadły do gąbki; trzecią, skłonność do hazardu. Wyszliśmy na hazardzie tyle razy, jak Zabłocki na mydle, że powinniśmy mu nie ufać; a jednak dzieje się inaczej.

Zamiłowanie do gry hazardowej ciągle nam jest właściwe, a wiedział o tem nawet Bismark, gdy naszych obywateli ziemskich wysyłał w parlamencie berlińskim do Monaco.

O, gra w ruletę, albo gra na giełdzie, to haczyki, do których lekkomyślnego połknięcia zawsze byliśmy i jesteśmy bardzo skłonni. W to nam graj!

Jestem najmocniej przekonany, że gdyby projektowany w swoim czasie dom gry w Ciechocinku przyszedł był do skutku, obecnie połowa z moich wiejskich czytelników nosiłaby papierowe kołnierzyki; gdyby w Warszawie istniała giełda na kształt wiedeńskiej, połowa z moich wiejskich czytelników, zamiast gospodarować na wsi, mieszkałaby „dla edukacji dzieci“ w Warszawie. Chorowałibyśmy na to tak, jak sąsiednia Galicya. Ta gorączka, w mniejszym lub większym stopniu, wrodzona jest wszystkim klasom naszego społeczeństwa. Czyby kto uwierzył, że zapalano się u nas, oczywiście mówię o niższych klasach, nawet do loteryi fantowych, do owych, jak dowcipnie *Kurier Świąteczny* nazwał: wydeptalno figę wygrywalnych zabaw. Zapalano się. Wydawali ludzie nie przez filantropię, ale przez chęć wygrania więcej na bilety, niż mogli. Obecnie już to się skończyło. Adiju Fruziu! loteryi już żadnych wcale nie będzie. Oto do czego prowadziłem. Pozostaje i pozostanie jednak jeszcze przez dłuższy czas jedna loterya, a przynajmniej coś arcypodobnego do loteryi: pożyczka premijowa. Kantory nasze sprzedają na nią promessy, na których podobno jest bardzo drobny wprawdzie, mikroskopijny nawet, ale jednak przez silnie powiększające szkła zdrowego rozsądku napis: „obiecanka cacanka, a głupiemu radość“. Napis ten jest podobno we wszystkich językach. Co do mnie, nieczytałem go, bo jak żyję, nie widziałem promessy, a bilety pożyczkowe tylko przez szybę.

Ta żądza łatwego i szybkiego zbogacenia się bez nakładu pracy sprawia, że gdy się zacznie sezon wyścigów konnych, pół Warszawy nie mówi o czem innem, tylko o totalizatorze, pół Warszawy spieszy na pola Mokotowskie, a Towarzystwo Wyścigów konnych obraca milionami. Swoją drogą nazywa się, że tu nie chodzi o hazard, tylko o poprawienie krajowej rasy koni, co w gruncie rzeczy jest z takim pożytkiem dla kraju, jak n. p. kolekeyonowanie banderolek od cygar hawańskich. Żeby przynajmniej ta „poprawa“ była widoczną! Rezultat jednak, jaki osiągają nasze arystokratyczne hodowle koni wyścigowych, jest tak nikły, że doprawdy *le jeu ne vaut pas la chandelle*. Krzyżącym dowodem tej równającej się prawie zeru działalności utylitarnej różnych wielkopańskich „stajen“, dowodem, który mniej zapalonym amatorom sportu wiele daje

zawsze do myślenia, są wyścigi chłopskie, któremi zwykle kończą się warszawskie wyścigi.

Otóż z wyścigów tych, okazuje się po' najskrupulatniejszym obliczeniu czasu, jakiego na obieżenie szranek potrzebują konie angielskie i domorośle chmyzy chłopskie, że różnica na korzyść pierwszych wynosi zaledwie kilkanaście sekund na wiorstę. Tak jest, kilkanaście sekund; a jednak dla tych kilkunastu sekund ileż to zachodu i starań, ile hałas, ile przeróżnych ceremonii, ile starterów, chorągiewek, meldowań, wagi, ile angielskiego szyku! Tworzą się dyrekcyje, sprowadza się dżokejów, zapuszcza się angielskie faworyty, nosi się angielskie paletoty, wyłamuje się domorośle szczęki na angielski sposób po to, ażeby mówić angielszczyzną, którą każda narodowość łatwiej rozumie niż angielska; chowa się całe stado długonogich rumaków, wybiera się z pomiędzy nich te, które mają nogi najdłuższe, trenuje się je, ludzie i konie pocą się jak nieboskie stworzenia, wyrzuca się rocznie miliony złotych... i wszystko to dla tego, żeby potem przelecieć wiorstę o kilkanaście sekund prędzej niż to robi, naprzykład niejaki Stacho Kałduniak z pod Wilanowa. Ależ Stacho Kałduniak jeździł na swoim chmyzie cały rok, gentlemani na swoich folblutach nie jeździli; Stacho orał nim, gentlemani nie orali, Stacho bronował, Stacho woził drwa do Warszawy, zboże na targ, słowem, Stacho użytkował, gentlemani ze swoich nie użytkowali, nakoniec, Stacho wygrał, gentlemanów większość nietylko że nie nie wygrała, ale nawet potraciła stawki. Wyprowadzam z tego wniosek taki, że niejeden podobny Stacho, mimo, że nie rozumie co znaczy: „all right!“ mimo, że dżokejów nigdy inaczej nie nazywa, jak „poganami“, mimo nakoniec, że na swego folbluta arcy po mazowiecku „hetta!“ woła i prętem lub postronkiem go popędza, jest jednym z najracyonalniejszych krajowych sportsmanów. Drugi wniosek zaś jest taki, że owe kilkanaście sekund większej szybkości koni angielskich, są sekundami najkosztowniejszymi ze wszystkich sekund, z jakich składa się nasze ogólne życie, co przy równie ogólnej biedzie, przy powszechnych narzekaniach, przy długach, przy wiecznych terminach etc., jest wydatkiem podobno absolutnie naszą możność przechodzącym. Co do mnie, ostatecznie sędzę, że jeżeli mamy dość powodów zazdroszczenia Anglii wielu rzeczy, które nieprędko u nas z dziedziny pragnień i pożądań do dziedziny istotnych faktów przejdą, to wcale nie mamy powodów do zazdroszczenia jej sportu, który tam przedstawia się zresztą, jako wynik zbytńich, wiodących do ekscentryczności bogactw, u nas zaś jest wpływem chęci naśladownictwa, rozpowszechnionej prawda wszędzie, ale nie obfitującej w jakiegokolwiek realne owoce.

Nie potrzebujemy obwijać w bawełnę prawdy, że zacofani jesteśmy w stosunku do Zachodu pod każdym względem. Nadewszystko jesteśmy goli, w porównaniu z tą zagranicą, jak Łazarze. Przemysł nasz jest za-

den; na drodze handlowej stawiamy pierwsze kroki; nasi lordowie wraz z całemi ich majątkami mogliby być plenipotentami lordów zagranicznych; nasi posiadacze ziemscy, stanowiący jądro społeczne, wegetują raczej na swoich gospodarstwach; nasi włościanie nie umieją czytać i pisać; nasi żydzi, mimo wszelkich, czy to jednostronnych, czy obustronnych usiłowań, są jemiołą na dębie. Tu gromady ludzi ciągną dwa zakrótkie końce celem powiązania ich z sobą, a gdy który się urwie, przewracają się głowami na dół a nogami do góry; tam znowu łapią rzeszotami wodę owdzie rzucają groch na ścianę, owdzie budują domki z kart; gdzieindziej kręcą bice z piasku, tam znów pracują, jak owa przysłowiowa Barbara, która co w dzień uszyje, w nocy rozpara; a wszędzie więcej, Bóg widzi, o wiele więcej „przygotowań niż dyalogu“. Ach! gdyby to projekta były faktami, czegożby to nam brakło. Jeżeli piekło istotnie jest zabrukowane dobrymi chęciami i pięknymi projektami, tedy zapewniam was, mili współobywatele, że my, którzy mamy najgorsze w świecie bruki w Warszawie, dostarczymy ich jaknajwięcej i w jaknajpiękniejszym gatunku dla Lucypera. Ile tam już tego materiału jest na składzie, tego nikt i porachować nie potrafi.

Te Sienkiewiczowskie „jeremiady“, wywołane wyścigami, wywołały oburzenie w pewnych kołach, mianowicie wśród naszych sfer lordowskich. „Nazwany zostałem demokratą, pisał o tem w feljetonie z d. 13 lipca, i to demokratą w złym duchu, co raz na zawsze zamknęło mi wstęp na arystokratyczne herbatki z deklamacyą, z sardynkami i kanapkami“. Co jednak wywołało największe oburzenie, to wszelki brak skruchy w zuchwaliśmy feljetoniście, który, choć sam z Cieciszowskiej urodzony, nie sobie jakoś nie robił ze swego dobrego urodzenia... Co gorsza, to że o dobrze urodzonych pisał w taki sposób, że ich kosztem bawiła się cała Warszawa, bo niestety, feljetony jego coraz większy zdobywały sobie rozgłos... Oto n. p. rozpoczął w *Chwili obecnej* cały szereg scen i obrazków z życia śmietanki warszawskiego towarzystwa i cykl ten, o zgrozo! ciągnął przez kilka numerów. Cynizm zaś, z jakim kreślił karykaturalne sylwetki ludzi tej sfery, przechodził wszystko!...

Będę wam teraz, czytelnicy, opowiadał anegdotki z wielkiego świata, a czynię to tem chętniej, że przy tej sposobności potracę o francuzczyznę, która dla naszych salonów jest tem samem, czem język niemiecki dla naszej giełdy. *Enfin nous pouvons le lire!* wykrzyknął pewien

dystyngowany młodzieniec, imieniem Toś, dowiedziawszy się, że Kraszewskiego mają przekładać w *Revue des deux mondes* na francuzki. *Enfin nous pouvons le lire!* powtórzyło z zadowoleniem całe równie dystyngowane towarzystwo: księżna Bibi, hrabianka Mimi, pani Dziurdziulewiczowa z córkami, radca Cymbalkiewicz, chevalier de Zielonogłowski, marszałek Nadymalski i l'abbé Wylizalski. Toś mi zaręczał, że z tego powodu była wielka i długotrwała uciecha. No! proszę! proszę! I pomawiają tu nasze salony, że się nie zajmują literaturą krajową. Mylicie się demagodzy! salony nasze żywo obchodzi literatura krajowa, potrzeba umieć ją tylko podać z odpowiednim sosem. Że to się źle czyta po polsku, nie dziwnego, bo się źle rozumie po polsku. Ot, na przykład, chevalier de Zielonogłowski, cóż on winien, że nie zna dobrze swojego języka. Od najmłodszych lat miał guwernera, bardzo zresztą dystyngowanego i w dobrym duchu człowieka, niejakiego Monsieur d'Orangoutang, który, jako cudzoziemiec, nie mógł go wyuczyć tutejszo-krajowego; następnie, doszedłszy do lat młodzieńczych, chodził w Paryżu do szkoły Mabile... chciałem powiedzieć: centralnej, której jakkolwiek nie skończył, nabrał za to manier w Bulier... chciałem powiedzieć foubour S. Germain, i bądź co bądź, dał piękny przykład, że w dzisiejszych czasach najbogatszy nawet i najlepiej urodzony człowiek musi mieć jakąś specyalność, choćby polegającą na umiejętnym wygładzaniu i utrzymywaniu paznogi. Mówię to wszystko dlatego, że mimo tak cudzoziemskiej edukacji, chevalier ucieszył się jednak razem z innemi, że będzie mógł czytać Kraszewskiego. Wogóle zapewniam was czytelnicy, że całe to towarzystwo, w które was wprowadziłem, oddycha jak najlepszymi chęciami. Prócz tego, wszystko to są tak mili ludzie, że pewno nie oprę się chęci poznajomienia was w następnych odcinkach szczegółowo z każdą wyżej wymienioną przeze mnie osobistością. Dziś tego uczynić nie mogę, zabrałoby mi to bowiem zbyt dużo czasu, dlatego poprzestanę na powiedzeniu wam kilku słów o marszałku Nadymalskim. Co mnie w tym człowieku zawsze szczególnie zachwycało, to ta godność osobista, która bije z każdego jego gestu i słowa. Nie dziwcie się, że marszałek z lada kim wdawać się nie będzie. Nie pozwala mu na to ani pozycja socyalna ani nazwisko. Jak jednak umie przeczuć z samego brzmienia nazwiska, z kim można zrobić znajomość, a z kim nie, niech wam tego dowiedzie następujący wypadek. Na pewnych wodach zagranicznych, przy tabldocie siedziało polskie towarzystwo, w którym znajdował się i marszałek. Marszałek nie znał nikogo, nie wiedział z kim ma do czynienia, dlatego zachowywał się ostrożnie i milcząc. Gniewało go już to, że ci, którzy zwracali się do niego w rozmowie, nazywali go tylko po prostu: panie dobrodziej, nie był więc i w humorze. Rozmawiano o muzyce, o operach, wymieniano rozmaite nazwiska, o których marszałek nigdy nie słyszał i nie wiedział, co są zacz, wreszcie ktoś zwraca się do marszałka i pyta. „Pan Dobro-

dziej lubi muzykę?“ Marszałek kiwnął lekko głową, co znaczyło, że jeżeli jej nie lubi, to przynajmniej jej pobił. „A zna pan Dobrodziej *Hugonotów*?“ Marszałek z samego brzmienia nazwy domyślił się, że to jakaś nieszczęśliwa szlachta, a może i nie szlachta, która, jak sądził, bawi właśnie na wodach, dlatego odrzekł sucho: „Nie znam i nie życzę sobie!“ Co za takt! co za przezorność prawdziwie polityczna. I pomyśleć tu sobie, że ten człowiek, któryby na szerszej arenie politycznej znalazł dopiero sposobność do rozwinięcia wszystkich swych świetnych przymiotów, musi ograniczać się na sprawach jednego powiatu. Jeżeli jednak sądzicie, demagogdy, że mało mamy tu w Warszawie takich Nadymalskich, takich Zielonogłowskich, Tosiów, takich matron jak pani Dziurdziulewiczowa z córkami, takich dam, jak księżna Bibi i hrabianka Mimi, to się mylicie. Na większy wstyd wasz a chwałę naszego grodu, mamy takich postaci dosyć. Poczekajcie: niech przyjdą czasy filantropijnego przebiegania nogami, koncertów, żywych obrazów, a w następnych odcinkach będę wam je wytrząsał jak z rękawa.

Tymczasem nie darował tym damom z wielkiego świata, które, uniesione zapalem filantropijnym, dobrowolnie podejmowały się dyżurów w świeżo założonych tanich kuchniach i same usługiwały „maluczkim“, przychodzącym tu na obiady. Z początku, dopóki to było nowością, *sport* ten uprawiało wiele dam, z czasem jednak, gdy nowość bawić przestała, zaniechano tej humanitarnej rozrywki. Nie uszło to baczności demokratycznie usposobionego kronikarza *Gazety polskiej*, nie omieszkiał więc faktu tego, jako symptomatycznego, podnieść w jednym ze swych feljetonów.

Również ciekawi jesteśmy, co się dzieje z dyżurami dam? czy to była moda chwilowa tylko, która przyszła, przeszła i znikła, czy poczucie obowiązku? Co do mnie, nigdy nie chciałem wierzyć złośliwym językom, które twierdziły, jakoby damy nasze przyjmowały dyżury tylko dlatego, że z tej okazji można się było ubrać w kupiony u Penkali lub Tonesa biały gosposiowaty fartuszek z kieszonkami. Wiem wprawdzie, że jeden taki fartuszek kosztował tyle, że można by za niego kupić tani obiad dla trzydziestu przynajmniej wyrobników; wiem, że nieczuli mężowie, nie uwzględniając wysoce filantropijnych celów, w jakich były kupowane fartuszki, ani poświęcenia małżonek, kręcili głowami i krzywili się jak środa na piątek, na wydatki, jakie cała ta, jak ją po grubijańsku nazywali, dobroczynna komedia zwykle za sobą pociągała. Wiem, powtarzam, to wszystko, a jednak patrzyłem na rzecz zawsze z najlepszej

strony. Co chcecie? lubilem zawsze fartuszki, a nawet dotąd przyjaciele nazywają mnie, z powodu mej słabości dla płci pięknej: Fartuszkiewiczem. A przytem, komuż nie rozplywało się serce na widok tych dam, przyzwyczajonych do zbytku i elegancji, a uwijających się z talerzami w rękę, szczebioczących wesoło po francuzku, i tak dowcipnie a lekko i niewinnie przedrwiwających „manijery“ i złe ułożenie tych, którym posługiwały. Nieraz zdarzało się, że jakiś nieokrzesany gburowaty robotnik, nie wiedząc do kogo mówi, odwracał przez plecy głowę do dyżurującej damy i, wyjąwszy na chwilę z ust drewniany cybuszek, wołał: „Panno! prosiłem już o kawałek śledzia za trzy grosze“. A niewzruszona niczem dama, z wyrazem anielskiej cierpliwości i rezygnacji, zwracała piękne oczy do otaczających i „robiących jej kurę“ galopantów, i wygłosiwszy zarówno głębokie, jak pełne chrześcijańskiej wzniosłości zdanie: *ça est inévitable!* kazała robotnikowi podawać śledzia za trzy grosze. Czy te obfite w budujące przykłady czasy minęły już bezpowrotnie, czy nie ma już w tanich kuchniach ani dam, ani filantropijnej francuzczyzny, ani fartuszków, ani galopantów, ani tej eleganckiej atmosfery, która mimo zapachu smażonej słoniny i rozmaitych sosów, przypominała czasy czerwonych obcasów, nie wiem, i dlatego pytam; a objaśnienie uważam za tem potrzebniejsze, iż, jak wspomniałem, złe języki mówią, że była to tylko moda, chęć pokazanie się w nowym kostymie, która przyszła i przeszła, jak ulotny sen buduarowy.

Taką samą modą, taką samą „chęcią pokazania się w nowym kostymie“ są, zdaniem feljetonisty *Gazety polskiej*, wszystkie bale i koncerty dobroczynne, na różne *Przytuliska*, *Zakłady św. Wincentego à Paulo*, etc., które się odbywają pod opiekuńczą egidą naszych dam z wielkiego świata. Zakładem takim, który wśród warszawskiego „towarzystwa“ cieszy się szczególnymi względami, jest *Przytulisko*. Mimo to, Sienkiewicz wcale nie był zachwycony jego działalnością, zwłaszcza, różnemi rautami w sali ratuszowej z teatrem amatorskim, z żywymi obrazami, z deklamacyą pierwszorzędnych sił komedyi i opery, z programami rysowanemi i malowanemi przez wybitniejszych artystów, wreszcie z bufetem, przy którym postrojone i mocno wydekoltowane damy karotują, kogo się da. Co roku powtarza się zawsze to samo, a jeżeli czego komitetowi *Przytuliska* zarzucić nie można, to nadmiaru pomysłowości w urządzaniu podobnych pułapek na wyciąganie ludziom pieniędzy z kieszeni. Lecz poco sobie łamać głowę bez potrzeby,

kiedy wystarcza zapowiedzieć jaskrawemi afiszami raut na *Przytulisko*, a ludzie i tak wypełnią salę po brzegi, bo publiczność warszawska okazuje dziwną skłonność do popierania wszystkiego, gdzie tylko na czele stoi arystokracja.

Przytulisko wie dobrze, że jedna panna, plus druga panna, plus trzecia panna, plus kilku circum-fatygantów, plus lew u sklepu futrzanego, plus kilka kostymów kąpielowych, pomnożonych przez talent wielkiego artysty, równa się żywemu obrazowi, a kilka obrazów, dodanych do siebie, stanowią widowisko, a widowisko to dochód. Całą tę, tak na pozór złożoną, a jednak tak prostą kombinację matematyczną *Przytulisko* powtarza z tem większą wprawą, że powtarza ją rok rocznie. „Była to czapla na czerwonych nogach, chodziła sobie po rozstajnych drogach, siadła na desce, ogonem klesce, powiedziec ci jeszcze?“ „Powiedz“, odpowiada publiczność, a *Przytulisko* z dobrą wiarą zaczyna: „Była to czapla etc.“

Swoją drogą w roku 1875 jedno z takich widowisk, urządzonych przez *Przytulisko*, zawiodło oczekiwania komitetu, gdyż nie przyniosło spodziewanego dochodu, pomimo, że „ludzie, którzy się zajmowali sprzedażą biletów, nie nie wskórawszy z Matek Chrześcijańskich, udali się do Ojców Izraelskich, którzy bilety rozkupili, choćby ze względu na zaszczyt dopełnienia pomocą materialną pomocy duchowej zelantek“. Bo jeśli o zelantki chodzi, to nie nie wyrówna ich gorliwości, gdy chodzi o dobro zakładu, niezależnie od tego, że w gruncie rzeczy i pomyślny, pod względem materialnym, rozwój instytucji, jak *Przytulisko*, także nie jest niczem innem, tylko marnością, „jak to codziennie powtarza l'abbé Wylizalski, poglądając na białą kawę, z tłustym korzuszkiem, przyrządzaną mu umyślnie w poobiedniej porze przez pulchne ręce hrabiny Bezikiewiczowej“. Podobne, jak powyższe, naigrzanie się w feljetonie poczytnego pisma z zelantów i zelantek, którym i w innych gazetach nie dawano w tych czasach spokoju (szczególnie doku- czali im młodzi pozytywiści), doprowadziło do tego, że „kilka zelantek dostało ataków nerwowych, kawaler Zielonogłowski zauważył słusznie, że „tańczymy na wulkanie“, radca Cymbalkiewicz odgadł w tem wpływ wolnomularstwa i naftofilów,

świątobliwy zaś l' abbé Wylizalski przepowiedział na siedemnasty grudnia roku przyszedłego koniec świata, w którym to przekonaniu utwierdza go stanowczo uwaga pobożnej hrabiny Bezikiewiczowej, że liczba sług anty-chrysta coraz wzrasta, i że nawet *Kuryer Warszawski* już zostaje pod ich wpływem. Cóż dopiero powiedzieć o *Gazecie polskiej*, której feljetonista co tydzień bawił swych czytelników poważnemi sentencyami kawal. Zielonogłowskiego, a o jego całej sferze pisał w takim tonie, jaki by nawet nie uchodził w obrazkach z życia drobnomieszczańskiego. Przyszedł czas n. p., że prawie w każdym feljetonie o *Chwili obecnej* wypisywał wprost oburzające rzeczy na temat obyczajów wśród naszej arystokracji, przyczem szczególnie znęcał się nad naszą złotą młodzieżą. Jakakolwiek kwestyę poruszył, zawsze mu to dało asumpt do zaczepienia młodych potomków naszych arystokratycznych rodzin, a zawsze złośliwie, zawsze z wyraźnem uprzedzeniem.

Zapał, cześć i uwielbienie dla znakomitości wszelkiego rodzaju jest wprawdzie dziś już u nas mniejszy, niż był dawniej, kiedy Liszt raz grał w Kijowie, czy Berdyczowie, i kiedy jakaś dama trzymała go przez cały czas koncertu z pobożnem uniesieniem za obcas, powtarzając tylko nawpół ze łzami: mistrzu! Ale nie szukając takich Lisztów lub Verdich, był czas, że i u nas dzielono się, jak relikwiami, strzępkami z chustek od nosa Apolinarego Kątskiego, lub zachowywano troskliwie talerze z resztkami, jakie wielki, jak na owe czasy, skrzypek pozostawiał.

Dziś to już minęło, ale jednak i dziś należy jeszcze do dobrego tonu być w zażytych stosunkach, nie już z domorośliemi wielkościami, ale z olbrzymami talentu z zagranicy. Gdy bawiła tu panna Donadio, nasza złota młodzież ubiegała się choćby o parę słów rozmowy z czarodziejką. „O! ja poznałem doskonale pannę Donadio!“ chwalił się raz pewien młodzieniec. „Poznałeś pan, no i jakże?“ rozpytywano go ciekawie. „Ogromnie miła kobieta, odrzekł, przedstawiają mnie, a ona zaraz powiada: Ah! monsieur! tam coś, tego, powiada, ogromnie miła kobieta!“ Istotnie, wnosząc z powyższej rozmowy, uprzejmość panny Donadio wyrównywała przynajmniej inteligencji i umiejętności narracyjnej owego młodzieńca. Mogę was jednak zapewnić, że ów niedługi wprawdzie, ale serdeczny stosunek z panną Donadio, opowiedziany przytem z taką naturalnością, ujął za serca tych, którym go opowiedziano, i podniósł w oczach wszystkich i tak już niemiałą wartość rzeczzonego młodzieńca. Bądź co bądź, dla zwyczajnego filisterskiego domu, miło jest widzieć

u siebie młodzieńca, któremu panna Donadio powiedziała: Monsieur! coś tego i t. p.

Nadaje to pewien ton, a dla tonów, zwłaszcza zagranicznych, warto przecie coś poświęcić.

Niedawno n. p. jeden z moich znajomych dostał zaproszenie na polowanie do pewnego obywatela nad granicą pruską zamieszkałego. W liście zapraszającym obywatel ów pisze, że ponieważ będzie miał zaszczyt między zaproszonymi mieć kilku oficerów pruskich, zatem językiem użytym tak podczas polowania, jak i w czasie śniadań, obiadów i t. p. będzie język niemiecki, ponieważ zaś polski mógłby zrobić zagranicznym gościom przykrość, przeto uprasza się, ażeby się go wystrzegać. Jestto budujący przykład rzadkiej już gościnności, która rozumie, że barbarzyńskie dźwięki krajowej mowy raziłyby ucywilizowane uszy zakordonowych sąsiadów; z drugiej zaś strony odczuwa cały zaszczyt, jaki spływa na zwyczajnego sobie hreczkosieja, z przyjmowania w domu swym walecznych przedstawicieli niezwyciężonej armii i jedyne prawdziwie ucywilizowanego narodu. Cześć ludziom, umiejącym zarówno cenić godność osobistą, jak i wyższą kulturę zagraniczną!

Co się tycze naszej złotej młodzieży, której także ciągi dostawały się w feljetonie tygodniowym *Gazety polskiej*, to między innemi zarzucał jej Sienkiewicz także zbytnią łatwość zadłużenia się u synów Izraela...

Czy wiecie czytelnicy, co to jest kwestya wschodnia? Otóż na bruku warszawskim kwestyą wschodnią nazywa się to, gdy długobrody wyznawca zasady: sto od sta, uchwyci pod filarami teatralnemi za angielskie poły od surduta złotego młodzieńca, i trzymając w rękę wydzierającą się ofiarę, biegnie za nią ile mu sił wystarczy. Że zaś dla osadzenia na miejscu złotego młodzieńca, uciekającego przed wierzyicielem, siły pojedynczego człowieka nie wystarczają, bywa więc tak, że tego, który trzyma, łapie z tyłu za poły solidarny z nim drugi, tego znów trzeci, tego z kolei czwarty, piąty i cała ta kalwakada, podobna do pociągu kolei żelaznej, w którym lokomotywą jest dłużnik, a wagonami wierzycciele, przebiega przed oczyma zdumionych i przestraszonych widzów tem śpieszniej, że lokomotywa dokłada wszelkich sił, żeby otrzymać najwyższą możliwą dla pośpiesznych pociągów szybkość. Otóż to nazywa się w języku i na bruku warszawskim: kwestyą wschodnią. Nasza złota młodzież, na wzór Anglii, radaby jej nie poruszać nigdy, wschodnie zaś żywioły dążą do rozwiązywania jej, ile razy zdarzy się dobra po temu sposobność.

Jeśli przedstawianie naszej złotej młodzieży w podobnym świetle mogło się niepodobać w wielkim świecie, to coś dopiero dzieć się tam musiało po wyjściu Nru 105 *Gazety polskiej*, w którym feljetonista jej nie tylko, że postawił pytanie w sposób zuchwały, mianowicie: Czy mamy złotą młodzież? ale dał na nie zuchwalszą jeszcze odpowiedź, oświadczając z cynizmem, że mamy tylko pozłacaną młodzież, nie złotą.

Prawdziwy złoty młodzieniec szalał, hulał, pił, grał w karty, wyrzucał pieniądze, umizgał się do kobiet, słowem, popełniał mnóstwo głupstw i niedorzeczności, ale miał jedną dobrą stronę: oto posiadał żywe uczucie honoru, które było dlań tem, czem jest pochodnia dla błądzącego w ciemnościach, tem, czem jest złamek masztu dla rozbitka, rzuconego na rozhukane fale morskie. Trzymał się honoru oburącz, a choć życie rzucało nim jak piłką, nie puszczał się. To był jego *canon*. Czasem też, wedle herbowej dewizy: łamał się... nie giął się nigdy. Przytem, był to zwykle pan z panów: ot! młody orlik z rycerskiego gniazda. Tradycja nie pozwalała mu zbyt zbaczać z drogi, po której chodzili ojcowie. Swoją drogą, jako stateczny obywatel kraju nie bywał wiele wart, marnował ojcowiznę, ale błądził zwykle głową, nie sercem. Źródłem jego wad, ale zarazem i niektórych przymiotów było, że, jak mówi poeta: „bujnie czuł za trzech ludzi, a więc żył potrójnie“. Owóż więc kipiał nadmiarem życia. Owo poczucie honoru nie zawsze umiało go utrzymać na drodze czystej moralności, wcale nie! Nie chroniło go od lekkomyślności, zboczeń i błędów. Bywał wielkim oczajduszą i urwiszem. Biada ci, nieszczęsna a przystojna kobieto, czy to panno, czy wdowo, czy mężatko, jeżeli spotkał cię na swej drodze! Poczucie honoru nie broniło mu usadzać się na twą cnotę. Biada ci także brodaty Szmulu, Lejbo lub Lejzorze, jeżeli zbyt natrętnie upominałeś się o swoje, krwawą pracę zarobione dziesięć od sta na miesiąc. Często i nie odebrałeś swego na czas, często i nie wyszedłeś na sucho. Jednak toż samo poczucie honoru, tak elastyczne względem następstw buduarowych i żydów, bywało nader nie elastyczne pod wielu innymi względami. Nie broniło od głupstw, wybryków, szaleństw, błędów, ale broniło od podłości. Złoty młodzieniec splotał głupstwo, ale nie cofnął się, gdy przyszło nadstawić głowy. Sam bałamucił kobietę, ale dał się posiekać w sztuki, gdy chodziło o jej honor. Przytem w żyłach miał ogień zamiast krwi. Pił dobrze, ale bił je jeszcze lepiej. Strzelał się i rąbał, jak prawdziwy szlachcic. Była to dziwna mieszanka szalaństwa i rycerskości. Gdy przeważała rycerskość, stawał się poetycznym. Prawdziwy złoty młodzieniec ma swoje dzieje. Historia pamięta go, jak strząsając puder i pył bojowy z żabotów, wołał na Anglików: „Panowie, strzelajcie pierwsi!“ Innym razem brał szturmem

działa, których nieglansowane rękawiczki wziąć nie mogli. U nas historia złotego młodzieńca ma swoje wieczorynki Pod Blachą, ale ukazuje go także na spienionym koniu, wśród huku dział, dymu i połysków szabel, jak ranny, ociekły krwią, skacząc w nurty rzeki, szepee umierającymi ustami; „Bóg mi powierzył honor mych braci, jemu go tylko oddam“. Powieść u nas znalazła w nim swego bohatera, w osobie hr. Wilczka. Przysłowie mówi: krew jak dobre wino, burzy się za młodu, tężeje na starość. Słowem, złoty młodzieniec ma swoje cechy, swoją tradycję, swój poetyczny urok, który tem poetyczniejszym się staje, że zwolna pyłem czasu się pokrywa, zwolna zmienia się we wspomnienia, z którymi terazniejszość i nie idzie i nie może iść w porównanie. Albowiem złoty młodzieniec należy już do historii.

Obecnie istnieje tylko młodzieniec pozłacany. A wiecie czem się różni ten ostatni od poprzedzającego? Oto ma wszystkie jego wady, a nie ma jego przymiotów. Proszę was, czy widziecie tego pseudo-gentlemana, który oto jedzie na koniu? Kapelusz ma nasunięty na tył głowy, plecy zgarbione, twarz bladą, a nogi tak wysunięte naprzód i tak palcami odwrócone od konia, że zdaje się jakoby nogami błogosławił biedne chude a długie zwierzę, podobniejsze do przęślicy niż do bożego stworzenia. Oto dzisiejszy złoty, a raczej pozłacany młodzieniec. Powiedzieć, czy ten gentleman ma w sobie coś rycerskiego? Nie! on ma raczej w sobie coś znudzonego. Błady jest, bo nie spał całą noc; nie spał, bo gdzieś w pobliżu Królewskiej ul. grał w karty i przegrał kilka tysięcy rubli. Przytem widocznie jest dziś nie w humorze, może dlatego, że kiedy wstał, t. j. o godzinie pierwszej w południe, odebrał jakiś niesmaczny list od plenipotenty dóbr swoich. Jakto, więc on ma dobra? Ma, albo lepiej miał, i to nie małe. Po ojcach została mu fortuna, co się zowie szlachecka, ale widziecie jakieś tam trzy części już poszły. Stracił je i co gorzej, sam nie wie, na co stracił. Przegrał wprawdzie sporo, ale nie na grę większą część poszła, ale ot tak, rozlała się. Żeby był szalał pełną pierśią, żeby był wychylił od dna kielich rozkoszy, ale rozkoszy potężnej, palącej jak płomień, a estetycznej, mógłby przynajmniej kiedyś, robiąc obrachunek z życiem, powiedzieć jak Salomon: wszystkiem użył, wszystko widziałem etc. Ale gdzie tam! ten gentleman nie umiał nawet i używać. Czy wiecie na kogo tracił i komu zadawał sztyku? Oto kelnerom w hotelu, garsonom w restauracjach. Zdarzało się także, że kataryniarzom wyrzucał po sto rubli przez okno. Kosztowali go także niemało guwernerowie, którzy wprowadzali go w życie i obznajmiali z jego tajnikami. Kosztowały go także niemało przedwstępne kroki do sere primadon baletniczych, które w końcu, o złośliwości ludzka! wystrychnęły go na dudka. Zresztą sam nie wie, gdzie mu się wszystko jakoś podziewało. Ale prawda! raz musiał dobrze zapłacić skoczka na linie, czy na koniu, od którego, jak twierdzą złe języki, podobno coś oberwał za

umizgi do jego żony. I cóż myślicie? twierdzą, że zniósł to z rezygnacją! Ha! *tempora mutantur et nos mutamur in illis*. Z jakim przestajesz, takim się stajesz; kto więc żyje za pan brat z kłownami, ten się nie obraża o łada co; gdyż jak wiadomo, kłowny nieraz się biją między sobą, a jednak nie obrażają się na siebie. Ale owóż teraz rozumiecie zapewne różnicę między złotym a pozłacanym młodzieńcem. Tamten przy swoich wadach dumny był, jak szatan i rycerski, ten jest mniej dumny i mniej rycerski, a jeżeli jest i rycerski, to chyba względem dam cyrkowych. Co jednak prawda, to prawda: względem dam cyrkowych jest jeszcze rycerski. Oto jeżeli się zdarzy jaki cyrkowy benefis, to dzisiejszy pozłacany młodzieniec płaci, choćby po sto rubli za łóżę. Trzeba się przecie pokazać. *Noblesse oblige*, mówi francuskie przysłowie, a przecie benefisy nie zdarzają się codziennie.

Jeśli chodzi o rycerski animusz, który dawniej cechował złotą młodzież, to u nas szukać go trzeba chyba... wśród strażaków.

Do jakiego stopnia dochodzi odwaga i lekceważenie życia tych ludzi, za dowód niech posłużą ich zabawy i zakłady. Podrzucić pocho-dnię rozżarzoną w górę i łapać ją jedną ręką, jest dla nich igraszką. Czybyście uwierzyli, czytelnicy, temu, czemu i ja wierzyć nie chciałem, iż o zakład skakali z wieży strażniczej na ziemię. A jednak opowiadał to zmarły zacny pułkownik Majewski, dowódzca straży. „Przychodzę raz, mówił, i słyszę, że się zakładają o dziesiątkę, kto zeskoczy z wieży. Krzyknąłem na nich: dałbym ja temu, ktoby się ośmielił, ktoby spróbował. Aż tu występuje jeden młody chłopak, sprawny wisus, zgrabny jak kot; występuje, salutuje i mówi: „Panie pułkowniku, to nie trudno“. „A próbowałeś?“ „Albo raz“. „Co ty powiadasz, trutniu?“ „Próbowałem, panie pułkowniku, i jeśli pan pułkownik pozwoli?“... „Zabijesz się, nie pozwolę“. „Nie zabiję się“. „Pamiętaj, że licho cię porwie“. Młody strażak chwycił za miotłę z drągiem i znikł. Wkrótce ujrzano go na wieży. „Stój! pójdz tu natychmiast!“ zawołał pułkownik. „Według rozkazu idę pułkowniku“, odkrzyknął strażak, chwycił miotłę silnie rękami, ścisnął ją kolanami i rzucił się z balkonu. Pułkownik zamknął oczy i nie śmiał ich otworzyć; aż tu nagle zabrzmiał mu nad uszami znany głos: „Jestem, panie pułkowniku“. Dowódzca spojrzał: młody chłopak stał przed nim wesoły, rumiany, uśmiechnięty, z miotłą w ręku. Dzielný pułkownik dał mu dwadzieścia pięć rubli za nagrodę i jeszcze kazał dać dwadzieścia pięć... ale nie rubli, żeby zbyt często szczęścia nie próbował. Sztuka, jak mówił, polegała na tem, że spadający uderzał naprzód o ziemię miotłą, odbijał się i spadał już tylko z odbicia, pędem zupełnie osłabionym. Tacy to są strażacy.

I jakże się dziwić wobec tego, że strażacy cieszą się sympatją całej Warszawy (szczególniej w kuchniach mają niebywale powodzenie), i że gdy straż ogniowa pędzi przez ulicę, wszyscy przechodnie poglądają na nią z pewnem uczuciem dumy i z nietajoną satysfakcją. Ale bo też „śliczny i malowniczy to widok, gdy wśród nocy dzielna ta straż, to oko w głowie Warszawy i nasza chluba, biegnie do walki z żywiołem. Po ulicach migają krwawe światła kaganków, brzmia okrzyki torujących drogę konnych strażaków, dźwięczą łańcuchy, turkot wozów huczy nakszałt podziemnego grzmotu, rozlega się chrapanie i rżenie koni, a straż, cała w mosiężnych hełmach, z toporami za pasem, w towarzystwie kominiarzy, biegnących niby złe duchy za wozami, pędzi, świszecze, krzyczy i znika z przed oczu, jakby jaki orszak piekielny, zarówno gwarny, jak straszny“.

Gdyby i nasze miasta i miasteczka prowincjonalne posiadały podobne straże ogniowe, jak warszawska, pożary nie niszczyłyby ich tak często. Sienkiewicz nieraz w swych feljetonach poruszał tę palącą kwestyę (istotnie *palącą*, bo dopóki była niezałatwioną, wciąż paliły się różne wsie i miesciny żydowskie), ale nawoływania jego, lubo wymowne i czytane przez mnóstwo ludzi, były grochem rzucanym na ścianę. W lipcu 1875 roku spłonął Pułtusk. Był to jeden z najstraszniejszych pożarów, jakie w tych czasach nawiedziły nasz kraj. Miasteczko spaliło się doszczętnie. Setki rodzin pozostały bez dachu nad głową, bez środków do życia. Zaczęto zbierać składki na pogorzelców, urządzać koncerty i widowiska na ich dochód, a jednym z takich koncertów, na którym zebrano najpokaźniejszą sumę, był koncert w Szczawnicy, koncert z udziałem bawiącej tam wówczas Heleny Modrzejewskiej, która między innymi odczytała na nim opis pożaru Pułtuska, skreślony przez Henryka Sienkiewicza, ten bowiem, gdy do Warszawy nadeszła wieść o tej strasznej klęsce, natychmiast udał się na miejsce katastrofy... Znalazłszy się z powrotem w Warszawie, w redakcyi *Gazety polskiej*, z której polecenia odbył tę wycieczkę, zdał sprawę z doznanych wrażeń, w feljetonie z dnia 27 lipca,

a feljeton ten, zatytułowany *Zgliszcza i pustka*, jest bezsprzecznie jednym z arcydzieł autora *Quo vadis* i dlatego godzi się go wreszcie wydobyć z tej „fali zapomnienia“, którą dlań aż do tej pory był stary rocznik *Gazety polskiej*.

Rankiem we czwartek doszła nas przerażająca wiadomość o pożarze w Pułtusk; nazajutrz, to jest w piątek, wyruszyłem z Warszawy, ażeby naocznie przekonać się o klęsce i dać wam najdokładniejszy jej opis. W Serocku, gdzie zatrzymałem się dla przepręgu koni, opowiadano mi najsprzeczniejsze wieści. Według jednych spaliło się wszystko do szczytu, według innych klęska nie doszła do tak kolosalnych rozmiarów. Umysły były wzburzone, rozgorączkowane i przejęte śmiertelną obawą. Zeszłej nocy ogień pokazał się i w Serocku. Nie wiadano dokładnie, czy z podpalenia, czy z nieostrożności, powszechnem jednak było przekonanie, że pożar się powtórzy. Miastu brak straży ogniowej, brak sikawek, brak narzędzi pożarnych, a wreszcie brak rąk i otuchy. Kiedy się mówi o obronie, kiwają rękoma. „Nie nie pomoże, musimy się spać“. Oto zdanie, które usłyszysz z każdych ust. Rozpacz, ale zarazem i apatya, doszły tu do najwyższego stopnia. Blizkie sąsiedztwo Pułtuszki wzmaga tylko przerażenie i straszną pewność nieuchronnego losu. O godzinie mniej więcej siódmej wieczorem opuściłem Serock. W miarę, jak zbliżaliśmy się do Pułtuszki, ruch na szosie zwiększał się coraz bardziej. Od czasu do czasu przemknęła szybko ekstrapocztka, głosząca trąbką przejazd; tu i owdzie trafiłeś na bryki i wozy, wiozące rzeczy pogorzelców: pościel, łóżka, sprzęty domowe i tym podobnie. Za wozami szły zwolna gromady włościan, wracających od ratunku. Twarze ich były poczernione dymem. Jedni mieli wiadra, inni siekiery, topory, bosaki lub długie tyczki. Chcąc z nimi pomówić, kazałem pocztylionowi się zatrzymać. „Niech będzie pochwalony!“ „Na wieki wieków“. „A co tam w Pułtusku?“ „Oho panie! Niema już Pułtuszki, a co jest, to się dopala“, odpowiedziano mi gromadnie. Ze ściśniętem sercem kazałem jechać dalej. Słońce zachodziło zwolna za lasy i bory. Pogodny wieczór letni palił się łagodnem, purpurowem światłem na szczytach drzew i na dachach chat przydrożnych. Powietrze dziwnie przezroczyste pozwalało rozróżniać dokładnie nawet bardzo oddalone przedmioty. Ptactwo zabierało się do snu i z cichym świegotem obsiadało gałęzie drzew, rosnących przy szosie. Spokój i cisza rozlane były wszędzie, z wyjątkiem na twarzach ludzi. Nagle oczy moje uderzyło odległe bardzo i obszerne płaskowzgórze, wznoszące się na kształt tarasu nad równiną. Wśród atmosfery przesycanej różowem światłem zorzy, płaskowzgórze owo było pokryte, jakby białawą nieprzezroczystą mgłą, przesłaniającą znajdujące się na jego szczytach przedmioty. „Co to widać?“ spytałem pocztyliona. „To Pułtusk, pa-

nie!“ odpowiedział. „A ta mgła, czy też chmura, tam nad nim?“ „To nie mgła, to dym z pożaru“. Istotnie, był to dym, który prawdopodobnie do dziś dnia unosi się jeszcze nad miastem. W miarę, jak zbliżaliśmy się do miasta, na tle tego dymu przedmioty poczęły występować coraz wyraźniej. Widać było zręby murów, dachy, wieże i krzyżyki kościelne. Na pozór nic nie zapowiadało wczorajszej klęski. Zdawało się, że cichy i spokojny gród, otuliwszy się w mgłę wilgotną, układa się do snu; zdawało się, że lada chwila sygnaturki zadzwonią jeszcze na Anioł Pański; ludziska pomodlą się po znoju dziennym, potem błysnie jedno okienko, drugie, dziesiąte, gwar ustanie, a potem nastąpi cisza przerywana tylko szeczekaniem psów, lub echowem nawoływaniem: „czuwaaj!“ stróżów nocnych. Tymczasem bryczka pocztowa zatętniła po bruku; wjechaliśmy między pierwsze, ale odosobnione, jak placówka domy miasta. Niestety! mimo pięknych pozorów, ślady klęski były już tu widoczne. Droga biegła tu koło łąki. Na łące tej błyskały wszędzie chwiane lekkim oddechem wiatru światełka. To żydzi szabasowali pod gołym niebem. Dziwny, a powiem rozrzewniający widok czyniło to uroczyste obozowisko. Na stołach lub wprost na ziemi migotały mosiężne świeczniki, których blask omdlewał w walce z ostatnimi promieniami zorzy. Stoły puste, bez zwykłej uczty szabaśnej; naokoło tylko widać rozmodlone twarze i pełne łez wzniesione w niebo oczy. Nie słysząc zwykłego gwaru i wrzasku modlitw. Cisza! Widocznie przerażenie pozamykało tym ludziom usta i modlą się tylko milczeniem rozpacz, łzami i głodem jutrzejszym, i dolą przyszłą, twardą jak kamień, i ciężką jak kamień. O Adonaj! zmiłuj się nad nami!... Bryczka zatrzymała się przed miejscową pocztą. Zasięgnąwszy trochę wiadomości, natychmiast wraz z towarzyszem moim pobiegliśmy do miasta. Pióro wypada mi z ręki, gdy pomyślę, jaki widok uderzył nasze oczy. Na niebie był już mrok: resztki rozpięchłego światła walczyły z cieniami nocy, a wśród tych szarych tonów powietrza, jak okiem zasięgnął, patrzyła na nas pustka. Zręby murów, stopy gruzu, zwalone jedne na drugie, gromady okopconych cegieł, poczerniałe, sterzące sylwetki kominów rysowały się w dziwnie fantastycznych kształtach na tle mroku. Zdaleka, rzekłbyś: kamienie i skały rzucone chaotycznie ręką natury. Nigdzie ani śladu ulic. Wszędzie zwaliska i zwaliska, jak okiem dojrzysz, tylko szeregi kominów, zdające się iść w dal bez końca. Rozpalona powierzchnia gruntu parzyła nasze nogi, gorąco i woń spalenizny tamowały oddech w piersiach. Wszędzie duszno a pusto, ani jednej żywej istoty, wszyscy puciekali ztąd, jakby z miejsc przez Boga przeklętych. Słowa brzmią tu dziwnie jakoś, echowo i straszno. Czasem tylko wśród gruzów zabrmi przygłuszony łoskot. To przepalona cegła upada gdzieś do piwnic. Zresztą cisza, ta cisza zgrozy i okropności, przejmująca stokroć większem przerażeniem, niż huk dział lub piorunów. Błądziliśmy w ten sposób między rumowiskiem i szkieletami kominów prze-

szło pół godziny. Błądziliśmy milcząc, gdy nagle przytłumiony szept uderzył nasze uszy. Na skrócie dawnej zapewne ulicy spostrzegliśmy dwoje ludzi, mężczyznę i kobietę. Oboje byli młodzi. Kobieta wątła, blada, opierała się silnie na ramieniu mężczyzny, który w rękę trzymał mały koszyczek włóczkowy, nazywany szklannemi paciorkami. Zbliżyliśmy się do nich. „Państwo tutejsi?“ „Tak panie. Mieszkaliśmy tu od roku.“ „I spaliście się także?“ Kobieta poczęła szeroko opowiadać swoją i męża historię. Pobrali się od roku. Mieli w Pułtusk dom, żyli szczęśliwie, aż naraz: „Oto co nam zostało z całego gospodarstwa“, kończyła ze smutnym uśmiechem, ukazując na niesiony przez męża koszyczek. Chcieliśmy choć jeszcze raz popatrzeć na dom, w którym przeżyliśmy rok razem, ale nie możemy znaleźć nawet ulicy. Chcieliśmy“... Urwała nagle, bo łyż tłumiły jej słowa w piersiach. Mąż nie odezwał się ani razu w czasie całego opowiadania. Na twarzy jego malowała się niema rozpacz. Nie mieli dachu nad głową; nie mieli ani grosza majątku, byli głodni; nie wiedzieli, co począć, gdzie się podziać. Szliśmy przez jakiś czas w milczeniu. Ziemniło się już zupełnie, nagle krwawa luna błysnęła w końcu miasta. „Co to pali się jeszcze?“ spytałem. „To szpital“. Pobiegliśmy tam natychmiast. Duży piętrowy gmach palił się istotnie okropnie. Na podwórzu stała gromadka ludzi. Jedni stali nieruchomie, a luna pożaru odbijała się w bezmyślnych ich źrenicach. Drudzy pracowali koło sikawek, biegli po wodę, przeklinali, wrzeszczeli. Sikawki pracowały słabo. Nikt nie dowodził. Woda wlewana w małych ilościach podniecała tlenem pożar zamiast go gasić. Czerwony płomień huczał ponuro wewnątrz gmachu, lub wychodził przez drzwi i okna na zewnątrz, liżąc potwornie długimi językami białe ściany, jakby się chciał rozsmakować w nich przed pożarciem. Na podwórzu, między gromadami ludzi stało kilka zakonnic. Luna pożaru rzucała jaskrawe blaski na białe ich kapelusze i blade ale spokojne twarze. Ten spokój i rezygnacya wśród ogólnego ruchu i zamętu, wśród wrzasków i przekleństw, miały w sobie coś prawie świętego. „Co się stało z chorymi?“ spytałem jednej z nich. „Wyratowałyśmy wszystkich chorych“, mówiła słodkim głosem siostra. „Leżą w pralni, która nie zapaliła się jeszcze. Niech panu Bogu będzie chwała. Trzech jednak umarło nam z przerażenia“, dodała, zwiesiwszy smutnie głowę. „A panie, gdzie mieszkacie?“ Podniosła oczy ku niebu. „Pod gwiazdami“, wyszeptowała z uśmiechem. „Jakto, i sypiacie pod gołym niebem?“ „My nie spałyśmy wcale od środy. Widzi pan, trzeba chorych pilnować i czuwać nad pralnią“. „Musicie upadać ze znużenia?“ „Bóg nam dodaje sił“. O tak, poznaję was! zawszeście jednakie, o szare anioły miłosierdzia. Niechaj was Bóg błogosławił... Szpital tymczasem gorzał, dopalał się zwolna. Mówiono mi potem, że gdyby jaki taki ratunek, nie byłby się zapalił wcale. Wojsku na początku pożaru kazano wyjść za miasto. Miejscowi mieszkańcy, przerażeni, nawet nie próbowali tłumić ognia. Każdy ratował

rzeczy, jakie mógł wyratować, i życie. Resztę zdawał na wolę Boga i ognia. Niedaleko szpitala paliło się również gwałtownie miejscowe gimnazjum. Ognia nie było prawie znać na zewnątrz, okna tylko gorzały jaskrawem światłem. Zdaleka patrząc, rzekłbyś, że to jaka uroczystość rozwidnia tak okna. Ratowała je garstka żołnierzy, którymi dowodził jakiś starszy. Rąbano kraty w oknach, które długo nie chciały ustąpić. Dach już się był zapadł, paliły się tylko ławki, okna, podłogi i sufit. Wkrótce w jednej z komnat sufit zapadł się z trzaskiem. Ratunek był i tu próżną już tylko robotą. Nie rozpoczęto go dość wcześnie. W chwili, o której mówię, ściśle biorąc, dopalało się już tylko. Od gimnazjum udaliśmy się do kościoła pobenedyktyńskiego. Był to najpotężniejszy gmach w całym Pułtusk. Pożar tu już wygasł, wewnątrz jednak tliło się jeszcze. Zbliżyliśmy się do samego wejścia. Wnętrze kościoła mroczne było i ciemne, w głębi tylko świeciły jeszcze rozżarzone węgle, niby oczy jakichś nadprzyrodzonych istot, patrzących z pośrodku ciemności. Straszne było to wysokie, czarne wnętrze. Z głębi jego dochodził niby jakiś szmer, niby jakieś pozaświatowe szepty, niby westchnienia. Zdawało się, że tam jest pełno duchów, które wyszły z podziemi kościelnych zdziwione, że ktoś zakłócił im sen wieczny. Przy kościele spaliła się i biblioteka. Podczas pożaru wichur porywał palące się książki i roznosił je, niby ogniste ptaki, na miasto i poza miasto. Palące się kartki papieru leciały aż za Narew, roznosząc postrach i pożar na wszystkie strony. Kościoła prawie nie próbowano ratować, gdyż pierwszej jeszcze zapaliły się otaczające go budowle. Gorąco było tu tak straszne, że gdy wreszcie zapłonął i kościół, ci co nadbiegli go ratować, zaledwie zdołali unieść życie, zostawiwszy na pastwę pożaru beczki z wodą i wszelkie narzędzia pożarne. Naprzeciw kościoła stała ochrona dla starców. Obecnie sterczą po niej tylko trzy kominy i stos gruzów, z pomiędzy których przeświecają jeszcze żarzące się węgle. Ogrom klęski przechodzi wszystko co sobie można wyobrazić. Od kościoła udaliśmy się z towarzyszem na rynek, aby od jednego ze znajomych zasięgnąć szczegółowych wiadomości. Noc już była zupełna. Na pogodnem niebie świecił pogodnie księżyc. Musieliśmy raz jeszcze przechodzić przez część miasta najbardziej spustoszoną, o której wspominałem wyżej. Przy świetle księżyca wyglądała ona jeszcze straszniej i pущеj, niż o zmroku. Jednym wyrazem, określającym to miejsce, jest: okropność. Światło księżyca schodzi z jednego rumowiska a wchodzi na drugie, rozświecając żałobne szczegóły. Wśród tej głuszy i martwoty, wśród fantastycznych rumowisk, wśród ciszy i niewytłumaczonych odgłosów, wśród bladych promieni księżyca i czarnych zwalisk, najodważniejsze serce ściska niepojęta jakaś trwoga. Zda się, że mieszka tu śmierć sama, taka śmierć, jaką przedstawiano nam w dzieciństwie, szkielet z pustymi jamami oczu i złowrogą kosą. Zda się, że wysunie się z pierwszego lepszego węgla, spojrzy ci w oczy i porwie

cię za sobą w ciemność i nicłość. Jestto prawdziwe miasto śmierci. Przebywszy je, weszliśmy w ulice położone blisko rynku. I tu stoją całe szeregi domów spalonych, ale ściany ich trzymają się jeszcze i spoglądają na cię pustemi oknami, niby martwą żrenicą. Niektóre palą się, a raczej tlą jeszcze wewnątrz. Na ulicy stały tu i owdzie gromadki ludzi. Gromadki te rozmawiały z cicha. Spytałem ich, dlaczego nie gaszą tych domów, które się jeszcze nie wypaliły. „A po co gasić?“ odparł jakiś mieszczanin. „Już one i tak na nic. Żebyśmy mieli pomoc, jak się zaczęło palić, to co innego, ale teraz“... „A co zrobicie, gdy z tych domów pożar rozszerzy się na nowo i ogarnie to wszystko, co się jeszcze nie spaliło“. „Ha! nie nie zrobimy. Żle mnie, źle i tobie. A zresztą, to się i tak spali. Cały Pułtusk się spali. Na to już żadna siła ludzka nie pomoże“. Wszędzie też sama apatya, też sama bierna rozpacz i zdanie się na wolę żywiołu. Rynku jedna strona wypalona jest do szczytu, druga ocalała, dzięki szerokości placu. Naszego znajomego zastaliśmy w domu. Z całą uprzejmością udzielił nam wszelkich wiadomości. Prócz szpitala, ochrony, kościoła, biblioteki i progimnazjum, z gmachów publicznych spaliły się jeszcze: sąd, ze wszystkimi aktami, hipoteka, piękna bóżnica żydowska, dom w którym mieściła się apteka, dom w którym mieściła się księgarnia Rafaelskiego, z której nie uratowano ani jednej książki, i około 500 innych prywatnych budowli. Pożar wszczął się między ulicą Kotlarską a Waliszewem. O przyczynach pożaru mówią rozmaicie: jedni przypuszczają podpalenie, inni wypadek, który tłumaczy się tem, że mieszkańcy, usunięci z mieszkań dla kwater wojskowych, gotowali jeść w stajniach i w chlewach. Inni nakoniec twierdzą, że ogień ukazał się w piekarni żydowskiej, między ulicą Kotlarską a Waliszewem położonej. Która z tylu wersji jest prawdziwą? niepodobna dziś orzec: wykryje to dopiero śledztwo sądowe, które zapewne wyjaśni także, dlaczego w czasie pożaru muniępalność chodziła z rękoma w kieszeniach, zamiast ratować, a przynajmniej objąć kierownictwo ratunku. Szkody obliczają dziś już na miliony rubli. Największe straty ponieśli mieszkańcy w towarach, które były nieubezpieczone, a których wartość wynosiła kilkaset tysięcy rubli. Dla mieszkańców miasta jestto klęska największa. Domy mogą się z czasem odbudować, ale to, co poszło nieubezpieczone z dymem i popiołem, pozbawiło na zawsze chleba niejednego z zamożnych jeszcze przed tygodniem kupców. Również mniejsza jest strata w gmachach publicznych, jak w prywatnych. Gmachy publiczne, a zwłaszcza kościoły, jako leżące na placach, po większej części ocalały. Został kościół farny wraz z kanoniami, został Reformacki, kościół św. Magdaleny i dawny kościół panny Maryi, obecnie ewangelicki; dalej ocalały: więzienie, poczta, biuro powiatu, stary ratusz, dawny zamek biskupi, dawny magazyn solny i koźszary. Z prywatnych spaliła się za to tak ogromna większość, że o reszcie zaledwie wspomnę. Prócz jednej strony rynku, części miasta zwanej

Rybitwą i części miasta ku Warszawie, spaliło się wszystko. Takie szczegółowe wiadomości zebraliśmy z towarzyszem moim na miejscu. O godzinie 12 wyszliśmy od znajomego znowu na miasto. Mimo spóźnionej pory, przed sieniami domów ocalonych stało mnóstwo ludzi. Wszyscy spodziewają się, że niedopalona reszta zapali się lada chwila, nikt zaś nie chce, żeby pożar zachwycił go podczas snu. Niektórzy bogatsi powysyłali swoje rzeczy z miasta aż za Narew; niektórzy nocują za miastem przy rzeczach, broniąc je od kradzieży. Kradzieży bowiem w czasie pożarów było takie mnóstwo, że niema prawie ani jednego mieszkańca, któryby znakomitej części rzeczy nie utracił. Wszyscy więc czuwają i wszyscy pilnują. Rynek wyglądał zupełnie jak obóz. Ci co nie pilnują domów po sieniach, ci co nie mają nic do pilnowania śpią spokojnie, jeżeli spokojnym można nazwać nocleg pod gołym niebem, często nawet bez siennika, a często i bez słomy, ale poprostu na kamieniach. Tam jedna nędza przytula się do drugiej. Idąc, musieliśmy ciągle uważać, żeby kogoś nie nadepnąć, widok był dziwny i niezwykle. Tu ludzie śpią jak mogą: a tam się jeszcze miasto pali. Noc stała się ciemniejsza, więc i łunę widać było wyraźniej. Paliły się jeszcze niektóre domy w rynku, palił się jeszcze szpital i progimnazjum. Ale wogóle w mieście mało kto już zajmował się ratunkiem, tak dalece wszyscy byli znużeni. Wyszedszy z rynku nie spotkaliśmy już żywej duszy. Słyszeliśmy doskonale trąbkę przejeżdżającej ekstrapocztą, tak wielka była wszędzie cisza. Niedaleko pocztą spał oparty o mur pijany człowiek i śpiewał: ej! ej! ej! Zdaleka dochodziło wycie psów. Obok ruin i wycia psów, śpiew. Śpiew na zgłiszczach: ileż to kontrastów! Na poczie nie mogliśmy dostać koni, musieliśmy więc oczekiwać na kurierkę, która miała przyjść o drugiej, a przyszła, mówiąc nawiasem, o czwartej. Po trochu drzemaliśmy, po trochu patrzyli na miasto. Łuna nad szpitalem widniała jeszcze. Chwilami ciemniała, chwilami rozpaliała się na nowo. Tymczasem gwiazdy pobladły, latarnie przed pocztą poczęły różowieć i omdlewać. Poczęło szarzeć i świtać. Na wschodzie zabłysnął różowy pasek zorzy. Mogliśmy już wyraźnie odróżnić pobladłe z niewyspania i bezsenności twarze pasażerów, oczekujących na równi z nami na kurierkę. Rozwidniło się tymczasem zupełnie, nim przyjechała. Wsiadliśmy, ozwała się trąbka pocztarska i, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na nieszczęsne miasto, ruszyliśmy w drogę prosto do... redakcyi.

A teraz stój, czytelniku, jeszcze nie koniec: poczekaj na sens moralny tego opowiadania. Schowałem jeszcze jeden epizod, który *ad usum delphini* zamierzam teraz opowiedzieć. Kiedym, błądząc po zgłiszczach i zwaliskach Pułtusa, zapalił cygaro, zbliżył się do mnie jakiś młody jeszcze, ubogo ubrany człowieczyna, i tonem rozkazującym polecił mi je zagaścić natychmiast. Zdziwiony tem nie pomału, spytałem go o powody tego rozkazu. „Mój panie, odrzekł mi, mieliśmy dosyć nieszczęścia. Z pań-

skiem cygarem znowu pan gdzie zapruszysz ogień, i będziemy mieli nowy pożar". Nie zrozumiałem wprawdzie, jak mogłem nie zapruszywszy ognia poprzednio, zapruszyć go znowu, jak się wyraził ten człowiek, ale zgasiłem jednak cygaro i wdałem się z moim pogromcą w pogawędkę. Jaktoby obywatelu, każesz mi gasić moje cygaro w chwili, gdy w mieście palą się jeszcze gmachy, gdy słupy iskier tryskają co chwila złotemi strumieniami do góry, a wiatr je niesie i rozrzuca po dachach ocalonych domów? Każesz mi gasić moje cygaro, gdy pod każdym stosom gruzu leży drugi stos rozżarzonych węgli? Każesz mi gasić moje cygaro na ulicy, w której niema co się palić, w której gdybym był nie tylko palaczem, ale podpalaczem, nie zdołałbym już ognia zapruszyć? Mój Boże, co za ostrożność! co za ostrożność! A czytywałeś ty też, obywatelu *Chwilę obecną*? a czy pamiętasz, ile razy w imię honoru, w imię poczucia obowiązku, w imię dobra ogółu, zachęcałem ciebie i podobne animalia manualia do formowania ochotniczych straży pożarnych? Czy też w twej zakutej głowie, w której z czasem wróble będą gniazda kręcić, zakreśliła kiedy myśl, że trzeba i należy, że świętym obowiązkiem jest straż taką uformować i z toporem w dłoni biedz na ratunek bliźnim we dnie czy w nocy? Nie. Zaiste nie! wołałeś bić muchy na nosie, siedząc po całych dniach w miejscowej cukierni, wołałeś romansować z miejscową lafiryndami, wołałeś czernić wąsy trzygroszowym fiksatuarem, politykować na miejscowej pocztce, wypalać cygara okolicznych obywateli, wygładzać swój cylinder, wyciągać z za rękawów mankiety, czytać *Izabellę* i *Barbarę Ubryk*; wołałeś to wszystko, cny obywatelu, obiecujący młodzieńcze, nadziejo na przyszłość, niż włożyć na głowę kawał blachy, zakładając za pas siekiere i służyć twemu społeczeństwu w sposób najlepszy w jaki możesz. Oto więc i masz. Kiedy się spali twoje miasto, kiedy kraj miliony strat poniesie, kiedy ty sam zostaniesz bez kawałka dachu nad głową, wówczas dopiero wyrośnie ci rozum tam, gdzie poprzednio, dziw, że ci niepomierne uszy nie wyrosły.

Wkrótce po wydrukowaniu tego feljetonu, Sienkiewicz wyjechał na wieś, skutkiem czego *Chwila obecna*, ku wielkiemu niezadowoleniu czytelników *Gazety polskiej*, ustała na czas pewien. Była to niewątpliwie strata dla miłośników talentu młodego publicysty, ale i jemu należał się odpoczynek po sześciomiesięcznej pracy dziennikarskiej. Powtóre, odpoczynek ten, jako połączony z wyjazdem poza obręb murów miejskich, poza atmosferę kurzu, turkotu, teatrzyków ogródkowych i dziennikarskich kłótni, szedł w parze z nowemi wrażeniami, a te nowe wrażenia, doznane w czasie wycieczek po różnych stro-

nach naszego kraju, mogły się stać, przy talencie Sienkiewicza, nowym materyałem do przyszłych kronik. Jakoż stało się nie inaczej. Zaraz pierwsza *Chwila obecna*, napisana po powrocie do Warszawy, przyniosła cały zasób nowych spostrzeżeń, nowych refleksyi na temat naszych stosunków pozawarszawskich.

Już na dworcu kolejowym wiedeńskim uderzyło Sienkiewicza niejedno, na co tysiące innych ludzi nie zwróciło do-
tąd uwagi.

Mój Boże! Żyjemy w wieku samych przeciwności, które spotykają się na każdym kroku i... pokazują sobie zęby. Z jednej strony materyalizm, chęć złota, użycia, z drugiej natrafiam jeszcze na wiele wprost przeciwnych przymiotów. Spytaście, skąd mi się o nich mówić wzięło? Ach! żebyście słyszeli tak jak ja, ile djabłów i piorunów wzywają pobożni, śpieszący spacerowemi pociągami do Częstochowy, żebyście słyszeli jak klną, nie zwątpilibyście jeszcze o ich gorliwości i mnóstwie innych, czysto idealnej natury przymiotów. Zamęt tam, tłok, gwar, nawoływanie, prawdziwy sądny dzień, a sceny nieraz dzieją się tak zabawne, że warto ich posłuchać. „Czego tak strasznie klniesz, obywatelu?“ pytam pewnego gentlemana ubranego w płócienny biały kitel, wykrzywione buty, i wydzielającego zdaleka silną woń spirytusu, pomieszanego z zapachem wędlin. „A czegoż się tłoczą?“ odpowiada, ściskając różowy bilet do klasy czwartej w brudnych rękach. „Czego się tłoczą? czego się pchają?“ „Przecież robisz to samo“. „To co innego. Człek jedzie rzucić z karku grzychy. Ale się te zbóżniki nawet pomodlić nie dają. A! żeby ich“... Tu następuje staranne i sumienne wyliczenie ilości kolek, paraliżów i innych mniej więcej równie niewinnych chorób, których mówiący życzy z całego serca tłoczącym się współobywatelom. „Ależ nie bój się, obywatelu: nie zmieścisz się, to dodadzą wagon. Administracyi wagonów nie zbraknie“. „Ale człeku cierpliwości zbraknie. Ażebym“... i t. d. jak wyżej. Chciałem jeszcze zwrócić uwagę mego gentlemana, że nieprzyzwyczajony jest kłać, kiedy ktoś jedzie modlić się, że to nie zgadza się z podróżą do tak świętego miejsca i z uczuciami, jakimi każdy winien być przejęty, ale z jednej strony nos mego interlokutora, nabierając co raz piękniejszej fioletowej barwy, zdradzał coraz większe oburzenie, z drugiej nacisnął i rozłączył nas tłum ludzi, kołyszący się jak fala. Trudno opisać zamieszanie, jakie panowało w tym tłumie. Członkowie i członkinie rodzin traciły się z oczu i gubiły wzajemnie. Wołania: tato, mamó! Józiu! Panie Janie, panie Konstanty! droga żono, żebyś skamieniała! kochany mężu, żebyś skisł i t. d. rozlegały się na wszystkie strony. Zamęt i pośpiech gorączkowy nie pozwalał tym ludziom baczyć na nic, jak tylko by jak najprędzej wpaść do wagonu. Wreszcie tłum wpadł na platformę;

spojrzałem na zegarek: pociąg odchodził akurat za pół godziny. Służba kolejowa przyczepiała spokojnie wagony. Nie było najmniejszej potrzeby śpieszyć się ani krzyczeć.

Niemniej silnych wrażeń dostarczyła feljtoniście *Gazety polskiej* jazda po naszych szosach, których stan pozostawia mało do życzenia. Pod tym względem niewiele się zmieniło od roku 1875...

Na tracie tak zwanym po staremu, krakowskim, wielce zwykle ruchliwym, leży niedaleko już Warszawy karczma Pocięcha, niezbyt sobie napozór okazała, niemniej jednak dla ruchu handlowego między Michałowicami, Radomiem i Kielcami a stolicą ważna. Nazywa się ona Pocięchą dlatego, że tu woźnice wedle słów starej piosenki: „Pije Kuba do Jakóba, Jakób do Michała“ pocieszają się po trudach odbytej drogi; tu jest ostatni przystanek; tu koniom zasypuje się obrok, zmieniają się zużyte podkowki, opatrują się bryki, towary, słowem, czynią się wszelkie zwykłe przygotowania przedstoleczne. Takie znaczenie miała dotąd Pocięcha, ale znaczenie to w ostatnich czasach podniosło się niesłychanie, raz dlatego, że Pocięcha stała się na większą część i chwałę naszego zarządu szosowego ostatniem miejscem, do którego szosa wiodąca do Warszawy jest... jakby tu powiedzieć... splawną, a powtóre, że w niej utworzyło się pewne towarzystwo, na wzajemności oparte, którego działalność dowodzi jasno naprzód tego, czem podobne stowarzyszenia być powinny, a następnie tej wielkiej, a tak mało jeszcze rozpowszechnionej u nas prawdy, że ręka rękę myje, noga nogę wspiera. Istnieje rzeczywście ogromna różnica między komunikacjami lądowymi a wszelką wodą. Oto, na drogach wodnych im woda głębsza, tem komunikacja łatwiejsza, na lądowych zaś, im błoto większe, tem komunikacja trudniejsza. Skutkiem tej prawdy, ponieważ błoto na szosie od Pocięchy do Warszawy jest jednym z najczelniejszych i najgłębszych błot na świecie, zatem bryki frachtowe, powózki i powozy prywatne zgoła nie mogą jej przebywać i muszą innej sobie szukać drogi. Na pozór stanowi to pewną niedogodność, ale właśnie ten stan rzeczy wywołał owo towarzystwo oparte na wzajemności, o którym wspomniałem wyżej. Skoro przyjedzie do Pocięchy jeden furman z czterokonną bryką, czeka na drugiego, następnie we dwóch czekają na trzeciego, następnie we trzech na czwartego, i dopiero kiedy się zbierze szesnaście koni, zaprzęgają je wszystkie razem, do każdej po kolei bryki i omijając najstaranniej szosę, na której: *lasciate ogni speranza*, brną przez prywatne grunta i mokotowskie pola do Warszawy. Słupki wiorstowe na szosie, kamienie przydrożne, budki strażnicze, służą za znaki bezpieczeństwa. Znaczą to wszystko: ostrzega się, żeby tędy nie jeździć. Na owych gruntach

prywatnych i na polach także błoto po uszy, i lgną bryki po osie i wyżej osi, ale jednak w szesnaście koni przejechać jakoś można. Za to coś za ożywiony krajobraz: ten ruch, nawoływania woźniców i przekleństwa ich, świst batów rozlegający się ustawicznie w powietrzu, te szczątki wozów i bryk, rozrzucone tu i owdzie we wdzięcznym nieładzie; połamane dyszle, koła, osie; te konie z powypreżanymi grzbietami, o bokach zapadłych, na których możnaby wszystkie żebra policzyć, a przytem poprzecieranych do krwi postronkami, wszystko to stanowi przepyszny rodzajowy obraz. Zaraz poznasz, że nie jesteś zagranicą w żadnych tam Niemczech, ani Belgii, gdzie szosa twarda jest jak stół i jeszcze wysadzona owocowymi drzewami, ale u nas, u siebie, wśród swoich, blisko pocziwej Warszawy. Są dwa rodzaje komunikacyi: pozytywny i negatywny. Pozytywny polega na tworzeniu dróg, po których można jeździć, ujemny na wskazywaniu miejsc, przez które przejazd jest niepodobny. Otóż nasze szosy odpowiadają tej drugiej metodzie. Czy ona jest zła czy dobra, odpowiednia lub nieodpowiednia, to już należy do specjalistów; ale czyż podobna winić kogo, że wyznaje taką a nie inną zasadę naukową. Że nie wszędzie są pozytywiści, to może i tem lepiej. Mamy pozytywistów i tak dosyć; szlachetnego idealizmu, pojmowanego tak, jak właśnie pojmuje go zarząd, polegającego np. na urozmaiceniu krajobrazów, na widokach prawdziwie sielskich, które szczególnie leżą w słowiańskim usposobieniu, coraz mniej. „My, słowianie, my lubim sielanki“, powiada literat w *Dziadach* Mickiewicza. Ja powtarzam toż samo. A przytem wiadomo jest z kądinąd, choćby z niemylnych ust wspomnianego już raz przezemnie l' abbé Wylizalskiego, że pozagrobowa przyszłość pozytywistów będzie jednym ciągiem płaczu i zgrzytania zębami, z czego wniosek, że zarówno doczesna lojalność, jak i troskliwość o przyszłe szczęście, wobec którego wszystko tu jest marnością, nie pozwala członkom zarządu oddawać się zbytecznie udogadnianiu życia doczesnego, tak sobie, jak i swoim bliźnim. Jestto dopiero dobrze zrozumiana miłość bliźniego, boć jeśli przyszłe szczęście ma być nagrodą za przebyte tu na ziemi cierpienia, to niema najmniejszej kwestyi, że żadne na świecie drogi nie prowadzą ludzi równie bezpośrednio, jak nasze szosy, do nieba.

Swoją drogą mylą się ci, którzy przypuszczają, że u nas nie się nie robi w celu podniesienia dróg. Owszem, starania są, tylko rezultaty niezawsze odpowiadają dobrym chęciom.

Drogi budują się jednak, a budują się przy pomocy gmin i większych właścicieli ziemskich, którzy obowiązani są płacić na ten cel odpowiedni z dyumu podatek. Pewien obywatel, wezwany do zapłacenia rzeczonego podatku, odesłał takowy, biorąc za normę zwykłe podymne.

Po jakimś czasie odbiera od swego wójta list, pisany nader fantastyczną ortografią, w którym pocziwina donosi mu, że: ponieważ wielmożny pan przysłał tylko szesnaście rubli z kopiejkami, a należy się osmnaście z kopiejkami, przeto kwotę nadesłaną, jako nie wystarczającą odsyłam, a ponieważ odsyłam, więc wielmożny pan nie zapłacił podatku, a ponieważ wielmożny pan nie zapłacił, choć powinien był zapłacić, zatem pożyczam na rachunek wielmożnego pana od Ieka Mordki rubli srebrem osmnaście z kopiejkami, które mu wielmożny pan wraz z procentami zechcesz w terminie nieprzymierzając zapłacić. List ten widziałem na własne oczy i brzmienie jego prawie dosłownie podaję.

Pomysły takie, dziś już trafiają się rzadziej, bo raz, że lud powoli otrząsał się z urządzeniami gminnymi, a powtóre, że na wójtów teraz obierane bywają osoby, ze stosunkowo większym wykształceniem. Ale z początku, kiedy reforma dopiero co była wprowadzona, więksi posiadacze ziemscy stali całkowicie poza obrębem gminy, a że pomiędzy włościanami rzadko zdarzali się nawet średnio wykształceni, więc z tego powodu raz po raz wytwarzały się kolizye, już co najmniej godne pióra humorysty...

Słyszałem np. o paszporcie wydanym przez wójta (było to za czasów, kiedy paszporty wydawali jeszcze wójci), który brzmiał tak: „Nasza Jaśnie Pani chce jechać do Warszawy, co jej ta przeszkadzać, niech se ta jedzie. Franciszek Burok“. Jak się nazywała ta Jaśnie Pani, zkąd była, i na jak długo jechała, dokument nie opiewał. W Łukowskim powiecie znowu, sam widziałem list jednego wójta do drugiego, kończący się w następujący sposób: „bo jak nie przysłeta na czas tego zboreźnika, to pan N. da wam po karku, czego sobie i wam życzę. Amen“. Pocziwina wójt uważał widocznie wyrażenie: „czego sobie i wam życzę, Amen“, za zwykłą formułę, jaką powinny się kończyć wszystkie listy. Słyszał, że tak ksiądz kończy zwykle kazania, uważał więc takie zakończenie za dobre, tak co do ducha jak i co do formy, i nie zauważył, w jaki sposób ono z poprzednią obietnicą łączy.

Pisząc w podobnych kwestyach, jak zły stan naszych dróg i mostów, pragnął Sienkiewicz, by jego nawoływania doprowadziły przynajmniej do takich rezultatów, do jakich doprowadziło kazanie pewnego proboszcza...

Raz na wsi, pewien duchowny miał kazanie: mówił przeciw pijaństwu, a mówił z energią i uczuciem, płakał i rzucał gromy, groził

niedolą za życia, piekłem po śmierci, porwał za sobą słuchających prostaczków, rozczulił ich i wycisnął łyzy prawdziwej skruchy. Po kazaniu i po sumie wraca do siebie do plebanii, nagle na drodze spotyka chłopą, ale pijaniuteńkiego jak bela. Zatacza się Bartek nieboże, na prawo, na lewo, czapka ledwo że mu się na lewem uchu trzyma, a on rozkłada ręce i mówi: „Ach dobrodzieju, cóż to za kazanie, co za kazanie! A to ino się dusza w człeku trzęsie, a to gorzalisko, żeby ją wciorności“... „Wstydź się“, powiada z oburzeniem proboszcz: „to ja mówiłem przeciw pijaństwu, a tyś już pijany?!“... „Ech, dobrodzieju, żeby nie to kazanie, albo bym to ja był tak pijany; jabym dobrodzieju już w rowie do tej pory leżał. Niech mię paralus!“... Westchnął pocziwy proboszcz, posmutniał i odszedł do domu.

Obserwując życie po naszych wioskach, zwłaszcza życie ludu, widzi się przedewszystkiem, że w chatach i czworakach panowały by inne stosunki, gdyby w każdej wsi była szkoła, gdyby tu oświata bardziej rozjaśniała te ciemne mózgi, gdyby te dzieci, boso i w koszulach, uwijające się po drogach, nie wychowywały się w sposób, w jaki się odbywa ich edukacya. Jest to bodaj, czy nie najsmutniejsza strona naszych stosunków wiejskich.

Zdarzyło się wam zapewne nieraz, czytelnicy, przejeżdżając latem przez pierwszą lepszą wioskę, widzieć całe girlandy dzieci wiejskich, siedzących pod ścianami chałup, pod karczmą, albo poprostu na woli Bożej. Te zgrzebne koszulki poprzepasywane czarną krajką, konopiaste główki jak makówki i niebieskie oczy wytrzeszczone nawpół ciekawie, nawpół lękliwie na świat Boży, rzecz to znana, która chyba tylko przybysza miejskiego zająć może. Spytaście, co robią takie dzieci? Wioska pusta, bo rodzice wyszli w pole; przed chatami prócz dzieci tylko psy drzemią i wróble świergocą pod strzechami, więc dzieci robią co chcą. Przepalają sobie głowy, przewracają się po piasku, łapią ryby w kałużach; ciągną dla zabawy za ogony psy miejscowe; otwierają kołowrót, gdy kto przejeżdża, kłusując potem boso koło bryczki za datkiem, ot i czas schodzi. Starsze, często skazane bywają na niańczenie młodszych. Nieraz chłopak ośmioletni cały dzień dźwiga jakiego roczniaka lub roczniaczkę, bo tak „matula kozeli“, a co gorzej, przywiązali płachtą dzieciaka do opiekuna, tak, że ten ostatni, choćby chciał, nie może razem z innemi wyprawiać się na cudzy groch przy drodze, lub na gruszki do dworskiego ogrodu, którego żydzi pilnują. Bo trzeba wam wiedzieć, że te dzieciaki o konopiastych głowach kradną. Tak jest, dla czegożby zresztą kraść nie miały? Nie oduczy ich tego matka, bo matka świtanie

wychodzi do roboty, a nauczy ich tego każdy wróbel, żyjący cudzem ziarnem, zachęci każde jabłko, zwieszające się ponętnie przez ogrodowy parkan. Wstrzymuje ich tylko strach, ale zarazem pobudza nadzieja, że nikt nie patrzy, a choćby też im kto powiedział, że Bóg patrzy, nie miałoby to żadnego znaczenia, bo trzeba wam i to jeszcze wiedzieć, moi religijni, wykształceni i humanitarni czytelnicy, że dzieci te żyją bez Boga. Tak jest, bez Boga. Są to bezwiedni ateści. Kiedy trochę podrosną i poczną chodzić do kościoła, wówczas dowiedzą się o piekle i niebie, ale przedtem?... Jeżeli matka znajdzie nawet czas i ochotę do wyuczenia dziecka pacierza, dziecko powtarza mechanicznie wyuczone słowa, i na tem koniec. Co chcecie, każde z nich jest tak dorosłym indyferentystą, że zawstydziłoby niejednego głośnego filozofa. Chowają się na łonie natury tak jak dzieci... Hotentotów. Same rozglądają się po szerokim świecie. Same zwolna poznają, co jest złe a co dobre. Uprawiają filozofię eksperymentalną. Złem wedle nich jest dać się złapać na uczynku, dać sobie zabrać czapkę grochu, dostać w skórę, dobrem: najeść się cudzego grochu, nie dać sobie zabrać czapki, nie dostać w skórę. Żal za złe popełnione jest żalem, że się nie udało. Gdy Franka, Walka lub Krzycha złapią na gorącym uczynku kradzieży gruszek, wówczas wsadza palec w usta, wytrzeszcza zawstydzone oczy, robi minę kozła w kapuście i żaluje... zgadnijcie czego? gruszek! naturalnie że gruszek!

O biedny płowowłosy Krzychu, widzę, jak na dłoni, twoją przyszłość! Jak nie umiesz teraz czytać i pisać, tak nie będziesz umiał do śmierci, nieboże! Gdy wyrośniesz, będziesz nocami jeździł w szkodę, w cudzy owies z końmi. Sąd gminny sądzić cię będzie za to, żeś z siekierą w cudzy las pojechał, a ty do śmierci nie będziesz mógł zrozumieć, żeby między „wzion“ i „ukradł“ nie było żadnej różnicy. Potem, o Krzychu! zasmakujesz w wódce, nauczysz się przeklinać i wzywać „siarczystych“, będziesz tłukł swoją babę aż będzie w niebie słyhać; będziesz wadził się z sąsiadami; żyd będzie cię wyzyskiwał całe życie, boć cię rachować nie nauczono. Będziesz ciemny, obywatelu, jak tabaka w rogu; będziesz głupi i zły całe życie, boś był bez opieki za młodu, bo matula nie mogła, nie chcieli i nie umieli nauczyć cię bojaźni Bożej i miłości do ludzi. Będziesz wprowadzić jęczał nieludzkim głosem w kościele, gdy ksiądz głos podniesie, a po mszy pójdziesz do karczmy i pobijesz się z drugim takim samym, jak ty biedakiem. A potem Krzychu postarzejesz: włos się posrebrzy, ramiona się ugną od pracy, ręce drżeć poczną, i czy wiesz Krzychu, co się stanie? Oto syn, którego także nie nauczyłeś bojaźni Bożej, ani miłości do ludzi, wypędzi cię z chaty i każe pójść żebrac po świecie. Sprawisz kosztur z jeżem, broda wyrośnie ci siwa i z piosnką o Maryi Częstochowskiej i o Dzieciątku Jezus puścisz się w świat szeroki. Aż wreszcie przyjdzie niemoc, uczujesz zimno jakieś, i smutek jakiś, i niby wołanie jakieś z niezmiernych głębin. To śmierć twoja, Krzy-

chu! Miłosierdziu boskiemu oddają twoją biedą duszę, bo choć grzeszny byłeś, ale ciemny. Niechaj ci świeci światłość wiekuista. Wrzosem pokryje się twoja mogiła, i ani śladu wkrótce nie będzie po tobie i po tyśnięcach takich, jak ty.

Kto zna nasz lud, ten wie, że obraz to życia chłopskiego nie przesadzony. Dziś może już jest lepiej, boć zamożność ich wzrosła, a za wzrostem zamożności, wzrasta moralność i światło; ależ mimo wszystkiego, jakże nisko jeszcze stoimy! Jak nisko stoimy np. w porównaniu z sąsiadami naszymi. Któż nie wie, że w starszym pokoleniu włościan prawie nikt nie umie czytać, a w młodszym jeszcze mało kto. Któż nie wie, jak nisko stoi poziom moralny, jak słabe jest poszanowanie cudzej własności, jak nierozwinięte pojęcia o dobru ogólnem. Chcecie przykładów. Dobrze. Czy sądzicie, że zwyczaj wyprawiania starych rodziców na dziady jest czemś nadzwyczajnem? Nie, to rzecz codzienna, zwyczajna, to prawie zwyczaj. Chcecie dowodów na to, że nie szanują cudzej własności? Spytajcie pierwszego lepszego wiejskiego posiadacza o szkody, jakie mu robią. Nakoniec, że nie mają pojęcia o dobru publicznem, na dowód pokażę wam drzewka przydrożne. Zasadź dziesięć razy, zniszczą, połamią, jakby przez umyślną złośliwość.

Ale i we dworach nie zawsze dzieje się tak, jak powinno. Nie ulega wątpliwości n. p., że rodzice zbyt mało w pewnym kierunku starają się wywierać wpływu na dzieci swoje, które przez cały rok kształcą się w szkołach w Warszawie lub w miastach prowincjonalnych, a tylko wakacje spędzają pod dachem rodzinnego domu. Dla rodziców jest to najsposobniejsza pora, by te uczucia, których szkoły nie rozwijają, rozbudzać w młodym pokoleniu. Tymczasem nie wszędzie pamięta się o tem...

Domy winny dopełniać to, czego szkoła dać nie może. Niema szkół na świecie, któreby wpływ domów, szczególnież wpływ matek czyniły zbyt znacznym. Sądzę nawet, że bez tego wpływu, wiedza sama pozostaje tylko siłą, która zarówno na złe, jak na dobre może być użytą. Niechaj więc wie to młode pokolenie, że prócz wiedzy, trzeba jeszcze i innych czynników społecznych, że aby służyć społeczeństwu, potrzeba wszystkich cnót teologicznych: wiary, nadziei i miłości.

Zaniedbując te strony wychowania, sami jesteśmy przyczyną, iż później mamy tak wielu złotych młodzieńców, dla których poza chwilowem użyciem nie istnieje. A zaprze-

czyć się nie da, że wieś dostarcza największego kontyngensu takich młodych utracyuszów, zadłużonych po uszy, rozbijających się „na gumach“ po Warszawie, znanych po wszystkich restauracyach z gabinetami.

Znałem w Warszawie pewnego młodego chłopaka, właściciela ładnej wioski, który miał tę wadę, że wydawał trochę więcej, niż mógł, a skutkiem tego wchodził w zbyt liczne i uciążliwe tranzakcje z ludem Izraela. Zauważyłem, że odbiera mnóstwo listów ze wszystkich stron, tak z miasta, jak i z prowincyi, i rzekłem: „Ach! szczęśliwy Dyziu, pewno to od pięknych kobiet?“ „Czytaj“, rzekł mi, zapalając z zimną krwią cygaro. Otworzyłem skwapliwie list i poczęłem czytać. List brzmiał jak następuje: Dżywuję się bardzo, że wielmożny pan nie odsyła mi tych sto pięćdziesiąt... Nie czytałem dalej i wziąłem list drugi. Drugi brzmiał: Dżywno mi bardzo... Rzuciłem drugi i rozpieczętowawszy trzeci czytałem znowu: Dżywi mnie niezmiernie, że dług jaki mam u Wpana, i t. d. Reszty nie czytałem, bom wiedział na pamięć, co zawierają. „A to tu tylko sam podziw dla ciebie, szczęśliwy Dyziu“, mówię, nie mogąc ukryć dobrego humoru. „Ach! mój drogi, odparł z niezachwianą zimną krwią, jakim ja szczęśliwy, że już nie wolno przysyłać listów niefrankowanych. Teraz przynajmniej dziwią się na własny koszt, dawniej ja musiałem całe zdziwienie opłacać“. Owóż gdyby sposób płacenia, egzekwowania należności wynaleziony przez nieboraka wójta znalazł ogólne zastosowanie, sądzę, że cały kraj rozdzieliłby się wkrótce na dwa obozy: dziwiących się i będących przedmiotem podziwu.

Namiętny myśliwy, miał Sienkiewicz, w czasie pobytów swoich na wsi, niemało sposobności do obserwowania naszych warszawskich Nemrodów. Budzili oni w nim dobry humor już w roku 1875.

Warszawiacy nie należą do zbyt celnych strzelców. Co krok spotyka się zapalonych myśliwców Warszawiaków. Pełno ich na każdym pociągu kolei żelaznej. Ze strzelbą przez ramię i marsową fizyonomią spieszy Warszawiak na wieś, korzystając skwapliwie z krótkich przestanków na stacyach kolejowych, by wysiąść choć na chwilę, spojrzeć w wiszące po banhofach lustra i ocenić całą grozę i zamaszystość, wiejące z jego postaci. A potem: wśród opok i jarów i klonów i głogów pudłuje z zaciętością do każdej kuropatwy, lub strzela dąstem do jakiej babiny, rwącej len i odwróconej niegrzecznie do myśliwca. Gdyby zające знаły zwyczaj pisania adresów, lub wysyłania deputacyi, niezawodnie wysłałyby adres lub deputację do Warszawskiego Tow. opieki nad

zwierzętami ze skargą, nie na morderstwa wprowadzie, bo te trafiają się chyba wypadkiem, ale na ciągłe a daremne pukanie po lasach i polach. Nie pozwala im to odetchnąć spokojnie i przerywa w niemiły sposób poobiednie drzemki, jakie z całą ufnością w dobre serca Warszawiaków urządzają sobie wobec myśliwców pod choiną i krzakami jałowcu; a natomiast rozstraja okropnie nerwy. Dziki i wszelka uzbrojona jako tako zwierzyna niema podobno zupełnie powodów do skarg na Warszawiaków; owszem, podobno zwłaszcza dziki i wilki zachwycone są uprzejmością i prawdziwie gentlemenką grzecznością, z jaką miejscy myśliwi ustępują im z drogi, nie pozwalając na najmniejsze ceremonie. Donoszą mi jednak, że kiedy idzie o śniadanka myśliwskie: np. o bigos, wódeczkę i coś tak na zimno, nie dajemy się wcale wieśniakom pobić. Przecież i my nie jacy tacy! Nie myślcie jednak sobie, panowie wieśniacy, że my wracamy do domu, do naszych żon i córek, bez zwierzyny. A od czegoż Stępkowski a Wróbel; kupi się parę kuropatw, a że tam jedna lub druga ma trochę *haut goût*, zapaszek, to się tłumaczy żonie, iż ze strachu tak skruszała, i koniec!

Co także nie uszło baczności Sienkiewicza, gdy obserwował życie po dworach wiejskich, to że i tam najwięcej czytane są powieści francuskie, jeśli nie w oryginale, to przynajmniej w lichych przekładach. W roku 1875 ogromnem powodzeniem cieszył się Paul de Kock, „który w popularnym języku naszym zwykle Pawłem z Kocka się nazywa“, a którego *Wybór powieści* wyszedł wtedy w polskim przekładzie.

Zgadamy się w zupełności z wydawcą, że dzieła jego mają niepospolitą wartość literacką, zgadzam się nawet, że ten stary Paweł z Kocka, pod lekką warstwą zepsucia, jest pisarzem w gruncie rzeczy moralnym, poczciwym, pełnym humoru i werwy mieszczańskim, kochającym prawdę i cnotę. Zgadzę się, że na ludzi myślących, wykształconych i dojrzałych książki jego złego wpływu nie wywrą, ale czynię tylko jedną uwagę. Ludzie dojrzały, myślący i wykształceni już te jego dzieła znają. Powiem w nawiasie, że miałbym ich za safandulów, gdyby ich nie znali. Ci więc znają. Któż tedy nie zna? Młode pokolenie. Kto będzie czytał? Młode pokolenie. Uczniowie gimnazjum naprzód, a potem kontrabanda przekradnie się na jedną i drugą pensję żeńską, i oto gotowi czytelnicy. A to rzecz zmienna. W ręku takich czytelników pan Paweł jest znów arcyniemoralnym i szkodliwym pisarzem. Jest sobie w swoim zakresie tem, czem dziś w muzyce jest Offenbach. Dobrze się przypatrzwszy, znajdziesz tam i pewną moralność, i satyrę i trochę po-

ezyi, ale na pierwszy rzut oka widać przedewszystkiem podkasane spódniczki.

Stanąwszy z powrotem w Warszawie, dowiedział się tu Sienkiewicz, że pod niebytność jego „złe języki rozpuściły wieść“, jakoby przyczyną dłuższego nie ukazywania się *Chwili obecnej* były... finansowe kłopoty feljtonisty, który dlatego, jak mówiono, przestał pisywać swe kroniki, ponieważ cały był zaabsorbowany kwestyą wschodnią, pojmowaną w ten sposób, jak ją sam niedawno w jednym ze swych odcinków wyjaśnił.

Otóż niema w tem ani za grosz prawdy. Podróżowałem, oto wszystko. Tem się tłumaczy moje milczenie. Podróż moja trwała wprawdzie o wiele dłużej, niż pierwotnie zamierzałem, nie stało się to jednak z mojej winy. Ponieważ w omnibusie, którym jechałem, jeden koń był kulawy, drugi ślepy, pocztylion zaś miał febrę, co wiorsta więc odpoczywał koń kulawy, co dwie zatrzymywaliśmy się z powodu paroksyzmu, jakiego dostawał powożący, a co trzy dlatego, że każdy koń czy ślepy, czy nie ślepy, musi przecie w drodze mieć chwilę wypoczynku. Przez cały ten czas rozmyślałem nad kwestyą, czy w sumie wyznaczonej na polepszenie naszych dróg bitych, przewidziane są pozycye wydatków na tak względne przedmioty, jak nogi i oczy dla koni, a chinina dla powożących, przyczem zauważyłem, że jeżeli nie są przewidziane, tedy wpływ chininy na szybkość komunikacji jest faktem, który ja pierwszy odkryłem, i za który należy mi się niewątpliwie patent wynalazku. Hełby to prawdopodobnie znaleziono takich wynalazków w ciągu długich godzin podróży, gdyby nie wstrząśnienia, które zna dobrze każdy, komu zdarzyło się choć raz odbywać drogę w karecie pocztowej, a które sprawiają, że mózg nieszczęśliwego śmiertelnika, objając się o ściany własnej czaszki, jak ziarnko grochu o ściany blaszanej grzechotki, nuży się łatwo i zawiesza, aż do bardziej sprzyjających warunków, swe czynności. Nasze szosy nie pozwalają myśleć. Cóż na to poradzić i co ztąd wnioskować? Poradzić nie umiem; co zaś do wniosków, to pierwszy, jaki przychodzi mi do głowy, jest: że ponieważ zarząd naszych szos z obowiązku musi po nich jeździć, co jak wiadomo niepodobnym czyni proces myślenia, nie może więc, choćby nawet chciał, o nich myśleć; trzeba zatem dać pokój krzykom i wrzawie, przeciw stanowi dróg wyżej wzmiankowanych. Powtóre owe wstrząsania głowy mają swoją dobrą stronę, o której nie należy zapominać. Komu głowa lata na wszystkie strony w karetce, mózg w głowie, a myśli w mózgu, ten porządnie myśleć nie może. To było już dowiedzione, ale zapominamy, że kto nie myśli, ten się nie

nudzi, ten się bawi, kto się zaś bawi, ten nie ma powodu narzekać ani na stan szos, ani na zarząd, który nad stanem owym czuwa.

Niestety, powróciwszy do swoich zwykłych zajęć dziennikarskich, gdy mu wypadło znów co tydzień pisać 400 wierszy *Chwili obecnej*, odrazu spotkał się jej dowcipny kronikarz z niebywałym brakiem tematu. Zdawszy sprawę ze swych wrażeń, doznanych w czasie wakacyi, nie wiedział o czem pisać, bo przechadzając się po ulicach Warszawy, jakoś nie znajdował materiału do interesującej kroniki. O czem tu pisać na warszawskim bruku, przynosząc z miasta uszy pełne stuku?..

Pójdę chyba za przykładem tego jegomości, który umiając jedną jedyną dykteryjkę o armacie, wiecznie takową opowiadał; ale że to tak trudno trochę wprowadzać ni w pięć ni w dziewięć na stół armatę, skoro o niczem, mającem jakikolwiek z artylerją związek nie było mowy, rzeczony więc jegomość radził sobie jak następuje: „Przepraszam państwo, mówił, przerywając choćby najciekawszą rozmowę, przepraszam: tsstst! cicho!“... „Co takiego“, pytacie się wszyscy. „Zdaje mi się, że słyshałem wystrzał armatni“. „Eh! śni się panu chyba“. „Ale bo to à propos armat, opowiem też państwu doskonałą anegdotę“. I opowiadanie się rozpoczynało, już teraz bardzo à propos. Otóż zdaje mi się, że słyshałem a przynajmniej czytałem niedawno wielkie uniesienia i zachwyty nad naszym miastem, że się tak wznosi, rozszerza, zabudowuje i przybiera coraz bardziej wielkostołeczny i wielkomiejski charakter. Powiecie, że nie czytacie nic podobnego. Nie? ale à propos tego opowiem państwu następującą rzecz, która wiem, że będzie dobrze widziana, przynajmniej przez tych, którzy się do owego rozrostu miasta czynnie przykładają. Jesteśmy na wskróś oryginalni i samodzielni, a nasze miasto jest jednym z najoryginalniejszych miast na świecie. Za granicą naprzykład, gdy ktoś wybuduje nową kamienicę, stara się, by rozmiary jej i styl harmonizowały przynajmniej, mniej więcej, z otaczającemi ją budowlami; każdy, prócz względu na własną korzyść, pamięta jeszcze o jednej rzeczy, która zresztą osobistych korzyści wcale nie umniejsza. Oto stara się za jedną drogą upiększyć rodzinne miasto. U nas dzieje się inaczej; jesteśmy daleko oryginalniejsi. U nas każdy zosobna wzięty filister ma swój, nie grecki, nie romański, nie gotycki, nie włoski, ani żaden inny, ale własny filisterski styl, wedle którego wznosi budowle. Bo zresztą i dlaczego miałoby być inaczej. Mamy przecie swój osobny warszawski rozum, częstokroć bardzo od każdego innego różny, dla czegożbyśmy własnego warszawskiego stylu mieć nie mogli? A że odznacza się on różnaitością, że właśnie polega na tem, iż co kamienica, to różnica, tem lepiej dla

niego. Już raz wspomniany przezemnie pan Cymbałkiewicz ma swoje pomysły, a pan Safandulski swoje. Bank handlowy może być niski i mieć dwadzieścia cztery razy tak wielkie okna, jak zwyczajne domy mieszkają, a kamienica naprzeciwko może być sobie wysoka, mieć greckie kolumny, chińskie wieżyczki, po cztery słupki do kupki i mały gołębniczek. To jedno drugiemu nie przeszkadza. Wielka kamienica otoczona małemi wygląda jak kura z kurczętami, czysty obraz sielskiej natury. Powtarzam: jesteśmy na wskrós oryginalni. Albo te nasze brudne, odrapane, z pokrzywionemi dachami i powybijanemi dymnikami, kamieniczki stojące obok wspaniałych wylakierowanych i wyzłoconych gmachów! Niech mi kto pokaże gdzieś za granicą coś podobnego. Zjednało to nawet również oryginalną sławę o nas.

Ktoby temu nie wierzył, niech przeczyta w *Revue des deux mondes* z r. 1875 powieść Sacher Masocha p. t. *Hassarababa*.

Uczony ten pisarz, którym zachwycają się Francuzi, a który, mówiąc nawiasem, korzystając z licencji poetyki i prozaiki, przenosi Kołomyję z posiadłości austriackich gdzieindziej, nazywa nas jednym z najbrudniejszych narodów na świecie. Już to, co prawda, pan Sacher-Masoch w nieograniczonej sympatii dla nas, nie szczędzi barw, byle tylko wszystko wyszło plastycznie i wyraziście. Opisując bohaterkę swej powieści, Polkę, mówi n. p., że wzięwszy atlasową suknię, zdobną kwiatami i brylantami, zawdzięła takową, jak to jest zwyczajem u Polek, na brudną spódniczkę i nie mniej brudne pończoszki. Pozwólcie, piękne czytelniczki, ażebym uderzył kopią w jego twarz w waszej obronie. Otóż zdaje mi się, że nie przesadzę, twierdząc, że uczony powieściopisarz-geograf nie zna i na oczy nie widział tych rzeczy, które tak śmiało opisuje. Jeżeli zna Polki, to mam nadzieję, że zna je tylko pozornie. Tak jest: Pan Sacher-Masoch nie zgłębił wewnętrznej strony kwestyi, którą to kwestyę nieraz widzieć można jaknajpiękniej wypraną, suszącą się na podwórzach naszych kamienic na sznurkach, o które zrzucamy sobie kapelusze z głowy, lub z nosa binokle. Pan Sacher-Masoch jej nie zna i bredzi, co mu się na język nawinie. Krótko mówiąc, na białźnie zna się tyle, co i na geografii. Zda się, że dosyć ma za swoje!

Zdanie Sacher-Masocha o nas zdają się także podzielać niektórzy „artyści“ i „profesorowie“ zagraniczni, zawadzający, w przejeździe do Rosyi, o Warszawę, a wyzyskujący naszą naiwność. Do takich „profesorów“ należał w swoim czasie „profesor“ Buchwaldy, raz po raz zjeżdżający do naszego syre-

niego grodu, by nam wyludzać pieniądze z kieszeni. Sienkiewicz nie należał do jego zwolenników, czemu nawet raz dał wyraz w jednym ze swych feljetonów w *Gazecie polskiej*.

Nie wiecie, kto jest profesor Buchwaldy? Dziwię się takiej ignorancyi, albowiem ja wiem już od wczoraj, to jest od chwili, w której nasza redakcyja odebrała list i bilet wizytowy rzeczzonego profesora. Otóż ten pan Buchwaldy jest wielki magik indyjski, który zgłębił wszelkie tajemnice braminów i fakirów. Jest on sobie przytem ni mniej ni więcej, tylko nadwornym czarownikiem króla siamskiego, który ozdobił go orderem „Pusamala“. Profesor Buchwaldy, jako człowiek, przed którego okiem nie ma tajemnic, wiedział dobrze, dokąd ma się wybrać; odgadł przytem doskonale nasze gusta, prosząc, aby wieść o jego przybyciu umieścić przedewszystkiem w dziennikach francuzkich (sic!). Zkąd on wiedział o naszej słabości do francuzczyzny? Razem z nim ma przyjechać i jego żona „brylantowa“ (jak pisze profesor) pianistka. Będą więc razem i sztuki magiczne i muzyka. Sztuk tych, które mają być niesłychane i niewidziane nigdzie, wynalazcą jest sam profesor Buchwaldy. Ciekawiście też, co on nam pokaże? Co pokaże? Ja wiem tylko, co pokaże, wyjeżdżając: Oto dwie rzeczy: język i figę.

Do tej samej kategorii znakomitości należał niejaki Clementini, weneccyanin, który w roku 1875 dawał koncerty w Warszawie. Był to „artysta“ na harmonijce, nie na takiej jednak, jak u nas stróże grywają co niedziela. Wcale nie na takiej, niech Bóg broni!

Pan Clementini grywa na dwa razy większym instrumencie, a przytem podnosi oczy w niebo, to je zamyka, to rzuca głową w tył, to brodę podaje naprzód, słowem, pozwala się w zupełności ovladnąć natchnieniem i robić z sobą, co się mu (t.j. natchnieniu) podoba. Naturalnie, że tak wielki człowiek nie mógł umyślnie przyjechać do tak nędznego, jak nasze, miasta, ale bawi tu, wedle doniesień afiszów, tylko w przyjeździe do jakiegoś ogromnego grodu, bodaj czy nie do... Pacanowa. Produkuje się zaś w Eldorado w międzyaktach, gdzie wstrząsa nerwy i dusze słuchaczy utworem własnej kompozycyi, zatytułowanym: „Bitwa pod Sedanem“. Słyszałem nader charakterystyczną sprzeczkę, którą, jak następuje, wam powtarzam. Artysta wychodzi na scenę. Natchnienie porywa go, skutkiem czego, artysta krzywi się, jak środa na piątek, wznosi oczy w górę, wzdycha i poczyną grać. Instrument wydaje tony, podobne do odgłosu, jaki sprawia woda deszczowa, ciekąca z rynny. „Co to jest?“ pyta się ktoś za mną. „Hm!“ odpowiada drugi głos, ja byłem na woj-

nie, to ci wytłómaczę“. Woda wciąż cieknie. „Ja myślę, że to żołnierze czyszczą broń, lufy myją, czy co? A może to narada generałów, tylko nie wiem czy pruskich, czy francuzkich“. Woda wciąż cieknie. Głos pierwszy: Ale to coś długo trwa. Głos drugi: Prawda. Instrument sprawia odgłos, jakby ktoś łamał patyki, a potem odzywa się trąbka. Głos pierwszy: Oho! Głos drugi: Odwodzą kurki i trąbią. Zaraz będą strzelać. Instrument strzela. „Masz tobie, otóż i bitwa. Słyszysz. Teraz słychać bębny. W tej chwili biorą do niewoli Napoleona“. Instrument poczyną sapać, poczem wydaje głos: „Trrr, trrr! trrr!“ „Co to?“ „A toż mu dali! To bębny po zwycięstwie. Nie! co ja mówię. To Napoleon. Aha! stehórzył!“ Instrument jak wyżej. W ten sposób, człowiek, obdarzony silną wyobraźnią, może sobie bez żadnego niebezpieczeństwa widzieć bitwę pod Sedanem. Ale dlaczego pod Sedanem? Można sobie i jaką inną wyobrazić. Wszystko jedno. Właśnie to jest dobre w tem wszystkim, że każdy słyszy to, co chce. Naturalnie, że po takiej bitwie i w porę zaaplikowanym do uszu słuchaczów wystrzale zrywa się burza oklasków, artysta zaś kłania się z lekka, przeświadczony, że oklaski te nie są czezą grzecznością, ale podziwem i zachwytem z głębi serca płynącym.

Daleko artystyczniejszego wrażenia doznał feljetonista *Gazety polskiej*, gdy poszedł przypatrzeć się cyganom, którzy się rozłożyli obozem w Łazienkach.

Błędne dzieci Hindustanu: mężczyźni, kobiety, dzieci. Mężczyźni trochę pracują, trochę żebrzą, kobiety warzą krupy, wróżą i żebrzą. Jakieś dziewczę między niemi iskrzy oczyma, świeci białą piersią, żebrze jak inni i inne, a czasem dzwiecznym głosem zawoła na przechodnia: „Paniez soko! hej sokoliku, daj rękę. Powiemy co ci czeka: czy złoty pierścień od lubej, czy skarby, czy bogactwa, czy dola, czy niedola, czy może śmierć na wojence, soko! Daj białą rękę: wywróżę“. Poezya w łachmanach!

W listopadzie roku 1875 znalazł się kronikarz *Gazety polskiej* niespodziewanie we Lwowie, a gdy powrócił do Warszawy, zaraz w pierwszym feljetonie o *Chwili obecnej*, wydrukowanym dnia 23 listopada, zdał sprawę z wrażeń, doznanych w stolicy Galicyi. Wrażenia odnosiły się wyłącznie do teatru, a zatytułowane były *Ad usum Delphini*, co znaczyło, że pisząc je, autor miał na myśli teatr warszawski, którego sprawami bardzo się w tych czasach, dzięki Modrzejewskiej, interesował.

Była może godzina dziesiąta rano, gdy idąc Hetmańskimi wałami od Maryackiego placu, ku ulicy Teatralnej, ujrzałem przed sobą po raz pierwszy wyniosłe mury Skarbkowskiego teatru we Lwowie. Gmach to ogromny, mało co mniejszy od naszego teatru w Warszawie, a jakkolwiek styl jego nie odznacza się niczem osobiwem, całość jednak imponuje ogromem i powagą. Zabudowany w czworokąt, bokami wychodzi na cztery ulice; wewnątrz zaś obejmuje dwa wielkie dziedzińce, salę przedstawień prawie większą, a przynajmniej pakowniejszą od naszej; scenę, garderoby, kancelaryę zarządu teatralnego, olbrzymią kawiarnię i mnóstwo mieszkań, rozrzuconych po dwóch piętrach w dziedzińcach. Gdym wszedł do wnętrza, owiała mnie chłodna atmosfera, jaka zwykle panuje w wielkich gmachach, i ogarnął pół mrok, pół światło. Godzina, jak wspominałem, była ranna, więc lampy nie paliły się w przedsiönku. Nie było jednak tak ciemno, żeby nie można było odróżnić otaczających przedmiotów. To też po chwili, gdy oczy moje przyzwyczaiły się do owego poważnego mroku, ujrzałem wprost siebie, biały, kamienny, posąg Skarbka, fundatora teatru, w dali ciemne korytarze, na prawo zaś szklanne okienko kasy, przy którem stał jakiś człowiek, rozmawiając z kasyerem. Miałem interes do dyrektora, dlatego zbliżyłem się do rozmawiających, pragnąc rozpytać ich o jego mieszkanie, do którego w tym labiryncie gmachów, korytarzy, drzwi i balkonów nie spodziewałem się trafić bez dokładnych wskazówek. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy w młodym człowieku, stojącym przy okienku, poznałem samego dyrektora, znanego mi już poprzednio z Warszawy. Po pierwszych wykrzyknikach powitania, uprzejmy dyrektor zamówił dla mnie miejsce na wieczorne przedstawienie, poczem oświadczył, że jakkolwiek źle trafiłem, bo na melodramat, jednakże mogę to sobie wynagrodzić, bytnością na próbie *Niewinnych*, która właśnie odbywała się w tej chwili. Zgodziłem się najchętniej, i przez ciemny korytarz udaliśmy się do sali. Dyrektor odsunął zjecha drzwi łoży, do której weszliśmy obaj, po chwili jednak opuścił mnie i udał się na scenę, gdzie obecność jego była potrzebna. Artyści byli już zgromadzeni. Właśnie próba rozpoczęła się przed chwilą. Jakiż to dziwny, a zarazem i uroczysty charakter, ma każda próba poważnej sztuki!... Przed sceną migotało posępnie kilkanaście lamp, których światło, osłonięte od strony sali, nie mogło rozproszyć panującego w niej mroku. Nie masz nic bardziej ponurego, jak sala teatralna widziana w czasie dnia. Ta poważna cisza, zalegająca mroczne głębie, te puste rzędy krzeseł, czerwonawy mrok, walczący z białem, wdzierającym się tu i owdzie światłem dziennem, ten ogrom posępny i martwy, od którego wieje chłodem i pustką, wszystko to dziwnie przejmujące sprawia wrażenie. Na oświetlonych czerwonawem światłem deskach scenicznych stali lub siedzieli artyści, recytując półgłosem swe role. Twarze ich zaledwie można było rozróżnić. Echo, drżące w głębiach sali,

donosiło do uszu moich słowa, zaledwie dosłyszalne, stłumione, ale dźwięczące dziwnym akcentem prawdy. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek doznał tak silnego złudzenia rzeczywistości. W czasie przedstawienia, wobec tłumów zgromadzonej publiczności, wobec tysięcy światła, gorącej atmosfery, muzyki i deklamacyi, człowiek, zwłaszcza otrząskany ze sceną, nie zapomni nigdy, że jest w teatrze, i że widzi przed sobą mniej więcej dobrze napisaną i graną sztukę, nie zaś istotne zdarzenie życiowe. Ale na próbie nie widzisz ani światła, ani muzyki, ani kostymów, ani deklamacyi, ani wreszcie aktorskiej pozy. Żaden z artystów nie deklamuje ci z koturnu, żadna artystka nie uwydatnia efektów, stąpając gorączkowym, tragicznym krokiem. Jednem słowem, nie widzisz tego, co się nazywa aktorstwem. Spoglądasz na zwyczajnych ludzi, ubranych jak wszyscy, czujących i okazujących uczucia tak, jak się je wypowiada, czuje i okazuje w życiu. Wieczorem muszą pamiętać, że gra ich ma zrobić wrażenie z odległości, i dlatego uwydatnianie jaskrawsze jest wtedy tak potrzebne, jak róż i bielidło na twarzy. Odległość i światło gazowe mają swe prawa, o których trzeba pamiętać. Na próbie względy te nikną. Artyści grają tylko dla siebie. Chodzi im więcej o umocnienie roli w pamięci, oszczędzają się więc, zachowując siły na później. Próba nie ma nigdy tej precyzji, jaką musi posiadać przedstawienie, ale właśnie ten brak dokładności, ten pewien nieład życiowy i oszczędzanie efektów na człowieku, obytym z teatrem, sprawia większe wrażenie rzeczywistości. Cisza, panująca w sali, mrok, pustka, migotliwe światła lamp, echa wiszące pod ciemnem sklepieniem, powiększają jeszcze moc tego wrażenia. Przysięgłbyś, że między tymi ludźmi zaszło coś istotnego, że jakieś prawdziwie bolesne a tajemnicze zdarzenie powikłało ich stosunki i otoczyło niby siecią pajęczą, z której wszelkimi siłami usiłują, a nie mogą się wyplątać.

Wieczorem znalazł się Sienkiewicz na przedstawieniu w teatrze. Miała występować panna Deryng, której był niezmiernie ciekawy, bo chodziło o jej zaangażowanie na scenę warszawską. Znalazłszy się w swej łóż na kilka minut przed rozpoczęciem spektaklu, mógł Sienkiewicz, zanim podniesiono zasłonę, przypatrzeć się widzom, którymi sala nappełniała się powoli. „Damy, wielkiego miejscowego świata, zajmowały zwolna łóż, nie spóźniając się, na wzór naszych m. m. Dziurdziurlewiczowych, o pół godziny na przedstawienie. W krzesłach pokazywano mi tamtejsze znakomości literackie i polityczne. Z ciekawością przypatrywałem się tej zupełnie nieznannej dla mnie publiczności... Publiczność jest rzeczą równie ciekawą,

jak i przedstawienie. Każda ma właściwy sobie temperament, właściwy sposób sądzenia, odmienny w wielu razach smak. Co się podoba we Lwowie, nie zawsze podobać się może w Warszawie, chyba, że całkiem już wychodzi z granic zwyczajności⁴.

Znalazłem wielkie różnice między publicznością warszawską a lwowską, dlatego tem ciekawiej przypatrywałem się tej ostatniej. Warszawska nie zaciekawia mnie już; znam ją na wylot, nie tylko w ogólności, ale nawet i w szczegółach. Wiem z góry, kto w jakiej łoży usiądzie. Wiem, że dwie najbliższe sceny zajmą dzentelmanowie, o przeogromnych białych gorsach, nasze gogątka, przezywające się między sobą: Zizi, Pipi, Bibi, Trutru, Joujou. Widzę z góry te fizyonomie, wyrażające wiecznie niewysłowioną radość z tego, że przyszły na świat, dziękujące każdem drgnieniem Bogu Ojcu, że je stworzył, Synowi Bożemu, że je odkupił, a nie mające najmniejszej pretensyi do Ducha Świętego, że ich nie oświecił. Widzę je już przykładające lornetki do oczu, ukazujące zdumionemu światu guzy u rękawów, wielkości deserowych talerzyków. Zdaje mi się, że słyszę pięknego kawalera Malgrétout, jak w najgłośniejszych miejscach sztuki, gładzi swą piękną, czarną brodę i powtarza: *comme idée, c'est sublime!* Słyszę zarówno, jakim niskim arystokratycznym basem, śmieje się comte Łyku-Łyku, z jakim zachwycającym hałasem wchodzą do łóż panie N. X. Z., jak szeleszczą sukniemi, wachlarzami; widzę, jak wdzięcznie zwraca się ku mamie, powszechnie uwielbiana niewinność, panna Funia, i w miejscach dwuznacznych pyta naiwnie: „Z czego się śmieją? *je n'y comprends rien*; słyszę, jak w tychże dwuznacznych miejscach pierwsze rzędy krzesel, z istic marsową werwą, stukają o podłogę, wołając nieco ochryplemi głosami: brao! brao! Wiem, że na dole spotkam opartego o filar młodego lorda Havelock o niesłychanych koźnierzykach, niewidzianych faworytkach, bladej twarzy i bajronicznej czuprynie, który wiele cierpiał w życiu... na odciski, i który, ujrzawszy mnie, uściśnie dłoń moją i wykrzyknąwszy: *olle rait!* (all right!) znowu potem zapadnie w zadumę; wiem nakoniec, że w krzesłach zaczepi mnie znany polityk, publicysta, ekonomista, estetyk, feljetonista, doktor, co chcecie wreszcie, i musnąwszy istic przedpotopowe wąsy, powie: „Wiesz pan, wzywają mnie koniecznie na dyrektora do wiedeńskiego Burgu. Zgadnij też pan, ile listów odebrałem?“ „No, ile?“ „Piętnaście!“ Ni mniej, ni więcej. Bagatela! Ale nie o to mi idzie. Chcę tylko powiedzieć, że w warszawskiej publiczności nie masz nic dla mnie tajemniczego, i że ta zupełnie od lwowskiej różna. Warszawska o wiele jest żywsza i wrażliwsza: oklask tu zawsze jak burza, entuzjazm dłuższy. Spójrzycie na tę czarną, zbitą masę głów, pochylonych z paradyżu na scenę: oczy tu mało nie wypa-

dną z orbit; dech w piersiach zatamowany, każde słowo łowione w locie tysiącem uszu, twarze odbijają każde wrażenie, jakby zwierciadła. Miło jest mówić do publiczności, która tak umie słuchać, dlatego artyści powinni czuć i czują dla niej wdzięczność. Oczy każdego wywołanego artysty i każdej artystki, biegną tu przede wszystkim ku górnym sferom teatru; dla nich najprzyjemniejszy uśmiech, i dla nich najserdeczniejsza podzięką. I słusznie. We Lwowie jest inaczej. Inicyatywę do wywoływań i oklasków daje tam nie paradyz, ale parter, na którym panują studenci uniwersytetu, a w szczególności bujny i rej wiodący naród techników. Z tem wszystkiem, massy, jako massy, daleko tam obojętniejsze; oklaski brzmią tam, jakby znudzone, i mdleją zaraz po urodzinach: podwójne lub potrójne wywołanie aktora, jest już dowodem najwyższego uznania; nasze cyfry, dochodzące siedmiu lub ośmiu razy, nie są tam znane. Cały wreszcie teatr wygląda posępniej, bo jakkolwiek nowa dyrekeya powiększyła już liczbę świateł, przecie i teraz jest jeszcze ciemno, nawet tak ciemno, że rysów osób, siedzących naprzeciw, bez szkieł, dokładnie rozeznać nie można.

Wrażenie, jakie wieczoru tego uczyniła na Sienkiewicz gra Derynżanki, przeszło wszelkie oczekiwania z jego strony. Widział ją nie po raz pierwszy, niedalej bowiem, jak w lipcu, występowała, jako gość, na warszawskiej scenie teatru Letniego i już wtedy wzbudziła nieklamany zachwyt w autorze *Chwili obecnej*. Oto, co o niej pisał w *Gazecie polskiej*, pod świeżem wrażeniem jej gry. „Dzienniki, lubo bez hałasu, zapowiadały, że panna Deryng należy do artystek, cieszących się już niemałym na lwowskiej scenie uznaniem; spodziewaliśmy się więc ujrzeć artystkę dobrą, jeżeli nie znakomitą, to przynajmniej wyrobioną. Tymczasem, cóż ujrzelśmy w istocie? Oto młode dziewczę, z potężną skalą głosu dźwięcznego, jak srebro, grające z werwą i zapałem, przechodzącym niemal w egzaltację, poetyczne w swoich uniesieniach i posiadające wszelkie dane na genialną w przyszłości artystkę. Publiczność nie spodziewała się poprostu tyle, dlatego na twarzach wszystkich czytałeś pewne zdumienie. Cały teatr zdziwił się tem zdziwieniem prawdziwie artystycznym, połączonem z odcieniem zachwytu, a przechodzącem z szybkością błyskawicy w burzę oklasków, która, niby dobra wróżba, długo huczała nad młodocianą głową dziewczyny-artystki. Co do nas, dzielając uczucie wczorajszych

widzów w zupełności, nie mogliśmy oprzeć się myśli, która mimowoli przyszła nam do głowy: jakże wyborną szkołą jest ta scena lwowska wraz z krakowską, skoro zdołały wyrobić takie artystki, jak Modrzejewska, Popiel i Deryng!“ Zdawało by się, że w ciągu paru miesięcy artystka nie mogła zrobić jakichś nadzwyczajnych postępów, a jednak, widząc ją teraz we Lwowie, Sienkiewicz miał uczucie, jakby ta obecna Deryng zmieniała się od czasu występów w Warszawie, i to zmieniała się na korzyść, rozwineła się jeszcze bardziej, dojrzała, stała się doskonalszą jeszcze, jako artystka.

Postać wysmukła, wiotka ale gibka, rysy wyraziste, z łatwością odbijające wrażenia, głos donośny, pełen owych głębokich drgań, płynących z duszy i trafiających do duszy, a przytem giętki i dźwięczny, oto przymioty, które w tej artystce najpierwej uderzają. Później widziałem ją jeszcze kilkakrotnie, dlatego mogłem dokładnie sobie o niej zdanie wyrobić. Gra jej wywiera zawsze niepospolite wrażenie. W grze tej niema misterności, niema drobiazgowego rzeźbienia szczegółów i zwykłych aktorskich efektów. Sposób traktowania szeroki a potężny. Widzisz w nim i czujesz prawdę. Technice możnaby to i owo czasami zarzucić, ale owe niedostatki, łatwe zresztą do usunięcia, nagradza pełnia uczucia i niepospolita twórczość. Ta twórczość stanowi, można powiedzieć, szczególniejszą cechę, a zarazem i najwyższy przymiot jej gry. Artystka posiada, wprawdzie zadziwiającą na wiek swój, rutynę sceniczną, ale patrząc na grę jej, poznaje się odrazu, że rutyna ta jest tylko środkiem, ułatwieniem i niczem więcej, istotę zaś gry, duszę jej, stanowi owo twórcze uczucie, którego gdzieindziej, jak w sercu, jak w wielkiej a potężnej miłości do sztuki, jak w zapale młodzieńczym, szukaćby było próżno. Mniejsza o to, że gra jej jest często doskonałą pod względem zewnętrznym, przedewszystkiem jest natchnioną. Doskonałość techniczną można wyrobić, ale natchnienie... Odpowiem wam wierszem poety. „Jak wietrzyk, co listkami po gałązkach dzwoni, Lub po modrem zwierciadle mały żagiel goni. Nie jest własnością drzewa, ni żaglowej łodzi, Bo ten co mu wiać każe, ten i wiać przeszkodzi. Tak natchnienie, co w niebo skrzydlatą myśl wzbija, Bóg daje, bo natchnienie, to własność niczyja“. Istotnie: z kąd się bierze ta siła niebieska, przyprowadzająca skrzydła do ramion, a potężna jak bóstwo, bo jak bóstwo twórcza? czy rzeczywiście zlatuje w postaci błękitnego płomienia z obłoków? nie tu miejsce rozprawać, to tylko pewna, że artystka, o której mowa, siłę tę w wysokim stopniu posiada. Może później, gdy rozczaruje się, gdy się wystudzi, gdy nie podsycana znikąd karmią dla umysłu i serca, przywyknie do owego

głodu wrażeń i wyschnie pod jego zabójczym wpływem, może później, powiadam, pozostanie jej tylko sama rutyna, sama doskonałość zewnętrzna. Ale dziś jeszcze do tego daleko: artystka czerpie z duszy, nie z wprawy, potrzebaby jej tylko szerszego koła działalności, innych warunków życia, i może szerszej, a przede wszystkim żywiej czującej publiczności. Dziś jeszcze młodość i zapał zastępuje owe warunki zewnętrzne. Jak dalece artystka przejmuję się swemi rolami, miałem dowód, gdy w czasie antraktu zaszedłem za kulisy powitać ją, jako znajomy z Warszawy. Upłynęła zaledwie chwila po zapuszczeniu zasłony. Artystka była tak wzruszona odegraną niedawno sceną, że zaledwie zdołała odpowiedzieć na moje powitanie. Zdawało mi się, że drży na całym ciele, nie ochłónawszy jeszcze z przedchwilowych uniesień. Na twarzy, pokrytej, jak zwykle na scenę, grubą warstwą bielidla i różu, znać było skupienie wewnętrzne i wewnętrzną pracę ducha; podczernione jej oczy świeciły fosforycznie. Rozmowa nasza nie mogła trwać długo, bo urzędowe kaleczenie uszu, domorosłemi polkami, nie jest w zwyczaju we Lwowie, a muzyka antraktowa i same antrakty trwają daleko krócej niż u nas.

Wróciwszy po skończonem przedstawieniu do hotelu, zaczął Sienkiewicz, zachwycony grą Derynżanki, zastanawiać się nad pytaniem, czy artystka ta, zwłaszcza wobec wyjazdu Modrzejewskiej do Ameryki, mogła by się stać przydatną dla warszawskiej sceny? Ale niedługo myślał nad tem pytaniem, gdyż była to kwestya, na którą tylko wogóle nasuwała się jedna odpowiedź! mianowicie: przytakująca. Deryng mogła być nieocenionym nabytkiem dla Warszawy.

Prócz pani Modrzejewskiej, panny Popiel i dwóch może starszych artystek do ról matek, nie posiadamy innych, któreby na to miano zasługiwały. Poprostu komedyopisarz czuje się nieraz w kłopotcie i jeżeli dwie te panie nie chcą, lub nie mogą grać, woli sztuki wcale nie wystawiać. Jakże tu bowiem i wystawić sztukę, skoro z góry jesteś przekonany, że zamiast: hrabia i margrabia, będą ci mówić, hrebia i mergrebia, zamiast, matka: metka, zamiast, ród mężczyzn, ród meszczyzn, zamiast mojemi uczuciami, mamy uczuciamy i tym podobnie. Słyszysz z góry te głosy gardłowe, od których zimny pot pojawia ci się na skroniach, „żał duszę ściska, serce boleść czuje“, widzisz te artystki, jak grając dystyngowane damy, sznurują usta i poruszają w nadprzyrodzony sposób tiurniurami, sądząc widocznie, że prawdziwa dystynkeya właśnie na takiej nadprzyrodzonej tiurniurowej gimnastyce polega. Eheu! eheu! więc jeżeli jesteś komedyopisarzem, chowasz napisaną sztukę do

szuflady, mówiąc jej: „śpij dziecię i nie pokazuj nosa na świat, bo artyści zjedzą twoje ciało, a krytycy kości, i nie zostanie z ciebie nawet popiołu“. Nie ma kto grać i skończyło się. Luka po Bakałowiczowej jeszcze nie zapelniona i Bóg wie, kiedy będzie zapelniona, a z tej luki wieje chłodem i pustką.

Inaczej dzieje się we Lwowie, którego teatr bez porównania stoi wyżej od warszawskiego, a nadto, stosunki, jakie tam panują w sferach teatralnych, także zasadniczo różnią się od naszych, a różnią się na swoją korzyść, nie naszą.

Wogóle cały tamten teatr dobre na mnie zrobił wrażenie. Życie tam pracowite i mozolne; nowe sztuki wystawiają co parę niemal dni, bo publiczność mniej liczna opatruje się szybko. Autorowie nie czekają od rannych dni żywota, aż do siwych włosów, na przedstawienie swych sztuk, tak jak u nas, gdzie nim przedstawia sztukę, musi pierwej myszką trącić. Artyści pracują ciężko; latem nie rozlatują się, jak wiosenne kwiecie drzewne, na cztery strony świata; długich urlopów nie znają, chyba tylko najznakomitsi i najbardziej zapracowani, i tak mija dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, a życie płynie w prawdziwym nie malowanym trudzie. Zapomniałem jeszcze wymienić jedną cechę, znamionującą tamtejszych artystów. Oto, gdy którego z nich dotknie krytyka, dotknięty stara się zastosować do jej wskazówek i nie podnosi krzyku, jakby ktoś żywcem ze skóry obdzierano.

Wobec takiej nadszłości aktorów warszawskich, nie trudno sobie wyobrazić, jaki krzyk powstał w kołach teatralnych, gdy przeczytano feljeton Sienkiewicza. Był to, jakby kij wetknięty w mrowisko: wszczął się hałas, zaczęto się odgrażać, a nawet nie brakło takich, co obiecywali, że tego artykułu nie przepuszczą płazem... Ale Sienkiewicz nie sobie nie robił z tych pawich krzyków, tak dalece, że zaraz w następnej kronice, dołał jeszcze oliwy do ognia...

Słyszałem, że jakkolwiek zeszyły mój odcinek, poświęcony wspomnieniom teatru lwowskiego, zrobił w naszych sferach teatralnych wogóle jak najlepsze wrażenie, to jednakże dopytywano się ciekawie, dlaczego artykuł ten, mówiący o Lwowie, został zatytułowany w Warszawie: *Ad usum Delphini*, co znaczy po polsku: do użycia wewnętrznego. Można to zresztą było wymiarkować z samego skutku, jaki artykuł w sferze, o jakiej mowa, wywołał. Wspomniałem już, że skutek ten szczególnie objawił się w nadzwyczajnej sympatii, jaką między naszymi arty-

stami *minoris gentis*, równie nagle, jak niespodziewanie, zdołałem sobie pozyskać. Słyszałem nawet od jednego z nich, że wdzięczny ów drobiazg chce mnie uczcić pomnikiem. Powoli, moi panowie i panie, powoli! macie ważniejsze obowiązki. Jeżeli koniecznie chcecie stawiać pomnik, postawcie go autorom, w których sztukach występowaliście bez współudziału waszych znakomitszych kolegów. Ja z mojej strony, dorobię, jeżeli pozwolicie, napis do tego pomnika. Będzie on brzmiał tak: „Nieszczęśliwym, żywcem pogrzebanym, wdzięczni grabarze“. Jeżeli zaś i ten projekt wam się nie podoba, to ponieważ teatr, ze względu na schronienie, jakiego wam udziela, jest instytucją do pewnego stopnia filantropijno-ochronną, uczcijcie więc waszą *alma mater* jaką owacyą, a ja zdaleka będę was błogosławił, ciesząc się myślą, że istnieją zakłady, w których nietylko kalecy fizyczni znajdują spokojny, choć skromny kącik do śmierci.

Okazało się jednak, że nietylko aktorzy zionęli niechęcią ku autorowi *Chwili obecnej*: przywilej, który posiadał, a przynajmniej, jak sam powiada, uzurpował sobie, ażeby być dla Warszawy *un enfant terrible*, które się nie cofa przed mówieniem różnych gorzkich prawd pod adresem swego społeczeństwa, prawd, o których się z różnych względów nie mówi, choć się czuje ich prawdziwość, przywilej ten, z którego tak często, jako feljetonista *Gazety polskiej*, korzystał, drażnił bardzo wiele nożyc, odzywających się za każdym uderzeniem w stół, a tem samem narażał go różnym stanom i koteryom. Między innemi, uczuli się dotknięci. Żydzi, którym, zwłaszcza sferom giełdowym, raz po raz dostawały się od niego różne, mniej lub więcej dowcipne a zawsze słuszne admonicje.

Teraz dopiero przekonywam się, jak źle jest wyjechać na pewien czas z Warszawy i dać sposobność „najserdeczniejszym“ do rozpущenia o sobie wieści. Wyobraźcie sobie, czytelnicy, ogłoszono mię tu za żydożercę, a ja nie mogłem się nawet od tego ludożereczego przezwiska jak należy obronić. Nie, moi panowie! Tak nazwa sama, jak i cały zaszczyt, jaki przynosi polemika z wami, spotkał mnie niezastąpienie. Pierwszej wyrzekam się dlatego, że mi się nie podoba, drugą racieście uszczęśliwić, kogo wam się podoba, byle nie mnie, a przedewszystkiem nie narzucajcie się jako obrońcy tym, którzy obrony waszej nie potrzebują, i którzy, w danym razie, na mocy zasady: „Strzeż mnie Boże od moich przyjaciół i t. d.“, źleby na niej wyjść mogli. Kto Żydom wogóle powiada, że źle mówią i piszą po polsku, czyni to nie w chęci połknięcia

ich, jak się połyka ostrygi, ale w tym celu, by przestali źle, a zaczęli dobrze mówić i pisać. Kwestya wyznania i pochodzenia, są to rzeczy zgoła inne, leżące zawsze poza obrębem żartów i przycinków. Co więcej powiem, dla mnie kwestya żydowska, w związku z narodowością i pochodzeniem, nie istnieje: istnieją tylko obywatele, którym należy prawdę mówić w oczy.

Jednocześnie, bezpośrednio po swym powrocie ze Lwowa, „zastał Warszawę, a raczej towarzystwo warszawskie, deklinujące na wszystkie sposoby wyraz: niewinni“. Powodem do tego był, grany wtedy w Teatrze Rozmaitości, dramat Aleksandra Świętochowskiego *Niewinni*, będący wtedy *la grande sensation du jour* wśród warszawskiej t. z. inteligencji. O dramacie tym, wyróżnionym na konkursie w Krakowie, pisał już Sienkiewicz w *Gazecie polskiej* w numerze z d. 25 sierpnia, gdy dopiero projektowano wystawienie tej sztuki na deskach Teatru Rozmaitości.

Ujrzymy na scenie *Niewinnych*. Zapewne słyszeliście, czytelnicy moi, o tym dramacie; wiecie zapewne także, że *dobrze* myślące sumienie sędziów krakowskiego konkursu, cofnęło się przed przyznaniem nagrody sztuce, tak niebezpiecznych tendencji, że starano się obniżyć jej wartość, że wreszcie narobiła ona niemało hałasu i wywołała wiele świątobliwego oburzenia. Zwabiony rozgłosem, postarałem się ją przeczytać, tak dla własnej ciekawości, jak i dla podzielenia się z wami wrażeniami; mogę więc parę słów o niej powiedzieć.

Treść jej bardzo prosta, tendencya bardzo subtelna. Jest sobie dwoje ludzi, mąż i żona, których wzajemne pożycie i szczęście, podkopane lekkim przyniewierstwem męża, kruszy się, jak wyschnięta gałązka. Rozchodzą się, cierpią jedno zdala od drugiego. Ona nie chce przebaczyć, on odrącony i oburzony surowością małżonki, posadza ją o brak serca i stara się zapomnieć, wreszcie godzi ich jednak miłość drzemiąca pod osłoną obojętności, wspomnienia dawnego szczęścia i, na koniec, dziecię. Oto i treść.

Na pozór zdawaćby się mogło, że autor idzie tu śladem Dumasa syna, ale tak nie jest. Autor nie ma bynajmniej zamiaru pisać kodeksów małżeńskich, dowodzić, że wiara małżeńska lepszą jest od wiarołomstwa, lub wreszcie rozstrzygać, kto komu powinien głowę ukreć. Fakt przyniewierzenia się, przyjmuje autor jako spełniony. Przyniewierstwo służy mu tylko za powód, wywołujący katastrofę, który to jednak powód odnośnie do samej tendencji utworu, mógłby być w ostatnim razie zastą-

piony przez każdy inny, byle psychologicznie równie silny. Tendencja sama leży w tej prawdzie, że ilekroć sama katastrofa połamie stosunki ludzkie, wówczas na pytanie: kto winien? niema odpowiedzi. Niema przynajmniej wtedy, jeżeli z pojęciem winy łączymy pojęcie wolnej woli ludzkiej, czyli inaczej mówiąc, winne same stosunki ludzkie, winne charakteru ludzi, winne temperamenty, winne okoliczności, słowem winna konieczność, winien ów nieubłagany łańcuch przyczyn i skutków, których wola jest wynikiem, ale nie władzą.

Nie wdając się w rozbiór, o ile ta gorzka tendencja jest lub nie jest ponurą prawdą, należy wyznać, że autor przeprowadził ją w swym utworze z żelazną konsekwencją. W całym rozwoju sztuki, w słowach i czynach bohaterów, nie dostrzeżesz nic, coby zbaczało z wytkniętego gościńca. Zdaje się, że prawda życiowa, rozwijając się przed oczyma widzów, mówi tu sama za siebie: burzę dotychczasowe pojęcia, ściskam serca, jestem grozą, ale niemniej jestem prawdą. Ztąd potężne wrażenie, jakie to niepospolite dzieło sprawia na umysłach widzów. Wrażenie jednak jest posępne, prawie rozpaczliwe. Autor zmusza cię, żebyś spojrział w otchłań, którą starannie omijałeś, by sobie nie zatruwać we dnie jawy, a w nocy snów. Spoglądasz i widzisz ciemności, w których nie oświeca cię nawet prawda, bo i ona jest ciemną. Myśli te przychodziły ci nieraz w życiu do głowy, ale odwracałeś się od nich, jak od gościńców, o których wiesz, że wiedą na manowce. Zresztą przychodziły ci w formie abstraktów, autor stawia ci je przed oczyma, w formie kon-kretów, w wypadkach bijących życiem, w faktach, w których czujesz gorączkowe uderzenia pulsów ludzkich i głosy ludzkiej niedoli. Tu już nie możesz się cofnąć, spotykasz się więc oko w oko z niebezpieczeństwem i czujesz, jak drży ci przestrachem serce. I oto cel autora, jako artysty, dopięty. Jako artysta, autor chciał wywołać wrażenie, jako myśliciel poruszył kwestyę. Znajdujesz w nim i jednego i drugiego, a myśliciel więcej może, niż artystę. Wydaje się tak, zwłaszcza w czytaniu, gdy słowa, nie poparte giestem i intonacją głosu, rażą częstokroć zbyt wyrafinowaniem i subtelnością, a zawilość psychologicznego zagadnienia przesłania akcyę.

W listopadzie roku 1875, właśnie w czasie bytności Sienkiewicza we Lwowie, odbyło się w Teatrze Rozmaitości pierwsze przedstawienie dramatu Świętochowskiego. Odtąd sztuka nie schodziła z afisza, grano ją ciągle, a nawiasem mówiąc, grano wybornie. Jednocześnie w prasie szalała burza: jedni dowodzili, że dramat ten jest arcydziełem, drudzy nazywali go zwykłą miernością. Po powrocie do Warszawy, Sienkiewicz nie omieszkiał pójść zaraz do teatru, by zobaczyć *Niewinnych*.

na scenie, wrażenie zaś, które odniósł tego wieczoru, wypadło na korzyść autora, uważał bowiem, że „sztuka ta nie musi być pospolitą miernością, skoro tyle zdołała wzbudzić rozpraw i gorących sporów za i przeciw“.

Pamiętam, że po przedstawieniu jej udałem się do jednego z naszych artystyczno-literackich salonów. Nie rozmawiano o niczem więcej, jak tylko o tej sztuce. Między zwolennikami jej tendencji, odznaczała się szczególnie pewna piękna i młoda dama, której następnie towarzyszyłem w drodze do domu. Wyszedłszy z towarzystwa była jeszcze pod wpływem i sztuki i rozpraw o niej. Rozmowa nasza snuła się dalej, na tejże samej kanwie, byłoto jednak zarazem jakby badanie się wzajemne dwu umysłów, które się nie znają, a poznać pragną. Jeśli dwie dusze zespolisz z sobą na długie lata, wówczas póty będą się do siebie naginać, aż znajdą pewną linię wspólną, dla swych charakterów, usposobień i wyobrażeń, po której dalej już pójdą ręka w rękę. Ale przy pierwszym zetknięciu się, nim w świecie jednakich myśli i pragnień nastąpi porozumienie, zawsze odbywa się pewna, jakby próba, podczas której, co jeden duch pochyli się ku drugiemu, to drugi cofa się znowu, jak trwożliwy ślimak w skorupę. Takim też próbowaniem i cofaniem się wzajemnem była początkowo nasza rozmowa, porozumienie jednak nadechodziło szybko. Towarzyszka moja co chwila stawiała się szerszą. Noc i cisza późnej godziny usposabiała ją do otwartości. Była to dusza przejasna, wrażliwa, na wskrós artystyczna, ale zmęczona trochę. W chwilach takich duchowego zmęczenia, pospolity filister wpada w apatyę, poczyną palić fajkę, kupuje sobie orzechów i gryzie je bezmyślnie, albo też obraca oczy naokoło siebie wielkie palce rąk, złożone na łożądku, mruczając i zrzedzając trochę na porządek tego świata. Ale dla istot uczuciowych i wrażliwych, a obdarzonych bujną wyobraźnią, stan zmęczenia duszy, jest stanem strasznego zwątpienia o wszystkim i bezdennej duchowej rozpacz, która im głębiej nurtuje, tem większym na zewnątrz pesymizmem się objawia. Towarzyszka moja, właśnie była w takim usposobieniu, które na nieszczeście nie wydawało się chwilowem tylko. Zaprzeczająca wolnej woli tendencya *Niewinnych*, pod wrażeniem której zostawała i z którą się zgodziła, nasunęła jej cały szereg myśli i konsekwencji, tak pesymistycznych, jakby całe życie chowała się na filozofii rozpacz Hartmana. „Niema więc wolnej woli, mówiła do mnie, jesteśmy tylko igraszką własnej krwi, własnego temperamentu i zewnętrznych warunków otoczenia. Straszna myśl, a jednak prawdziwa. Ale wobec tego, cały ten świat, tak piękny i rozumny, jest tylko zlewem ślepych sił, najgorzej zresztą połączonych. A człowiek, jest potępieńcem, z góry skazanym, żeby żył bez jednej chwili szczęścia, rozmotywował, cierpieć,

poplątane nitki życiowych zawikłań, i umierał bez nadziei świadomego odpoczynku w grobie. Nie zaprzeczaj pan, żeby mnie pocieszyć; mówiła dalej. Nadto rozumiem konsekwencye, z tej jednej zasady płynące: tłem życia ludzkiego jest rozpacz, a dogmat Kalwina o z góry potępionych, prawdziwy, byle tylko nie do połowy, ale do całej ludzkości go stosować. „Jednakże pani, są w życiu błogie chwile, trzeba tylko umieć pochwycić w lot, przelatującą wizję szczęścia“. „W życiu są tylko złudzenia, a na to by nie cierpieć, trzeba chyba nie myśleć“. „Więc według pani, ludzie proszą, którzy mniej myślą... „Cierpią tylko fizycznie, nie mniej jednak cierpią. Zmienia się tylko rodzaj cierpienia, ale nie stosunek jego do człowieka“. „Więc według pani... „Więc według mnie, odpowiedziała szybko, autor *Niewinnych* dotknął tylko jednej z całego szeregu prawd, dających się streścić w słowach, że wszystko jest jak najgorzej... „A czy pani ośmielisz się pójść o jeden wniosek wyżej?“ „O! gdybym miała choć cząstkę wszechmocy“, zawołała głosem, w którym drgały łzy, „rozkazałabym natychmiast całemu światu, żeby był szczęśliwym“. Tak rozmawiając, doszliśmy do bramy, przy której trzeba było nam się rozstać. Pociągnąłem za dzwonek, ale zamiast ociężałego echodu stróża, inne jakieś odgłosy doszły nas z ulicy. Mimowoli dreszcz jakiś przeszedł nas oboje. W odgłosach tych było coś przerażającego, coś, od czego włosy powstawały na głowie. Było to jakby echo odległych miarowych kroków, w połączeniu z głuchym i zimnem szczykaniem żelaza. Wkrótce, w pomroku ulicy poczęły błyskać mdłe światła dwu latarek i rysować się czarne sylwetki postaci ludzkich. Złowróżbny ten korowód zbliżał się coraz bardziej i wreszcie sunął niby wąż obok nas. Był to konwój więźniów-zbrodniarzy, prowadzony przez kilkunastu żołnierzy, a dźwięki, które słyszeliśmy zdaleka, pochodziły z uderzeń o siebie łańcuchów. Wśród cisy nocnej, te ponure światła latarni, odgłos kroków, brzęczenie łańcuchów, ów pół-mrok, pół-światło, w którym z Dantejską posępnością zarysowały się postaci ludzkie, podobne do czarnych mar piekielnych, wszystko to ścisnęło serce lodem i przejmowało drżeniem; jakiś dziwny niepokój zdawał się panować w całej naturze. Powietrze było ciężkie i przesycone wilgocią; po niebie przelatywały z niepojętą szybkością drobne, białawe chmurki, które, to przysłaniając, to odsłaniając tarczę księżyca, rzucały co chwila posępne cienie. Zdała dochodziło bicie wieżowego zegaru. Gdy ostatni szereg przesunął się już koło nas, spojrzałem na moją towarzyszkę. Księżyc oświecał jasnym światłem grecki jej profil, a oczy były zalane łzami. „Oto ilustracya do słów moich“ wyszeptwała. A po chwili rzuciła jeszcze jeden wyraz: „Niewinni!“ Pożegnałem ją i oddaliłem się zwolna, ale w duszy pozostało mi na długo niezatarte niezem wrażenie. Zaiste, kto byli ci ludzie, których prowadzono wśród nocy, i jakich rodziców przyszły na świat te dzieci błędu, łez i nędzy, ci straceńcy życia. Czy składał kto za dzie-

cinnych dni maleńkie ich dłonie do wieczornego „Ojcie nasz“, czy choć jedna łza miłości stoczyła się z macierzyńskich powiek na ich czoła, czy mieli choć jedną chwilę jasną w życiu?

.....
Wszystko zrozumieć, jestto wszystko przebaczyć. Oto już jeden powód, dla którego podzieliłem się z wami wrażeniem, ale jest i inny. Towarzyszkę, o której wam pisałem, spotkałem potem raz jeszcze. Mówiliśmy o wrażliwości artystycznej. „Wrażliwe dusze artystyczne, mówiła do mnie, są jakby konchy perłowe, gdy wpadnie w nie ziarnko piasku, oddają je w postaci perły światu“. Owóż w czasie tej nocy i na widok tych nieszczęśliwych, na duszę upadło mi ziarnko piasku, więc je oddaję wam jak umiem, czytelnicy. Trzecim nakoniec powodem, jest kilka słów dobrej rady, jakich zamierzam wam udzielić. Że w życiu ludzkim często pod uśmiechem, łza bólu się kryje, jak wąż pod kwieciami, że więcej jest dni posępnych, niż wesołych, że wiele jest nędzy i ciernistej niedoli, że wreszcie lata, w których wierzy się w możliwość zdobycia osobistego szczęścia, szybko przechodzącą, są to prawdy, z którymi walczyć nie myślę.

Ale jest sposób, by życie, mimo wszystkiego, znośnem a nawet powabnem się stało. Sposób to bardzo prosty: kochać ogół, pracować dla niego, kochać wielkie idee, literaturę, sztukę... i ani się człek opatrzy, jak nadejdą wieczorne dni żywota, i spracowana głowa sama do snu i wypoczynku się skłoni. Co widzę: skończyłem coś jakby kazaniem, a wyście może śmiechu chcieli. Wybaczcie.

Aż do połowy października ukazywały się te Sienkiewiczowskie feljetony w *Gazecie polskiej* bez żadnego podpisu. Wtajemniczeni wiedzieli wprawdzie, kto jest ich autorem, ale czytający ogół, a zwłaszcza ci, którym raz po raz dostawało się w tych odcinkach, coraz natarczywiej upominali się o to, by autor odsłonił przyłbicę, by powiedział wszystkim i każdemu z osobna: co zacz jest! Dawalo to Sienkiewiczowi możliwość obrania sobie jakiegoś stałego *nom de guerre* czyli pseudonimu, (bo o podpisywaniu się imieniem i nazwiskiem nie myślał jeszcze) i dlatego kronikę swą z dnia 15 października 1875 roku zakończył następującem oświadczeniem.

Teraz już skończyłem. Pozwólcie tylko, że powiem jeszcze parę słów *pro domo sua*. Trafia się czasem, że po wyjściu mego odcinka, zwłaszcza, jeżeli mi się zdarzy kogo zbyt pochwalić, zgłaszają się do redakcyi rozmaite osoby, niestety prawie zawsze rodzaju męskiego, i wypytują się z nader zresztą podejrzaną troskliwością, kto pisuje tę ru-

brykę. Owóż pragnę zadowolnić ciekawość tych osób. Pójdę utartym śladem Trębeckiego, który przyparty raz przez zbyt ciekawych, a nawet prześladowany przez rozmaite pisma, zarzucające mu, na swój sposób, nieuwzględnianie treści i prawdy, odpowiedział: „Żadnych groźb się nie boję, ani dbam o łaski. Chrześne imię me: Józef, rodowe: Biela(w)ski“. Ja pisywałem jeszcze, lubo z pewnemi przerwami: *Bez tytułu*, teraz *Chwilę obecną* prowadzę już pono drugi rok, nazywam się zaś: *Litwos*.

Tymczasem okoliczności ułożyły się w ten sposób, że jako Litwos, napisał zaledwie kilka jeszcze feljetonów o *Chwili obecnej*. Ostatni ukazał się w końcu grudnia.

Co było tego powodem? Oto myśl Sienkiewicza w innym poszybowała kierunku: twórca i poeta zaczął w nim stanowczo brać górę nad dziennikarzem i publicystą. Już w listopadzie, w Nr. 258 *Gazety polskiej* ukazał się w odcinku, podpisany przez Litwosa, *Stary sługa*, jako pierwszy obrazek *Z natury i z życia*, a nowella ta wzbudziła taki ogólny zachwyt, że zaczęto się domagać jej dalszego ciągu, zaś jednym z tych, co Sienkiewicza najbardziej namawiali do skreślenia dalszych losów Hani, był sam redaktor *Gazety polskiej*, Edward Leo.

Ulegając tym namowom, przystąpił Sienkiewicz do pisania *Hani*. Początek jej ukazał się już w Nrze 2 *Gazety polskiej*, z d. 4 stycznia 1876 r., jako drugi obraz *Z natury i z życia*, i odtąd wychodziła ta historia Hani, pisana przez autora kawałkami z feljetonu na feljeton, przez cały styczeń, aż do dnia 9 lutego, w którym to dniu, w Nrze 30, wyszło jej dokończenie.

W kilka dni później, w Nrze *Gazety polskiej* z d. 19 lutego znalazła się w *Kronice miejscowej* następująca wiadomość:

Pan Henryk Sienkiewicz, utalentowany nasz współpracownik, znany pod pseudonimem Litwosa, wyjeżdża dziś do Ameryki, skąd będzie nam nadsyłał korespondencje ze wszystkich ciekawych okolic Stanów Zjednoczonych, a następnie z Wystawy Filadelfijskiej.

A *Chwila obecna*? W pisaniu jej miał przez ten czas wyręczać Sienkiewicza jeden z jego kolegów po piórze. Pierwszy z tej nowej seryi feljetonów, również pod dawnym tytułem *Chwila obecna*, ukazał dnia 11 marca, a autor jego, podpi-

sany literą *r*, zaczął od wytłomaczenia czytelnikom, dlaczego *Chwila obecna* przestała się ukazywać w odcinku *Gazety* przez cały czas karnawału „od chwili pojawienia się pączków“.

Wypada przeto wtajemniczyć was w zakulisowe pobudki milczenia. Nie było *Chwili obecnej* poprostu dlatego, że Litwos, troszcząc się o losy powabnej Hani, tak się przejął poważnemi obowiązkami, jakie opieka nad ładną dziewczyną nań wkładała, iż w zupełności zaniedbał obserwować wszelkie objawy życia Warszawskiego, i pomimo prośby, nalegania i wyrzuty, tylko o tem myślał, w jaki sposób niebezpiecznego Selima podkopać. Nakoniec wykurzył go jałowcem. Nadzieja wstąpiła w serca nasze: jużśmy sądzili, że znów zabłyśnie wesoła jakaś *Chwila obecna*. Gdzietam! Załatwiwszy się z Selimem, Litwos zamarzył o Ameryce. Przedstawienia, ostrzeżenia, zaklinania, wszystko to nie pomogło! Roztoczyliśmy przed nim obraz spienionych fal Atlantyku, wysadzonych w powietrze dynamitem statków, strasznych dolegliwości choroby morskiej, upokarzającej śmierci w wnętrznościach żarłocznego rekina. Wszystko to naopróżno! Litwos odpowiadał: „Jeżeli jest druga półkula, to ją poznać muszę; na jednej półkuli poprzestać nie mogę. Puśćcie mnie więc; ja się muszę przekonać, że Horain nie jest mytem, a wystawa filadelfijska tylko błagą, wymyśloną dla usprawiedliwienia racji bytu rozmaitych konsulów amerykańskich, po starej Europie rozsianych. Ja chcę i pragnę poznać ojczyznę kaloszy amerykańskich, których krocie grzęzną w błocie warszawskiem i ciąglým są przedmiotem wymiany mimowolnej“. Wobec takiej argumentacji nasza ustała... Wyjeżdżając do Ameryki, Litwos rzekł do mnie: „Słuchaj, opuszczam Warszawę, ale wrócę, i pragnę, żeby czytelnicy powrotu mego z niecierpliwością oczekiwali, pragnę, by żałowali mego odjazdu. Jeden jest na to sposób. Zastąp mnie w *Chwili obecnej*, a przekonany jestem, że każdy, czytając cię, westchnie i pomyśli: Szkoda, że Litwos wyjechał. Ach, kiedyż wróci!“ Życie moje było i jest pasmem poświęceń: i tym razem przeto poświęciłem się i przyjąłem ciężkie i przykre zastępstwo w *Chwili obecnej*.

Tymczasem Sienkiewicz przepłynął szczęśliwie Atlantycką, a niebawem, poczynawszy od Nru 102, zaczęły w odcinku *Gazety polskiej* wychodzić *Listy Litwosa z podróży*, w których zdawał sprawę z doznawanych w Ameryce wrażeń.

II.

ŻYCIE I OBYCZAJE WARSZAWY

W FEJLETONACH LITERACKICH SIENKIEWICZA.

(Gazeta Polska 1873 — 1875).

Jakkolwiek urodzony na wsi, z rodziców ziemian, mimo to może być Sienkiewicz śmiało nazwanym dzieckiem Warszawy. Z wyjątkiem lat dziecięcych, które mu upłynęły w Grabowcach i Wężyczynie, całe swoje lata pacholące a potem całą pierwszą młodość spędził w Warszawie. Tutaj chodził do szkół, tutaj otrzymał wyższe wykształcenie uniwersyteckie, tutaj stawiał swe pierwsze kroki na literackiej arenie, tutaj najpierw dobił się sławy, tutaj się kochał, tutaj się ożenił, tutaj przez całe życie miał swoje stałe zamieszkanie, tutaj czuje się u siebie w domu. Warszawę też, jako swoje miasto rodzinne, najbardziej lubi ze wszystkich miast polskich. Znajdą ją nawskróś, zarówno jej przymioty, jak i wady, żywi ku niej prawdziwie synowskie przywiązanie, czego niejednokrotnie złożył wymowne dowody w swoich pismach, poczynawszy od *Hani*, a skończywszy na *Bez dogmatu* i *Rodzinie Połanieckich*. „Zawsze lubiłem Warszawę, czytamy w jednym z jego feljetonów w *Gazecie polskiej*: mimo naszych bruków, mimo latarni i omnibusów, mimo sił wokalnych naszej opery, mimo brzydkich kobiet, mimo starej i młodej prasy, mimo pseudo-pozytywistów i pseudo idealistów, mimo amatorów-prelegentów i amatorów-koncertantów, mimo utworów niektórych naszych autorek, mimo broszurek w sprawie emancypacji kobiet, mimo dowcipów niektórych naszych humorystów, słowem, mimo tego wszystkiego, co jest u nas najrozpaczliwsze, nigdy nie żałowałem, że się tu wychowałem i że się tu kołaczę“... Tem umiłowaniem Warszawy przesiąknięte są wszystkie feljetony literackie Sienkie-

wieża, które w ciągu lat 1873 i 1875 pisywał w *Gazecie polskiej*, a że feljetony te równały się kronice życia warszawskiego, więc nie brak w nich całego szeregu scen i obrazków, świetnie zaobserwowanych i opisanych, które, jako szkice z natury, nie tylko są znakomitami przyczynkami do charakterystyki Warszawy i jej mieszkańców, ale, jako kreślone ręką urodzonego artysty i poety, do dziś dnia nie straciły nic ze swej artystycznej wartości, pomimo, że są odbiciem wrażeń z przed lat 25 przeszło. Okoliczność ta, czyniąc je obecnie do pewnego stopnia dokumentami historycznymi, bo jednak wiele się w ciągu tej ćwierci wieku w Warszawie zmieniło, dodaje im w oczach dzisiejszego czytelnika szczególnego uroku i czyni tembardziej zajmującemi, pozwala nam bowiem widzieć Warszawę taką, jaką ją pamiętamy wszyscy, a jaką już dziś nie jest.

Z obrazków tych, rozproszonych w feljetonach dwóch roczników *Gazety polskiej*, da się, niby z pojedynczych różnobarwnych kamyków, ułożyć rodzaj mozaiki, która to mozaika utworzy wcale dokładny obraz życia i obyczajów Warszawy w pewnej określonej epoce.

Przedewszystkiem różniła się ówczesna Warszawa, od dzisiejszej pod względem zewnętrznego wyglądu: kiedy dziś, jako gród blisko siedmkośćtysięczny, dorównywa pod wieloma względami innym wielkim miastom europejskim, mogąc się pochlubić i kanalizacją, i dobrymi brukami, i nienajgorzem oświetleniem, i czteropiętrowymi domami mieszkalnemi, i ładnymi tramwajami, i nienajgorszym porządkiem na ulicach, zamiatanych w zimie, a polewanych w lecie, to wówczas, w roku 1873, gdy liczyła sobie tylko trzykośćtysięcy mieszkańców, wszystkiego tego o niej powiedzieć nie było można żadną miarą: kanalizacja była zuchwałem marzeniem, o drewnianych brukach, nawet się nie śniło nikomu, oświetlenie nie wytrzymywało najpobłażliwszej krytyki, tanią komunikację stanowiły przedpotopowe t. zw. „żydowskie omnibusy“, a całe miasto brudne i pełne różnych wyziewów, słynęło latem z kurzu, zimą z błota.

Co do bruków, chodników i t. p., pisał Sienkiewicz w je-

dnym ze swych feljetonów w *Gazecie polskiej*, ulice nasze podobne są do rodzonych siostr a córek niezbyt zamożnej rodziny. Z czego wyrośnie starsza, to dodziera młodsza. Gdy wyjmą bruki lub wyłamią chodnik na której z głównych ulic, niezawodnie położą go na mniej głównej; potem, gdy i ta wzrośnie, dostaje znowu strój lepszy, a dawny idzie dla jeszcze podrzędniejszej... Gdyby na złe bruki i latarnie naznaczono konkurs, dostalibyśmy pierwszą nagrodę niezawodnie. Latem, gdy po tych brukach ciągną jeszcze tumany kurzu, zasypujące usta i oczy, gdy ścieki nasze, pozbawione wody, poczną ronić woń zabijającą, gdy owa woń w połączeniu z kurzem, dymami etc. zawisnie ciężką ołowianą atmosferą nad miastem, wówczas słusznie powiedzieć można, że Warszawa, którą ze względu na piękność jej mieszkanek, nazywają rajem dla oczu, ze względu zaś na ilość katarynek i utalentowanych fortepianowo panien, czyścem dla uszu, że ta Warszawa jest piekłem dla każdego nosa, który się w niej nie urodził, w niej nie żył, nie zakatarzał i nie wychował“.

Mimo to wszystko Warszawa podoba się cudzoziemcom, choć niejeden z nich, „siadłszy w dorożkę na dworcu wiedeńskim i jadąc ulicą Marszałkowską, na widok jej wybojów, dołów, wzgórz, wąwozów i t. p. gotów sądzić, że kamienie te ułożone zostały w ten sposób, żeby pewną część miasta uczynić nieprzystępną, a przez to zabezpieczyć ją przeciw jakim nagłym a niespodziewanym napadom nieprzyjacielskim“. A jednak cudzoziemcy chwalą Warszawę. Sprawia to może piękność Warszawianek, że na wszystko patrzą przez optymistyczny pryzmat, ale faktem jest, że niejedno, co nas razi, dla nich ma właśnie szczególny urok. „Koło pałaców, stoją na pryncypalnych ulicach nawpół rozwalające się chałupy: to rozmaitość miła dla oka. W nocy ciemno, to romantyczne; w dzień brudno, to oryginalne. Ha! widocznie mamy szczęście!“

Bądź co bądź i w Warszawie nie brak rzeczy naprawdę pięknych. Do takich należą przedewszystkiem Łazienki z przyległym Ogrodem Botanicznym. Oto, jak go raz opisał w feljetonie *Gazety polskiej* Sienkiewicz:

Nie masz tu kurzu, nie słychać zgiełku miejskiego, ogony damskie nie szeleszczą całemi setkami po żwirze, dym z papierosów nie gryzie w oczy (jak w Ogrodzie Saskim); cisza tu większa, powietrze czystsze, zdrowsze, spokojniej jakoś, a lubo ozdobnie, bardziej przecież po wiejsku. Wiezorami, gdy cicha, ciepła noc letnia spada na ziemię, a księżyc, schodząc z jednych alei, wchodzi na drugie, gdy kwiaty i drzewa ronią woń silną, znajdziesz tu wypoczynek i ciszę dla strudzonych turkotem miejskim uszu i odetchnienie dla piersi, i naturę wdzięczną, i trochę poezyi (jeśli jej jeszcze pragniesz), i trochę marzeń (jeżeli marzyć jeszcze chcesz i umiesz). Wówczas to wśród ciszy usłyszysz plusk fali lub szelest fontanny w pobliskich Łazienkach; czasem przesunie się przed tobą jaka spóźniona, rozkochana para, wiodąc rozmowę wpół przyciszoną, wpół tajemniczą, a do ogólnego nastroju sposobną; a czasem słowik zaświszcze, zaklaska, zapłacze, rozsypie niby szklanne paciorki po rosie; za nim drugi, trzeci, dziesiąty, i oto śpiewa cały taki chór, o jakim poeta mówi: „że kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą, myślisz, że w niebo ulatujesz z chatą“. Nie wiem, co myślisz, ale wiem, że lżej staje ci się na sercu i duszy. Czujesz się młodszym i lepszym. Jeżeli wypadkiem należysz do *ésprits forts*, to w takich chwilach jakieś mgliste, wpół zapomniane, ale słodkie słowa pacierza płaczą ci się po sercu i głowie. Na myśl przychodzą ci lata dziecinne, dziecięca prostota i dom rodzinny, i cała miniona już a umiłowana na dnie duszy przeszłość staje ci, jakby żywa, przed oczyma. Jeszcze o jeden ton wyżej nastrój serce, jeszcze jedno więcej wspomnienie, jedna łza, a jak za dawnych lat wyciągniesz, niby dziecko, ufne ramiona i poczniesz: Ojciec nasz... Ale oto nagle wśród ciszy nocnej gdzieś na pobliskiej wieży poczyną bić zegar. Bije wolno, raz, dwa... Słuchasz: uderzenia dochodzą cię wyraźnie i dźwięczą długo w czystej atmosferze. Godzina późna i bardzo późna. Czas rozstać się z marzeniami, czas wracać do miasta. Ha! wróćmy. Ty czytelniku musisz, i ja muszę. Otóż i miasto. Latarnie palą się mdło; księżyc posrebrza dachy; domy kładą długie cienie. Tak, tak! Otóż i miasto z jego zgiełkiem, turkotem i gorączkowym ruchem, z tłumami ludu na chodnikach i błyszczącymi wystawami sklepów. Żal ci twej ciemnej, powietrznej i czystej samotni. Żal i mnie, a tak mi trudno wracać do miasta, tak trudno mówić znów o niem...

Swoją drogą to, co o niem mówił przez dwa lata w *Gazecie polskiej*, zawsze było pełne, jeżeli nie poezyi, to przynajmniej humoru, bo humor miał zawsze na każde zawołanie. Oto np. w jaki sposób opisał drugi a najpopularniejszy z warszawskich ogrodów, mianowicie Ogród Saski, „ów modny chaos kurzu, sukien kobiecych, wrzekomo paryzkiego żargonu, tiur-

niur, parasolek, binokli, papierosowego dymu, nóżek niewieścich i rękawiczek, na koniec kobiet i mężczyzn⁴. Można by tu dodać jeszcze: nianiek, mamek, dzieci, pieluch, wózków, etc.

To wszystko, widzisz, nasza rozrywka, a zarazem, jeżeli chcesz, nasza wystawa, wielki *magasin des modes*, wystawa ubrań, domowych zasobów pieniężnych, i na koniec konkurs na wdzięki. Oto po ławkach siedzi złota młodzież, biegli sędziowie, a włożywszy na nos binokle, poważni, przejęci wielkością zadania, studyują starannie piękności. Wybór niełatwy! Ach! w żłoby im dano nie tylko owies i siano! A jednak trzeba wybrać, trzeba dać premium. Oto zbliża się jakaś postać niewieścia. Błyszczące szkielek zwracają się ku niej, i nagle cichy, arystokratycznie grassejowany wyraz: *charmante! charmante!* przelata z ust do ust, niby po drucie telegraficznym. Opinia ustalona: uznana nowa piękność, konkurs zamknięty. Lecz ty masz dosyć i tego: chaos cię odurzył. Więc idźmy dalej. Oto na prawo, boczną ulicą, wije się sznurek pensyonarek: niby gąski drepcą jedna za drugą, zwracając na środkową ulicę ciekawe spojrzenia. „Chciałaby dusza do raju, ale grzechy nie puszczają!“ A jeśli nie grzechy, to przełożona. Dalej znów emeryci, pod mającym zjawić się wraz z liśćmi cieniem drzew, weterani t. j. *wytyrani* życiem, siedzą cicho na ogrodowych ławkach, gwarząc o czem się zdarzy, a cichą pogawędkę przerwie chyba żwawa sprzeczka polityczna. Pan radca utrzymuje, że pokój jest wielkiem dobrodziejstwem, a pocziwiec oddałby nawet ulubionego azorka, i żółtą chustkę fularową, i co ma, byle tylko była wojna. Pan naczelnik drażni pobożnego pana sędziego, utrzymując, iż wszystkiemu złemu na świecie winni jezuici... Zabierało się na coś gorącego ze strony pana sędziego, ale dalszą rozmowę stłumiły wesołe okrzyki dzieci, biegających za piłką lub obręczami. Staruszkowie umilkli, goniąc rozmiłowanemi oczyma te prawdziwe motyle ludzkiej wiosny życia, ubrane podług ostatniej mody. Środkiem alei biegnie ze wszystkich sił 10-letnia może dziewczynka; nóżki zdają się ziemi nie tykać, wstążki furkają koło głowy, a za nią gonią jeszcze potoki złotych włosów. Prawdziwy to motyl: tu ją trzymasz, tu jej nie masz; zakręci się ze szczybiotem i dzwiecznym, jak srebrny dzwonek, śmiechem błysnie raz jeszcze i lada chwila zniknie... Tu stary radca schylił się po piłkę, która zatrzymała się u nóg jego, a podniósłszy ją, podawał zawstydzonej dziewczynce. Ile tylko starość może mieć słodyczy i tkliwości, tyle teraz zbiegło się ich w jego uśmiechu...

Skoro mowa o Saskim Ogrodzie, mimowoli przychodzą na myśl loterye fantowe, które się w nim corocznie odbywają, a raczej, które się w nim odbywały przed laty, bo dziś wy-

szły już z mody i tylko *Pogotowie ratunkowe* wznawia każdej jesieni ich tradycje. W latach jednak, gdy Sienkiewicz pisywał swoje beztytułowe feljetony w *Gazecie polskiej*, loterye fantowe w Ogrodzie Saskim na dochód Towarzystwa Dobroczynności i ubogich wszystkich wyznań, należały do ulubionych rozrywek Warszawy. Mimo to ogólne upodobanie, Sienkiewicz był ich przeciwnikiem, przedewszystkiem dlatego, że mu było żal Saskiego Ogrodu. Bo na cóż zdało się jego porządkowanie i przyozdabianie, kiedy „przyjdzie jedna fantowa loterya, a po-depcą trawniki, pozrywają kwiaty, pooblamują liście i gałęzie, zatrują drzewa wyziewami prochu, dymem, kurzem, i będzie po wszystkim: zostaną tylko szpetne budy“. A jednak zdawałoby się, że, jako feljetonista, powinien był należeć do zwolenników wszelkich loteryi i zabaw tego rodzaju, gdyż, jak to sam utrzymywał, w jednym ze swych feljetonów, „loterya fantowa, zwłaszcza pokropiona deszczem, to prawdziwe żniwo dla feljetonisty“.

Wówczas to ujrzysz go przybranego starannie i ożywionego, jak biega, dowiaduje się o wszystkim, jak wszędzie zagląda pod namioty; studyje ubiory dam, przypatruje się głównym fantom, a wreszcie, siadłszy pod wystawą u Lessla, raz po raz zwraca na siebie uwagę obecnych donośnym głosem: „Panowie, na miłość boską, powiedzcie mi, kto wygrał krowę?“ Obok niego kipi życie, przechodzą literaci, kupcy, ojeowie rodzin z żonami i dziećmi, młodź żeńska o idealnych posagach i młodzież męzka o pozytywnych wymaganiach co do posagów; ale on nie widzi nikogo i w miarę, jak gwar się zwiększa, woła coraz donośniej: „Pytam raz jeszcze, kto wygrał krowę?“ Krowa, jeżeli krowa jest głównym fantem, interesuje go, jako sprawozdawcę tak mocno, że swą rogatą figurą zasłania mu świat cały i wszystko, co się na ziemi dzieje.

Ale nie tylko dla feljetonistów loterye fantowe bywały żniwem. Na samą myśl o loteryi, z góry cieszą się już zawsze młodzieńcy i młode panny, krawcy i modniarki, cieszy się dobroczynność, cieszą i ubodzy; smucą się tylko ogrodnicy Saskiego Ogrodu, na których potem czeka podwójna praca: „smucą się drzewa, które tracą liście i niszczejają od sadzy lamp, zawieszonych na gałęziach; smuci się nareszcie i ptac-

two, które wystraszy zgiełk, gwar, tłumy ludzi, fajerwerki, ognie bengalskie i orkiestry“.

Istotnie, ogród Saski po każdej loteryi wygląda jak gdyby po napadzie Tatarów. Co za smutny widok przedstawiają nazajutrz owe zakurzone i opadłe płótna, strzępy kolorowych papierów, podeptane, walające się w kurzu liście, resztki niedopalonych cygar i papierosów! Wówczas to pactwo milknie, atmosfera jest duszna i zakopcona dymem, a cały ogród wygląda jak gdyby nazajutrz po orgii. Szkoda ogrodu. Ponoś on pono największe ofiary dla ubogich, bo my przynajmniej bawimy się, chcemy wmówić w siebie, że się bawimy. Jest to nudna rozrywka, ale zawsze rozrywka.

Przed każdą fantową loteryą odbywają się posiedzenia komitetu, małe sesyjki, na których obmyśla się ogólny plan zabawy, choć właściwie, jeżeli chodzi o plan zabawy, to zdaniem Sienkiewicza, nie bardzo jest się nad czem namyslać. Nie nad to prostszego!

Ustawia się kilkanaście namiotów i sklepów, sprowadza się za pomocą afiszów wielki tłum ludzi, pozwala mu się *à discretion* napawać wonią starego łoju, płonącego w illuminacyjnych lampach, deptać również *à discretion* trawniki, kupować mnóstwo zwiniętych kartek, rozwijać je z ciekawością i przedłużać miny na dwa łokcie, na widok, że są puste. Do namiotów zaprasza się przytem piękne damy, ozdabia się kolorowemi wstążeczkami butonierki kilkunastu młodziutkich galopantów, którzy podczas trwania uroczystości sądzą, że równowaga europejska spoczywa na ich barkach, a wieńce miłosierdzia i obywatelskiej zasługi nad ich głowami, ot i wszystko! Po co sobie głowy łamać, dość wypełnić powyższy program.

Jedną z takich loteryi fantowych w Ogrodzie Saskim opisał Sienkiewicz w feljetonie *Gazety polskiej* z d. 30 czerwca 1873 roku:

Już od rana chmurno było jakoś i posepnie, a zaraz po południu spadł pierwszy krótki, a rześisty deszcz, niby pierwsze ostrzeżenie, po którym wkrótce nastąpiło i drugie. Pomimo tego zabawa rozpoczęła się. Tłumy zgromadziły się w głównych alejach i około namiotów. Oglądano się wzajemnie i kupowano bilety. Zwykle przy losowaniu ożywienie poczęło ogarniać grających. Namietność szczególniej budził powóz i dwie krowy. Los kaprysił, jak zwykle, obdarzając małe dziewczynki papierosami, dandysów pończochami damskimi, wojskowych lalkami i t. p. Cza-

sami jednak kaprysy owe wyglądały, jakby na umyślną złośliwość. Mówiono np. o pewnym złotym młodzieńcu, znanym rozrzutniku, który wygrał skarbonkę; o literacie-idealście, który wygrał swoje własne dzieło, i widziano, jak krzywił się sam, nie wiedząc, co z tym fantem zrobić. Najwięcej było oczywiście takich, co nie nie wygrali; najwięcej jednak ze wszystkich wygrał ten, co wcześniej poszedł do domu, albowiem nie zmókł do ostatniej nitki. Wystawmy sobie przerażenie i popłoch, jakie ogarnęły tłumy, gdy nagle okrzyk: deszcz! przeleciał niby po drucie telegraficznym wszystkie usta. Rzeczywiście deszcz lunął jak z cebra. Rozległy się wołania o parasole i okrzyki rozpacz; mężowie spieszyli na ratunek swych żon, których niepodobna było odnaleźć. Opustoszały wszystkie ławki, a na numerowanych miejscach, które kosztowały rubla, nikt by i za dziesięć groszy usiąść nie chciał. Wszystko spieszyło pod estrady, namioty, do Semadeniego, lub pod drzewa, pod które natłoczone gromady ludzi, przypominały gromady owiec. Tymczasem deszcz mył głowy wszystkim, bez różnicy stanowiska, płci, wieku, wyznania; widziano znakomitości literackie, uciekające i poślizgujące się na głównej alei, na równi z najpospolitszymi śmiertelnikami; słyszano feljetonistów, przeklinających trudne obowiązki swego powołania. Woda ściekała po parasolach za kołnierze, napęniała kieszenie. Co stało się z tualetami damskimi, z sukniami i kapeluszeniami, łatwo odgadnąć.

Do osobliwości Saskiego ogrodu, takich, jak brzydkie barokowe posągi różnych *Matematyk*, *Astronomii* etc. jak wodotrysk, kompas, altana z wodą sodową, teatr letni, oranżerya, cukiernia i ogródek wód mineralnych, należy także mleczarnia, dziś zdystansowana przez słynną *Nadświdrzańską*, ale w roku 1873 stanowczo pierwsza i najpopularniejsza w Warszawie. Mleczarni tej, oraz kilku innym, z nią współzawodniczącym, poświęcił raz Sienkiewicz dłuższy ustęp w jednej ze swych kronik *Bez tytułu*.

A tu mój czytelniku zawiodę cię do naszych mleczarni. Jeżeli w dzień zgrzałeś się, zapociłeś, zakurzyłeś i zmęczyłeś, chętnie wieczorem podążasz pod chłodne dachy płócienne, gdzie wiatr potrząsa liściem drzew, gdzie czuć zapach razowego chleba i serwatki, gdzie kwaśne mleko, ukryte pod cienkim płaszczykiem śmietany, przejmuje chłodem atmosferę, i gdzie wesołe nimfy, roznosząc nabiał, wśród śmiechu i gwaru uprzyjemniają ci chwile. Mleczarnie są zarazem i szkołą dla młodzieży, która, ukończywszy dzienne studia w budkach z wodą sodową, spieszy tu wieczorami, uczyć się towarzyskiego szyku i galanterii dla płci niewieściej. Wówczas to będziesz podziwiał z jednej strony zapas dowiepu

i humoru naszych złotych i pozłacanych młodzieńców, z drugiej zręczność posługujących nimf, które nawoływane ze wszystkich stron, zatrzymywane, ciągnięte za wszystkie części ubrania, umieją jednak wywikłać się z owego labiryntu rąk, nóg i nawoływań, umieją odpowiedzieć na każdy dowcip, na każde słówko, oddać uśmiechem za uśmiech, i nadewszystko nie rozlać ani kropelki mleka... Ustronniejsze, mniej zwiedzane, a więcej zacienione mleczarnie, służą nawet czasami za przytułki dla pełnoletnich... par zakochanych. Wówczas to uroczyste zaklęcia miłosne i szmer pocałunków mieszają się z brzękiem kufłów. Znamy taką jedną mleczarnię, do której nie radzilibyśmy żadnej matce prowadzić małych lub półdorosłych córek, albowiem przesiadujące tam pary wyrażają wzajemne afekta z taką precyzją i energią, że mimowoli mogą zaznajomić z *ars amandi* takie nawet istotki, które o tych wspaniałych uczuciach nie miały dotąd najmniejszego pojęcia.

Innego rodzaju niebezpieczeństwo zagraża młodym dzieciom przy zbiegu niektórych ulic Warszawy, jakkolwiek niebezpieczeństwa tego łatwiej mogą uniknąć młode i zwinne panienki, aniżeli ich poważne i otyłe mamusie.

Gdyby jaka nowożytna Marta chciała, jak owa w balladzie Szyl-lera, wystawić, u nas w Warszawie, na próbę mężstwo swego Emroda, nie potrzebowałaby wcale rzucać rękawiczki „między tygrysy i między dwa lamparty“, ale np. na rogu Bielańskiej, Senatorskiej i Teatralnego placu. Próba skończyła by się zapewne tak jak w balladzie, z tą jednak różnicą, że w balladzie Emrod więcej nie wrócił do Marty, bo nie chciał, a nasz napewno by nie mógł. Łatwo się bowiem domysleć, że nasi doróżkarze załatwiliby się z jego kośćmi prędzej i lepiej, niżby to mogły potrafić tygrysy i dwa lamparty. Ależ jeżdżą, bo jeżdżą! Już to wszystkie skrety ulic są dla przechodzących prawdziwym Rubikonem, na którego przejście niełatwo i niezbyt bezpiecznie się ryzykować, ale wspomniany róg Bielańskiej i Senatorskiej przechodzi wszystko, o czem można zamarzyć. Dla mieszkańców Warszawy jest to prawdziwa szkoła gimnastyki, w której nauczycielami są nasi woźnice. Choćbyś, czytelniku, był najmniej zręcznym, mimowoli nauczysz się rozmaitych wyginań, łamańców i skoków. Trudno bo ci i nie skoczyć, kiedy nagle np. uczujesz gorący oddech koni za kołnierzem, a dyszel blisko ronda twego kapelusza. Sam potem nieraz zdziwisz się własnej zręczności, bo gdyby tobie, człowiekowi spokojnemu, kazano umyślnie wykonywać podobne sztuki, pewnie-bys wolał nawet... (co by tu strasznego wymyślić?) nawet przeczytać wszystkie poezye naszych młodych poetów, nawet tłóczyć się przed okienkiem pana kasyera przed przedstawieniem pierwszy raz granej sztuki, nawet mieć interes z urzędnikami niektórych ubezpieczeń od

ognia.. niż ważyć się z własnej ochoty na tego rodzaju *salto mortale*. A jednak, dzięki naszym dorożkarzom, takie sztuki wykonywamy wszyscy codziennie... Zresztą gimnastyka podobno idzie na zdrowie; że więc tam komuś przejadą czasem dziecko, lub że sam nie doliczy się wszystkich kości, powinien wiedzieć, że cierpi *pro publico bono*.

Niebezpieczeństwo to zwiększa się jeszcze w czasie pory zimowej, albowiem nadchodzi czas sanny, a wiadomo, że sanna jeździ się zamasyściej, niż kołową. „Trudniej przytem uciekać, bo znów panuje u nas ten dobry zwyczaj, że konie biegną środkiem ulicy, a sanki to już tam, jak sobie chcą, koło lewego lub prawego chodnika, zależnie od tego, na którą stronę się zatoczą“.

Z nadejściem zimy Warszawa przybiera odpowiednią fizyognomię. „Ogród sterczy szkieletami drzew, ostry wiatr barwi na czerwono oblicza, na ulicach, jak zwykle, pełno, ale wszyscy chodzą rażniej i spieszniej. Zima! Zima! Wczesnym wieczorem miasto błyszczy tysiącami lamp po sklepach, lub spogląda wesoło oświeconymi oknami mieszkań, w których rodziny zabierają się już do zwykłych na zimowe wieczory zajęć. Wśród tej powodzi światła, najżywiej jednak płoną okna teatrów, barwiąc różowem światłem szary blask uliczny i nęcąc przechodniów, niby uroczę oczy, pełnem obietnic mruganiem“.

Teatr, w życiu Warszawy, gra rolę pierwszorzędną, a jeśli czerwony afisz zapowiada premierę w którymkolwiek z naszych przybytków Melpomeny, wówczas przy kasie teatralnej w dzień przedstawienia tłoczą się setki osób. W ostatnich czasach zapobieżono tego rodzaju ściskom, przez stosowanie francuzkiego systemu *queue*, w roku 1873 jednak, gdy Sienkiewicz pisywał w *Gazecie polskiej* swe feljetyony *Bez tytułu*, nie znano jeszcze ani tego systemu, ani zanosilo się jeszcze na *Kasę zamawiań*. Ztąd przy okienku zdarzały się nieraz „tragikomiczne sceny“, godne swego Homera. Homerem takim stał się dla nich, w jednym ze swych feljetonów, przyszły autor *Krzyżaków*: dzięki jemu, pamięć o nich nie zaginie, jak, w myśl wiersza Horacego, nie zaginie wspomnienie o Achillesie i Troi.

Nigdy darwinowska walka o byt nie odbywała się tak zgiełkliwie, jak ta, w której bronią jest łokieć, celem bilet, nagrodą słodkie, a karą po przegranej, kwaśne humory naszych żon i córek. Ile tam gwaru, ile tłoku, hałasu, popychań, ile połamanych kapeluszy, zakłęb, złorzeczeń, gorących modlitw do tego nieubłaganego dzierżyciela losów przedokienkowych suplikantów. Ale za to na tle tego chaosu, jakie wzniosłe myśli może budzić to znane wszystkim, niewzruszone oblicze, spoglądające z poza szyby szklanej z niewzruszonym spokojem na zabiegi i walkę tłumów o te czerwone i żółte kartki. Napróżno tłum ciska zaiskrzonym wzrokiem na faszerowaną niemi księgę, leżącą poza ramą okienka; napróżno prosi się, dobija, popycha, wre, szumi, błaga i złorzeczy: na obliczu owem ani na chwilę nie znika ta godność i spokój, świadectwo poczucia swej wyższości ponad zwykłych śmiertelników tego świata. Co za antyteza, godna Wiktora Hugo: spokój obok zamętu, pogoda obok burzy, cisza obok wrzawy, majestat wobec tłumów.

Takie sceny odbywają się przy kasie teatralnej rano w dzień widowiska; to zaś, co się dzieje w samym teatrze wieczorem, w czasie przedstawienia, wcale nie jest mniej wdzięcznym tematem dla obserwatora-feljetonisty. Nie uszło to oczywiście baczności Sienkiewicza, który w jednym ze swych feljetonów taki odmalował obraz warszawskiej sali teatralnej:

Niektóre zwyczaje naszej publiczności, prawdziwie możnaby nazywać barbarzyńskimi. Do takich zaliczamy przedewszystkiem zwyczaj wychodzenia z teatru przed końcem sztuki, a wchodzenia po jej zaczęciu. Podobne *sans façon* nie istnieje nigdzie za granicą. Wystaw sobie, wiejski czytelniku, że jesteś pierwszy raz na jakiejś sztuce i słuchasz Żółkowskiego, Modrzejewskiej lub panny Romany Popiel, z których gry nie chciałbyś ani jednego gestu lub słowa uronić. Raptem na początku rzędu krzeseł powstaje pewien ruch i hałas. Spoglądasz: wchodzi jakiś postać, elegancko urekawiczona, ukrawacona, ozdobna wielkim białym gorsem (mowa o mężczyznach), wypomadowana, świeża, uśmiechnięta, i poczyną z przymrużeniem oczyma płynąć do środka, pochylając się jednodostajnie i powtarzając nieśmiertelne *pardon!* przy każdym kolanie, o które zawadza po drodze. Mniejsza już o to, że figura owa gniecie ci kapelusz lub następuje na palce, ale robi się szmer, nie słyszysz, co mówią na scenie, i tracisz wątek sztuki. Twój wiejski temperament oburza się i radbyś wybuchnąć przeciw tej niedelikatności, chętniebyś pokazał po swojemu drogę takiemu śmiałkowi, gdyby nie to, że rozbraja cię owo *pardon*, wymówione z wzorowym akcentem, grassejowane czysto po paryżku i zdradzające kogoś z wyższych sfer towarzyskich. Toż samo dzieje

się i w końcu sztuki. W chwili, gdy twa ciekawość najbardziej jest naprężoną, w chwili, gdy Numa tuż tuż ma umrzeć lub też podać rękę uszczęśliwionemu Pompiliuszowi, a ty ze wzruszeniem słuchasz pięknego sensu moralnego, wypowiadanego przez ojca lub opiekuna nowożeńców, raptem publiczność zrywa się z miejsc swych, nakłada kapelusze i odwraca się do sceny w ten sposób, że najlepsi artyści mówią do jej pleców. Zwyczaj to iście barbarzyński, dowodzący braku szacunku dla artystów i sztuki, na który zresztą powstałbym w stylu filipik demostenesowych lub cyceronskich *contra Catilinam*, gdyby nie to, że piszę nie kazanie, ale feljeton, a zatem wolę śmiać się, niż rzucać gromy.

Barbarzyński ten zwyczaj, aż po dziś dzień weale u nas w Warszawie nie wykorzeniony, powtarza się nietylko w teatrze, ale i na koncertach, gdzie nadto utarło się jeszcze rozmawianie podczas produkcji muzycznych, choćby popisującym się na estradzie artystą był Paderewski lub Śliwiński. Koncerty Towarzystwa Muzycznego w salach reductowych, nietylko nie stanowią pod tym względem wyjątku, ale przeciwnie, mogą w tym razie służyć jako uderzający i odstraszący przykład tej niesforności warszawskich pseudomelomanów i melomanek. Na te ich „barbarzyńskie“ zachowanie się w czasie koncertów zwrócił między innymi uwagę także i Sienkiewicz w swym feljetonie z dnia 1 grudnia 1873 r., gdzie, zdając sprawę z wrażenia, doznanego na jednym z koncertów Towarzystwa Muzycznego, powiada, że słuchając na nim śpiewu chóralnego, zupełnie rozmijającego się z zasadami harmonii, wyszedł z sali z szumem w głowie i strzykaniem w uszach.

Oddajemy nawet sprawiedliwość chórom, że jeżeli nie czynią za-
dość, przestarzałym zresztą, wymaganiom harmonii w śpiewie, sprawiają
za to wrażenie potężniejsze nierównie, rzekłbym, epiczne. Słuchając ich
głosów, pomieszanych z hałasem, jaki robi publiczność, mimowoli przy-
chodzi na myśl ta chwila przed stworzeniem, kiedy to jeszcze wszystkie
żywy były z sobą pomieszane, a od zenitu do nadyru panował chaos.
Nie zupełnie to zresztą ich wina, bo do uzupełnienia chaosu przyczynia
się wspomniany przez nas akompaniament różnojęzycznych głośnych roz-
mów, jakie publiczność nasza lubi prowadzić, bez względu na to, czy
tam kto gra czy śpiewa; dalej hałas, sprawiany przez wchodzących, na-
koniec szmer poruszanych na wszystkie strony krzesel, a zrozumiemy
łatwo, dlaczego osoby nerwowe doznają po wyjściu z Towarzystwa pe-

wnego zawrotu głowy, który przechodzi dopiero pod wpływem orzeźwiającej atmosfery i ciszy nocnej.

Swoją drogą, pomimo tak niesfornego zachowania się publiczności na koncertach Towarzystwa Muzycznego, do czego jeszcze dodać należy natarczywe domaganie się *bisów* za pomocą istnego wycia rozklaskanej galeryi (co znowu wywołuje protesty z krzeseł w formie przeraźliwego sykania), Warszawa rości sobie pretensyę do miasta muzycznego. Sienkiewicz podziela to zdanie, tak, iż bez najmniejszego zająknienia w swym feljetonie z dnia 30 czerwca 1873 r. skonstatował fakt, jako „Warszawa liczy się do najmuzykalniejszych miast na świecie“.

Wiedzą o tem wszyscy, którzy, potrzebując dla pracy umysłowej spokojnego kąta, napróżno szukają go w najodleglejszych nawet ulicach. Głos fortepianów ściga ich wszędzie, niby wyrzut sumienia; nie daje im odpoczynku ani w dnie, ani w nocy; przeszkadza pisać, przeszkadza myśleć, przeszkadza spać: przeróżne walce i poleczki rozstrajają nerwy. Jedyna na to rada: sięść do fortepianu samemu i własnymi palcami zagłuszać palce innych. Gdyby przynajmniej grano dobrze; ale te doniosłe talenty w poczuciu osobistej samodzielności, nie krępują się zbyt muzycznymi przepisami. Zresztą znajdują zwykłe pobłażliwych słuchaczy, słuchaczami bowiem na familijnych, dawanych przez córeczki koncertach, bywają matki, przyjaciele domu i pretendenci do obrączki ślubnej. Pierwsze drzemią uprzejmie podczas koncertu na kanapach, drudzy wybijają z rozpaczyny nogą takt pod stołem, a lubo posyłają na dno piekieł instrumenty i artystki, czują się w obowiązku urzędownie rozpytywać z radości. Ostatni t. j. pretendenci do obrączki, przewracają nuty, czasem akompaniują w basie, a zawsze szepcą do ucha słówka, nierównie jeszcze bardziej harmonijne, niż walce i poleczki. Najwięcej jednak ze wszystkich cierpią sąsiedzi, którzy słyszą, ale twarzą nie widzą.

Co jednak godzi się powiedzieć na pochwałę tych muzycznych domów, to, że w nich kwitnie kult dla staropolskiej tradycyi, że wszystkie zwyczaje, zwłaszcza te, które mają cechę narodową, bywają tu ściśle przestrzegane, że gdy przyjdzie Boże Narodzenie, to wszyscy, po uprzednim złamaniu się opłatkiem, zasiadają do wigilijnego stołu, wysłanego sianem pod obrusem; że później, przechodząc pod oknami takich domów, widzi się przez szyby, jarzące się świeczki na choinkach,

że gdy nadejdzie Wielkanoc, w domach takich, starodawnym zwyczajem, piecze się ciasto, mazurki, gotują się szynki, kielbasy, prosiaki, malują się jajka, co wszystko razem składa się na wspaniałe Świątce z białym barankiem z cukru, z polowaniami babami i baterią butelek węgryzna... Pod świeżem wrażeniem Świąt wielkanocnych z roku 1873, nasunęły się młodemu feljetoniście *Gazety polskiej*, gdy pisał swą kronikę na dzień 22 kwietnia, następujące refleksye:

Nasze gospodynie wyglądają zaraz po świętach, jak człowiek, który nagle stracił rację bytu. Oto tyle zabiegów, mozołów, gderań, trudów i nadziei poświęciły dla jednego wielkiego celu, Świątce, aż nakoniec przyszedł dzień oczekiwany i coś przyniósł? Zgłodniały i wyposzczony ojciec rodziny zasiadł w jej gronie... Tak jest, zasiadł, bo już dziś mało kto zabiera się do spożycia tego, co Bóg dał a przyrzadziła gospodyni, stojący, by uczcić *świętce* przynajmniej w pierwsze święto a chociażby tylko przy pierwszym przystąpieniu do stołu... Otóż ojciec rodziny dzisiejszy, zasiadł w jej gronie z gośćmi, jacy się zeszli dla składania i otrzymania życzeń niby, a właściwie jedzenia i picia. Ścisłano się, zapewniano o niepożytej *przyjaźni*; jedzono, pito przez parę dni od poranku do wieczora, stłuczono kilka talerzy i kieliszków, i, jak mówi Królodworski rękopis „minął dzień i minął wtóry dzień“, a już w dniu trzecim, po tylu trudach i olbrzymich wysileniach, wedle silnego wyrażenia Słowackiego „napełnia ohydą ten stół splamiony, resztki chleba, wołu“. I milczenie zaległo te miejsca, w których gwarzyły ze sobą niedawno strojne świąteczne baby; tylko kości po szynkach, przystońnię, niby całunem, czarną, niedojedzoną skórą, świecą przykrą nagością; tylko zapomniana i pozbawiona jajka, główka prosięcia, wyszczerza białe zęby, zda się, z uśmiechem ironicznym, jak gdyby chciała mówić: *sic transit gloria mundi*. Przyjemne są prace dokonane, mówi łacińskie przysłowie; czyż i nasze gospodynie wykrzykną: „Przyjemne są prace zjedzone!“ Takby może było, gdyby nie to, że z ostatnim kęsem zjedzonym usuwa im się cel, dla którego żyły przez cały Wielki Tydzień. Nie dziwny się więc, jeżeli spoglądają wtedy z osłupieniem w przeszłość. Wszystko zniknęło! a pozostała chyba tylko lekka niedyspozycja którego z członków rodziny, a ztąd zmartwienie, potrzeba wezwania molierowskiego mędrca z nadaną przez niego samego władzą *medicandi, purgandi, seignandi, percandi, taillandi, conpendi, et occidendi per totam terram*.

Panuje zwyczaj w Warszawie, że w pierwsze i drugie święta Wielkanocy odbywają się zabawy dla ludu. W r. 1873,

jak to z nas każdy dobrze pamięta, odbywały się one jeszcze na Placu Ujazdowskim. Zdając sprawę z przebiegu Świąt wielkanocnych w swej kwietniowej kronice *Bez tytułu*, dał w niej Sienkiewicz także i barwny obraz tych *circenses* warszawskiego ludu na Ujazdowie, a opis ten, plastyczny, jak wszystkie opisy autora *Quo vadis*, nie straciwszy dotąd nic ze swej wartości artystycznej, nabrał dziś, po upływie ćwierci wieku, wartości dokumentu z dziejów Syreniego grodu.

W Warszawie bywają święta Wielkanocne zarazem i uroczystością ludową. W poniedziałek zwłaszcza, po mszy i święconem, tłumy mężczyzn i kobiet spieszą na plac Ujazdowski, gdzie corocznie czekają na nie budy teatralne, huśtawki, karuzele, młyny dyabelskie, oraz ów historyczny, wygładzony i wymydlony słup, na którym najszczęśliwszy czy najrzeczniejszy zwycięzca, znajduje ubranie, zegarek, kilka rubli, a nakoniec butelkę wina, dla pokrzepienia sił zwątlonych. W budach teatralnych (czy tam tylko?) najgłówniejszą rolę grają błazny, jak dawniej mówiono, trefnisie, których zadaniem pobudzać tłum do śmiechu. Jakoż przy niezmiernie małych wymaganiach publiczności, zadanie to nie jest trudnem. Nieraz cała mimika polega na wkładaniu i zdejmowaniu gutaperczanego kapelusza, czasem na gestach, żywo przypominających darwinowskie pochodzenie człowieka. Ale wesoły tłum nie wiele do śmiechu potrzebuje! Publiczność bije szalone brawo, śmieje się, skacze; starsi i młodszy porywają się za głowy, na znak, że temu, co widzą, niepodobna uwierzyć; ze zbytku uwielbienia wzywają „najjaśniejszych pieronów“ na głowę artysty; życzą mu, aby porwało go tyłu a tyłu; klną, płaczą ze śmiechu, ściskają się wzajemnie!.. Obok tego wszystkiego skrzypią huśtawki, huczą karuzele; ruch, gwar, wykrzyki przekupniów, wrzawa i śmiechy dziatwy, nadają zebraniom tym nader wesoły i ruchliwy pozór. Ktoby jednak szukał w tem wszystkim czegoś charakterystycznego, a nam tylko właściwego, ten by się zawiódł: charakter tych zabaw czysto kosmopolityczny, więcej hulasczy, niż typowy, więcej wesoły, niż moralny. Nad moralnością czuwa wprawdzie policya; ale w zebraniach tych tłumnych, najniższych warstw rzemieślniczych, służebnych, handlujących, wyrobniczych, trudno wymagać wzajemnej na siebie i na dobry smak oględności. To też np. zachowanie się kawalerów, emablujących damy, nietylko rycerskie, ale i poprawnie konwencyjonalne nie bywa. Ztąd też słyszane rozmowy i najrozmaitsze *bons mots* mniej bywają wykwintne, niż dosadne. Na to policya nie już nie pomoże; słów, spojrzeń, gestów, a nawet zbyt energicznych ruchów, albo i zamachów nawet, nie powściągnie, chyba wyjątkowo. Czyż podobna wreszcie każdemu z gości na placu Ujazdowskim, dodać stróżującego nad nim? A jednak potrzeba by

prawie dodać każdemu przechodzącemu tam żydkowi takiego opiekuna, dopóki go nie zastąpi światło w mózgownicach... O zmroku zabawy się kończą; środkiem alei ciągnie się szereg arystokratycznych powozów, a bokami, wśród kurzu, tłoku i wesołych śpiewek, zdążają do domu pęsi, dzieląc się po drodze wrażeniami chwil, dopiero co ubiegłych. Coraz ciemniej; zorza wieczorna gaśnie; na niebie pokazują się gwiazdy jedna i druga; noc. I oto święta przeszły, jak przebrzmiały rezurekcyjne dzwony...

Z nastaniem wiosny, gdy już zazielenią się wszystkie drzewa, Warszawiacy lubią urządzać majówki w okolicy, bądź do Wilanowa, bądź na Bielany. Zwyczaj to starodawny, który zresztą cechuje nie tylko Warszawiaków, ale każdą ludność wielkiego miasta, spragnioną świeżego powietrza i swobody wiejskiej. W feljetonie z dnia 19 maja 1873 r. nakreślił Sienkiewicz taki liryczno-humorystyczny obraz warszawskiej majówki.

Majówka! to dla szczęśliwych wybranych śmiertelników sposobność odetchnięcia z wygodnych poduszek koczając czystym powietrzem wiosennym; to krótka przechadzka po wilanowskim ogrodzie, gdzie, jak głosi napis, jest zapomnienie życia; to równie wygodny powrót do domu, to rzeświejszy sen w nocy, uspokojenie nerwów, przedsmak willegiatury, sielanka, w której Baucis ma jedwabny kapelusik, a owieczki kolorowe kokardy na szyjach. Ale dla mniej zamożnych, majówka, to ważny i potrzebujący wielu przygotowań, a stąd kosztowny i kłopotliwy spacer. Dobre jest świeże powietrze, rozumuje niezamożny ojciec rodziny, ale dobry i grosz, którego brak na przyjemności; dobry i obiad zjedzony o właściwej porze, dobra po obiedzie i czarna kawa z Thiersem, Rémusatem i Gambettą. Wszystkiego tego trzeba się wyrzec dla majówki. Nie bardzo uśmiecha się staremu ojcu rodziny zielona łąka, na której trzeba siedzieć po turecku podczas obiadowej pory, zimna kura wydobyta z zatłuszczonej bibuły zamiast rosółu, i samowar, który nie chce się zagotować, mimo, że cała rodzina wdmuchuje węń po kolei wszystkich zapasów świeżego powietrza, jaki od rogatek, aż do miejsca posiłku zdołała zaczerpnąć po drodze. A przytem, trzeba było córkom sprawić nowe sukienki, z powrotem trzeba opłacać wózki, na samej majówce pocić się wiele, herboryzować dla dania przykładu synkowi-gimnazjście i dlatego schylać się ustawicznie. A przytem jeszcze żona i córki nie pozwoliły zdjąć surduta, twierdząc, że to *mauvais genre*; na dobitkę, nazajutrz pokazało się, iż żywioły urwisowstwa do tego stopnia rozbudziły się w synku gimnazjście, że rady sobie z nim dać nie można; pogubiono

platerowane łyżeczki i noże, potłukły się szklanki, poplamili nowe sukienki, słowem, skaranie boskie! Ojciec rodziny robi sobie ślub, że to ostatnia majówka w jego życiu, i dotrzymuje tego ślubu aż do przyszłej wiosny, aż do przyszłego maja.

Tymczasem nadchodzi czerwiec, święto Bożego Ciała, i tenże *pater familiae* bierze udział w procesyi. Jest to jeden z najuroczystszych dni w ciągu roku, a Warszawa, jak przystało na wielkie miasto katolickie, święci go z odpowiednią pompą.

Wśród pieśni kościelnych, przy odgłosie dzwonów, fala ludu przelewają się z ulicy na ulicę, od jednego ołtarza do drugiego. Miasto, a raczej główne ulice, przedstawiają wówczas prawdziwie wspaniały widok. Ponad głowami tłumów wznosi się dym kadzideł i pływają w powietrzu różnobarwne chorągwie; strojne dziewczęta sypią kwiaty pod nogi duchownym, a z chwilą, kiedy kapłan, wszedłszy na stopnie ołtarza i zwróciwszy się do ludu, podnosi promienistą, błyszczącą w słońcu monstrancję, chylą się nagłym ruchem chorągwie, i tłumy, niby kłosa, zginają się ku ziemi.

Na jedną z takich processyi patrzył się Sienkiewicz z wysokości wieży kościoła Świętokrzyskiego, a z niezwykłego tego wrażenia zdał w parę dni później sprawę w feljtonie *Gazety polskiej*. Jako opis, jest to małe arcydzieło.

Jeżeli dawno, mój czytelniku, nie pasteś oczu pięknym widokiem, tedy podaj mi rękę i pójdz za mną. Wejdziemy na jaką wieżę, np. Świętokrzyską, i z jej wysokości spojrzemy na miasto. A wszak to dziś dzień Bożego Ciała. Na dole, w mieście, zwykle oczom tak ciasno, piersiom tak duszno, a nudno, a smutno! Dlaczegoż choć raz nie odetchnąć swobodniej, nie potoczyć okiem szerzej; tam taka samotna powietrzna wyżyna. Pójdzmy! Otóż już i jesteśmy. Pod stopami naszymi biegnie łukowato, zagięte ku Wiśle Krakowskie Przedmieście. Widać wszystko, jak na dłoni. Pod nami Kopernik, z globusem w rękę, jakby z tęsknotą spogląda ku górze, dalej szeregi domów, a dalej jeszcze przy końcu ulicy Król Zygmunt z mieczem i krzyżem, których już nie rozeznac z odległości. Dziś uroczystość Bożego Ciała, więc na ulicach stoją ołtarze; widać ich szereg cały: strojne w kwiecie i zieloność, widnieją niby majowe wysepki. U stóp ich rozlewa się czarna fala ludu, która kołysze się zwolna, a rośnie i potężnieje z każdą chwilą. Ach! jakże widać wszystko dokładnie! Oto procesya rusza w tej chwili. Pod czerwonym bal-

dachimem postępuje zwolna ksiądz z monstrancją. Fala ludu porusza się; widać dziewice w bieli, sypiące kwiaty przed baldachimem; szeregi świateł jarzących, migają błędnymi płomykami; nad ciemną masą ludu wyskakują w górę, niby różnobarwne kwiaty, chorągwie cechowe. Światła, dymy kadzideł, deszcz kwiatów, wołanie dzwonków i dzwoneczków, gwar i uniesienie uroczyste, wszystko to upaja i podnosi duszę ku niebu. Rozkołysano wielkie dzwony, jakby na gwałt; zda się, powietrze samo drży spiżowemi tonami, a wiatr niesie je daleko za Wisłę, na pola okoliczne, na bory, na lasy... Chwilami, jakby zgięty kłos, chyla się przed Sakramentem światła i barwiste chorągwie: z piersi tłumów zerwie się pieśń ogromna: *Do Ciebie Panie!* Słowa łączą się z biciem dzwonów, mącą się z dymami kadzideł, i niby wielki chorał, złożony ze słów, dymów i spiżowych dźwięków, na skrzydłach wiatru lecą ku niebu. Chwilami znówu cichną i dzwony i pieśni. Cisza: zda się, iż słyszysz szelest trąconych powiewem listków brzezinowej gałązki, zdobiącej ołtarz. Nad miastem przelatują drobne, pierzaste chmurki; światło słoneczne łamie się na gzymsach murów, ołtarzów, na złożonych dzidach chorągwianych; czasem silniejszy powiew targnie raz i drugi chorągwią, i znów cicho. Są to chwile niby skupienia wewnętrznego, niby pobożnych rozmyślań, albo też pobożnych zachwytów. Wielka kopuła niebieska zdaje się gdzieś w niezmiernych głębokościach uśmiechać dobrotliwie, poważnie i kojąco. Dlatego takie chwile ciszy zdają się zarazem chwilami ukojenia i słodyczy przejmującej wszystkie serca... Zwolna jednak kończy się wszystko; ludzie poczynają się rozchodzić; bruk, przed chwilą jeszcze zupełnie pokryty stopami ludzkiemi, poczyną się wychylać coraz większemi płatami, chorągwie i światła znikają, ulice puszczają coraz bardziej i wreszcie wszystko poczyną przybierać zwykłą miejską barwę, niezbyt uroczą i niezbyt poetyczną.

W końcu czerwca, w wilię św. Jana, świeci Warszawa, jak i kraj cały wogóle, uroczystość Wianków. Uroczystość ta, jako odbywająca się na Wiśle, posiada niemało cech malowniczości, a jako starodawny obchód słowiański, może człowiekowi o duszy artystycznej, umięjącemu patrzeć oczyma poety, dostarczyć wcale nie konwencyonalnych wrażeń. Sienkiewicz, po Wiankach w roku 1873 opisał je w feljetonie *Gazety polskiej*, a opis ten należy do najpiękniejszych obrazów, jakie nasza proza zawdzięcza twórcy *Quo vadis*.

Zaledwie przebrzmiał gwar welnianego jarmarku, zaledwie skończyła się uroczystość miejscowego sportu, wyścigi, nastąpiła nowa i tym razem nie przeszezepiona już z cudzoziemskiego gruntu, a swojska do

szpiku kości i odwieczna, uroczystość wianków. Bóg wie, gdzie jej początek. Jedni twierdzą, że wraz ze świętojańskimi ogniami służyła ongi ku chwale wielkiego Kupały; drudzy, iż to pamiątka po dziewiczej Wandzie, co nie chciała Niemca i Wiśle poświęciła dziewiczy wianek. To ostatnie podanie mniej prawdopodobne, ale wdzięczne i poetyczne. Według niego, dziewice, naśladując Wandę, także ślubowały Wiśle dziewictwo, młodzieńcy zaś, czatujący na łodziach, chwytając każdy wianek, walczyli z Wisłą i wołą dziewiczą, przeszkadzając spełnieniu ślubów. Gdziekolwiek jednak leży początek uroczystości, lud święci ją i dziś jeszcze po dawnemu, puszczać wieniec na wodę i szukając wróżby w biegu kwiatów po fali... Ale czas, który nie może zniweczyć obyczaju, zmienia jednakże jego formę. Niegdyś, same tylko dziewice, przy świetle łuczywa i przy okrzykach na cześć Kupały, zebrane po brzegach rzek i strumieni, powierzały falom swe wianki, myśli i losy; dziś już u nas trochę inaczej, a w Warszawie bardziej po miejsku: dziś dziewica może, gdy chce, puszczać wianki, ale urzędownie puszcza je rzemieślnik. Jeżeli dzień pogodny, tłumy ludu zbierają się na moście i przy akompaniamencie muzyki gwarzą w cieniach olbrzymiego kratowania, oczekując na chwilę, gdy za pierwszymi wiencami pomkną pierwsze łodzie rybackie. Aż oto i uroczystość rozpoczęta. Żółtawa fala ugięła się nieco pod lekkim ciężarem: pierwszy wianek braci stolarzy, strojny w stróżyny i kolorowe świeczki, zakołysał się, łagodnie pochylił raz i drugi, zakręcił na miejscu i popłynął. Za nim biegą na wyścigi, popychane całą siłą dłoni i wiosel łodzie; na moście tłumy ożywiają się coraz bardziej, słysząc okrzyki i wróżby, czy złapią, czy nie złapią? Wianek tymczasem na gładkiej i spokojnej powierzchni sunie dalej i dalej; czasem zasłonięty falą niknie na chwilę z oczu, czasem zarysuje się, jak świetlista obrączka, czasem zdaje się zatrzymywać na miejscu. Ale już jedna łódź wyściga inne, a teraz coraz to bliżej i bliżej zabiega, i już, już zdaje się go dotykać, już minęła go dziobem, rozległ się okrzyk: trzymaj! kilka rąk wyciąga się ku niemu, i oto wianek już nie na falach, ale w rękę przewoźników, którzy wnoszą go w górę, okazując publiczności swój tryumf. Puszczaćającym jednak chodzi o to, aby wieniec płynął swobodnie, więc zaczynają się targi o wykupienie jeńca z niewoli. Zdarza się jednak, że po wykupieniu chwytą go inna łódź, z którą znów trzeba się na nowo układać. Najczęściej też wieniec zostają w rękę przewoźników. Oprócz tych rzemieślniczych wianków, spada także z mostu, chciałbym powiedzieć, potop kwiatów, pokrywających fale tak, że wody nie widać, ale chcąc być ściśle historycznym, muszę unikać figur retorycznych: spada więc pewna ilość... wianków dziewiczych. Przewoźnicy chwytają je także, jeżeli nie dla korzyści, to dla uciechy i dla przedłużenia zabawy. Cała więc uroczystość jest rodzajem wyścigów wodnych. Na zakończenie jej, o zmroku, zapalają jeszcze beczki ze smołą. Ten ostatni akt ma w sobie

coś, co najwięcej przypomina starożytny obyczaj Sobótek. Tłumy jednak i wówczas nie rozchodzą się jeszcze do domów, ale zostają do późna na moście. Nęci je urok cichej, a świeżej nocy letniej, tak miłej po dziennym znojnym upale, nęcą je także piękne widoki, jakie przedstawia Wisła, gdy z fal wstają mgły, a w mgłach i falach łamie się białe światło księżycowe. Istotnie jest wówczas na co patrzeć. Ciemne kontury drzew Saskiej Kępy topnieją coraz bardziej w wilgotnych oparach, rozplywają się i w końcu rozplywają się zupełnie; od fal bije wielka świeżość i rzeźwy chłód; po obu stronach Warszawy i Pragi błyszczą w wodzie kolumny światła, które z północy i południa zamyka mgła, niby zasłona, pokrywając bezbrzeżne jakieś przestrzenie, rzekłbyś morze, rzekłbyś samą nieskończoność. Sprobuj wówczas czytelniku, wsiąść w łódź i puścić się wodą na poetyczną wycieczkę: niechaj do marzeń kotysze cię pieśń rybaka i miarowe uderzenia wiosła.

We dwa lata później, pisując w *Gazecie polskiej* feljtony co tygodniowe o *Chwili obecnej*, wypowiadał się autor *Hani* raz jeszcze z wrażeń, doznanych w czasie uroczystości Wianków, ale tym razem wrażenia te nie wypadły tak dodatkowo, jak w roku 1873: tam, gdzie wtedy widział tylko poezję, teraz dostrzegał sporo prozy, która mu nawet psuła cały nastrój obchodu.

Nie tak to *illo tempore* bywało, mówi staroświecka piosenka i ma wielką słuszość. Czasy zmieniają się; stare zwyczaje idą w poniewierkę, rozplywają się w falach zapomnienia, nikną, a odległość i różnica między przeszłością a chwilą obecną coraz większa. Gdybym był poetą, wyśpiewałbym w pięknych rymach swój żal za poetyczną przeszłością; zauważyłbym w melancholичny sposób znikanie z życia poezyi, romantyzmu i miłości; a na dowód, że to znika wszystko istotnie, przytoczyłbym dzień Ś-go Jana i obchód Wianków. Czemże bowiem była dawniej, a czym jest dziś ta uroczystość Ś-go Jana? Poezi prawią, że w dawnych zamierzonych czasach, w dzień ten, gdy słońce kryło już złotowłosą głowę za sosnowe bory, gdy powoli ciemniała rumiana zorza wieczorna, a od surowego wschodu wytaczał się na widnokrąg srebrny miesiąc z rojami gwiazd służebnic, wówczas cały kraj zmieniał się w jedno czarodziejskie koło nadzmysłowych złudzeń i omamień. Na wzgórzach błyszczały światła sobótek; po rosie z łąk i zielonych dąbrów echo niesło głosy pastuszych ligawek i słowa pieśni i okrzyków: „hej Kupała! hej wielki Kupała!“ Źródła i strumienie szemrały uroczyste jakoś i tajemniczo. Czasem zaszumiał wielkim głosem bór i umilkł jakby przerażony. Czasem przelotna chmurka przysłoniła błądy księżyc, a wówczas w le-

się, wśród próchna i paproci, połyskiwały niewidzialne nigdy światła. Stare sosny i buki zdawały się gadać prawie ludzkimi słowy, jakby marzyć, jakby coś sobie przypominać. Tajemnicze szepty kończyły się ciszą. Naokół słyszałeś niby westchnienia z pozaświatowych piersi wydobyte. W gęstwinie śmiały się leśne wile. Dziwożona, kołysząc się nad przepaścią, zwieszona na gałęziach śpiewała: „Pójdź tu do mnie, chłopcze młody!“ Po stawach i jeziorach wabiły świtezianki; z trzcin dochodziły wycia topielców. Dusze zmarłych obsiadały, niby kawki, samotne polowe grusze. Na murach ementarnych kwiliły duszyczki zmarłych bez chrztu dzieciątek. Po bagnach podskakiwały błędne ogniki. Wszędzie tajemniczo, straszno! Każda gałązka, złamana nogą zabłąkanego przechodnia, zdawała ci się mówić: „nie chodź dalej“. Z ciemności boru wiało na nią przerażenie. Gałęzie krzaków chwyciły za odzież, jakby broniąc dostępu do cudownego kwiatu paproci, o który, mimo widm, przestraszów i larw, kusili się goniący za skarbami, za szczęściem i za miłością młodzieńcy. W takie to noce, ponad chłodne strumienie, ocienione wierzbą i kaliną, porośłe niezabudką, tatarakiem, warzechą i płaskim liściem lilii wodnych, wychodziły, przy świetle pochodni, ubrane w bieli dziewice rzucać wianki na fale. I wianek wówczas unosił się lekko na drżącej toni, a za wiankiem rozlegał się plusk wiosel i wyciągały ręce młodzieńcze. Srebrny księżyc i czerwone pochodnie oświecały uroczystość. Czar chwycił wszystkie serca. Rzeczywistość zmieniała się w jeden fantastyczny poemat. Wszystko stawało się poezją. Wszystko kochało i odwzajemniało miłość: dziewice były niewinne, młodzieńcy enotliwi, stali w miłości i mężni. Tak to podobno było dawniej, a przynajmniej, mówią poeci, że tak było. Ileż w tem wszystkim prawdy, a ile poetycznego zmyślenia, trudno przesądzać; to tylko pewna, że dziś czasy się zmieniły. A najprzód borów i lasów, w których działy się te świętojańskie cuda, już ani śladu; popłynęły do Gdańska, a w zamian sterczą czarne pniaki, na których najpoważniejsze duchy, gdyby nawet chciały hasać, połamalyby sobie nogi z pewnością. Dalej, w duchy dziś już nikt nie wierzy. Świtezianki i rusałki, ubrane podług żurnalów, w biały dzień spacerują na wysokich kórkach po Saskim Ogrodzie, wabią nawet chłopców po dawnemu, ale ród ten dziwnie jakoś zmądrzał i dziś już ani śpiewem, ani niezabudką, nikt go nie wywiedzie w pole: „jeno mu trzeba posag położyć na stole“. Dziwożony zmieniały się także nie pomału. Jeżdżą na lato do wód, dzieci oddają bonom francuskim, a choć ciągną nieraz do przepaści... własnych mężów, czynią to w sposób arcy-nowożytny, z pomocą rachunków od Włodkowskiej, Penkali i Tonnesa, z pomocą balów, koncertów, sezonów letnich i zimowych, wód, mody i kwaśno-słodkich wysileń dobroczynnych, w których, co grosz na ubogiego, to tysiąc na toaletę. Tak jest, czasy się zmieniły, a z nimi zmieniła się i czarodziejska uroczystość św. Jana. Nie wiem,

czy paproć kwitnie jeszcze, czy nie kwitnie, jak dawniej o północy, ale wiem, że św. Jan, to dziś przedewszystkiem termin. Tak, mój miły czytelniku! Zamiast iść chwycić wieniec dziewicze, musisz iść płacić ratę w Towarzystwie Kredytowem wiejskiem i miejskiem! Taka to teraz uroczystość. Na św. Jan ekspirują twoje solo weksle; na św. Jan wręczają ci pozwy, na św. Jan różne Rady przemysłowe przysyłają ci swoje awizacye; na św. Jan kłania ci się Bank Handlowy; na św. Jan modlisz się napróżno do Dyskontowego; w ten dzień gospodarz podnosi ci kołnierze; w ten dzień płacisz sługi, rzemieślnicy nachodzą ci od rana mieszkanie, słowem wszędy termin i termin, prawdziwy *dies illa, dies irae*. Oto jest różnica dzisiejszego św. Jana, od dawniejszego Kupały. Łatwo zrozumieć, iż wobec tych warunków, wobec tych arcy-prozaicznych potrzeb i kłopotów, znikł dawny poetyczny charakter tej uroczystości. Najlepszy tego dowód, mamy na obchodzie Wianków. Kto dziś chodzi je puszczać, kto je chwytą, i czego dziś one są symbolem? Mój Boże, mówią, że niewinności. *C'est possible!* ależ skoro rycerska młodzież nie bierze już w tej zabawie udziału, czyż opłaci się puszczać na wodę taki symbol po to, ażeby go złapał przewoźnik? Z drugiej strony, choćby prócz przewoźników, brała udział w uroczystości i młodzież rycerska, to niejednen znów rozumuje, że nader małą jest satysfakcyą, zamiast dziewiczego, schwytać np. wieniec warszawskich rzeźników lub piekarzy. Nakoniec, jeżeli wieniec mają być symbolem niewinności, dlaczego puszcza ją na wodę stolarze, rzeźnicy i piekarze? Ci ostatni, nie wiem na pewno, czy puszcza ją, w każdym razie mogę wam zaręczyć, że jeśli wieniec ten składa się z bułek ich własnego wyrobu i pieczywa, tedy ryby mogą go, co jest najprawdopodobniejsze, nie chcieć skonsumować; na wypadek przecież, gdyby go skonsumowały, niema obawy, żeby się która udławiła, wielkość bułek uspakaja nas zupełnie. Owóż więc, wracając do Wianków, zwyczaj ten traci swoje poprzednie znaczenie i coraz bardziej słabnie. Dawniej brały w nim udział nawet i wyższe klasy, dziś średnie brać nie chcą. Któż zatem, prócz stolarzy, etc. puszcza dziś wianki. Dziewice? Zapewne... Sądzę jednak, że jeśli dystygnowani młodzieńcy nie gonią za nimi po wodzie, to dlatego, żeby ich i na lądzie przyjąć nie chcieli. Zwyczaj był kiedyś piękny i poetyczny, dziś jestto blade jego odbicie. Na moście zbiera się gromada ludzi, kręci się, poziewa. Zachodzące słońce pożłaca całą tę suchą ceremonię ostatniemi promieniami i znika za dalekimi drzewami. Ludzie ciskają kilka niby wienców na wodę; rozchodzą się, nie rozumiejąc co robili, dlaczego i na jaką pamiątkę to robili, i nakoniec idą pokrzepić się w pobliskich restauracyach, co jak się zdaje, dziś stanowi właściwy cel zabawy.

Skoro mowa o Wiśle, to mimowoli myśli się o tak zwanych „nadwiślakach“, stanowiących jedną z nader charakte-

rystycznych osobliwości Warszawy. Nadwiślak jest w gwarze warszawskiej, synonimem łobuza, oberwańca, etc. Jak Paryż ma swoich *gavroche'ów*, tak Warszawa swoich nadwiślaków. Jako feljetonista *Gazety polskiej*, poświęcił Sienkiewicz tym naszym miejscowym *lazaronom* obszerniejszy ustęp, w którym na tle życia nad Wisłą, występują, jako główny sztafarz, nadwiślacy i przewoźnicy.

Kapryśna ta rzeka (Wisła), skrępowana po prawym brzegu wałem, nie może już płatać grubiańskich figlów Pradze, której rok rocznie na wiosnę zwykła była sprawiać zimną kąpiel. Obecnie na żółtych jej wodach, po tylu niefortunnych usiłowaniach, próbuje znowu szczęścia p. Fajans z pomocą parochodów, które budzą głęboką nienawiść w miejscowej pobrzeżnej ludności przewoźniczej, znanej w Warszawie pod nazwą Nadwiślaków. Trzeba bowiem wiedzieć, że Nadwiślacy stanowią niejako osobną klasę, która jest całością w sobie zamkniętą. Mają i oni swoją arystokrację i demokrację. Do pierwszej liczą się, posiadacze t. j. przewoźnicy, posiadający łódki i rybacy, posiadający sieci; plebs właściwy stanowią ci, którzy posiadają tylko bulwar, na którym mogą leżeć do góry... twarzą i wygrzewać się do woli. Ten ostatni typ jest najcharakterystyczniejszy i z niego to rekrutują się zwykle szeregi gawroszów warszawskich. Nadwiślak taki bywa zwykle wyrostkiem, od lat dziesięciu do szesnastu. Sposobem utrzymania jest dlań sprzedaż piasku; zresztą przepędza czas nad wodą, paląc papierosy, gwizdząc, lub grając w kamyki. Znaleźć go można najczęściej, leżącego na wznak z rękoma pod głową i przypatrującego się chmurom. Mieszkanie jego stałe jest tajemnicą i on sam częstokroć nie przypomina sobie, gdzie mieszka. Całkiem niewykształcony umysłowo, ma jednak właściwy sobie, a przytem do wysokiego stopnia samodzielny pogląd na rzeczy, który wypowiada odrębnym i także sobie tylko właściwym językiem. Jest przytem zadowolony, pobożny; o lada co zaklina się na wszystkie świętości, ale klnie przytem z taką precyzją i biegiością, że nikt mu w tem wyrównać nie zdoła. Pobożne zaklęcia jego bywają często niezmiernie naiwne, np. „Jak Panu Bogu dobrze życzę“. W potocznej mowie powtarza niezmiernie często wyraz *ci*, np. „On *ci* przyszedł do mnie, żebym *ci* mu dał dulca“ (dziesiątkę). O ludziach żyjących w mieście i chodzących w porządnym paltotach i kapeluszach, mówi zwykle z pobłażliwą i wyrozumiałą wyższością, nie chcąc jednak solidaryzować się z nimi, nazywa ich „oni“. W Warszawie ma dwóch przyjaciół: Króla Zygmunta i Kopernika. O tym ostatnim niewiele wie, ponieważ wiadomości jego astronomiczne i historyczne są w dość opłakanym stanie. Wie jednak, że Kopernik nie jest „święty“ i dlatego pozwala sobie czasem drwić z niego... Arystokrację

miejscową stanowią, jak już wspomniałem, posiadacze sieci, podrywki i nakoniec łodzi. Ci ostatni na podobieństwo ptaków, czyhających na łup, czają się przy brzegach; ale niechno ugrzęźnię na piasku statek parowy lub galar rozbije się o filary mostu, wnet biegnie w zawody wśród radosnych okrzyków kilkanaście łódek, jakby z pod wody wyskoczyły. Następuje praca; słychać skrzyp sznurów, uderzenia siekier, kłątwy, okrzyki zachęty, i w pół godziny, robota skończona: statek wyciągnięty, galar powiązany na nowo z połupanego drzewa, i znów cisza na wodzie, łódki przywiązane do brzegów, znów spokojnie i znów „przez dnie i noce Wisła szumi, bełkoce“. Lato bywa żniwem dla przewoźników; wtedy bowiem nastaje dla różnorodnej, ale głównie rzemieślniczej ludności pora przejazdów na Saską Kępę. Różnobarwne tłumy powiewają sobie chustkami z łodzi do łodzi, lub śpiewają pieśni, których echo daleko niosą fale wiślane. Płec piękna wydaje okrzyki przestachu, spowodowane kołysaniem łodzi; mężczyźni wtórują im śmiechem, który jako dowód odwagi, jest zarazem sposobem zdobywania serc. Słowem, weseli się wszystko i raduje, a oczom przedstawia się bardzo piękny, romantyczny prawie widok. Kto wie jednak, czy nie piękniejszy jeszcze, a pewnie prawdziwiej romantyczny widok jest nocą, gdy mgła w fantastycznych kłębach pokryje brzegi, na galarach błyszczą dalekie światelka, czasem uszu doleci piosenka flisaka; czasem na mrocznym tle zarysuje się parowiec i, odetchnawszy dymem, jakby z czeluści piekielnej, rozsypie złote snopy iskier, po których głębsza jeszcze ciemność na falach.

Kto umie po naszymu i sercem patrzeć na nasze piękności, ten nie potrzebuje z nudów szukać brzegów Renu. Mogłoby nam być wcale nieźle w naszym kącie. Klonowicz mówi:

Kraina cała na żyznym zagonie
Zasiadła, jakby u Boga na łonie.

Gdy chodzi o Wisłę, to szczególnie imponujący widok przedstawia ona wówczas, gdy płynie wezbraną falą, gdy jej żółtawo-mętne wody ledwie się mogą pomieścić w brzegach, a nawet wylewają w wielu miejscach. Jak wtedy wygląda Wisła pod Warszawą, w pobliżu mostu, o tem można nabrać wyobrażenia, przeczytawszy Sienkiewiczowską *Chwilę obecną* z dnia 12 kwietnia 1875 roku.

Wysokość wody dochodziła do tego stopnia, że już poczęto obawiać się powodzi. Prawdziwie piękny widok ujrzeć teraz można z wysokości mostu, lub zjazdu. Woda wystąpiła, szczególnie od strony Pragi, poza bulwary. Domy na Pradze, schowane za wałem ochronnym, zdają

się spoglądać jakby z ironią przez wał na fale, tyle dawniej dla nich zgubne i straszne. Park praski do połowy prawie pod wodą, która wcisnąwszy się między aleje, gęste wierzby, jałowiec, potworzyła, jakby stojące, mętne, ale spokojne jeziora. Saska Kępa również prawie całkowicie pod wodą: tu wzrok gubi się na tych ogromnych, błękitnych obszarach wód, które zalały niedoścignione okiem przestrzenie. Wieczorem, gdy słońce zachodzi pogodnie, wówczas obszary te, odbijając błękit i słońce i zorze wieczorne, stają się, jakby drugą zorzą rozpiętą po ziemi. Czasem przed oczyma przesunie się mała łódka rybacka. Zjazd i most roją się mnóstwem ciekawych osób, które, albo gubią wzrok w dali, lub przechylone przez poręcz mostu, wpatrują się w ogromne żółte fale, niby szybko i narowisto, a jednak z pewną potężną ociężałością posuwające się naprzód.

Do najulubieńszych rozrywek ludności warszawskiej, a ludność ta wogóle żądną jest zabawy, należą bezsprzecznie wyścigi. Oprócz wspaniałego ich opisu w *Bez dogmatu*, nakreślił Sienkiewicz w roku 1875 satyryczno-humoryczny obraz tych nowoczesnych igrzysk, w feljetonie *Gazety polskiej* z dnia 15 czerwca.

Zjazd wieśniaków już wyraźnie daje się czuć w Warszawie. Hotele pełne, po restauracjach pełno, ruch po sklepach zwiększa się; ogródki przepełnione. Miasto ożywia się, i gotując coraz nowe zabawy, radośnie oczekuje pieniężnego żniwa, jakie mu jarmark wełniany zawsze przynosi. Tymczasem odbywają się wyścigi. Wyścigi! Ach, wyścigi. Mogłbym cały odcinek o nich napisać. Jestto także jarmark, ale jarmark próżności ludzkiej, albo inaczej mówiąc, warszawsko-angielskiego szyku. A odbyły, a raczej odbywają się w tym roku z wielką uroczystością. Przeszło sześćdziesiąt koni zapisało się do gonitw. All right! Ten angielski wykrzyknik, za którego ortografię nie zaręczam, ale którego sposób wymawiania szczęśliwie przez pilne uczęszczanie na wyścigi posiadałem, stanowi jedyny i całkowity zasób angielszczyzny większości naszych gentlemenów, uczęszczających na wyścigi. Zauważyłem nawet, że niektórzy z nich, nie są dość dokładnie poinformowani, coby ten wykrzyknik miał znaczyć, co jednak nie przeszkadza im używać go z całą powagą jak najczęściej. Pięknych kobiet, pięknych powozów i pięknych koni, na pierwszych niedzielnych wyścigach było mnóstwo. Piękności kobiet, ich barw, kolorów, opisywać nie będę, za słabe bowiem moje pióro. Co się tyczy powozów, zauważyłem kilka oryginalnych zaprzęgów, między którymi odznaczała się szczególnie piękna, dobrana, nieledwie że bliźniacza, gniada czwórka, zaprzągnięta do lekkiej amerykanki. Dzi-

wiła mnie tylko jedna rzecz, t. j. równie dobrani stangret i lokaj, obaj bowiem byli tak podobni do orangutangów, że słusznie można ich było poczytywać za ewentualny w przyszłości, a bardzo cenny nabytek do mającego się w Warszawie założyć zwierzyńca. Zdziwienia swego nie potrafiłbym może i ukryć, gdyby nie pewien gentleman, imieniem Coco, który przestrzegł mnie, że to jest *mauvais genre*, drugi zaś gentleman, imieniem Joco, objaśnił, że to nie są orangutangi, ale dwaj Anglicy, starannie dobrani umyślnie, albowiem właśnie bardzo z *towarzystwa* jest, aby służba po pierwsze: była angielska, a po drugie, żeby szczęśliwie łączyła w swych fizyonomiach wyraz twarzy idyoty i małpy. Wyścigi tedy odbyły się w całym wymagalnym porządku. Emablowano damy w powozach, ważono dżokejów, ważono konie, zakładano się, wygrywano i przegrywano, rozmawiano we wszystkich językach europejskich, z wyjątkiem polskiego, unoszono się nad łydkami dżokejów, które rzeczywiście przypominały patyki, poobszywane w łosiową skórę: słowem bawiono się z zapałem.

Wyścigi, wszakże to rzecz arcy-pożyteczna. Istotnie, że wyścigi przyczyniają się do polepszenia ras krajowych, o tem nie wątpimy ani chwili, widząc, jak pod wpływem tej modnej zabawy, szlachta krajowego pokroju zmienia się na świeżo wypieczonych baronetów i lordów angielskich. Jeżeli tę przemianę uważacie, mili gentlemanowie, za poprawę rasy krajowej, to chętnie przyznamy wyścigom wpływ niepośledni, jeżeli jednak idzie o konie, to zupełnie inna sprawa. W dorożkach naszych chodzą szkapy, Boże odpuść, w omnibusach naszych każde konisko przypomina chudością Barbarę Ubryk, chłopci nasi mają chmyzy tak małe, że się trawestacy prawdziwych koni nazwać mogą, fornalki nasze ledwie nogi włóczą wiosną za bronami. Gdzież więc znać wpływ waszych folblutów? Konie angielskie mogą poprawić nasze: nie spieram się o to, mogą i powinny, ale na to potrzeba hodować nie jedną rasę biegunów, do niczego nie zdatną prócz wyścigów. Powiedźcie, że wyścigi są szlachecką zabawą, zachowującą jeszcze odcień rycerskości, zgoda, o ile sami jeździecie, ale o pożytku ich niema co mówić.

Gdy się skończy sezon wyścigów, Warszawa powoli zaczyna się wyludniać: jedni, mianowicie bogatsi, wyjeżdżają za granicę, mniej zamożni przenoszą się na letnie mieszkania.

Ach, te letnie mieszkania! Zbliża się już ich pora, a zarazem pora udręczeń i kłopotów dla ojców familii. Któżby się jednak oparł prośbom i naleganiom żon i córek, które, równocześnie z pierwszym wiosennym uśmiechem słońca, rozpoczynają formalną blokadę serc i kieszeni mężów i ojców. Mężowie ustępują nakoniec, co zresztą starą jest historią, i oto z początkiem maja ciągną z taborami całe familie do Sielec, Mokotowa,

Wilanowa, Grodziska, Jeziornej etc. Całe familie, powtarzam, z kuferkami, pudełkami i wszystkim, co tylko ich jest, do czego w mieście przywykli, a czego na wsi dostać nie można. I willegiatura się rozpoczyna. Mój Boże! co rok też same gremialne złudzenia i co rok też same rozczarowania, też same kłopoty, też same utrapienia i też same niewygody, które potem, na dobitkę jeszcze, Kostrzewski wyrysuje, a ludzie wysmiejają. Co do mnie, właśnie dlatego, że je Kostrzewski rysował, nie myślę ich na nowo opisywać; nie mogę jednak oprzeć się chęci wypowiedzenia uwagi, że los nieraz z dziwną złośliwością prześladowuje Warszawiaków, przepędzających lato na wsi; co należytymi wieloma mógłbym poprzeć przykładami. Ileż to ja razy widziałem całe familie, pochwycwszy od ojca i matki, a skończywszy na najmłodszym synku, dmuchające w jeden samowar, który łatwy zwykle do nastawienia w Warszawie, wpadł na letniem mieszkaniu w niewytłomaczony zły humor; chuchano weń, dmuchano, uderzano o się wzajemnie głowami, przy pochylaniu się nad kominkiem, zrywano płuca: nie pomagało nic, i nie nie pomagała nawet cholewa od buta ojca familii, której to cholewy sam zniecierpliwiony ojciec familii, zamiast mieszka był użył. I zresztą owa hardość, a dziwny upór samowara, nie jedyny to kłopot Warszawiaków, o których podania miejscowe w humorystyczny sposób wspominają. Podania te wspominają np. o pewnym naczelniku wydziału pewnego biura, człeku otyłym, a przytem wielce statecznym, który napadnięty został przez dziwnie złego, wielkiego psa, w warunkach, bardzo mało do obrony przydatnych. Napróżno nieszczęśliwy radca skulony i upłatany we własne szaty, cofając się na los szczęścia, napróżno, mówię, używał najpięszczotliwszych dla przejeżdżania napastnika wyrazów. Próżno wyciągał ku niemu rękę, cmokał i w palce klaskał, powtarzając: „pieseczek! pieseczek! mój psinko nieduży!“ Napróżno głosowi swemu starał się nadać najczulszą i najmiłszą intonację, próżno przemawiał tonem starego znajomego i dobrego przyjaciela, potwór nie dał się przejednać, ani oszukać, i wreszcie kto wie, jakby się cała ona rejterada radcy skończyła, gdyby nie nadeszli ludzie, którzy wprawdzie wyrwali radcę z toni, ale którym też radca dał wielkie i dziwne, a wcale niepoważne z siebie widowisko. Ale takie wypadki, jak z samowarem, są to wypadki, lubo dość często się przytrafiające, jednak niekoniecznie z pojęciem letniego mieszkania związane. Ale dziurawy sufit nad głową, przez który woda w czas dżdżysty przecieka, a niemożność dostania jakichkolwiek zapasów żywności, konieczność żywienia się zakwitłemi na zielono serdelkami, przywiezionemi przed pół miesiącem z Warszawy, ale brak drzew i cienia, tak często dający się widzieć na wsi, a budzący w sercach Warszawiaków tak tęskne wspomnienia o kasztanach Saskiego ogrodu, oto są ciemne strony willegiatury, oto szkopyły, o które rozbijają się najpiękniejsze marzenia żadnych sielskich rozrywek Warszawiaków. Isto-

tnie, kto wyjechał na wieś w nadziei oddychania razem z rodziną, powietrzem sosnowych lasów, a zamiast tego, znajduje smętne szeregi opalonych pieńków, świadczące, że chcąc znaleźć las, trzeba o niego żydów w pobliższym miasteczku rozpytywać, a do Gdańska za nim pojechać; kto przyjechał na wieś, sądząc, że naksztalt sielskich pasterzy będzie się karmił owocami, mlekiem i poziomkami, a zamiast tego, musi skupować najstarsze w całej wsi, że nie powiem: aż zdzieciniałe ze starości kury, temu nie można się dziwić, że tem samem „chwała Bogu!“ którem pożegnał się z Warszawą, wita z powrotem swoje zakurzone meble i swoje biurko do pracy, swe zajęcia i regularny żywot.

Stokroć przyjemniejszym jest pobyt w Warszawie, bo choć to jest sezon ogórkowy, sezon upałów, kurzu, ogólnego omdlenia, ogólnego próżniactwa i senności, to jednak, kto się chce bawić, kto szuka rozrywki, temu z pewnością nie będzie się nudziło w Warszawie.

Ni mniej, ni więcej, tylko jedenaście afiszów, rozlepionych co rano na wszystkich ulicach Warszawy, zaprasza zmęczoną całodziennym upałem publiczność, aby wieczorem śpieszyła do ogrodów i ogródków, gdzie uszy jej paść będą muzyką i śpiewem, oczy przedstawieniami teatralnemi, wdziękami artystek, rozmaitych trup aktorskich, słowem, tem wszystkim, co w mniej więcej rozkoszny lub szalony sposób pomaga do zabicia czasu, od godziny ósmej wieczorem do dwunastej w nocy, o której to godzinie każdy dobry i stateczny obywatel wraca do domu, z rozpiętą dla chłodu kamizelką i kapeluszem w rękę, obcierając przytem spoczone czoło chustką. Krótko mówiąc, jest to karnawał pod gołym niebem. Nad głową gwiazdy i szmer liści, trącanych ciepłym powiewem, a przed oczyma światła gazu, śpiewy, płasy, wyróżzowane twarze, wyczernione brwi i kolorowe pończochy, które także stanowią jedną z cech letniego sezonu.

Chcąc się temu wszystkiemu napatrzyć, wystarcza udać się do któregośkolwiek z teatrzyków ogródkowych: do Alhambry lub Eldorado. Jest to ulubiona rozrywka pewnej części mieszkańców Warszawy; tutaj wieczorami gromadzi się wszystko, co Warszawa ma młodego i wesołego.

Teatra te, zwłaszcza Eldorado i Alhambra, urządzone są nie tylko wygodnie, ale nawet wykwitnie. Dość wykwintne krzesła, pokrycie nad głową, schludna scena i ochocza publiczność: czegoż więcej potrzeba? Teatrzyki te, dziwny dla publiczności naszej mają urok i ponętę. Ileż to w tem wszystkim swobody i jakże barwista ich charakterystyka. Teatr

i bawar, dramat i papierosy, zachwyty sceniczne i noc gwiazdzista nad głową, cóż to za sprzeczne żywioły! W krzesłach, widzowie z kapelusami ponasuwaniem na tył głowy; za baryerą publika prostoduszna, zapalna, ciekawa, wołająca co chwila: „głośniej! głośniej!“ nie ustępująca z placu w ciekawszych miejscach, nawet w czasie ulewy, skłonna do oklasków, a niecierpliwa. Wreszcie, cóż to za mieszanina. Tam młodzi panicze, specjalnie przyszedli dla brylantowych oczu panny Czesi. Rozmawiają właśnie po francuzku, przyczem niedościgniony w rzeczach szyku, prince Lolo, przeciera binokle, a „rozkoszny“ comte Joujou, schwyciwszy się za stopę jednej nogi, zakłada ją na kolano drugiej, pozwalając przytem podziwiać gawiedzi swoje prawdziwe fil d'Ecosse skarpetki; tam kilku szlachty o opalonych, koloru miedzi obliczach i pogodnem wejrzeniu, rozprawia „mości dobrodziejcu“ o cenach wełny, zamiast o sztuce, i o zasiewach, zamiast o aktorach. Dalej grupa kantorowiczów, poubieranych wedle ostatniej mody, w kołnierzyki, jakie się tylko w *Journal amusant* widzieć dają, rozmawia z cicha i tylko od czasu do czasu można usłyszeć w „nacyonalnym langażu“ wymówione: „żewu zasiur Michasz“, albo „antrnsuadi Staszu!“ Dalej kilku literatów; dalej urzędnicy. Za baryerą słyhać narzecz z Franciszkaner-gasse. Tam znów komety z deminondu, chrzęszcząc sukniami i szezebiocząc, rzucają błyskawicowe z czarno obwiedzionych oczu spojrzenia. Gdzieindziej kilku rzemieślników kłóci się z żydkiem o miejsce blisko filaru; nad głową szeleszczą liście drzew, od strony bufetu groźne nawoływania; słowem, mieszanina głosów, języków, warstw społecznych, wychowań, usposobień: istna wieża Babel z ludzi, połączonych ze sobą tylko nadzieją odpoczynku, swobody i rozrywki. To jednak pewne, że nikt się nie bawi tak szczerze i serdecznie, jak właśnie zabaryerowana publiczność.

I tak przemija lato. Z nadejściem jesieni, gdy ci, co wyjeżdżali za granicę lub na wieś, wracają do Warszawy, znów rozpoczyna się życie gorączkowe, teatry, koncerty, rauty, bo Warszawa lubi się bawić, a przepada za życiem towarzyskiem. Co się tyczy tego ostatniego, to i ono, choć mające wyjątkową rację bytu w Warszawie, nie jest wolne od różnych *ale*. Między innemi, dla ludzi, pracujących umysłowo, jest to rzadko kiedy miła rozrywka, a w większości wypadków strata czasu, strata wieczoru, który można by w domu spędzić o wiele przyjemniej i produkcyjniej. Nie brak też tym warszawskim rautom, *jour-fixom* i *five oclock'om* pewnych stron komicznych. Zwrócił na nie uwagę Sienkiewicz w jednej ze swych kronik *Bez tytułu*:

Nadeszły chłodne ranki, chłodniejsze wieczory, i na horyzoncie warszawskiego towarzyskiego życia pojawiły się ruchy jesienne. Czy pamiętasz, czytelniku, te miłe zabawy przeszłoroczne? Owe zwykłe herbatki z tartynkami lub kanapkami, spożywanemi stojący po rogach; owe miłe chwile, w których trzymając w obezwładnionych obcisłemi rękawiczkami dłoniach, za jednym razem kapelusz, spodek i filiżankę, tartynkę lub kanapkę, a nadto jeszcze i wachlarz twej towarzyszki, dawałeś dowody cudownej zręczności i przytomności umysłu, nie tylko nie syknąwszy ani razu z bólu, pomimo, iż nowe lakierki piekły cię niemiłosiernie, ale i nie rozlawszy ani kropki herbaty na suknię damy, z którą musiałeś rozmawiać, ma się rozumieć dowcipnie i wesoło! Otóż błogosławione te czasy nadeszły znowu. Będziemy znów bywali w sposób nie szkodzący bliźniemu, a dobry do zabicia czasu; rozprawiali o najnowszych miejscowych wiadomościach i nakoniec robili kurę (wyrażenie terminowe) damom.

Od czasu, gdy młody Kronikarz *Gazety polskiej*, stawiał takie horoskopy na najbliższą przyszłość, upłynęło ćwierć wieku z górą. Czy wiele, w ciągu tych lat 27, odmieniło się w naszym życiu towarzyskiem? Chyba nie. A to samo, zdaje się, można powiedzieć o życiu i obyczajach Warszawy. Tyle tylko, że na wszystkich polach widać postęp i rozwój...

III.

MIĘSZANINY LITERACKO-ARTYSTYCZNE W „NIWIE”.

(1879—1881).

Wróciwszy w roku 1879 z Ameryki i Europy zachodniej do Warszawy, rozpoczął autor *Listów z podróży* niebawem ten sam tryb życia, jaki tu był prowadził dwa lata temu, przed wyjazdem, mianowicie: znów się wmieszał w wir życia literacko-dziennikarskiego, na którego szarem tle ogłaszane przezeń od czasu do czasu nowelle, były w jego zawodzie pisarskim uroczymi oazami wśród męczących piasków pustyni. Egzystencya podobna, jałowa a wyczerpująca, nie uśmiechała się bynajmniej autorowi świeżo wydanego w *Niwie* fragmentu *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela*, z jakim zaś brakiem zapалу wprzęgął się na nowo do publicystycznej taczki, o tem najwymowniej świadczy początek jego *Mieszanin literacko-artystycznych*, których dział objął teraz w *Niwie*.

Od czegoż bowiem zaczynała się pierwsza z tych „mieszanin“, będąca jakby prologiem do następnych? Oto od żalostnej skargi na dołę kronikarza-feljetonisty. „Nie mam bynajmniej zamiaru, były pierwsze jej słowa, pisywać kronik o wszystkim. Przed kilku laty zmęczyłem się tak owem przyrządzaniem stylowych *hors d'oeuvres* w rozmaitych dziennikach tutejszych, że zawiesiwszy pewnego poranku chochlikową lutnię, nie oparłem się, aż w kalifornijskich pustkowiach“. To był główny powód, dla którego Litwos (bo wciąż jeszcze osłaniał się przyłbicą tego pseudonimu) pragnął ograniczyć zakres swych „mieszanin“ do rzeczy tylko literackich i artystycznych, bo, prawdę powiedziawszy, wszystko, co nie było sztuką lub literaturą, nudziło go niemiłosiernie... Niezależnie od tego, uważał, że

w *Niwie* obowiązku takiego pisania o wszystkim nie mógł przyjąć z dwóch przyczyn: przedewszystkiem dlatego, że dział ten powierzony był pieczy Jacka Soplicy, „własatego Bekwarka“, „pułkownika“ Olędzkiego, a następnie, że nie zdawało się Sienkiewiczowi, „by wir społeczny leciał tak na złamanie karku po pochyłości radykalizmu, żeby aż trzeba było dyrdać za nim i krzyżeć: Tprrru! podkładać pod koła dokumenty, wymagane tylko u kanoniczek“... Po trzecie, nie miał humoru do pisania podobnych rzeczy. „Jestem raczej, jak ów Tomek z *Króla Leara*, bo zimno mi pod każdym względem: rzeczywistość, z którą musi mieć do czynienia kronikarz, jest, jak zwykle, szara, bezbarwna, smutna, często jałowa; niech więc uprawia sobie tę rolę, kto chce; ja nie mam siły, ani ochoty i będę mówił o czem innem“. O czem? Głównie o książkach, o teatrze, o malarstwie. „Ach! jest przecie inny świat, świat myśli i wyobraźni, zapomnienia, ucieczki. Pewien mój przyjaciel utrzymuje, że literaci są solą ziemi. Według mego zdania: jeżeli nie literaci, to przynajmniej książki. Gdy się ktoś zaczyta, zawsze albo się czegoś nauczy, albo zapomni o tem, co mu dolega, albo... zaśnie: w każdym razie wygrywa“.

Pierwszą książką, którą Sienkiewicz omówił w tej swojej pierwszej „mieszaninie“, był pierwszy, świeżo wyszły właśnie „z gebetnerowskiej kuźni“ tom pism... Henryka Sienkiewicza, tom, zawierający *Starego sługę*, *Hanię*, *Szkice węglem*, i *Janka muzykanta*. O książce tej, która stała się wówczas największym ewenementem literackim, miał autor jej w *Niwie* tyle tylko do powiedzenia:

Jakkolwiek nie wypada mi mówić o niej, nie mogę jednak oprzeć się uczuciu pewnej dumy na myśl, że przy nadchodzących świętach (Bożego Narodzenia) i rosnącej potrzebie na papier pod placki, zdołam w najgorszym razie oddać niezaprzeczoną usługę naszym gospodyniom. Ej, Haniu! posmaruj cię masłem, na czem, w porównaniu z swoim autorem, wyjdiesz o tyle dobrze, że jeśli i jego chciano przyprawiać, to zawsze tylko z pieprzem i octem, a próbowano jeść na zimno. Ale to wszystko jedno!

Książką, która w tej pierwszej „mieszaninie“ Litwosa została omówiona najobszerniej, była komedia Asnyka, *Przyjaciele Hioba*“. Sceptycy twierdzą, że dzisiejszym Hiobom, nawet psy własne nie chcą lizać ran, a przyjaciele najchętniej w nich wiercą“. Asnyk, wnosząc z jego komedyi, także zdawał się być jednym z tych sceptyków. Bądź co bądź, jeśli „do pewnego stopnia, kluczem do zrozumienia książki jest osobistość jej twórcy“, to Asnyk, zdaniem Sienkiewicza, jest istotnie taki, jak jego utwory.

Włócząc się po świecie, zetknąłem się z nim zaprzeszłego lata. Siedzieliśmy obaj na brzegu morskim w zapadłym kącie normandzkim, zwany Grand-Camp.

Jest to miejsce niby kąpielowe, ale ciche, mało znane, mało uczęszczane, poprostu wioska rybacka na piaszczystym wybrzeżu, otulona w drzewa i mgły; miejsce nudne! Przyjeżdżają tu mieszczanie z Bayeux dla kąpeli i jacyś rzekomi artyści z Caën, dla zdejmowania widoków morskich, które zresztą zdejmują sposobem fotograficznym, mianowicie, siadając nieostrożnie, w białym ubraniu, na miejscach wilgotnych.

Niema tam co innego do roboty, jak chodzić po brzegu; chodziliśmy więc z Asnykiem nieraz do późnej nocy.

Miało to swój urok. W miesiącach letnich noc zaczyna się zwykłe pogodna i widna, ale już koło godz. 10 mgły zaczynają powstawać z wody. Po osadach zapalają latarnie dla spóźnionych rybaków. O godz. 11 widzi się, jak zarysy masztów i czarne sylwetki statków topnieją i topnieją coraz bardziej, światła w latarniach bledną, tuman z morza wznosi się coraz wyżej i stopniowo zakrywa księżyc i gwiazdy; wszystko zlewa się, łączy, łączy; mgła staje się coraz gęstsza, a wreszcie oko nie przebija już tej gęstej, wilgotnej opony, wśród której płucem ciężko oddychać, a najbliżej nawet stojące postacie ludzkie mają niepewny kształt cieniów. Morza wcale nie widać, słychać tylko jego szum, jakby tajemnicze jakieś wołanie z przestrzeni i ciemności. Zdaje się wówczas, że to nieskończoność tak woła. Noce podobne, rozmarzają i usposabiają do szczerzych rozmów, prowadzonych cichym głosem. Człowiek wówczas chętnie wypowiada, co myśli o naturze, życiu i jego zagadkach.

W takich rozmowach poznałem bliżej Asnyka. Jest to dusza nieco posepna, owiana jakby mgłą melancholii i głęboko uczuciowa. Usposobienia takie lubią zamykać się w sobie, czego przyczyną bywa wielka wrażliwość, jakby w kwiatach mimozy. Z tegoż źródła płynie czysto już estetyczna zdolność do odbijania najsztudniejszych uczuć, najłżejszych odcieni między pięknem a brzydotą, słowem, wykwintność myśli, która

też stanowi jedną z cech tego poety. Utwory jego misternością formy przypominają dzieła Benvenuto Cellini. Słowa tak są wyrzeźbione starannie, że nic niema w nich nieobrobionego, szorstkiego, rzuconego w masach, nic nie wyskakuje chropowato. Nawet gdy poeta mówi o miłości, miłość, lubo idzie z głębin, jest raczej głęboką tęsknotą, serdecznem a smętnem wołaniem duszy na duszę, nie huczącym płomieniem; nawet ironja jest więcej żalem, niż zgrzytem. Realizm szorstki, typowy, powszedni, to nie rodzaj Asnyka. Poeta w rzeczywistości jest takim samym lirycznym, jak w pieśniach... Postacie jego mają plastyczne dusze i uczucia, nie ciała. Graniczy to może z mistycyzmem. Jakoż Asnyk ma w swojej zadumie pewną do niego skłonność. Poglądy jego na naturę stoją mniej więcej tam, gdzie jest granica między panteizmem a mistycyzmem. Gdyśmy chodzili nad morzem, wśród nocy, wydawało mi się nieraz, jak gdyby wyraźnie odczuwał i szukał jednej ogromnej a tajemniczej duszy fal, przestrzeni, ciemności. Gdyby przy tej samej wyobraźni, przy tem samem usposobieniu, mniej miał wykształcenia, gdyby nie żył w dzisiejszych czasach, zamieszkałby niezawodnie w krainie przeczuć, jasnowidzeń, duchów, oderwanych idei. Być może nawet, iż owa rozterka między pozytywną wiedzą, a nieokreślonymi porywami do czegoś, co jest tajemniczą zagadką, jest jedną z przyczyn jego posępnego usposobienia. Jeżeli walka istnieje, prowadzi zawsze za sobą zmęczenie. Rozum Asnyka, uderzony postępem wiedzy i nowymi prądami, mówi tym, co by je chcieli powstrzymać: „Wy nie cofnicie życia fal!... Świat pójdzie swoją drogą!“ A jednocześnie dusza, na skrzydłach wyobraźni leci hen, gdzieś w krainę pozaświatowych blasków, i ucieka od wszystkiego, co jest rzeczywistością i co się wierci „w prochu tej ziemi, jak robak najlichszy“. Dla wykończenia portretu, dodam, że Asnyk jest i człowiekiem i poetą wielkiej prostoty. Na pozór, trudno to pogodzić z wykwintnością, ale w gruncie rzeczy jedno drugiego wcale nie wyłącza. Trudno nap. znaleźć coś, bardziej wykwintnego w formie, a prostszego w uczuciu, jak ów wiersz: „Razu pewnego przy młynie“... lub ten drugi, którego początek pamiętam i przytaczam:

Gdybym był młodszy, dziewczyno,
Gdybym był młodszy,
Piłbym natenczas nie wino,
Ale ust twoich najśłodczy
Nektar, dziewczyno.

To jesień mężka woła na dziewczęcą wiosnę: jesień z pajęczemi nitkami wspomnień, pływających się w błękitie: pogodna, cicha, ale zarazem, jak mówi Pol, rzewna i smętna: przeziroczą pogoda nie wyłącza w niej smutku. Palce poety grają na anakreontowej lutni pieśń tęsknoty i rezygnacyi, z grecką prostotą, ale zarazem rzeźbią z greckiem mi-

strzostwem. Słowa początkowe wracają, jakby echem, w wierszu ostatnim, a są, jak perły kunsztowne, albo jak kwiaty. Mimowoli bierze ochota zastosować do poety wyrażenie starożytnych: „Ty pszczołko z Ha-likarnasu, z kwiatów tylko miód wysysasz“.

Po tym mistrzowskim „portrecie“ Asnyka, skreślonym przez jego towarzysza wieczornych spacerów nad morzem w Grand-Camp, następowało dokładne streszczenie *Przyjaciół Hioba*.

Hiobem, jest utalentowany malarz Gwido Renicki, bajką, walka jego z ubóstwem i ludzką niewiarą. Opatrzność lubi, jak wiadomo, doświadczać swych wybranych, co zresztą jest pewną pociechą dla skromności twojej, czytelniku, i mojej, albowiem jeżeli chodzi tylko o wybranych, tedy możemy być spokojni. Ale Renicki był solą, nie prochem ziemi. Miał talent, przyjaciół i anioła, albo mówiąc pozytywniej, żonę piękną, kochającą, która poszła za niego, wbrew woli rodziców, zatem, z czystej miłości. Przy tych warunkach byłby szczęśliwym, gdyby nie to, że był ubogim: dla tej ostatniej przyczyny talent jego rdzewiał nieuznany, przyjaciele go opuścili, żona zaczęła się poświęcać t.j. pracować na niego i na siebie, t. j. zaledwie śmiem napisać: przestawała go kochać. Ostatnie to zdanie wygląda na sofizmat, a jednak nim nie jest. Nieszczęścia człowieka, który nie jest pospolitą, a któremu się nie nie wiedzie, mają to do siebie, że budzą litość, a litość tak korzy i rozkłada choćby największą miłość, jak rdza żelazo. Gdy Leonia wbrew woli rodziców oddawała rękę Gwidonowi Renickiemu, to dlatego, że widziała w nim orła, który ją porwać miał gdzieś na wyżyny i w chmury. Tymczasem rzeczywistość zawiodła nadzieje. Każdy dzień, każda lekcya, za którą biegła na miasto, uczyła ją, że orzeł nie był orłem, że był to biedny jakiś, o połamanych skrzydłach ptak, który nie umiał się wzbić. W nim samym, widziała zwątpienie, w twarzach jego przyjaciół pogardę, więc jako kobieta szlachetna, poświęcała się jeszcze; ale miłość nie mogła się wobec tego poświęcenia ostać. Nad Hiobem można się litować, ale uwielbiać go niepodobna. Zresztą, tak chce mieć i poeta, bo oto Leonia staje się dla Gwidona surową, wyniosłą, choć sama nie wie, że tak jest. Mimowoli mierzy go łokciem własnej cnoty i własnego poświęcenia, a on pozornie nie pasuje do tej miary. Poeta nazywa go „cieniem, który rośnie“. Zresztą wszystkie pozory zwiększają ten cień. Gwido czuje, że tonie, ale nie przestaje się jeszcze ratować: pracuje w tajemnicy dzień i noc nad wielkim obrazem, który może go jeszcze zbawić, powrócić mu spokój, sławę i gasnącą miłość żony. A tymczasem przyjaciele Hioba szepcą żonie: on pić zaczyna, on spędza dni i noce poza domowym

progiem, na hulankach i rozpuście; potem, gdy pierwszy cień wątpienia padł na tę szlachetną duszę kobiecą, obniżają wartość Hioba, szarpia jego przeszłość; kropla za kroplą wpuszczają między tych dwoje truciznę, kłamstwo, a on resztę sił traci na pracę, która mu ma wrócić ukochane serce i „cień rosnący“ rozproszyc. Czy on wie, co się koło niego dzieje? czy czuje? czy rozumie? Tak, ale się nie broni. Lew ranny, kryje się do jaskini i cierpi w ciemności, by nikt nie dojrzał bólu na królewskim czole. Walczyć z tymi, którymi się gardzi, dla pewnych dusz jest niepodobieństwem. Gwido liczy na swój obraz, liczy, że tę iskrę bożą wyjątkową, jaka tli się w jego duszy, zdoła rozdmuchać, że wypłynie czysty ponad męty, i dopiero, gdy i w to zwątpił, gdy przyjaciele odebrali mu wiarę, zarazem w siebie i w miłość Leonii, dopiero wtedy wkłada do ust lufę pistoletu. Ale błogosławiona ręka kobieca zatrzymuje go w porę. Szlachetne serce Leonii mogło zachwiać się w miłości, ale nie mogło zdradzić: (Leonia przyrzekła Gwidonowi wiarę, i szczęśliwa lub nieszczęśliwa, wierząca lub wątpiąca, wiary dotrzyma. Gdy pewien przyjaciel Hioba, zapragnął kosztem Hioba siebie wprowadzić do serca Leoni, sztuczna budowa intryg i potwarzy runęła mu na głowę i Leonia nie tylko oparła się pokusie, ale poznawszy, czem są przyjaciele, poznała zarazem, że ten Hiob zbolaty i nieszczęśliwy, jest jednak wyższy i czystszy, szczerzy od nich, i „cień rosnący“ rozplął się we łzach i wzajemnem przebaczeniu. Sprawił to przyjaciel, ale nie jeden z Hiobowych, jeno prawdziwy, bo sam nieszczęsny. Potem na pogodny widnokrąg małżeński weszło słońce sławy Renickiego: obraz tryumfował, Hiob stał się znów dawnym orłem i... *finita la comedia*.

Sceptycznie zapatrującemu się na życie, kronikarzowi *Niwy*, wydało się podobne zakończenie dramatycznej kolizyi wielce optymistycznym. Dlatego też, streściwszy sztukę Asnyka, nie mógł się opędzić pytaniu: coby się stało, gdyby nie owa jedna uczciwa dusza cygańska? coby się stało, gdyby Renickiego talent nie wybił się na wierzch? „Książka, gdy tak autorowi się podoba, lepsza jest, niż życie, dlatego właśnie, że nie mówi, coby było, i jeszcze dlatego, że Leonia książkowa często tak się ma do życiowej, jak poezya do rzeczywistości“. Nie chcąc wnosić zwątpienia w świat asnykowskich postaci, poprzestał Sienkiewicz, żywiąc w głębi duszy hamletowskie przekonanie o kobiecie, na konkluzyi, że byłby to prawdziwy pesymizm mówić: szatan taki czarny, jak go malują, ale anioł nie taki biały. „Kto cię wie, aniele! Zresztą,

dobrze, że świat białych aniołów istnieje chociaż... na papierze, *His oblivia vitae est*: dusze umęczone, wchodźcie!“ Co się tyczy literackiej wartości *Przyjaciół Hioba*, to przyznaje się krytyk, że gdy ich skończył czytać, powiedział sobie: profile i nie więcej, profile zaledwie zarysowane. W stosunku ich brak perspektywy: twarze jednostajne, bez cieniów, jakby twarze Anioła z Fiesole lub Giotto. Dopiero później, powiada, upatrzył w tem wdzięk pewien. „Dojrzałem, że te proste zarysy kreśliła nie tylko bardzo wykwintna, ale i bardzo szczerza ręka. Zdawałoby się, że pocięte umyślnie chodziło o tę niemal naiwną prostotę rysunku, że chciał wypowiedzieć kilka uczuć, uchwycić stosunek życiowy przyjaciół Hioba do Hioba, a raczej przenieść tylko starą prawdę na grunt dzisiejszy“.

O ile bohater dramatu Asnyka był człowiekiem niepospolitym, charakterem żelaznym, artystą, który, jako wybraniec na ziemi, czuł swoją wyjątkową „królewską wartość“, o tyle ten, co się urodził *pod szczęśliwą gwiazdą* w powieści Stan. Grudzińskiego, był sobie człowiekiem zwyczajnym, biednym, cichym, młodym, a nadłamanym już pracą, niedolą, bez charakteru wielkiego i sił, „słowem, safandulą, któremu nie się nie udawało w życiu“. Zdając w *Niwie* sprawę z tej powieści, Sienkiewicz przyznał się swym czytelnikom, że i jemu często wiodło się nieszczególnie... „Ty, o Boże, pisał, strzeż safandulów, bo ja im tylko mogę współczuć, jako zapisany do tegoż samego cechu“. Dzięki temu, wiedział i on z własnego doświadczenia, że „co boli, to boli tak safandulę, jak i nie safandulę“. Co się tyczy bohatera z *pod szczęśliwej gwiazdy*, to tragedją jego stało się to, co Heine nazywa, *eine alte Geschichte*: złudzony blaskiem pewnej wiejskiej gwiazdki, która mu zaświeciła na chwilę, omal nie runął w przepaść, gdy ta gwiazdka zaczęła świecić innemu.

Był on guwernerem i naturalnie kochał się w siostrze swego ucznia. Ona nudziła się na wsi, zresztą młode ptaki próbują latać, młode panny głowy zawracać. I jedne i drugie uprawiają tylko swoje rzemiosło; panny czynią to także trochę dla wprawy, a trochę dla nerwów i przez nerwy, co ową działalność robi o tyle szczerą, o ile nieobowią-

zującą. „Szesnastoletnim dwóm się zbliżyć licom pozwólcie!“ mówi Słowacki. Otóż bohaterka Hanka miała lat szesnaście, a bohater Feliks nie miał żadnej ochoty nie pozwalać na poetyczne zbliżanie się dwóch lic. Więc zaczęło się od wymownych spojrzeń, długich uścisków ręki, potem ona zapewne przyrzekła, iż mu nie zrobi krzywdy i... *alte Geschichte!* kochali się wzajem dopóty, dopóki nie trafił się bogatszy konkurent. Słuchajcie, wy, którzy w aniołów na ziemi wierzycie: miłość młodej dziewczyny, to mgła, która zaćmiewa głowę; jeżeli opadnie na sercu, prowadzi za sobą pogodę życia dwóch istot; jeśli nie opadnie, ale zostanie w głowie, pada deszcz łez z oczu tego, który w anioła uwierzył. Gdy się to stało, Feliks zaczął rozpaczać. Utracić miłość ukochanej istoty jest zapewne bardzo nieprzyjemnie... Ale bohater Feliks, nie tylko pocieszył się, ale nawet ożenił ze starą, bogatą panną. Niech co chce będzie: korzystniej jest być safandulą.

Słabą strony powieści tej jest sama fabuła „osnuta na stosunkach tylokrotnie powtarzanych“, ale niepodobna odmówić jej zalety, że w postaciach jej krąży krew, że nie są to „autorskie myślatka“, jeno żywi ludzie, że, napisana z werwą, zawiera kilka udatnych szkiców figur wiejskich, kilka widoków; a że jej główna postać Hanka, zarysowana oryginalnie i niepospolicie, kończy pospolicie, to już, zdaniem recenzenta, nie tyle wina autora i bohatera, ile urzędzenia świata tego.

Bądź co bądź, można się wogóle poskarżyć trochę na brak we współczesnej literaturze powieściowej charakterów oryginalnych, na brak ludzi z piersią nie na miarę krawca, lecz Fidyasza! Ale to się tłumaczy nowym kierunkiem powieściopisarstwa, a raczej jego skrajnością. „Powieść, zdaniem autora *Hani*, zwróciwszy się do rzeczywistości, stała się ostrożniejszą w tworzeniu postaci posagowych, niż rzeczywistość sama. Tak się stało we Francyi i u nas. We Francyi brak nie tylko ludzi w powieściach, ale nawet i idei. Stosunek męża, niewiernej żony i przyjaciela, to wieczny temat dla powieści. Dotychczas młocą tę słomę, która wydaje tylko plewy“. Chlubnym wyjątkiem od tej reguły jest Alfons Daudet, którego świeżo wydani *Królowie na wygnaniu* właśnie znaleźli się na biurku Litwosa.

Jest to pyszna książka, na nieszczęście tylko, trudno już dziś postawić się na stanowisku działających w niej osób, trudno przejąć się

ich rolę, trudno odczuć wielkość ich nieszczęść. Trzeba się chyba sztucznie do nich nastrajać, nawet we Francyi. Czyta się więc bez wrażenia, bez serdecznych drgań duszy, i kończy się chłodno. Co *nam* do tego wszystkiego? Ramionami wzruszamy nad tym światem i mówimy: szkoda dla niego poświęceń. My mamy swoje dogmaty, swój ideał takiego blasku i majestatu, tak święty i ukochany namiętnie, że gdy w niedoli osobistej, w zawodach i rozczarowaniach prywatnego życia, w umęczeniu codziennem myśli, wróci się ku niemu, to człowiekowi się zdaje, że jego własne gorycze maleją, i zapomina o nich, i płakać mu się chce, i w końcu zdaje mu się, że lepszy jest, że już wniebowzięty, odkupiony i zbawiony...

Ponieważ te Sienkiewiczowskie „mieszaniny“ miały być nie tylko literackie, ale i artystyczne, więc zaraz w pierwszej znalazła się także wzmianka, o świeżo zmarłym Gotlibie. Była to „gwiazda na widnokręgu malarskim, po której spodziewano się niemało blasku, a która zgasła zawczasie. Kilka obrazów, kilka szkiców niewykończonych, oto co zostało po tej duszy czującej głęboko“. Na szczęście nie była to jedyna gwiazda na naszym artystycznym firmamencie, a właśnie w chwili, gdy Sienkiewicz pisał zakończenie swej pierwszej „mieszaniny“, na scenie warszawskiego Teatru Wielkiego „świeciło słońce w pełni sił, żywotności i blasku“: występowała Modrzejewska, opromieniona aureolą tryumfów, na scenach angielskich i amerykańskich. Kończąc swą kronikę, wypowiedział Sienkiewicz, imieniem wszystkich wielbicieli słynnej artystki, „by na jej duszy wrażliwej, pobyt w kraju, słodkie tylko wycisnął wrażenia“.

Starać się o to, jest wprost obowiązkiem naszym, płynącym z poczucia sprawiedliwości. Modrzejewska tu pracowała przez lat kilkanaście, podniosła instytucję, wyszlachetniła repertuar i smak publiczny, podniosła szacunek dla sztuki i w nas i w aktorach, którzy, chcąc nie chcąc, musieli dostosowywać się do niej... a nakoniec mimo powodzeń, sławy i uznania, którem otoczono ją za granicą, wróciła do dawnego gniazda. Tu nikt nie zapominał, czem była i czem jest wielka artystka. Wobec tego przekonania, wobec poczucia, że ona sławy nam przyczynia, a sercem nie opuszcza, choć tysiące rąk wyciągają się do niej za Oceanem, nie ostoja się ci, którym wielkość i sława artystki solą w oku się wydaje. Gdzie mówi całą pierś publicznosc, tam mileczeń musi klika; ina-

czej bowiem może się zdarzyć, że technienie piersi ogólnej pójdzie na klikę, jak na świecę, i zdmuchnie.

Przejęty uwielbieniem dla Modrzejewskiej, poświęcił jej Litwos, w styczniu 1880 roku, połowę swej kroniki, to zaś, co napisał pod wpływem jej genialnej gry, należy do najświetniejszych kartek w jego ówczesnej twórczości.

Kronikę tę zaczął autor od osobistego wspomnienia z czasów swego pobytu w Ameryce, a to wspomnienie, to jedna z najciekawszych kartek z życia Modrzejewskiej, a zarazem jeden z cenniejszych klejnotów Sienkiewiczowskiej prozy opisowej.

Wrażenia, jakie się odbiera w podróży, są jak kwiaty, zasuszane w zielniku: zachowują swój kształt, ale tracą barwy i stopniowo blednąc, stają się w końcu cieniem. Kwiat jednak, raz uwieźdły, nie odzyskuje barwy ni woni, a ze wspomnieniami dzieje się, jak z zapomnianą piosenką: niech do ucha jeden takt doleci, a odrazu przypominają się i słowa i nuta. Pamięć jest echem: trzeba tylko, by je jaki głos rozbudził, a wówczas człowiek na nowo słyszy, widzi i pamięta.

Przypominam sobie oto w tej chwili pierwsze wystąpienie Modrzejewskiej w San-Francisko i wszystko, co mu towarzyszyło. Widzę noc gwiaździstą kalifornijską, oświecony jasno budynek teatralny, tłumy publiczności, płynące do przedsionka, i gromadki Polaków, zebrane przed teatrem, nastrojone poważnie i uroczyście. Każdy z rodaków wiązał z tem wystąpieniem nie tylko nadzieję przyszłych powodzeń Modrzejewskiej, ale i część miłości własnej narodowej; dlatego w każdym sercu odbywała się walka między wiarą w talent artystki a świadomością, na jaki trudny krok się odważyła. Wystąpić na drugiej półkuli, w obcym języku, po ośmiomiesięcznej nauce, wystąpić wobec publiczności nieznannej a szorstkiej, i wystąpić nie jako debiutantka, ale jako wielkość i gwiazda uznana, mająca wybór tylko między tryumfem a upadkiem, było to istotnie szczytem energii i woli, prawdziwym naprężeniem geniuszu, który po cesarowsku rzuca kości ze słowami: *aut Caesar, aut nihil*. Pod tem wrażeniem weszliśmy do teatru. Potem, pamiętam, w drugim akcie *Adrianny*, wśród ciszy oczekiwania, ukazała się Modrzejewska. I nie wiem, co wówczas czuli inni, czy jeszcze były obawą serca; wiem tylko, że dla mnie ukazanie się jej było jednoznaczne z tryumfem. Gdy tylko weszła, już byłem pewny, że bitwę wygra na wszystkich punktach. Przedtem nie widziałem jej oddawna, bom siedział w lasach, i na wystąpienie umyślnie przybyłem do San-Francisko: a więc, gdym wówczas zobaczył tę królewską postać, tworzącą na ciemnem tle sceny artystyczny obraz, ten

proh! grecki, harmonijny i spokojny, gdym usłyszał ów głos, drgający uczuciem i słodyczą, na myśl, sam nie wiem skąd, przysły mi słowa Oktawa Feuilleta: „Roswejnie, Bóg ci dał wszystko!“ i uspokoiłem się zupełnie. Komu „Bóg dał wszystko“, ten musi zwyciężyć: jest to nie jego szczęściem, ale prawem. Potem też, gdym usłyszał oklaski i krzyki, do jakich tylko ręce i piersi Far-Westu są zdolne, przyjąłem to jako rzecz naturalną i pomyślałem: tak było w Warszawie, tak jest w San-Francisco, tak będzie... w Warszawie.

Nie omyliłem się. Artystka, jako kometa, zakreśliła łuk świetlisty od Oceanu Spokojnego aż do Europy; za nią, jak warkocz za kometą, biegł rozgłos, pochwały, podziw i, lepsza od tego wszystkiego, wdzięczność ludzka za chwile jasne i wyższe, których dostarczyła tym, co na nią patrzyli, a potem... Potem artystka przestała być kometą.

Nie wiem, czy w górach jakich, czy nad oceanem, obudził się w niej instynkt ptaka wędrownego, który wraca do gniazda; dość, że wróciła i ona. *Italiam lato socii clamore salutant...* Jakże zaś wzajemnie zgotowano jej powitanie, o ile moje kalifornijskie „tak będzie i w Warszawie“ sprawdziło się już w rzeczywistości: o tem pomówimy.

Prometeuszowy dar zwyciężył. Niezawodnie Modrzejewska, wyjeżdżając z Warszawy, zostawiła tylko przyjaciół w publiczności i krytyce; jeśli zaś tu i owdzie współzawodnicza niechęć lub zazdrość słały za nią życzenia nienawiści, to o tego rodzaju uczuciach nie chcę mówić, sądzę bowiem, że atrament w moim kałamarzu może się przydać na coś lepszego. Z drugiej strony jednak niepodobna zaprzeczyć, że jej tryumfy zagraniczne zahaczyły tu i owdzie niejedną miłość własną, nawet w naszej publiczności. Każdy z nas jest krytykiem, choćby dla siebie samego; a że przytem, po skończeniu pewnej ilości klas, ma się prawo być sceptycznym, każdy więc, nawet ze szczerych wielbicieli Modrzejewskiej, przyznając jej wyjątkowy talent, czynił pewne zastrzeżenia: to mu się podobało, a owo mniej; gdyby był Modrzejewską, niejedno grałby inaczej; gdyby ją znał, zaraz by jej otwarcie powiedział, że, jego zdaniem, w takich a nie innych sztukach powinna występować. Słowem, stało się modą nie przechodzić w sądach poza pewną miarę, pod karą wykluczenia z warszawskich *esprits forts*. Tymczasem cóż się stało? Oto szeroka, samodzielna, stołkroć liczniejsza i nie na żarty oświecona publiczność i krytyka bez wahania przeszły ową miarę: artystka, znana tylko w Warszawie, stała się artystką, znaną w całym świecie; poważne głosy postawiły ją obok Racheli i Ristori, wogóle zaś uznano ją za jedną z największych żyjących znakomitości scenicznych. Że wobec tego miejscowemu sceptycyzmowi zrobiło się jakoś głupio na sercu, łatwo zrozumieć. Ale cóż było robić? Należało albo dać za wygraną, albo *faire bonne mine*. Nic naturalniejszego, że chwyceno się tego ostatniego środka i namyślnie napompowano się powagą, wykrochmalono chłodem, zapięto

się pod szyję w szale surowości... i sceptycyzm poszedł na pierwsze przedstawienie w sceptyczniejszym niż kiedykolwiek usposobieniu. Jak mu było źle na *Adryannie*, Ty jeden wiesz, o Boże! równie jak i to, że jeszcze gorzej na *Julii*; na *Cudzoziemce* zrobiło mu się zupełnie słabo, a na *Damie Kameliowej* nie mógł już wytrzymać i rozbeczał się jak student. A cóż teraz będzie? Udawaleś, o sceptycyzmie, Bóg wie co, a beczaleś, samem widział? Czemuż udajesz?... Wobec tego, można grać teraz w odkryte karty i mówić szczerze. Założyłbym się więc, że dałbyś nie wiem co, gdyby Modrzejewska wyrzekła się roli Krzysztofa Kolumba i została raz na zawsze na scenie warszawskiej, jako jej duchowa przewodniczka i najcelniejsza ozdoba.

Niestety, Modrzejewska zostać nie mogła, bo w takim teatrze, jak warszawski, nie może zostać artystka, „która musi czuć przy ramionach coś nakształt skrzydeł“. Okazuje się, że już wtedy, jeszcze za życia Żółkowskiego i Królikowskiego, coś się psuło w warszawskim teatrze, że już wtedy pozostawał on, jako świątynia sztuki, bardzo wiele do życzenia. „Nikt nie ogarnia sił tej sceny, nikt nie robi sobie zadania życia z podniesienia jej na stanowisko pierwszorzędne w Europie. Jeśli widać na niej jakiś ruch, ruch idzie z dołu; góra ziewa i *ambetuje się*. Karność jest przestrzegana nie względem sztuki, ale względem indywiduów. Jest ona rodzajem musztry. Im wyżej zadziera nogi Terpsychora, tem niżej opuszczają głowy Talia i Melpomena“.

Trzecia „mieszanina“ Litwosa, poświęcona *Księdze pieśni* Heinego, z powodu wyjścia jej polskiego przekładu, dokonanego przez Kraushara, należy do najlepszych.

Ponieważ Heine, jak się o nim wyraził w przedmowie jego polski tłumacz, wszędzie szukał harmonii i piękna, a między innemi, i przedewszystkiem, w sercu kobiety, więc okoliczność ta nasunęła Litwosowi szereg refleksyi, na temat miłości poetów, a refleksye te są tak dowcipne, iż warto je po 20 latach znów wielbicielom autora *Krzyżaków* przypomnieć.

W sercu kobiety nie tylko szukał, ale i nie znalazł. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak nazwać tę historję zmarnowanych usiłowań: powszednią, czy wyjątkową? Kiedy pomyślę, że niema prawie ani jednego poety, któryby nie odebrał listu, że ona idzie za mąż za jakiegoś oby-

watela wiejskiego lub miejskiego z mniej więcej czystą hypoteką, wówczas: 1) dziękuję Panu Zastępów, iż nie jestem poetą, 2) ubolewam, że nie jestem wiejskim lub miejskim obywatelem, a 3) historia wydaje mi się tak powszednią, tak starą i powtarzającą się bez końca, jak następstwo nocy po dniu. Biografowie poetów mogliby mieć pozostawione w życiorysach puste miejsca. w które należałoby tylko wpisać w swoim czasie imię nieszczęśliwego i tej, która zdradziła. Z drugiej strony, jak tu nazwać powszedniemi, dzieje złamanych serc, skoro te serca należą do wybranych, a właśnie filistrowie, nie tylko wychodzą cało z miłosnych klęsk, ale żenią się, mają dzieci, żyją długo, a w końcu, opatrzeni etc... przechodzą w spokoju do spoczynku wiecznego, przyczem zwykle „stroskana żona, zaprasza krewnych i przyjaciół...“ Za poetyczną trumną rzadko kiedy idzie „stroskana żona“. Dlaczego tak bywa, nie umiem wyjść z wątpliwości, a co gorzej, mógłbym z nich wyprowadzić pewne wnioski, na niekorzyść poezji wogóle... Od czasu, jak Aspazya po śmierci Peryklesa, wyszła za handlarza wołami, poeci powinni być doprawdy roztropniejsi, ale widać cięży już nad nimi jakiś fatalizm. Z pewnego punktu widzenia, rzecz mogłaby się wydać bardzo śmieszną, boć jeśli orzeł łapie się na lep, na któryby pierwszy lepszy szczygieł wziąć się nie dał, świadczy to wprawdzie o różnicy między orłem a szczygłem, ale na korzyść pierwszego nie przemawia. Gdybym był poetą i miał na zawołanie Orfeuszową harfę, to myśląc o tem, targałbym jej struny w złości. Na Jowisza! Co to za dziwny objaw w dziedzinie ducha! Słuchajcie tylko: z jednej strony jakaś Anielecia, Zosia lub Ludka; lat dwadzieścia, włosy jasne, oczy niebieskie, wzrost mierny, stanik mierny, nos i broda mierne, inteligencya mierna, trochę fortepianu, świadectwo z pensyi, usposobienie lekko poetyczne, dużo fałszywego apetytu, skłonności do roli anioła... w braku innego zajęcia, serce... w lewym boku, na sumieniu kilku studentów różnych fakultetów; z drugiej strony Mickiewicz, Słowacki, Musset, Heine. Pensyonarka, prowadząca na nitce Prometeusza! Dziwne, kankanowe zestawienie, a sytuacya godna Buffy Offenbacha. A jednak wielki samotnik daje się prowadzić, bo kocha; i oto dramat rozpoczęty. Olbrzym robi się dla dziewczyny zwykłym śmiertelnikiem. By nie przerastać jej głową, kładzie się u jej nóg, sam staje się dzieckiem, zbiera kwiaty, a z niemi razem jej uśmiechy i wejrzenia, rozpamiętywa słowa, staje pod jej oknami jak student, błagalnym wzrokiem spogląda na jej rodziców i krewnych, zrzekłby się wszystkiego dla niej: sławy, wielkości, duszę by oddał na potępienie, ciało na męki. On, który ogarniał sercem świat cały, on, który kochał piękno boże, ludzkość, naturę, słońce, błękitną głębinę nieba, majowe blaski, róże rozkwitłe, tajemną muzykę przyrody, woła, omdlały i osłabły z miłości, przy ukochanych nogach dziewczyny: „Ich liebe sie nicht, ich liebe alleine: die Kleine, die Feine, die Reine, die Meine!“ Co w tobie jest? Jakąż siłą

tajemną obdarzyło cię, dziewczyno, przeznaczenie, że dusza samotna oderwać się od ciebie nie może, serce wlecze się za tobą, jak pies pokorny za panem, a myśl krąży ustawicznie koło twej jasnej głowy. Czy ty jesteś naprawdę aniołem, naprawdę czemś boskiem? Czemu na twój widok jasność napęlnia oczy, a taka mocna tęsknota ogarnia, gdy znikniesz? Ty, maleńka, ciężysz tak szerokim ramionom, że gną się pod tobą, jak barki świętego Krzysztofa z legendy, pod ciężarem Dziecięcia Zbawiciela. Czy ty nie jesteś tą pospolitą dziewczyną, jakich tysiące sieduje w oknach i na balkonach ulic miejskich?... Nie jesteś; bo oto Prometeusz ze światła, które niebu wydarł, uczynił aureolę naokół twych skroni; kłęb chmur i sierp księżycowy położył ci pod stopy, siłę ci swą oddał, sławę dla ciebie zdobył i tyś już nieśmiertelna, jak Aspazyja, jak Beatrix, jak Laura, jak Maryla, jak Ludka... Czem jesteś sama w sobie, nie wiem; ale widzę cię w blaskach, których światło odkrywa mi i akt ostatni dramatu między nim a tobą. Oto dzika okolica, powietrze drży od huku piorunów; przepaści i skały. Przy jednej z nich Tytan, połamany bólem, napróżno szarpie swe łańcuchy, by odgonić sępa, pożerającego mu wnętrzności; z drugiej strony Ty, Aspazyjo, wychodzisz za handlarza wołami; ty, Lauro, masz dwanaścioro dzieci; wy, Maryle i Ludki, szukacie obywateli miejskich lub wiejskich z mniej lub więcej czystą hipoteką!... Panie Zastępów! Jakże Ci dziękuję, żeś mnie nie stworzył poetą, a jak ubolewam, że nie handluję wołami i nie jestem ani miejskim ani wiejskim obywatelem!... Ale mniejsza z tem! Skądinąd winniśmy Laurom, Marylom, etc. wdzięczność, bo za ich sprawą sęp szarpie wnętrzności Prometeuszom, za to jednak od strony skał męczeństwa „pieśń gdzieś leci echowa“... W ten sposób rodzą się Elegie Tibulla, Sonety Petrarki, Mickiewiczowskie *Dziady* aż do urodzin Konrada, tęczowe poematy Słowackiego.

W ten sam sposób urodziła się i *Księga pieśni* Heinego.

Czem jest ta księga? Wielkim kodeksem miłości, kroniką życia z chwil, gdy ono coś warte, pieśnią naprawdę echową, bo słowom jej odpowiada echo, we wszystkich sercach młodych, tkliwych, kochających. Tłómacz nazwał ją symfonią miłości. Allegro opisuje jej rozkwit w cudnym miesiącu maju, wśród kwiatów, traw, rozmaitych drzew i śpiewu ptaków. Ale maj kończy się, więc Allegro przechodzi w smętne Adagio, a wreszcie kończy się szalonym Scherzem i... porwaniem strun w lutni... Kim i czem więc byłeś, ty, dla której wyśpiewano tę symfonię? Niczem. Co w tobie było? Nic. Takich kwiatów, jak ty, setki na każdej łące. Mogłaś bezpiecznie zdobić dziurkę od guzika, w surducie pierwszego lepszego kantorowicza, kancelisty, bakałarza, albo w najlepszym razie kapitalisty, bez innego zajęcia. Dopiero, gdy on cię ubrał w duszę własną, wypiękniał dla niego, bo oddał ci, co w nim samym było najpiękniejsze.

Nie piękniejszego, jak sposób, w jaki Sienkiewicz opowiada psychiczną historię tej miłości poety, miłości, której najrozmaitszych faz zawarte w *Księdze pieśni* wiersze są poetycznym wyrazem.

Zaczęło się to „w prześlicznym miesiącu maju“, a młody poeta, odkąd poznał swą ukochaną, od pierwszej chwili nie posiadał się ze szczęścia, gdyż nietylko sam kochał, ale i był kochany. I jakże wobec tego nie miał nucić pieśni szczęścia!...

Niemą takich barw i blasków w niebie i na ziemi, w któreby nie ubierał kochanki. On ją miłuje, jak źrenicę oka swego, otacza, ogarnia, woła za nią i pragnie jej. Wszystkie odcienia uczucia, jakie przejawiają się, rozproszone w tysiącach piersi, tworzą jeden skarb w jego sercu; dlatego to uczucie staje się prototypem innych, dlatego każdy w niem znajdzie znajomą sobie nutę, własne pragnienie, obawy, własne szczęście i porywy, dlatego każdy odczuje poetę i zrozumie... Ale po tych porywach zmysłowych, nadchodzą i chwile cichego rozmarzenia, jakiejś dziwnej błogości serca, w których dusza jest jedną, wielką, łagodną muzyką; człowiek roztapia się w miłości, jak kropla wody w morzu, zapomina o sobie, o świecie, przestaje pragnąć zmysłami, śni. Wówczas w cichy wieczór letni, słychać głos jego senny i omdlały... Zasypia z jej obrazem pod powiekami, budzi się z myślą o niej. Przetwarza się w nim dusza. Wchodzi w ten okres, w którym wszystko widzi przez nią, przez wybraną. Co mu świat, co mu nauka, co mu mędry! Na cokolwiek wzrok zwróci, widzi ją. Jakże mu śmieszny wydaje się n. p. astronom, śledzący obroty gwiazd i pragnący znaleźć klucz do ich tajemnic. Oto on, bez żadnej nauki wie, czym są gwiazdy. Najpiękniejsza, to ona, najbliższa jej, to on, a harmonia sfer, to ich miłość. Im tak dobrze we dwoje szymbować, jak zórawiom, ponad światem... W czasie tych lotów pod niebem, w najdalsze ustronia ziemi, nagle powstaje pomiędzy nimi nieporozumienie. Czegoż bo to chcą od niej? Ona nie może wiecznie latać: nie jest ptakiem. Ona, dobrze wychowana panna, musi stosować się do tego, co jest przyjęte; musi bywać i wogóle żyć tak, jak panienki żyją na świecie, a on ją rwie w jakieś niebywałe kraje, każe się zapominać, każe jej usta kłaść sobie na usta, co jest wprost nieprzyzwoitością. Coby na to powiedziała mama, która w takich razach, bardzo jest surowa, albo ojciec, do którego przecież trzeba mieć zaufanie. Ten stosunek męczy ją, a pan Henryk Heine nie przystaje jakoś do miary, która służyła jej dotychczas w ocenianiu ludzi. Wcale oto nie jest podobny do pana radcy, do pana profesora, do przyjaciela domu... do kuzynka, a to tacy przyzwoici ludzie. Pan Heine jest jakiś dziwaczny, wygląda jak wilk; często trudno go zrozumieć; nie wiadomo, czego chce,

i wogóle mówią, że nie jest dobrą partją... Zresztą rodzice jej, nigdyby się nie zgodzili, a ona jako dobra córka... Przyjaciółce powiedziała wprawdzie: *Mais je vous dis, ce pauvre Heine, il est amoureux fou!*... bo uważa, że ją to dobrze stawia między pannami, ale seryo nie w tem nie było i nie może być... Trzeba nawet zaraz zerwać te stosunki, bo on jest zbyt egzaltowany i może ją skompromitować... I stosunki zostały zerwane... Ach! Maj przemiął, „róże zwiedły, czara wychylona i pieśń gdzieś leci odemnie echowa“. Więc on już z ulicy, patrzy na zebranie u nich?... Ból go zmęczył, tęsknota zwyciężyła, dumy zbrakło i... poszedł pod okna. Na tle szyb, przesuwają się coraz inne cienie. Który z nich należy do niej? „Chmurne me serce cię kocha, lecz ból straszliwy je rwie“. Nietylko ból, ale i gniew, i upokorzenie. Rozumie to dobrze, że ona tam bawi się, uśmiecha, tańczy, i że, o boleści i wstydzie! on ani razu nie przyszedł jej na myśl, on, Heine! Lada czarny frak i białe mankietki, lada głupiec z binoklami lub bez binokli, lada pokurecz ludzki o wykrochmalonym gorsie, ma prawo być tam, siąść przy niej, patrzeć na nią, mówić z nią! mysz, pies, kot, mucha, ma prawo wlecieć pod ten dach, tylko on nie ma prawa, on, Heine! Gdyby mu je dano, możeby z niego nie korzystał, może pierwiej umarłby, nimby tam poszedł, ale nie ma prawa! I tak na zawsze. Będzie pogardzał sercem własnem, ale kochać nie przestanie; będzie pogardzał głową, która myśli o niej, ale myśli nie oderwie! Choćby nikt o tem nie wiedział, czuje się upokorzonym wobec siebie samego. Do tych zgryzot, udręczeń i bolesnych rozmyślań dorzuca wreszcie swojego ciężaru niepewność i nieświadomość, a przed oczyma poety, zarysowują się chwilami pytanie: zkąd wiesz, że ona zapomniała, że nie cierpi na równi z tobą; a jeśli tak jest, czemże jesteś ty, który w koronę cierniową, na jej anielskiej skroni, wplatasz jeszcze twoją pogardę? Wtedy, ile serce ludzkie pomieścić może kochania i li-tości, tyle ich drga w piosnce poety. Im dusza bogatsza, tem więcej w niej tych przejść psychicznych, odcieni, rzutów, akordów. Jest to jakby instrument o nieskończonej ilości tonów, ztąd też na każdy odcień bólu, tęsknoty, radości, gniewu, nadziei i zwątpienia, dźwięk w nim osobny. Czasem poeta, zmęczony, zapomina o wszystkiem: miłość przewycięża żal i gniew. Czasem sądzi, że to złość ludzka wbiła się klinem w ich szczęście... To znowu ogarnia go rozpacz, poczucie upokorzenia i pogarda, których nie mógł przytłumić... Jego pogarda, ironia, żal, to tylko różne, mniej lub więcej bolesne formy miłości... Jedyną pociechą jest złudzenie, że cokolwiek się stanie, nie zapomnisz o mnie i będziesz nieszczęśliwa. Przypomni ci mnie sumienie, będzie przypominać lada wypadek, kwiat, słowo, i będziesz nieszczęśliwa, jak ja, nie znajdziesz spokoju, jak ja!... Jest to wielka pomyłka wielkiej duszy. Jak ona go mierzyła filisterską miarą, dobrą dla jej znajomych mieszcuchów, tak on teraz mierzy ją skalą własnego uczucia. Sam jednak spostrzega tę po-

myłkę i prostuje w słowach: „I spłotła dłonie węzły ślubnymi z największym głupcem na bożej ziemi“. Tak było dla niej lepiej i... na nieszczęście może stosowniej. Powoli i on zaczyna rozeznawać rzeczywistość, coraz też częściej drga w jego słowach szyderstwo. „Raz (opowiada) spotkałem się z rodziną mej bogdanki. Mówiono, że się nie zmienił, że tylko trochę schudłem i zbłądłem. Ja pytałem także o wszystkich, nie pomijając i pieska domowego, a potem... gdy m z nienacka zapytał o zdrowie lubej, odpowiedziano mi, że pani... w odmiennym jest stanie“. Pieśń kończy się w tem miejscu, nie wiadomo więc, jak poeta przyjął miłą wiadomość.

Ale nie był to koniec jego męki. Żył jeszcze dla niej sercem i duszą. Tworzył sobie świat bardzo grobowy, w którym o niej tylko mowa. Raz n. p. zdawało mu się, że umarł. Wtem zapukał ktoś do mogiły... I chciał już sen wieczny porzucić, ale wszystkie rany mu nabrzękły krwią, i nie mógł powstać. W tym świecie wiecznego snu i milczenia, ona była przy nim. Losy ich nie były wspólnymi na ziemi, więc niech śmierć będzie wspólną i cichą syntezą życiowych omamień. Choć chwilę być przy niej, choćby w grobie, wydało mu się szczęściem. Ale czas płynął, serce pękało i schło, kres istoty uczucia zbliżał się. Oto księga miłości, przechodzi w księgę pamiątek. Wspomnienia te są tylko bólem. Sława przyszła, szczęście nie przyszło. „Gdzie o najlepszych jest mowa, tam i moje imię bywa wymieniane. Ale i tam, gdzie mówią o bólu największym, jest mowa i o moim“.

Balsamem na podobne nieszczęście mógł być tylko szal, upojenia życiowe, rozkosz, choćby zatruta. W takich chwilach mogło się wydawać poecie, że *Nowa Wiosna* nadchodzi. Nie jedne objęcia otwierały się gorączkowo na widok poety, więc rzucał się w nie z całym cynizmem niewiary. Ścigając szyderstwem głupotę ludzką, wymierzał cyniczną sprawiedliwość własnej naiwności, własnej młodzieńczej wierze w miłość, w przyjaźń, w uczciwość. Pod gorączkowym technieniem jego, wiodło podle zielsko ludzkie, ale wiodły nieraz i kwiaty. Życie wydało mu się jednym płaskiem, głupiem, czezem, a zarazem i straszmem *Scherzo*. Ludzie drżeli przed jego uśmiechem, który odbierał im jedyne podpory życiowe. Ale też i w nim, razem z duszą, wyczerpywało się ciało, siły, zdrowie, i oto zbliżał się kres... „Doktorze, muszę ci się wydawać dzisiaj bardzo głupim“, pytał chory, sparaliżowany człowiek, którego powieki nie podnosiły się już ze żrenic. „Dlaczego?“ pytał lekarz. „Oto był u mnie przyjaciel i zamieniliśmy myśli“... Szydził do ostatka. Kto zna straszliwy swym cynizmem wiersz o tej „która się śmiała“, temu w głowie nie może się pomieścić, że w tej samej duszy anioł wyśpiewał kiedyś *Wiosnę*...

Ale ćwierć wieku przeszło już nad jego mogiłą, zapomniano o błędach człowieka, a *Księga pieśni* pozostała szczerą, czystą, pełną prawdy; każde serce ludzkie odnajdzie w niej własne losy i odpowie jej, jak od-

powiada wołaniu echo leśne. W tem leży znaczenie tej miłosnej epopei. Zresztą mówią, że w duszy strasznego szydery, do ostatniej chwili płakało coś za ową *Wiosną*, a może i za tą, która była najpiękniejszym jej kwiatem. Co się z nią stało? Zapewne poszła za męża, miała dzieci, trzy, lub cztery pokoje od ulicy, potem zmarszczki, a potem... Mniejsza o to!...

Czytając te Sienkiewiczowskie „mieszaniny“, spostrzega się łatwo, że w epoce, kiedy je pisał, miłość była bodaj czy nie głównym przedmiotem jego rozmyślań. Przynajmniej na żaden temat nie znajdujemy w „mieszaninach“ tych tylu refleksyi i aforyzmów, i tylu wprost porywających ustępów lirycznych, pisanych, zdaje się, krwią serca własnego, co na temat tego najpiękniejszego z uczuć. Są to bezwarunkowo najświetniejsze kartki tych „literacko-artystycznych“ kronik, a jeśli by je także i do najwonnejszych kwiatów porównać można, to godzi się nadmienić również, iż kwiaty te, choć dwadzieścia lat temu, w zaraniu twórczości autora *Trylogii* rozkwitłe, aż po dziś dzień nie prawie nie utraciły ze swej cudnej woni... Oto np., do jakiej refleksyi pobudziła Litwosa powieść Walerego Przyborowskiego, *Rubin wezyrski*, której akcja rozgrywa się w „tych dobrych czasach, w których oszczercę można było zmusić do odwołania potwarzy, przyłożwszy mu lufę pistoletu do paszczy, albo nóż prawa do gardzieli“. Z powodu, iż bohater tej powieści, spotwarzony porucznik ułański, Kosa, posiada wierne, kochające serce, przytacza Sienkiewicz zdanie Ouidy, o wierności „serc“ niewieścich, w przeciwstawieniu do serc męzkich, które, według mniemania słynnej powieściopisarki angielskiej, o wiele są skłonniejsze do zmienności.

Pewien mój przyjaciel twierdzi, że Ouida niewłaściwie kazała mieć „takie serce“ kobiecie, albowiem mają je tylko mężczyźni. Co do mnie, nie chcę sprawy rozstrzygać na niczyją wyłączną korzyść, przypominam sobie jednak, że pewna dama, pytana przezemnie, dlaczego, spotkawszy biedaka, umierającego z głodu, daje mu grosz, odpowiedziała, że „dlatego, ponieważ miłosierdzie jest piękną cnotą“. Otóż założę się, że mężczyzna dający grosz, nie daje go dla tak idealnego celu, ale poprostu, że żal mu biedaka, który nie jadł. Miłosierdzie zapewne jest piękną cnotą, wy

jednak, o Minosie, Radamantesie i Eaku! wy, o sędziowie sprawiedliwi! rozsądzicie kiedyś, kto daje z lepszym sercem, kto daje pocziwiej i komu dać w skórę, a komu nagrodę po śmierci?

Ja w imieniu wszystkich, starzejących się kawalerów, rzucam w nieskończoność inną melancholiczną uwagę: czy i z miłością dzieje się tak samo? czy „wietrzna istota“, czy „puch marny“ oddaje swe serce dla tego tylko, że miłość jest wzniosłym uczuciem? Węć jeśli tak, to o osobę mniejsza... A jednak, rzecz dziwna: ludzie doświadczeni mówią, że gdy mężczyzna kochający kładzie pod nogi ukochanej swoje „serce“, w oczach mu wówczas ciemno, myśli się mącą, dusza mu ucieka w nieskończoność, krew bije ciężko w skroniach, w gardle go ściska, i tylko kocha, i słów znaleźć nie może, i mówi niezgrabnie, bez stylu, bez ładu, głupio nawet, ale z akcentem jakiejś serdecznej prawdy i serdecznego uczucia. Kobieta przeciwnie, biorąc rzecz teoretyczniej, znajduje zawsze frazes, mniej lub więcej wzniosły, mniej więcej stylistyczny, mniej więcej... pusty. Poniekąd sprawdza się to i na autorkach.

Były na świecie i są znakomite talenty niewieście pisarskie; otóż talentom tym, jako literat, zarzucam otwarcie, że w dziełach ich, począwszy od pani George Sand, a skończywszy na Orzeszkowej i Morzkowskiej, miłość nie przemawia nigdy przerywanemi słowy, poprostu, niezgrabnie, z głębi wnętrzości, natomiast zawsze znajduje frazes. Orzeszkowa ma znamienity dar spostrzegawczy; jej typy są prawdziwe. O ile dotyka zagadnień społecznych, o ile rozumuje lub kreśli postacie, działające w sferze myśli i społecznego czynu, o tyle postacie te są żywe; gdy im przyjdzie zakochać się, deklamują!

Bohaterowie i bohaterki Morzkowskiej mówią czasem bardzo gwałtownie, ale miłość traktują jako coś transcendentalnego, jako doktrynę lub dogmat raczej, niż jako uczucie. Per Baccho! Mocniej należy szarpać za tę strunę! zęby zacisnąć, czuć samej, płakać! To przecie płomień, który żarem powinien przejać wszystkie karty książki; to nie idea, to siła; to nie doktryna, to ból lub szczęście; to nie dogmat, w który wolno wierzyć lub nie wierzyć, to prawo natury, to upojenie, zapomnienie życia, radość, rozkosz, zbawienie.

Zarzut ten jednak, który tu Sienkiewicz stosuje do autorek polskich, dał się w r. 1880 zastosować i do polskich powieściopisarzy; tem językiem bowiem, jakiego się tu domaga autor *Hani*, przemówili w polskiej powieści po raz pierwszy dopiero jego bohaterowie. Języka tego, jakim przemawia miłość w powieściach i nowellach Sienkiewicza, nie znali ani Kraszewski, ani Kaczkowski, ani Jeż, ani Korzeniowski.

W czasach, gdy Litwos pisał te swoje rozmyślenia na temat miłości, bohaterki niektórych naszych powieściopisarek miały najczęściej na ustach frazesy w duchu pozytywistycznym.

Ach, gdy słyszę starą kwaśno-słodką pannę, fastrygowaną pseudo-postępowemi niemi najnowszych doktryn, przybraną w strzępki wiedzy, poobrywane z płaszcza powag dzisiejszych, taką pannę, która w powieści mówi do swego galopanta: „kocham cię całym moim organizmem!” chociaż mi serce nie pęka, śmiech mnie bierze. Jakto pani? Czy istotnie „całym organizmem?” Więc także za pomocą odcisków, przepony, trzustki, gruczołu pankreatycznego i innych równie interesujących przyrzędów? A czy przy takim jednostronnem użyciu całego organizmu, nie pojawiają się lekkie niedyspozycye? Nie, moje panie! Nie nas brać na cały organizm! i czytelników, posiadających trochę smaku, na takie powieści! Jednakże, przez Bóg żywy! niechże mnie nikt nie posądza, żem ten „cały organizm“ znalazł w powieści której z naszych bardziej znanych autorek i że do którejkolwiek piję, pisząc o tem. Gdzie i kiedym znalazł taką powieść, mniejsza o to; dość, żem ją czytał; nazwiska więc jej autorki nie wymienię, bo mogłaby mnie znienawidzić, lub zagrozić mi „całym swoim organizmem“, czegobym sobie nie życzył.

Zaden z powyższych zarzutów nie dał się zastosować do *Bratnich dusz* Sewera (Maciejowskiego), która to powieść, lubo jedna z pierwszych autora *Szkiców z Anglii*, aż po dziś dzień liczy się do jego najlepszych utworów. Sienkiewicz poświęcił jej, w kwietniowym zeszycie *Niwy* z roku 1880, prawie całą „mieszaninę literacko-artystyczną“, to zaś, co o niej napisał, jest małym klejnocikiem poezyi w prozie, który warto wydobyć z zapomnienia.

„Bratniemi duszami“ uczynił Sewer w powieści swej biedne sieroty, Karolka i Jess, dwoje dzieci o duszach jakichś oryginalnych, wybranych, pełnych iskier, płomyków i przeczuć, słowem, dwie dusze artystyczne, z niezwalczonym popędem do wszystkiego, co w ich szczerze dzieciennem pojęciu wydaje się im... ślicznem. On kocha obrazki, maluje je na schodach, za co zbiera penny; ona kocha Karolka...

Obie te małe figurki, ubóstwo i rzeczywistość, byłyby chłostane niemiłosiernie niedolą, gdyby nie to, że losem ich zajął się poczciwy oryginał Smał, który z kolei kochał znów nadewszystko „społczeń-

stwo". On w imię *niby* społeczeństwa przygarnął je, wychował i wyprowadził na ludzi. Kto, myślicie, jest Smał? Jakiś Kato, żyjący tylko ogólną ideą, jakiś człowiek, od życia i ludzi oderwany, jakaś transcendentalna postać, wymarzona w głowie autora, a w rzeczywistości niebywała?... Wcale nie. Jest to oryginał, który wyrazem *społeczeństwo* chce usprawiedliwić sam przed sobą swoje pocziwe serce i pocziwe postęпки. Między Wiktorem Hugo n. p. a Dickensem jest ta różnica, że pierwszy kocha ludzkość-ideę, drugi ludzi-biedaków. Smał jest kreacją w duchu Dickensa. Miłować społeczeństwo nauczyła go jakaś *ona*. Ta *ona* mówiła mu niegdyś: „Samuelu!” cieszyła się, gdy coś dobrego zrobił, uszlachetniała jego serce i umysł, była mu dobrym aniołem za życia, potem drogowskazem w stronę szlachetności, prostoty i cnotliwego życia. Łatwo zrozumieć Smała. Kto miał taką *Ją*, temu z serca istotnie mogły zniknąć gorycze, ten w *Niej* i przez *Nią* może kochać wszystko, co ona kochała. Pan Smał nie wyznaje suchej idei: on wyznaje kobietę. Ile razy zrobi coś dobrego, powtarza sobie: „Ona by się cieszyła, ona by była ze mnie kontenta, ona by dziękowała mi za to”. Czytelnik ciągle zadaje sobie pytanie: Kto ona jest? Ale na to jest odpowiedź tylko w znacznych postępkach Smała. Dzięki *Niej* Karolek uczy się rysować i wychodzi na wielkiego artystę, mała Jess na pierwszorzędną gwiazdę sceniczną. Pan Smał potwierdza jedną wielką prawdę, a nie wiem, czy przez innego jakiego autora wypowiedzianą, że tak, jak sławnym warto być tylko wówczas, kiedy ma się dla kogo być sławnym, tak i dobrym się jest najczęściej przez kogoś. Inaczej widzi się przed sobą pustkę i próżnię, i rozdroże i bezcelowość; inaczej obojętnieje życie, a więc i sława, i dobro ludzi, i szczęście, i nieszczęście, inaczej sceptycyzm i gorycz, tak przesiakają duszę, że człowiek za życia pobielanym grobem się staje. Doprawdy, że każdy, nawet do ogólnych czynów i uczuć, musi mieć osobiste podstawy i pobudki, musi mieć kogoś, co mu daje siłę, co kochanemi ustami rozdmuchuje w nim płomień czynu... Smał nie żąda nawet wdzięczności od Karolka i Jess, bo co dla nich uczynił, to uczynił przez *Nią* dla społeczeństwa. Ten wyborny oryginał, ten dobry człowiek jest sobie swego rodzaju egoistą, ale z jego egoizmu korzysta świat cały.

Gdy po wielu przejściach Karolek zaślubia Jess i życie im odtąd zaczyna płynąć w uspokojeniu i ciszy, Smał zasiada przy ogniu ich domowego kominka.

Głowa jego pobielała, ale serce zostało pocziwe i wspomnieniom wierne. Widząc szczęście młodych i odczuwając je, staruszek kiwa głową i mówi: „Ach, gdyby *Ona* tu była, gdyby *Ona* to widziała... „Kto była

ta *Ona?*“ pytają go młodzi. Pan Smał spuszcza głowę na piersi... „Polka“.

Nim jednak przyszło do tych spokojnych chwil szczęścia, Karolek i Jess, kosztowali niemało zatrutych kołaczyw życia. Oto oboje kochali się nieszczęśliwie, a wiadomo, że nie tak nie łamie życia, jak nieszczęśliwa miłość. Smutne te ich koleje tak streścił Sienkiewicz.

Karolek oddaje serce i geniusz swój jakiejs pannie wielkiego świata, którą kocha dziesięć razy więcej, niż tego warta. Ona trzyma go w zawieszeniu. Dlaczego? Jej miłości własnej pochlebia, że ten, na którego tyle oczu się zwraca, ten niepospolity człowiek, ten cenny i ceniony, jest jej niewolnikiem. Gdyby chciała, mogłaby mu oddać swoją rękę. Dwojga prawych i szlachetnych ludzi, którzy przyrzekną sobie, iż pragną do siebie należeć, żadne przeszkody nie potrafią rozłączyć. Wynaleziono różne siły, ale takiej nie wynaleziono. Gdyby jednak lordówna powiedziała raz Karolowi: „Czekaj, pragnę być twoją i będę!“ on by wprawdzie mniej cierpiał, mniej się szarpał, mniej się wyczerpywał, mniej szedł na oślep w ciemności, z jej strony byłoby to może uczciwiej, szlachetniej, ale gra, która ją bawi, była by skończoną. Próżności kobiecej może pochlebia myśl: tam dla mnie ktoś wije się, jak motyl wsadzony na szpilkę. Dla tej to satysfakcyi, lordówna nie mówiła także: „Nie będę twoją“. Wówczas Karol możeby zapomniał, możeby głowę sobie rozsadził na kilkanaście mniejszych i większych kawałków, możeby pogardził, może uciekł na kraj świata, ale gra zabawna byłaby znowu skończoną. Nie! ten dramat, dla jednej strony tylko komiczny, musi mieć swoje rozwiązanie nagle a niespodziewane. On do ostatniej chwili będzie wierzył, i o prawdzie nauczy go dopiero gazeta, w której wyczyta, że jego lordówna oddaje rękę człowiekowi, z tej samej, co ona sfery. Wówczas nadejdzie dla jej próżności nowe zadowolenie, bo Karol dostaje obłądu... dla niej.

Na szczęście zjawia się, trochę jak *deus ex machina*, Jess, uzdrawia chore serce Karola i przez miłość uczy je miłości. I ona również, w ciągu tej dłuższej rozłąki z Karolem, przeszła niemało; i ona stała się ofiarą nieszczęśliwej miłości. Przypadek zdarzył, że człowiekiem, którego pokochała całą duszą, był ten sam lord, za którego w końcu wyszła ukochana Karola.

On jej był wzajemnym, ale nie aż do tego stopnia, by się z nią ożenić; natomiast oświadczył się... jakby tu powiedzieć... nie o jej rękę,

ale o uczciwość. Dopiero gdy wyrzucono go za drzwi, pojechał do Baden-Baden i ożenił się, wskutek przegranego zakładu, z lordówną.

Co wobec tego sądzić o charakterach lorda i lordówny? Czy uważać ich za moralne potwory? Nie. Zdaniem Sienkiewicza, nie są oni źli, ale, jak się to często zdarza, płasey. Ale za to posiadali wszelkie dane, wskutek tej poziomości duszy, by złowrogo wpłynąć na losy dusz, tysiąc razy wyższych, lotniejszych. „Bywa tak często, i to jest nowa prawda, jaką z kopalni stosunków ludzkich wydobył autor. Motywem syrenich postępów lordówny, jest współzawodnictwo kobiece z Jess. Takie motywy takim pannom wystarczają, by komuś trzeciemu potargać szczęście. To jeszcze jedna nowa prawda... Ale kończy się wszystko, z woli Sewera, dobrze. Z woli Sewera, powtarzam, bo w życiu bywa inaczej. Kto im łyzy powróci? mawiała królowa Jadwiga. Możliwy się spytać, kto, choćby wygojonym sercem, powrócić może tę wiarę, tę siłę, tę ochotę kochania i gotowość do szczęścia, które raz wylały... napróżno“. Kto? W *Bratnich duszach* czyni to autor, a nawet wypada to cokolwiek na niekorzyść powieści. Ztąd jej część pierwsza, dzieciństwo Karolka i Jess, jest lepsza znacznie, niż druga: pierwszą część wykonał prawdziwy artysta, następne zaś, gdzie rzecz schodzi na grunt poważniejszy, wyszły z pod pióra literata, który musi skończyć powieść.

Niedość jest ułożyć sobie plan powieści, wymyśleć osoby, intrygę i zakończenie; trzeba jeszcze widzieć wyobraźnią owe postacie i kochać je, i umieć całą moc subiektywnego uczucia przelać w ich serca. Wówczas dopiero zarysują się mocno, z ciepłem i z życiem. Każdy czytelnik pokocha małego Karolka i małą Jess, bo je kochał Sewer. Jess była nawet faworytką autora. Ubierał on ją, czesał i mył, kupował jej pończoszki i rękawiczki, odprowadzał na pensję i do teatru, tak, jakby to czyniła zakochana w dziecku matka, więc kupił od razu sympatyę wszystkich, patrzących na ten serdeczny stosunek, i umiał swoją troskliwość o dziewczátko przelać w czytelników. Jest to zarazem sekret artyzmu. Autor, dzieci jego wyobraźni i czytelnicy, to razem trójca, zwarta węzłami przyjaźni. Autor dał obraz i musiał go dobrze wykonać, bo umiłowal własną robotę. W tem leży tajemnica sztuki literackiej. W innych sztukach pięknych, ma się do czynienia z materiałem zewnętrznym, z far-

bami, z kamieniem lub marmurem, które trzeba opanować i nagiąć, by kształt zewnętrzny odpowiedział myśli, ale gdy chodzi o język, wówczas uczucie, jeśli tylko jest proste i szczere, znajdzie sobie samo odpowiednią formę. Tak znalazł ją i Sewer.

Znajduje ją też najczęściej i Marya Konopnicka. W r. 1880 nie była ona jeszcze tem, czem dziś: dopiero zaczynała się wslawiać. Jednym z pierwszych, co się poznali na jej fenomenalnym talencie, był Sienkiewicz.

Nie zapomnę nigdy, jakie wrażenie na mnie wywarł, na jaką śliczną echową a dawno niesłyszaną nutę zagrał mi wiersz Konopnickiej, który w numerze *Tygodnika ilustrowanego* doszedł mię w głuchej pustyni Kalifornijskiej w górach Santa Anna. Drzewa, które szumiały wówczas naokoło mnie, zaszumiały mi, gdym czytał, jak polskie sosny. Tytułu wiersza tego nie pamiętam już, ale zaczynał się on od słów:

Otoczyły mię w koło równie senne
Pasmem jednakiem;
Ale ja sobie lecę w krainy odmienne:
Umiem być ptakiem.

Potem, przez długi czas nie spotykałem się z utworami poetki i czytałem je chyba wypadkowo... Czasem gniewała mnie ich architektura, polegająca na tem, że w połowie poematu autorka pyta, w drugiej sama sobie odpowiada, ale wogóle były to poezye co do formy skończone, piękne, czasem nawet zbyt stylistycznie piękne, a w uczuciu szczere.

Po upływie lat kilku, zajęła Konopnicka na parnacie polskim jedno z najpocześniejszych miejsce.

Nazwisko to zyskuje sobie coraz większe uznanie i zupełnie słusznie. Narzekamy ciągle wszyscy, i narzekamy nie bez powodu, na upadek w poezyi. Mówimy, że niema wielkich imion, wielkich natchnień, i odpowiedniej podstawy duchowej dla poezyi w społeczeństwie. Dlaczego tak jest? Czy to upadek, czy inny zwrot ducha, który szuka sobie dróg nowych? Przesądzać, ni rozstrzygać nie chcę; to tylko pewna, że na tem polu poetycznem, które obecnie, w roku 1880, jest wielkim szarym ugorem, chodzi jeszcze w mroku kilka postaci i sieje kwiaty. Czasem głos Kornela Ujejskiego zbudzi drżące echo dawnych szerokich natchnień, czasem Asnyk, a w ostatnich czasach razem z nimi „chodzi po łące” Marya Konopnicka.

Zachwycony jej wierszem *Do kobiety*, ogłoszonym temi czasy w *Bluszczu*, rozpiśał się o nim Sienkiewicz z entuzjazmem w *Niwie*, przyczem zacytował z niego cały szereg najpiękniejszych ustępów. Z wiersza tego „bije prawdziwa brylantowa poezya, i moc, i pocziwość, i szczere uczucie, i prawda. Szlachetnym sercom kobiecym to poetyczny katechizm“. Czy tylko nasze kobiety potrafią się nim przejąć dostatecznie?

Pewien sceptyk w gronie literackiem zauważył, że niejedna panna, przeczytawszy ów wiersz, zamyśli się, i mara jakaś złota przesunie się przed jej oczyma i niby do snu ją ukołysze. Potem zbudzi się dziewczyna, wstrząśnie główką, spojrzy zdziwionemi oczyma naokół i powie: *Maman, quel drôle de rêve j'ai eu!* Potem rozśmiej się sama ze siebie... Dziwni są ci sceptycy, co w prawdę mar nie wierzą. Hej maro! maro złota!

Erotyczny nastrój, w jakim podówczas znajdował się feljetonista *Niwy*, odbił się i w piątej z jego mięszanin. Trochę w niej, na początku, o braku tematów dla warszawskich kronikarzy, trochę o odczytach na Osady Rolne, (na jednym z odczytów tych, przeczytał Sienkiewicz swoje *Za chlebem*), trochę o świeżo wydanej z papierów pośmiertnych Gabryelli *Kazi i Marynce*, ale prawie cały artykuł jest o miłości, o kochaniu, o szczęściu w małżeństwie.

Gdy się dwoje ludzi kocha, to się drogi ich, choćby zrazu bardzo odległe, zejść muszą i w jedno zmienić. Ty widzisz, Boże, że gdyby nie ta prawda, to nietylko nie pisalibyśmy powieści (na czem zresztą, możeby nikt wiele nie stracił), ale ludzie nie żeniliby się z sobą, co już pociągnęłoby straty dla wzrostu ludności stałej i niestałej nieobliczone. Co do mnie, wierzę w tę prawdę jeszcze i ze względów estetycznych, sądzę bowiem w imieniu wszystkich starzejących się i żałujących za grzechy kawalerów, że nie może być nic piękniejszego w życiu, nad owo zejście się dróg, zrazu odległych, na którym to zejściu, dwoje ludzi podaje sobie pocziwie, jako mąż i żona, ręce, i idą dalej wspólną drogą. Co w tej wspólnej pielgrzymce na drodze znajdują, nad tem się nie rozpiszę. Więc zapewne ciernie i szczęście. Ale to ostatnie, choćby polegało tylko na usuwaniu kołców z pod ukochanych nóg, więcej zapewne jest warte, niż cała piosenka: „wiwat kawalerski stan!“ Potem znajdują także małe i bardzo drogie *bobo*, potem naprzemian ciernie,

kwiaty, boba, a wreszcie droga opływa w zorzę zachodu i w nieskończoność i w wieczyste uspokojenie.

Głównymi figurami w *Kasi i Marynce* jest Marynka i jej narzeczony, pan Filip, treścią zaś, wypełniającą listy Marynki do Kasi, refleksye na temat miłości, kobiet, mężczyzn, małżeństwa, etc. Refleksye te, najlepiej malują charakter młodych oblubieńców.

Marynka, która w swych listach do przyjaciółki „rozu muje, bada, zastanawia się tak nad sercem własnem, jak nad panem Filipem i wspólną przeszłością“, jest naturą refleksyjną, chłodną, bardzo trzeźwą, trochę oschłą.

Umie analizować własne uczucia, umie podpatrzeć niemiłe strony natur prozaicznych, tuzinkowych, umie unosić się i zachwycać wielkimi ideami i uczuciami... Będzie zawsze kobietą *comme il faut*, piękniejszą moralnie, jeśli kogokolwiek ukocha, mniej piękną, jeśli jej serce zostanie chłodnem, ale w każdym razie, z życiem pogodzoną i praktyczną. Wogóle brak jej trochę serca, nie w tem znaczeniu, w którym się mówi o *dobrem* sercu, tkliwem na cudzą biedę, ale serca zdolnego ukochać.

Dlatego też nie kocha pana Filipa, choć decyduje się wyjść za niego. Jeśli w nim nie jest zakochana, to przede wszystkim dlatego, że go sądzi trzeźwo, a więc zdaje sobie sprawę z jego natury, która ciekawą nie jest. Trudno kochać się w takim człowieku.

Jest to bogaty obywatel, młody, przystojny, dobrze wychowany, *porządny*, dość wykształcony, dobrze się rządzący. Poznaje pannę, prosi według wszelkich prawideł etykiety o pozwolenie bywania w domu jej rodziców, stara się o nią, także według wszelkich prawideł, ożeni się z nią, wedle wszelkich prawideł, słowem, jest tak prawidłowy, tak pozbawiony wszelkich kantów, tak towarzysko zaokrąglony, że aż najprzebiewniejszy ze wszystkich przeciętnych. Trzeźwa Marynka odmalowywa go mistrzowsko, jako zero zer. A on czy ją kocha! Tak jest: w sposób bardzo przyzwyczajony, o tyle, o ile kochać wypada; więc może nie na wieki, nie ją jedną nad wszystko, nie jak żrenicę oka swego, nie jak przyszłą żonę, towarzyszkę, przyjaciela, nie całem sercem i duszą, ale taką częścią serca i duszy, jaką *porządny* człowiek, czujący, że nadszedł czas żenienia się, oddaje do rozporządzenia miłości.

Rodzi się pytanie, czy kobieta z takim usposobieniem, jak Marynka, z wysokim darem spostrzegania, ale sercem bier-
nem, zostawszy żoną takiego człowieka, jak Filip, może być
szczęśliwą, a jednocześnie uszczęśliwić męża? Odpowiedź, jaką
Sienkiewicz daje na to pytanie, jest wielce charakterystyczna
dla niego:

Jak istnieją trzy królestwa: zwierzęce, roślinne i mineralne, tak
istnieją i trzy rodzaje kobiet. Jedne, dla których wybór nie ma znacze-
nia, każdy zaś mężczyzna i wszyscy razem, dobrzy się wydają. Drugi
to kobiety roślinne, bezwolne, które muszą być wzięte i pielęgnowane
w cieplarni, jak kwiaty, lub w haremie, jak tureczki. Trzeci nakoniec
rodzaj kobiety chrześcijańskiej, kobiety dyamentowej, potrzebuje *wyłączy-
ności i wyboru*. Taka dyamentowa Marynka jednemu i raz na zawsze
oddaje rękę, duszę, serce... i oddaje jak człowiek samodzielny, jako is-
tota świadoma siebie i swych postępów¹⁾. Ale czarnowłosa Marynka
Gabryeli nie należy do tego typu. Głowa jej posiadała wysoki dar spo-
strzegania, ale serce było bierne. Ten stosunek mógł być jej przyszłym
szczęściem albo nieszczęściem... W świecie zwierzęcym, roślinnym i mi-
neralnym istnieją formy przejściowe; według mnie, czarnowłosa Marynka
była jedną z takich form, między kobietą roślinną a trzecim dyamento-
wym typem. Bezwola serca łączyła się w niej z samodzielnością myśli.
Dla człowieka, któryby ją ukochał całą duszą, była by ta czarnowłosa
bezwartkowem nieszczęściem. Z sercem roślinnem, bez woli, Marynka
nie mogła dla nikogo być tą jedyną, która niedoskonałości w najlepszą,
grzechy w zbawienie przemienia... Nie, ona potrzebowała być wziętą do
haremu pana Filipa, jako sułtanka, nie miała zaś siły zlać się z twarzą
naturą męską w jednego anioła, być czyjąś gwiazdą, czyjś światłem
przewodniem, czyjąś najlepszą duszą połową. Jej głowa musiałaby do-
strzegać tylko złe i wadliwe strony, serce nie umiałoby ich wyszlache-
tnić!... Kobieta zupełnie roślinna może być dla kogoś szczęściem. Ten,
kto ją chwyci, jak orzeł gołębia, jak lew antylozę, i poniesie gdzie chce,
jeśli nie rozszarpie, jeśli ukocha, nie będzie miał towarzyszkę, przyja-
ciela, rozumnej żony, ale będzie miał dziecko wierne i kochane, nad któ-
rem będzie czuwał, sam uwielbiony, w swej lwiej sile, przez słabość
i niezaradność; będzie miał roślinkę, która obwinie się koło niego, za-
kwitnie przy nim i umrze z nim razem... Ale forma przejściowa, ale owa
„czarnowłosa“ z sercem bez woli, a krytyczną głową, jeśli się da lwu
porwać, to mu siłę lwia odbierze; jeśli się, jak powój, koło dębu owi-
nie, to udusi. Kobieta, trzeciego typu porwać się nie daje. Ona się uma-

¹⁾ Taką jest Marynia z *Rodziny Połanieckich*.

wia, że pójdzie, i idzie... dobrowolnie. Idzie tylko wówczas, gdy postanowiła, ale w zły ni dobrej godzinie nie opuszcza. Do takich to kobiet stosują się słowa Gabryeli, wypowiedziane o miłości: „Tem słodsza, im niedostępniejsza; tem więcej moje to, co nieczyje być nie chce; tem konieczniejsze to, co za trudne do osiągnięcia... „Czarnowłosa“, poszła za Filipa.

Zastanawiając się nad temi trzema typami kobiet, jest się w prawdziwym kłopotcie, do jakiego typu zaliczyć Leę Henderson, główną bohaterkę komedyi Wiktoryna Sardou, *Daniel Rochat*, której to komedyi Sienkiewicz poświęcił w *Niwie* za miesiąc maj całą swą „mieszaninę“. W pierwszej chwili, w miarę, jak się przy czytaniu artykułu zapoznajemy z charakterem Lei, mamy ochotę zaliczyć ją do tej kategorii kobiet, które Sienkiewicz w poprzednim feljetonie nazwał „dyamentowemi“ i „chrześcijańskimi“, po głębszem jednak zastanowieniu się przychodzimy do wniosku, że i ona, podobnie, jak czarnowłosa Marynka, należy do owej „formy przejściowej“, w której serce bez woli idzie w parze z krytyczną głową... Bo tylko taka kobieta może z sytuacji, w jakiej Lea znalazła się w stosunku do Daniela, wyjść w podobny sposób, w jaki to czyni bohaterka Sardou...

Sytuacya ta da się streścić w kilku słowach. Lea jest kobietą religijną, wierzącą, Daniel jest ateuszem. Kochają się. Chcą się pobrać. Przeszkód niema żadnych, prócz jednej: on, wzięwszy z nią ślub cywilny, uważa się za jej małżonka; ona, dopóki nie weźmie z nim ślubu w kościele, nie chce się uważać za jego żonę. Daniel tymczasem, jako przywódzca stronnictwa radykalno-demokratycznego, na ślub w kościele zgodzić się żadną miarą nie może. Ztąd kolizya, która dochodzi do zenitu, gdy Daniel, w akcie czwartym, po wyczerpaniu wszystkich argumentów, mogących przekonać Leę, chwyta się następującego sposobu.

Sam kocha, czuje, że jest kochany, liczy więc na to, że miłość i chwilowy poryw zmysłów uczyni to, czego nie mogła uczynić wymowa. W tym celu, on mąż, wchodzi nocą, jak kochanek, do pokoju Lei. Scena, jaka następuje między niemi, jest jedną z piękniejszych. Dusze

i ciała tych dwojga ludzi rwą się ku sobie, z całą siłą namiętnego przywiązania. Oto są sami, wśród nocy: oto są sobie najdrożsi w świecie. „Pójdź do świątyni, zaraz, w tej chwili, tej nocy, a będę twoją, bo kocham, kocham!“ woła Lea i... pod wpływem tych słów słodkich twardy duch republikanina-ateisty słabnie. Za chwilę powie: „Dobrze, pójdę!“ bo on kocha również. Liczył, że ją miłość usidli, a sam się schwytał we własne sidła. „Zrób mi tylko ustępstwo, by to odbyło się w tajemnicy, by nikt nie wiedział“, mówi do niej. Na te słowa dziewica-mężatka wstaje dumna i obrażona. Poczytuje mu to, i słusznie, za małość duszy, a za obelgę dla siebie. „Jeśli tak, mówi, więc odwołuję to, com wyrzekła. Nie w tej chwili, nie tej nocy, ale jutro, w biały dzień, albo poślubisz mnie wobec wszystkich twoich i moich przyjaciół, albo nigdy nie będę twoją“. W końcu, Daniel Rochat, wielki mówca, znany, potężny wróg religii, wszelkiego duchowieństwa, przywódzca ateizmu, postanawia poślubić Leę w świątyni, wśród jasnego dnia, wobec wszystkich swoich i jej przyjaciół. Miłość zwyciężyła go. Tymczasem usłużny doktor Ridache, pragnąc ratować przyjaciela, wyrobił już rozwód. Należy tylko podpisać, ale Daniel nie chce o tem ani słyszeć. Za chwilę Lea przybędzie podpisać rozwód, ale wówczas, on złoży u jej nóg swe przekonania i zażąda ręki. Lea przychodzi. Więc zdecydowała się podpisać? Tak. W sercu kobiety został zatruty pocisk po nocnej rozmowie. Ona nie może mu zapomnieć tego, że chciał ją poślubić w tajemnicy... Ona go sobie inaczej wyobrażała, innego widziała w nim człowieka, i наконец przestała wierzyć, by mogli być razem szczęśliwi. Zmęczyła ją walka. To samo już, że przychodzi podpisać rozwód, okazuje, że coś tam w jej sercu pękło. Na twarzy jej widać tylko rezygnację i smutek. Nie dlatego przyszła, że myślała, iż to Daniel żądał rozwodu. Nie! wiedziała, że to nie on, a pomimo tego przyszła. Na jego prośby odpowiada mu już refleksyą, rozumowaniem i przewidywaniami, które tam tylko pojawiają się, gdzie znika miłość... Mówi mu, że nie posadzała go, by to on przygotowywał rozwód. „Nie, Danielu, teraz mówi przezemnie rozsądek“... Rochat spogląda na nią ze zdumieniem. „Zastanawiałam się nad tem wszystkim bardzo mocno od wczoraj... Czy wiesz, czego się obawiam? Oto, czyśmy się nie omylili na sobie? Czy ja jestem taką, o jakiej ty myślałeś, i nawzajem, czy ty nie jesteś innym, niżem cię mieć pragnęła?“ Gdy jej oświadcza, że pójdzie za nią do świątyni i gdzie sama zechce, ona odpowiada: „Będziesz żałował tego jutro!“ Kobieta, gdy przestaje kochać, bywa smutną. Mniejsza, czego jej żal, miłości czy człowieka, ale to pewna, że na przeraźliwe i okrwawione rany, kładzie ze współczuciem taki plaster zdrowego rozsądku, tyle wypowiada słusznych uwag, tyle daje pocziwych dowodów, że wprawdzie ranny wije się pod niemi z większego jeszcze bólu, ale ona ma we własnem sumieniu słuszość. Próżnoby gryząc palce krzyżeć jej. „Nie chcę twoich racji, twego rozsa-

dku, twoich dowodów, ja chcę ciebie!“ Ona ma jakąś tragiczną słuszość. Próżnoby krzyżeć: „Złe robisz, wydając mnie na mękę!“ Ona robi to ze smutkiem, ale Boga może wziąć za świadka, że... dobrze robi. Lea znajduje nieprzeparte argumenty, że Daniel będzie z nią nieszczęśliwy, a gdyby jej odpowiedział, że sam lepiej wie, co jego szczęściem, że bez niej będzie jeszcze nieszczęśliwszy, ona dowiedzie mu jak na dłoni, że się myli i że ona, odrzucając jego rękę, czyni właśnie dla niego poświęcenie. Na to niema już rady ani na ziemi ani w niebie. Następna rozmowa charakteryzuje sytuację. „Tego ranka (mówi Lea), w chwili mego smutnego przebudzenia się, szukałem w mem sercu słodkiego twego obrazu, takiego, jakim cię sobie wyobrażałam... Daniela... (płacząc)... i nie znalazłam go“... „Ale twój (odpowiada Daniel, obsuwając się przed nią na kolana), jest tu na zawsze... w sercu, ubóstwiony, jak nigdy“. „Wypędź go więc z serca (radzi mu smutnie Lea), skoro nas wszystko dzieli“. „Nie, nie wszystko, skoro jeszcze płaczesz“. „Płaczę za mą miłością, za mym snem straconym“... Tak jest. Ona już płacze nad sobą, nie nad nim. Dla niego ma tylko argumenty, że nie będą szczęśliwi... Jest tyle rozsądną i przewidującą, ile smutną. Wyrazy jej układają się we frazesy, bardzo wymowne. Czy od tej wymowy, od tych argumentów, od tego rozsądku, nie więcej jest warte proste bardzo, wierne i kochające serce, to inna kwestya. Zresztą Lea tak już weszła w rolę męczennicy, że oświadcza Danielowi, iż gdyby zażądał, to ponieważ mu przyrzekła, więc zostanie jego żoną, ale etc... W tem *ale* mieści się dla niego tyle nieszczęścia, ile w języku ludzkim zmieścić się może. Ona tymczasem siedzi z piórem w ręku, gotowa podpisać rozwód, lub nie podpisać, zrezygnowana, bierna, nieczuła, obojętna... Wreszcie pyta: „Danielu, cóż chcesz, ażebyś uczyniła?“ Daniel, po ciężkiej walce ze sobą, odpowiada głuchym, złamanym głosem: „podpisz“. Na tem kończy się sztuka.

Zdaniem Sienkiewicza, zakończenie to wychodzi na niekorzyść dramatu, ponieważ autor pragnął wyraźnie wszystkie światła nagromadzić po stronie obozu religijnego, a tymczasem wobec zakończenia wszystkie sympatyje zwracają się w stronę Daniela. Jest to rezultat, dla tendencji sztuki, nader niebezpieczny, „bo w teatrze, gdzie się ma do czynienia z uczuciami widzów, powstającymi pod wpływem akcji niezmiernie żywo, niepodobna uniknąć tego, by publiczność, poślubiając sercem jakąś postać, nie poślubiała poniekąd i jej przekonań“. Powtórne, można ze sztuki tej wyprowadzić wnioski, że tak dobrze ateizm, jak i religijność może stanąć na zawadzie ludzkiemu szczęściu i zepsuć życie raz na zawsze. Co więcej,

w sztuce ateista, nie kobieta religijna robi ustępstwo; zatem powodem przyszłej niedoli tych dwojga ludzi jest religijność... Niezależnie od tego, komedia należy do najlepszych Sardou, a występujące w niej osoby, zarówno dwie główne postacie, jak i cała galeryja pobocznych, są znakomite. Zwłaszcza da się to powiedzieć o drugorzędnych. „Romans siostry Estery z młodym Kazimierzem Fargis, rozpróżnionym, złotym młodzieńcem, jest prawdziwą i poetyczną sielanką, nawiniętą, jak pnąca się roślina, koło głównego pnia sztuki. Ten Fargis jest zapewne także sceptykiem, ale dla Estery gotów jest iść, jak sam mówi, do pagody, do bóżnicy, do minaretu, do kościoła: słowem, gdzie się jej podoba. Jest to wprawdzie indyferentyzm, ale w tym stosunku chodzi o miłość, która zresztą wygląda nader zręcznie“. Już to wogóle trzeba przyznać, że nazwa francuzkiego Arystofanesa słusznie się należy Wiktorynowi Sardou.

Stary konserwatysta ateński w każdej komedii rzucał nowy pamflet w oczy „demosowi“, reformatorom dawnych pojęć i przywódcom ruchu ludowego. Sardou w takich komedjach, jak *Rabagas* lub *Daniel Rochat*, czyni mniej więcej to samo. Czem dla Arystofanesa był Kleon, tem dla Sardou Gambetta. Porównanie można ciągnąć nawet i dalej, bo ateńczyk dostał w końcu kije, francuza wygwizdano. Ale budzić nienawiść dla siebie, jest rzeczą równie ponętą dla bardzo wielu piszących, iak budzić miłość. Jeśli Sardou miał ten cel, to do niego doszedł i z zadania wywiązał się wprawdzie mistrzowsko, bo pierwsza to dopiero sztuka tego „wielkiego robotnika“, którą wygwizdano. W swoim czasie wygwizdano także i *Ernaniego*, ale to była inna sprawa. Wówczas „za błękitami był bój i zwycięstwo“, obecnie w Sardou można podziwiać tylko męstwo. Więcej tam nawet męstwa, niż artyzmu i talentu...

Była to epoka, gdzie Sienkiewicz więcej, niż kiedykolwiek, interesował się teatrem, gdyż zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wtedy przemyślał o pisaniu dla sceny... W listopadowym zeszyte *Niwy* wyszedł jego obrazek dramatyczny w jednym akcie, *Czyja wina?* a za kilka miesięcy zacznie w tejże *Niwie* drukować się jego dramat w 5-ciu aktach, *Na jedną kartę...* Wobec takiego zwrotu w autorze *Hani*, nie dziw, że go żywo zajmowało wszystko, co się działo na niwie drama-

tycznej, zwłaszcza rodzinnej. To też, gdy Teatr Rozmaitości wystawił nową 5-aktową komedię Edwarda Lubowskiego, *Sąd honorowy*, Sienkiewicz poświęcił jej rozbiorowi całą „miesięczaninę“ w listopadowym zeszycie *Niwy*. Sprawozdanie to wielce jest dla autora swego znamienne, odsłania bowiem jego zasadnicze poglądy na sztukę dramatyczną ostatniej doby, a jednocześnie zawiera szereg refleksyi na temat różnych prądów, nurtujących nasze społeczeństwo, refleksyi, którym niepodobna odmówić trafności, jakkolwiek brzmią pesymistycznie.

Niegdyś przeważały w komedyi intryga i typy ogólne, obecnie zaś komedya wkracza coraz więcej w dziedzinę studyów nad szczegółowymi charakterami i szczegółowem społeczeństwem. Tak zwana *bajka* jest poniekąd tylko formą architektoniczną dla spostrzeżeń i tendencji, które wysuwają się na pierwszy plan. Zastępowanie typów ogólnych, szczegółowymi odebrało może komedyi idealny i ogólnie ludzki charakter, uczyniło ją natomiast wierniejszym, dobitniejszym, a ztąd i bardziej wpływowym obrazem danego społeczeństwa. Zaniedbywanie bajki rozluźniło budowę, ale pogłębiło treść. Wogóle nowszy kierunek z jednej strony pociągnął za sobą straty, z drugiej przyniósł niemałe korzyści. Zwrot ten wobec życia i społecznego i prywatnego, które staje się coraz bardziej subtelnem i złożonem, był koniecznym. Piękna architektura Menandra, Terencyusza, lub Moliere'a, nie mogła objąć zbyt licznych, dzisiejszych odcieni życiowych, dlatego porysowała się i coraz bardziej grozi ruiną.

Lecz wobec tego nasuwa się pytanie, jakiego probierza używać w sądzeniu dzisiejszych utworów? co nazywać komedią wzorową? Nie jest to zadanie łatwe.

Studjum nie może być dokładne, jeśli nie jest szczegółowe, jeśli zaś jest szczegółowe, nie może być artystycznie zaokrąglone i proporcjonalne: musi być nieco rozwlekłe. Zapewne, że autor, któryby tak umiał pogodzić treść z formą, by głębokość studyów podnosiła interes bajki, bajka zaś nadawała się do uwydatnienia charakterów, stworzyłby arcydzieło; ale podobna miara jest czysto idealną, a do tego w pojęciu każdego krytyka odrębną, nie może zatem służyć za ogólną i niezawodzącą nigdy skalę. Pozostaje więc chyba wraz z Tainem rozważać, jak każde dzieło sztuki, tak i komedię, ze względu na jej stosunek do społeczeństwa i ze względu na *szczerść* roboty. Jest to krytyka, jeśli się

można tak wyrazić, utylitarna, krytyka zdrowego rozsądku, w której mniej spekulacji filozoficznej, a więcej pozytywnego sądu i życia.

Stosując metodę tę do sztuki Lubowskiego, Sienkiewicz zaczął, przedewszystkiem, od streszczenia fabuły *Sądu honorowego*, które to streszczenie, bardzo długie, prawie równało się ocenie samej komedyi, „trudność bowiem, jaką napotyka recenzent, chcąc opowiedzieć bajkę, jest poniekąd jej krytyką. Jako kompozycja, szwankuje *Sąd honorowy*, pod względem jednolitości, ma kilka zawikłań, nie jedno, co maści przejrzystość akcji, ale za to galerya postaci, przeważnie ujemnych, wynagradza brak wiązań i zaokrągleń w architekturze. Wszystkie występujące figury są jednakowo niktzemne, ale w rozmaity sposób.

Są to wybornie uchwycone typy ludzi płaskich, pospolicie nieuczciwych, w których przebiegłość zastępuje głębszy rozum. Wśród społeczeństwa, mającego więcej tęgości sądu, a mniej apatycznego pobłażania wszystkim niktzemnikom, byle ubranym w jakie takie pozory tuzinkowej uczciwości, nie odegraliby tacy ludzie, takiej roli. Przed samodzielnym i zdrowym sądem nie uchroniło by ich to, że należą do resurs i dobroczynności, że płacą regularnie podatki, że są zamożni i pozornie stateczni i pozornie szanowni. Ale u nas poprzestają na pozorach. O ile satyryk spostrzega brak pobłażania dla wybryków, łamiących w jakikolwiek sposób konwencyonalne formy, w jakie zakłęto nasze życie, o tyle spostrzega dziwną, ospałą i chorobliwą moralnie pobłażliwość dla nieuczciwości nawet i niktzemnych postępków, byle one nie wychodziły z pod modły. Postawienie więc w ten sposób tych postaci jest satyrą i krytyką, nie tylko tychże postaci, ale i całego społeczeństwa. My wszyscy znamy takich Wrzaniewiczów i Owczyńskich, spotykamy ich i... podajemy im rękę. Czasem mówimy o nich, że to są szachraje i plotkarze i t. p., ale wszyscy ich tolerują, bo się zaplątali w nasze życie społeczne, a nikt nie ma ochoty ani siły, ani dzielności, by ich wypłatać i wyrzucić.

W komedyi Lubowskiego, są to wyborne typy, bo żywe, bo je autor nie tworzył wedle reguł i przepisów, ani naśladował nikogo, lecz czerpał rysy z własnej obserwacji, a że jest więcej satyrykiem, niż poetą, więc wszelkie złe i ujemne strony dostrzega lepiej, niż dodatnie. „Dostrzega przytem, w sposób

sobie tylko właściwy, t. j. mimo trafności wielce oryginalny, co znowu sprawia, że w satyrze ma swój własny styl. Przedmiot to niemały. Anielewskiego nikt inny by tak nie podpatrzył i nie schwycił. Na takiego człowieka składają się nie tylko połączenia wad i przymiotów, a zatem lekkie serce, żaden charakter, wrażliwość nerwowa, usposobienie poniekąd artystyczne, przy braku wszelkich zasad, bystry umysł i chęć użycia; ale wytwarzają go dane warunki społeczne wielkiego miasta, w którym wytwarza się rodzaj moralnej bohemii... bez celu w życiu. Dostrzedz to wszystko i uosobić, jest prawdziwą artystyczną zasługą. Lecz obracając się najchętniej w kółku mężkiem, w życiu, w jego ruchu i prądzie społecznym, gdzie, jako satyryk, obszerne znajduje pole, Lubowski jest mniej dosadnym, gdy kreśli typy kobiece. Zawikłania psychiczne, płynące z miłości, kolizye uczuć, dramaty pożycia małżeńskiego i rodzinnego, mniej go zajmują i w mniejszym daleko stopniu pobudzają jego artystyczną twórczość. Ztąd wogóle kobiety grają w jego utworach rolę podrzędną jedynie, dopełniającą. Jest to wada, płynąca z rodzaju talentu. „Pozbawia ona sztuki rzeczności, a za to pozwala uwadze autora, tem energiczniej wyteńczyć się w stronę życia publicznego i tem dokładniej chwycić jego objawy“. Jeśli w całym *Sądzie honorowym* Lubowski ani razu nie trąca potężniej w stronę miłości, to wobec zadania, jakie sobie stawia, jest to koniecznem i w przeciwnym razie satyra zesłała by natychmiast na drugi plan, a miejsce jej zająłby liryzm. Także i atmosfera, której wytworem są wszystkie figury w komedyi, nie wystąpiła by tak jaskrawo, a atmosfera to ciekawa niezmiernie.

Jakieś inne, nowe wiatry wieją od niejakiego czasu między nami i mało kto zdaje sobie dokładnie sprawę, jak dalece w ostatnich czasach przeradza się nasze społeczeństwo. Idzie li wszystko ku lepszemu, czy ku gorszemu, nie tu miejsce rozstrzygać; śmiało można jednak powiedzieć, że przy pewnych objawach należy położyć znak ujemny... Nieprzemyślany prąd popycha ludzi do gonitwy za zyskiem, za dobrobytem materialnym, za gromadzeniem bogactw. Byliśmy, wedle ogólnej przyznanej opinii, społeczeństwem wielce niepraktycznem, ale że nam się przytem nie wiodło, weszliśmy na inne drogi. Na tych innych bogactwo

miało być środkiem... Czy jednak dla niektórych nie stało się celem? czy wielki, chmurny, oddalony dobra publicznego ideał nie ustąpił miejsca chęci dobrobytu i temu z dobrobytu płynącemu zadowoleniu, wobec którego człowiek syt i pewny jutra nie pragnie już niczego więcej? Niezawodnie, do pewnego przynajmniej stopnia tak jest.

Wobec tego, nie dziw, że wśród gwaru tej pogoni za groszem i używaniem, podnoszą się niekiedy głosy satyryczne i, wskazując na takich ludzi, jak figury z komedyi Lubowskiego, mówią:

Dla nich bogactwo już nie środkiem, ale jedno jedynym celem. Ci chcą upaść tylko swe brzuchy i zaokrąglić kieszenie, strzeżcie się więc, bo to już nie pojedyncze figury, ale typy ogólne. Małoż ich między nami... Strzeżcie się, by cały kierunek, cały ten prąd, z którym płyniecie, nie zaprowadził was zbyt daleko... Ze społeczeństwa rycerzy możecie zejść na arendarzy, giełdżarzy, pachciarzy, kramarzy i tym podobnych łapigroszów, którzy, byle geszeft szedł dobrze, nie będą dbać o nic innego. Dobrobyt! Przemysł! Handel! Bogactwa! wszystko, co chcecie, wszystko dobre, wszystko pożądane, wszystko należy popierać, nad wszystkim pracować, pod jednym wszelako warunkiem, że wszystko będzie środkiem, nie celem.

Na nieszczęście i środki, któremi się u nas ludzie posługiwali zwykli, by dopiąć zamierzonego celu, nie zawsze dadzą się pogodzić z wymaganiami etyki. Do środków takich należą między innymi plotki, anonimy i potwarze, które, jak zaraza moralna, grasują wśród naszego społeczeństwa, zwłaszcza w Warszawie, a któremi, niby strawą zepsutą i zgniłą, w braku czego lepszego karmi się opinia publiczna. Opinia publiczna! Zdaniem Sienkiewicza, jest to bardzo często małpa, przynajmniej tyle śmieszna, ile nikczemna. „Jest to także poniekąd pies, bo można nim poszczuć każdego porządnego człowieka, który się nie podoba, lub który wychylił głowę z korca. Jeśli ten pies go nie zagryzie, to przynajmniej poobrywa mu... nogawiczki“. Ale jest i inne źródło plotek, któremi tak się lubi karmić nasze społeczeństwo.

Ciekawości ludzkiej, wrodzonym i naturalnym chęciom zajęcia się czemkolwiek otwiera się pole tylko prawie wyłącznie w życiu prywa-

tnem. Cóż dziwnego, że głodna opinia rzuca się na wszystko, i że zmuszona żywić się drobiazgami życia prywatnego, szuka ich przez mikroskop i widzi przez mikroskop. Taki stan rzeczy o tyle jest smutnym, o ile jest rzeczywistym. Że zaś korzystają z niego próżniacy, nikczemnicy, że wszelkie niskie dusze wyszukują pieprzu i soli, jako przyprawy do tego jadła, to już jest bardzo naturalnem. Smutno powiedzieć, że niema może miasta, w którym by krążyło tyle plotek, potwarzy, w którym by pisano tyle anonimów, dawano tyle ostrzeżeń, gdzieby tak mieszano się między ludzi, jak u nas (w Warszawie). Pani A kocha się w panu B, pan C zwodzi pannę D, a rozwodzi panią E: oto wieczne tematy rozmów, a nawet gorących rozpraw i sporów. Nikt z nas nie przypuszcza setnej części tego złego, które mówią o nim przyjaciele, a coś dopiero nieprzyjaciele, i doprawdy można powtórzyć z Laroche Foucauldem: „nie zrobilibyśmy wcale lichego interesu, gdybyśmy się mogli zrzec wszystkich udzielanych nam pochwał, pod warunkiem, by nie mówiono o nas nic złego“. Z drugiej strony, gdyby każdy popełnił te grzechy, które mu przypisują, znaleźlibyśmy się wszyscy w piekle. Ale tymczasem, za życia, cierpi na tem cześć mężka i niewieścia, psują się stosunki ludzkie, psuje się szczęście, a wyrabia tolerancja dla prawdziwych występków. Jest to naturalne, boć jeśli wedle tego, co ludzie o sobie mówią, niema nikogo, komu by można rękę podać, trzeba podawać ją wszystkim... Wogóle nikt z nas nie może być pewnym, ani jutra swej opinii, ani jutrzejszego swego stosunku z ludźmi, którzy dziś cenią go i kochają.

W życiu prywatnem bronić się można od takich jadowitych plotkarskich wieści pogardą, dantejskiem *guarda e passa*, publicznie piętnuje je satyra. Otóż *Sąd honorowy* Lubowskiego jest właśnie taką satyrą.

W lipcowym zeszycie *Niwy*¹⁾ zdał Sienkiewicz sprawę z powieści Edmunda About, *Le roman d'un brave homme*. Powieść ta, gdy ukazała się na półkach księgarskich w Paryżu, narobiła ogromnej wrzawy, mówiono bowiem, jeszcze przed jej wyjściem, że About pisze coś wprost przeciwnego utworom Zoli, coś, co ma stanowić przeciwwagę kierunku i talentu autora *Rougonów*. Inni utrzymywali przeciwnie, że About przyjmuje kierunek, oparty na realnem widzeniu i odtwarzaniu rzeczywistości, ale w formę, w którą naturalizm wlewa tylko pianę,

¹⁾ Rok 1880.

męty i błoto życia, postara się wlać czyste złoto prawdy, piękności i uczciwości. Taki był, istotnie, zamiar autora. Czy mu się udało celu swego dopiąć? Zdaniem Sienkiewicza, nie. Na to bowiem, ażeby takie przedsięwzięcie uwieńczył pożądany skutek, nie wystarczało napisać historię porządnego bourgeois francuzkiego, Dumonta, który, pracując uczciwie, jak pracowali jego dziad i ojciec Dumontowie, dorobił się milionowej fortuny, miał dużo dzieci, był szczęśliwy w pożyciu z żoną, etc. To jeszcze nie dosyć.

Zola w Rougon'ach i innych, mających z nimi związek, powieściach, dał nam genealogię rodziny, która w walce o byt wzniosła się w czasach ostatnich; About uczynił toż samo. Ale Rougonowie wznosili się *per fas et nefas* ze stanu prawie bydłęcego, wiedzeni tylko brutalnymi instynktami zachowawczymi, korzystając z cudzych słabości, z nieszczęść prywatnych i publicznych, z owej fatalnej epoki, która pokrywała wszelkie zdrożności, szalejąc życiem gorączkowym, wyuzdanem, toczonem przez robaki blagi, chęci użycia, rozpusty, fałszu; Dumontowie wznosili się uczciwą pracą, rozumem i uczciwością.

Ciekawe i prawdziwie hogartowskie przeciwstawienie takich dwóch historii, opartych na fizyologicznej zasadzie rozwoju i dziedziczności instynktów! Nierządnica Nana kona w szpitalu, a uczciwy Piotr, pisze spokojnie wspomnienia dla dzieci. To dwa odrębne światy... Zola malował czarno, About dobierał barw jasnych.

Zola ma swoich zwolenników, ale wzięwszy wszystko w rachubę, spadło na niego tysiące zarzutów, że psuje ludzi, kała literaturę, poniża swój talent pisarski, niszcząc koronki z obrzydliwej piany, zbieranej na ustach chorego społeczeństwa. Gdyby z większości tych nawet, którzy go zapamiętali czytają, złożyć sąd i sądu tego spytać o werdykt, przysięgli odpowiedzieliby ogromną większością: „winien!“ Ale skoro rzecz się tak ma, to ile winy Zoli, tyle zasługi About. Czy jednak tak jest istotnie? O co chodzi? Czy o kwestyę czysto społeczną, czy o literacką? Przypuśćmy na chwilę, że Zola istotnie sądzi, iż we Francyi stosunki społeczne układają się, lub układały, w ten sposób, że większość mieszkańców, musiała lub musi składać się z pijaków, złodziei, podsłuchaczy, nierządnic: cóż mu na to odpowiada About? Oto: mylisz się! We Francyi są przecie miasteczka, kwitnące pracą i przemysłem, a w tych miasteczkach mnóstwo rodzin uczciwych i zacnych, dążących w pocie

czoła od dziada, pradziada, do ustalenia bytu i powiększenia swych fortun w sposób legalny; mylisz się, bo we Francji jest potężny i prawidłowo rozwijający się element, na którym wszelki rząd, byle uczciwy, może się oprzeć, na który wszyscy mogą rachować; we Francji nakoniec cnota przeważa nad nieprawością, rozum nad głupotą, zdrowy obyczaj nad zepsutym, porządni ludzie nad złodziejami, uczciwe kobiety nad Nanami, i t. d. Doprawdy, jest coś niewłaściwego w takim postawieniu powieściowej tendencji. Któż o tem wątpi? mają prawo spytać czytelnicy: pewno ani my, ani nawet sam Zola. Jeżeli About nie chciał nam niczego innego dowieść, jak tego, o czem bez cienia wątpliwości jesteśmy przekonani, niepotrzebnie czas tracił. Z drugiej strony, równie pewną jest rzeczą, że w 40-milionowem blisko społeczeństwie nie brak tych stron mętnych, ciemnych i cuchnących, które opisuje Zola: jakąż jest więc dobra racya, by nie miał ich malować i wydobywać na jaw, choćby dlatego, by złe zmniejszyć? Niech będzie dwóch: Zola do malowania czarno i About do malowania biało. *Chaque selon son gout!* Można utrzymywać, że w literaturze, tak jak i w przyrodzie, winna panować różnaitość. Istotnie, jeśli książka napisana jest, w chęci przeciwstawienia Zoli, należało przenieść walkę na inne pole, mianowicie na czysto literackie. Zola n. p. w *Nanie* ma jedną słabą stronę: jest nudny. Czytelnikowi nie dość, gdy może pomyśleć o autorze: „*Que bestia utalentowana i jak prawdziwie dostrzega!*“ Wcale nie dosyć! On potrzebuje znaleźć coś z siebie, jakieś oddźwięki własnej duszy, uczuć i pragnień; on potrzebuje *zająć* się książką, zatem znaleźć w niej postacie, które pokocha za ich prawdziwość, ale zarazem i piękność, za ich prawdziwą poezję i to poezję nie w chmurach, ale w życiu takim, jakie ono jest, głównie za ich sympatyczność. W *Nanie* n. p. nie znajdzie nic podobnego. Kto go tam zainteresuje? Nikt! Pewno nie sama Nana, nie dyrektor teatru, nie George lub hrabia Mauffet. W innych powieściach Zoli toż samo¹⁾. Ani jedna niteczka sympatii czytelnika nie ma najczęściej się koło kogo obwinąć. Zaczynamy książkę zimni i kończymy ją zimni. A jakąż to wada w artyzmie autora, jeśli nie potrafi zająć! Niech będzie sobie najrealniejszym, niech jaknajbystrzej dostrzega, pozostanie nudny. Znam ludzi, którzy *Nany* nie mogli skończyć, tak ich nudziła. To już defekt w artyzmie i kto chciał bić Zolę, powinien był w tę słabiznę go uderzyć. Należało powiedzieć przez powieść coś, jak ów kuglarz: „Panie bracie, na rzemiośle się nie znacie! Oto bierzesz do swych powieści z życia figury bardzo prawdziwe, ale takie brudne, tak pomazane błotem, tak chore moralnie, takie spaczony, nędzne, hultajskie, że żaden z czy-

¹⁾ Trudno w tym razie podzielać zdanie Litwosa, nawet biorąc w rachubę tylko te powieści z cyklu Rougon-Maquartów, które wyszły do roku 1880.

telników nie może im ani współczuć w niedoli, ani cieszyć się z ich szczęścia. Twój materyał nie nadaje się do tworzenia arcydzieł: artyzm, jako taki, wyłącza twój świat, więc idziesz złą drogą, więc... mylisz się sam i w błąd wprowadzasz drugich". Istotnie, poza zamtuzem i poza błotem ulicznym jest przecie także życie i bardzo szerokie. About mógł wziąć świat, taki małomiejski, jak wziął, taki sobie kopiec zabiegłych, pocziwych mrówek. Ale powinien był odmalować świat ten żywym, interesującym, ponętym i niezmiernie sympatycznym¹⁾. Powinien był wykazać, ile prawdziwych i równie ślicznych, jak prawdziwych, i równie interesujących, jak ślicznych stron, jest w tem życiu kumów, kumoszek i ich dzieci; ile zorzy i słońca we wzajemnej ku sobie miłości serc; ile harmonii w takim miasteczku; ile wdzięku w jego domach, bluszczem upowitych; ile prawdziwie i ogólnie ludzkiego pierwiastku w całym życiu... Powinien to był malować z równą, lub większą jeszcze dokładnością i z równym realizmem, jak Zola, t. j. zrobić obrazem nie tylko pięknym, ale prawdziwym, plastycznym i interesującym, słowem, takim, od którego z trudnością przychodziłoby się oderwać. Wówczas by wytracił z rąk książki Zoli. Co zrobił zamiast tego? Napisał książkę, moralną, wprawdzie bardzo, ale... nudną. Czy nie stało mu talentu równego Zoli, do kreślenia obrazów, do chwytania życia, na gorącym jego uczynku, ze stron pięknych i poetycznych? Zapewne. About w swoich utworach robił na mnie wrażenie inteligentnego, sprytnego człowieka, cieszącego się wielką równowagą umysłową, posiadającego wysoki dowcip, ale pozbawionego poezji w duszy. Zaliczyłbym go chętnie do takich literatów, których w klasyfikacji możnaby podciągnąć pod ogólną nazwę: *porządkny literat*. Tacy nie piszą nigdy głupstw, cieszą się czasem wielkiem powodzeniem i uznaniem, tak publiczności, jak i towarzystw, do których uczęszczają. Ludzie chwala ich zdolności, wynoszą pod niebo ich dowcip, zostaje po nich wiele rzeczy bardzo dobrych, sumiennych, nawet bardzo ładnych, ale nie zostaje ani jedno arcydzieło. Brak im czegoś, co świeci, grzeje, pali. Ten *brak* to poezja, to dusza wzniosła, egzaltowana, czująca bardzo i cierpiąca za wielu; to coś, co się tak boleśnie targało w Mussecie, Heinem, co było takie tkliwe i kochające w Dickensie, takie kochane i patryotyczne w Chopinie, Grotgerze, takie wielkie w Mickiewiczu, takie błyskawicowe w Słowackim... Gdy sobie przypomnę twarz About'a, zażywną, okrągłą, rumianą, o czarnych oczach, błyszczących dowcipem, twarz *porządnego bourgeois*, i zestawię ją z obliczem Zoli, z którego, jak i z jego utworów, przebija jakaś siła brutalna a chłodna, nie mogę oprzeć się myśli, że About przegra powieściową wojnę z Zolą.

¹⁾ I tu trudno się godzić z Litwosem. Figury wcale nie potrzebują być sympatyczne, ażeby być interesującymi. W takim razie sztuka byłaby ogromnie jednostronna.

Le roman d'un brave homme jest nudny! Z poza przeźroczystej obłony słów nie przebijają obrazy. Pan Piotr jest zacny człowiek, ale moralizuje zamiast malować. Powiedzmy bez ogródek, że książka niemoralna, choćby była nudna, ma dla większości ludzi pewien ostry smak, właśnie dla swej niemoralności; książce nudnej, moralnej, tego brak. Można także opisywać ludzi wzorowych i nie mieć czytelników. Pan Podstoli jest wzorem porządnego człowieka i wzorowego obywatela, a kto go dziś czyta? Piotr Dumont jest również wzorem do naśladowania. Wypowiada on wiele rzeczy rozumnych i pożytecznych, układa bardzo mądrze swe opowiadanie, tak, aby czytelnik zdał sobie sprawę z całego rozwoju stopniowego tych „prac i dni;“ Piotr Dumont doskonale i ku wielkiemu zbudowaniu czytelnika ukazuje, co może praca, jak solidarność lepsza jest od trudu w rozłacie, jak z usiłowań pojedynczych ludzi korzysta miasto, kraj, ogół, ale... ale Zola ma więcej talentu od Edmunda About. Nie chcę powiedzieć, by Zola był olbrzymem, ale nie obali go idealizowanie życia mało-mieszczańskiego, które w rzeczywistości jest płaskiem i przepelnionem groszowym oportunistem. Zmaleje prawdopodobnie i Zola, nastąpi to jednak wówczas, gdy jakiś młody a śmiały talent uderzy w dzwon wielkich idei. Wówczas i umysły ludzkie, równie wielkim ruchem się rozkołyszą i o wszystkim, co się do nowej miary nie stosuje, zapomną...

Przepowiednia ta poniekąd sprawdziła się dzisiaj, po upływie lat 20-tu: Zola wprawdzie od roku 1880 spotężniał i dorósł olbrzymiej miary, jako autor *Germinala* i *Débacle*, ale obecnie talent jego, minawszy swój zenit, słabnie, kierunek zaś, który on stworzył, przeżył się całkowicie. Ztąd i sława Zoli, jako autora *Trzech miast*, a zwłaszcza jako autora *Czterech ewangelistów*, staje się podobną do zachodzącego słońca... A tymczasem przyszedł Sienkiewicz i uderzywszy swem *Quo vadis* „w dzwon wielkich idei“, do tego stopnia rozkołysał umysły Francuzów, że lubo nie zapomniano o Zoli, to jednak zstąpił on trochę w cień, a literatura francuzka poszła w całkiem odmiennym kierunku, niż ten, który jej wskazywał naturalizm ze swoim „romansem eksperymentalnym“.

Kierunek ten, przeczuwał już Sienkiewicz w chwili pisanja swej oceny książki About'a, tak dalece, że zaraz w następnym zeszyte *Niwy*, obszernie rozpisał się na ten temat. Bo jeśli naturalizm miał to do siebie, że głównie odtwarzał życiową powszedniość, to powszedniości tej ma się tyle w życiu co-

dziennem, że ostatecznie, biorąc do ręki powieść, chciało by się odetchnąć jakąś odmienną, podnioslejszą atmosferą. Wobec tego, zdało się Sienkiewiczowi, że jednym z kierunków, w którym niebawem pójdzie powieściopisarstwo, będzie zwrot do natury.

Natura, jej życie i jej dusza, odczuwana przez niektóre zaledwie serca i umysły, to żywioł dla utworów literackich jeszcze prawie nie-
tknięty, ku któremu widać już jednak pewien zwrot, w miarę, jak prze-
sycamy się życiem miast i mieszczańskim romansem. Kto wie, czy dzi-
siejsze powieściowe sytuacje, zagadnienia, kolizye serc, szczególność cha-
rakterów, wreszcie bohaterowie i bohaterki razem z ich miłościami, nie-
nawiściami, zawodami i szczęściem, nie wydają się większości i piszących
i czytających czemś dziwnie małym, płaskim, powszedniem i zwietrza-
łym. Toż to wszystko, co się opisuje w większej części powieści, to
dzieje się w powszedniem życiu mieszczańskiem codziennie, i w naszym
czasie każdy mniej więcej rozwinięty człowiek przechodził lub przecho-
dzi przez takie same wzruszenia i przecucia duszy, bywał w podobnem
położeniu, kochał, zawiedziono go, rozpaczał, uspokoił się, potem ożenił
i ot! żył jak tysiąc innych. Jest to wszystko może ogólnie ludzkie, ale
też i ogólnie powszednie. Mimowoli człowiek pyta się: co takiego jest
w miłości pana Michała do panny Karoliny lub Piotra do Joanny, żeby
pisać o tem aż dwa tomy? Po co o tem czytać, kiedy to można widzieć
odegrane przez żywe osoby? My tego życia mamy aż nadto: ono nas
męczy, nuży; zresztą, straciliśmy w nie wiarę, wraz z ochotą do niego.
Niechże choć literatura stworzy nam światy inne: wszystko nie jest ta-
kie karłowate, ale wielkie, nie takie płaskie, ale wzniosłe, nie chorobliwe
i śmiertelne, ale zdrowe i nieśmiertelne, nie zgrzybiałe, ale młode. Dajcie
nam jakie inne światy i inne jakieś przestrzenie, w których pierś, zgo-
rączkowane od miejskich wyziewów, odetchną choć raz swobodnie i sze-
roko. Wprowadźcie nas do lasów, gdzie sosny ronią woń żywiczną, bo
chorym w nich zdrowiej. Tam musi być inny świat: natura musi mieć
w sobie jakieś nienapoczęte jeszcze pierwiastki życiowe, jakieś tajemnice
jeszcze niezbadane, jakąś nową karm dla ciał i dusz umęczonych. Takie
wołania nie po raz pierwszy rozlegają się po świecie. Gdy ludziom za-
ciasno zrobiło się w żabotach i perukach, a życie takie, jak było, zagro-
ziło bankructwem, powstał *Emil J. J. Rousseau*, potem *Pawły i Wirgi-
nie*, pseudo-leśne dzieci Chateaubrianda, a potem cały romantyzm dziki,
rozbujały, egotyczny... Dziś co zrobimy kwoli tym wołaniom? Czy znowu
uciekniemy do lasów? Trudno wiedzieć. To tylko pewna, że dziś panu-
jący kierunek, dzisiejszy naturalizm czy realizm, czy jak kto chce, dzi-
siejsze drobiazgowo a wierne malowanie powszedniości, którego główną

zaletą jest trafność, dzisiejsza niby trzeźwość, wstydząca się podniosłego słowa i egzaltacy i wyższego lotu, zaczyna się przejadać i wzbudzi jakąś reakcyą. Być może, że naprawdę uciekniemy do lasów i, położywszy się na igliwiu, będziemy póty patrzeć w chmury, przelatujące nad nami, póty wsłuchiwać się w szумы drzew, póty odgadywać panteistyczną duszę otoczenia i tak zlewać się z niem, że popadniemy w jakiś niebywały dotąd mistycyzm, który z kolei przejdzie wszelką miarę zdrowego rozsądku i z kolei... runie. Jest w tem wszystkim tylko wdrapywanie się na górę i obsuwanie się z góry, jest jakaś praca syzyfowa. Być może także, iż nadejdą czasy, w których powieść tak przejdzie, jak przeszły inne formy literackie, które zdawały się nieśmiertelne.

Tymczasem w przyszłym autorze *Trylogii* dokonywał się już zwrot bardzo znamieny, z którego on sobie jeszcze nie zdawał jasno sprawy, który w nim dotąd przechodził dopiero fazę fermentu, który jednak o tyle był już widoczny, o ile różnił się przesytem realizmem i naturalizmem powieści współczesnej. Choć sam, aż do tej pory, hołdował temu kierunkowi, bo we wszystkich swoich nowellach i opowiadaniach powieściowych, naśladowując wzory zagraniczne, głównie Daudeta i Dickensa, malował obrazy i sceny z *życia i natury* (które wprawdzie opromieniał poezją, ale je przedstawiał *realistycznie*, malując życie *współczesne*), to jednak zaczynało mu być ciasno i duszno w tym obrębie współczesności. Znudzony nią, pożądał innych światów, „gdzie wszystko nie jest takie karłowate, ale wielkie, nie takie płaskie, ale wzniosłe“... I zdało mu się na razie, że kluczem do rozwiązania tego literackiego problemu będzie natura: nie przeczuwał jeszcze, że niebawem znajdzie klucz inny, który przed nim otworzy Sezamy innych światów, że tym kluczem będzie przeszłość narodowa, ta przeszłość, której apoteozą zakończy z czasem *Krzyżaków*: „Więc tobie, wielka, święta przeszłości... niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!“ Ale wtedy, w lipcu 1881 roku, jeszcze sobie z tego nie zdawał sprawy, iż niebawem odkryje nową dziedzinę dla swej twórczości, że tylko patrzeć, jak się wznieśie z prostej powieści do hymnu, od powieści i nowelli współczesnej, do „powieści z lat dawnych“ odtwarzającej zamierz- chle czasy i ludzi nie na miarę krawca lecz Fidiasza...

Znajdując się w podobnie przejściowej fazie, gdy się spotkał w *Kłosach* z fantazją czeskiego pisarza Heritera p. t. *Z mojego zielnika*, zachwycony świeżością, wiejącą od tego poematu prozą, rozpiisał się o nim obszernie w lipcowym zeszycie *Nivy*, wróżąc narodziny zwrotu w kierunku natury, jako tego źródła, od którego literatura odbiegła, ale do którego bezwarunkowo musi powrócić.

Autor prowadzi nas o zmierzchu do lasu i każe nam się wsłuchiwać w życie roślinne. Więc oto ostatnie blaski słońca pozłacają jeszcze korony sosen, ale na dole jest już ciemno; najmniejszy wiatr nie kołysze leszczyny, czasem tylko ozwie się jeszcze nawpół senny świegot jakiego ptaka, układającego głowę do snu pod skrzydło; zresztą słychać tylko szeptu drobiazgu leśnego, rozmaitych mchów, przelaszczek, sasanek, które kiedyś były czemś innem na świecie, a dziś, zaklęte w postaci roślinek, marzą wśród pogodnych nocy o tem, czem były i wspominają życie dawniejsze. Te dzwonki np. czyli kampanulle, to serca prawdziwych dzwonków srebrnych lub mosiężnych. Każdy z nich za życia dzwonił ludziom a po śmierci dusza jego stała się kwiatkiem leśnym. Teraz właśnie prostują główki operlone przez rosę i opowiadają swe dzieje. Posłuchajmy ich rozmowy. Jeden oto brząkał niegdyś na rzędzie pysznego rumaka, należącego do pięknej, bogatej pani otoczonej hołdami, podziwem i uwielbieniem: wszyscy ją kochali, wszyscy starali się pozyskać choć jedno jej spojrzenie, a potem, mijały lata, dzwonek przechodził różne koleje i w końcu znalazł się znowu na chomonce konia, ale już bardzo biednego, który ciągnął równie biedną i zapomnianą staruszkę. Ten biedny koń był tym samym, ongi pysznym rumakiem, a ta zapomniana staruszka, toż samą, piękną niegdyś damą... Drugi dzwonek wołał w hrabiowskim pałacu, na marszałka: Johann! Johann! trzeci budził co chwila biedną sierotę Anusię, inne były sygnaturkami na kościolach. Opowiadanie idzie po kolei o różnych losach dzwonków, aż wreszcie wychyla główkę z pod mchów jakiś bledszy i smutniejszy od innych. „Ja, mówi, stałem przy łóżku konającego człowieka, a tym człowiekiem był czeski poeta. Jego wychudła ręka, ostatni raz wyciągnęła się ku mnie, a potem słyszałem jak mówił: biedny! biedny czeski narodzie... i umarł“. „Dlaczego biedny?“ przerwał opowiadanie głos największego dzwonka. „Oto ja dzwonię na jutrznią nowej przyszłości dla czeskiego narodu; nadejdą czasy i on będzie jeszcze wielki i szczęśliwy: ta jutrznia już blisko, a więc dalej, hosannah! hosannah!“... Tu wszystkie większe i mniejsze zaczęły dzwonić i po całym lesie ozwały się głosy: hosannah! excelsior! a tymczasem noc zbladła i między koronami sosen zaświtał ranek. Jest jakiś tajemniczy urok w powyższem opowiadaniu,

które przy końcu wybucha gorącym patryotycznym uczuciem. Ten cichy, ciemny, czeski las, w którym nawet i polne dzwonki dzwonią na chwałę czeskiego narodu i przypominają mu lepszą przyszłość, szumem swym przemawia do serc, jakby szeptał słowa otuchy... Przytem, przez owo połączenie natury i patryotyzmu, które samo w sobie jest niepowszednim pomysłem, wyrodził się jakiś wyższy, podniosły nastrój, rzecz tak rzadka w czasach obecnych.

W dzisiejszych czasach, najzwyczajszym typem powieści są utwory tego rodzaju, jak n. p. Zacharyasiewicza, *Romans pana Michała*, bardzo często powtarzająca się historia łowcy posagowego, starającego się o pannę, o której jest przekonany, że posiada 130.000 reńskich. Gdy się dowiedział, że ma tylko 30.000, zerwał, lecz po zerwaniu przekonał się, że nie chcący zakochał się w pannie...

Michał wrócił na wieś, a tu bez panny Salomei ani rusz! Tęskno i tęskno. Nie wiedział sam, co robić. Chłopak miał pocziwe serce, więc gdy nagle doszła go wieść, że panna po zerwaniu zachorowała i umiera, oddał swoje marzenia o posagu, jak mówi Słowacki: szatanowi, i polecił siedzieć u jej wezgłowia. Gdy Salomea wyzdrowiała, nastąpił ślub i zaczęli oboje biedę klepać... O tem klepaniu mówi część II. Z biedą mogliby żyć, a nawet wedle terminologii wiejskiej, wyjść z interesów, ale przecież Michał był obywatelem, a ona obywatelską córką, więc wypadało dla honoru obojga odbyć podróż za granicę. Wszystkie krewne i ciotki były tego zdania, że to jest konieczność. Na tę podróż nietylko poszedł posażek Salomei, ale zaciągnięto nowe długi. Po powrocie trzeba się było pokazać w obywatelstwie i żyć: urządzili więc dom parady, przyjmowali grymaśnych gości z miasta i ze wsi. Gdy Michał chciał wprowadzić jakiegokolwiek oszczędności, ograniczyć wydatki, zamknąć podwoje jadalnego pokoju, pracować, pocziwa Salusia nie mówiła mu nic, ale bladła, marniała, chudła... „Co ci jest, droga“, pytał Michał. „Widzisz ukochany... ja się trochę nudzę“... Więc wracali na nowo do dawnego życia. Przyjmowali i wyjeżdżali sami, aż wreszcie wyjechali z wioski. Osiedli we wschodniej Galicyi, i znowu żyli nad stan; potem Michał dostał zyskowne miejsce plenipotenty, i znowu żyli nad stan, więc je stracił, potem osiedli w mieście. Bywało głodno, chłodno; on nie wiedział do czego się wzięść, ona myślała o założeniu magazynu mód. Koniec.

Taką jest treść tego *Romansu pana Michała*. Zdaniem Litwosa, jest to jedna z najsłabszych powieści Zacharyasiewi-

cza. Niema w niej nawet przymiotów, spotykanych w innych pracach tego autora. „Ślizga się on wprawdzie najczęściej po powierzchni dusz ludzkich i życia wogóle, ale za to pod względem zawikłań powieściowych, pod względem sytuacji, jest tak pomysłowy, jak żaden z naszych autorów... W *Romansie pana Michała* niema i tego: „safandula żeni się z gąską, on szukał posagu, ona chce się bawić, obojgu wszystko wysuwa się z rąk“. Trudno z takiego tematu zrobić arcydzieło! A przytem autor „przeciągnął struny swej lutni, więc zagrała nieco fałszywie, tam bowiem, gdzie mniemał pisać satyrę, jego satyryczna kosa tnie zielsko, które nie rośnie, zatem autor macha trochę w powietrzu“... Bo zaprzeczyć się nie da, że powieść grzeszy przesadą w kreśleniu tej ślepoty, dla której ludzie mimowolnie idą do ruiny. Nawet pod względem psychologicznym sytuacja nie wytrzymuje krytyki. „Michał jest wstrętnym przez swoją słabość, Salomea zaś, która kochając go, nie może się do niego zastosować, na nie zgodzić, i z całą usilnością popycha siebie, męża i dzieci w przepaść, robi wrażenie kobiety, przedewszystkiem tak ograniczonej, takiej (przepraszam za wyraz) gęsi, że i litować się nad nią nie warto“. A powtórę, sytuacja podobna jest u nas w dzisiejszych czasach anachronizmem, przynajmniej w Królestwie Polskiem.

Polowanie na posagi miało niezaprzeczenie miejsce, lecz działo się to wówczas, gdy młodzi ludzie, zdolni do żeniaczki, dzielili się na dwie, z niewielu wyjątkami, kategorie: mniej więcej zrujnowanych obywateli ziemskich i urzędników. Pierwsi musieli oczyszczać hipoteki i spłacać zaległe raty Tow. Kred., drudzy sami nie mogli z pensyi żyć. Dla obu tych kategorii posag był jedyną deską zbawienia. Dziś zmieniło się w ten sposób, że co do obywateli, kto miał zbankrutować, to już zbankrutował, zlicytowali go, sprzedali i przepadło. Kto się ostał, ten względnie ma się lepiej; urzędników zaś, krajowców, jest tak mało, że niema co o nich mówić. Młodzi ludzie dają sobie radę dziś cyrklem, wagą, miarą, piórem, i zarabiają tyle, że za posagami gonić nie potrzebują. Okres zbytków przeszedł także. Po wsiach żyją dziś ludzie skromniej, niż żyli kiedykolwiek. Wymagania towarzyskie, powozy, cugi, podróże zagraniczne, chęć przesadzania się jednych nad drugimi, wszystko to ustąpiło, naprzód przed ciężką nauką, przez jaką społeczeństwo przeszło i przechodzi jeszcze, powtórę przed poważniejszymi zadaniami.. W mieście, zimową

porą, w czasie karnawału, nie słyszymy też jakoś o balach, wydawanych przez wieśniaków. Bawią się dziś bankierzy, bo takie czasy przyszły; przeciwnie: po wsiach słyszymy już narzekania na brak życia towarzyskiego, na to, że nikt u nikogo nie bywa, ale każdy siedzi zamknięty u siebie, jak lis w jamie, rachując każdy grosz... Mówię zupełnie seryo, że znam literatów, żyjących wyłącznie z pióra, którzy n. p. nie mogą palić cygar, jakimi ich częstują w zamożnych nawet domach wiejskich, dlatego, że przywykli kupować sobie lepsze.

Do literatów takich, żyjących wyłącznie z pióra, a zarabiających tyle, że ich stać na dobre cygara, należy między innymi Maryan Gawalewicz, wykwintny i płodny powieściopisarz, nowelista, dramaturg, poeta i dziennikarz. W roku 1880 grano w Alhambrze jego *Kraszewskiego w Warszawie*, a że obrazek ten przerobiony był na scenę ze znanej ramotki Augusta Wilkońskiego, więc dało to asumpt Sienkiewiczowi do wyrażenia swojej opinii o autorze *Ramot i Ramotek*.

Postacie, jakie kreślił Wilkoński, miały za jego czasów daleko więcej żywych wzorów w społeczeństwie, niż mają obecnie. Wówczas ramotka odbijała życie, a każda postać przypominała, jeśli nie fotograficznie, to przynajmniej typowo, osoby z ówczesnego otoczenia; dziś Pieprznicy, Atlasowicze, Rolewicze etc., są w swej naiwności anachronizmami. Komizm Wilkońskiego i faktura jego ramot są względem dzisiejszych wymagań zbyt z gruba ciosane, zbyt naiwne, zbyt mało subtelne, dlatego znajdują w nich smak tylko ludzie starsi, którzy pamiętają jeszcze i uprzytomniają sobie czasy dawniejsze; młode pokolenie nie czyta pana Augusta. Literackie jednak jego znaczenie przeżyje jego popularność, on bowiem pierwszy znalazł klucz do komicznego Sezamu, a to w ten sposób, że stworzył humorystykę bezpośrednio swojską, że do swej satyry wciągnął nasze dwory i dworki i to życie wiejskie, w którym mieści się najwięcej typowej, swojskiej treści, słowem, że odczuł to, co jest *par excellence* nasze. Był przytem bardzo szczery, więc podobał się, i umierając, zostawił przyszłym satyrykom i humorystom w spuściźnie sekret, w jaki mianowicie sposób mogą przemówić do serca i podobać się wszystkim. Dziś, uwzględniwszy różnicę czasu, Kostrzewski tak rysuje, jak on pisał, i równem cieszy się powodzeniem, co zaś do humorystów pióra, tych właśnie, którzy najbardziej są poszukiwani i najlepiej przemawiają do publicznego smaku, to gdy czytam nowelle Bliźnińskiego, lub szkice Jordana, nie mogę oprzeć się myśli, że są to dzieci ducha pana Augusta. Robota wykwintniejsza, zakres spostrzeżeń obszerniejszy, treść bardziej złożona, ale metoda i dusza też same. Jak ta me-

toda jest wyborną, niech za dowód posłuży jeszcze jeden przykład. Mamy trzy pisma humorystyczne, z tych dwa, *Mucha* i *Kolce*, wyławiają treść z życia miejskiego, ze stosunków mniej więcej w każdym mieście jednakich, zatem możnaby rzec: kosmopolitycznych; ogólnie biorąc, są wobec istniejących u nas warunków redagowane bardzo zręcznie, a jednak większą od nich popularnością cieszy się *Kuryer Świąteczny*, który nie przewyższa współzawodników ani objętością, ani rycinami. Czemże się więc to dzieje? Oto metodą pana Augusta. *Kuryer* zrozumiał jej sekret. Jest on najbardziej typowo swojski, najbardziej zajmuje się wsią, szlachcicem, chłopem, żydem, słowem, tem wszystkiem, co jest wyłącznie nasze, co zatem nas bardziej interesuje i bawi, i w czem siedzi polska humorystyczna dusza. Wilkoński stworzył więc niejako szkołę, i to jego zasługa w literaturze, która nie zblednie i za sto lat, to jest wówczas, gdy będzie jeszcze mniej, niż dziś, czytany i rozumiany. Swoją drogą przyznawszy, co mu się należy, musimy się zgodzić z myślą, że czasy jego popularności już przeszły. Nowsi wołają nowszych.

Jeśli Wilkoński, nawet w tak zręcznej przeróbce na scenę, jak wspomniana przeróbka Gawalewicza, może służyć za dowód, że stał się źródłem, z którego lepiej nie czerpać pomysłów do komedyi (gdyż typy jego, jako współczesne, i dziś na scenie zdają się mieć pretensję do współczesności, w czem kryje się jakaś fałszywa nuta), to nie można tego żadną miarą powiedzieć o ludzie naszym, który, aż po dziś dzień, prawie nietknięty przez dramaturgów, jest niewyczerpanem źródłem motywów i tematów... Z źródła tego czerpała literatura nasza już niejednokrotnie, nie sięgnęła doń tylko muza dramatyczna, bo prócz Anezyca, nie pisał u nas sztuk, naprawdę ludowych, nikt... Inaczej działo się w poezyi, gdzie już Jan Kochanowski, jako autor *Sobótki*, sięgnął do źródeł ludowych.

Zajmowała się u nas literatura ludem wtedy, gdy gdzieindziej jeszcze nie istniała. Czérpali z jego życia nie tylko poeci, jak Kochanowski i Szymonowicz, ale przemawiali w imię jego praw tacy statysci, jak Frycz Modrzewski. W nowszych czasach romantyzm, który w innych krajach zwrócił się do rycerzy średniowiecznych, do posępnych mnichów, arabów, Turków, u nas zwrócił się do chat wieśniaczych, pożyczył ich baśni, wierzeń, wyobrażeń i obyczajów, a uczynił to w większej mierze, niż gdziekolwiek, przez co podsycony przez żywe, nie wyschłe źródło, wkorzenił się silniej, utrwalił na dłużej i wyrósł mocniej. Ten bezpośredni stosunek literatury i ludu przetrwał aż do ostatnich czasów, zmie-

niając tylko kształt zewnętrzny, zgodnie z kierunkami, jakie przemagały we wszystkich literaturach europejskich. I w tym względzie, jak w innych, szliśmy zgodnie z zachodem.

Rodziły się stąd nawet nieporozumienia, bo nie wszyscy, zwłaszcza nasi nieprzyjaciele, na ten związek nasz z kulturą zachodnią zwracali należyłą uwagę i odpowiednio do tego się z nim liczyli. Nadto nie pamiętali jeszcze o jednej rzeczy, mianowicie, że jak wszystko, tak i piśmiennictwo podlega pewnym stałym prawom rozwoju, który niezawsze jest podobnym do linii prostej.

Literatury ludów ucywilizowanych, czyli literatury, świadome siebie, miewają swoje zbaczania od równowagi między pięknem a prawdą. Przyjawszy dobro, jako pierwiastek niezmienny, za idealną, stałą podstawę, widzimy niezmienny, wahadłowy ruch, albo przeważnie w dziedzinę piękna, skutkiem czego powstaje kierunek idealny, albo w dziedzinę prawdy, skąd rodzi się i przeważa w sztuce realizm. Zmieniają się owe kierunki wzajemnie, bo zwykle przebrana miara rodzi reakcję, a zatem nagłe przejście, w pierwszym wypadku, od przeważającej, przerafinowanej idealności, do nagiej, życiowej treści, w drugiej, od zbyt płaskiej i poziomej prawdy do sztucznego ideału. Ale, gdy miara jeszcze nie przebrana, kierunek trwa i jest równie słusznym, jak zasadniczym wieku swego wyrazem. Przechodzę do przykładów: pseudo-klassycyzm i romantyzm, były tylko odmiennymi wyrazami, lub: jeśli ktoś chce, podziałami ogólnego, idealnego kierunku. Zamiast sztucznego świata bogów i bohaterów na model grecki, podsunęto świat, wyległy w średniowiecznej lub ludowej fantazyi; zamiast rytmu Sofoklesa lub Horacego rytm i rymy trubadurów, Kalderona, Vegi etc., ale zasadniczy pierwiastek, polegający na przewadze idealnego postulatu nad rzeczywistością, pozostał ten sam. *Hernani* również jak *Cyd* jest utworem idealnego kierunku myśli, dalekiej od rzeczywistości życia. Dziś romantyzm, w ścisłym znaczeniu tego słowa, przeżył się i należy już do historii literatury. Przykładem tego jest i stosunek literatury do ludu. Dawniejsi poeci czerpali tylko sok z ludowego kwiatu, przerabiając go następnie na miód literacki, odpowiedni współczesnemu idealnemu smakowi. W dzisiejszych realnych czasach dzieje się inaczej. Kto maluje lud, ten musi to czynić obiektywnie, musi nam go przedstawić takim, jakim on jest w rzeczywistości i prawdzie życiowej: nie tylko w pięknie, ale i w brzydocie, nie tylko w jego światłości, ale i w cieniach, w nędzy, biedzie, w pracy i pocie. Dzisiejszy artysta daje chłopom własny ich język i trzyma się w sferze ich pojęć, słowem: maluje lud sam w sobie. Poetyczność obrazu

o tyle nie traci na tej metodzie, o ile w życiu i w jego cieniach tkwi prawdziwa poezja. Kto się ku ceniom więcej skłania, kogo przyrodzony dar spostrzegawczy i smak wlecze kosztem rzeczywistości świetlistej w rzeczywistość płaską, brudną, ten wpada w taką prawdę, w jaką wpadł Zola, w swoim *L'assommoir* ze i gotuje w przyszłości zgubę kierunkowi, albowiem przyspiesza reakcję. Prawda nie na tem nie traci, gdy obraz ma dwie strony, bo i rzeczywistość jest dwojaką. Nędza i ciemnota wiejska, karczma, jej przesyczone wódką powietrze, nabrzękle, zaognione twarze i ochryple krzyki, są to rzeczy bardzo realne, ale popołudniowa godzina pogodnego dnia, gdy cisza zawisnie nad lasami, gdy w polach i zaroślach dziewczyny i chłopcy śpiewają, jakby się chcieli zapamiętać, gdy wszystko się poi w jakiejś ogromnej, mimowiedniej słodyczy, takie chwile, powtarzam, są również realne, a przecież bardzo piękne i poetyczne. Poezja okupuje tu prozę.

Obrazy te wsi polskiej, dlatego tak natarczywie cisnęły się autorowi pod pióro, ponieważ kronikę tę pisał w dali od wielkomięjskiego zgiełku, w ciszy wiejskiego dworu na Podlasiu...

W chwili gdy to piszę, siedzę na wsi, a że jest lato, chłopaki z wołami i koźmi co noc wychodzą na pastwiska. Wyszędzisz nocą za młyny, można ze wszystkich kątów, z ogrodów, zarośli i potrawów, słyszeć głosy śpiewające. Chłopak, siedzący na żrebacku, zamyka nagle oczy, przewraca w tył głowę i wrzeszczy z całej siły: Oj ta dana! oj dana! jakby się co w nim rwało, jakby chciał zadość uczynić jakiejś nieprzeartej potrzebie pieśni. W ciszy, przy księżycu, wobec tajemniczych oddaleń, przystłoniętych ciemnością, sprawia to dziwne i poetyczne wrażenie. Zdaje mi się nieraz, że jestem u żywego źródła poezji. Do wtóru chłopakom psy szczekają w oddaleniu, a czasem na bagnach bąk wkłada dziób w wodę i puszcza ogromny głos po rosie. Przy ogniskach grają także często na ligawkach, co jest zresztą zakazane, ale pastuchy wołają zdrowie narażać, niż nie grać.

Jakiż stąd wniosek? Oto, że i zwyczajna wioska podlaska ma swoje cienie, ale ma i światła, a obraz jej, jeżeli ma być pełnym, wymaga, by w nim znajdowały się i jedne i drugie. To jest prawdziwy, nie spaczony i wynaturzony realizm.

A prócz tego, na tem polega zdrowie realnego kierunku i jego trwałość, gdy bowiem ktoś maluje tylko prawdę szpetną, zaniedbane piękno upomni się prędzej później o swe prawa, zbuntuje się, zwycięży i zagarnie kiedyś władzę, kosztem prawdy. Jeśli równowaga zupełna

i bezwzględnie doskonała jest niemożliwa, zdrowy rozsądek nakazuje się starać, by przynajmniej nie znikła całkowicie. W każdym razie może ona i powinna stanowić kryterium. Pod jej chorągwią ma stać zastęp krytyków. Gdzieindziej zboczono w kierunku Zoli do tego stopnia, że chłop niepijany, nie mający czkawki, nie wydaje się już prawdziwym. U nas do tego nie doszło. Ci, którzy malują lud, nie zapominają, że w bycie jego poza wódką, kłótnią, serwitutami, są choćby takie tylko porywy, które podlaskiemu Matysiakowi każą krzyczeć do księżycy: Oj ta dana! oj dana!...

Temu zdrowemu realizmowi hołdowali u nas zawsze pisarze, czerpiący motywa z życia ludu, poczynawszy od Korzeniowskiego, jako autora *Karpackich górali* a skończywszy na Anczycu, którego sztuki ludowe do dziś dnia nie straciły ze swej wartości artystycznej. „Anczyc nie maluje *Kmiotka* idealnego, który kocha plebana, a poświęca się za pana, i jest jednocześnie greckim mędrcem i aniołem w korzuchu, ale też nie maluje go tylko jako złodzieja i pijaka, zasługującego z tych właśnie powodów na sympatyę świeżo wypieczonych filantropów“... W podobnej mierze umiał się także utrzymać i Galasiewicz w swojej *Czartowskiej ławie*, która, świeżo wystawiona wtedy w *Alhambrze*, nie schodziła z afisza.

Sztuka ta, obok małych usterek, posiada mnóstwo pierwszorzędných zalet. Przedewszystkiem autor „tak zna lud i język ludowy, że pod tym względem celuje między wszystkimi pracującymi na tejże samej niwie“. Lepszego języka chłopskiego, powiada Sienkiewicz, nie zdarzyło mu się dotąd słyszeć na scenie. Sztuka, jako całość, szwankuje pod niejednym względem, zwłaszcza w scenach, pragnących być dramatycznymi, a które w gruncie rzeczy są tylko melodramatyczne, ale natomiast wszystkie sceny charakterystyczne są poprostu świetne. „W nich dopiero objawia się dar spostrzegawczy i talent autora. Chłopi z *Czartowskiej ławy* to więcej niż portrety, to skończone typy“.

Jest w nich cały świat chłopski z jego wyobrażeniami, humorem, poezją, rozsądkiem i zabobonami, dzielnością i safandulstwem. Ten wójt, który ma na ustach co chwila: „moja Reina“ i który dzwoniąc pieczętką w półkwaterek, wzywa do *porzundku dziennygo* sam jeden zbawiłby

sztukę. W scenie owej, w której gromada naradza się w sprawie, dla siebie pierwszorzędnej, i nakoniec podpisuje zgubną uchwałę, dlatego, że pisarz tego żąda, a wójt oświadcza, że mają podpisać, *bo on je urzędowy* i każe im podpisać, w scenie tej nie brak nawet satyry, chłoszczącej prawdziwą chorobę ludowych urzędów. Domin, sprzymierzeniec pisarza, to zawadyaka, jaki w każdej wsi się znajduje; ów Grześ Dyrda, śpiewający piosenki, ów Ange Pitou wioskowy, to także postać, żywcem z życia wzięta i do znaczenia typu wyniesiona. Świat ten ma w sobie rzeczywistość, ale ma i poezję, płynącą z uczuć, z jego stosunku do natury, z otoczenia, pełnego gór, przepaści i *Czartowskich Ław*, które gminny zabobon i fantazyja zaludniły przekłętymi duchami, złym urokiem, a upowily w grozę i postrach. Całość sztuki, to patent dla jej twórcy na prawdziwego, ludowego autora. Niżej podpisany, próbował także kreślić obrazy i typy wiejskie, tem więc śmieiej przyklaskuje *Czartowskiej Ławie*, bo może łatwiej mu zrozumieć, ile w niej postrzegawczego daru, znajomości rzeczy i poetycznego *poczucia* świata, z którego przedmiot czerpany.

Biegunowem przeciwieństwem sztuk teatralnych takich, jak je pisze Galasiewicz, są komedye Zygmunta Sarneckiego, których tom pierwszy, zawierający *Zemstę pani hrabiny*, *Febris aurea* i *Nad ranem*, ukazał się w r. 1880 na pulkach księgarskich. Autor ich, zasłużony na literackiej niwie, redaktor i wydawca *Echa*, jest zdaniem Sienkiewicza, „nie tylko konserwatyistą z przekonań, gwoili czemu świetliste barwy swej palety nakłada najczęściej na osoby, pochodzące ze starych lub tytułowanych rodów, ale i arystokratą ze smaku, z czego znowu płynie, że najchętniej obraca się w t. z. wyższej sferze towarzyskiej“. Taką jest przeważna część jego utworów, czy to scenicznych, czy powieściowych, taką jest również *Zemsta pani hrabiny*, utwór w całym tego słowa znaczeniu salonowy, którego treść poczerpnięta ze świata uważającego się i uważanego za śmietankę towarzyską: występuje w niej świat karmazynowy, złota młodzież i modne kobiety najlepszego tonu.

Bohaterowie... są to ludzie mniej więcej zamożni, żyjący z odziedziczonych majątków, nie robiący nic a nic, nie rolnicy, nie kupcy, nie adwokaci, nie doktorzy, nie literaci, ale raczej błyskotliwi panicze, tacy, którzy za Ludwika XIV byłiby zapewne muszkietierami, szliby menuetowym krokiem do szturm i wołaliby na anglików: „panowie, strzelajcie

pierwsi!“ Ale w dzisiejszych czasach, w braku innego zajęcia, wyglądają paznogie, bywają w towarzystwie, kochają się, czasem pojedynkują i na tem koniec. Damy odpowiedniej sfery, gdyby nie tualeta, przygody buduarowe i dziewicze sentymenta, będące tem w stosunku do wielkiej miłości, czem np. *La prière d'une vierge* do wielkiej muzyki, także nie wiedziałyby co robić na świecie. Całemu temu światu, który ktoś nazwał „bardzo ładnym“, brak jednej bagatelnej rzeczy... idei. Co najwięcej, mówi się w nim czasem, gdy mowa o innym świecie: „Czego oni właściwie od nas chcą?“ Poza tem nic.

Gdyby Sarnecki, pisząc swoją *Zemstę pani hrabiny*, chciał z niej zrobić satyrę, wówczas sztuka zyskałaby na energii; wówczas znalazłyby się i zdarzenia, i myśli, i idee, i namiętności, i ludzie wybiegający poza granicę konwenansu. Ale Sarnecki postanowił tylko napisać komedię z życia złotej sfery, komedię pełną elegancyi i wytworności, więc ostatecznie napisał sztukę w paryskim duchu, przystrojoną na polski sposób, w której przedstawiony świat, sam w sobie kosmopolityczny i konwencyonalny, dał ze siebie niezmiernie mało.

Najbardziej interesującą postacią w sztuce jest córka hrabiny, Julia, typ młodej dziewczyny, popsutej trochę przez świat, modę i czeze życie, dziewczyny, w której budzi się uczucie, a pod wpływem uczucia uczciwość. Typ to nie nowy, zwłaszcza w komediach, ale czy prawdziwy, czy w życiu spotyka się panny takie równie często, jak na scenie? „Bez wielkiego pesymizmu powiedzieć można, że w pierwszej swej połowie, t. j. gdy broi, jest on wielce życiowym, w drugiej, gdy pokutuje, bardzo sztucznym. Taka Julka z początku chce przedewszystkiem iść bogato za mąż, potem kocha i skłonna jest do ofiar. Ach! jak ona się zmienia na awantaz! Takie to sobie głupiotkie jest w pierwszym akcie, a takie zbiedzone, sympatyczne i wzniosłe, gdy zasłona spada ostatecznie“. W życiu jednak więcej jest konsekwencji... Poświęcenie Julii zasadza się na tem, że kochając Wacława Zawiejskiego, dawnego kochanka hrabiny, musi, właśnie wskutek zemsty pani hrabiny, wyjść za bogatego bankiera, Goldberga. I decyduje się wyjść... W sztuce Sarneckiego, jest jednak to poświęcenie Julii za mało umotywowane psychologicznie. Przytem autor przeprowadził rzecz

całą w ten sposób, że widz ma poważne wątpliwości co do rzetelności postępowania Julii.

W rzeczywistości cóż to bowiem jest, gdy szlachetna dziewczyna, kochająca innego, oddaje, z jakichkolwiek powodów, rękę takiej figurze, jak Goldberg? Ma to swoją drugą stronę tak ohydłą, jak ohydny jest handel ciałem i wstydem. Przecież taka dziewczyna musi przyrzec Goldbergerowi miłość, wiarę i posłuszeństwo, a następnie zrzucić z czoła welon ślubny i pozostać z nim sam na sam w małżeńskim pokoju, a następnie żyć przez długie dni i lata... I wówczas co? Wówczas chwilowa ofiara zmienia się w stałą sromotę.

A zresztą młoda dziewczyna, pod wpływem chwili i rozpacz, może nie rozumieć wszelkich następstw, ale autor, ze względu na widzów, którzy mogą pozostać sceptykami, powinien uwzględniać nieuniknione konsekwencje takiej „ofiary“.

W życiu nie brak panien, które sprzedają się za pieniądze bogatym bankierom, zupełnie dobrowolnie, a ten handel nieraz zapewne ubiera się w pozory rozpacz z zawiedzionej miłości lub ofiary dla rodziców. Są kobiety, które byle znalazły pozór, byle mogły się same sobie wydawać poetyczne, byle akt niewiary, handlu, egoizmu, mogły osłonić czemkolwiek, czy niby posłuszeństwem, czy niby ofiarą, gotowe spełnić czyn najniższy. Z powodu takich, cień niedowiarstwa może upaść na każdą, i żadne zgorzkniałe serce, istotnie nie obroni się podejrzeniu i pogardzie, a przez to i w sztuce splami się sceptycyzmem widzów postać, która w zamierzeniu autora miała pozostać jasną aż do końca. Może się to trafić zwłaszcza wtedy, gdy nie wytłómaczą i nie odkupią jej jakiegoś powody, istotnie nieprzeparte.

Nierównie głębszą i doskonalszą, pod względem faktury, aniżeli *Zemsta pani hrabiny*, jest *Febris aurea*, będąca, zdaniem Sienkiewicza, jedną z lepszych sztuk, jakie po polsku napisano. O ile w *Zemście* jest chęć napisania komedii, o tyle w *Febris* jest życie. „Tu nie występują już malowane cacy-lale z salonów, ale ludzie, i to ludzie różnych charakterów, temperamentów, usposobień, warstw społecznych, w swoim rozwoju, w starciach, jakie zetknięcie się wywołuje, tu występują *morituri* i *resurrecturi* w szerokim i szeroko zamierzonym malowidle. Autor myślał, dostrzegał, czuł, i dlatego dał sztukę,

mimo niektórych wad, obmyślaną samodzielnie, złożoną z nadzwyczaj bogatych pierwiastków, a przytem organicznie powiązaną. Już samo bogactwo materyału, doskonale zaobserwowanego, jest jej ogromną zaletą. Szlachta, żydzi, dorobkiewiczze, ekonomowie, nowożytni spekulanci, stare matrony, dzisiejsze kokietki i dzisiejsze szlachetne postacie dziewczęce, wszystko to płacze się w tej komedyi, jak w kalejdoskopie, postacią zaś, która się wysuwa na pierwszy plan, jest Latnicki. Pyszna figura!

Zbankrutowany szlachcic, dobry, miękki jak wosk, do rany go przyłożyć, nie umie sobie dać rady z życiem, z majątkiem i na starość zmuszony jest sprzedać ojcowską siedzibę. Boi się do tego przyznać wychowankowi i sam cierpi wielce, bo on kocha każdy kąt w swojej Złotej Górze. Należy on do takich ludzi, którzy serce noszą w ręku i kładą je we wszystko, nawet w rejestra gospodarskie. Uczciwy safandula, trochę próżniak, trochę niedołęga i zarazem bohater. Niedgdy służył w wojsku i wówczas ten człek o gołębiem sercu, z włosiem rozwianym i błyskawicami w oczach, rzucał się na armaty... Zaiste dziwne zestawienie niedołęztwa z bohaterstwem, zrozumiałe tylko na tle szlacheckiego życia. Przypomina mi się zawsze ów husarz Słowackiego, który w bitwie jest archaniołem zniszczenia, „a potem w domu ściska swoją babę i o Chrystusa czerwonego mękach, godzinki śpiewa“. Ale tak jest. Któż z nas nie widział takich życiowych zestawień twardych żołnierzy i miękkich safandulów w jednej osobie, którzy umieli brać armaty, ale na życie codzienne byli *za dobrowolni*. Kradł ich kto chciał: ekonom, arendarz, i wszystko wysuwało im się z rąk; na starość zostali bez chleba, bez nauki, bez przyszłości. Potem ich rody, wedle dawnego trywialnego wyrażenia, „na psy schodziły“. Dziś już kończą się takie typy, które tylko nasz kraj wydał, a nad którymi chce się płakać i złości biorą, i nie kochać ich niepodobna, i potępić żal, i bronić nie można. Latnicki jest jednym z takich.

Latnicki sprzedaje wioskę swą, Złotą Górkę *cum lassis, boris et graniciebus*, niejakiemu Gałdzińskiemu.

Typ to dorobkiewicza *per fas et nefas*, twardego jak kamień, obrotowego jak żyd. Oszukiwał, brał, grabił, gnębił, a w czasie galicyjskiej rzezi może i zabijał. Kocha zyski tylko, złoto, siłę, a także, i nadewszystko na całym świecie, swoją córkę Leokadyę, bo „natura dała i tygrysom serce dla swego potomstwa“. Cecha to w tym charakterze równie

dobrze pomyślana, jak głęboka. On dla niej, dla swego dziecka, grabi, szachruje, kręci i gotów zabijać, dla niej kupuje Złotą Górkę, bo wie, że w niej, we dworze, leży skarb ukryty. A córka? To polny kwiat. Dobra, smutna, może przecuciem ojcowskich zdrożności smutna, prawa, pełna prostoty i prawdy, kocha wychowanka Latnickiego, hr. Juliusza, kocha bardzo cicho, ale bardzo mocno, nie dla siebie, ale dla niego, nie w braku czego lepszego, ale raz na zawsze. Wreszcie uderza w nią nie-szczęście. Juliusz, dowiedziawszy się od swego przyjaciela, Kostrzewy, o źródle, z jakiego pochodzą bogactwa jej ojca, odrzuca jej rękę i serce, pod pozorem, że biedny nie może przyjąć ręki bogatej dziedziczki: ona cierpi z rezygnacją. „Oto kwiatek skabiozy; mówi w chwili rozejścia się na zawsze, lud nazywa go kwiatkiem wdowim: weź go na ostatnią po mnie pamiątkę“. Czuć w tych słowach prawdę; czuć, że ona istotnie na zawsze wdową zostanie po nim i po szczęściu. Na drugi dzień biedna dziewczyna rzuca się z koniem, na polowaniu, między kochanka a rozjuszonego odyńca, i prawie martwą odnoszą ją do domu. Gałdziński cierpi jak potępieniec, ale jednocześnie Górkę targuje. Pyszne są sceny, w których ojciec zwycięża handlarza i w których Gałdziński, od ubitego już prawie handlu, biegnie do łóża dziecka. Sprawiedliwość dramatyczna poczyną się nad nim spełniać. Dziecko chore, umierające, na domiar złego podkupują mu Górkę. Pijany ekonom Szałwiński bąknął coś o dziwnej wartości majątku: pragnie go więc kupić i Krot, uosobienie nowożytnego spekulanta, śmiało, choć uczciwie zdążającego do milionów, i stara hrabina Skarbnicka, wierząca, że majątek w ziemi najpewniejszy. Każda chwila przynosi Gałdzińskiemu nową gorycz. Oto zbierał dla córki, a córka może umrzeć; oto sądził, że ludzie uczczą w nim siłę i pieniądze, a spotyka go pogarda. Nawet żyd, husyt, handlujący zbożem, mówi mu „jasz pan“, nie „jaśnie panie“, jak Latnickiemu. Krot, w chwili rozdrażnienia, rzuca mu w oczy obelgę; najstraszniejszy jednak cios spotyka go ze strony Juliusza, który wprost odmawia mu ofiarowanej sobie ręki Leokadyi. Dlaczego? Bo jej posag przez krzywdę albo i przez krew ludzką zdobyty. „Chciałbym (mówi Juliusz), by dawny starszszlachecki zwyczaj pytania: kto cię rodzi? wskrzeszony został i dla pieniędzy. Tak, dukaciku! kto cię rodzi, praca i cnota, czy lichwa i występki?“ Gałdziński chyli się pod brzemieniem. Pragnąłby zemsty, ale córka? Doktor zapewnia, że ona życiem może zapłacić zerwanie. Gałdziński widzi przed sobą przepaść, którą wykopał własnymi rękoma. Sytuacja istotnie straszna i wysoce dramatyczna. Świta наконец promień miłosierdzia, ale tylko nad Leokadyą, nie nad nim. Juliusz podaje jej rękę, ze strasznym jednak warunkiem, o którym ona nie wie. Oto żąda, by Gałdziński wyniósł się za granicę i nie widywał ukochanego dziecka nigdy. Sztuka kończy się. Wszyscy w ostatniej scenie, jakby dla przelania kielicha goryczy winszują Gałdzińskiemu szczęścia, bo nikt nie wie, że chwila ta jest dla

niego wyrokiem wygnania i rozłączenia. Co za dramat w tem wszystkim, jaka bezlitosna kara dla tego człowieka, który mimo swych występków, przez ból i pokutę zyskuje w końcu nieprzeparcie sympatyę widzów. Zadanie dramatyczne spełnione!

Inne, drugoplanowe postacie sztuki, jako doskonale podpatrzone typy, wytrzymują najsurowszą krytykę.

Wszystkie te postacie, utrzymane są w doskonałej mierze artystycznej i nie wpadają w przesadę. Jeśli nawet i tracą na znaczeniu, jako wcielenie danej satyrycznej tendencji autora, tem większy czyni mu to zaszczyt ponieważ, dzieje się bowiem z tego powodu, że główne figury tyle mają w sobie interesu dramatycznego, iż wobec nich tendencya i satyra schodzi na drugi plan. Sztuka to obmyślana i wykończona starannie, nawet w tak podrzędnych figurach, jak np. Szałwiński, który jest typem dawniejszego ekonoma, t. j. mieszaniną pokory, złodziejstwa, chytrłości i prostactwa, lub dwaj żydzi, których każde słowo jest charakterystycznym. Chodzi w komedyi tej o istotnie wielkie sprawy, ściągają się prawdziwie dramatyczne napiętności i uczucia, spotykają się światy niezmiernie różne; sztuka jest zarazem studjum społecznem. Być może, że cierpi na tem jednolitość akcji, ale wielość i różnaitość starć i zawiłkłań szkodę tę wynagradza. Przytem robota jest szczerą, a niektóre postacie jak np. Leokadyę, Latnickiego i Galdzińskiego, autor odczuł głęboko i wykończył z zamięłowaniem.

Całość jest rozmaita, bogatą i pełną świetnych scen, dowodzących, zdaniem Sienkiewicza, pierwszorzędnej siły dramatycznej.

W ciągu roku 1880 wyszła w *Niwie* znamienna bardzo, bo świadcząca o ważnym zwrocie w twórczości Sienkiewicza, *Niewola Tatarska*, będąca pierwszym napisanym przezeń obrazkiem z przeszłości. Aż do tej chwili był on wyłącznie autorem rzeczy współczesnych. *Niewola Tatarska*, której akcja rozgrywa się za czasów dawnej Rzeczypospolitej, za panowania Jana Kazimierza, była wymownym dowodem, że w autorze *Hani* i *Szki-ców węglem tkwił* materyał na pisarza „powieści z lat dawnych“, że podobnie, jak znajdował upodobanie w malowaniu życia, na które sam patrzył, czuł skłonność do odtwarzania zamierzchłej przeszłości, do wskrzeszania obrazów z życia ojców naszych.

W tym samym roku 1880, w którym powstała *Niewola Tatarska*, wyszły *Szkice historyczne* Kubali, wrażenie zaś, jakie uczyniły na wrażliwym umyśle Litwosa, było tak silne, że aż dwie z rzędu „mieszaniny“ poświęcił na podzielenie się niem z czytelnikami *Niwy*. Po przeczytaniu tych dwóch „mieszanin“ nie ma się już najmniejszej wątpliwości, jaką była psychologiczna geneza *Ogniem i mieczem*. Powieść ta zrodziła się w wyobraźni Sienkiewicza pod wpływem *Szkiców* Kubali i one ją zapłodniły.

Ale bo też od czasów Szajnochy, nie wydała nasza literatura historyczna nic w rodzaju tych dwóch tomów lwowskiego uczonego, historyka i artysty w jednej osobie, umięjęcego odtwarzać nietylko cienie, ale i kształty. Rzecz to zaiste ważna. „Ścisłe prace, wydawnictwo kodeksów dyplomatycznych i kronik, obchodzą tylko szczupłe grono specjalistów, ale jeśli historyk chce związać historię z życiem i uczynić z niej *vitae magistrum*, rozumiałą dla ogółu i oddziaływającą na ogół, powinien przede wszystkim umieć odtwarzać kształty, gdyż sam materyał musi dla większości czytelników pozostać obojętnym“. Umiał to Szajnocha, i dlatego, gdy w swoim czasie wychodziły jego szkice, nietylko je czytano, ale mówiono o nich powszechnie; stanowiły one poniekąd kwestyę na porządku dziennym; czytały je nawet kobiety; rozprawiano o nich po salonach. Wobec tego nasuwa się pytanie, czy sposób pisania historyi, tak, jak to czynił Szajnocha, ma racyę bytu, czy mamy prawo wymagać od historyków, by równocześnie byli artystami? Zdaniem Sienkiewicza, nie może być dwóch zdań w tym względzie.

Drzewo, cegła, żelazo, kamień i wapno, są to materyały, z których budują się gmachy. Ci, co wypalają cegłę lub rozrabiają wapno, są niewątpliwie ludźmi użytecznymi, bez których gmachy nie stanął; ale też z drugiej strony nie dziwnego, że od rozproszonych materyałów nie otrzymujemy tej sumy wrażeń estetycznych, jakie dać może sam gmach, to jest synteza materyałów, w której, prócz materyałów jest coś więcej, bo dusza, czyli myśl architektoniczna, nadająca wszystkiemu ład i wytworząca całość. Otóż na polu historyi u nas, dzieje się obecnie tak, że mamy wielu użytecznych pracowników, urabiających glinę i wapno,

noszących cegłę, ale ten materyał *in crudo*, czeka napróżno na architekta, na którego również napróżno czeka i żadna gmachu publiczność.

Architektem takim jest Kubala, a jego *Szkice historyczne* na tle dziejów Polski, za Jana Kazimierza, są i przez to jeszcze tak zajmujące, że epoka to dla historyka-malarza wielce ponętna. „Do żadnych innych chwil narodowego życia nie można by z większą słusnością zastosować słów poety (Słowackiego): albowiem była to epoka krwawa i kraj był cały na rumaku, w polu“. W chwilach takich zależy wszystko od sternika, a tutaj sternik był słaby, nie stojący na wysokości zadania. Bo że Jan Kazimierz nie zyskuje na bliższem poznaniu, że nie był królem, jakiego Polska wtedy potrzebowała, to już dziś należy do pewników historycznych.

Natura nie obdarzyła go nawet zdrowiem i zasobem sił fizycznych, tak potrzebnych do życia, które mu było przeznaczone. Było to dziecko bardzo wątłe; chorował często i ciągle miał katar, jak i jego młodszy bracia. Był zresztą faworytem matki, a jakkolwiek Wassenberg twierdzi, że celował w filozofii, matematyce, naukach wyzwolonych, robieniu bronią i jeździe konnej, był jednak z natury leniwym, nie miał ochoty do nauk i chorował ciągle, a nauczyciele i rodzice nie chcieli słabego dziecka zapędzać do pracy. Na widok publiczny wystąpił po raz pierwszy na sejmie elekcyjnym, polecając na króla brata swego Władysława. Odrązu nie podobał się szlachcie, która zamiast cech dzielności rycerskiej, jakimi powinien był odznaczać się królewicz, jako potomek Wazów i Jagiellonów, ujrzała przed sobą niskiego i wątłego młodzieńczyka o śniadej cerze i twarzy szpetnej, z wystającą wargą dolną. Minę miał wprawdzie nadzwyczaj pyszną i aż nadto królewską, ale nosił się po cudzoziemsku i nie cierpiał Polaków, z czem nie kryjąc się wcale, jeszcze większą zyskał sobie nienawiść. Zaprawdę nie w nim nie zwiastowało bohatera. Niechęć narodu ścigała go od lat najmłodszych. Przy ofiarowaniu mu starostw i urzędów, kazano mu przechodzić przez dość upokarzające ceremonje, które nie obowiązywały innych. Los nie dał mu szczęścia do ludzi, ani urody, ani sił do zniesienia przyszłych przeznaczeń. Udał się z bratem na wyprawę turecką, dostał ospy, która zeszpeciła go do reszty. Był to człowiek niefortunny, w całym znaczeniu tego wyrazu. Gdyby odrobina szczęścia, może stałby się zgoda innym i przy tych samych zdolnościach wyrósł na wielkiego człowieka. Ale nie udawało mu się nic. Zdaje się, że sam wcześniej spostrzegł to i gryzł się nie pomału. Tem także może tłómaczy się wielka nierówność jego

usposobienia. Czyny jego wyglądają na to, jakby się chciał zagłuszyć. Chwilami przychodziło mu na myśl poszukać lepszej doli na łonie kochającej kobiety. Oświadczył się np. tak nagle Krzysztofowi Radziwiłłowi o córkę, że Radziwiłł aż osłupiał „i z przerażenia słowa wymówić nie mógł“. Królewicz jednak wkrótce przestał nastawać, jak gdyby jego żądanie było tylko fantastyczną zachcianką. Wróciwszy po oście do Warszawy, raz zamykał się przed ludźmi, drugi raz hulał, brnął w rozpustę, robił długie. Od pietyzmu przechodził raptownie do obojętności. Kazał codziennie odprawiać mszę w swoim pokoju, a nigdy na niej nie był. Kochał się łatwo i również łatwo zapominał osób kochanych. Następnie rzucił się w podróż. Wyjechał do Wiednia, gdzie cesarski wuj przyjął go z należytemi honorami, obiecał inwestyturę na księstwo Pomorskie i dał mu pułk kirasyerów. Z pułkiem tym królewicz udał się na wojnę z francuzami. Dziwna rzecz: czasu wojny, w młodzieńcu tym opieszałym i miękkich obyczajów, budziła się lwia natura rasy, z której po mieczu i po kądzieli pochodził. Po prostu dworował sobie z niebezpieczeństwem, a jak niegdyś pod Smoleńskiem, tak i w wojnie francuskiej, rzucał się ślepo w największy chaos bitwy. W jednym spotkaniu, pod komendą generała Colloredo, bił się tak zapamiętale, że kilka koni pod nim ubito, pułk jego wycięto całkowicie, a wiernego sługę Opackiego pojmano. Młoda ta natura przedstawia dziwną mieszaninę złych i świetnych przymiotów, jakiegoś smutku, chęci zapamiętania się, refleksyi, lenistwa i woli, nad którymi panuje fantastyczność. Wygląda on na człowieka, który żyje w ustawicznej niezgodzie z sobą samym. Jest w nim jakiś polot ku wielkości, a brak mu spokojnej energii wytrwania i rozwagi do zmienienia porywów w czyny. Czy sam wiedział o tej dysharmonii? Być może. Może to nawet hamletowski powód owego braku równowagi w jego postępkach i tej nagłości, którą dziwiły współczesnych wszystkie jego czyny. Czytałem gdzieś zdanie, że człowiek nieraz jest lepszy niż jego życie zewnętrzne. Może tak było i z Kazimierzem. W późniejszej niewoli francuskiej, raz nosił głowę wysoko jako królewicz, syn, wnuk i prawnuk królów, to znowu miękł i skarżył się jak niewiasta, zapominając o własnej godności.

Po niewoli francuskiej wrócił Jan Kazimierz do kraju, poczem niebawem udał się do Rzymu, by tam wstąpić do Jezuitów.

Oto wreszcie znalazł cichy port i uspokojenie. Z listów jego wieje pogoda, tam zowie się szczęśliwym. Brat Władysław wstrzymuje go, odmawia, prosi o namysł; królewicz odpowiada: zostanę, bom szczęśliwy. Zdawało się, że zamknął rachunki z życiem, z dumą, która go pchała do wielkich czynów, z niespokojnemi zachceniami. Ma oto nad sobą ja-

sne niebo Włoch, przed sobą życie jednostajne, ciche. Zdaje mu się samemu, że jak Hamlet „mógłby pomieścić się w skorupie od orzecha i uważać się za króla nieograniczonej przestrzeni“. Bratu, na listy tkliwe, prawdziwie braterskie, odpowiada stale: „zostanę“. Chętnie upokarza się przed przełożonym zakonu, podpisuje się skromnie: „frater“, jada w refektarzu z innymi braciszkami. Księga żywota jego jest pozornie zamkniętą. Nagle zmienia się wszystko. Król wreszcie pozwolił mu zostać w zakonie, bo sądził, że brata niezem już od zamiaru nie odwiedzie; ale zaledwie pozwolił, fantastyk nasz traci ochotę i pisze, że chce wystąpić.

I nie tylko, że wystąpił, ale ten sam pokorny braciszek, który był gotów spełniać najniższe posługi w refektarzu klasztornym, teraz, mianowany kardynałem, kłóci się z Papieżem o to, że Papież pisze do niego: *Allezza serenissima*, a nie *Allezza Royale*. „Naprawdę kardynałowie jeżdżą do niego i tłomaczą mu, że wszystkim kardynałom tak piszą. On nie chce przyjąć kapelusza i wprowadza kuryę w prawdziwy ambaras. Potem wraca do kraju i, jak pierwaj kładł ambicyę swą w to, by otrzymać kapelusz, tak teraz wstydzi się swego kardynałstwa, jak grzechu“. Oto psychologiczny wizerunek królewicza Jana Kazimierza.

Z chwilą, gdy został królem, dziwnie spowaźniał pod królewską purpurą. Ten zmienny młodzieniec, nie umiejący sobie znaleźć celu w życiu, gdy wstąpił na tron, odrazu znalazł wielki cel, dla którego żył, narażał się na największe niebezpieczeństwa, umiał głowę pod obuch nadstawiać, umiał, jak prosty żołnierz, sypiać na gołej ziemi, umiał pracować w poacie czoła na sejmach, znosić nieszczęścia i niechęć narodu. Tym wielkim celem dla niego było dobro Rzeczypospolitej...

Ze współczesni, nie rozumiejąc go, nienawidzili, to już nie dziwnego. Cyfrę jego J. C. R. słusznie może uważano za symbol nieszczęścia i tłómaczono: *Initium calamitatum regni*; ale nieszczęścia nie były jego winą, tylko właśnie tych, którzy mu je przypisywali, tych, co brzdądzili w sejmie, uciekali z pod Pilawiec, wracali do domów po beresteckowskim zwycięztwie i wiązali konfederacye wojskowe. Przeciwnie, wobec tego nawału nieszczęść, wobec niesłychanych klęsk, burz wewnętrznych, rozpętania, zdziczenia, upadku, ta postać królewska, która wszystko przetrwała, która znalazła dość energii, by uratować łódź wśród

burzy i dopiero w chwili ciszy złożyła koronę ze znużonych skroni, zasługuje na tem większe uznanie.

Streściwszy w ten sposób pierwszy ze szkiców Kubali (przyczem zarzuca autorowi, że dostarczywszy czytelnikowi mnóstwo rysów trafnych, bystro dostrzeżonych i przedstawionych z wielkim talentem, nie pomaga mu jednak do wytworzenia sobie obrazu ogólnego, słowem, nie daje syntezy), przechodzi Sienkiewicz w dalszym ciągu do następnych szkiców, będących „urywanymi“ obrazami tragicznych dziejów panowania Jana Kazimierza.

Pierwszy z nich, to jest obleżenie Lwowa, sięga jeszcze czasów elekcji. Lwów bronił się mężnie, ale cały ten obraz błędnie wobec obleżenia Zbaraża. Jest to poprostu epos tego rodzaju, że w dziejach rozmaitych obron napróżno szukalibyśmy z niem porównania. P. Kubala też, pod wpływem przedmiotu, znajduje prawdziwe natchnienie i z historyka staje się malarzem. Słowa jego nabierają barw i plastyki. Zamiast czytać o obleżeniu, widzimy je jakby świadkowie naoczni. Jest w tej obronie jakieś tragiczne prostactwo, podnoszące do wysokiego stopnia realność wrażeń, jakie sprawia każdy opis.

Oto dziewięć tysięcy ludzi zamyka się pod Zbarażem, by stawić czoło Chmielnickiemu. Ludzie ci nie mają żadnej nadziei zwycięstwa, lub choćby ocalenia. Wodzowie wiedzą, że oni sami i ich wojsko muszą zginąć; chodzi więc o to tylko, by jak najdłużej zatrzymać na sobie nawałę i dać czas Rzeczypospolitej do zebrania wojsk do dalszej wojny. Obóz zbarazki jest poprostu straconą redutą, ale lwy, wychowane w tradycjach Kircholmu i Chocimia, nie lękają się śmierci i nie mierzą nawet niebezpieczeństwa. Oto tydzień, dwa, trzy, będą walczyli dzień i noc, a potem umrą. Nic nad to prostszego. Stary żołnierz, stojąc w obozie przy koniu, czeka spokojnie rozkazów żelaznego księcia Jeremiego i wytęży wzrok w pomrokę nocy, czekając chwili, w której rozhukane morze nadpływie. Chwila nakoniec zbliża się... „Z zachodem słońca ujrzano w kilku miejscach na horyzoncie czarne chmury, które w kierunku Zbaraża sunęły. Wieczorny zmrok przypadł na nie i nie pozwolił ujrzeć, jak się nieprzyjacieli obozem rozkładał. Noc była spokojna i ciepła. Z miasta, na wieże i dachy, na mury zamku i wały obozu cisnęli się ludzie z niewysłowionem uczuciem ciekawości i niepokoju“.

Po wszystkich stronach, jak daleko okiem zasięgnąć, paliło się ogni tysiące i tysiące, które, malejąc i niknąc, gubiły się w oddali. Zdawało się, że gwiazdy gromadami z nieba spadły i na ziemi płonęły. Głuchy szmer kilkuset tysięcy głosów dochodził z oddalenia. Opis nadzwyczajny

czaj barwny, pełen powagi i grozy, albo raczej jest to poprostu wielki obraz, „malowany ręką niepospolitego artysty“... Dawne to czasy i stare dzieje, a serce nam bije w oczekiwaniu, co się stanie, czy prędko już rozpocznie się walka. Oto obóz wygląda już, jak wysepka oblana morzem; co będzie, gdy rozwścieczone fale uderzą? „W tym samym czasie, (mówi Kubala, przeciwstawiając obraz obrazowi) na zamku zbarazkim Wiśniowiecki wyprawia ucztę. Wszystkie okna zajaśniały od światła, zagrzwiały moździerze, trąby i kotły na wivaty“. Prawdziwie leonidasowa uczta z dodatkiem polskiej fantazyi i rezolucyi! Szturm rozpoczął się najajutrz ze świtaniem. Trzydzieści armat rzucało kule do obozu, nieprzeliczone tłumy tatarstwa i czerni szły ku wałom z wraskiem okropnym, z zaciekłościami i niepohamowaną odwagą. W obozie obnoszono po wałach Najśw. Sakrament... Chmielnicki śmiał się, obiecując Tatarom, że jutro wieczorem w zamku nocować będą. We wtorek 13 lipca rozpoczął się szturm generalny, jeden z najgwałtowniejszych. Oblegający lecieli jak na stracenie... Rowy i fosy zarzucono trupem ludzkim, który miejscami leżał na chłopa wysoko. Rozpoczęła się rzeź na wałach. Oblegający i oblężeni walczyli z rozpaczą. Bitwa wrzała i pod wałami, bo raz wraz z obozu wypadały jak huragan straszliwe chorągwie pancerne... Szturm wreszcie odparto.

Szturmów takich odparto cały szereg. Dzień i noc strzelano z armat; z zamku odpowiadano słabo, bo brakło amunicyi. W obozie wyczerpywało się wszystko, prócz odwagi. Tak upłynęło parę tygodni...

W krótkich chwilach spoczynku prowadzono rozmowy, godne rozmów pod Troją. Czasem rozmawiano i spokojnie, chwilami przyjaźnie. Schodzono się i częstowano tabaką. W godzinę później zaczynała się walka wściekła, bez pardonu. *Doprawdy, jest to powieść, która się sama pisze.* Kubala umie wybornie korzystać z dyaryuszów i pod względem artystycznym umie układać światła i cienie w ten sposób, by pewne chwile, czyny i charakterystyczne zdarzenia wychodziły najwypuklejš. Dzięki temu talentowi stworzył książkę, od której oderwać się niepodobna.

Oblężenie trwało do 23 sierpnia: skończyło się dopiero wskutek układów pod Zborowem. We dwa lata później, wojska koronne rozbiły potęgę Chmielnickiego w bitwie pod Beresteczkiem, a opisem tej bitwy kończy się, jak wiadomo, *Ogniem i mieczem*. Bitwę tę opisał także Kubala w drugim to-

mie swych *Szkiców historycznych*, a Sienkiewicz poświęcił szkicowi temu aż siedem stron w swej następnej „mieszaninie“.

Opisawszy obóz polski pod Beresteczkiem i wszystko, co się w nim działo, Kubala przeprowadza czytelnika do obozu kozackiego, w którym znajdowała się prawie cała Ruś. Opis to nadzwyczaj ciekawy tej niezmiernej potęgi, którą stworzył jedyny człowiek, Chmielnicki. „Truchłało wojsko, kiedy na czele pułkowników przebiegał szeregi, kiedy szalał, ryczał jak burza, porywał winnych na śmierć, kłął na wszystkie potęgi świata i piekła i straszył ludzi swoim okropnym głosem, czerwoną twarzą, krwawymi oczyma i spienionemi usty“. W opisie powyższym mieści się cały obraz tego strasznego człowieka, który pomimo wszystkiego budzi w nas podziw i ciekawość. Jest to postać, pokryta dotąd jakąś posępną tajemnicą. Oto przed bitwą pod Beresteczkiem stał na szczycie potęgi, wszystko zdawało mu się uśmiechać, wszystko zapowiadać zwycięstwo, on tymczasem chodził, jak błędny, po namiotach, zrywał się ze snu, krzyczał, wyrzucał z siebie rozkazy, bluźnił, kłął i znów popadał w apatię i... pił całemi dniami. Zdawało się, że chciał zapić jakąś wewnętrzną rozpacz i zgryzołę. Mówiono, iż rozpaczał po Czaplińskiej, którą kochał głęboko, a którą jednak skazał na męki i śmierć. Może nie mógł sobie dać rady z sumieniem, które wołało go po nocach i wyrzucało mu tyle krwi przelanej... Co za postać dla dramaturga *lub historyka-powieściopisarza*.

Ten „historyk-powieściopisarz“ tkwił już w danej chwili w autorze „mieszanin literacko-artystycznych“, a to streszczenie przezeń w dwóch zeszytach *Niwy* obrazów historycznych Kubali było zapowiedzią pierwszej powieści historycznej Sienkiewicza, zwiastowało *Ogniem i mieczem*.

Tymczasem, w grudniowym zeszycie *Niwy*, ukazała się *Niewola tatarska*, pierwszy wyraźny dowód zwrotu w twórczości Sienkiewicza, zwrotu ku przeszłości. Na krótko przedtem wyszły *Chore dusze* Kraszewskiego, której to powieści, jednej z celniejszych autora *Starej baśni*, Litwos poświęcił całą mieszaninę literacką za grudzień 1880 roku. Romans ten, którego akcja rozgrywa się nad Tybrem, bardzo trafił do przekonania Sienkiewiczowi, choćby dlatego tylko, że zawsze żywił on wielki kult dla wiecznego miasta, wszystko więc, co mu przypominało i stawiało przed oczyma Rzym, odpowiadało jego artystycznemu

upodobaniu. Ale bo też niema może drugiego miasta na świecie, które by wprawiało w taki nastrój, jak poważna Roma...

Do Rzymu wielu przyjeżdża po rezygnację. Tyle tam grobów, że ten, który przywozimy w sobie, przestaje być czemś, co nas wzburza i buntuje, jako gwałt, zadany ludzkiemu szczęściu. Tam on wydaje się naturalnym i tylko konieczną zwykłą koleją wszystkiego. Tam wszystko jest grobem, więc jeden więcej, przestaje mieć znaczenie. Chore dusze, po pogrzebie szczęścia, znajdują tam wypoczynek i sen.

Nawet na Corso, byle tylko w cichy pogodny wieczór,

wśród ciszy wieczornej, dogasających zór i pomroki stapiającej w jakąś ciemną jedność groby, pałace, ruiny, słychać jakby głębokie tajemnicze westchnienie obumarłego miasta. Chwile, w których taki mistyczny smutek zdaje się przelatywać w powietrzu, zdarzają się tam często naprawdę. Corso roi się ludźmi, światła gazowe mieszają się tam z połyskami oczu, ale cała dzielnica ku kapitolowi, okolica Forum, Colosseum i dalsze za niemi dzielnice stają się ciche. Ciemność daje umarłemu światu przewagę nad żyjącym i każdy wtedy wspomina, każdy pamięta i słyszy jakby zmarłe życie wołało z pod ziemi: tu uspokojenie, tu folga od mąk... Trudno się też wtedy oprzeć rozmarzeniu, a każdy mimowoli i nad wszelkie spodziewanie odkrywa w sobie mistyka. Owszem, ten świat cieniów, podziemnych szeptów, powietrznych głosów, wydaje się rzeczywistym, większym i poważniejszym niż codzienne realne życie. Serce kaja się wówczas, odrzuca wszystko, co narosło na nim, jako licha pleśń, i znajduje w tem spokój. O takim wrażeniu Kraszewski pisze: „Anioł przeleciał i skrzydły białemi dotknął wszystkich głów, wszystkich sere, w których było ponuro i ciasno, rzucając z rosą wieczora jak perłę słowo pociechy i miłosierdzia pocałunek nieba dany ziemi: *Pax! pax!*... Pyszne tło, głębokie, ciemne... księżyc tylko uwydatnia kształty i wywodzi je z pomroki, ale postacie nie potrzebują być wyraźne, twardemi liniami obwiedzione. Mogą pozostać tajemnicze i ciągnąć ku sobie ciekawość, jak ciągnie zagadka... Mroki, ruiny, białe promienie księżyca, westchnienia grobów, cisza i zaziemskie: *pax!* Słowacki mówi: „Bo w takiej chwili, ach! dwa serca płaczą. Co mają wzajem przebaczyć, przebaczą. Co mają wzajem zapomnieć, zapomną“...

Na tak poetycznem tle rozgrywa się akcja *Chorych dusz*. Cóż to są za chore dusze? Przedewszystkiem jest nią dusza głównej bohaterki romansu, hrabiny Lizy. Interesująca to bardzo postać, zwłaszcza, gdy się ją poznaje z portretu, naszki-

cowanego przez Litwosa, a równającego się efektownemu obrazowi.

Oto balkon przyczepiony do zrębu starej ściany domu niegdyś Sobieskiego, który dziś zwie się Cara Bartholdi, a na tym balkonie rysuje się postać kobieca; powiew od strony Ostia porusza lekko promień włosów na jej bladym czole. W pomroce widać delikatny, czysty a smutny profil... Kobieta o twarzy cesarzowej rzymskiej, podobna do bogini Hellenów, Psychy, gdy ją anioł odleciał, stoi dopiero we wrotach życia, a patrzy smutno. Pochodzi ona z arystokratycznej rodziny, dostała w udziale piękność, bogactwa, wyższy polot ducha, nie dostało się jej tylko nie ze szczęścia. Zaślubiono ją człowiekowi, który był potworem, a choć potwór już nie żyje, ona tyle wycierpiała, że nie wierzy już w szczęście i nie pożąda go. Budzi miłość... ale miłości tej nie oddaje. Budzi cześć religijną, ale sama wątpi. Brat jej rwie się jeszcze do życia, ona sądzi, że już tylko istnieje, ale nie żyje. Nie pożąda niczego, prócz spokoju, i dlatego dobrze jej wpółsennej wśród grobów rzymskich.

To pierwsza chora dusza. Dwoma drugimi są dwaj wielbiciel hrabiny, hrabiowie August i Filip. I oni są nieszczęśliwi, obaj jedli świata tego zatrute kołaczce. Ztąd ich smutek, tak licujący ze smutkiem ich bóstwa i świętości, hrabiny Lizy.

Wszyscy troje jeździli po świecie, wożąc za sobą swoje smutki, a wreszcie przywieźli je do Rzymu i oto żyją niemi, pielęgnują je, hodują, bo zresztą nie mają nic innego do roboty. Dusze to bardzo wykwintne i bardzo rozpróżniane. To co jest życiem, ruchem, pracą na przyszlół, wyciąganiem rąk do ideału, noszeniem w pocie czoła kamieni na budowę, to dzieje się poza niemi. Oni mają swoje smutki! Z tego względu są to dusze naprawdę chore, są to bardzo ładne i sympatyczne egzemplarze „nieobecnych“. Dobrze im ze sobą, bo się nadzwyczaj podziwiają wzajemnie, ale tam gdzie słyszeć dźwięk młotów przy pracy społecznej, tam bołą ich smutne uszy. Zresztą każdy z dwóch hrabiów chętnieby się smucił na wspólną z hrabiną Lizą, która jest dla nich bóstwem i świętością, bo jest piękną i zrezygnowaną. Jest duszą drogą nad wszystko w świecie, a także chorą.

Lecz jeśli chodzi o dyagnozę choroby tych dusz smutnych, to okaże się, że najwięcej tu wybujałości egotyzmu, roztkliwiania się nad samymi sobą, szukania smutków błahych, wiotkich, kruchych, bo zresztą ani hrabina, ani jej dwaj wielbiciel, wcale nie należą do ludzi, którzy księgę życia zam-

knęli raz na zawsze, wyczytawszy w ostatniem jej słowie: *vanitas vanitatum*. „Są dusze, które ku śmierci wyciągają ramiona. Hamlet boi się, czy w grobie coś się nie śni, bo on by chciał, by tam już nie było, tylko *aeternum silentium*“. Tymczasem dwaj hrabiowie pragną życia i tylko są chwilowo niezadowoleni z terażniejszości. Dość powiedzieć, że kochają: jest więc w nich jeszcze pragnienie szczęścia... Wszystko zależy od tego, czy pani Liza nie da odkosza, że zaś to jest prawdopodobne, więc są „sfatygowani“ niepewnością. A ona? Ona jest więcej chora, bo z jej warg odleciał uśmiech dziecięcy, a siadły na nich ironia i zwątpienie. Ona już nie szuka szczęścia, chyba że... samo przyjdzie, a wówczas i ten śliczny smutny kwiatek puści jeszcze nowe życiowe pędy. Potrzeba tylko, by to szczęście ot! tak przyszło do jej drzwi i zapukało całkiem niespodzianie...

Szczęście to zapukało istotnie: od chwili, kiedy próg salonu hrabiny przestąpił cygan-artysta, Wiktor Gorajski, hrabina chce żyć, a niebawem zajmuje się nim do tego stopnia, że w końcu nie zajmuje się już niczem więcej. „Ach! (powiada Sienkiewicz) na ruinach rzymskich strzela śliczna, zielona roślinka miłości. Ona wszędzie potrafi znaleźć grunt i zakwitnąć... pani Liza, która wątpiła o wszystkim i nie pragnęła niczego od życia, pragnie teraz Wiktora i szczęścia dla Wiktora, nad którym to szczęściem sama oczywiście najlepiejby umiała czuć“... Kończy się na tem, że „miękką, białą, kochaną łapka hrabiny Lizy spoczęła w ręku Wiktora, a on przywarł do niej ustami, mając w duszy siedm tysięcy gwiazd, a w oczach ich światłość“. A dwaj hrabiowie? Hrabia August poświęcił swe uczucie, a hrabia Filip zemścił się po swojemu: ożenił się z inną. *I finita la comedia!*

Dowód to, że chorym duszom nie groziła jeszcze śmierć. Czyżby istotnie dusze te zasługiwały na nazwę chorych, czy nie właściwiej byłoby je nazwać duszami rozpieszczonemi, które, mając rozmiłowanie w sobie, pewien zakres wyniesiony z przeszłości i wspomnienia przeżytych cierpień, rozdymają swoje smutki do znaczenia pierwszorzędných spraw i wielkości, czyli,

że zbyt wiele zajmują się sobą, bez względu na resztę świata. „Ludziom tym wydaje się, że cały świat istnieje dla nich, a jeśli im oczy zajdą wypadkiem łzami, to dziwią się, że całe niebo nie płacze dżdżem na uczenie ich smutku“.

Czytelnik chwilami niecierpliwi się i ma ochotę powiedzieć każdej z tych dusz: czegoż tedy tak piszczysz? weź się lepiej do jakiej roboty. Są na świecie dusze prawdziwe, tragiczne, które zamknawszy raz na zawsze osobiste rachunki z życiem, bez nadziei i wiary, zmęczone i spoczynku żadne, nie dla siebie nie pragnąc, toczą jednak jakiś syzyfowy kamień społeczny bez wytchnienia; są dusze żyjące w ustawicznej rozterce, które patrzą w niebo, czy z jego szczytu sto słońce nie spadnie, na znak, a tymczasem, jak mówi poeta: „cisza i cisza pośród błękitu...“ Są wreszcie dusze suchotnicze, dla których niema już lekarstwa; są zbolale, które podeptano niesłusznie; są biedne, które wszystko dały, nie otrzymawszy nic w zamian.

Tymczasem *Chore dusze* z powieści Kraszewskiego jeno się przeziębily trochę, więc pierwszy cieplejszy powiew może je uleczyć.

Są tylko chore społecznie, bo zamiast być pełne, czy ducha bożego, czy mądrości, czy miłości do kraju, czy czego kto chce, są pełne siebie samych. Jestto czereda delikatnisiów, z których każdy pod lada dotknięciem rzeczywistości tak wrzeszczy w niebogłoso, jakby z niego pasy darto, a przedewszystkiem rozczula się nad sobą z całego serca.

To sprawia, że powieść, może wbrew woli autora, czyni wrażenie satyry, wymierzonej przeciwko egotyzmowi, przeciw zbyt niemu rozmiłowaniu się w sobie. Pozatem odznacza się wszystkimi przymiotami, i wadami, innych utworów Kraszewskiego, a Sienkiewicz, zdając z niej sprawę, podziwiał „tę niesłychanie wprawną szkicowość, łatwość wprowadzania najrozmaitszych typów“.

Sylwetki, które migają przed naszymi oczyma, robione są tak szybko, jakby wycinane na poczekaniu z papieru, a jednak czuje się, że jest w nich właściwy charakter i prawda i nauka. Opowiadanie rozwija się tak swobodnie, jak nić z kłębka. Ani jednego w niem supła, któryby spowodował płataninę. Obrazy płyną i płyną, równo, spokojnie,

choć tylko, jak woda w strumieniu, bardzo przejrzysta, przez którą widać dno doskonale.

Są to zalety, któremi niezawsze odznaczają się utwory Orzeszkowej, która, według Sienkiewicza, postaci swoje zbyt wybitnie dostosowywa do tendencji, skutkiem czego wrażenie życiowe, jakie mamy od nich odbierać, znacznie się osłabia. Ale taka już jest natura talentu Orzeszkowej, że w utworach jej zawsze myśl najczęściej góruje nad obrobieniem artystycznym.

Umysł to, ogarniający ilościowo bardzo szerokie widnokręgi; autorka mniej chętnie patrzy do dna w pojedynczą duszę ludzką, woli natomiast przedstawiać ludzi zbiorowo w stosunku do jakiejś myśli społecznej. Posiada niezmierną łatwość tworzenia, ale tworzy w ten sposób, iż, dajmy na to, po stu latach przyszedł badacz dzisiejszej literatury łatwiej pozna z jej utworów, jakie kwestye zajmowały umysły naszego czasu, niż jacy żyli w nim ludzie.

Ułatwiłyby mu to zwłaszcza *Widma* Orzeszkowej, która to powieść, jakkolwiek treścią swą wybiega daleko poza zwykłe opowiadania, oparte na skłonnościach sercowych bohatera ku bohaterce i na przeszkodach, jakie miłość na swej drodze spotyka, mimo to nie wzbudziła zapалу w czytelnikach.

W jakimś mieście litewskim żyje i pracuje dwoje dzieci: chłopiec i dziewczyna. Dzieci te o sercach kochających i wrażliwych nie rozwijają się prawidłowo. Zaduszna stancya, w której uczą się małe latorośle wykolejonych rodzin, nie daje im swobodnego oddechu; fatalne stosunki społeczne nie pozwalają uczuciom ich ogarniać tych światów, około których obwijają się zwykle uczucia serc młodych i kochających. W takiej atmosferze wyradzają się blade twarze z chorobliwym rumieńcem i gorączkowe myśli chciwie czepiają się zdzieciatych doktryn. Tak się też i staje: chłopiec przywdziewa czerwoną koszulę i pilśniowy kapelusz z pawiem piórkiem, dziewczyna zaś z obciążeniami krótko włosami, idzie za młodzieńcem między „roboczych“ opowiadać nową wiarę. Oczywiście, że socjalistyczna doktryna, której oboje stają się apostołami, mogła przyjąć się w nich tylko na gruzach uczuć rodzinnych, religijnych. Dzieci te, to ofiary fatalnych stosunków, gwoździ którym to, co jest tarczą, przeciw socyalizmowi i najlepszą przeciw niemu ochroną, zostało im odjęte...

Zdawałoby się, że dylemat tego rodzaju powinien czynić odpowiednie wrażenie, a tymczasem tak nie jest. Czemu! Odpowiedź jest w tytule powieści. Są to rzeczywiście *widma* jedynie, a nie prawdziwe życie, przynajmniej w naszych obecnych stosunkach, bo choć istnieją warunki, które by takie postacie wytworzyć mogły, to jednak nie wytworzyły dotąd. „Dotychczas głęboka miłość do wszystkiego, co jest swojskiem, nie dozwalała u nas szerzyć się doktrynom, które z natury swej tylko na gruncie kosmopolitycznym wzrastać mogą“. Gdyby Orzeszkowa dotknęła się czegoś, co leży istotnie na dnie serc wszystkich, co się tam krzewi, rozszerza, pełni, wnet by jej odpowiedziało potężne echo. „Gdy się ktoś dotyka istotnej rany, choćby w tym celu, by ją uzdrowić, chory niechybnie syknie z bólu i całą siłą odczuwania nerwami i umysłem zwróci na nóż operacyjny“. Ale z *Widmami* ma się rzecz przeciwnie: czytając je, czuje się wciąż, że tendeneya autorki, mimo wszystkiego, co by ją mogło uczynić rzeczywistą, nie wspiera się na gruncie rzeczywistym, że „bohater i bohaterka powieści Orzeszkowej są względnie do tutejszego gruntu czemś podobnem do kuponów, które w przyszłości, jeśli stosunki pozostaną takimi, jak są, może będą miały wartość realną, może nie...“ Wychodzi to na niekorzyść i artystycznej strony utworu, bo postacie wydają się raczej pomysłami autorskimi z krainy idei, niż żywymi istotami z bijącym sercem i ciepłą krwią.

Inne przyczyny złożyły się na niekorzystne wrażenie, jakiego nam dostarcza *Elisza*, fragment dramatyczny Maryi Konopnickiej, w którym zamiast dramatycznej akcji, spotykamy się z... operacją.

Jest to wydarta kartka z wiekowego ucisku, w jakim niegdyś jęczyli żydzi. Rzecz dzieje się w Anglii za króla Jana Bez ziemi. Król woła do siebie starego żyda Symmaha w celu odebrania mu skarbow, których Symmah posiada moc nieprzebraną. Ale skarby są ukryte, więc chyba tortury zmuszą Symmaha do wyznania, gdzie je ukrył. Jakoż król każe rwać Symmahowi wszystkie zęby. Oprawcy porywają go i... okazuje się, że w ustach starca niema już ani jednego zęba. W tej chwili wbiega jego jedyna córka Elisza, dziewczica wielkiej urody, i rzuca się królowi do nóg. Następują prośby i błagania, gdy wtem jeden z obe-

nych czyni straszną uwagę: „Ta bo przynajmniej ma wszystkie zęby!“ Co za myśl! woła król Jan i, zamiast starcowi, każe dziewczynie wyrwać po zębie dopóty, dopóki ojciec nie wyzna, gdzie są skarby. Dziewczyna w torturze fizycznej oddaje ducha, starzec wytrzymuje lepiej torturę moralną i, lubo wije się z bólu i wściekłości, nie wyznaje jednak do końca gdzie ukrył bogactwa...

Na nieszczęście, nie wszystko, co jest okropnem, bywa dramatycznym: istnieje i pod tym względem pewna miara estetyczna, która wskazuje dobry smak. W Szekspirze n. p. raz tylko jeden trafiamy na podobne przebranie miary, ale dzieje się to w *Tytusie Andronikusie*, który, jak wiadomo, jest najślabszym utworem najgenialszego z poetów.

Gdy czytelnik musi rozdzielać swą wrażliwość na grozę i obrzydzenie, odczuwa grozę tylko przez pół. Jestto jasne. Gdyby przynajmniej owo rwanie zębów biednej żydówce było urywkiem większej całości, możnaby czemśkolwiek zrównoważyć ową nieestetyczną szarpaninę nerwów czytelnika; ale we fragmencie, stojącym osobno, czyni ona wstrętne wrażenie. Tam, gdzie w dramatach spotykamy wylupianie oczu lub inne tortury, dzieje się to zwykle poza sceną. Rwanie zębów na scenie jest zarazem obrzydliwym i śmiesznym. Wyobraźmy sobie tylko towarzyszące takiej operacji pozy i wrzaski. W takiej sytuacji największy poeta może dać tylko szereg wykrzykników; jakoż we fragmencie spotykamy dziesiątki wierszy, składające się z tego rodzaju wrzasków jak: „Ojeze! Aa! Ach! Królu! Rwij dalej! Co? moje złoto? nigdy!... Cóрко! Kacie! Aa! etc.“ Może w tem jest i dużo realizmu, ale taki realizm i wogóle taki fragment dramatyczny, na którym może się poznać przedewszystkiem dentysta, doprawdy chyba nie odpowiada estetycznym wymaganiom...

To samo, niestety, trzeba powiedzieć i o innych fragmentach dramatycznych Konopnickiej, robiących wrażenie, jakby były pisane od niechcenia, bez natchnienia, na obstalunek. Że tak pisuje się nieraz, to rzecz wiadoma, ale to jeszcze nie usprawiedliwienie dla autorki tej miary, co Konopnicka. „Talent, gdy go się istotnie posiada, należy oszczędzać, a przedewszystkiem sternikiem na tej łodzi o purpurowych żaglach mianować dobry smak. Inaczej łódź rozbić się może“. Grozi to jej i wówczas także, gdy się poezję chce naginać do pewnych doktryn. Wtedy staje się to, co się stało w tym jak i w po-

przednich fragmentach dramatycznych Konopnickiej, które są udratyzowanemi, i to niebardzo szczęśliwie, suchemi rozprawkami lub artykułami wstępnemi z jakiegoś postępowego dziennika. Konopnicka powinna unikać podobnych dróg, bo dla niej są to manowce. „Kto istotnie ma pewne dane na to, by służyć sztuce wielkiej i prawdziwej, od tego wymaga się wiele, a przede wszystkim: by szedł swoją własną drogą i nie wchodził na trzęsawiska doktryneryi, w których może talent utopić, choćby mu stamtąd żabki przyjaźnie kumkały“.

Na trzęsawiska te nie wchodził nigdy Berlicz Sas, popularny gawędziarz staroszlachecki, którego opowiadania zawsze czyta się z przyjemnością, raz dlatego, że są pełne życia i charakteru (choć nie dorównywały podobnym utworom Kaczkowskiego lub Rzewuskiego) a powtórę, że już się ma pod koniec gawędom tego rodzaju. Jeszcze się czasem pojawił tom takich opowiadań *Ze starego autoramentu*, ale wogóle jest to gatunek literacki, który dogasa.

Z postępem czasu niknie szlacheckość w dawnym znaczeniu tego wyrazu, a z nią i oryginały, które ta klasa ludzi dawniej tak odrębna wydawała. Pan starosta Kaniowski, Karol Radziwiłł i wreszcie każdy szlacheć siedzący na swej wiosce, gdzieś w głębi borów lub stepów, był swego czasu istotą, która nie tylko nie potrzebowała się dostosowywać do warunków istniejących, ale mogła nawet tworzyć je w swoim ciasnem kółku. Płynęła ztąd niezmierna łatwość rozwijania się cech indywidualnych, a przy odrobinie usposobienia do dziwactwa, wyrastały oryginały, o których potem prawiono całe powieści.

W *Mozajce* Berlicza Sasa, z której Sienkiewicz zdał sprawę w *Niwie* z lutego 1881 roku, został upamiętniony może ostatni z takich oryginałów.

Autor odwiedza swego krewnego, Mokosieja Denisko, potomka znakomitego rodu Mokosiejów, z którego powstały, wedle Stadnickiego, domy Wiśniowieckich, Zbarażskich, etc. mieszkające w wiosce, na kresach ukraińskich. Jestto szlacheć, żyjący samotnie i Bóg wie po jakiemu. Nie dba on o to wszystko, co się nazywa wygodą życia, dostatkiem, komfortem. Jestto człowiek zamożny, a gość nie bardzo może znaleźć co u niego do jedzenia, świece zaś palą się w burakach, zamiast lichtarzy. Gospodarz krzyczy i klnie na służbę: rzekłbyś, że skóry obędzie

Hrycia, albo Iwasia; ale cóż, gdy flegmatyczny Iwas odpowiada na burzę spokojnie: „Czeho pan igraje komediu?“ Udaje on kata, a w gruncie rzeczy, „bat'ko“. Jakoż w gruncie rzeczy jestto nietylko „bat'ko“, ale marzyciel i poeta, który nie wie, co się koło niego dzieje. Chodzi natomiast codzieli na stary kurhan i, położywszy się na nim, słucha głosów idących od stepu, a potem opowiada gościom, co słyszał. Na tych gawędach upływa czas.

Wszystko to, owiane „poezyą czystej wody“ czyta się bardzo mile, bo nim owe czasy szlacheckich oryginałów i podobnie wybujałe postacie w naszym społeczeństwie staną się całkiem niezrozumiałemi (a stają się niemi coraz bardziej) czytelnik, zmęczony jednostajnością, choćby tylko pozorną, ludzi dzisiejszych, zwraca się do nich chętnie, gdyż dzięki swojskości i bliskości podobnych typów, odczuwa je doskonale, a tem samem interesuje się niemi.

Czynnika tego nie brał w rachubę Wacław Szymanowski, gdy pisał swój *Posąg*, i dlatego sztuka ta, choć napisana wybornym wierszem, choć posiada dużo charakteru i niepospolite typy, nie zdobyła sobie powodzenia ani na scenie, ani wśród czytelników. „Rzecz czysto włoska i koloryt czysto włoski, średniowieczny¹⁾. Żeby odczuć sztukę, trzeba znać ówczesne wieki, wiedzieć, czem były miasta włoskie XVI wieku i jaki był nastrój umysłów“. Publiczność nasza nie okazała się dość przygotowaną do smakowania w podobnym utworze i dlatego dramat pomieniony zdobył sobie tylko *un succes d'estime*. A szkoda, bo dzieło to ze wszech miar nie banalne. Za granicą n. p. mogło by nawet liczyć na wielkie powodzenie, bo tam odczuwają rzeczy osnute na tle życia włoskiego z bujnej epoki renesansu. Oto treść *Posągu*:

Młody rzeźbiarz florencki, Carlo, ma przy ramionach skrzydła geniuszu, a przy sercu żonę, która jest dla niego natchnieniem, siłą, chęcią do pracy i bóstwem. Życie jego jest pasmem szczęścia, bo wierzy i w siebie i w swoją Paolę. Więcej mu nie trzeba. Na nieszczęście Paoli nie wystarcza ani on, ani to życie, jakie on jej może ofiarować. W kobiecie tej drzemie lwica przyszłych orgij florenckich. Złowróżbna

¹⁾ Raczej renesansowy.

jej piosenka w pierwszym akcie mimowoli zdradza jej demoniczny charakter. Jakoż nie karlowego szczęścia pęka wkrótce. Żona go opuszcza i ucieka do Florencji, gdzie następnie jako Mona zabłysnęła szaleństwem, zbytkiem, rozpustą. Przechodzi ona wśród rozruchanych orgij z rąk do rąk, od młodzieńców do starców, od dworaków do łask samego księcia. Szał jej jest szalem zmysłów. Serce milczy zawsze i nie wspomina ni Carla, ni brata. Co więcej, gdy brat bandyta, pragnąc się zemścić nad nią za hańbę, jaką rodzinie przyniosła, czyni na nią zamach, Mona, po nieudanym zamachu, zezwala, by go powieszono, lub zapomina go ratować. Do roztargnienia jej przyczynia się także nowy projekt zabawy. Oto po przybyciu do Florencji Mona posłużyła za model do posągu zwycięstwa, a teraz w tym posągu zakochał się jakiś szaleniec, błędzący po ulicach miasta, szaleniec nieszkodliwy i biedny bardzo. Hulaćka młodzieńcza postanawia podstawić żywą Monę zamiast posągu i dopiero ubawić się kosztem waryata. Rzecz przychodzi do skutku, Mona staje na miejscu bogini zwycięstwa. Szaleniec zbliża się: nagle jej rysy drętwieją z przerażenia: jestto Carlo. Biedny Carlo gotów jej przebaczyć wszystko, otoczyć ją czcią i miłością, kochać wiecznie, niech tylko wróci do niego. Ale posągi bywają niewzruszone. Wówczas Carlo chwytą młot i rozbija *posąg* jednym zamachem.

Dramat ten Szymanowskiego można by do pewnego stopnia nazwać *une pièce à thèse*, rozwiązuje on bowiem, a przynajmniej stawia, problem pewien, mianowicie znaczenie kobiety w życiu artysty.

Artysta, oddając duszę i ciało kobiecie, oddaje jej zarazem najczęściej swój talent. Od niej zależy być następnie kapłanką tego Znicza, albo go przytłumić lub zgasić zupełnie. Jest tedy jeden rodzaj kobiet, które spełniają tę pierwszą rolę. Proste i szczere serce kochającej kobiety podtrzymuje wówczas pracę i energię człowieka, jest dla niego źródłem siły, ochoty do życia, natchnień, uspokojenia, moralnego zdrowia... Drugi rodzaj stanowią kobiety, które same będąc zbyt wybujałymi indywidualnościami, w siebie wchłaniają tę siłę artystyczną, która powinna tworzyć na zewnątrz. Te nie dodają, ale wyczerpują. Takim zakochany artysta niesie w ofierze swe samsonowe włosy. Czasem bywają to Dalile, jak feuilletowa księżna Falconieri; czasem doktrynerki, które za uczucie płacą teorią uczucia. Nie wiedzą one same, czego chcą, a oddani im sercem ludzie, nie wiedząc również, czego od nich chcą, wyczerpują się na walkę z niczem, wydają do grosza swoją energię w jakichś nieokreślonych, a jednak bolesnych zapasach, i w końcu przechodzą do kategorii „zmarnowanych“, t. j. ludzi niezdolnych do żadnej pracy. Trzeci

rodzaj to „Mony“. Miłość do pierwszych bywa bardzo silną, spokojną, i staje się wiarą; do drugich może być wzniosłą; do trzecich bardzo zmysłową i dlatego w razie zawodu wybija piątą klepkę z głowy. Moralną miarą wartości kobiety mogłaby być praca mężka. Proste a wzniosłe duchy ją podtrzymują, inne łamią.

Kiedy się myśli o życiu artystycznym włoskiem, mimowoli przypominają się niektóre nowelle Pawła Heysego. Sienkiewicz, z powodu ukazania się w Bibliotece Najcelniejszych Utworów *Wyboru pism* Heysego, poświęcił mu w marcowym zeszycie *Niwy* całą „mieszaninę literacko-artystyczną“, a że Heyse jest jednym z filarów dzisiejszej literatury niemieckiej, więc wypadło powiedzieć cośkolwiek i o tej literaturze wogóle... Niezmiernie to ciekawe uwagi.

Wielcy poeci niemieccy wywarli swego czasu ogromny wpływ na naszą literaturę, ale nowsza zwłaszcza beletrystyka niemiecka małym stopniowo cieszy się u nas powodzeniem. Spielhagena, Freitag, Hacklendera, Auerbacha, Gutzkova, Marlita etc. mniej czytają u nas, niż Dumasa syna, Flauberta, Oktawiusza Feuilleta, Cherbuliera, Daudeta i innych nawet pomniejszych francuzkich pisarzy. Można by powiedzieć, że czytanie tych ostatnich bardzo ułatwia o wiele więcej rozpowszechniona znajomość języka, którym piszą: ale po bliższem przypatrzeniu się tej sprawie nie ten wzgląd jest przyczyną. Znajomość angielszczyzny jeszcze mniej jest rozpowszechnioną, niż niemiezczyzny, a jednak Thekeray, Dickens, Collins, Read etc. bardzo dobrze są znani. Niemieckich powieściopisarzy nie tylko mało czytają u nas, ale i mało tłumaczą, co już jest oczywistym dowodem, że nie do smaku oni tutejszej publiczności. Cemu? może są zbyt lokalni, zbyt niemieccy? Zapewne, ale Anglicy są jeszcze bardziej Anglicy. Z drugiej strony, gdybyśmy przypuścili, że powieść niemiecka nie obejmuje zbyt szerokiego widnokręgu idei, to nie należy zapominać, że francuzka kręci się przeważnie wokół wiecznie jednego tematu: żony, męża i kochanka, co jednak nie przeszkadza jej być pożądaną i chętnie czytaną. Być może, że ta niepopularność Niemców u nas płynie w części z antypaty, jaką ku nim żywimy, ale ponieważ antypatya owa nie przeszkadza nam wcale do korzystania z olbrzymich rezultatów ich nauki, sądzimy przeto, iż muszą być jakieś inne przyczyny, dla których powieść niemiecka nie ściąga nas ku sobie i że przyczyn tych w niej samej szukać należy... Jakoż, zdaniem naszym, powieść niemiecka, mimo, iż między przedstawicielami swemi liczy kilka niepospolitych talentów, nie stoi na równi z francuzką lub angielską. Tyczy się to szczególniej techniki i sposobów przedstawienia rzeczy. Francuzi stali się pod względem techniki

mistrzami i rozwinęli ją do tego stopnia, że częstokroć robota w znaczeniu artystycznym przeważa u nich nad ideą; anglicy wyrobili sobie sposób pisania niezmiernie przedmiotowy, wobec którego autor ze swemi postulatami znika zupełnie, a postacie kreślone w powieści wysuwają się na pierwszy plan z taką indywidualną i typową wyrazistością, że stają się niemal osobami rzeczywistymi. Czytelnik w powieści Thackeraya lub Dickensa styka się z prawdziwym realnem życiem, i otrzymuje takie wrażenie, jak gdyby podróżując lub mieszkając w Anglii, patrzył własnymi oczyma na ludzi i na zdarzenia. Dodawszy do tego czystą po większej części atmosferę moralną tych powieści, wyborby humor, umiejętność zjednywania sympatii dla osób przedstawianych i równie wysoką umiejętność ożywiania typów pod względem obyczajowym czysto angielskich uczuciami ogólnie ludzkimi i prawdziwie humanitarnymi, zrozumiemy łatwo i rozgłos i sympatyę, jaką sobie zjednała powieść angielska. Niemieckim powieściom obyczajowym, nawet najlepszych autorów, nie dostaje wiele pod tym względem. Postacie ich, zwłaszcza krańcowo dodatnie i krańcowo ujemne, są raczej autorskimi postulatami, niż żywymi ludźmi. Widzimy w nich najczęściej przesadę: są to teoretyczne ideały złego lub dobrego, a czasem jacyś wyżsi ludzie, wyżsi nie wiadomo z jakiego powodu, i wywierający na innych nieusprawiedliwiony niczem wpływ i nieusprawiedliwioną władzę. Inaczej mówiąc: niemcy nie umieją być realistami. Spielhagen jest mistrzem w kreśleniu obrazów natury; prócz tego siła jego stylu każe nam nieraz wierzyć w zawikłania duszne jego bohaterów i psychologiczne ich: „być albo nie być“, ale sami bohaterowie najczęściej nie są realnymi ludźmi. Jest w niemieckich powieściach pewien transcendentalizm, od którego nie jest wolny i najrealniejszy z pomiędzy powieściopisarzy niemieckich: Auerbach. Co do Haacklendera, utwory jego w daleko mniejszym stopniu, niż auerbachowskie i spielhagenowskie, mogą zjednać niemieckim powieściom czytelników poza granicami Niemiec. Ten świat niemiecki, który tak często opisuje Haacklender, jest więcej płaskim niż typowym, a takie mistyczne postacie, jakie znajdujemy w *Zygzakach*, należą do niesmacznych dziwactw autorskich. W powieści historycznej mogą niemcy iść o lepsze z innemi, ale co do obyczajowej lub psychologicznej, zostali istotnie za Francją i Anglią. Da się przytem jeszcze i to powiedzieć, że gdy np. w powieści angielskiej, postacie wprowadzane kryją pod czysto angielską zewnętrznością ogólnie ludzkiego ducha, w niemieckiej kosmopolityczne zewnętrzne postacie mają, wbrew usiłowaniom autorskim, jakąś wyłącznie niemiecką duszę, zatem i mniej zrozumiałą i niezbyt sympatyczną i częstokroć bardzo samolubną. Obcemu czytelnikowi zarówno ciasno między transcendentalnemi postaciami Spielhagena, jak w świecie mieszczańskim, lub wśród traktowanych poważnie intryg i ambicij małych dworów u Haacklendera. Wszystko to sprawia, że powieść niemiecka

mało zwykle przedstawia interesu w europejskiem znaczeniu i poza granice Niemiec zwykle nie przechodzi.

Wyjątek stanowi Paweł Heyse, pisarz pod względem ducha europejski *par excellence*, równie zdolny poeta, jak prozaik, choć nie jest ani prozaikiem wielkiej siły, ani poetą wielkiego natchnienia. Za to stylistą, tak w prozie, jak w wierszu, jest pierwszorzędnym, i to nie tylko w niemieckiej, ale i w powszechnej literaturze.

Cechą tego Niemca, bijącą w oczy każdego, kto uważniej czytał się w jego pisma, jest niezwykła równowaga estetyczna. Tłumaczy ona zarazem ów brak siły, wyłącza ona bowiem wszelkie gwałtowniejsze porwy i uniesienia. Tam nawet, gdzie pod wpływem uczuć bohaterowie Heysego działają gwałtownie, on opowiada to spokojnie, ze świadomością własnego słowa, pięknie i po akademicku. Wielu uczuć i opisywanych przez się namiętności, autor nie odczuwa, ale raczej uznaje je, rozumie, i według tego rozumienia tworzy postacie mistrzowskie co do rysunku i proporcji, ale niezbyt wypukłe, niezbyt wyraziste i niezbyt żywe, właśnie dlatego, że zamiast gorącej krwi, płynie w nich rozmyśl autora, a zamiast jego uczucia, jego świadomość uczuć, miarkowana smakiem estetycznym. Tak tworząc, tylko pierwszorzędny genjusz potrafi zachować wyrazistość; talent, nawet pierwszorzędny, jeśli w nim człowiek sam naprawdę czujący nie wspomógł estetyka, będzie dawał piękną robotę zamiast życia, piękne kształty i formy zamiast dusz.

Jako taki może być Heyse śmiało nazwany klasykiem. Jakoż jest nim pod niejednym względem.

Posiada on zwykle urok dla tych zwłaszcza ludzi, którzy, przesyleni hiper-realizmem życia, szukają w literaturze zupełnie czego innego. Z drugiej strony ponieważ piękno i harmonię odczuwają wszyscy, Heyse więc w tem znaczeniu jest pisarzem, należącym do wszystkich, nie zaś wyłącznie do Niemców. Częstokroć robi on Niemców bohaterami swych utworów, ale jego klasyczna dusza chętnie ulata pod błękitne niebo Włoch i z tamtejszych błękitów, z tamtejszych światel, kwiatów, pogody i słodczy snuje opowiadanie zwykle miłosne, a delikatne i wykończone jak koronka. Włoskie też nowelle jego należą do najpiękniejszych. Zresztą pisarz to bardzo obfity, który próbował sił swoich w najróżnorodniejszych kierunkach. Nigdy wprawdzie nie wstrząsnął głów i serc, nigdy nie wpłynął tak na swoich czytelników, jak swego czasu Szyller, nie napisał nic podobnego do Getowskiego *Wertera*, nie chwycił za włosy

opinii, tak jak Wiktor Hugo swemi *Nędznikami*, nie wytworzył obozów, walk, gorliwych wyznawców i zaciętych przeciwników, ale za to we wszystkich kierunkach występował z powodzeniem, jednając dla siebie o wiele więcej od uznania, o wiele mniej od zapału. Nie rozechwytywano go nigdy, ale lubiono zawsze. Nie wyciskał łez, ale nie nudził nikogo. Czytanie jego przepelnia duszę takim uczuciem, jakim przepelnia ją pogodny dzień letni, t. j. błogością, daleką wprawdzie od pocucia rozkoszy, ale tak cenną, jak uspokojenie. Niewątpliwie i w naszej i w niemieckiej literaturze są talenta od niego większe, lotniejsze, poetyczniejsze, bardziej żartkie, silniej na czytelnika działające, ale w obydwóch trudno by znaleźć typ równie wybornego i wykwintnego *literata*.

Do najcelniejszych utworów Heysego należy bezwarunkowo dramat z dziejów starożytnego Rzymu p. t. *Sabinki*¹⁾.

W dzisiejszych czasach czytelnicy nie lubią takich tematów i boją gotowi sądzić, że ów pedagog, który pensyonarkom jako temat do ćwiczenia zadał: „List młodej sabinki do matki na drugi dzień po porwaniu“, postąpił słuszniej, niż gdyby był na tym wypadku osnuł tragedję. Ale wypadek, jakkolwiek trąci koturnami i klasyczną elokwencyą, jest isticie dramatycznym. Heyse wywiązał się też z zadania tak świetnie, że tragedji tej przyznano nagrodę konkursową. Niezawsze to wprawdzie orzeka o wartości dzieła, ale tym razem jest ono zbudowane i przeprowadzone tak zgodnie ze wszystkimi wymaganiami sztuki dramatycznej, że aż jest za doskonałe. Gdyby forma, t. j. układ scen, wiersz, szczytność wymowy i poetyczność stanowiły kryterjum dzieła sztuki, to *Sabinki* byłyby arcydziełem. Jest jednak coś, co takiemu uznaniu przeczy i zawadza... Czytelnik gotów co chwila wykrzyknąć: co za majster Heyse! ale niestety mało kto wykrzyknie: jakaż biedna Tulia! jakaż nieszcześliwa Hersylia! Te dwie białe panny sabińskie nie tylko są białe jak posągi, ale i zimne jak posągi. W ich walce z porywcami, w ich dumie i w ich dziewiczym oporze, i w ich nagłej a niespodziewanej miłości, którą zapłonęły dla porywców, jest jakaś zbyt wykończona forma rzeźbiarsko-literacka, przeciwna nietylko życiu dzisiejszemu, ale i realnym uczuciom świata koturnowego, boć przecież i w ówczesnym świecie pod tunikami były tak ciepłe i żywe serca jak dziś, a uczucia miały swój akcent prawdy nie sztucznej, ale naturalnej. Jeżeli zadaniem tragedji jest wywołać wrażenie poprawności i doskonałości roboty, to cel dopięty; jeśli zaś chce nas wstrząsnąć zgrozą, wzruszyć, to, chybiony, bo poczucie poprawności roboty wciąż góruje nad wszelkiem innem wrażeniem. Jestto wyborne dzieło pseudo-klasyczne. Czyżby można z tego wy-

¹⁾ Przełożony na polski przez Kazimierza Kaszewskiego.

ciągnąć wnioszek, że treści świata klasycznego nie możemy już odczuwać, my nowożytni? Trudna odpowiedź. Niech ją wpierw odczuje z całą szczerością, siłą i oryginalnością autor nowożytny, a zobaczymy.

W całkiem odmiennym rodzaju jest *Samotnia* autora *Sabinek*. Czytając dwa te utwory, jeden po drugim, uwierzyć trudno, że je napisał jeden i ten sam człowiek, co świadczy o giętkości wyobraźni Heysego.

Samotnią tą jest cichy kątek nad brzegiem Sorrentu, gdzie kryje się miłość dziewczica bez nadziei... bo do zmarłego. Brat dziewczicy pokutujący z nią razem, w samotni zabił tego zmarłego, ona jednak o tem nie wie i kocha brata, jako jedyną żywą istotę, która jej została w świecie. Gdyby wiedziała... Innego zakończenia niema. Skąły, wąwóz, w dali na horyzoncie toń morską turkusowa, nad głowami niebo włoskie, zresztą cichość, pustka, a na tem tle dwie smętne postacie, i dramat zawieszony nad nimi. Oto wszystko. Prawdziwa nowella, i śliczna!

Mniej szczerego artyzmu, a więcej pomysłów i „wyrafinowań literackich“ znajdujemy w nowelli zatytułowanej *Odrodzenie*.

Przyjechał do Rzymu, niemiec, malarz, zakochała się w nim młoda rzymianka, Annina, już narzeczona z niedźwiedziowatym zazdrośnikiem, i umarła z miłości. Malarz poszedł do kościoła i włożył na jej martwy paluszek pierścioneł, a sam poszedł w świat.

Temat tak prosty, że zdaje się nam, iżśmy już ze sto razy coś podobnego czytali, tak prosty, że prawie naiwny. Ale ta naiwność to właśnie wdzięk, i ten sam nieokreślony urok, jaki mają spokojne profile Anioła z Fiesole. Bije od tej nowelki jakaś szczerłość prawie dziecinna i nastrojająca na ten sam ton czytelnika, który przez to doznaje rozkoszy wielkiej, bo odnajduje w sobie może dawno już zapomniane echa. Zresztą w takich tematach niezmiernie wiele zależy od tego, jak autor mówi, a właśnie styl Heysego w Anninie staje się ową wspomnianą już, leciuchną tkaniną z włoskich światel, włoskiego błębitu i kwiatów... na tle niemieckiego sentymentalizmu. Razem jest to bardzo ładne i bardzo smutne.

W styczniowym zeszycie *Niwy* z roku 1881 zaczął się drukować dramat Sienkiewicza, *Na jedną kartę*, a jednocześnie, w tym samym zeszycie, w mieszaniach literacko-artystycznych, ukazało się sprawozdanie z dwóch odczytów Spaso-

wieża, skreślone przez Litwosa. Rozmówiany od dziecka prawie w Szekspirze, a w *Hamlecie* w szczególności, Sienkiewicz rozpiął się o odczytach tych *con amore*, gdyż dało mu to wdzięczną sposobność do wypowiedzenia kilku własnych poglądów na genialnego anglika i jego arcydzieło. Otóż co się tyczy Szekspira samego, to zdaniem przyszłego autora *Bez dogmatu*, Spasowicz miał słuszną najzupełniejszą, gdy, mówiąc o różnych i najczęściej sprzecznych z sobą zapatrywaniach się na Szekspira jego niezliczonych krytyków i komentatorów, doszedł do wniosku, że wszelkie usiłowania, mające na celu charakterystykę działalności szekspirowskiej, wszelkie próby ujęcia jego twórczości w jakiś system krytyczny lub estetyczny, okazały się dotąd niedostateczne, co upoważnia do twierdzenia, że Szekspir przerasta swoich krytyków... Różni się on tem od wszystkich innych wielkich poetów.

Z Homera, z Danta lub Milтона łatwo sobie zdać sprawę ze stanowiska czasu i otoczenia. Badaczowi, który rozważy dobrze wiek, panujące pojęcia, społeczny stopień rozwoju, twórczość ich stanie się jasną. Dojdzie on do przekonania, że mogli być takimi, jak byli, i tak pisać, jak pisali. Z Szekspirem rzecz inna. Umysł to tak genialny, taką niezmierną obdarzony intuicyą, że tworzy nieraz jakby na przyszłość, jakby w przeczuciu pewnych stanów duszy, pewnych nastrojów i sposobów myślenia, które mają się pojawić dopiero w przyszłości i pod wpływem mających dopiero się złożyć stosunków ludzkich. W wieku np. rozwinętego życia zewnętrznego, w czasie, w którym wszyscy oddawali się owemu życiu bez sceptycyzmu, bez refleksyi i z całą siłą tęgich muskułów i nerwów, tworzy Szekspir bladą i zamyśloną postać, wątpiając o wszystkim: o bycie ziemskim, o miłości i szczęściu, nawet o życiu zagrobowem, o sobie i o własnych siłach, o tem czy warto wogóle działać, słowem: tworzy postać jakby wychowaną na Szopenhauerach, Hartmanach, Bajronach, Hejnych i Mussetach. Co więcej, postać ta nie jest zarodkiem, ale skończonym typem i uosobieniem niespokojnego myślenia czasów nowożytnych. Stworzona dziś, na tle dzisiejszych czasów, stworzona jako suma najnowszych goryczy, ironii, wątpień i braku ochoty do życia byłaby aktem twórczości dla nas zrozumiałej. Autor potrzebowałby tylko pozbierać i wcielić duchowe atomy rozproszone w tysiącach ludzi i w całym świecie umysłowym; ale jakim sposobem Szekspir w owym czasie mógł stworzyć taką postać, z tego niepodobna sobie zdać sprawy. Mówiąc jaśniej: rozumiemy Hamleta, ale nie zdajemy sobie sprawy z Szeks-

pira, zwłaszcza gdy się jeszcze zważy całą różnorodność i szerokość jego twórczości. Wszystkie więc studia nad nim charakteryzują go albo błędnie, albo jednostronnie, nigdy zaś całkowicie.

Drugi swój odczyt poświęcił Spasowicz wyłącznie tragicznej historii o królewiczu duńskim, *Hamlecie*, przyczem ukazał postać tę na tle epoki i w zetknięciu z otoczeniem.

Epoka to była, w której pod pewnym polem dworactwa kryło się jeszcze grube barbarzyństwo germańskie. Szekspirowscy duńczycy ówczesni uczyli się od francuzów toczyć z wdziękiem konie, bić się na rapiery, dworować damom; pozatem byli krwistymi gburami, pochopnymi do gwałtów, zmysłowych uciech i dzikiego rozhukania. Mogli „wisieć na uchu dzbanka przy muzyce czkawki“, obżerać się mięsem bez miary i pędzić życie w rozpuście. Cywilizacja oparta na zewnętrznych formach nie tylko nie zmieniała grubych instynktów, ale przeciwnie nadała im pozory jakiejś kawalerskiej tężyzny. Usunęła pierwotną surową prostotę obyczajów, wprowadziła zbytek, dążenie do bogactw i użycia, a ztąd nieprzebieranie w środkach, które do tego celu wiodły, słowem: była to epoka zepsucia na tle barbarzyństwa. „Dziwne rzeczy“ działy się w państwie duńskim, w całej Danii „nie było ani jednego łotra, któryby nie był kompletnym niktzemnikiem“, a łotrów było niezawodnie więcej, niż ludzi uczciwych.

Ogólnemu temu nastrojowi odpowiada większość postaci, występujących w *Hamlecie*, a typowym wytworem tego „czegoś zgniłego“ panującego wśród całego duńskiego społeczeństwa ówczesnego, jest sam król, Hamleta stryj, a zarazem i jego ojczym.

Na tron dostał się przez zbrodnię, zamordowawszy starszego brata, na tronie zaś oddaje się przedewszystkiem uciechom. Huczne kapele grają do uczty, nocą rozlegają się z zamku pijackie pieśni i okrzyki. Panowanie Klaudyusza jest „nieustanną bibą“. Sam król daje pierwszy przykład. Pragnie on przez to niekoniecznie zagłuszyć sumienie, ale poprostu dogadza swej grubej naturze. Starszy brat jego, ojciec Hamleta, był lwem; on jest tylko lubieżną, obżartą a zarazem podstępą małpą. Świtanie nowych czasów, wpływ cywilizacji znać jednak już w nim o tyle, o ile przekłada podstęp nad siłę. Woli oszukiwać, niż zwyciężać, woli gubić podstępnie, niż zabijać w otwartym boju. Prelegent utrzymuje, że nawet religijność Klaudyusza, nawet bojaźń życia zagrobowego, pobudza go tylko do oszukiwania Pana Boga. Pragnie on w niego wmówić to i owo.

Pragnie zastawić przynętę i pociągnąć wędkę w odpowiednim czasie, słowem, pragnie *złapać* Pana Boga na jego własne słowa i miłosierdzie. Zresztą jest tchórzem i boi się piekła, ale nie może wstrzymać się na ziemi od zbrodni i dogadzania swym żądom.

Godną jego pod tym względem połowicą jest królowa, w której zmysłowa samica bierze górę nad wszystkim... Co się tycze jej oddanego sługi, Poloniusza, to jest on nietyle przewrotnym intrygantem, ile starym błaznem, mającym wszystkie pozory szanowności. Tak go charakteryzuje Spasowicz, a Sienkiewicz, choć z pewnemi zastrzeżeniami, godzi się na ten pogląd.

Jest to osobny gatunek ludzi, unieśmiertelniony raz na zawsze w Poloniuszu, a zarazem satyra tak subtelna i cięta, że znowu trudno zrozumieć, jak w wieku szekspirowskim można się było na nią zdobyć. Więc oto: szanowne pozory, starość, biała broda, formalny rozsądek, opatrna ostrożność, tuzinkowa cnota, skłonność do chwytania we wszystkim środka, pokrywają niecość przechodzącą wszelkie pojęcie. Poloniusz jest skończonem zerem, zawsze jednak powodziło mu się w życiu, i podobnym typom będzie powodzić się do końca wieków. Posiadają one jakąś szczególną łatwość do życia, polegającą właśnie na tem, że są zerami we wszystkim, że niecość ich jest doskonale proporecyonalną. Są okrągli jak zera. Nikt się nie uderzy, ani nie skaleczy o jakiegokolwiek ostre ich kanty, dlatego toczą się z łatwością ku dostatkom, powodzeniu, a nawet i sławie. Ich przeciętność czyni ich zdolnemi do wszystkiego co jest przeciętnem. Pewna doza praktycznego rozsądku, pokrywającego niesłychaną płytkość umysłową, jest dla nich łokciem, którym z wielką ufnością mierzą wszystko, nawet wielkie rzeczy, wielkich ludzi, wielkie wypadki. Poloniusz jest nieśmiertelną syntezą wszystkich przeszłych, teraźniejszych i przyszłych filistrów, a zarazem przeciętnej opinii, która w imię praktyczności gotowa tłumić poloty dusz oryginalniejszych i wyższych. Jako człowiek tak rozsądny jest on „mądrym doradcą“ królewskim. Gdy on powiedział o czemkolwiek, że *tak jest*, nigdy nie zdarzyło się, by było inaczej. Umie on wszystko *wymiarkować* i utrafić w sedno, bo od tego ma swój poloniuszowski rozsądek. Rady swoje podaje w formie nader wyszukanej, która wydaje się jemu i innym znakomitą wymową, a rzeczywiście jest gadulstwem starego safandudy. Gadulstwo to nudzi nawet innych.

Tu jednak zaczyna się różnica w poglądach Spasowicza i Sienkiewicza. Według pierwszego, wszyscy w całym otocze-

niu poznają się na głupocie Poloniusza, gdy tymczasem, zdaniem Litwosa, rzecz ma się całkiem przeciwnie: znaczenie Poloniusza, jako postaci satyrycznej, leży w tem, że i on sam siebie i inni biorą go na seryo. Inaczej Poloniusz nie byłby został ministrem.

Samo pochlebstwo i dworactwo nie byłoby go doprowadziło do tak wysokiego stanowiska. Orsik był takim pochlebcą, że jeszcze przy piersi „wdzięczył się do tytków swojej mamki“, a przecie grał dość podrzędną rolę na dworze. Poloniusza poza pochlebstwem wyniosła właśnie jego szanowna nicłość i płytki rozsądek, które wszyscy brali za pełen równowagi praktyczny rozum. Król i królowa radzą się go co chwila. Dwór wierzy za nimi w mądrość ministra.

Poznaje się na nim jeden tylko umysł, wyższy nad całe otoczenie, subtelniejszy, głębszy, przenikliwszy, wyższy nawet nad swój wiek: umysł Hamleta.

Dla niego Brutus, który zabił Poloniusza w roli Cezara, zabił „kapitalne ciele“. W innem miejscu, powiada mu Hamlet, mówiąc wogóle o starych ludziach, ale stosując w szczególności do Poloniusza: że starcom „płynie z oczu gęsta ambra i żywica, oraz widać w nich wielkie stępienie dowcipu, przy odpowiednim wycieńczeniu łydek“. Ten rozsądek Poloniusza, taki praktyczny, taki umiejący chwycić zawsze złoty środek, taki wystarczający do wszystkiego, nie wystarcza jakoś w zetknięciu się z Hamletem; jego wymowa nie dopisuje mu również. Ale właśnie może dlatego Hamlet, choćby nie udawał waryata, lub nie zważyował naprawdę, uchodziłby co najmniej za człowieka dziwaczного. Poloniusz zawsze za mądrego rajcę królestwa. Kręci się więc ten rajca wszędzie: między dworem a Hamletem, między Hamletem a królową, i wszędzie wścibia swoje wytarte trzy grosze. Tymczasem burza wzbiera, z której ten głupiec nie zdaje sobie sprawy; wypadki rosną tak, że ów łokieć rozsądku daje coraz fałszywsze rezultaty, aż wreszcie „stare dziecko“ ginie w zawierusze pod ręką Hamleta.

A jakąż jest córka takiego ojca? Dla Spasowicza nawet Ofelia, jako wzrosła w atmosferze grubych popędów i zmysłowego rozpasania, płynie jedynie po morzu słodkiej zmysłowości. „Jej miłość do Hamleta jest tylko panieńskim zmysłowym pociąganiem do mężczyzny. Okazuje się to w czasie jej waryacji, gdy już zmysłowości nie krępuje rozum i wzgląd na świat.

Ofelia śpiewa wówczas tylko o zakochanej dziewczynie, która poszła do komnaty swego kochanka, a on się zerwał, drzwi otworzył, wdziewa szatę ranną... i nie wypuszcza już od siebie dziewczyny“. Zdaniem Spasowicza, Szekspir chciał w Ofelii stworzyć właśnie tylko taki typ słodkiej, biernej, ale przede wszystkim zmysłowej dziewczyny. Sienkiewicz nie podziela tej opinii: nie zdaje mu się, by Szekspir uczynił to umyślnie i by ze świadomością kładł jakikolwiek nacisk na zmysłowość. Jest on wprawdzie, powiada Sienkiewicz, umysłem, czyż też intuicyą, wyższy nad epokę, ale nie idzie za tem, żeby mnóstwo jego kreacyi nie tłumaczyło się epoką, panującami w niej wyobrażeniami i pojęciami. Dlatego też Ofelia, zdaniem autora *Hani*, jest poprostu powszechnym typem panny z owej epoki.

Nie wymagano wówczas więcej od kobiety, jak rozkoszy, nie pojmowano jej inaczej, ona zaś nie miała także żadnych duchowych potrzeb, któreby ją wznosiły ponad pragnienia zmysłowe. Na dowód przypatrzmy się tylko innym postaciom kobiet szekspirowskich i w dramatach i w komedjach. Wszystkie one wyrażają się w sposób dziś już niemożliwy i we wszystkich temperament przeważa nad charakterem. O zmysłowości Desdemony niemało już napisali krytycy, ale toż samo dałoby się powiedzieć nawet o Tytanii, a z pewnością o Julecie, o Annie, o Beatryx, Oliwii, i wszystkich bez wyjątku kobietach z komedyi. Gdzie tylko u Szekspira kobieta występuje jako kochanka, tam jest uosobieniem czystej zmysłowości. Wyjątku pod tym względem niema, bo ani Imogena ani Kordeilia, najidealniejsze ze wszystkich, nie występują właśnie jako kochanki. Zresztą wierność nawet wspiera się w owych czasach na zmysłowości. Ofelia więc nie jest żadnym wyjątkiem ani uosobieniem jakiegś wybujałości w tym względzie. Zmysłowość jej nie była potrzebną Szekspirowi jako środek dramatyczny. Jest Ofelia taką jak i inne kobiety, wyższą tylko od nich swą słodyczą. Prędzejby Szekspir kładł świadomie nacisk na tę ostatnią stronę, bo przeciwstawiając takie biedne dziewczątko tej burzy i grozie, w jakiej żyć musiało, potęgował wrażenie dramatyczne. Ofelia tem więcej budzi dramatycznej litości, im bardziej jest bezbronną, im jest słodsza, im więcej ma w oczach tylko łez, nie błyskawic. Jestto kochana dziewczyna, uosobienie kobiecości, która cierpi pokornie i której też los jest tragicznie okrutnym. Z tych cech płynie jej bierność, za którą nie znajduje łaski w oczach prelegenta. Spasowicz mówi o niej: każą jej, by przestała kochać Hamleta, przestaje; każą jej odsyłać podarunki, odsyła; podstawiają ją, by wybadać Hamleta, zgadza się i na to. Niezupełnie to słuszne. Podarunki odsyła, ale doprawdy nie wiemy,

gdzie w całym dramacie dowód, że przestała kochać Hamleta. Łatwiej w jej późniejszej waryacji znaleźć przeciwny. Śmierć Poloniusza mogła Ofelia opłakiwać, jak każda inna córka, ale zwaryowała prawdopodobnie tylko dlatego, że Poloniusza zabił właśnie Hamlet, człowiek, którego kochała całą siłą swego gołębiego serca. Naszem zdaniem, wskazówka to pewna. Z drugiej strony w scenie spotkania z Hamletem, gdy ten jej mówi: „Niegdyś kochałem cię“, z jakimże żalem odpowiada mu: „Kazałeś mi tak wierzyć, książę“. Zresztą nigdzie wzmianki o tem, by jej uczucia miały się zmienić. Ofelia wreszcie daje się używać do wybadania Hamleta, ale nie należy zapominać, iż czyni to w przekonaniu, że badanie owo płynie tylko z troskliwości obojga królestwa o królewicza... W obłąkaniu potem śpiewa ciągle o miłości. Jedyłą winą jej jest, że nie rozumie Hamleta, ale Hamleta nie rozumie nikt z całego otoczenia.

Reszta postaci, występujących w *Hamlecie*, a stanowiących zwykle otoczenie królewicza, nie dorasta mu do pięt: z wyjątkiem jednego Horacego, wszystko to są figury głupie lub złe, ale typowe natomiast, jako nieodrodne wytwory całej epoki. Tragizm Hamleta, między innemi, zasadza się i na tem także, że wśród tej całej zgniłej i płaskiej atmosfery dworskiej stoi on, jak człowiek z innego planety, „głową wyższy, smutny, czasem uśmiechnięty ironicznie, zamyślony, wątpiący, samotny“.

Że pisarz, który stworzył postać Płoszowskiego, tego Hamleta z końca XIX wieku, zawsze czuł nieprzewyciężony pociąg do tej najsubtelniejszej z szekspirowskich postaci (Sienkiewicz umie całego *Hamleta* na pamięć), to nikomu nie może wydać się dziwnem; każdy też zgodzi się na to, że pisarz, który stworzył Płoszowskiego, musi odczuwać i rozumieć Hamleta, jak mało kto drugi; dlatego niezmiernie ciekawem jest jego zdanie o tej postaci. Odczyt Spasowicza o królewiczu duńskim dał Sienkiewiczowi sposobność do wypowiedzenia się w tej kwestyi. Jakoż uczynił to w pomienionem sprawozdaniu z prelekcji autora *Szkiców nie z natury*, a ta charakterystyka Hamleta, skreślona przez autora *Bez dogmatu*, tak jest ciekawą i ważną, że przytoczona *in extenso*, stanie się jedną z najcenniejszych kartek tej książki:

Hamlet cierpi na impotencję czynu. Według Gervinusa jest to limfatyk, w którym pierwiastek myślowy przeważa nad każdym innym. Z niektórych słów Szekspira i z czynów, z usposobienia Hamleta można sobie odtworzyć nawet jego postać zewnętrzną. Musiał być blondynem skłonny do otyłości. Wogóle widzą w nim organizm miękki, pohopniejszy do refleksyi, niż do czynu. Inni wszelako uważają ten pogląd za przestarzały i wogóle błędny. Jak dalece wreszcie można najróżnorodniej pojmować usposobienie i temperament Hamleta, piszący te słowa miał jasny dowód w Coglahn, słynnym aktorze angielskim. Podczas gdy Irving czyni z królewicza duńskiego marzyciela, który zagłębiony w sobie i swych myślach nie wie prawie, co się dzieje koło niego na ziemi, i właśnie przez to staje się tragicznym, że okoliczności zmuszają go wystąpić czynnie. Coglahn daje mu temperament gwałtowny, energiczny, słowem tworzy postać imponującą, dumną i prawdziwie królewską. Niezgoda Hamleta ze samym sobą i tragiczność jego polega tedy u Coglahna na walce, jaką w nim toczy silny, skory do czynu temperament ze sceptyczną głową, która obdarzona niezwykłą siłą myśli, rozmyśla i wątpi. I Coglahn zarówno jak Irving potężne wywołuje wrażenie. Z tem wszystkim jednak przypuszczenie „impotencji“ czynu w Hamlecie łatwo się da usprawiedliwić, bo wszakże on sam oskarża się o to po scenie z aktorami, a następnie z powodu wyprawy Fortimbrasa do Polski. Ta niemożność jednak, to wahanie się ustawiczne nie tłumaczy wszystkiego, a natomiast nastrocza nowe pytanie: z jakiego źródła płynie niemożność? Z nadmiernie rozwiniętego pierwiastku refleksyi. W tym wieku barbarzyńskim, w wieku nagłych czynów, wszelki człowiek widzi każdą rzecz i każdą sprawę z jednej strony; nie podejrywa, że można patrzeć na nią inaczej i ta jednolita prostota poglądu daje mu pewność siebie, zatem pewność, jak należy postąpić. Hamlet przeciwnie: analizuje i pragnie obejrzeć dany fakt ze wszystkich możliwych punktów widzenia. Już zdaje się dochodzić do określenia, że tak jest, gdy po chwili pyta sam siebie: a nuż inaczej? Duch zamordowanego ojca stanął przed nim i spiorunował go na razie, po chwili jednak ta wiecznie rozmyślająca głowa pyta sama siebie: a jeżeli to był szatan? I zaraz rodzi się nowa refleksya: „Szatan często przybiera różne postacie, by przywieść ludzi do zbrodni“. Wobec podobnych refleksyi, czyn jest już niemożliwym. Hamletowi potrzeba dowodów jasnych i niezbitych, udaje więc waryata, urządza scenę z aktorami, a tymczasem waha się ciągle, staje się z kolei sam podejrzany i utrudnia sobie czyn prawie aż do niemożliwości. W tej ustawicznej refleksyi, w tym sceptycyzmie, z którego Hamlet nie może się otrząsnąć, leży niezmierne jego znaczenie, jest on bowiem prototypem większości rozwiniętych ludzi wszystkich czasów. Zbytne wnikanie w głąb rzeczy, poddawanie każdej sprawy nieskończonej analitycznej dysekcji, to powszechna choroba, która myślicielom odejmuje zdolność do czynów.

Gdy zaś w końcu umysłowi przyjdzie zważyć całkowicie o możności dojścia do prawdy, rodzi się ztąd rozpacz i nieustająca rozterka wewnętrzna, której świat praktyczny nie chce i nie może zrozumieć, zadawania się więc nadaniem jej miana dziwactwa lub niedołęztwa. I, co gorzej, świat praktyczny ze stanowiska czynu ma słuszość, a w tej słuszości jeszcze większa gorycz leży dla myśliciela, który uznaje, że będąc i głębszym i bardziej rozwiniętym i bogatszym duchem, jednocześnie pod względem życiowym mniej jest wart od pierwszego lepszego głupca, który toczy swą taczkę życiową, nie filozofując, ale pracując. Im tedy bardziej sceptycyzm i pesymizm życiowy będzie się stawał powszechnym, im bardziej refleksya będzie brać górę nad krewkością, tem zrozumialszym będzie Hamlet, tem więcej psychologicznych nici zeznania połączy tę zmyśloną i zbolalą postać z nowożytnymi ludźmi. Stanie się on zwierciadłem, w którym każda pełna niepokoju dusza zobaczy siebie i swoje bóle. „Być, albo nie być“, jest echem pytania, które zadaje sobie każdy człowiek wpatrzony w siebie. Spójrzmy na Hamleta. Oto ten umysł tak głęboki, ten człowiek tak rozwinięty psychicznie, taki niepowszedni, taki szlachetny, czuje mimowoli swą wyższość nad krewkiem, zmysłowem, półbarbarzyńskim otoczeniem, a jednak, mając coś spełnić, nie może podolać zadaniu, które pierwszy lepszy pokurcz ludzki spełniłby niezawodnie. Hamlet przecie jest pod każdym względem dziesięć razy więcej człowiekiem, niż taki narwany Laertes, ale gdyby tak Laertes lub Fortimbras miał się zemścić za ojca, zemsta byłaby już spełnioną. Jestże więc Hamlet lepszy od Danii, w której „niema ani jednego łotra, któryby nie był kompletnym nikczemnikiem“, czy też ten zbiór kompletnych łotrów lepszy od niego? I tak i nie. Co za koło błędne, co za rozdarcie tragiczne duszy ludzkiej w zwątpieniu! Gdyby można mniej myśleć, to jest mniej być, to jest wcale nie być! Z tych pytań i bolesnych zwątpień rodzić się musi tęsknota do śmierci, a w życiu gorycz i ironia, która nie oszczędzi niczego i nikogo, ani samego Hamleta, ani otaczających osób. Pogardza on ludźmi, bo jest innym od nich, ale i sobą także. W jego mniemaniu oni są nikczemni na swój, on na swój sposób. Poloniusz gotów jest wśród uniżonych ukłonów przyznać, że chmura jest podobna jednocześnie do kuny i do wielbłąda, Hamlet zato gotów jest rozmyślać, zamiast spełnić swój obowiązek. Wobec tej gorzkiej świadomości wszystko, co miało dla niego jakąś wagę w życiu, co mu było ponętą, rozkoszą, światłem, szczęściem, musi zblednąć i zwiędnieć.

Hamlet wątpi o wszystkim, zaczem idzie, że i na punkcie miłości jest sceptykiem. Jakoż rzeczywiście nie wierzy w miłość, ale zwątpienie to (do którego w niemalym stopniu przyczyniła się jego własna matka), nie przeszkadza mu

kochać Ofelii. Kocha ją, choć i jej postępowanie nieraz mogło zachwiać go w wierze w bezinteresowność przywiązania córki Poloniusza. Mimo to pozostała mu drogą... Ale w miłość zwątpił bezwarunkowo. Niema nic na ziemi, co by nie było czczem, bo wreszcie nie należy zapomnieć, że „wszyscy jesteśmy tylko przyszłym padłem“... W stanie duszy Hamleta, powiada Sienkiewicz, nie można się niczego spodziewać. Tem się tłumaczą słowa: „Idź do klasztoru! poco masz wydawać na świat grzeszników“. Ale w tych słowach, mówionych dziewczynie, jest ból. I dlatego myślą się, zdaniem Sienkiewicza, ci, co twierdzą, że wykrzyk Hamleta w grobowym dole: Kochałem Ofelię więcej, niż czterdzieści tysięcy braci!“ że wykrzyk ten jest tylko retoryką. Według autora *Quo vadis*, retorykę w tym razie należy zapisać na rachunek Szekspira, a na rachunek Hamleta... rozpacz. Wszakże Laertes kocha niewątpliwie siostrę, a także jest retorycznym. Człowiek, który nie boleje, nie skacze, jak Hamlet, do grobowego dołu, by zwieść w nim śmiertelną walkę. Wreszcie w usposobieniu jego było wówczas „coś niebezpiecznego“, bo już nic nie miał do stracenia...

W zakończeniu swego odczytu, rzucił Spasowicz ciekawe pytanie: Jakiem by też było panowanie Hamleta, gdyby został królem? Zdaniem Sienkiewicza, w czym zupełnie godził się z prelegentem, byłoby to panowanie opłakane, jaknajgorsze, gdyż „człowiek, który nie umie celu sobie postawić, nie umie działać i nie wierzy w życie, może być tylko szkodliwym w praktyce życiowej“.

W kilka miesięcy później wypadło Sienkiewiczowi raz jeszcze zabrać głos o Spasowiczu, jako krytyku literackim. W roku 1881 ukazały się w *Wydawnictwie Elizy Orzeszkowej* Spasowiczowskie *Studia nie z natury*, zawierające, oprócz prelekcji o *Hamlecie*, rozprawy o Syrokomli, Polu i Matuszewiczu.

Tomik ten, najwybitniejszy ze wszystkich, jakie weszły w zakres poważnego „wydawnictwa“, jeszcze i tem wyróżnił się od poprzednich, że o ile tamte spotkały się z surową oceną

ze strony krytyki, o tyle ten został przyjęty z nierównie większem uznaniem. Nie wszyscy godzili się na poglądy i sądy Spasowicza, niektórzy nawet polemizowali z nim namiętnie, ale wszyscy godzili się na jedno, że jako studia literackie, są to rzeczy *hors ligne*, jakim równych niewiele posiada nasza literatura krytyczna. W listopadowym zeszycie *Niwy* zabrał o nich głos również i Litwos w swych *Mieszaninach literacko-artystycznych*.

Można się ze Spasowiczem nie zgadzać, przekonania jego polityczne i estetyczne zwalczać, można zwłaszcza podawać w wątpliwość jego punkt wyjścia w ocenianiu poetów dawniejszych, ale przyznać należy, że wnosi on do krytyki jakiś świeży i oryginalny pierwiastek, że studia jego nie są akademickimi rozprawami dopełnianymi wedle rutyny. Jest w ich metodzie i treści coś nowego. W krytyce „siedzi dusza“. Ma ona własną, nader wybitną indywidualność, rozumuje na swój sposób, a przytem nadzwyczaj szczerze. Nigdy efektowny frazes, nigdy wzgląd na publiczność nie wpływa na sąd. Krytyk wypowiada ni mniej, ni więcej jak to, co sam myśli i czuje, ale za to wypowiada bezwzględnie wszystko, co myśli i czuje. Jesteśmy przed nader ostrym trybunałem. Może on się mylić i myli się często, nie mierzy podśądnych według jednej miary, mało zwraca uwagi na okoliczności łagodzące, ale sądzi z dobrą wiarą. Co więcej, jest to sąd chwili obecnej, trybunał wedle Spasowicza zawsze otwarty i nie znający żadnych prekluzyjnych terminów. Poeci badani są przed nim bez miłosierdzia, a wyroki o nich wydawane wedle tego, jak zasady i przekonania którego z podśądnych odpowiadają nowym ideom postępowym. Spasowicz jest bez żadnej wątpliwości krytykiem, mającym smak nadzwyczaj wyrobiony. Jest to pisarz, który dużo czytał i wiele widział, dlatego kryterium jego nie jest zaściankowe, ani ladajakie. Na jego sądy estetyczne możnaby się zgodzić, ale sądy te rzadko bywają czysto estetycznymi. Najczęściej tak są one zabarwione pierwiastkiem społecznym, a nawet i polityką, że ów społeczno-polityczny charakter znakomicie w nich przeważa. Nietylko więc baczny się na to w krytyce z jaką siłą talentu poeta wypowiadał swoje przekonania, ale jakie były te przekonania w stosunku do chwili obecnej i jaki wpływ mogły wyrzucić na rozwój idei postępowych. Inaczej mówiąc, poeta bywa sądzony nietylko jako *artifex*, ale jako obywatel, jako myśliciel, jako polityk. Taka metoda wiele wyświeca, a przytem jest ogromnie żywotna, choć z drugiej strony mało przedmiotowa, ten sam bowiem poeta może być stawiany bardzo wysoko lub bardzo nisko, wedle tego, jaka społeczna partya go sądzi.

Po tej ogólnej charakterystyce Spasowicza, jako krytyka, poddał Sienkiewicz bardziej szczegółowej analizie jego studium o Syrokomli. Poeta ten, jako człowiek gorącego serca, a zatem sympatyczny krytykowi, wyszedł „ze spasowiczowskiego trybunału“ obronną ręką.

Idealista i deista szczerze religijny, nie zamykał on jednak oczu ani uczuć dla tych wszystkich idei zacnych, humanitarnych i pełnych światła, jakie przyniesione zostały przez nowsze czasy na grunt polski. Lubo szlachcic i lubo przesiąknięty na wskróś tradycją, i rodową, i religijną, był i został całe życie tolerantem. Co więcej: zapalał się nawet do każdej nowej idei: witał ją jak entuzyasta, który ze wszystkich sił duszy pragnie dobra dla ludzi. W innym społeczeństwie taki człowiek, łączący tak silnie dawną tradycją rodową z ideami demokratycznymi, byłby niemal niezrozumiały. U nas można go sobie wytłumaczyć. Był on szlachcicem miernego stanu, szaraczkowym, owóz i w samych tradycjach jakie wyniósł z domu i rodu, leżały idee równości i pewnej demokracji szlacheckiej, która mało stosowana w praktyce, istniała jednak w teorii, w ideach, i skryształizowała się w przysłowiu o szlachcicu na zagrodzie. Bez kwestyi przysłowie to nie żyło nigdy życiem rzeczywistym, ale nie mniej wskazuje na ideał świecący dawnej szlachetczyźnie. Owóz dziecię tej szarej szlachetczyzny musiało mieć serce łatwo przystępne dla wszystkich podmuchów nowszych czasów. Rzeczywista niedola poruszała Syrokomlę i jako człowieka i jako artystę, ztąd jego miłość do ludu tak szczerą i gorącą.

Kreśląc biografię Syrokomli, Spasowicz nie opowiada jej w kolejnym rozwoju wypadków, lecz rozbija ją na różnorodne działy, przyczem głównie stara się wyjaśnić i wskazać na wpływy, jakim poeta ulegał, tworząc. Zdaniem Sienkiewicza, jest to najlepsza część rozprawy: Syrokomla występuje bardzo plastycznie, wszystko się w nim tłumaczy, nawet tam, gdzie autor szuka genezy utworów już nie w życiu poety, ale w ogólnym nastroju społeczeństwa. A nastrój ten, dzięki warunkom, był taki, że przedewszystkiem pociągała przeszłość, którą też idealizowali wszyscy ówczesni poeci, a co, według krytyka, jest całkiem naturalnym objawem po każdym upadku. Zdanie to podziela w zupełności i Sienkiewicz.

Przeszłość nasza, choćby patrzano na nią nie wiem jak trzeźwo, jasno i krytycznie, ma jeden ogromny urok, którego nie ma terazniej-

szość, i gwoili temu najpotężniejszemu urokowi świecić będzie po wszystkie czasy blaskiem miltonowskiego utraconego raju, tak dla całego społeczeństwa jak i dla poetów. Syrokomla na równi z innymi nie oparł się tym blaskom, ale nie miał dość wysoko nastrojonej lutni, by je wyśpiewać. Przeszłość brał, jak brał i religijność, jako cudowną legendę, którą podawał wprost. Owóż gdy się opiewa wierzenia prostaczków, takie naiwne stanowisko poety nie tylko wystarcza, ale dodaje legendzie uroku szczerości. Z przeszłością inna sprawa. Wtedy poeta powinien mieć swe własne stanowisko wysokie i podniosłe. Syrokomla go nie miał. Do należytego pojmowania dziejów brakło mu i wykształcenia i siły inteligencji. Był to przede wszystkim poeta prosty i serdeczny, nie zrównany jako lirnik wioskowy. Jak wszyscy, tak i on uwielbiał przeszłość, ale patrzył na nią po swojemu. Mógł o niej gawędzić, nie mógł i nie umiał stworzyć eposu. Gdy to czynił, czynił naprzód wbrew swojej poetycznej organizacji, a powtórę naśladował tylko „szumny lot olbrzymich ptaków“. Ztąd utworom jego historycznym braknie wyższego tonu i szczerości polotu. Są to płody szkoły i prądu, nie natchnienia. Prócz wprawy i języka niema nic więcej w tych utworach. Syrokomla nie rozumiał przeszłości nie tylko jako historyzof, ale nawet jako artysta. Dawał blade cienie i blade morały zamiast prawdziwego malowidła życia.

Działo się to zresztą, według Spasowicza, jeszcze i za sprawą tego, że Syrokomla zapatrywał się na przeszłość naszą jasno i trzeźwo „i jawnogrzesznicy nie kanonizował“. Ostatnie wyrażenie, jakkolwiek szczere, wydało się Litwosowi „szorstkiem, bezwzględnem, niesprawiedliwem, oburzającym“, i dlatego za protestował przeciwko niemu.

Nie tylko Syrokomla, ale żaden inny poeta nie kanonizował zrywania sejmów, opilstwa z czasów saskich, sprzedajności w czasie bezkrólewów i innych tym podobnych wad narodowych. Jeśli zaś przesadzono w optymistycznym poglądzie na przeszłość, to dzisiejsza pseudotrzeźwość czyni w odwrotnym kierunku toż samo. Jest ona maksymalnym odchyleniem się wahadła w stronę przeciwną i niczem więcej. Mówiąc inaczej: chrystusować przeszłość jest przesadą, ale nazwać ją jawnogrzesznicą jest nie mniejszą, i choćbyśmy zgodzili się na to, że dzięki mesjanizmowi mieliśmy głowę w obłokach, to drugi kierunek może przez niebaczną wytrącić nam podstawę z pod nóg. Musimy stać na tem, co jest nasze, inaczej przyjdzie spaść gdzieś za nisko, bo aż do stosowania się „w trzecim czy w czwartym pokoleniu do nowych zewnętrznych warunków“, zamiast dążyć do wytwarzania nowych, pomyślniejszych.

Co do Syrokomli, to podkreślanie tej jego trzeźwości i jasności w sądzeniu naszej przeszłości jest, według Sienkiewicza, poglądem naciągniętym do politycznego programu krytyka. „Z mesyanizmem Syrokomla nie miał nic wspólnego, nie dlatego, by krytyczniej, czyli, jak teraz moda jest mówić, trzeźwiej patrzył na przeszłość, ale dlatego, że wszelki mistycyzm był przeciwny jego poetyckiej naturze, bardzo prostej, skłonniejszej do przedstawiania samego życia, niż jego idei ukrytych i tajemniczych“. Za to tam, gdzie krytyk podkreśla satyryczne usposobienie Syrokomli, trudno się z nim nie zgodzić: była to strona nader wybitna jego talentu. Nie idzie zatem jednak, by utwory Syrokomli można nazwać satyrą na przeszłość. Tak nie jest.

Poeta, gdyby chciał pisać satyrę, z pewnością, z uwagi na siłę jej i skuteczność, byłby jaknajwybitniej zaznaczył satyryczny charakter, tak, jak to uczynił w *Lalce*. Wreszcie satyra na przeszłość nie ma racji bytu, właśnie dlatego, że przeszłość już minęła i poprawa jest niepodobną. Satyra więc przeszłości może być tylko pamfletem pisanym w celach natychmiastowych i stronnich, o to zaś Syrokomlę, tego wielbi ciela bezkrytycznego przeszłości, posądzać nie można. Syrokomla jest właśnie dowodem, jak na gruncie religijności i tradycji mógł wyrosnąć człowiek z sercem żywo odczuwającym nowsze prądy i rozkochany w ludzie, obrońca słabych i uciśnionych, nie doktryner, ale prawdziwy filantrop.

I tu należało zwrócić uwagę, czego Spasowicz zaniedbał uczynić, że to, co właśnie uszlachetnia poezye Syrokomli, co go czyni tak sympatycznym i miłym społeczeństwu, przemawia i za samą tradycją, z której bezpośrednio mogły takie światy wyrastać. Niezależnie od tego studium Spasowicza, choć pisane wedle pewnego społecznego programu, jest, jako krytyka, rzeczą „pełną trafności i głębokości, żywotną i daleką od wszelkiej rutyny“.

Według tego samego programu pisane są dwa następne studia: o pamiętnikach Matuszewicza i o Wincentym Polu. W obu jest surowa krytyka „jawno-grzesznicy“ i protest przeciw jej kanonizowaniu. Ztąd wielce niekorzystny sąd o Polu

„za jego bezgraniczne i bezkrytyczne uwielbienie dla tradycji i szlachetczyzny“. Czy rzecz ma się tak istotnie? Czy naprawdę Pol w *Przygodach pana Winnickiego* idealizuje karność domową, której wyrazem jest kańczug, a *Senatorska zgoda* jest obrazem takich stosunków, w których szczęśliwy koncept ratował sprawę publiczną, a gdyby nie koncept, sprawa poszła by na marne? Czy rzeczywiście Pol idealizuje podobne rysy naszych przodków, ich nadużycia, przestępstwa, burdy, gołę szable na sejmikach, brak tolerancji religijnej, prywatę przed publiką? Zdaniem Sienkiewicza idzie tu Spasowicz za daleko, a nawet przedstawia rzecz w nieprawdziwym świetle.

Czy Pol istotnie idealizuje te ciemne strony XVIII wieku? Przedewszystkiem gdzie, w którym miejscu i w jakim wierszu poeta wynosi to życie dawniejsze w jego właśnie wadach i narowach? Czy można przypuścić, by nie pierwszorzędny nawet poeta, niepospolity umysł, jakim bądź co bądź odznaczał się Wincenty Pol, ale nawet pierwszy lepszy człeczyna obdarzony szczyptą zdrowego rozsądku mógł w XIX w. uważać siekaniny na sejmach, intrygi i pijaństwo za celne przymioty narodowe, które należało chronić. A jednak Spasowicz oskarża o to Pola wyraźnie. Na str. 185 mówi krytyk, że poeta nawołuje jak do raju do Polski XVIII wieku. Na stronie 193 bierze nawet za złe pocie wiersz: „... było złego wiele, ale miał cały tydzień przecież swą niedzielę“. Dziwna rzecz! Mybysmy właśnie z tego wiersza wywnioskowali coś zgoła przeciwnego, a mianowicie, że Pol jasno patrzył na wiek XVIII, skoro przypuszczał, że złe mogło sześć kroć przeważać nad dobrem. Gdyby przytem sam poeta mówił, że starsza szucka fara niż luterska krzywa wiara, możnaby go oskarżyć o zarzut sekciarstwa, ale jeśli to mówi jaki kasztelan z XVIII wieku, albo np. cześnik parnawski, to zaiste pan cześnik z owych czasów nie mógł inaczej myśleć, i Pol dla wierności obrazów, dla trafnego odbicia sposobu myślenia ówczesnych ludzi musiał panu cześnikowi takie właśnie, a nie inne słowa kłaść w usta. Inaczej byłby poeta kłamał, byłby tworzył manekinów a nie ludzi prawdziwych. Gdy ktoś tworzy ludzi wieków dawnych nie ma innego sposobu, jak wcielić się w ich sposoby myślenia i odtwarzać ich takimi, jakimi byli. Jakżeż się rzecz ma z Polem? Oto w najbardziej inkryminowanych przed spasowiczowskim trybunałem utworach wprowadza on starego szlachcica, sięgającego pamięcią w wiek ósmnasty, który gawędzi pocie, poeta zaś spisuje rzecz *nie od siebie*, ale tak jak mu ją podawano. Miałże zrobić tego szlachcica nowatorem, krytykiem przeszłości, postępowcem patrzącym na tradycję z punktu widzenia dzisiejszej *trzeźwości*? Coby to była

wówczas za chińska karykatura, co za fałszywy manekin? Dziwna rzecz, że tak bystry krytyk jak Spasowicz nie dostrzegł, czy też nie chciał widzieć, że wobec takiej krytyki nie ostałby się ani Soplica, ani Chodźko, ani Kaczkowski, ani wiele utworów Kraszewskiego, ani nawet sam *Pan Tadeusz* Mickiewicza. Pytamy się, czy można poetów i powieściopisarzy sądzić i krytykować taką miarą, jaką się sądzi artykuły dziennikarskie. Pola jako artystę pociągała bujność życia XVIII wieku, jego malowniczość. Odtwarzał więc ten wiek jak mistrz, jak rodzajowy genialny malarz, a z pewnością nie miał zamiaru robić ani z siekanin sejmikowych, ani z burd i pijatyk programu społecznego i politycznego. Kto go o to może posadzić? kto wogóle podobną rzecz przypuścić? Że był konserwatystą, to inna rzecz, że chciał by teraźniejszość i przyszłość rodziły się bezpośrednio z tradycji i z tego co jest w niej jasnego i dobrego, to w tem i sam krytyk mógłby się z nim zgodzić. Spasowicz nie widzi w Polu tej miłości dla ludu, jaka bije z utworów Syrokomli. Prawda. Ale przedewszystkiem zważać należy, że na Litwie inne były stosunki społeczne i położenie chłopu daleko gorsze. Powtóre Pol przeżył osobście i przecierpiał rzeź galicyjską. Spasowicz, który tak dzielnie umie objaśniać utwory Syrokomli życiem poety, wpływami, jakim podlegał, stanem społecznym i wypadkami, nie powinien był zarzucać tej metody mówiąc i o Polu, który zresztą w wielu miejscach cytowanych przez samego krytyka wyrażał się o ludzie nietylko z sympatją, ale z wiarą. Krytyka wogóle zaślepiała niechęć. Odmawia on Polowi miana historyka, a zwie go tylko antykwaryuszem. Mógłby kto sądzić, że w utworach poety zamiłowanie do dawnych rzeczy góruje nad znajomością, umiejętnością tworzenia dawnych ludzi. Czy jednak tak jest? Czy nie zastępuje na nazwę poety, historyka-poety, który umiał tak wskrzesić i oddać życie dawniejsze, stworzyć ludzi tak realnych, odgadnąć tak ducha wieku, jak nikt przed nim ani po nim. Pol nie jest historyzofem i nie chce nim być, ale jest sto razy więcej jak antykwaryuszem właśnie dla swojej intuicji w odgadywaniu ducha przeszłości.

Tajemnica wpływu Pola na współczesnych wcale nie wydała się Litwosowi taką zagadką, jak Spasowiczowi, uważał bowiem, że ten tylko nie może sobie wpływu tego wytłomaczyć, kogo teraźniejszość zadawalnia zupełnie.

W tradycji ludzie widzieli tyle złego, ile i Pol sam, ale faktem jest, że tylko ta przeszłość nam pozostała, jest to jedynie zupełnie *nasze*, więc myśl i serce chętnie ulatują do tej jedynej dziedziny: boleją nad jej złem, krzepią się dobrem, ile zaś tam dobra i światła, pouczył ludzi Pol w swym *Mohorcie*. Poza intrygami, ubieganiem się o urzędy i or-

dery, warcholstwem sejmikowem i warszawską rozpustą, były kresy, a w nich proste życie, prosty surowy obowiązek, stuletnia służba na ordynansie Rzeczypospolitej i śmierć tak chwalebna, że nie daj Panie Boże nikomu innej. To już jedno ogromne źródło uroków, którym ani się oprzeć. Mohort jest posagiem tego, co w tradycyi było dobrem, a posagiem tak wspaniałym, że trudno oderwać od niego oczu. Pol nauczył nie tylko współczesnych, ale i przyszłe pokolenia kochać przeszłość, i jako taki ma ogromne znaczenie dla krytyki historycznej, ta bowiem, oparta na miłości, może i musi wydać plon zdrowy i pożyteczny. Inaczej doprowadziłaby tylko do wielkiego *nihił*, i w sensie społecznym usunęłaby podstawę z pod nóg narodu. Tego krytyk nie chciał wyrozumieć, a brak owego wyrozumienia skaził i jego sądy estetyczne. W *Pieśni o ziemi naszej* widzi Spasowicz tylko oceny małych obrazków, gdy tymczasem jest to wspaniały obraz z wysokości lotu orła, który ogarnął wzrokiem całą naszą ziemię. Czytelnik zaś ogarnia ją na równi z nim we wszystkich wspaniałościach, stąd rodzi się w jego sercu wzniosła дума i wzniosła miłość. Gdy zaś poemat takie uczucia wzbudza, to już znaczenie jego i cena dla narodu łatwe są do wytłomaczenia. Sądźmy, że z *Pieśni o ziemi* długie jeszcze pokolenia będą pożywać chleb patryotyczny, będą uczyły się wytrwania *usque ad finem*: więcej na jej obronę nie potrzebujemy mówić.

Wogóle sąd Spasowicza o Polu wydał się Litwosowi tak ostry i bezwzględny, choć pełen wiary, że aż wzbudziła się w nim wątpliwość, czy krytykowi przypadkiem nie o co innego więcej, aniżeli o Pola samego chodziło, czy poeta nie był tu tylko pozorem, pod którym człowiek pewnego programu społecznego uderzał na leżące mu w poprzek drogi zawady¹⁾).

Pol, o którym wykrzyknięto: „Na Wawel z nim!“ był to dumny kamienny narodowiec, postać istic matejkowska, człowiek twardej wiary, nie mający nic do ustąpienia, niezdolny do żadnych kompromisów z nikim i z niczem. Działalność jego kładła nieprzebytą zaporę „trzecim lub czwartym pokoleniom“, któreby inni radzi skłonić do osławiania się i zastosowania do nowych zewnętrznych warunków. Owóż taką zasadę

¹⁾ Występując z tak odmiennym poglądem na poezję Pola, wtrącił Sienkiewicz nawiasowo jeszcze taką uwagę: „Pisząc to, stajemy w sprzeczności i z drugą krytyczną powagą, ale piszemy ze szczerego przekonania“. Ma tu autor na myśli prof. Stan. Tarnowskiego, który w swym surowym sądzie o Polu, idzie nierównie dalej jeszcze, aniżeli Spasowicz: zwłaszcza o *Mohorcie* i *Pieśni o ziemi*.

wprost przeciwną, z którą niema co próbować jakiegokolwiek kompromisu, należy zgnieść! Cezar mógł przebaczyć Cycleronowi, ale nie Katonowi. Takim Katonem polskości, nie przyrównywując zresztą przeciwników do Cezara, był Pol. W ocenie Spasowicza nie występuje krytyk przeciw poecie, ale jedna zasada i jedna polityka przeciw drugiej. Ztąd wysoka bezwzględność i jednostronność oceny. Może być w niej mnóstwo uwag krytycznych równie bystrych, jak mniej więcej słusznych, ale swoją drogą całość ma znaczenie społeczne nie literackie.

Mimo to, trzeba przyznać, że jako studyum literackie, jest to praca „dokonana ze znakomitą konsekwencją i niepoślednim rozumem“.

Co do słowa to samo da się powiedzieć i o utworze Alfonsa Daudeta, *Numa Roumenstan*, jakkolwiek jest to powieść, a nie studyum krytyczne. Swoją drogą czy powieść ta, zdaniem Sienkiewicza, jedna z najlepszych Daudeta, nie zasługuje na miano studyum społeczno-obyczajowego, to inne pytanie. W każdym razie jest to może „najbardziej skończone“ dzieło twórcy *Nababa*.

Talent autora dojrzał w całym znaczeniu tego wyrazu, stał się bardziej przedmiotowym i spokojniejszym. Porywy zastąpiła w nim spokojna siła i panowanie nad sobą. Nie masz już w jego twórczości chwil świetniejszych i słabszych: stał się równym, harmonijnym i doszedł do możliwej doskonałości. W dawniejszych jego utworach bywało może więcej natchnienia, w dzisiejszych jest maximum historycznego ładu. Powieść *Numa* zbudowana jest bez zarzutu. Wszystko się w niej schodzi, łączy, wszystko jest naprzód obmyślane. Pióro nie porywa już autora, ale raczej on to panuje absolutnie nad tem co pisze. Nie szuka przytem swojej formy, jak to bywało w *Dżaku*, już ją ma, taką właśnie jaka jest najodpowiedniejsza i jedynie właściwa, już posiada zupełną świadomość swej twórczości, ujmuje w karby natchnienie i tworząc, ma poczucie, że tak jak jest, dobrze jest i inaczej być nie może. Tę doskonałość formy ciągle wzrastającą znać już było i w *Les rois en exil*. *Numa* zaś jest ostatnim jej wyrazem. Ta doskonałość metody, ta wprawa techniczna mogłaby nawet być wadą, gdyby była sztuczną; ale tak nie jest. Metoda daudetowska jest tak doskonałą, że jej nie widać i właśnie wydaje się największą prostotą, naturalnością i konsekwencją. Obraz można przemodelować, a powieść przepisać i być może, że Daudet nie uniknie tego w najbliższej przyszłości, ale dziś tak nie jest. Jeszcze poezya siedzi w duszy, a forma nie wygląda jak bardzo piękna, ale pusta rama, w której niema obrazu i żywych istot. Owszem, obrazy idą za

obrazami. Ludzie w nich, nie zdrowi, na nieszczęście może właśnie tacy, jacy są w dzisiejszej Francyi, ale żywi, malowani przednio, chwytani subtelnie we wszystkich odcieniach dzisiejszych bardzo złożonych dusz i umysłów, a natura jak zwykle u Daudet'a odbita mistrzowsko. Jestto nawet pewną ucieczką dla czytelników i zrównoważeniem smutnych wrażeń książki, że ponad temi ludźmi smutnemi, lichemi, mogącemi zatruć czytelnika pesymizmem, świeci takie piękne niebo, pogodne, ogromne, że duszną atmosferę ludzką przewiewa „mistrzal“, a nocą świecą gwiazdy. W tych obrazach leży coś wielkiego i kojącego. Znużenie, wywołane małością i lichotą stosunków ludzkich, ustaje wobec wielkości natury. Jej wieczystość przeciwstawia się w sposób prawdziwie estetyczny nietrwałości i zmienności usiłowań człowieka. Czytelnik dostrzega z zadowoleniem, że autor widzi małosc, ale sam jest od niej większym, że nie zanurzył się z głową w wir ludzki, że nie sądzi go od środka, ale umie się nad niego wzbicć wysoko i na tych wysokościach mówi z wiedzą o tem co robi *vanitas vanitatum*!

Pod względem pocucia natury stoi Daudet, zdaniem Sienkiewicza, nietylko wyżej od „chłystków naturalizmu“, ale i od samego „prawdziwie utalentowanego Zoli“. Zola widzi przede wszystkim materyalną, grubą i jaskrawą stronę natury¹⁾. Daudet czuje jej duszę. Właściwość ta zaś jego może w żadnej książce nie uwydatniła się w sposób tak świetny, jak w historii Roumestana, która jest tak pełną kolorytu, że chwilami czyni „wyróżne wrażenie malarstwa“.

Czytając, jak ten człowiek pisze i opisuje, co chwila chce się wykrzyknąć: oto artysta! A tak to wszystko idzie spokojnie, równo, łatwo,

¹⁾ Niepodobna się zgodzić na to twierdzenie Sienkiewicza, znając takie opisy natury, jak w *La faute de l'abbé Mouret*, w *Une page d'amour*, w *L'oeuvre*, w *Le rêve*. Tego szerokiego polotu, jaki jest w opisie natury u Zoli, niema u Daudet'a. Zola w swych opisie natury jest daleko większym poetą, niż Daudet, który zawsze jest tylko realistą. NB. w roku 1881 wygłosił Sienkiewicz w warszawskiej Sali Ratuszowej dwa odczyty *O naturalizmie w powieści*, głównie wymierzone przeciw Zoli. Odczyty te ogłosiła *Niwa* w zeszytach: sierpniowym (str. 157—172) i wrześniowym (str. 272—286). W tymże roczniku *Niwy* w zeszycie za październik ukazał się *Latarnik* Sienkiewicza, z następującym u dołu przypiskiem: „Opowiadanie to osnute jest na wypadku rzeczywistym, o którym w swoim czasie pisał S. Horain w jednej ze swoich korespondencji z Ameryki.“

z czego i wnioszek łatwy, że tak pisać, tak uplastyczniać, tak malować i rzeźbić może jedynie talent, który nietylko, że się w wyrobieniu artystycznym nie cofa, ale przeciwnie dochodzi do najwyższej siły i dojrzałości.

A podobne mistrzostwo, jak w opisach natury, uderza i w obrobieniu wszystkich postaci ludzkich.

Kto się raz w życiu dotknął pióra, ten zrozumie łatwo, jak trudno jest wprowadzać i utrzymywać w odpowiednim tonie podobne postaci, jak Daudetowskie. Wyrazistość ich nie polega bynajmniej na jakiejś gwałtownej akcji, któraby mogła porwać za sobą i czytelnika. Są to nawpół charaktery a nawpół temperamenty, które trzeba uwidomiać i udowadniać tysiącami spostrzeżeń. Co słowo to musi być rys charakterystyczny, to musi być dopełnienie rysunku, inaczej przy braku wyrazistej akcji dana postać zblednie i trudno będzie odgadnąć, czego autor chciał i kogo zamierzał przedstawić. Ludzie Daudet'a są to figury przeważnie ujemne, ale bynajmniej nie czarne charaktery w znaczeniu zwykłym. Nic łatwiejszego jak stworzyć czarny charakter: dość na to, na wzór dawnych romantyków, dać komuś rozczochraną brodę, kazać mu dybać na czyjąś niewinność, na czyjeś życie i, sprawa skończona. Ale dzisiejsza powieść już o sto mil od takiej metody. Skutki działalności ludzi takiego Daudet'a są nieraz równie opłakane, jak czyny dawnych czarnych charakterów romantycznych, człowiek jednak bywa bardzo złożony. Nie ma on jednej strony charakteru, ale tysiączne, które należy znaleźć, podpatrzeć, uwidomić, opisać, dopełniając daną fizyonomią moralną wpływami zewnętrznymi, stosunkami społecznymi, ogólnym nastrojem moralności i mnóstwem przyczyn nader zawikłanych. Jakie tedy trudności musi autor przezwyciężyć, jak być czujnym, głębokim i dostrzegawczym, by z tych wszystkich różnorodnych składników utworzyć jednak taką postać, by z niej czytelnik mógł sobie zdać sprawę, jako z całości, by ta masa dobrych i złych instynktów miała jednak swoją odrębną indywidualną fizyonomię. Rysunek musi być nader subtelnym i nader silnym zarazem.

Pod tym względem nie miał Daudet w chwili pisania swego *Numy Roumestana* równego sobie w całym powieściopisarstwie francuzkiem. Bo kto jest główny bohater powieści, ten wielki Numa Roumestan, którego historię kreśląc, Daudet myślał o Gambecie? Jako figura powieściowa jestto typ niezrównany, nieśmiertelny.

Wielki i znakomity minister, przywódca stronnictwa, filar, na którym wspiera się silna budowa społeczna. To jedna strona. Był nieznanym adwokatem, został wielkim człowiekiem. Jest w nim jednak coś, koniecznie jest coś, mówi sobie czytelnik. Tak jest, objaśnia autor, jest południowiec, jest pęcherz wydęty obietnicami, jest blagier, który upaja się własnymi słowami, jest mówca, który w zamku Bayarda pisze sławną odezwę legitymistyczną, w której za wzór stawia rycerza bez plamy i bojaźni, a jednocześnie w tymże samym zamku uwodzi aktorkę, zresztą pozwalającą się uwodzić każdemu kto zechce. Jest to wielki człowiek na mównicy, mały w domu. Opinia go uwielbia, żona, która go zna lepiej, nim pogardza. I nie tylko jego zasadami, życiem, charakterem, ale i głową. Kto ma tedy rację? Wszyscy. Numa jest wielkim i małym, głupim i mądrym, złym i dobrym, kłamcą i człowiekiem zasad, gaskończykiem i człowiekiem prawdy. Jest minusem względem jakiejś wyższej bezwzględnej sprawiedliwości, względem ideału, w który patrzy powieściopisarz, a plusem względem stosunków społecznych, które tak są lichy, podłe, pełne kłamstwa, frazesu i hipokryzji i mierności, że Numa jest naprawdę plusem. Numa ma tylko temperament, jako charakter jest nie nie wart, ale charakter społeczności jest jeszcze mniej wart, więc Numa musi wypłynąć. Ma on na zawołanie rzutkość i frazes. Czem jest ten frazes? hipokryzją, a hipokryzja hołdem, który podłość i zbrodnia składa enocie. Numa składa go wymowniej i energiczniej niż inni, więc staje na czele. Wszyscy się tam chcą oszukać. Dlaczego? bo jednak życie musi się toczyć, trzeba coś mieć, czemś żyć, jeśli nie idea, to jej strzępem, jeśli nie istotą rzeczy, to jej pozorem.

Jest to wyborna postać, „wyborny przykład harmonii stworzonej z dysonansów“. Czytając ten żywot i sprawy Numy Roumestana, widzi go się, zna na wylot, odgaduje się poprostu, co on powie, jak postąpi...

A jednak niezależnie od tyłu pierwszorzędnych przymiotów powieść ta może się nie podobać. Jakto? Czyż to możebne, skoro w niej talent autora wciąż utrzymuje się na wysokości kulminacyjnego punktu, jaki w rozwoju swym osiągnął? A jednak tak jest: powieść nie porywa, choć daje najwyższe zadowolenie artystyczne, i czytając ją, ma się wrażenie jakiejś duszności. Sprawia to nastrój moralny autora, jego pesymizm, który, podobnie jak jego talent i artyzm, doszedł w *Numie Roumestanie* także do swego maximum. W dawniejszych powieściach Daudeta, lubo również przesiąkniętych pesymizmem,

światła równoważyły cienie, a „przynajmniej wyglądały jak plamy słoneczne, przedzierające się przez posępną gęstwinę liści:“ w *Numie* niema żadnych światel. Hypokryzja, fałsz, mierność, występek, frazes: oto świat. Zresztą ani żywego pocziwego ducha.

Może być dwojaki pesymizm. Dusza szlachetna, żywo czująca, która na widok złego wpada w rozpacz i targa się i gorzknieje i szydzi, właśnie dlatego, że w jej głębi leży pragnienie dobra, piękności i światła: to objaw szlachetnego pesymizmu, który jeśli padnie na poetę, to poeta mówi jak Słowacki. Ale jest i drugi pesymizm, który widzi jasno zło i podłość, ale godzi się na ich konieczność i gotów wreszcie zrobić z niemi *prymirenie*, bo jednakże trzeba żyć.

Otóż Daudet w *Numie Roumestanie* ma olimpijską pogodę w swoim pesymizmie, pogodę, której dawniej, n. p. w *Jack'u* nie miał jeszcze.

Spokojnie i wesoło ukazuje on na zło, stwierdza je i... koniec! Ideał tam gdzieś w transcendentálnych sferach może i świeci blado, ale w praktyce życiowej nie ma on znaczenia. Życie właśnie jest takie i musi być takie, jak w *Roumestanie*. Fałsz, hipokryzja, rozpusta, frazes, to konieczności. I nic więcej? I nic więcej... Nie ma czem odetchnąć, jeden tylko *mistrzał* zwiewa miazmaty, a zresztą każdy bożek ludzki, widziany zbliska, to bałwan plugawy, który jeśli ma duszę, to w niej próchno... Czytelnik męczy się, ziębnie i wreszcie mimowoli z goryczą pyta, czy tego próchna niema także i w duszy autora.

IV.

MALARSTWO I RZEŹBA

W FELJETONACH LITERACKICH SIENKIEWICZA.

(1873 — 1882).

Ze wszystkich sztuk pięknych największem umiłowaniem darzy Sienkiewicz sztuki plastyczne: malarstwo i rzeźbę. W rozmowach ze znajomymi nieraz podkreśla on to swoje upodobanie, przyczem nadmienia bardzo często, że gdyby nie był poszedł drogą twórczości literackiej, bezwarunkowo zostałby malarzem. Czasami, jak powiada, żałuje nawet, że nim nie został, bo od dziecka zawsze czuł ogromny pociąg do malarstwa, ci zaś, co widywali jego próby w tej dziedzinie, przyznawali mu niepowszednie zdolności, zwłaszcza w zakresie pejzażu. Niemniej celował w rysowaniu karykatur, co i dziś jeszcze w chwilach dobrego humoru, z zamiłowaniem uprawia...

Wobec tego nie wyda się dziwnem nikomu, że Sienkiewicz, który wogóle malarstwem interesuje się bardzo, z nie-mniejszą uwagą, gdy pisywał swe feljetony, zwracał uwagę na rozwój naszego malarstwa rodzimego, i że, pisując o różnych towarzystwach, stowarzyszeniach, etc. nie zapominał i o *Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych*, którego stała wystawa, podówczas mieszcząca się w gmachu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa obok kościoła Bernardynów, dawała możność zapoznania się z głównymi dziełami polskiego dłuta i pędzla.

Na wystawie tej bywał Sienkiewicz, w epoce swojej pracy na niwie publicystycznej, nader częstym gościem, a jego sprawozdania poświęcone wybitniejszym pracom naszych artystów, zaszczytnie wyróżniały się wśród analogicznej literatury... Swoją drogą niezawsze były to pochwalne peany na cześć narodowej sztuki, a i samemu Towarzystwu Zachęty dostawało się nie-mało goryczą zaprawnych komplementów.

Oto np. co pisał Sienkiewicz w tej materji w *Gazecie polskiej* z dnia 5 maja 1873 roku.

Nasza wystawa obrazów szczególny przedstawia widok. W galerji, zawieszanej na całą długość utworami dawniejszych i młodszych malarzy, publiczność skupia się często zaledwie przed kilkoma, a około innych pustki. Bo też, co prawda, brak nowości, a jeżeli się jaka pojawi, to najczęściej przedstawia walkę, ale na nieszczęście, walkę artysty z płótnem, farbami i pomystem. Nic więc dziwnego, że pokojowo usposobieni widzowie cofają się, jak ów Dant przerażony fenomenalnym apetytem Ugolina, pożerającego arcybiskupa, który to duchowny, zamrożony w lodzie, bardziej przypomina marynatę, niż straszną scenę z *Boskiej Komedji*.

Najwięcej ciekawych ściągala Brandta *Bitwa pod Wiedniem*, ze sposobu zaś, w jaki Sienkiewicz opisuje ten obraz, można wywnioskować, że przeszłość do wyobraźni jego przemawiała ze szczególną siłą. W opisie tym czuć już późniejszego autora *Trylogii*.

Brandt wybrał chwilę, w której Sobieski, dostrzegłszy wahanie się Turków, dla ostatecznego ich złamania, puścił w zamęt bojowy decydujące zawsze hufce strasznej husaryi. Rozbite, jakby uderzeniem pioruna, na dwie połowy szeregi tureckie rozwarły się w szeroką ulicę, przez którą niby huragan biegna skrzydlate pułki, z całą grozą i przerażającym majestatem, niszcząc, łamiąc i tratując wszystko po drodze. Ludzie, wielbłądy, konie, albo padają pod uderzeniami wyciągniętych łasem kopii, albo w niepojętym bezładzie napróżno szukają w ucieczce ratunku. Przewracające się namioty i furja zwycięzców, trwoga malująca się w rysach i ruchach pobitych, zamęt i dym, blaski wystrzałów, słowem wszystko, co stanowi charakterystykę bitwy, uchwycone tu i oddane zostało z nieporównanem mistrzostwem. Zda się, iż słysząc jęki, rżenie i tętent koni, wrzaski bojowe“.

Czyż to nie przedsmak bitew z *Ogniem i mieczem* i *Potopu*?...

To umiłowanie naszej przeszłości narodowej, które tak wybitnie cechuje autora *Krzyżaków*, sprawiło również, że zawsze, od najdawniejszych czasów, należał do najżarliwszych wielbicieli obrazów Matejki, że o nich nigdy nie pisał inaczej,

tylko z uwielbieniem najwyższem, nawet wówczas, gdy stojący na czele „młodych“ Witkiewicz krytykował je z całą bezwzględnością...

W roku 1873, gdy w Towarzystwie Zachęty wystawiony był *Kopernik* krakowskiego mistrza, Sienkiewicz, nie rozpisując się specjalnie o tym obrazie, taką dał przy sposobności charakterystykę twórczości Matejki.

Wszystkie prawie Matejkowskie fizioognomie, rysowane z pieczęci lub z portretów, dziwnie jakoś cierpko spoglądają na nasze dzisiejsze pokolenie. Może uważają je za skarłate? Może nie chcą w nas uznać swych wnuków i prawnuków?... My jednak w tych twarzach surowych a potężnych odnajdujemy dawniejszych ludzi takich, jakich przedstawia nam historia. Dzięki Matejce cała owa generacya rzekłbyś zmartwych-powstaje w naszych oczach, aby zdać sprawę z przeszłości, a dzięki drzeworytnictwu owe wskrzeszone ołówkiem wspomnienia osiadają nietylko w muzeach lub we dworach magnackich, ale pod każdym niemal dachem.

Do obrazów takich, które dzięki sztuce reprodukcyjnej, a tym razem we wspaniałym miedziorycie Redlicha, dostały się do wszystkich inteligentnych domów polskich, należy między innymi *Stańczyk*, jeden z najwcześniejszych utworów Matejki, a zarazem jedno z jego arcydzieł. W roku 1882 można go było oglądać w oryginale na wystawie Towarzystwa Zachęty, a Sienkiewicz rozpisał się o nim w feljetonie *Słowa* z dnia 7 lipca.

Więc naprzód *Stańczyk*! Pisano o nim wiele w swoim czasie, ale tego obrazu ani obgadać, ani opisać nie można. Trefniś tam wyrósł na postać, która i sama jest tragiczną i budzi tragedję w duszy widza. Jest w tym błaznie jakaś dziwna a wstrząsająca zagadka, tak, że mimowoli każdy się pyta, skąd ta jego zaduma i rozpacz? o co mu idzie? jaki robak toczy duszę tego człowieka? Na pierwszy rzut oka, zda się, że to może dramat osobisty. Może to człowiek ambitny, dumny, czujący, którego odzież błazeńska pali jak koszula Dejaniry, którego upokarza błazeńskie berło i czapka z dzwonkami? Wszak na ten temat pisano i malowano już wiele. Bo istotnie śmiech ludzki nie szczyry a przymuszony, wybuchający z otechłani rozpacz, to może większy dramat, niż ból w zwykłej formie łez i narzekania. Ale od *Stańczyka* wieje duch jakiś wyższy i potężniejszy. Nie est to tylko utwór wydany w chwili

romantycznej goryczy. Zachwycą on też grą tonów, czarodziejskiem fantastycznym zestawieniem światła i cieniów, szczerością i głębokością uczucia i siłą twórczą, która tak wyraźnie umiała pochwycić to coś groźnego i tajemniczego, co zapowiadało się ówczesnemu światu. Postać Stańczyka jest skończoną doskonałością. Uczucie wypowiada się w niej nie tylko wyrazem, ale i ruchem najzupełniej odpowiednim nastrojowi duszy. To ciało rzucone niedbale na fotel, głowa spuszczone na piersi, ręce opadłe, malują zarazem zniechęcenie, znużenie, zwątpienie i boleść, z niezmierną prawdą, dzięki której widz przejmując się tak szczerze i bezpośrednio wrażeniem, jak szczerze oddał je artysta. Albowiem Matejko widocznie oddawna pokochał tę postać, i powtórzył ją po raz drugi w najnowszym swym arcydziele... Ten obraz, o którym obecnie mówimy, jest jednym z pierwszych sławnych płócien artysty. Niema też w nim jeszcze tego spokoju i mistrzowskiego obiektywizmu, z mocy którego rzecz mówi sama za siebie. Późniejsze obrazy, to epos, w tym jest jakiś liryzm, jakieś rozkołysane i smutne *ja* artystyczne. Ten liryzm wyróżnia obraz od innych i nadaje mu szczególne piętno.

Wspomnianem tu „najnowszym arcydziełem“ Matejki był wystawiony w Warszawie w roku 1882 *Hołd pruski*. Oto, co o nim w N-rze 110 *Słowa* z dnia 14 maja pisał Sienkiewicz:

Pod względem ducha przeciwstawia się zupełnie to najnowsze dzieło Matejki *Grunwaldowi*, chociaż stoi z nim w historycznym związku. *Grunwald* to tytaniczna walka ścierających się ze sobą na śmierć i życie potęg olbrzymich. *Hołd* to tryumf narodu nad wrogą sobie potęgą, a zarazem wspaniała średniowieczna uroczystość, pełna spokoju i majestatu. Na wzniesieniu, ustawionem na rynku krakowskim, siedzi król Zygmunt Stary w otoczeniu Tomickich, Firlejów, Górków, Gasztołdów, Tarnowskich, Ostrogskich, Szydłowieckich i Kościeleckich, a u nóg króla klęczy Albrecht Branderburski, składając przysięgę wierności z Prus królowi i Rzeczypospolitej. Nie wspanialszego nad to zebranie, którego powadze i majestatowi ustąpićby musiał nawet senat rzymski. Na błękitnem niebie widać wieże kościołów, nad wzniesieniem w powiewie wiatru szeleszczą chorągwie: niższa pruska z czarnym orłem, pochyla się przed tryumfującym karmazynowym sztandarem polskim. Przepych barw i pontyfikalnych strojów oślepia oczy widza. Król w kapie złotej, hołdownik w płaszczu książęcym i pełnej błyszczącej zbroi, po której biegają błyskawicą odbłaski złota i purpury, panowie w aksamitach, piórach i klejnotach, wszystko wspaniałe, świąteczne, tryumfalne. Odgłos trąb miedzianych, brzęk złota, rzucany przez podskarbiego między ciżbę ludową, przerywa ciszę, wśród której zdaje ci się, że słyszysz uroczyste słowa przysięgi na ewangelii. Twarze są poważne, przejęte wielko-

ścią tego, co rozgrywa się w ich oczach. Zrozumiesz łatwo, że te barwy, pióra, chorągwie, to świetne zgromadzenie, to nie zwykły jakiś obchód, ale że to dzieje spełniają się przed tobą.

Zarzucali niektórym obrazowi temu zbyt kolosalne rozmiary, ale zdaniem Sienkiewicza malowidło to nie mogło być mniejsze, „bo natchniony artysta odczuł i wielki wypadek dziejowy, i życie ówczesne, i chwałę narodową, a oddał to wszystko z potęgą i mistrzostwem“. Dlatego też *Hołd pruski* nie tylko zadawalnia w najwyższym stopniu uczucia artystyczne, lecz nadto budzi „uniesienie, którego podstawą jest duma z tej wielkiej wspaniałej przeszłości“.

O technicznej stronie tego arcydzieła możemy to tylko powiedzieć, że budzi ono podziw i zdumienie w publiczności i malarzach. Najsurowsi krytycy nie mogą dopatrzeć plamy na tem artystycznym słońcu. Jakoż nigdy dotąd nie posunął wyżej Matejko sztuki malowania. Wspaniały styl obrazu, potężna charakterystyka figur, siła kolorytu i harmonijność linii, idą tu w zawody. Dzieło to można porównać chyba tylko z największymi stylowymi obrazami malarzów włoskich. Zarzucano dawniej niejednokrotnie Matejce brak przestrzeni i powietrza: *Hołdowi* i tego zarzucić nie można; słowem krytyka zmuszoną jest nie krytykować, ale podziwiać, do jakiego stopnia dojść może sztuka układu postaci, rozmaitość linii, przepych kolorytu i wykonanie wszystkiego.

Niestety, oprócz tego uczucia zachwyty i podziwu dla arcydzieła sztuki malarskiej, stojąc przed *Hołdem pruskim* Matejki, każdy myślący człowiek nie mógł się opędzić jednej historyzoficznej refleksyi, czy doprowadzenie do tego aktu hołdu było rozumnym krokiem ze strony Rzeczypospolitej? Zdaniem Sienkiewicza, ci historycy, którzy w tym hołdzie widzą brak rozumu politycznego, mają słuszość.

Zakon był zniszczony i sam się rozkładał, jak ciało umarłe. Albrecht, przyprowadzony do rozpacz, nie miał już żadnych środków ratunku, ani widoków pomocy. Było zatem zgodniej z powagą wielkiego państwa, bezpieczniej i patryotyczniej zgnieść drapieżne gniazdo, zdobyte takim nakładem krwi i poświęceń, wcielić zakonne posiadłości całkowicie do Polski, owładnąć ujściem Niemna zarówno jak Wisły, i otworzyć okno krajowi na przestrzenie Bałtyku. Sekularyzacya Albrechta, utwo-

zenie hołdowniczego księstwa, popieranego siłą Brandenburgii, było zarodkiem niebezpieczeństw na przyszłość, które niestety, aż nadto się spełniły. Tak zresztą rozumiał to i artysta, umieszczając w pobliżu króla Stańczyka, którego bolesna zaduma i smutek, przeciwstawiają się widocznie ogólnemu nastrojowi.

Ale mimo tego wszystkiego, mimo słuszności, jaką przyznajemy historykom i zdrowego poglądu autorskiego, niezmienionego przez sam fakt hołdu, w dzisiejszych czasach i w dzisiejszych okolicznościach, ten brandenburczyk klęczący na rynku krakowskim przed majestatem jagiellońskim, i ten mistrzowski obraz hołdu jest wskrzeszeniem dawnej chwały i dawnej wielkości. Tak też tylko, a nie inaczej, możemy patrzeć na owo najnowsze arcydzieło. W ten sposób ma ono w sobie dla nas nieprzeparty czarodziejski urok. Żywemu uczuciu miłości daje ono podstawę, i mówi, kochaj, bo to wielkie, wspaniałe, dobre i sprawiedliwe. A cóż słodsze, jak kochając nad wszystko, być przekonanym, że się słusznie kocha. Zaiste, dziś niewyczerpane w tem źródło ulgi i otuchy. Lecz to nie koniec. Koło fortuny toczy się w ten sposób, że każde jutro odmienne i zgoła różne od wczoraj przedstawia widoki. Może to nie tak bardzo dziwnego, że ówcześni ludzie nie domyślali się, jaki koniec weźmie dzieło grunwaldzkie, skoro i obecnie nawet, gdy kto się zapatrzy w arcydzieło Matejki, takie prawdziwe, takie rzeczywiste, to mu się zdaje, że po tem wczoraj wiekowem, dzisiejsze czasy, dzisiejszy stosunek wasala do dawnego suzerena jest chyba snem tylko. Pod obrazem jest także podpis: *si Deus nobiscum quis contra nos*.

Zaledwie otwarto wystawę tego płótna Matejki, odrazu w prasie odezwały się głosy, że *Hołd pruski* powinien zostać w kraju, a raczej wzbogacić muzeum krakowskie, dla obcych bowiem ma płótno to jedynie wartość arcydzieła pędzla, tymczasem dla nas... Z tego wychodząc założenia, zaproponował Sienkiewicz w N-rze *Słowa* z dnia 20 czerwca, by Matejkowski *Hołd pruski* zakupić dla Warszawy, a odezwa ta, zatytułowana, *Zakupno Hołdu pruskiego*, brzmiała, jak następuje:

Dziwnym zbiegiem okoliczności Warszawa nie posiada ani jednego obrazu Matejki. *Kazanie Skargi*, *Grunwald*, *Stańczyk*, należą do osób prywatnych, żadne zaś z arcydzieł nie stanowi własności publicznej. A jednak Tow. Zachęty Sztuk pięknych, zgodnie z ustawą, ma prawo zakupywać znakomite płótna naszych mistrzów na własność swoją a zarazem publiczną. Tą drogą nabyta została *Barbara Simlera*, nie mówiąc o wielu innych mniej znakomitych płótnach. Z nowszych obrazów, któryż ze wszelkich względów artystycznych i historycznych godniejszym byłby

do nabycia na własność publiczną, jak *Hołd Pruski* Matejki. Znaczenia tego arcydzieła tłumaczyć, ani artystom, ani publiczności nie potrzebujemy, gdyż i jedni i druga doskonale je rozumieją. Przechodzimy zatem w imieniu ogółu wprost do żądania, by *Hołd Pruski* był nabyty przez Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Towarzystwo zasłużyłoby się tem ogółowi w sposób najwybitniejszy i spełniłoby zgodnie z duchem ustawy jeden ze swych najwyższych obowiązków. Miasto zaś zyskałoby prawdziwe arcydzieło sztuki, których tak mało dotąd liczy. Ale na żądanie nasze gotowa jest odpowiedź, że Tow. nie ma pieniędzy i nie może rozporządzać tak znaczną sumą, jaka na zakupno *Hołdu* byłaby potrzebną. Prawda. Jeśli jednak ogół żąda od Towarzystwa zakupna, Towarzystwo nawzajem ma prawo zażądać od ogółu pomocy. Ma prawo podwójne, bo na-przód moralne, a powtórnie faktyczne. Wiadomo, że Towarzystwo w ostatnich czasach uzyskało od władz pozwolenie powiększenia swych funduszów drogą ofiar i składek. Przeszkód więc z tej strony niema. Z pozwolenia Towarzystwo korzystać może i powinno, że taka sposobność zasłużenia się ogółowi nie prędko, albo nigdy mu się nie trafi. Czy jednak ogół odpowie wezwaniu Towarzystwa i dostarczy potrzebnych funduszków? Odzywamy się pierwsi w tej materii, ale nie odzywamy się na wiatr, nie występujemy z jednostkowym tylko zdaniem na niczem nie opartem. Wiemy, że są osoby pragnące przyjść z pomocą Towarzystwu, i że na pewien fundusz Towarzystwo liczyłoby z pewnością mogło. Chodzi tylko o to, by zgodę na nasz projekt objawiło jaknajprędzej i jaknajrychlej wystąpiło od siebie z zamiarem zakupna, dlatego by korzystać z trwającego jeszcze zjazdu obywateli. Wierząc na pewnych danych w powodzenie projektu, polecamy go najusilniej uwadze Towarzystwa i głosom opinii publicznej, które znajdą zapewne swój wyraz w prasie.

Sienkiewiczowska ta odezwa została przez prasę miejscową przyjęta życzliwie, choć niektóre dzienniki miały jej to i owo do zarzucenia. Zarzuty te odparł Sienkiewicz dnia 22 czerwca następującą repliką, znów p. t. *Zakupno Hołdu pruskiego*.

Nowiny nazywają wniosek postawiony przez nas „sympatycznym“, wyrażają tylko obawę, czy Towarzystwo znajdzie dostateczne i pewne pomieszczenie dla obrazu tak wielkich jak *Hołd* rozmiarów. Na ten zarzut moglibyśmy odpowiedzieć, że skoro Towarzystwo zamierza wystawić własny gmach dla siebie, wówczas znalazłoby się także i w owym gmachu pomieszczenie dla płótna Matejki. Idzie tylko przedewszystkiem o to, aby utrwaliła się przynajmniej nadzieja zebrania funduszu na zakupno obrazu, a wówczas niewątpliwie ogół zachęcony takim dowodem żywo-

tności Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, nie poskąpi grosza i na gmach Towarzystwa. Zresztą dyskusję teoretyczną pod względem bezpieczeństwa obrazu należy odłożyć do późniejszych czasów, teraz zaś wszystkimi siłami starać się o zebranie potrzebnego funduszu. Dlatego też odzywamy się do wszystkich organów naszej prasy z prośbą, aby ze względu na sam projekt, a z pominięciem ubocznych względów co do projektodawców, wnioski nasz popierać raczyły. Pojmujemy dobrze, że są niektóre pisma codzienne w Warszawie, którym z rozmaitych względów (zwłaszcza pod koniec kwartału), z boleścią przychodzi poprzeć najlepszą nawet myśl, skoro wyszła ona od innego pisma. Dlatego udajemy się wprost do *tych* szanownych kolegów naszych, aby nie wspominając o *Słowie*, raczyły podać wiadomość o istnieniu takiego zamiaru i o formie projektu. Zdaje się nam, że mamy prawo tego żądać od tych, którzy sami o sobie głoszą, że przedewszystkiem mają *dobro publiczne* na celu. Niech przecież raz to *dobro publiczne* weźmie górę nad względami osobistemi i interesem konkurencyjnym.

Na kilka miesięcy przed wystawieniem w Warszawie *Hołdu pruskiego* nadesłał Matejko do Salonu Krywulta inny swój obraz, a również jeden z najcelniejszych, *Rzeczpospolitą Babińską*. Obrazowi temu poświęcił Sienkiewicz w *Słowie* z dnia 16 lutego 1882 r. obszerniejszy ustęp jednej ze swych *Mieszanin artystycznych i literackich*, co mu przy sposobności dało asumpt i do skreślenia nader zajmujących uwag na temat samej Rzeczypospolitej Babińskiej... Co się tyczy obrazu Matejki, przedstawiającego wesołe państwo Pszonki, to zaliczył go Sienkiewicz stanowczo do „najznakomitszych dzieł krakowskiego mistrza“. Uważał nawet, że to nowe malowidło, „kipiące życiem, humorem i swobodą“, swym pogodnym nastrojem różni się, a nawet odskakuje od reszty obrazów Matejki. Naprzykład *Chrzest Warneńczyka*, który wtedy znajdował się na tejże wystawie, wyglądał, dzięki swemu surowemu stylowi, niemal urzędowo, jakkolwiek jest to obraz wspaniały i poważny.

Do podobnych wrażeń, jakich doznajemy, patrząc na *Rzeczpospolitą Babińską*, nie przyzwyczaił nas dotąd Matejko. Z poprzednich jego płócien biła jakaś ogromna powaga i majestat dziejów, a często przemawiała ich tragedia. Odechodziło się od nich z pochyloną głową, jak się wychodzi z wysokich a posępnych naw gotyckich, w których ogrom, pomroka i tajemniczość światła barwnych przejmują duszę uroczystością.

Przytem w dzisiejszych piersiach skarłatych i nie żyjących ani życiem takim, ani podobnem do dawnego, nie było prawie miary do mierzenia tych postaci tak wielkich, tak lapidarnych. To byli inni ludzie, równie jak innemi są homeryczni, równie jak innemi są rzeźbieni dłutem Michała Anioła, za wielcy, za surowi, tembardziej, że widziani z jednej dziejowej tylko strony swego żywota. Teraz mistrz postanowił ukazać to życie z innej strony, nie na koturnach dziejowych, ale w swobodzie prywatnej, i widz odchodzi od obrazu z pogodnym uśmiechem, z tą samą prawie prózną wszelkiej troski wesołością, jaką kipi cały obraz i wszystkie jego postacie.

Rzeczpospolita Babińska! któż nie wie, co to jest? Kto nie słyszał o wesołym panu Pszonce i jego państwie, w którym tchórz bywał hetmanem, niedowiarek kapłanem, pijak piwniczym, jakaś mówcą, a królem?... Pytał o to ciekawie i Zygmunt August, kto będzie królem w takiej Rzeczypospolitej, na co mu pan Pszonka odpowiedział: „Boże uchowaj, byśmy za życia twego, miłościwy panie, mieli obierać innego króla. Panujesz nad Polską, panujże i w Babinie“. Król się śmiał, a za nim dwie Rzeczypospolite. Któżbo nie należał do tego Babińskiego państwa! Wszelkie znakomitości i wszyscy dygnitarze składali u granic jego urzędową powagę, by wśród jabłoni, w sadach pana Pszonki wypocząć, pożartować i spędzić czas w najwykwintniejszym towarzystwie, któremu równego dostarczyć mogły chyba Włochy same.

Oto na obrazie, prymas Dzierzgowski siedzi na środku we fioletach i purpurze, koło niego kupi się działalność większej części osób. Pan Pszonka niesie księciu kościoła dyplom na obywatela rzeczypospolitej i śmieje się sam tak szczerze, tak wesoło, że aż miło na niego patrzeć. Obok niego Trzecieski, dalej doktor Montana, Firlej i Myszkowski. Za Modrzewskim pan Kaszowski, sędzia lubelski, znany z humoru i dowcipu, patrzy z pod okularów na prymasa. Wszyscy się śmieją i widocznie baczą, jak też arcybiskup przyjmie dyplom. Może w nim będzie jaka przymówka, że prymas nie dość gorliwy był w wierze, że trochę kręcił w swoim czasie z Boną, że chciał sejm zwoływać wbrew woli Zygmunta Augusta, że był przeciw Barbarze, a później ją koronował. Podobno w życiu prymasa było wiele rzeczy, do których można by się przyczepić, ale książę kościoła zna się widocznie na żartach, głowę w tył przegiął, ręce rozłożył jakby klasnąć zamierzał. Zresztą widocznie jest w dobrym humorze. Bo też i miejsce i czas wyborne. Lato, niebo błękitne, pogoda przepyszna! Naokoło sad pełen jabłoni, złoty owoc błyszczy wśród liści. Sama natura usposabia do wesołości, a przytem i puhary krążą. Oto Mikołaj Rej musiał już niejeden wychylić, bo rozsiadł się wygodnie, nogę założył na nogę, rękoma ułapił się za kolano i jowialną tłustą twarz zwrócił z trochę złośliwym uśmiechem w stronę, gdzie siedzi książd Orzechowski z żoną. Orzechowski patrzy jak w tęczę

w prymasa, ale może chce tylko kłopot pokryć, bo Rej robi jakieś przy-mówki, do jego sukni i żony, a wyżej między gałęziami, nad Orzechowskiemi, kołysze się na huśtawce błazen Gąska. Nogi zadarł do góry, głowę zaś zwraca na dół i podaje pani Orzechowskiej jabłko, jakby chciał mówić: Ewa skusiła niem Adama, a tyś jeszcze lepsza, boś skusiła księdza... Za tą przepyszną grupą Oleśnicki, Łupa Podlodowski i inni wychylają kielichy, śmieją się i krzyczą. Po drugiej stronie obrazu, za prymasem, pani Pszonkowa i kilka innych kobiet, niżej Patrycy, Bekwark z lutnią w ręku, Bartosz Paprocki, наконец Kochanowski i Marcin Bielski leżą na ziemi i grają w szachy. Co jest znakomitszego w całej Rzeczypospolitej polskiej, to zebrało się w ogrodach pana Pszonki: statysci, poeci, historycy: najwykształceńsi ludzie nie tylko kraju, ale niemal czasu swego. Zabawa nie zakrawa bynajmniej na orgję. Jestto wybryk wesołego humoru przepysznych renesansowych czasów, wysokiej cywilizacji, która poczyną już być wykwintną, ale jest jeszcze młodą, pełną życia, sił, barwy i zapału. Jest ona zarazem swobodną i pełną tolerancyi. Oto tam bawią się i weselą ludzie najróżnorodniejszych wiar. Będą oni na katedrach wiedli z sobą dysputy, będą się zwalczać pismem, ale w sadzie jabłonkowym pana Pszonki podają sobie ręce z wyrozumiałością. Ludzie tych czasów będą także nieco później, przybywszy w poselstwie do Paryża, zawstydzac nieugetwo francuzkich panów... Rządy łagodne, sumienie swobodne, stąd ta werwa, ten humor, ta swoboda, którą tak po mistrzowsku odczuł i oddał Matejko.

Widz odchodzi od tego obrazu z pogodnym uśmiechem, ale i z pełnem zadowoleniem pokrewnem dumie. Bo jakie to jednak świetne dzieje, cała tamta epoka! Pomyśleć tylko, co w tych samych czasach, gdy w Krakowie na akademii słuchacze liczyli się na tysiące, a szkoły w całym kraju na dziesiątki tysięcy, co w tych samych czasach działo się gdzie-indziej. A choćby i ta zabawa w pszonkowych sadach, co za przepyszny odbłask włoskiego renesansu!

Wrażen pogody, jakie otrzymuje się na widok tego obrazu trudno prawie opisać; zwłaszcza, że z obrazów Matejki otrzymujemy je tak rzadko. Jest to jakiś nowy ton w tonach mistrza, niespodziewany uśmiech przeszłości, która właśnie dlatego, że nie przedstawia się nam ze strony wielkiej, przemawia nadzwyczaj silnie, nadzwyczaj zrozumiale, jakby po dzisiejszemu. Oczywiście wspiera to wszystko mistrzowska technika, mistrzowskie wykonanie obrazu. Dość spojrzeć raz jeden na przepyszną linię głów, żeby się przekonać, że i pod względem wykonania jestto jedno z najwyższych dzieł Matejki. Indywidualność pojedynczych twarzy równie tu wybitna, jak w innych obrazach mistrza, a ileż w każdej charakteru, choć wszystkich ogarnia jedna wesołość. Ciała rzucone niedbale, jak być powinno. Znać, że tych ludzi nie krępuje etykieta ani jakieś poważne zadanie, że odpoczywają, że bawią się, że wszystko oddycha

swobodą. Perspektywy, przestrzeni i powietrza więcej tu, niż w jakimkolwiek obrazie Matejki. Niema żadnego stłoczenia. Swoboda musiała się i w tem wyrazić. Koloryt odpowiada harmonijnie całości: jest żywy, bardzo żywy, a jednak oczu widza nie uderza ani jedna jaskrawa barwa. Nad wesołością ziemi, nad ludźmi i sadem jabłoni zwiesza się jak wspominałem błękitne, może nawet za błękitne niebo lata, które zbliża się ku zbożnej, owocnej jesieni.

Zaletami temi niezawsze odznaczają się obrazy młodych malarzy krakowskich, uczniów Matejki, którzy, idąc śladami swego mistrza, często bardzo w odtwarzaniu przeszłości, nawet w jej ujemnych stronach i barbarzyństwie, stają się raczej malarzami - antykwaryuszami, zamiast, jak Matejko, być malarzami-historykami. Z takiego antykwarskiego ducha zrodził się udatny zresztą *Jan Długosz* Gramatyki, z tego samego źródła powstała *Skazana* Rossowskiego, w tym samym kierunku poszedł Hercisz w swej *Wyświeconej*.

W dawnych czasach pozbywano się z miast kobiet złego życia lub czarownic przez tak zwane wyświecenie. Ofiarę kat rozbierał do naga, tłumy zaś gnały ją przez ulice przypiekając świecami i pochodniami, dopóki w ten sposób ścigana nie znalazła się za murami. Barbarzyński ten zwyczaj trwał i w Niemczech, gdzie pierwotnie się narodził i skąd do nas został przywieziony. Hercisz przedstawia właśnie podobną scenę wyświecenia. *Skazana* młoda cyganka stoi przed ratuszem, nawpół już rozebrana. Przed nią kat, gotów ściągnąć zasłonę z obnażonego ciała; za nią rajcy, na okół zaś tłumy już uzbrojone w świece i pochodnie. Cyganka nadzwyczaj jest piękna; jest to widocznie jedna z takich czarownic, która w praktykach swych oczyma zastępowała czarną magję. Na twarzy jej nie widać przestachu, ani wstydu: przeciwnie, cudne jej oczy iskczą się nienawiścią, zawziętością i zemstą.

Skazana Rossowskiego jest ofiarą, która upada pod brzemieniem hańby i sromoty, zapewne niezasłużonej. Wzbudza ona najwyższą litość. Widz domyśla się jakichś tragicznych nieszczęść, które zwały się całym ciężarem na tę duszę biedną, jasną i niewinną. To też czuje przedewszystkiem litość: jego własne *ja* jest bezpośrednio w grze, ztąd obraz robi wrażenie daleko żywsze. *Wyświeconą* Hercisza podziwiamy chłodno, przedewszystkiem jako piękną dziewczynę. Rossowski dał nam dramat, Hercisz ilustrowany barbarzyński obyczaj. Znaczenie też pierwszego płótna jest daleko podnioślejsze i wyższe, co podnosi jeszcze i kompozycja zewnętrzna o wiele znakomitsza.

Hercisz posiada niewątpliwie znakomity talent. Jest to artysta,

który obiecuje wiele, ale który szuka jeszcze sam siebie i swych własnych dróg, tymczasem zaś tworzy pod wrażeniem. Mówiąc o stronie czysto technicznej, niepodobna nie przyznać, że środkowa główna grupa rysowana jest doskonale. Sama *Wyświecona* jest rysowana i malowana ślicznie, ale nie można tego samego powiedzieć o tłumach stojących po dwóch bokach obrazu. Brak tam powietrza i perspektywy, niektóre głowy, ze względu na wzajemny stosunek, trzymane są w fałszywym kolorycie, a przytem mało w ogóle mają wyrazu, który w obrazach tego rodzaju jest rzeczą główną. Mimo jednak tych wad, widać w całym obrazie niepospolity talent i kto wie, czy przepowiednie o nowej gwieździe nie są słuszne ¹⁾.

Do tytułu malarza historycznego ma także prawo Strzałecki. W roku 1882 na wystawie Towarzystwa Zachęty figurowały dwa jego obrazy, odtwarzające naszą narodową przeszłość, a tym razem na obu głównym bohaterem był Sobieski. Jeden wyobrażał *Obóz króla Jana III pod Wiedniem*, drugi przedstawiał *Sobieskiego na weselu chłopskiem*.

Strzałecki przy monachijskim sposobie malowania, ma właściwe sobie upodobania i cechy. Ciemne tło, białe a nawet blade, niespodziewane światła obok głębokich mroków, oto właściwości, które spotykamy we wszystkich jego utworach. Nadaje im to pewien szlachetny pozór, zwłaszcza, że artysta, mając widocznie wiele smaku, umie te głębie mroczne ożywić dobozem nader harmonijnych plam kolorowych. Jego postaci ludzkie, w średniowiecznych barwnych strojach odskakują silnie, może nawet za twardo od tła, i tem silniej, że tak białe padają na nie blaski. Widz jednak stoi wobec zagadki, skąd się bierze ta białość wśród tych mroków. W naturze takie efekta mogą być tylko wyjątkowe. Efekt słoneczne wydobywają wprawdzie malarze zestawianiem jasnych ciepłych światła i wyrazistych konturów z głębokimi cieniami, ale światło Strzałeckiego nie jest słoneczne. Padając na ubiory, na ciało ludzkie, na ziemię, nie tworzy ono złotych plam: przeciwnie bywa zawsze blade, chłodne, i całemu obrazowi nadaje ton chłodny, nie wyłączając wszakże twardości zarysów.

Właściwości te występowały szczególnie jaskrawo w *Sobieskim na weselu chłopskiem*, a choć i o *Obozie Sobieskiego pod Wiedniem* to samo w znacznej mierze powiedzieć można, to

¹⁾ *Niwa* r. 1881, t. XX.

jednak obrazowi temu trzeba przyznać zalety, których bezwarunkowo nie posiada tamten. Przedewszystkiem jest to, zdaniem Sienkiewicza, obraz efektowny, co mu już za przymiot śmiało poczytanem być może.

Na dalekim ciemnym horyzoncie, obraz bowiem ma oświetlenie nocne, widać Wiedeń; na pierwszym planie przed widzem obóz Sobieskiego. Zgadniesz łatwo, że to noc przed bitwą. Cienie nocey, blade brzask, światła ognisk łączą się w fantastyczną całość. Na tem tle ruch ludzi, koni; koło ognisk żołnierstwo. Co za różnorodność kostyumów. Gdzieś zbroje i pióra husarskie, gdzieś koczugi, delje, żupany, kontusze, hełmy, misiurki, czapki futrzane: widocznie ludzie z pod rozmaitych znaków: husarze, dragonija, petyhorcy, kozacy. Te wszystkie stroje odtwarzane z wielką znajomością rzeczy. Wszystko to wpół zanurzone w ciemności, wpół oświetlone czerwonym blaskiem ognisk, wszystko efektowne bardzo, i jakieś imponujące. Każdy obóz przed bitwą ma charakter gotowości, decyzji i czuwania, i ten charakter uchwycony jest dobrze.

Widz, który ten charakter odczuje, nie spostrzega w pierwszej chwili, że obraz ma wiele wad, głównie w rysunku: postacie ludzkie są ciężkie, krótkie, za krótkie wogóle, a konie, również za krótkie i za ciężkie, robią wrażenie perszeronów.

Owo skracanie postaci jest stale powtarzającą się właściwością Strzałeckiego. *Sobieski na weselu* i *Sobieski pod Wiedniem*, to jeden i ten sam barczysty karzeł, poszkodowany szczególnie na długości nóg. Zresztą na obrazie pod Wiedniem kto żyw to kloc. Jest taka kłocowatość sama przez się wadą, a staje się jeszcze większą wadą w tłach nocnych i wogóle ciemnych, gdyż ciemność roztapiając zewnętrzne linie sylwety, z natury rzeczy musi wydłużać postacie. Ale ciemność Strzałeckiego nie roztopia konturów. Rysują się one, jak wspomniałem, aż nazbyt twardo. Od tego ma Strzałeczki swoje białe przeraźliwe światła, puszczone snopami w sposób nagły i tak mało spodziewany, jak król na chłopskiem weselu ¹⁾.

O wiele słabszym wydał się Litwosowi wystawiony w styczniu 1882 r. w Salonie Tow. Zach. Sztuk Pięknych duży obraz Piwnickiego, przedstawiający bitwę Cecorską, a pełen zamętu

¹⁾ *Słowo* 1882. Nr 149, z dnia 7 lipca. *Wystawa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych*.

waleczących ludzi, koni, lecz przedewszystkiem odznaczają się zamętem rysunku, jego niedokładnościami i wadami. „Jest tam podwójna walka: Polaków z Turkami i artyści z tematem; Turcy i temat odnoszą świetne zwycięstwo“.

Bez porównania udatniejszem wydało się przyszłemu twórcy *Krzyżaków* płótno Moniuszki p. t. *Opowiadanie Suchenwirda na dworze Wilhelma Rakuskiego o Jadwidze i Jagielle*, świadczące nie o braku talentu artysty, ale o jego dziwnie przedwczesnem zmanierowaniu. „Słuchacze, którym Suchenwird opowiada, mają oczy tak wylupiąste, jak karasie, ale za to Suchenwird ma jeszcze wylupiąstsze. Są to oczy jak kartofle!“ A przytem same postacie, dziwnie wycieńczone i wszystkie do siebie podobne, świadczą, że artysta, uganiając się za ekscentrycznościami, nie ma umiarkowania i prostoty, które zawsze są największymi przymiotami każdego dzieła sztuki.

Niezawsze pamięta o tem i Krzesz, a jego *Powrót Kozaków z wyprawy na Turków* niemało grzeszy pod tym jak i pod innemi względami.

Na pierwszym planie łódź-czajka, a w niej ataman obok zdobytej branki; na przodzie i z tyłu inne łodzie, wyteżone muskuły wiosłujących, poplątany las wiosel, i t. d. Wszystko to jest efektowne, ale sztuczne. Koloryt porcelanowy, brak realnej prawdy. Widz ma przed sobą jakby scenę z opery, jakby ilustrację do rozbujającego poematu. A przytem w łodziach obok kozaków i obok branek jadą błędy rysunkowe, i te są najrealniejsze. Obraz ogólnie podoba się, ale to sprawy nie przesądza.

Najbardziej pokrewnem malarstwu historycznemu, które u nas w epoce pomiędzy rokiem 1873 a 1883 tyłu, za przykładem i wpływem Matejki, miało przedstawicieli, jest malarstwo religijne. Uprawiał je i pobożny Matejko, ale wogóle jest to gałąź sztuki, która wysycha. Malarstwo religijne, zdaniem Sienkiewicza, przeżyło się w naszych czasach.

Nie znaczy to wcale, abyśmy twierdzili, że przedmiot religijny, jako taki, nie może absolutnie dostarczyć artyście materiału do tworzenia, widzom zaś artystycznych wrażeń, i że wogóle nie jest wart palety i pędzla. Przeciwnie, przedmiot pozostał tem, czem był; ale raczej arty-
stom dzisiejszym brak siły do samodzielnego na tem polu tworzenia,

przedewszystkiem zaś brak im szczerości uczucia, która jest duszą dzieł dawniejszych. Dziś technika malarska postąpiła niezaprzeczenie, a obrazy religijne malowane są nieraz poprawniej, niż były dawne arcydzieła; mimo tego jednak nie przestają być dziełami tylko biegłości artystycznej, nie zaś prawdziwego i oryginalnego natchnienia. Dzisiejszy malarz Bonnat, za wzór do swego Chrystusa bierze umierającego szpitalnika i malując jak mistrz, nie dodaje mu jednak nic ze swej duszy, dzieło zatem jest wprawdzie realnym obrazem mąk konającego człowieka, ale nie przestaje być zimnem. Płótnom Bétselierè'a nie można zgoła nie zarzucić. Dwa lata temu nagrodzono w paryzkim salonie złotym medalem jego „Chrystusa uciszającego burzę“. W rysunku niema ani jednej omyłki. Postacie są piękne, pozy również, burza wraz z rozkołysaną wodą cichnie widocznie przed potężnymi rękoma; a jednak ten Chrystus, lubo tak pięknie pomysłany, rysowany i malowany, nie przestaje być konwencyonalną figurą o długich włosach, ubraną w czerwoną suknię i niebieski płaszcz, stworzoną jako pomysł według wzorów dawniejszych, i jako kopia, niższą od oryginału. Tak dzieje się prawie we wszystkich obrazach religijnych, artysta tworzy je chłodno, widz chłodno podziwia. Przyczyną zapewne ogólny sceptycyzm i zimne zapatrywanie się na przedmiot oczyma Rafaelów, Corredžių, Renich i t. d. Artysta nie jest sobą, ale stara się stanąć na ich stanowisku i czuć jak oni czuli; słowem nastroja się sztucznie. Toż samo czynią widze, i od dzieł wieje mroźny wiatr konwencyonalizmu, i następne pokolenia przechodzą nad nimi do porządku dziennego, jak n. p. przeszły nad obrazami Ary Scheffera.

Zdarzają się jednak wyjątki, a zdarzają się zarówno w zakresie malarstwa, jak rzeźby. Co się tyczy tej ostatniej, to i ona, podobnie jak malarstwo religijne, zdawała się w r. 1880 dobiegać końca swej żywotności. Nikt nie przeczuwał jej wspańałego rozkwitu w ciągu ostatnich lat 20, a w liczbie tych, co sceptycznie zapatrywali się na jej przyszłość, był i Sienkiewicz.

Rzeźba nowożytna jest całkowicie konwencyonalną, bo świat nowożytny utracił w sobie nie tylko poczucie plastyki nagiego ciała, ale i samo ciało. Głowy, wedle niektórych estetyków, nam urosły, a na muskuły, które niegdyś wprawiały w zachwyt niewykształcone nawet tłumy starożytnych, włożyliśmy kaftany i inne części ubrania, którym Taine bardzo stanowczo przypisuje upadek rzeźby. Aleksander Macedoński, stanawszy na grobie Achillesa, ścigał się nago na cześć wielkiego bohatera. Napoleon nie mógł już tego żadną miarą zrobić na cześć np. Cezara. Byłoby to tylko „shoking“; albowiem nowsze czasy straciły podziw

i cześć dla takich rzeczy. Dlatego świat starożytny stworzył swoją własną rzeźbę, nowożytny odtwarza tylko i przetwarza starożytną. Mimo tego jednak, Canova i Torwaldsen byli mistrzami, a Carpeau umiał nawet być szczerym. Każdy człowiek, a zwłaszcza artysta, może tak zakochać się w pewnych ideach i światach, że staje się ich dziecięciem i obywatelem. Wtedy nie potrzebuje sztucznie nastrojać się: kocha i wierzy i tworzy wedle swej miłości i wiary, a ta szczerość bije z jego dzieł i uderza widzów, jako coś niezwykłego, jako jakaś istotna, a wzniosła dusza dzieła, i udziela się nawet obojętnym.

Artystą takim, który, malując obrazy religijne, posiada i szczerość uczucia i wiarę w artystyczną wzniosłość przedmiotu, jest Krudowski, którego mistrzowski *Powrót z Golgoty* ozdobił w roku 1880 przez pewien czas salon Towarzystwa Zachęty. Obraz ten sprawiał, że „widz zatrzymywał się przed nim, jakby zeń coś wołało na niego i mówiło: jam jest szczera i umiłowana prawda i pięknem z duszy płynącym“. Jest to, według Sienkiewicza, najcelniejszy przymiot obrazu, to jego poezya i siła, wobec której sama technika pozostaje tylko tem, czem być powinna, t. j. środkiem.

W wieczornych blaskach wraca z pod krzyża Marya wsparta na rękę św. Jana. Przed nią na dolnym niższym planie niosą ciało Chrystusa, za nią postępuje Marya Magdalena z drugą postacią niewieścią. Wieczorem, powietrze czyste i przejasne po burzy, rzuca blade światła na twarze Matki i ukochanego ucznia. Twarze te śliczne i właśnie w ich wyrazie streszcza się uczucie artysty. Znać na nich boleść, bo przecie wracają z pod krzyża, ale nie ziemską, nie taką, jaka ściąga rysy ludzkie po niepowetowanej stracie, ale uroczystą, choć głęboką i pełną nadziei, choć przejmującą. To, co się spełniło, odbija się w nich wielkim smutkiem: to, co się ma spełnić, daje im wielki spokój. Ile uroczystej poezyi jest w tem połączeniu smutku i spokoju, łatwo zgadnąć. Światła wieczorne, wielka piękność twarzy, szlachetność ruchów i draperyj, wszystko, co jest w obrazie, podnosi jeszcze tę poezję ¹⁾.

Do malarzy, uprawiających niekiedy malarstwo religijne, należy również Wilhelm Kotarbiński. Jest to artysta, do którego wogóle przeszłość przemawia silniej, niż teraźniejszość, na to zaś, by ta teraźniejszość silniej przemówiła do jego du-

¹⁾ *Niwa*, t. 18 z r. 1880. Mieszanie literacko-artystyczne.

szy, musi zawierać pierwiastek romantyczny. Światem jednak, w którym Kotarbiński obraca się najchętniej, jest starożytny świat rzymski. Pozatem nęci go natura włoska wogóle... W r. 1882 wystawione były w salonie Tow. Zachęty dwa obrazy twórcy *Orgii rzymskiej*: *Libelle* i *Gondola*. Pod wrażeniem tych obrazów skreślił Sienkiewicz w *Słowie* z dnia 21 stycznia następującą charakterystykę Kotarbińskiego.

W obydwóch, sam może nie zdając sobie sprawy, jest artysta pod wpływem Siemiradzkiego, z różnicą kolorytu. Jest coś oryginalnego w tym kolorycie Kotarbińskiego, coś, co niektórzy poczytują mu za przymiot, ale co dla widzów obdarzonych mniejszą dozą dobrej woli przedstawia się jako wada. Oto wszystkie figury i rzeczy na jego obrazach wyglądają tak, jakby je deszcz, nie zdolawszy ich popsuć zupełnie, rozmiękczył jednakże wodą lub wilgocią. Co dziwniej: linie konturowe obwiedzione są dość silnie, a jednak w rzeczach i osobach istnieje pewna nieokreśloność, na mocy której jakoś łączą się i zlewają z tłem. Artysta bardzo mało modeluje, ale inni jeszcze mniej modelują, a jednak z najbardziej szkicowych figur nie otrzymuje się tego wrażenia plamistości i nieokreśloności. W *Gondoli* da się jeszcze ono wytłumaczyć, rzecz bowiem dzieje się wśród mgły. Miętkość, niejasność, są tu na swoim miejscu, a nawet sprawiają efekt dobrego odczucia natury, jej ciszy i jakby senności we mgle. Wśród tych oparów wodnych, lekkich, wilgotnych, cicho przesuwa się gondola; barwnie poubierane kobiety leżą w niej niedbale i także sennie; siedzący ku tyłowi młodzieniec gra na harfie; w dali widać zarysy Wenecyi, zapewne Dziudeki, ale zresztą Bóg raczy wiedzieć, bo te kształty są nietylko niewyraźne, ale i krzywe, którego to efektu nawet największa mgła nie sprowadza. We wszystkim jednak jest harmonia i pewna poezyja spokoju. *Libelle* przypominają *On i Ona* Siemiradzkiego. Plamistość ich mniej da się usprawiedliwić. Słońca brak. Kotarbiński posiada talent, ale robi jeszcze jedno dziwne wrażenie, którego również za przymiot poczytać nie możemy. Oto znać w nim jakby jakieś wyczerpanie się twórczości. Wydaje się, że jestto artysta sceptyk, który nie wierzy we własną sztukę i maluje z jakimś zniechęceniem. Czy płynie to z braku zapału wrodzonego, czy jest gorzkim owocem zawodów? *Qui lo sa?*

Nie można tego powiedzieć o Owidzkim, którego obrazy robią wrażenie, że artysta wierzy w swój talent, a malując, jest zupełnie szczery. Nadto nie ugania się za jakimś nadzwyczajnymi efektami, lecz hołduje prostocie, co mu się chwali...

Jego obrazek *Przed dworkiem*, mimo pewnych wad wykonania, i mimo, iż trawnik jest tak zielony, jak szpinak, sprawia nadzwyczaj miłe wrażenie. Przed dworkiem siedzi grupa ludzi, mężczyzn i kobiet, toczących jakąś pełną zającia rozmowę. Jest cichy wieczór letni. W takich chwilach dobrze się gawędzi wśród ogólnego spokoju natury. Ten spokój doskonale tu jest uchwycony i odczuty. W sielance *siedzi dusza* i prawda poetyczna, której trafnością uderzony widz nie myśli o niczem innem, jak tylko, że już miesiąc zaszedł, psy się uspiły.

Niemniejszymi zaletami oznacza się, zdaniem Litwosa, obraz Koniuszki, zatytułowany *Blaumontag*, a wystawiony u Krywulta. „Siedzi pan majster i czyta gazetę: widocznie politykuje zawzięcie, przez ramię zaś jego zagląda do gazety mały terminator, który czasu nie traci, bo zarazem ma pełne usta jedzenia“. Artysta wykazał w obrazie tym sporo daru spostrzegawczego. „Majster i chłopiec są to doskonale i skończone typy. Akcja uchwycona wybornie. Znać z jakim zajęciem majster czyta, co *jenteligenty* piszą, i że po chwili sam będzie o tem rozprawiał, choćby z własnym terminatorem“. Co się tyczy artysty samego, to jest to malarz zdolny i płodny: miłuje on się w ciemnych barwach, mrokach, zachodach, światłkach, połyskujących wśród ciemności, i wogóle w głębokich cieniach“, a należy do tych, „którzy nie wyrosli ani z soli ani z roli, ale z własnej pracy i talentu“.

Należy do nich także w pierwszym rzędzie Witkiewicz.

Niewielu artystów maluje tak szczerze, jak on. Co malowane, to odczute wprost i głęboko. Ze wszystkich młodszego pokolenia artystów, Witkiewicz ma najwięcej poczucia natury, a w szczególności polskiej natury. A i w niej nie nęci go bogactwo krajobrazów np. górskich w Galicyi, nie przemawiają mu do duszy spiętrzone masy skał, spienione strumienie, wąwozy i dzikie rozłogi tatrzańskie. Kocha on naturę polską, raczej za jej ubóstwo pełne takich uroków, jakie lubił opiewać Syrokomla. Więc wyobraźnia jego odtwarza najczęściej jednostajny krajobraz wiosek szarych, pól obszernech a pustych, a szeroko rozciągniętych, równych, smutnych, przestrzennych, z obrąbkami lasów sosnowych lub drobniejszej choiny. Maluje on te wioski i pola nie w świetle słonecznem, ale raczej w dżdżu, mgłę, zmierzchach lub łagodnych blaskach zachodu, i nie w rozkwitach wiosennych, ale w bladeściach jesieni lub pod całunem śniegu. Dusza poetyczna a melancholijna odbija się w tych obrazach z nieporó-

wnaną szczerością. Ze względu na krajobraz jest w Witkiewiczu coś z Maksa Gierymskiego i Grotgera, ale od pierwszego różni się on tem, że wyłącznie taki tylko krajobraz odbija, od drugiego, że jest większym realistą co do formy. Za to pod względem postaci, któremi ożywia krajobraz, jeszcze raz musimy go porównać z Syrokomlą. Ci chłopci, organiczni, dzwonnicy, kowale, szaraczkowa szlachta, to wszystko pocute i pojęte w podobnej z Syrokomlą idei i z tą samą siłą prawdy. Oczywiście z natury rzeczy wypływa, że obrazy podobne muszą być pełne prostoty, i ta prostota w połączeniu z przestrzennością i smutkiem krajobrazu, daje im ową oryginalność, której dziwią się w obrazach niektórych naszych artystów za granicą, uważając ją za cechę polskiej krajobrazowej szkoły. Jakoż nie można zaprzeczyć, że kierunek taki istnieje i odbija się, zwłaszcza w pracach najmłodszych malarzy. Wywodziłby go należało może jeszcze od niektórych płócien Maksa Gierymskiego, rozwinięli jednak go i wytworzyli na gruncie tutejszym Chełmoński i Witkiewicz, pierwszy pod wpływem natury i zamieszanych ludzi ukraińskich, drugi pod wrażeniem krajobrazu i życia polskiego i litewskiego. Ale oczywiście między niemi i następcami jest ta różnica, że gdy oni tworzyli z uczucia, z duszy, z poezyi i bezpośrednich wrażeń, słowem: z pierwszej ręki, drudzy tworzą już pośrednio, po części z upodobania w kierunku, a może i dla pozornej łatwości tematów prostych, których efekt polega właśnie na tem, że są bez efektu. Naturalnie tą drogą, następcy i naśladowcy stoczyć się musieli i staczają się niechybnie do maniery, która wkrótce zamiast budzić podziw za granicą, pocznie nużyć i stanie się śmieszną jak wszelka manierowana prostota. Bo prócz tego, między temi dwoma, a następcami zachodzi jeszcze ogromna różnica środków. Nie dość poezyi w duszy, nie dość upodobań i zamiłowań w prostocie, w pustej melancholijnej przestrzeni, w śniegach, mgłach, szarych chmurach i deszczu. Trzeba to jeszcze umieć rysować i malować. Owóż Witkiewicz dlatego jest niepospolitym artystą, że posiada biegłość techniczną i rysunek doprowadzony naprawdę do doskonałości. Jego targ na rynku, a raczej *Rynek*, znajdujący się obecnie na wystawie, najlepszym na to dowodem. Treść tak prosta jak tylko można sobie wyobrazić. Godzina ranna; na wązkim zaułku poczynają zbierać się chłopci i wiejskie baby, w dali kilka wozów. Gromadki ludzi stoją, rozmawiają, targują się przy straganie lub pożywiają zakupioną żywnością. Wyobraźnia nie ma tu nic do roboty. Życie powszednie samo wypowiada wszystko co jest do powiedzenia. O uczucia obraz także nie potrąca, widzowi pozostaje tylko to zadowolenie, jakie daje prawda, uchwycona niezmiernie trafnie na gorącym uczynku w szczegółach i w ogólności. Ale zato uczucie zadowolenia jest zupełne. Prawda i prawda wszędzie. Każdy to widział, każdy w samym sobie znajduje kryterium, że tak jest, a nie inaczej. Prócz tego, co za wyborna technika. Rzeczy i ludzie trochę może za twardzi w kolorycie,

ale zresztą co za typy, jak malowane twarze, sukmany, wozy, stragany, zapasy żywności, i co za rysunek wszystkiego! Dzięki powyższym przymiotom temat powszedni zmienia się w obraz niepowszedni. Przyczynia się do tego i szlachetne pojęcie przedmiotu. Widzieliśmy niedawno obraz, nie pamiętamy czyj, którego treść zaczerpniętą jest także z życia ludowego. Parobczak wiejski ściska na nim dziewczynę wedle komina tak zamaszycie, że aż jej nogi odrywają się od ziemi. Malowidło jest poprawne, realizm chłopskiego życia schwytny jak i u Witkiewicza także na gorącym uczynku, ale przedmiot pojęty został płasko i wbrew dobremu smakowi. A wszakże malarz ze względu na naturę swej sztuki winien szczególnie o dobrym smaku pamiętać. Powieściopisarz daje czytelnikowi ciąg życia; pojedynczą scenę trywialną może zrównoważyć szeregiem innych poetycznych, wzniosłych, i dzięki tej równowadze, zachować szlachetny charakter całości. Malarz oddaje chwilę jedną, jedno mgnienie oka, a zatem o wiele więcej powinien się strzedz, by ta jego chwila nie wzbudziła niesmaku. Owóż ten takt estetyczny Witkiewicz posiada w wysokim stopniu. Czerpiąc ze świata, który często bywa prostackim, artysta pozostaje zawsze tylko prostym. Jest przytem spokojny, skupiony i poważny. W tem leży jego styl płynący z wybitnej artystycznej indywidualności. Niezawsze jednak artysta ten używa tematów powszednich. W drugim nadesłanym obrazie jest poeta. Obraz przedstawia trzech jeźdźców, zbrojnych w dubeltówki i szable, jadących szeroką wiejską drogą. Krajobraz jest zimowy. Drogę rozbiły kopyta końskie, ale na postronnych pagórkowatych polach leżą jeszcze śniegi obfite. Zmierzcha się. Tylko zorze rzucają na owe śniegi blaski czerwone i rozświecają za jeźdźcami szeroką smutną przestrzeń, zamkniętą na dalekich planach zaroślami i lasem. Jak okiem dojrzeć ani wsi, ani osady. Pusto, głucho. Zda ci się, iż słyszysz chlupotanie końskich nóg po błocie i cichą rozmowę tej pikiety. Natura o każdej porze dnia i nocy ma właściwy sobie nastrój, jakąś własną duszę, którą tylko prawdziwy artysta odgadnąć i odczuć potrafi. Zimowym zmierzchem, gdy śnieg oświecony zorzą, daje blaski fioletowe, a noc ma zapaść pogodna, bywa w owych blaskach, w owem zaciszeniu się natury, w pustoszy pól i w mrocznych masach lasów coś uroczystego i tajemniczego zarazem. Tę to uroczystość, tę duszę zimowej natury i zimowego zachodu, umiał Witkiewicz odczuć i zakłąć z niepospolitą siłą i prawdą. Rozwiałaby się ona, gdyby artysta na takie tło rzucił mnóstwo ludzi i koni i zapełnił obraz ruchem. Ale tych trzech zbrojnych, jadących wolno a ostrożnie i cicho, jeszcze ją podnosi. Obraz nie przestaje mimo postaci końskich i ludzkich być krajobrazem, czarującym zarazem prawdą i poezją, tem więcej, że ta prawda i poezya mają taki swojski charakter. Gdyby kto z nas zobaczył ten krajobraz w Monachium lub Paryżu, odrazu na widok tego nieba, sosnowych lasów i pustych pól przysypanych śniegiem, znalazłby się my-

ślą w stronach rodzinnych. Nie mniej rozumiemy, że cudzoziemców musi dziwić oryginalność podobnych malowideł. W obrazie „siedzi dusza“ całkiem nam swojska, a im obca, dusza, na której wyraz składają się nieświadomie zarówno natura jak i ludzie. Ci trzej jeźdźcy, to cały poemat. Zapominasz, że jesteś w galerii, siadasz i poczynasz myśleć. Widzisz za niemi las i zorzę wieczorną, a przed niemi drogę niezmiernie daleką, wiodącą niewiadomo dokąd... Wyobraźnia twa pracuje dalej sama, i mimowoli tworzysz jakąś powieść, jakiś niedokończony poemat. Potem myśłą ulatujesz wstecz, uogólniasz, a potem pytasz sam siebie, jakim sposobem dzieło sztuki mogło być taką podniętą i tak rozegrać w tobie wszystkie struny myśli, wyobraźni i uczuć. Jak? nie będę tłumaczył. Mogę tylko zapewnić, że dzieło sztuki, które tak działa i które pod takim nawałem wrażeń widza zostawia, musi być tworem poczętym w głębi uczucia, a zrodzonym przez prawdziwy i pełen mocy talent.

Żadnej z powyższych zalet, któremi się odznaczają obrazy Witkiewicza, nie posiadają płótna Kraya, nie wyłączając jego *Ondyn*, wystawionych w roku 1882 w Salonie Towarzystwa Zachęty.

Kray jest, jeśli tożsamość nazwiska nie łudzi, nie naszym, ale niemieckim malarzem, który w Wiedniu i Monachium zdobył sobie w ostatnich zwłaszcza czasach niemałe uznanie. Jego *Ondyny* są bardzo ładne, ale trochę zbyt słodkie; zwłaszcza głowy nie mają żadnego charakteru. Są to szablonowe piękności, jakie widywać można na oleodrukach, a nawet na wachlarzach, lub ozdobnych pudełkach od koronek. Są słodkie, kokieteryjne i nie więcej. Natomiast w układzie postaci, w ruchu fal morskich i rozrzuceniu światła jest fantazyja i oryginalność, a we wszystkim wielka biegłość. Kray'a z wielu względów możnaby poczytać za francuza nie za Niemca. Chce on widocznie być zbyt eleganckim, ze szkodą siły.

Zarzut to, który do pewnego stopnia da się odnieść i w stosunku do znakomitego skądinąd Horowitza, tylko, że u niego wytworność i wdzięk wykluczają to, co w sztuce zowiemy siłą. Dlatego, jako twórca portretów kobiecych, jest Horowitz wyższym nierównie, aniżeli w portretach męskich, jakkolwiek i w tych mało mierzyć się z nim może...

Artysta ten jest mistrzem w zakresie portretów, mistrzem, którego, gdyby trochę więcej miał jeszcze śmiałości, można by postawić obok Rodakowskiego. Horowitz w wykonaniu, pod względem techniki, jest po prostu doskonałym. Nie można w nim znaleźć wad. Rodakowski jednak

przewyższał go fantazyą. Wolał on stroić swe modele w ubiór bodaj cokolwiek do kostymu zbliżony, lubił draperyę, chciał mieć jakiś pas, czapkę, płaszcz, kołnierz, byle portret przenieść w dziedzinę sztuki i odebrać mu charakter konwencyonalny. Horowitz tego niema. Portretuje on z równą dokładnością dzisiejszy konwencyonalny ubiór, jak i twarz. Ta wierność stanowi wadę¹⁾. Portret na wystawie przedstawia mężczyznę w późniejszym wieku z twarzą energiczną i cokolwiek choleryczną. Twarz, jako studyum, doskonała, ale w ubiorze jest coś nadto sztywnego, jak w fotografii. Podobizna zbyt tu przeważa fantazyę.

Fantazyi tej nie brakło Annie Bilińskiej, pomimo, że jej wcale nieźle malowany *Malarz wędrowny* wydał się Litwosowi raczej do wędrownego kominiarza podobnym. „Dlaczego artystka unikała tak starannie wszelkich barw, mogących rozerwać oko, trudno pojąć. Obraz jest szary, czarny, brudny; trafnie pojęta, typowa twarz budzić ma humor oryginalnością typu, a wrażenie to popsute jest przez pośpność barw“...

Zarzutu tego nie można uczynić Ajdukiewiczowi, jako twórcy portretu Modrzejewskiej (znajdującego się obecnie w Muzeum Narodowem w Krakowie). Portret ten, wystawiony w salonie artystycznym Ungra, ściągał tłumy ludzi od rana do wieczora, i żaden może obraz, powiada Sienkiewicz, nie wywoływał tylu zdań najsprzeczniejszych: jedni utrzymywali, że podobieństwa niema wcale, drudzy dowodzili, że nie widzieli nigdy portretu tak podobnego. Różnica ta poglądów, tak sprzecznych z sobą, była najwyższą pochwałą dla artysty, świadczyła bowiem, że się miało do czynienia z dziełem niepospolitem, z czemś, co uderza ludzi i przywiązuje ich uwagę.

Jakoż stanąwszy przed tą białą wysmukłą postacią, patrzącą z gobelinowego tła czarnemi oczyma, jakby w nieskończoność, od pierwszego rzutu oka poznajemy, że mamy przed sobą jakąś niezwykłą nie tylko piękność, nie tylko damę wyższego świata, ale duch wysoki. „Gdybym nie

¹⁾ Trudno tu się zgodzić z Sienkiewiczem. Powtóre, Rodakowski zawsze portretował ludzi niepospolitych „na miarę Fidyasza“, kiedy Horowitz przeważnie malował portrety ludzi „na miarę krawca“, z warszawskiej burżuazji i plutokracji. Co innego portrety generała Dembińskiego, malarza Kaplińskiego lub hr. Działyńskiego, a co innego portrety warszawskich bankierów lub przemysłowców.

wiedział kto to jest, odgadłbym, że to jakaś genialna kobieta¹⁾, mówił do mnie jeden ze znajomych. Zapewne twarz Modrzejewskiej musi odbijać jej duszę, ale niezmierną zasługą malarza jest, że umiał pochwycić to coś nieokreślonego, co tę piękną głowę odróżnia od innych, choćby najpiękniejszych. Dwojakie też może być podobieństwo. Jedno fotograficzne, oddające tożsamość steźałych nieruchomie przez chwilę rysów, drugie stokroć wyższe, zmieniające portret w prawdziwe dzieło sztuki. To ostatnie ma uchwycić istotę duchową twarzy, streścić to wszystko, co stanowi właściwe jej cechy, przelać na płótno ten jej wyraz, w którym najbardziej jest sama sobą, dać syntezę wszystkich przelotnych usposobień, odbijających się w rysach. Tem to podobieństwem wyższem, prawdziwie artystycznem i prawdziwie duchowem, a nie wyłączającem zresztą tożsamości rysów odznacza się portret Ajdukiewicza. Modrzejewska uśmiecha się na jego obrazie i patrzy nie jak wtedy, gdy gra taką lub ową poszczególną rolę; nie jak wtedy, gdy chce być damą wielkiego świata, smutną, wesołą, rozmarzoną, poetyczną lub wyniosłą; ale jak wówczas, gdy jest sama sobą, gdy jest najbardziej Modrzejewską, to się znaczy, zarazem genialną artystką i uroczą nad wszelki wyraz kobietą. Oto jest największa zasługa artysty, a zarazem powód, dla którego jedni utrzymują, że portret jest niestychanie podobny, drudzy, mniej rozumiejący się na rzeczy, że wcale niepodobny. O technicznej jego stronie, o przepysznych atlasach i koronkach, o psie i gobelinie, pisano już nie mało. Co do wad, jeśli się jakie znajdują, by o nich mówić, trzeba się lepiej znać odemnie na sztuce malowania; dodam więc tylko, że obraz malowany jest w stylu szlachebnym, i że przekazując samą Modrzejewską przyszłym pokoleniom w chwili największego jej rozkwitu, w blasku i piękności, przyczyni się niezawodnie do tem dłuższego podtrzymania w pamięci jej imienia i niepożytej samej w sobie sławy¹⁾.

Niestety jednak, obrazów takich, jak portret Ajdukiewicza, nie widuje się często na naszej wystawie Tow. Zachęty, gdyż wogóle nasze malarstwo warszawskie przedstawia się bardzo zaściankowo. Malarzom naszym, oczywiście z niektórymi wyjątkami, brak nietylko fachowego, ale najczęściej i ogólnego wykształcenia, a ten brak umysłowej i artystycznej kultury (którego n. p. nie można zarzucić malarzom krakowskim) idzie niekiedy tak daleko, że ci nasi synowie Apellesa drwią sobie nie tylko z klasycyzmu i rysunku (bo rysować umie mało który z nich), ale czasami z gramatyki i... ortografii.

¹⁾ *Niwa* z r. 1880, t. 17.

Kombinacya może wydaje się czytelnikom dość dziwną. Za pozwoleniem! przecie w starożytności gramatyka liczyła się do sztuk pięknych! Starożytni wspominają nawet, że za ich czasów gramatyka i muzyka były połączone. No, dziś jest trochę inaczej. Żaden za to ze starożytnych mędrców nie wspomina, aby gramatyka i malarstwo były kiedykolwiek rozłączone, czego smutny dowód znajdujemy w dzisiejszych czasach w salach naszego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Jest tam obraz, a raczej szereg obrazów, rysowanych kredką i przedstawiających życie artysty. Jak to tam rysowane, mniejsza o to w tej chwili; dość, że na pierwszym zaraz obrazie: geniusz w postaci dziewczicy, ukazując młodocianemu artyście trumnę, a na niej zwłoki człowieka, mówi: „Spóżyj (przez ż), to przyszłość twoja!“ Ha! cóż robić! przecież to nie wina geniusza. Geniusz mówił, niegeniusz podpisywał. Za to temu, kto podpisywał, trzeba z całym uznaniem oddać tę sprawiedliwość, że na dalszych obrazach, choć wszędzie są podpisy, niema jednak już ani jednego błędu ortograficznego. Obrazy te, jak już wspomnieliśmy, przedstawiają żywot artysty-malarza, widocznie zapoznanego geniusza, którego świat nie tylko nie pojął, ale w końcu zadławił. O tak! świat bywa czasem zły: nie umie on ocenić nie tylko już zasługi, ale rzuca się często w swej zatwardziałości na najniewinniejsze ofiary ¹⁾.

Lecz jeśli chodzi o błędy ortograficzne, to można było z tego w r. 1882 uczynić zarzut nie tylko niektórym artystom bez talentu, ale i tym członkom Tow. Zachęty, do których należało wypisanie kartek pod wystawionemi dziełami sztuki. Wszedłszy n. p. do oddziału rzeźby, ubożego nad wszelki wyraz, nie tylko, że się było uderzonym jakimś suchotniczym wyglądem tej salki, smutnie świadczącej o „rozkwicie“ polskiej rzeźby, ale nadto, przeczytawszy jedną i drugą kartkę z objaśniającym napisem, wypadło się uśmiechnąć z powodu tego, co na niej wypisano.

Prócz *Madonny* Rygiera niema nie godniejszego uwagi. *Wenus Medycejska*, dalej *Niewinność* z zupełnie słusznym napisem: „uprasza się nie dotykać palcami“, w kącie zapomniana i jakby gniewna *Muza Godebskiego*, której niewiadomo dlaczego nie postawiono na grobie Moniuszki, dalej kilka portretów, kilka główek rodzajowych, i oto wszystko, a w tem wszystkim brak ducha twórczego, niema samodzielności i połotu.

¹⁾ *Gazeta polska* z 15 grudnia 1873.

H. Taine mówi, że wogóle rzeźba w nowożytnych czasach straciła dawną podstawę, jaką jej dawała mitologia, zamiłowanie plastyki i życie dawnego greckiego miasta; że nie może być samodzielna, bo musi iść za wzorami, bo naprężona łydka popychającego wóz parobka nie wprawia nas już w zachwyt, bo wreszcie, miast chwalić się muskułami, nosimy ubranie. Ostatni argument pozwala nam spodziewać się, że ze względu na wielką ilość świętych tureckich, rzeźba właśnie u nas kwitnąć by mogła. Jednakże nie kwitnie. W malarstwie nie zapędziliśmy wprawdzie jeszcze „w kozi róg“ Europy, jak to twierdzą niektórzy sprawozdawcy, jednakże posunęliśmy się znacznie naprzód nie tylko od czasów, gdy malarz za portrety jegomości i jejmości brał 50 złotych i wikt przy drugim stole, ale od czasów, gdy za największego malarza historycznego uchodził zasłużony skądinąd Lesser. W rzeźbie poczynamy dopiero! W Salonie naszym ostatecznie nie ma nic; za granicą, komu nie wmówiono wielkości Brodzkiego, który nie zdołał jeszcze zapędzić „w kozi róg“ Delaplanchów, Mercierów, takich Dubois, Carpeaux, Chapu etc. ten wie, że jedno nazwisko istotnie nie reklamą, ale siłą talentu poczyną wybijać się na wierzch, to jest nazwisko Piusa Welońskiego.

W roku 1882 wystawił właśnie Weloński świeżo swego *Gladyatora*. Sienkiewicz widział go dawniej jeszcze, przed trzema laty, za swego pobytu w Rzymie. *Gladyator*, obecnie odlany w bronzie, rodził się dopiero wówczas z gliny, ale już potężny tors i głowa były zupełnie wykończone, a dłoń wznosiła się ku Cezarowi na potwierdzenie posępnych słów: *morituri te salutant*. Jednocześnie wykończył wtedy Weloński dwa popiersia: Henryka Siemiradzkiego i sędziwego malarza Stankiewicza.

Z tym pobytom w r. 1879 w Rzymie łączy się dla Sienkiewicza szereg nader miłych wspomnień, którym dał wyraz w tejże *Kronice tygodniowej*, a które niewątpliwie stały się psychologiczną genezą tych rozdziałów z *Bez dogmatu*, gdzie Płoszowski spędza po kilka godzin dziennie z rzeźbiarzem Łukomskim, bądź w jego pracowni nad Tybrem, bądź w muzeach rzymskich.

Te rzymskie wspomnienia długo zostaną mi w pamięci. Marmury, posągi, ruiny, dzieła sztuki, wycieczki za miasto do katakumb lub pobliskich willi, błękitne krajobrazy Kampanii poprzecinane twardymi liniami akweduktów, wszystko to, gdy raz odbije się w mózgu, utrwała się w nim na zawsze. A przytem z takiej wycieczki unosi się wspomnienie całkowitego oderwania się od rzeczywistego świata, od prozy życia,

i wspomnienia rozmów, w których, jakoby w owych słynnych *Causeries florentines*, rozprawia się wyłącznie o sztuce i jej mistrzach. Sędziwy Stankiewicz pamięta pobyt Mickiewicza w Rzymie i opowiada szczegóły, które innym wyszły już z pamięci. Należy on do ludzi, którzy o wielkim poecie mówią „pan Adam“, bo znali go osobiście i tak mówili do niego. Pius Weloński jest znowu znawcą i tak zapalonym miłośnikiem Rzymu, że gotów każdego, kto chce, oprowadzać po całych dniach i tłumaczyć każdemu dzieła sztuki i zabytki. Jest to jeszcze młody zupełnie człowiek, pełen zapału i prostoty, artysta na wskrós, trochę marzyciel¹⁾, a przytem, co rzadko z marzycielstwem chodzi w parze: człowiek żelaznej pracy¹⁾.

Czyż nie można tej charakterystyki Welońskiego dosłownie zastosować do rzeźbiarza Łukomskiego z *Bez dogmatu*?

Do tejże epoki działalności Sienkiewicza, jako krytyka malarskiego, odnosi się następujące zdarzenie, opowiedziane przez Witkiewicza w jego rewolucyjnej książce o *Sztuce i krytyce u nas*, a godne przytoczenia na tem miejscu:

Przed kilkunastu laty, Cyprian Godebski, oburzony gospodarką owoczesnego komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, w jednym ze swoich artykułów w *Gazecie polskiej* wyraził zadziwienie z powodu, że doskonały portret Rodakowskiego zawieszony jest gdzieś pod sufitem, podczas kiedy roboty takich fabrykantów pierników, jak Lesser et consortes, zajmują najlepsze miejsca na wystawie przez całe lata. Tak stanowcze i bez żadnych obślonek wypowiedziane zdanie o jednym „z powszechnie wówczas cenionych koryfeuszów historycznego malarstwa“ wywołało skandal. Posypały się protesty „w imię godności“ prasy, krytyki, rodziny, moralności, społeczeństwa... Stawali świadkowie, którzy się kleli, że znają Lessera od kolebki i wiedzą, że zawsze był najlepszym synem, bratem, kolegą, właścicielem domu i t. d. W. A. Maciejowski wołał, że przecież go pamięta jako nadzwyczaj pilnego i posłusznego swego ucznia jeszcze na ławie szkolnej. Wszyscy przyznawali Lesserowi cnoty i zasługi obywatelskie, lecz o sztuce, o prawdzie, nikt nie mówił; nikt nie starał się dowieść, że Lesser nie jest fabrykantem pierników, nikt nie próbował udo-

¹⁾ *Słowo* z 21 stycznia 1882.

wodnić, że oglądanie przez lat siedem zbliżka jego dzieła jest korzystnem dla społeczeństwa. O tem nie było mowy.

Natomiast posypały się insynuacye na Godebskiego. Jedno z pism, bodaj *Kłosy*, napisało, że p. Godebski tym tylko artystom oddaje sprawiedliwość, którzy u niego bywają na kolacyach!

— Nieprawda! — odpowiedział Litwos — p. Lesser nie bywa u p. Godebskiego wcale, a jednak ten oddał mu zupełną sprawiedliwość!

Tej świetnej odpowiedzi *Gazeta polska* jednak wydrukować nie chciała.

V.

KRONIKI TYGODNIOWE I FEJLETONY W „SŁOWIE”.

(1882—1883).

Z dniem 1-ym stycznia 1882 roku zaczęło w Warszawie wychodzić pismo codzienne p. t. *Słowo*. „Co do celów, głosił zwięzły artykuł wstępny *Od Redakcyi*, pragniemy przede wszystkim krzewić wśród naszego społeczeństwa zasady zdrowego postępu, który zdrowym jest wedle naszego zdania wówczas, gdy umie godzić nowe idee, nowe zdobycze umysłowe z miłością i poszanowaniem do wszystkiego, co tradycya przekazała nam jako nasze, jako cne i uczciwe, i co po wszystkie czasy było podstawą naszego żywota. Inaczej mówiąc, ideałem i przewodniem pismem naszym będzie rozwój na gruncie rodzimym“. Z tegoż artykułu wstępnego dowiedzieli się czytelnicy nowej gazety, że na wydawcę jej przedstawionym został do zatwierdzenia Głównego Zarządu Prasy w Petersburgu Antoni Zaleski, na redaktora zaś Henryk Sienkiewicz, „który też z dniem dzisiejszym obejmuje kierownictwo naszego pisma“.

Prócz ogólnego kierownictwa objął w niem jeszcze Sienkiewicz, jako Litwos, dział „kronik tygodniowych“ w feljetonie, a pierwsza z nich ukazała się zaraz w pierwszym numerze. Było to w kilka dni po smutnej katastrofie na schodach kościoła Ś-go Krzyża, która to katastrofa zakończyła się pamiętnem... biciem żydów, rozbijaniem sklepów żydowskich etc., co znowu zakończyło się zbieraniem składek na ofiary tej barbarzyńskiej *judenhecy* i t. d. Pod świeżem wrażeniem tych wypadków, smutnych z jednej strony, a pocieszających z powodu swych humanitarnych następstw, rozpoczął Sienkiewicz swą pierwszą *Kronikę tygodniową* w *Słowie*.

Stary rok zakończył życie, jak dobijany dziki zwierz, szarpiąc ludzi kłami i pazurami. Zaburzenia, pożary i hekatomby ludzkie: oto, o czym muszą być zapisane ostatnie stronicie kroniki rocznej. Wśród tych ciemnych wspomnień jedynym światłem jest gwiazda miłosierdzia, ku której wyciągają ręce nieszczęśliwi (między nami jest ich najwięcej, dlatego też i to błogosławione światło świeci najsilniej). Tę gotowość w kraju i w mieście do niesienia pomocy wszystkim bez względu na wyznanie i narodowość, to poczucie obowiązku niesienia pomocy i tę hojność w datkach, zapisać możemy w rachunkach naszych jako *credit* społeczne. Jest to zarazem odpowiedź niechętnym, którzy by chcieli oskarżać nas, iż nie jesteśmy lepsi od innych, że napróżno tem chwaliłiśmy się do niedawna. Napewno nie jesteśmy gorsi, bo nigdzie nadużycia nie wywołały tak jednomyślnego protestu i nigdzie szkód nie starano się tak skwapliwie naprawić. Można by nawet powiedzieć, że czas na smutek jeszcze nie nastąpił, bo poświęcono go na ratunek. Rozpamiętywania na potem. Owóż w ten sposób postępują tylko takie społeczeństwa, w których żywotność jeszcze nie zamarła i złe instynkta nie wzięły góry. Nie uczyniliśmy dotąd wszystkiego, wiele jeszcze zrobić należy, ale też nikt rąk nie opuszcza: składki płyną, komitety działają, opinia piętnuje warcholów. Pewien stary kronikarz niemiecki, pisząc o oblężeniu jednego ze znaczniejszych miast polskich, tak mówi: „Nie mogliśmy zdobyć na nich onego miasta, bo gdy uczyniono wyłom w murach, zaraz oni zasłaniałi go ciałami swemi, a gdy jedni polegli, drudzy z największą skwapliwością na ich miejsce spieszyli, dając odpór tak silny, iż ze wstydem musieliśmy ustąpić“... Oby tak ze wstydem ustąpiły wszystkie biedy i klęski, alarmujące od niejakiego czasu do naszego miasta; ustąpią zaś z pewnością, jeżeli będziemy dawali odpór tak silny, jak dawni nasi rycerze, i jeśli wytrwamy. O to najtrudniej, bo nie wszystkie biedy dadzą się naprzód wyrachować, i nie wiemy dokładnie, co nas czeka. W każdym razie na różach spać nie będziemy. Klęska wywołuje drugą klęskę i złe fale rozchodzą się coraz szerzej.

Ale co mogło być przyczyną tej ostatniej klęski, która, bądź co bądź, jako objaw społeczny, musiała mieć swe psychologiczne uzasadnienie? Niektórzy przypisywali ją podziemnym knowaniom „partyi socyalnej“. Zdaniem Litwosa nie to spowodowało katastrofę, gdyż socyalizm nie może się przyjąć należycie na naszym gruncie.

Mogą u nas istnieć umysły skłaniające się teoretycznie ku socyalizmowi, tak jak w każdym społeczeństwie istnieją wyznawcy wszelkich teoryi społecznych, ale zorganizowanej partyi socyalnej nie było i niema.

Inteligentna ludność nasza zbyt wiele ma miłości do kraju, aby miała podawać ucha doktrynom z natury swej kosmopolitycznym, wielkie zaś organizacje tylko w inteligencji mogą powstawać. Być może, że mamy socjalistów importowanych, ale ci, nie znając ani ducha, ani języka mas, nie mogą mieć między niemi posłuchu.

Za to nie brak u nas ludzi, którzy rozsiewają pomiędzy prostaczkami najpotworniejsze wieści innego rodzaju, wieści, które naprawdę nie są czem innem, tylko bezsensownemi plotkami, które jednak, krążąc wśród nieoświeconych mas, nie mogą nie pozostawać bez ujemnego na nie wpływu. Oto n. p. jaka pogłoska zaprzętała umysły naszych maluczkiech z powodu zapowiedzianego przyjazdu do Warszawy Sary Bernhardt, opowiadano sobie mianowicie, że miasto nasze nawiedzić ma wkrótce „czarownica, która nazywa się *Szara Bera*“.

Kumowie i kumoszki szepcą sobie do ucha, że gdzie tylko *Szara Bera* się pojawi lub gdzie tylko zamierzy przybyć, tam rodzą się kłęski. Była, mówią, w Wiedniu, i zaraz parę tysięcy osób się spaliło (podczas pożaru Ringteatru); przybyła do Rossyi, i także „złe“ przyleciało natychmiast; ma przybyć do nas, i już zdarzyło się nieszczęście (przed kościołem Świętego Krzyża).

A zaraz po tem nieszczęściu nastąpiło inne: jeden z największych pożarów, jaki Warszawę nawiedził ostatnimi czasy.

Ów rok nieszczęść, rok 1881, jeszcze w ostatniej chwili swego istnienia pragnął się upamiętnić kłeską. Z soboty na niedzielę, około godziny 10-tej, ogromna łuna zaświeciła nad miastem od strony Wisły. Na pierwszy rzut oka, po olbrzymich czerwonych kłębach, przewalających się gwałtownie i wybuchających w górę, można było poznać, że pożar jest wielki. Ludzie na ulicach stawali w małych gromadkach, a na ich twarzach, oświeconych złowróżbnym odbłaskiem, malował się niepokój, troska i trwoga. „Czy to jeszcze co takiego?“ pytali jedni. „Kara boża!“ szeptały gdzieindziej wystraszone głosy wyrobników i kobiet z ludu. Tymczasem wybiła jedenasta i dwunasta, pożar nie ustawał: paliła się fabryka Raua, od niedawna już po raz drugi.

Kto wie, czy pomiędzy owymi wyrobnikami i kobietami z ludu nie było takich, którzy i ten pożar wiązali w swym umyśle z przyjazdem *Szarej Bery*, podobnie, jak jej przypisywali

katastrofę świętokrzyską... W każdym razie „złośliwością i ironią losu“ była okoliczność, że „wybuch przeciw żydom, rabunki i kradzieże wypadły w dniu narodzenia Chrystusa, który głosił przebaczenie nawet dla wrogów i nieprzyjaciół“.

Zaprawdę Nowy Rok bierze po starym ciężką spuściznę, ale też winien zapatrzyć się w słowa: „I odpuść nam nasze winy!“ Przebaczenia, wyrozumiałości i miłosierdzia potrzeba nam teraz tyleż, ile i energii. Może też zawita wreszcie czas lepszy: czas zdrowia społecznego, cichej pracy, sprawiedliwości dla wszystkich. Musi w to wierzyć każdy, kto wierzy w słowa poety, że „ludy płyną w postęp, jak łańcuch żórawi“. Bez takiego ideału i takiej wiary byłoby nam bardzo ciemno: chyba łuny pożarne rozświecałyby ciemności. Spokoju i zdrowia życzymy przy Nowym Roku naszym czytelnikom, a także i wytrwania w pracy, bo wedle słów dawnej piosenki: „Niewolno nam marszczyć czoła, niewolno się smucić“.

W chwili, gdy Sienkiewicz pisał te słowa, człowiekiem, o którym w Warszawie mówiono najczęściej, był Stefan Scholz Rogoziński, organizator „polskiej wyprawy w głąb Afryki“. Jak zwykle w takich razach, jedni byli za podobną wyprawą, drudzy nie traktowali jej na seryo. Sienkiewicz należał do pierwszych, tak dalece, że w swej *Kronice warszawskiej*, wydrukowanej w N-rze 5 *Słowa* z dnia 7 stycznia, poświęcił jej cały feljeton, gorąco przemawiając za tem śmiałem przedsięwzięciem przyszłego „Stanleya polskiego“ (jak już niektórzy z góry Rogozińskiego nazywali).

Że wśród naszych bied, utrapień i smutków organizujemy jeszcze wyprawę do środka Afryki, to doprawdy dowodzi, że jakkolwiek na nasze pochyle drzewo społeczne od niejakiego czasu kozy skaczą, puszcza ono jednakże zielone pędy i ma jeszcze w sobie coś życiowych soków.

Wprawdzie nie brakło takich, co utrzymywali nie bez pewnej słuszności, że mamy wiele ważniejszych spraw do załatwienia, że jesteśmy za biednym narodem, by sobie pozwalać na podobne wybryki, ale, zdaniem Sienkiewicza, pomimo biedy, ponosimy także wydatki na teatr, bale, rauty, koncerty, Hersego, Bezika, Bakarata, śrubę etc., że „przy średnich oszczęd-

dnościach zdołalibyśmy załatwić za nie nietylko kilka spraw najpilniejszych, ale ze względów na przyzwoitość zakupić czerwone fraki dla wszystkich nagich królów murzyńskich i wachlarze dla wszystkich królowych, z którymi się naszej wyprawie zetknąć przyjdzie". Nie trzeba tylko za daleko posuwać utylitaryzmu.

Utylitaryzm, dopatrujący krótkim wzrokiem we wszystkich sprawach bezpośredniego pożytku, nie jest przymiotem wielkiej wagi i cechą żywotnych społeczeństw. Chińczycy n. p. są narodem wielce rozsądnym: przedewszystkiem pytają o pożytek; ale ten właśnie materializm praktyczny, ten brak zapału, ta niezdolność do poświęcania się w sprawach więcej idealnej natury, wyrodziły w nich gnuśność, a w całym społeczeństwie zastój. Są to starcy bez wyobraźni, sądzący trzeźwo i praktycznie, niezdolni jednak iść naprzód, zaślepieni i skostniali. Tem się tłumaczy, dlaczego cywilizacya chińska od tysiąca lat nie posuwa się naprzód. Żywotne narody europejskie stwierdzają właśnie swą żywotność tym niepokojem i zapałem ducha, który nie szukając nawet bezpośredniego pożytku chce zbadać wszystko, odkryć, zwiedzić, sięgnąć, jak młodość w mickiewiczowskiej odzie, tam gdzie myśl nie sięga, który dla spraw wiedzy nie szczędzi ofiar, ani krwi, ani złota. Im w trudniejszych warunkach znajduje się jakie społeczeństwo, tem lepsze daje świadectwo swym siłom wewnętrznym, swej zdolności do życia, jeśli ogólnie ludzkie sprawy postępu obchodzą je jaknajśilniej, jeśli zawsze gotowe jest wziąć w nich udział i zaznaczyć swoją obecność. Cywilizacya jest to wielki gmach, którego ściany wznosi cała ludzkość. Gdy zdarza się sposobność ponieść cegłę, nie trzeba się nigdy wahać.

Niezależnie od tego widział Sienkiewicz w takiej wyprawie w głąb czarnego lądu niemało elementu poetycznego i dlatego budziła w nim ona niemały zapal, choć pewno nie prze-czuwał jeszcze, że i on kiedyś do środka tej samej części świata zapuszczać się będzie.

Część wyprawy pozostanie na brzegu, jako rezerwa, inni zaś przez pustynie, góry i lasy pójdą dalej. Czem jest to *dalej*? niech czytelnik w swej duszy dośpiewa... Murzyni, słonie, gorylle, gwiazdziste noce z orkiestrą głębokich basów lwich, romans Verne'a, Tysiąc nocy i jedna... a cel poważny i naukowy!... Zaprawdę, niejedna głowa się zapali i nie-jeden kandydat jeszcze się zapisze. O ile wiemy, między temi kandydatami niema dotąd żadnego z warszawskich literatów. Jest to klasa ludzi

niezmiernie czuła na powaby białogłowskie. Niektórzy z nich należą do niestających mieszkańców miasta, ale wszyscy do stałych wielbicieli płci słabej a zdradliwej. Ztąd żenią się wcześniej, a z wyprawami o tyle tylko wchodzą w stosunki, o ile każda młoda żona wnosi do domu wyprawę. Przytem narażać swoje literackie ciało na lwie zęby lub ludożercze żołądki!... Nie śmiem przypuszczać razem ze Słowackim, aby jaki zwierz po zjedzeniu każdego z nas uczuł „czczość” dziwną“. Przypuszczam nawet przeciwnie, że łatwiej by mu przyszło zjeść którego z nas, jak strawić, ale robię tylko skromną uwagę, że odszukać zginionego w ten sposób byłoby trudniej jeszcze, niż odnaleźć Livingstona.

Nierównie więcej zapалу, aniżeli dla wyprawy Rogozińskiego, okazywał świat literacki warszawski z powodu gościnnych występów Sary Bernhardt na scenie Teatru Wielkiego.

Przyjechała наконец! Jeszcze w Wiedniu miała podobno powiedzieć, że winna to jest społeczeństwu, którego synowie przelewali niegdyś krew za Francję... Oto, co się nazywa płacić dług z czubem. Przygniecenie jesteście, o pani, taką nagrodą... Obecnie z jednego końca miasta na drugi przebiega słowo: „przyjechała!“ Tak jest. Posłuchajmy, jak było. *Prolog*: owinięta w białą chustkę przemknęła się jak widmo z wagonu przez peron i salę. Podobno ziemi nie tykała: błysnęła, znikła i... zapewne zjadła kolacyjkę. *Akt pierwszy*: wystąpienie. Noc! pochodnie strażaków rzucają jaskrawe światło na błoto ulicy Wierzbowej. Szczęściem Sarah jest już w teatrze, inaczej mogłaby wykrzyknąć: „Ach, ten Apfelbaum!“ I pan antreprenier do wywożenia błota więcej by się zasnuć, niż smuci się z kar, jakie na niego nakłada magistrat. Ale mniejsza o to. Sarah tedy jest w teatrze. Za kulisami ruch, fraki, białe krawaty, miny uroczyste. Co za przyjęcie! Toż będzie kontenta! Nagle z za kulis słychać głos Sary w tonie c wysokie: „Jeśli tu wszyscy będą chodzić, to ja nie będę grała! Nie gram, jadę! Nie gram! Nie gram!“ (forte). Diva jest rozdrażniona. Krzyczy, że zimno, że piece dymią. W czasie tego ubiera się. Dzwonią: publiczność zatrzymuje dech w piersiach. Sarah na scenie. Aa!... Uwagi, spojrzenia, refleksye... Jest powiewna, jest szczupła, jest bardzo szczupła, jest tak szczupła, że jeden z obecnych doktorów robi dwuznaczną uwagę, że na płuca może być chora, ale na piersi nigdy... Czemuż jest Sarah! Uosobioną chwałą. A chwałą? Cieniem, powiada Szekspir. Jak wszyscy Francuzi, tak i Sarah zapewne nie lubi Szekspira. Jednak ten *cień* ma piękne giesty i dobywa nad podziw mocnego głosu.

Pierwszy występ Sary był w *Damie kameliowej* Dumasa, co się wielu warszawskim świętoszkom nie podobało. Znaleźli

się nawet tacy, co z tego powodu czynili zarzuty artystce, jak mogła występować w *takiej* roli. Litwos nie dzielił tego zaściankowego poglądu i stanął w obronie Sary, jak wogóle aktorów.

Czyż oni to winni, że autorowie piszą takie sztuki, a nie inne, i czyż oni winni, że publiczność woli takie sztuki od innych? Takie to czasy przyszły. Na muzy, bogów i boginie nie chcemy patrzeć, chyba że... tańczą kankana na nutę Offenbacha. O tempora, o mores! Co się i z samą Grecją stało! Na Olimpie tessalskim obrali sobie mieszkanie rzezimieszki. Gdy ich stamtąd wypędzą, powstanie zapewne hotel i restauracya. Aktorowie są to języki, któremi smak publiczny liże to, co mu smakuje, ale nie oni winni.

W następnej *Kronice tygodniowej*, wydrukowanej dnia 14 stycznia, także teatr i Sarah Bernhardt najwięcej zajęły miejsca. Miało się już pod koniec występów słynnej „Francuzicy“ a zatem i „spłacie długu zaciągniętego pod Samosierra, Arcis sur Aube i w wielu innych miejscowościach“, gdzie nasi przodkowie przelewali krew za Francję... „Ktoś wprawdzie powiedział, że jeśli Sarah chciała spłacać dług, niechby była grała darmo. Ale niech Pocię Macieja ma za dobrodzieja. Tamto darowujemy, bo taka nasza fantazyja, a za to zapłaciłimy i... pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi“. Z powodu wystąpień Sary warszawska mania mówienia po francuzku wpadła w nowy paroksyzm, co oczywiście nie mogło ująć baczności takiego obserwatora, jak Litwos.

Na piątkowym przedstawieniu *Spinka* w całym teatrze mówiono ze sobą po francuzku, zapewne na cześć artystki, a i grasejowano tak po parysku, jak w *Café anglais* o godzinie 12-tej w nocy. W powietrzu unosiły się perfumy paryskie, a ktoś nawet zapytany przez woźnego o bilet, nie dosłyszawszy, o co idzie, jakkolwiek nigdy przedtem nie mówił po francuzku, spytał: „Kua?“ głosem tak gromkim, że biedny woźny przestraszył się. Tak! Pod względem francuzczyzny jesteśmy konserwatywni. W Krakowie mówią po polsku, a u nas nie! Przecie większe miasto, większy szuk! Teraz import guwernantek z językiem i z muzyką jeszcze wzrośnie, a po odjeździe Sary Chevalier Zielonogłowski nie będzie rok rozmawiał inaczej z panną Dziurdziulewicz, jak po francuzku, dodając tylko czasem dla równowagi: *Comment ça s'appelle en polonais?.. Chose!... Machine! Ps! Ps!* Istny książę de Morny!... Chciałbym prze-

robić znany i niegdyś popularny wiersz w ten sposób: „Parlujcie Polki! Teraz czas parlować!“ Ale by się na nic nie przydało...

Francuzi jednak, pomimo tej naszej sympatyj dla nich, nie odwzajemniają się nam, zwłaszcza od czasu wojny prusko-francuzkiej, pięknem za nadobne. „W ostatnich sztukach francuzkich bardzo często rolę drapichrustów odgrywają Polacy, ale to nie dziwnego: mamy przecie tyle sympatyj do Francyi, a między przyjaciółmi takie szlachetne żarty uchodzą“.

Swoją drogą i sam Sienkiewicz nie był wolny od szczerzej sympatyj dla pewnych Francuzów, tym zaś, do którego może ze wszystkich czuł największą słabość, był Alfons Daudet. Gdy wyszły jego *Ballady prozą*, w feljetonie *Słowa* z dnia 27 stycznia ukazał się przekład jednej z nich, mianowicie *Śmierci Delfina*, a w nagłówku nie zatajono nawet, że balladę tę „przełożył H. S.“ Że te inicjały oznaczały Henryka Sienkiewicza, domysleć się nie trudno. Co do przekładu samego, to nie ustępuje on w niczem oryginałowi.

Mały Delfin jest chory, mały Delfin umiera. We wszystkich kościołach Królestwa Najświętszy Sakrament dzień i noc stoi wystawiony i wielkie świece płoną za wyzdrowienie królewskiego dziecka. Ulice obok starej rezydencji smutne są i milczące, dzwony nie dzwonią, powozy idą noga za nogą. Przed dziedzińcem pałacowym ciekawi mieszczanie patrzą przez kraty na szwajcarów w złocistych kamizelach, którzy rozmawiają w dziedzińcu, a twarze mają poważne. Cały zamek w ruchu. Szambelanowie, majordomowie biegają w górę i na dół po marmurowych schodach. Galerye pełne są panów i dworzan w jedwabnej odzieży, ci chodzą od gromadki do gromadki, by jaką uchwycić nowinę. Na tarasach zapłakane damy honorowe ocierają sobie oczy haftowanemi chustkami. W oranżeryi zebrali się doktorzy w togach. Widać przez szyby, jak poruszają się ich długie, czarne rękawy, a głowy w perukach kiwają się poważnie. Guwerner i koniuszy małego Delfina przechadzają się przed bramą, czekając, co powie konsylium. Pan koniuszy klnie jak poganin, guwerner recytuje wiersze Horacyusza. Tymczasem ze stajni dochodzi rżenie żalonne: to bułanek Delfina, o którym dziś zapomnieli masztalarze i który się odzywa przed swoim pustym żłobem. A król? Gdzie jest król jego mość? Król zamknął się w swoim pokoju, na krańcu zamku. Monarchowie nie lubią, by ich widziano płaczących. Co do królowej rzecz inna. Siedzi ona u wezgłowia małego Delfina z piękną twarzą, zalaną łzami,

i szlocha jak prosta mieszczanka. Na swem posłaniu z koronek, mały Delfin bielszy od poduszek, na których się wspiera, spoczywa z zamkniętymi oczyma. Myślałby kto, że śpi, nie. Mały Delfin nie śpi. Zwraca się on ku matce i widząc, że płacze, tak do niej mówi: „Czego płacze wasza wysokość? Czy myślisz matko, że ja tak umrę jak inni?“ Królowa chce odpowiedzieć. Łzy przeszkadzają jej mówić. „Niechaj nie płacze wasza wysokość, nie płacz mamó. Pamiętaj, że jestem Delfinem, a Delfin nie może tak umrzeć“... Królowa szlocha jeszcze głośniejsze, i mały Delfin przestraszać się zaczyna. „Hola! mówi, nie chcę, by śmierć przyszła mnie zabrać, i będę się umiał jej bronić. Niech tu zaraz przyjdzie czterdziestu drabantów, niech trzymają straż około naszego łóżka. Niech sto armat, lonty zapalone! czuwa pod naszymi oknami. I biada śmierci, jeśli się ośmieli zbliżyć do nas!“ By się nie sprzeciwić królewskiemu dziecku, królowa znać daje: natychmiast słychać hurkot stu wielkich armat w dziedzińcu i czterdziestu drabantów z rohatynami w ręku zaciąga wartę w pokoju. Stare to wiarusy z siwemi włosami. Mały Delfin klaszcze w ręce, mały Delfin ich zna i umie nazwać po imieniu. Poznaje jednego i woła. „Loren! Loren!“ Wiarus się zbliża do łóżka: „Mój stary Loren, jak ja cię kocham!“ Pokaż mi swoje szablisko. Jeśli śmierć zechce mnie zabrać, ty śmierć zabijesz, nieprawda?“ „Według rozkazu, wasza wysokość!“ odpowiada Loren, i dwie ciężkie łzy spływają mu po zawiędłej twarzy. W tej chwili ojciec jałmużnik zbliża się do małego Delfina i cichym głosem mówi mu coś długo i pokazuje krucyfiks. Mały Delfin słucha z twarzą zdziwioną i nagle przerywa: „Rozumiem dobrze, powiada, co mówisz ojcze, ale czyby mój mały przyjaciel Beppo nie mógł umrzeć za mnie, gdyby mu dać dużo pieniędzy?“ Jałmużnik znowu zaczyna mówić cichym głosem, a mały Delfin dziwi się coraz bardziej. A gdy jałmużnik skończył, mały Delfin tak mówi z ciężkim westchnieniem. „Oj smutne to, ojcze, co mówisz i to mnie tylko pociesza, że tam wysoko, w raju między gwiazdami zawsze będę Delfinem. Wiem, że Bozia mój kuzyn i że mnie przyjmie według godności mojej“. A potem mały Delfin zwraca się do matki i rzecze: „Niech tu przyniosą moje najpiękniejsze odzienie, mój płaszcz z gronostajów i aksamitne trzewiki. Chcę ładnie wyglądać między aniołkami i wejść do raju w ubiorze Delfina“. Po raz trzeci jałmużnik schyla się nad małym Delfinem i coś długo mu prawi cichym głosem. Aż w środku dziecko królewskie przerywa mu nagle z gniewem: „Więc być Delfinem, woła, to nie nie znaczy?“ I nie chcąc już więcej słyszeć o niczem mały Delfin odwraca się do ściany i płacze gorzko.

Kronikę tygodniową w Nrze 22 z dnia 28 stycznia zaczął redaktor Słowa od charakterystyki świeżo wydanych Szkiców Klina.

Szkice Klina! Część druga, zeszyt pierwszy! Mea culpa! nie znam części pierwszej i jej wszystkich zeszytów. Autor przytacza wprawdzie wyciąg z recenzji, umieszczonych w różnych pismach, ale istotnie dowiaduję się z nich 1) że Klin ma talent, 2) że Klin niema talentu, 3) że włada wybornie językiem, 4) że nie umie po polsku, 5) że jest oryginalny, 6) że nie jest oryginalny. Razem: nie dowiadują się niczego. Autor nie dodał ani słowa objaśnienia do tych sprawozdań, w nadziei zapewne, że czytelnik będzie wiedział, co o nich myśleć. Pewien filozof, wpadłszy w przepaścisty dół, wykrzyknął: Boże, jakżem ja głęboki! Tymczasem nie on był głęboki, ale dół. Klin nie popełnia tej omyłki, daje tylko do zrozumienia, że ponieważ recenzje były płytkie, a zatem!... Ten autor rumieni się, spuszcza oczy i mówi: dokończcie! Niechaj to anioł harmonii w niebiosach i czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa.

Ogólne wrażenie, jakiego się doznaje po przeczytaniu tej drugiej części *Skiców*, zatytułowanej *U drogowczaku*, da się sformułować w ten sposób:

Stoją rzesze, a przed nimi Klin. Rzesze nie wiedzą, dokąd iść, nowy prorok pokaże im drogę, i w tym celu tak mówi poczyną: „Dro-dzy moi, jesteście osły! Przedewszystkiem tedy skończcie po pierwsze z mniemaniem, że jesteście ludźmi, że wiecie, co jest samowiedza, filozofia, ostateczna przyczyna, pozytywizm, gospodarstwo społeczne, kacerstwo, snyderstwo i inne tym podobne idee; a powtóre“... „A powtóre?“ przerywają zdrętwiałe rzesze. „Powtóre jesteście osły. Czy myślicie, że macie jakich uczonych? Jest tam niby jakiś Kopernik, w literaturze zaś Mickiewicz, ale i ten nieszczególny. Słowackiemu czasem się może coś udało, ale zresztą sałata. Głowy polskie, jak i cały kraj, płaskie, przed każdą kwestyą cofacie się, jak rak. Jesteście ciemni, jak tabaka w rogu, a zresztą wszystko głupstwo i to jest właśnie, co miałem powtóre powiedzieć“. „A po trzecie?“ „Po trzecie także jesteście osły“. „No, ależ gdzież mamy iść od tego drogowczaku?“ „A cóż to ja jestem pastuchem? Może jaka Tytania w was się zakocha, ale cóż mnie to może obchodzić. W drugim zeszycie dowiodę wam z równą jasnością, żeście osły, a teraz... bądzcie zdrowi“.

Cóż dziwnego, że wobec takich wywodów zdania recenzentów są sprzeczne, bo gdy ludzie pokorniejszego ducha odrazu zgodzą się na trafność rozumowania Klina, inni, śmielsi, pomyślą zgoła co innego. Co do mnie, więcej dziwię się różnicy zdań o języku Klina, przypomina on bowiem stanowczo bruk na ulicy Kruczej. Wiadomo, że ten bruk, tworząc naturalne góry i przepaście, czyni miasto nasze niezdołym... Otóż język Klina najeżony jest równieży trudnościami. Przeprowadzenie przez *Szkice* niełatwa, dojazd jeszcze trudniejszy, a odkrycie myśli autora redukuje

do wysokiego stopnia te przeszkody, na jakie natrafić może zamierzona wyprawa afrykańska.

Myśl o wyprawie afrykańskiej nasunęła się Sienkiewiczowi z powodu odczytu, jaki w tych czasach wygłosić miał w sali ratuszowej Stefan Rogoziński. Odczytowi temu mającemu poprzedzić wyjazd młodego podróżnika do Afryki, wróżył Sienkiewicz z góry ogromne powodzenie: przewidywał na nim zwłaszcza znaczną ilość kobiet. Albowiem „jak miło jest popatrzeć na człowieka, którego za kilka miesięcy może zjeżdżać. Murzynki mogą mieć także apetyt, a to taki przystojny człowiek! Faktem jest, że odebrał już kilkanaście listów, których autorki pytają, czyby nie mogły wziąć udziału w wyprawie. Widocznie kobiety bardziej są przedsiębiorcze od mężczyzn, i nie lękają się dróg, równie niepewnych, jak niebezpiecznych.

Tymczasem wyszedł w Warszawie przekład polski nowej powieści Oktawiusza Feuilleta *Histoire d'une parisienne*, co przetłumaczono *Historia jednej paryżanki*.

Przypomina nam to słynny w swoim czasie dosłowny przekład: „Przez niebieskie! krzyknął wice-hrabia i wychylił kieliszek Świętego Juliana“. Zresztą ta historia *jednej paryżanki* jest stara i nudna, nie tylko dlatego, że „w księdzu Kiefalińskim znika Szekspir“, ale dlatego, że wszystkie te powieściowe paryżanki kończą tak samo: mąż, żona i kochanek, upór, upadek, zemsta i wiecznie to samo. We Francyi już się tem ludzie przesycili, my ciągle jeszcze odgrzewamy, a to takie niestrawne!...

Nie znaczy to wszakże, by u nas nie było zamiłowania do literatury; owszem, że ono wzrasta, nawet w najniższych warstwach społecznych, dowodem fakt, że w tych czasach właśnie... okradziono kiosk Ungra ze szczętem, w drugim zaś, „zapewne przez miłość do literatury“, wybito szyby. Ale żart na stronę: podobne objawy mogą niepokoić ludzi myślących, podobnie, jak ich niepokoi pijaństwo warstw niższych, lub wzrastające zdziczenie moralne. Jak temu przeciwdziałać?

Jest jeden środek na pijaństwo, na próżniactwo, na judenhece, na zwiększającą się niemoralność, słowem na wszystkie biedy społeczne:

środkiem tym oświata. Gdyby ów dzielny zastęp, który burzył szynki, wiedział, że wybijając szyby, krzywdzi właścicieli domów, nie mielibyśmy judenhecy ¹⁾. Gdyby całe setki terminatorów rzemieślniczych nie rosły w błogim stanie niewiedomości złego i dobrego, pan Unger miałby całe szyby w swoich kioskach, a więzienia więcej lokalów wolnych. Jak Francuzi wypisują, gdzie mogą: *égalité, fraternité, etc.*, tak mądrzejsi od nich Amerykanie: *Knowledge is power*, wiedza to siła. My zaczynamy dochodzić do przekonania, że i ciemnota to siła, ale takiego rodzaju, że łatwo od niej w kark dostać.

Z powodu rozporządzenia zarządu pocztowego, że urzędnik, który odkryje w liście pieniądze przesyłane bez opłaty, staje się właścicielem trzeciej części tych pieniędzy, gdy znalazło się w wieku malkontentów, co sarkali na podobne wgłądanie do cudzych tajemnic, Sienkiewicz nie podzielał ich oburzenia, lecz przeciwnie uważał, że był to bardzo dobry i pożyteczny pomysł.

Moralny obywatel nie lęka się, by odczytywano jego listy, a jeśli pewność, że każdy list będzie odczytany, położy tamę, 1) listom miłosnym częstokroć godzącym na słabość niewieścią, 2) listom z prośbą o pożyczanie pieniędzy, 3) listom wymysławiającym, to nie bez racji będzie można twierdzić, że w życiu nie będzie nic sekretnego, że wszystko musi być jawnem, znanem, i że zyska na tem nawet cała ludzkość. Poczta mogłaby to poprzeć następującym przykładem. Pan X uchodzi za bogatego i ma córki na wydaniu. Oczywiście o córki te starają się młodzi ludzie, których hipoteki są tak ciemne, jak *Szkice* Klina, i starają się o bogate panny, właśnie w nadziei rozproszenia hypotecznych ciemności. Czekają więc zawód. Tymczasem ktoś szukający trzeciej części otwiera list pisany do pana X i znajduje stereotypowe słowa: Dzywuję się bardzo,

¹⁾ Z powodu obrazu krakowskiego malarza Koniuszki, przedstawiającego majstra i terminatora czytających gazetę, pisał Litwos w tymże feljetonie: „Gdyby p. Koniuszko był Warszawianinem, inaczej pojąłby swój obraz. Może ani pan majster by nie czytał, ani terminator. Między majstrami, u nas, jest niechybnie wielu ludzi porządných, którzy niekoniecznie krzyczą co poniedziałek: werda panie Szarucki!“ ale terminatorom brak opieki, brak bodźca innego do pracy, jak pociągiciel, brak oświaty, brak marałości; bo gdyby te przymioty mieli, musieliby je czerpać chyba z powietrza, a warszawskie powietrze zgoła z innych składa się elementów.

że pan żadnej raty obiecaniej na weksel nie nadesłał, etc... Wówczas odrazu robi się jasno i *komedia z pomyłek* jest niemożliwą, bo przecie pocztą od tego jest pocztą, żeby trąbiła“.

Jednocześnie, obok tych sarkau na zarząd pocztowy, sarkano na warszawskich woźniców, zwłaszcza na nieostrożną „kawalerską“ jazdę dorożkarzy 1-ej klasy, statystyka bowiem wykazała, że w ciągu roku na tysiąc mieszkańców Warszawy jeden musi być rozjechany przez dorożki, karety lub omnibusy. Zdaniem Sienkiewicza, który w tej kwestyi zabrał głos w swej *Kronice tygodniowej* z dnia 6 lutego, krzyki te nie były uzasadnione, bo nie należy mniemać, ażeby rozjechanie pociągało za sobą natychmiastową śmierć...

W większości wypadków kończy się na połamaniu rąk, nóg lub na stłuczeniu głowy. Otóż ma to wszystko swoje strony dobre i moralne, albowiem: 1) kto się lubi włóczyć po ulicach, ten w razie złamania nogi włóczyć się przestanie, a przez czas kuracyi może wejrzeć w siebie i poważniej spojrzeć na świat, 2) kto nie nie robi, ten nie wiele straci na złamaniu ręki, a 3) ten, komu stłuką głowę, zdoła przekonać ludzi w sposób stanowczy, że ją posiada, wiadomo zaś, że ludzi z głową nie mamy wielu.

Tymczasem, z powodu zmiennej aury, w mieście panował dyfteryt. Zdawałoby się, że jeżeli co, to epidemia taka, dziesiątkująca nie tylko dzieci, ale i dorosłych, nie zdoła dowcipnemu kronikarzowi *Słowa* podsunąć pomysłu do konceptu. Lecz stało się przeciwnie: Sienkiewicz potrafił nawet z takiego tematu, jak dyfteryt, wykrzesać iskrę humoru.

Pewien warszawski obywatel, który zapadł na tę straszną chorobę, wezwał natychmiast swego sąsiada doktora i rzekł: „Wszak mam dyfteritis?“ „Tak jest“. „A więc nie pozostaje mi, jak zrobić testament?“ „Wcale nie. Będziesz pan zdrów z pewnością. Na stu chorych na dyfteryt jeden wychodzi, a ponieważ 99 moich pacjentów już umarło, zatem pan musisz wyzdrowieć“. Chory, pocieszony w ten sposób, nie wahał się dłużej i począł pisać testament.

Pomimo grasującej epidemii, Warszawa, ile że był to właśnie czas karnawału, zabaw, oświadczyń, małżeństw i tym

podobnych uroczystości, tańczyła zapamiętałe. Na „gieldzie karnawałowej“ ruch ożywiał się z dniem każdym, a „tendencya do stanu małżeńskiego“ także wzmacniała się stopniowo. Swoją drogą, przepowiadał Litwos, z końcem karnawału wiele nadziei i wyrachowań spotka krach nieunikniony.

Spotka on przedewszystkiem tych młodych ludzi, którzy niby to szukają ciągle majątku do nabycia, a znaleźć go jakoś nie mogą. Na tak stare sposoby ryby się już nie łapią, również jak na amerykańskie spadki i na testamenty żyjących jeszcze wujaszaków. Od czasu jak wynaleziono filantropię i zapisy na cele publiczne, bezdzietni wujaszakowie zgola nie zasługują na przywiązanie i ufność siostrzeńców, którym czasem wcale nie miłe robią niespodzianki...

Ostatnia uwaga nasunęła się Litwosowi z powodu pamiętnego zapisu hr. Kajetana Kickiego, który, przez całe życie żył jak odludek w starokawalerskim stanie, a gdy umarł, cały olbrzymi majątek zapisał na osady rolne. Faktowi temu poświęcił Sienkiewicz w kronice swej dłuższy ustęp, a zakończył go takim obrazem:

Dziś śmiało już liczyć można, że za parę lat ponure ruiny starego zamczyska (w Orłowie), nad któremi unosi się jakaś legendowa groza, jakieś wieści o tragicznych losach, które jakoby tam się miały rozgrywać, zabrzmią odgłosami wesołej pracy ludzkiej. Puste, zabite deskami okna niedokończonego pałacu zapłoną ogniami warsztatów, a w miejscowym kościele szasemrze modlitwa za duszę tego posępnego odludka, który, jak się pokazało po jego śmierci, kochał jednak ludzkość mocniej i rozumniej, niż niejeden, co gotów jej służyć, ale pod warunkiem, żeby mu dawała „wikt“ i liberyę. Takich odludków, jak ś. p. Kicki, racz nam dać Panie!

Spraw również, byśmy na warszawskim bruku jaknajmniej spotykali obywateli wiejskich, którzy przenoszą się na stałe do miasta dla t. z. „edukacyi dzieci“, bo staje się to prawdziwą plagą społeczną.

Komu pan Bóg dał na wsi więcej dzieci, niż rozumu, i więcej chęci do wista w resursie kupieckiej, niż do pracy około roli, ten sprzedaje ojcowiznę w całości lub z pomocą parcelacyi, a sam osiada na stałe

w mieście „dla edukacji dzieci“. Wprawdzie Jasio i Kazio, chodząc do gimnazjum wprost z rodzicielskiego domu, pozostają takimiż samymi osłami, jakimi byli poprzednio, ale za to tatuś *procul negotiis* spędza czas wesoło i dobrze. Zrana odwiedza cukiernię i w gronie bliższych znajomych uprawia wielką politykę, wieczorem tnie wiścika do godziny 2-giej w nocy, i w ten sposób toczy mu się życie, czas, pieniądze. W samej Warszawie mnóstwo zadań oczekuje jeszcze rąk obywatelskich. Można w ostatnim razie być bodaj członkiem Dobroczynności, opiekować się ochronami lub czytelniami ludowymi, można przecie, dalibóg! znaleźć jakie prywatne lub publiczne zajęcie, ale nasz tatuś nie ma na nic czasu, albowiem bawi on w Warszawie dla edukacji dzieci... Dzieci więc rosną. Kizia i Mizia mają nauczycielkę z językami i uczą się fałszować Chopina, skutkiem czego Chopin przewraca się w grobie, ale nikt zresztą krzywdy nie ponosi...

O tem, żeby jednocześnie uczyły się czegoś praktycznego, n. p. sztuki kuchennej, nauki kroju, etc. niema mowy. Ani one nie mają ochoty po temu, zresztą nie uważają, żeby to było potrzebne dystyngowanym pannom, córkom ex-obywatela ziemskiego, ani on nie dopuściłby do tego, bo jeśli, wierny tradycji rodzinnej Orłowskich, nieчем się nigdy nie splamił (chyba kredką w resursie kupieckiej), to i w tym razie był z zasady przeciwnym wszelkim „praktycznym kształceniom kobiet“. Te same zasady sprawiły również, że go nie wymieniano po gazetach, jako jakiegoś członka jakiegoś komitetu, i że „nie obwiano potem w jego nazwisko pieprzu w sklepikach“. A Jasio i Kazio?

W gimnazjum nazywano ich wprawdzie osłami, raz dla ich nazwiska, a powtóre, że z nauką wchodzili o tyle w stosunki, o ile odwracali się do niej tyłem i wierzyli w nią zacięcie. Wobec tak silnej woli wszelkie napaści na nich geografii, historii, literatury okazały się bezsilne. Galilejczycy zwyciężyli. Zahartowani w tej walce, wyrosli zdrowi jak rydze, czerwoni jak buraki, i nie zapomnieli nigdy kim są. Nieraz w przerwach między lekcjami opowiadali kolegom o przodkach swoich: „... Jak w sławę znacznie rosły, Co to były za figury, Co to były za osły!“ Słusznie więc i Lis z bajki Morawskiego mógł im odpowiedzieć: „... jakżeś nierozsądny! Ciągłe swoich chwalisz przodków, I ty nie jesteś z wyrodków, I z ciebie osieć porządny“. Gdy wreszcie zupełnie wyrosli, każdy z nich kazał sobie zrobić bilety z napisem: „Chevalier de Osłowo Osłowski“, i szukają obecnie żon w czasie karnawału. Do „Nieobecnych“

nie należą. Gdy korki raz po raz strzelają u Stępkowskiego, to oni. Gdy po maskaradzie huczy gdzie jaka rajska kolacyjka, to oni. O! dzieci rodziców przybyłych „dla edukacyi“ do Warszawy! nie potrzebuję was szukać tam, gdzie sam nie bywam, bo gdy widzę pędzące dorożki pierwszej klasy i rozjeżdżające na tysiąc mieszkańców Warszawy jednego, to wy jesteście. Gdy spotykam młodzieńca, który całe życie szuka majątku do nabycia, a jakoś nigdy znaleźć nie może, poznaję jednego z was. A co się staje z tatusem, przyjeżdżającym dla edukacyi dzieci? Życie się przecoczyło, pieniądze także. Dzieci chowane pod osobistym dozorem tracić pomogły, i tatuś na starość ma obcasy nieco wykrzywione. Stał się także wielkim pessimistą. Nie wierzy w poświęcenie. Oto ja, mówi, poświęciłem się dla dzieci, sprzedałem majątek, przeniósłem się do miasta, nie robiłem nic innego, i jakżem wyszedł? Gdy spotkacie ludzi starych, znużonych, rozczarowanych, skwaśniałych, z pretensją do całego świata i osłaniających pretensyami pustki w głowie i w kieszeni, mówiących ciągle o dawnych swoich majątkach ziemskich, to wiedźcie, że to są ojcowie, którzy w swoim czasie przenieśli się do Warszawy dla edukacyi dzieci i „nic nie robili innego“. Wszystko złe wypłynęło właśnie z tej przyczyny, że nie robili nic innego. W edukacyi dzieci ważną jest rzeczą dozór, ważną wpływ rodzicielski, ważną bezpośrednie czuwanie, ale w edukacyi dzieci jeszcze ważniejszą rzeczą jest, by rodzice przekazali im tradycję pracy. Wy, co krzyczycie na brak poszanowania tradycyi, chciejcie wreszcie zrozumieć tych, co ją kochają szczerze, ale w jej jasnych i szacownych stronach. Tradycya może być złą i dobrą. Świętą jest tradycya miłości do kraju i tradycya pracy i tradycya zasługi, ale tradycya samowoli, bezkarności, tężyzny, zbytku i próżniactwa jest złą i należy ją wypędzić, należy wyświecić z miasta i kraju. Dzieciom waszym trzeba przekazać tradycję pracy. Trzeba koniecznie! Inaczej nie pomoże przyjeżdżać do Warszawy „dla edukacyi“. Są zapewne między wami ludzie, którzy przyjeżdżają zmuszeni okolicznościami, przybywszy raz, pojmują poważnie swe zadanie, ale kto przyjeżdża „dla edukacyi dzieci“, a następnie edukuje ich własnym przykładem na próżniaków, ten gubi przyszłość swoją i swojej rodziny. Ludzie tacy, pomnąc o swoim ex-obywatelstwie, o swoich ex-majątkach i o swem pochodzeniu, zostawiają dzieciom tylko pretensye, to jest gubią je z góry, bo z góry stawiają je w niezgodzie ze światem, który owych pretensyi do ex, ex... uznać nie może, bo nie mają one żadnej realnej wartości. Musimy mówić prawdę i nie ukrywać światła pod korcem. Zasługi przodków, jeżeli nie odnawiają ich zasługi potomków, błędna, jak błędna karmazyn i purpura na starych kontuszach. Dawne korony rdzewieją, pokrywają się pleśnią, a rdzę i pleśń z nich może zetrzeć tylko praca i jeszcze praca, stała, ciągła, niezmordowana, a czysta jak łaźnia i przedewszystkiem bonum publicum mająca na celu. Poeta ludowy, demokratą z krwi i kości powie-

dział w jednym ze swoich utworów. „Wy będziecie na świecie potrzebni na nowo, Nie z szablą i pancerzem, lecz z piórem i głową“... Pretensyi świat uznać nie może i ma słuszość! Te czasy, w których czczono jemię, minęły dawno i bezpowrotnie. Świat uszanowałby pochodzenie dopiero wówczas, gdyby ci, którzy się niem szczygą, zrozumieli, że pochodzenie to obowiązek i ciężki obowiązek dawania przykładu, przechowywania tylko zacnej i wysokiej tradycji, i przodowania gorliwością w pracy społecznej. Czy są to tylko *pia desideria*. Czy z pargaminów korzystać będą tylko myszy? czy posiadacze ich nie wyciągną z nich nauki o obowiązku? Być może, że się ma ku lepszemu. Nie należymy do niepokieszonych pessimistów. Na polu pracy spotyka się coraz większy zastęp rodzinnych nazwisk. Słysząc o nich i w przemyśle i w handlu. Może też ten drugi zastęp przybyłych „dla edukacyi“ pracowitych próżniaków nie będzie się zasiliał nowemi przyływami, i mniej głośno rzucał w oczy swoje *ex ex...* Bo powtarzamy raz jeszcze, że tradycja rodowa jako ostroga do pracy ma swoją rację bytu, jako pretensya do kogoś lub czegoś, będzie karmić tylko próżność, ale w dzisiejszych czasach nawet próżności nie nasyci...

Kronika tygodniowa, wydrukowana w dniu 13 lutego, a poświęcona wielu kwestyom natury realnej, jak spis jedno-dniowy, karnawał, dom dla szwaczek etc., zaczynała się od marzenia sennego, które jednak, pomimo swego sennego charakteru, zawierało niemało złośliwych aluzji do naszych stosunków...

Raz w wagonie miałem przykry sen, po którym jednak nastąpiło miłe przebudzenie: wracałem właśnie do kraju, ale śniło mi się, żem się od niego oddalał na długo. Marzyłem więc na temat: „Bywaj mi zdrowy, kraju kochany, już w mglistej nikniesz pomroce“, i mówiłem sobie w duchu: już cię nie ujrzę więcej, Warszawo, ani twych urzędzeń; już nie będę odbierał więcej uprzejmych wezwań o zgubioną książeczkę legitymacyjną i „powiastek“ o niedopełnione meldunki; już nie będę więcej oddychał świeżem powietrzem (we śnie się wszystko przeinacza) twoich ulic! Bądź zdrowa! Żal mi ścisnął serce! Już nie będę wskutek przesłanej mi przez kogoś tam prenumeraty chodził: 1) po świadectwo do rządcy domu, że ja jestem ja, 2) do cyrkułu po świadectwo, że rządcza jest rządcą, 3) na pocztę, gdzie mimo dowodów, że rządcza jest rządcą, a komisarz jest komisarz, patrzono na mnie tak, jakby się namyślano, czy zamiast oddać mi prenumeratę, nie lepiej będzie krzyknąć odrazu: łapaj! trzymaj!... Inni nazwaliby to kłopotami, niedogodnościami: ja, wieczny optymista, przyzwyczałem się już do tego wszystkiego. Bądź co bądź

to takie swojskie! Niech tam gdzieindziej wymyślają sobie jakieś udogodnienia, my Słowianie lubimy stare zwyczaje, my mamy usposobienie sielankowe... Mamy wprawdzie jednocześnie trochę za wiele koniokradów, wypuszczanych dla braku dowodów, mamy trochę od niejakiego czasu napadów nocnych, ale nie mamy za to szkół gminnych: małoletni Słowianie nasi, zamiast się dreczyć nad elementarzem, żyją sobie na łonie natury bez troski i bez spo... bez spożywania niezdrowych owoców pseudocywilizacji. Gdzieindziej każdy czuwa chciwie, aby to, co jest jego, było naprawdę jego... u nas bliźni ma prawo pasać bydelko i owieczki na pastwisku drugiego bliźniego, słowem, u nas inaczej, inaczej, inaczej! Gdym tedy we śnie pomyślał, że tego wszystkiego już nie ujrzę, ogarnął mnie żal i rozczulenie. Nagle pociąg zatrzymał się, otwieram oczy, gdzie jestem, do jakiego to kraju przyjechałem? Aha! otwierają się drzwi wagonu, pokazuje się jakaś twarz z wąsami i faworytami w półkole, a niski basowy głos mówi: „Pasport!“ Sen pierchnął, i zacząłem szukać paszportu z pośpiechem tak żywym, że radość moją mógłby ktoś obcy za strach poczytać.

Ta czeza formalistyka, od której tak nie było żal odjeżdżać Litwosowi, wogóle zaostrzała jego satyryczny dowcip. Oto n. p. refleksya na temat, że im wyżej stoi jakieś społeczeństwo, tem więcej spotrzebowywa... papieru.

Inni twierdzą, że miarą cywilizacji jest ilość spotrzebowanego mydła. Fałsz największy! Mydlić lada kto potrafi, ale pisać nie każdy, u nas zaś pisze się więcej, niż gdziekolwiek na świecie. Albowiem posłuchajcie. W Płockiem wiatr wywrócił dwa słupy graniczne, jeden od strony pruskiej, drugi od naszej. W Prusach postawiono następnego dnia inny i skończyło się. Z tej strony wzięto się do rzeczy daleko porządniej: zaczęto pisać, pisać, pisać. Pisano przez rok; sprawdzono, że słupa niema, zbadano, że go przewrócił wiatr, zbadano, dlaczego wiatr wiał na słup... Upłynął rok, zaczął się drugi. Słupa wprawdzie dotąd niema, ale papieru wyszło tyle, że ten widok właściciele papierni wykonali z radości taniec dzikich; ponieważ zaś konsumpcya papieru jest dowodem wyższości społecznej, zatem nieprzyjaciele Słowian mieli jeszcze jeden dowód więcej, żeśmy nie tacy owacy.

Niemają też papieru spotrzebowano w Warszawie w r. 1882 w czasie spisu jednodniowego. Fakt ten obfitował w epizody, pomiędzy którymi nie brakło i zabawnych. Oczywiście, że Sienkiewicz nie omieszkiał w swej kronice zwrócić uwagi na niektóre.

Podobno faktem jest, że młodszy i przystojniejszy delegaci zdołali zebrać daleko więcej i daleko dokładniejszych wiadomości. Przyjmowano ich i rozmawiano z nimi chętniej. Przypuszczają wszelako, że informacje, jakich im udzielały mieszkanki Warszawy o swoich latach są stanowczo błędne. Ale podobno nie było sposobu wydobyć prawdy, i żadne zakłęcia nie nie pomagały...

Wogóle nastroczał się delegatom w czasie ich wędrówek po mieście, zwłaszcza wśród nieoświeconych mas ludności i wśród ubogich żydów, ciekawy materyał do obserwacji. I tak n. p. żydzi ukrywali istnienie swych dzieci, gdyż nie można im było wytłumaczyć, że tu nie idzie o podatki.

Pewien delegat, przyszedłszy do mieszkania biednego Izraelity, zadaje pytanie, ile osób w mieszkaniu. Odpowiadają mu, trzy. Nazwiska? Icek, Siora i Ryfka. Niema nikogo więcej z osób? Niema. W tej chwili z drugiej izby daje się słyszeć płacz dziecka. A to co? pyta delegat. To Lejbuś. A cóżeście powiedzieli, że tylko trzy osoby? Ny! odpowiada stary Icek, co on za osobę? Pan rzadca to osobę, pan delegat to osobę, pan rewirowy to osobę, a co za osobę Lejbuś? On ma dwa lata. Na-próżno mu następnie delegowany ofiarował w imieniu społeczeństwa tytuł osoby. Ojciec w imieniu syna odmawiał stale przyjęcia tego zaszczytu.

Okropnie złośliwą łatkę przypiął Sienkiewicz z powodu tego spisu ludności swoim warszawskim kolegom po piórze.

Słyszałem także, iż w niektórych moich kolegach budziło śmiech politowania następujące zestawienie rubryk: 1) stan i zajęcie, 2) czy umie pisać? Kto pod rubryką *zajęcie* napisał *literat*, temu drugie pytanie wydawało się nonsensem; a jednak nie jest to tak głupie pytanie, jakby się mogło zdawać; nie chcę wszelako dłużej zatrzymywać się nad tym drażliwym przedmiotem, bo narobiłbym sobie nieprzyjaciół.

Istotnie jest to kwestya drażliwa, ale swoją drogą zaprzeczyć się nie da, że na brak takich literatów, którzy nie umieją pisać, nie potrzebujemy się uskarżać... Przeciwnie, mnoży się ich coraz więcej, zwłaszcza takich, co nie umieją pisać... po polsku.

Nie można było tego powiedzieć o Gustawie Zielińskim, którego fantazyę poetycką p. t. *Pokusy*, ogłosiła w styczniu-

wym zeszycie za rok 1882 *Biblioteka Warszawska*. Pośmiertnemu temu utworowi autora *Kirgiza* poświęcił Sienkiewicz w swej kronice obszerniejszy ustęp.

Jest w tym poemacie jakaś nuta rytmiczna przypominająca *Kirgiza*, jakieś technienie od stepów, nad którymi lubił się duch zmarłego unosić... Początek zaraz dźwięczy tą znajomą kirgizką nutą. „Pędzi jeździec przez stepy w noc ciemną, jakąś żądzą trawiony tajemną“... Noc stepową rozświeca światło meteoru. Przy jego blaskach jeździec spostrzega czterech innych dążących ku sobie. Są to pokusy. Jedna z nich w postaci szkarłatnego rycerza mówi do jeźdźcy: „Pójdź na wschód. Tam w odległym aule czeka cię najpiękniejsza dziewczyna... W jej objęciach zapomnisz o świecie całym“. Drugi, złoty rycerz, ofiaruje jeźdźcowi bogactwa; trzeci, srebrny, władzę; czwarty zaś ręką wskazał na pożary. „Tam walka, spór to dawny, jak świat stary“. „A nachylając się do jeźdźcy ucha, szepnął mu słowo; tym jednym wyrazem tak rozplómił młodzieńczego ducha, że bez wahania wyrzekł: Jedźmy razem!“ Nie jest to najwyższy z utworów Zielińskiego. Za wiele w nim metafor: zwłaszcza trzy poprzednie postaci jeźdźców za mało zrozumiałe, i wogóle allegorya nie dość jasna. Ale jest w tej fantazyi wysoki polot. Jest to poezya, która wedle horacyuszowskiego wyrażenia lata jeszcze, jak łabędź pod niebem“.

Zdaniem Sienkiewicza datuje się poezya ta z owych jeszcze nie tak dawnych czasów, gdy poeci „nie wahali się kłaść palców na olbrzymie harfy i wyśpiewywać wielkich uczuć“. „Dziś czasy się zmieniły. Poezya, idąc w ślad za całą sztuką, zaczyna lubić *genre*. Będziemy może mieć wielkich poetów w tym rodzaju, ale rodzaj pozostanie mały“. Dlatego, mimo słabszych stron *Pokus*, które fantazyi tej nie pozwalają stanąć obok *Kirgiza*, ma się przy czytaniu poematu tego wrażenie, że się oddycha szeroko, jak się oddycha powietrzem stepowym, bo słyzy się w nim „echo dawnych wielkich czasów, echo tem cenniejsze, że zagrobowe, i płynące z piersi, która umilkła na długo przed skolem“. W tymże zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* znalazło się sprawozdanie o *Słowie*. Ponieważ w sprawozdaniu tem znalazło się kilka ustępów polemicznych, więc Sienkiewiczowi, jako redaktorowi *Słowa*, wypadało odpowiedzieć. Jakoż uczynił to w swojej *Kronice tygodniowej*, a broniąc ha-

seł, które *Słowo* wypowiedziało w swym artykule wstępnym, tak pisał między innemi:

Są pewne ideały, na których straży stoi cały ogół, które są naszym zdrowiem, naszym życiem, i które odczuwa każde serce. Są ideały tak proste, a zarazem tak wielkie, że odszczepieństwo względem nich ogół potępiłby z całą siłą i bez chwili wahania. Trzeba się koniecznie rozumieć, by nawet w dobrej wierze nie robić sobie niesłusznych zarzutów. Naturalnie, że kto chce działać, kto chce pracować dla dobra publicznego, ten nie potrzebuje od nikogo mandatu, raz dlatego, że każdy ma prawo postępować, jak mu sumienie i obywatelska powinność nakazuje, a powtóre, że ogół nie ma prawa upoważniać... Bywają ludzie albo naprawdę głusi, albo tacy, którzy nie chcą słyszeć, gdy im dogodniej. Na szczęście tylko, że prawda ma własność oliwy i wychodzi na wierzch sama przez się. A wtedy nie widać już infuzoryi, które się na dnie wody kręją.

Przerwane w *Niwie* w końcu roku 1881 *Mieszaniny literacko-artystyczne* zaczął Sienkiewicz teraz pisać w dalszym ciągu w feljetonie *Słowa*, a pierwsza z nich ukazała się w N-rze 37 dnia 16 lutego. Jak poprzednio w *Niwie*, tak i obecnie w tych *Mieszaninach literackich i artystycznych* głównie miała być mowa o obrazach i książkach... Był to zakres, w którym Litwos obracał się z największem upodobaniem, jakkolwiek nie każda książka dostarczała mu artystycznego użytku, a nie każdy obraz budził zadowolenie estetyczne.

W tej pierwszej „mieszaninie“, dzieląc się wrażeniami, odniesionemi na wystawie Krywulta i przy czytaniu świeżo wydanych powieści, o ile mógł z entuzjazmem rozpisać się o najnowszym obrazie Matejki, o tyle był zmuszony dość surowo osądzić ostatni utwór powieściowy Orzeszkowej. Utworem tym była serya nowel p. t. *Z różnych sfer*, a już sam sposób, w jaki autor *Latarnika* zaczął ich rozbiór krytyczny, nie zapowiadał pochwalnej recenzji. „Gdyby wolno było wielkie rzeczy porównywać z małemi, powiedzielibyśmy, że z obrazu Matejki mówiła do nas przeszłość, z drobnych utworów p. Orzeszkowej przemawia zdróbniata wstrętna terażniejszość. Ale jakże inaczej przemawia!“ Że to, co nastąpiło po takim prologu, musiało wypaść surowo dla autorki *Meira Ezofowicza*, domyśleć

się nie trudno. Ale, bądź co bądź, sąd ten mistrza polskiej nowelli o nowellach Orzeszkowej jest bardzo charakterystyczny, zarówno dla Sienkiewicza, jak i dla zasłużonej powieściopisarki. Dlatego warto zapoznać się z nim w całości.

Budne uliczki miasta, kramy, kramiki, dalej rogatka, błonie, jar, zapadła chata w jarze, a na tem tle ogólnem występuje dwoje dzieci. Występują w chwili, gdy on kradnie gołębie, a ona z bijącym sercem sledzi, czy mu się uda. Autorka prosi jednak, byśmy nie odbierali im od razu naszej sympatii. Oboje są mali, biedni, ciemni, opuszczeni, a prztem jest w nich coś, co zasługuje na współczucie: oto kochają się bardzo, a raczej ona jego kocha serdecznie. Są to niby Paweł i Wirginia na bruku miejskim. Autorka pragnie odmalować z prawdą i realizmem, jak też to rozwijają się uczucia i myśli w takich istotach zapomnianych i zarzuconych wśród zgłębku ludzkiego, które za jedyne go przewodnika mają instynkt. Ten instynkt uczy go kraść, ją żebrać. W takich warunkach rosną. Czy może być z nich co dobrego? Nie. Autorka jest wielką pessimistką. Dzikie pola rodzą tylko chwasty. Dusza bez uprawy rodzi również chwasty. Oni oboje żyli bez uprawy, bo jego opiekunka była lichwiarką, jej matka jest pijaczką. To były najbliższe przykłady. Innych nie mieli. W mieście rzucił im się w oczy zbytek, widzieli jak inni używają, bawią się. Działo to szczególnie na niego. Nieraz marszczył brwi i w rozmowach, jakie z towarzyszką prowadził, pytał: dlaczego ja jestem taki biedny, dlaczego ja nie mam tego lub owego. Między nim a nią była ta różnica, że ona mówiła my, on zawsze ja, bo tylko siebie miał na względzie. Budził się w nim bezwiedny socyalista. Ludzie bogaci, miasto, sklepy, zbytek, wszystko to wywoływało w nim apetyt, i nie więcej. Czy nie mówił mu nikt, że do użycia i posiadania można dojść pracą. Owszem: Miał wuja cukiernika, który go przygarnął i przyuczał do pracy, ale on nie chciał pracować, tylko używać. I czy wiecie jaki koniec historii? on został złodziejem, ona rozpiła się. Co to jest? co to ma znaczyć? czego chce autorka? pyta czytelnik. I ma prawo pytać, dlaczego usiłowano go szarpać, dlaczego opowiadano mu tę wstrętną historię? Dlaczego zostawiono go pod wrażeniem niesmaku, zwątpienia i braku wszelkiej otuchy? Na te jednak pytania niema odpowiedzi. Cała historia życia tych dwojga dzieci pojeźta została nadzwyczaj jednostronnie. Miasto, życie, otoczenie mogło oddziaływać na dzieci źle, ale musiało choć w setnej części, choć w tysiącznej i dobrze. Czemu tej tysiącznej nie uchwyciła autorka? czemu cały obraz malowany umyślnie i ze szkodą prawdy sadzą? A przecie dzieci, w domu nie miały przykładów, prawda, ale w mieście, po którym błakały się jak koty po dachach, widziały przede wszystkim pracę. To raz. Dlaczego temu chłopca-

kowi, któremu dość zawikłane i trudne socyalistyczne myśli przychodziły do głowy nie przyszło i to: pracuj obiboku, a będziesz jadł. Widziały te dzieci przecież i miłosierdzie, bo żebrały, i dawano im jałmużnę. Jeśli choć przez ciekawość weszły do kościoła, słyszały może z ambony, że kraść, próżnować, pożądać i t. p. jest złe. Pytamy tedy, czemu te dodatnie wpływy nie oddziaływały zgoła na chłopaka. Złe mogły przeważać, zgoda! mogły być dziesięć, sto, tysiąc razy silniejsze, ale jednak były i dobre. Czemu nam ich nie przedstawiono, a natomiast przedstawiono rzecz całą z taką umyślną i złośliwą jednostronnością. Jeżeli zaś chłopak był takim potworem z natury, że żadne wpływy nie mogłyby nie pomódz, to powieść jest bez znaczenia, to nie warto było jej pisać. Co więcej, chłopak był w domu porządnych ludzi, wziął go dobry krewny, a jednak bez żadnej walki wewnętrznej, bez wahania puścił się na złą drogę. Ta jednostronność obrazu sprawia, że powiastka jest całkowicie chybną. Autorka, która jak się zdaje pragnie społeczeństwo uczynić w znacznej części odpowiedzialnem za los istot tak przepadłych, jak te dzieci, rozmija się z zadaniem, jej chłopak bowiem jest chyba wyjątkową naturą patologiczną. Piszac zaś jednostronnie, z uprzednim pesymizmem, autorka rozmija się i z prawdą życiową, bo w życiu wszelkie indywiduum podległe jest najróżnorodniejszym wpływom, które muszą w niem ścierać się i walczyć. W całej tej powiastce zamiast prawdy i realizmu widzimy tylko ciągle usiłowania prawdy i realizmu ze strony autorki. Robi ona wszystko co może, by te dzieci mówiły, ruszały się i działały, tak, jakby to czyniły w życiu, a jednak dźwięczy w tem wszystkim jakaś fałszywa nuta. Autorka jest dokładną: opisuje wszystko bardzo szczegółowo, a jednak nie widzimy dobrze tych dzieci, nie uplastyczniamy ich sobie, nie odczuwamy. A dzieje się to właśnie dlatego, że życie zastępuje autorka teorią z góry przygotowaną, do której życie przykrawa. Są to zarazem braki artyzmu, których nie wynagradza ani łatwość języka, ani śmiałość myśli. Ma to być karta z dziejów nędzy ludzkiej, musi być więc wstrętna, wynagrodzić jej plugawość może tylko prawda tak wybitna, że aż krzycząca i rzucająca się w oczy, i żelazna konsekwencya. Jeśli tego brak, to zostaje tylko niesmak, bo nareszcie czego od nas chcą? Jeśli ten chłopak był pod dobrym wpływem, widział dobre przykłady, jeśli ten wujaszek pracował nad nim bez skutku, jeśli tedy społeczeństwo nie zostawiło ostatecznie tego dziecka bez opieki i dodatnich wpływów, to właściwie... po co mu psuć humor taką niesmaczną powiastką. Trudno zgadnąć.

Równie surowo wypadła krytyka drugiej nowelli p. t. *Daj kwiatek*, w której, zdaniem Sienkiewicza, zbyt błahej treści nie wynagradza artyzm. „Znowu jest tu więcej usiłowania

artyzmu, niż jego obecności“. Dzieje się to dlatego głównie, że autorka swoje zdolności odczuwania przenosi na tworzone przez siebie postacie bez względu na ich kulturę umysłową i moralną. I tak naprzykład:

Wspomnienia starej żydówki, zapracowanej na chleb powszedni i pogrążonej po uszy w rzeczywistości, autorka maluje w ten sposób. „Przed wzrokiem jej przepłynęły ze srebrnem dzwonieniem fale strumienia i zamigotały czarnemi oczyma wpatrzonej w nie dziewczyny“. Jest to ozdobne, ładne, jeśli kto chce, ale wątpimy, by taka prosta dusza, zapracowana, w której mogły mieć miejsce nader pozytywne żądania i potrzeby, by jednym słowem taka Chaita z małego miasteczka mogła rozkoszować się podobnemi wspomnieniami, jak srebrne dzwonienie strumienia, etc. Jest w tem pewien sentyment narzucony postaciom sztucznie, którego sztywność czuje też każdy czytelnik. Nie wiele by to szkodziło, gdyby to miał być taki rodzaj powieści, ale autorka pragnie właśnie pisać w zupełnie innym rodzaju, t. j. wysoce realnym, i skutkiem tego wszystkie podobne, jak zacytowany, ustępy brzmią niby fałszywe nuty, oddzielają się od całości, odstają od niej, jak wady.

A jednak Orzeszkowa umie być realistką. Dowodem choćby *Zefirek*, nowella, do której czytania przystępował już Sienkiewicz, jak się sam do tego otwarcie przyznaje, z pewnem uprzedzeniem. Tymczasem doznał miłego zawodu.

Autorka zna dobrze kobiety średniej klasy, obserwowała wido-
cznie starannie życie ich w miastach, ich przesady, uprzedzenia, głu-
potę, pretensye, próżność. Ta radezyni w *Zefirku*, która nie może za-
pomnieć o swej dawnej piękności, ginie z nędzy, a nie pozwala córce
iść za uczciwego człowieka dlatego, że jest mularzem, ta stara pre-
zydentowa ex-obywatelka z uprzedzeniami do mieszkańców miast, jakież
to żywe i prawdziwe. Są to *moriturae*. Biedactwo to nie jest złe.
Egoizm ich jest bezwiedny, równie jak wychowanie do niczego. Nie umiej-
ą żyć i giną. Oto cała prawda trafnie podpatrzona i pochwyciona. Tu niema
nut fałszywych, bo autorka nie ma do czynienia z naturą ludzką pier-
wotną, której nie zna, i nie potrzebuje nadrabiać sztuką. Niema tu także
natury w znaczeniu pól, lasów, strumieni etc., których wpływy na czło-
wieka pojmuje autorka zawsze w sposób sentymentalny. Tu jest miasto,
jego życie, jego nędza i jego poezya, i wykolejone istoty, których losy
na bruku czasem rozdzierają serce. Na tych wszystkich strunach autorka
gra biegle, odczuwa to, co pisze, bezpośrednio, i dlatego w takich utwo-
rach posiada pierwszorzędną przymiot: szczerość.

W kilka dni później, d. 20 lutego, ukazała się w feljetonie *Słowa ósma* z rzędu *Kronika tygodniowa* Litwosa, pełna pesymistycznych refleksyi na temat naszego cywilizacyjnego „zdziczenia“, które wciąż wzrasta, a które objawia się w formie coraz częściej przytrafiających się morderstw, rabunków, kradzieży, etc. Wprawdzie, zdaniem autora *Niewinnych*, który wtedy dzięki tej sztuce święcił tryumfy na scenie warszawskiej, ludzie nie mają wolnej woli, a zatem, jako nieodpowiadający za swoje czyny, są niewinni w gruncie rzeczy, ale Sienkiewiczza to nie uspokajało ani czyniło obojętnym na różne morderstwa i zbrodnie.

Od pewnego czasu liczba „niewinnych“ tak się u nas mnoży, że postanowiłem umocować przy swoim łóżku żelaza na wilki i mam do społeczeństwa następującą prośbę: jeśli pewnego poranku nie obudzę się dla braku głowy, a złapany w żelaza jaki pan Głęb lub Cyrat ¹⁾, uznany zostanie dla braku dowodów za niewinnego, niechże przynajmniej odpowiada „za nieostrożne obchodzenie się z bronią“ i niech zaświadczy, że nie popełniłem samobójstwa z próżności. Życzylbym sobie także, jeśli można, aby nie obierano go kuratorem pozostałej po mnie „masy“, bo jakkolwiek nie mam nadziei wielkiej masy zostawić, to jednakże nie tracę nadziei doczekania się bezpośredniejszych spadkobierców. Następnie życzyłbym sobie także, aby onego pana skazano na poniesienie kosztów pogrzebu i doktora, który będzie użyty do opatrywania zwłok moich.

Ostatnie to życzenie miało swe źródło w następującym niedawno zaszłym wypadku.

Pewien pacjent, dosyć zresztą zamożny, umarł, jak się to zdarza wielu pacjentom, nie zdążywszy napisać testamentu. Ponieważ zabezpieczono natychmiast jego fundusze, przeto pozostały w nieutulonym żalu lekarz udał się do kogo należy, by ten ktoś z pozostałych funduszków zapłacił mu honorarium. *Ktoś* oświadczył, że tego uczynić nie ma prawa bo obowiązek ten należy do sukcesorów. Zdarzyło się, że sukcesorów nie było. Kto ma tedy zapłacić honorarium? Zapytany o to *ktoś* nie wiedział, a doktor nie wie dotąd, kto mu zapłaci, pozwala tylko sobie i innym domyślać się, że nikt mu nie zapłaci, jakkolwiek chodził, leczyl i dopomagał naturze, a nawet dopomógł jej, gdyż pacjent umarł. Wi-

¹⁾ Głośna wtedy w Warszawie sprawa dwóch parobków Głęba i Cyrata, którzy zabijwszy księdza Mirowskiego odciepli mu głowę.

dzimy z tego jasno jak na dłoni, że fundusze bywają u nas najlepiej ubezpieczone, bo tak dobrze, że już nikt do nich dobrać się nie może.

Chwalebna ta ostrożność dawała się usprawiedliwić wzmagającą się liczbą ciągłych kradzieży i malwersacyi pieniężnych, nie mówiąc już o zwykłych wypadkach przywłaszczania sobie cudzej własności... Był to bardzo smutny objaw społeczny, jeden z najwymowniejszych dowodów owego zdziczenia, ale dowcipny kronikarz *Słowa* potrafił i to oświecić w sposób humorystyczny. „Od czasu, jak oszustwa i złodziejstwa spospoliły, cnota poczyną iść w cenę i wkrótce będzie należała do najlepszych interesów. To też coraz więcej spotykamy poświęceń i objawów dbałości o dobro bliźnich“.

Pewien samowar wydawał z siebie czad, więc wyniesiono go na schody. Przechodzący filantrop zwiertzył czad i, obawiając się, by kto nie zaczadził, z dbałości o dobro ludzkie wziął samowar, poszedł i... więcej nie wrócił. Skromność właściwa wielkim sercom nakazała mu ukryć się tak dobrze, że nikt dotąd nie zdołał odnaleźć... samowara.

Na parę dni przed ukazaniem się w druku niniejszej kroniki, konsulat holenderski ogłosił w dziennikach warszawskich odezwę w sprawie obesłania przez nich wystawy w Amsterdamie. Wystawa ta, jak głosiła odezwa, zawierać będzie: 1) produkty kolonialne, 2) przedmioty ogólne wywozu i 3) dzieła sztuk i starożytności, wobec czego pożądanem było, by i Królestwo Polskie „w liczbie odpowiedniej bogatym siłom produkcyjnym kraju“ znalazło tam swoich reprezentantów.

Zdaniem Sienkiewicza, w zakresie produktów kolonialnych i przedmiotów ogólnego wywozu nie bardzo mielibyśmy się czem pochwalić przed Holendrami, bo co do pierwszych możemy się pochlubić jedynie cukrem... wciąż drożącym, a co do drugich, to przedmiotem ogólnego wywozu z Warszawy są tylko zdechłe konie dorożkarskie i błoto, o ile pan Apfelbaum nie czeka, by mu je (t. j. błoto) deszcz splukał z ulic bez pomocy wozów, koni i ludzi... Wprawdzie „czasy ogólnego wywozu miały u nas miejsce przed laty kilkunastu, obecna jednak większość wywiezionych wróciła“. Również i starożytno-

ści nasze nie bardzo nadają się do pokazywania ich Holendrom, gdyż mało mają związku ze sztukami pięknymi. Inaczej rzecz się przedstawia, jeśli chodzi o zabytki z zakresu archeologii. Tu mamy się czem poszczycić i możemy zaimponować światu, gdyż archeologiczne nasze urządzenia pod względem: 1) komunikacji, 2) urządzeń miejskich i 3) zdrowia publicznego, bezwarunkowo przewyższają wszystko, co w tej dziedzinie można oglądać w całej Europie zachodniej, a cóż dopiero w Holandyi.

Na drogach naszych są takie wyboje, a w mieście takie bruki, że w Holandyi mogłyby zrobić furorę. Posiadamy mosty, jakich żaden kraj w świecie nie posiada, bo „takie co ich niema“. Posiadamy kanały w mieście, takie jak i Amsterdam, bo ulice nasze bardzo często stoją pod wodą. Mamy także szpital Dzieciątka Jezus, za którego murem słychać w nocy wrzask waryatek, a z którego we dnie i w nocy wychodzą wyziewy, jakich żaden nos holenderski nigdy nie wachał. Szkoda tylko, że wszystko to nie bardzo daje się wywieść, bo przekonalibyśmy z pewnością Holendrów, że jeśli nie bawimy się w jakieś ulepszenia, cywilizacje i t. p. to natomiast jesteśmy w prostocie naszej słowiańskiej, krajem oryginalnym i cieszącym się pomyślnością. Moglibyśmy także Holendrom posłać takich frantów, że dosyć na którego spojrzeć, żeby się złapać za kieszeń. Wy, Holendrzy, zarazbyście takiego wsadzili do kozy, a widziacie! A u nas chodzi sobie spokojnie dla braku dowodów, dlatego, że my jesteśmy społeczeństwem bardziej od was humanitarnem. Społeczeństwo holenderskie jest istotnie mniej od naszego pod wieloma względami rozwinięte. Nie mają oni w miastach tych wszystkich dogodności, o których mówiłem wyżej, po wsiach nie mają serwitutów, pisarzy gminnych, a i takich pedagogów elementarnych jak nasi. Ich pedagogzy są to ludzie pozytywni, nasi przeważnie spirytualiści, co dowodzi wysoce idealnego nastroju ich dusz. O tamtych nie wiadomo, czy kochają lud, że zaś nasi kochają, dowodem tego wszystkiego Kaški i Maryški wiejskie oraz zwiększająca się liczba uczniów, których matki pewniejsze są od ojców. Nakoniec jest dowód, że kochają oświatę, bo właśnie słyszałem, że świeżo zginęła w jednym domu beczułka oleju, którą znaleziono w szkole...

Już to wogóle zadziwiającą jest jednomysłność naszych gmin w sprawach oświaty ludowej. „Kto słyszał, jak gmina, zapytana, czy chce płacić za szkołę, odpowiada bez wahania, bez namysłu: „Nie chcewa“, ten przyzna, że w dziejach parlamentaryzmu nigdy nie słyszano o tak imponującej zgodzie“.

Czem się to dzieje? Tem, że istnieje potrawa, istnieje i sos, od którego często smak zależy. Istnieje prawo, istnieją i komentarze. Otóż gminom właśnie nie smakuje sos. Bo zresztą nie można ich posądzać o niechęć do nauki. Przeciwnie, ogromna ilość, w jakiej pomiędzy ludem rozchodzą się elementarze, świadczy wymownie, że popęd do nauki wzrasta z każdym rokiem, i gdyby nie... sos, t. j. gdyby ten popęd regulowała szkoła „mająca jedynie oświatę na celu“, sprawa ta weszła by na zupełnie inną drogę. Tymczasem, wskutek braku oświaty, moralność ludu, jak wielu twierdzi podobno niebezzasadnie, stale się zmniejsza. Młode pokolenie nie odbiera żadnego wychowania. „Na 20.000 wsi istnieje 2.000 szkół na papierze (bo my nie tylko mosty, ale i szkoły posiadamy także, „co to ich niema“), większość dzieci tedy rośnie na łonie natury, wśród nieustających zamachów na cudzy groch, cudze ogrody i cudzą rzepe“. Zapobiedz temu próżniactwu i zdziczeniu mogłyby tylko ochrony, które jeśli nie dają nauki czytania i pisanja, to przynajmniej mogą czuwać nad moralnością... Należało by też sobie życzyć, by takie pisma dla ludu, jak *Zorza* lub *Gazeta Świąteczna* rozchodziły się w większej ilości, niż dotąd.

W *Gazecie Świątecznej* wydrukowała w tych czasach Marya Konopnicka śliczny wiersz na nutę ludową, a że nie był to bynajmniej jedyny wiersz autorki *Imaginy*, opiewający dołę i niedolę naszego chłopca, więc dało to asumpt Sienkiewiczowi, by z tego powodu powiedzieć poetce kilka dość gorzkich *verba veritatis* z powodu tendencyjności jej poezji sielskich.

Konopnicka posiada niepospolity talent poetycki. Kiedy pisze o rzeczach wiejskich, umie mówić tak, że często się zdaje, że się słyszy fujarki i ligawki; ale również często fujarki i ligawki te grają na nieprawdziwą nutę. Konopnicka, gwoili sentymentowi i antytezom poetycznym, tworzy sztuczny świat chłopski, pełen nieszczęść, niedoli i ucisku, w przeciwstawieniu do dworów. Owóż te czasy minęły: tego niema i być nie może. Dwory mogą co najwięcej grzeszyć obojętnością na sprawy gminne zamykaniem się w sobie i w swojej sferze interesów, ale niczem więcej, a i pod tym względem nastał zwrot ku lepszemu, gdy większość sędziów i znaczna część wójtów składa się właśnie z przedstawicieli dworów. Że zaś na tych urzędach nie sypia się na różach, o tem wie każdy, kto się

tego dotknął, sędzia bowiem ma nad sobą zjazd i prezesa, a wójt naczelnika powiatu. Poezyi wprowadzie wolno przynajmniej tyle, ile naczelnikom powiatu, a poetkom tyle, ile poezyi, jednakże w interesie artyzmu leży, by, jeśli poezya mówi o stosunkach rzeczywistych, znać było pod jej słowami prawdę. Dodaje to samym utworom siły i życia; w przeciwnym razie zaś z pod szumu słów przegląda nicość.

Był to czas właśnie, gdy w sali ratuszowej odbywały się odczyty na osady rolne, odczyty, nierównie świetniejsze, niż te, jakie tam odbywają się obecnie, bo wygłaszane nie przez różne „wielkości“ miejscowe, ale przez ludzi prawdziwej wiedzy i talentu. Najświetniejszymi były bezwarunkowo prelekcye Stan. Tarnowskiego, wśród których znowu najświetniejszymi były trzy odczyty o *Nieboskiej komedyi* Krasińskiego.

„Sala ratuszowa, pisał o tych odczytach Litwos w *Słowie* z dnia 27 lutego w drugiej ze swych *Mieszanin literacko-artystycznych*, sala ratuszowa, w której odbywały się lekcyce, przedstawiała w końcu trzeciego odczytu niezwykle widok. Jasnowidzenie poety, który tak uprzednio, a tak wyraziście streścił w potężnych a krótkich zarysach jakoby dzieje lat ostatnich, i nierozwiązane a groźne zagadnienia, na które sami patrzemy, jasnowidzenie to, uprzytomnione wymową prelegenta, wywarło wrażenie czegoś nadzwyczajnego. Sam też prelegent doszedłszy do konkluzyi, do nauki płynącej z poematu, począł mówić z niezwykłym zapałem, który z kolei udzielił się słuchaczom. Wzruszenie odbiło się też na wszystkich twarzach, i cały odczyt przybrał charakter prawdziwej biesiady duchowej“... Niezmiernie interesującym jest Sienkiewiczowskie streszczenie tych trzech odczytów, streszczenie, w którym się widzi główne kontury poematu Krasińskiego, odtworzone soczystym pędzlem autora Trylogii.

Początek pierwszego odczytu poświęcony był samej osobie poety. Biografia to niezmiernie trudna do skreślenia, zwłaszcza, gdy się przemawia z katedry. Prof. Tarnowski mógł zauważyć, że między wszystkimi naszymi poetami życie tego wieszcza było najpełniejsze łez i bólów i cierpień, ale analizować tych cierpień i wyłuszczyć ich przyczyn, ich składników nie mógł. A jednak taka analiza drobiazgowa byłaby niezmiernie

ważnym i niemal niezbędnym komentarzem do dzieł poety, taką tylko bowiem drogą mogliśmy dowiedzieć się i poznać jasno, jak wyrabiał się wśród boleści ten umysł tak górny, tak ogarniający świat cały. Prelegent musiał przesuwać się koło wielu pierwszorzędných szczegółów biograficznych, jak koło żarzących węgli, i dzięki tylko jego talentowi krasomówczemu i zręczności pisarskiej, dzięki umiejętności patrzenia w duszę ludzką, życiorys Krasińskiego rzucił tyle światła na dzieła ile go było trzeba do ich wytłomaczenia i zrozumienia. Krasiński urodził się genialnym myślicielem: genialnym, to znaczy twórczym, zatem władnym tworzącą siłą fantazyi w równowadze z rozumem. Ten myśliciel kochał jak mało kto ze współczesnych, cierpiał jak nikt ze współczesnych, i z tych trzech składników: z ogromnego rozumu mędrca, z ogromnej fantazyi i ogromnego bólu, zrodził się wielki poeta, który jest zarazem wieszczem jasnovidzącym. Zarówno w jego myśli, jak w jego poezyi można dopatrzeć się wpływów czy to ówczesnej filozofii, czy poetów, ale prelegent miał słuszną twierdząc, że samej poezyi niema z czem porównać. Poezja ta stoi samotna, wysoka i odrębna w całej literaturze polskiej i europejskiej. Pierwszą cechą jej odrębności jest jej charakter społeczny. Na gruncie niezmierzonej miłości dla swego narodu poeta stawia wypadki światodziejowe i, skuwając je sercem z losami własnego społeczeństwa, rozpatruje je w związku.

Dowodzi tego przedewszystkiem *Nieboska komedia*, zdaniem Tarnowskiego nie tylko jedno z najważniejszych, ale może i najgenialniejsze z dzieł autora *Lrydiona*.

Dwa światy, ścierające się w niej, walczą ze sobą nie tylko u nas, ale i w świecie całym. Poemat pod tym względem ma znaczenie kosmopolityczne. Wszelako naukę z tego poematu, jego głęboki sens moralny, poeta przeznacza dla swoich. Duch wieszcza ogarnia ludzkość, ale unosi się tylko nad swoimi, i ich przedewszystkiem ostrzega przed pożarem, ich przedewszystkiem pragnąłby ocalić!

Warto przypatrzeć się bliżej temu wspaniałemu lotowi, w Sienkiewiczowskiej kopii.

Oto w ludzkości rozgrywa się „nieboska komedia“. Nowy czas występuje do walki ze starym. Po obu stronach stają ludzie, którym idzie o śmierć i życie. Jestto walka o byt, tych którzy są głodni, z temi którzy się już nasycili. Nim wyraz „walka o byt“ był stworzony, poeta go przeczuł i odgadł. W pierwszym obozie staje demokracja, która

ocknęła się ze snu wiekowego i poczuła nagle swą siłę, w drugim wszystko to, co się zwykle skupia pod sztandarami konserwatyzmu. Duch poety nie jest w żadnym z tych obozów, on się unosi nad niemi, patrzy na nie, jakby patrzyła sprawiedliwość dziejowa, i jest zupełnie gdziein-dziej. On sądzi obie strony bez litości, a dowodem tego postacie, które wprowadza.

Na czele arystokratycznego obozu stoi hrabia Henryk.

Kto to jest? Tytan, półbożek. Ma on twarz bohatera a duszę po-ety. Kołysały go tradycje. Po nocach wołał go krzyk „rodowego anioła“ do wielkich czynów... Z ogromnej przeszłości szły na niego jakieś tajemne wpływy, jakieś fale. To co zmarło, zmartwych powstało w jego fantazyi i otoczyło go tak silnie, że stał się człowiekiem, który ciałem żył na ziemi, duszą w grobach! Świat rzeczywisty, świat kupców, rzemieślników i fabrykantów, zbrzydził mu, więc stworzył sobie inny, pełen go-tyckich zamków, katedr, światła i uroczych cieni. Jednem słowem, żył fantazyą, która wkrótce zawładnęła jego rozumem i wszystkimi wła-dzami duszy. Chciał widzieć wszystko poezią i samego siebie poetycznym. Bo fantazyja jego zwracała się również i na siebie samą. Dziwny objaw. Prelegent zwraca tu uwagę na pewien stosunek między Hamletem a hra-bią Henrykiem. Pierwszy staje się niezdolnym do czynu z powodu nad-miaru refleksyi, drugi z powodu fantazyi. Hamlet tak rozważa, tak roz-patruje z każdej strony wszelki fakt życiowy, tak wątpi, czy go już uj-rzał w świetle prawdziwym, że tylko rozważa, a tymczasem życie niesie jego bierną łódź, gdzie chce. Hrabia Henryk popada w straszny nałóg szukania przedewszystkiem form poetycznych w tem, co go otacza, i w so-bie samym. Ten nałóg tak wyjaławia jego duszę, że w końcu staje się ona niezdolną ani kochać, ani nienawidzić prawdziwie. Czy spada na niego szczęście, czy nieszczęście, on nie oddaje się ani poprostu, ani cał-kowicie wrażeniu, bo fantazyja jego szuka przedewszystkiem formy po-etycznej. Analogia między Hamletem a hr. Henrykiem jest świetnem spo-strzeżeniem prof. Tarnowskiego. Obaj są ludźmi jakby z góry skazanemi na to, by zabiła ich rzeczywistość. Ta niezdolność życiowa Henryka jest jego przekleństwem, bo z niej płyną i jego zbrodnie. Oto w części I-szej poematu czuwa jeszcze nad nim anioł-stróż. Z ust jego płyną słowa: „... Pokój ludziom dobrej woli. Błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce, on jeszcze zbawion być może. Żono dobra i skromna zjaw się dla niego, i dziecię niechaj się narodzi w domu waszym“. Następuje ślub, wesele. Ona jest mu piękna w osłabieniu swoim, w kwiatach, perłach i wstydzie. Ona mu będzie pieśnią. To fantazyja mówi, nie serce... Potem, gdy przyjdzie życie codzienne, bez fantastycznych przyborów z pereł, kwiatów i osłabień, on ją porzuci. Żona „dobra“ oddała mu duszę całą,

mogła nasycić serce, potrzebę szczęścia, ale nie nasyciła fantazyi, więc, oto kona w szpitalu obłąkanych. Wyprosiła tylko przed śmiercią u Boga by jej syn był poetą, bo ojciec inaczej kochać go nie będzie. Syn jest poetą, i właśnie dlatego widomem przekleństwem dla ojca. Dziecię, gdy mówi pacierz, fantazyuje. Dziecię to żyć nie będzie, bo jest poetą, cieniem, aniołem, ale nie człowiekiem. Ten ojciec pozostanie bezdzietnym, i chyba dramat będzie mógł układać ze śmierci żony i syna. Kara i potępienie zawieszone nad nim. Syn jest karą dla wyjałowionej duszy przez fantazyę. Taki to człowiek stanie się w obozie arystokratycznym wodzem walki na śmierć i życie. Dlaczego on? Bo on wśród tego świata, któremu imię *moritur*, jeszcze najlepszy, najwyższy, najbardziej bohaterski. Poza nim tłum hrabiów, książąt i baronów, to tłum tchórzów, obżartuchów, pochlebców, tłum dusz tak właśnie małych, jak wielkie są wypadki, wobec których stać trzeba. W obozie tym, poeta znalazł jednego skaleczonego moralnie bohatera i więcej nic. Ten jeden potrafi umrzeć jak wielki artysta, ale nie potrafi żyć. I on jeden. Inni to śledzie, które zginą bez wieści i bez sławy w paszczy rewolucyjnego wieloryba. Żaden najskrajniejszych pojęć pisarz nie obszedłby się tak bez litości z tym obozem, jak obszedł się z nim Krasieński. Uznanie poetyczne Henrykowi, całkowita pogarda innym, śmierć wszystkim. Gdzie sympatya autora? Czy w obozie przeciwnym?

Na czele obozu demokratycznego stoi Pankracy.

Czy imię to wypadkowe? Czy poeta, jak sam pisze, wybrał je dlatego tylko, że brzydkie? Trudno uwierzyć, gdy w tem imieniu brzmi: panowanie wszystkich. Ale mniejsza o to. Pankracy to drugi Tytan, drugi półbożek. Z twarzy jego bije potęga... Prof. Tarnowski, przekładając język poety na prozę, widzi w Pankracym uosobienie logiki, która nie zna litości. Zgniecie ona jęczących, nie otrze łyzy, bo to sfera inna. Logika może być tylko logiczną, nie zaś miłosierdną, dobrą, cnotliwą lub kochającą. Logika, to konieczność, to bieg rzeczy i wypadków. Prowadzenie siły, zguba słabych, to także logika. Brak pocieszenia, ratunku, otuchy, to także logika, uosobiona w Pankracym. On stoi na czele, bo tak być musi. Poza nim w tym drugim obozie tłuszcze: przechrzty nieszczerzy, lokaje, pucebuty, nierządnice, mord i orgia. Niema myśli, są tylko instynkta; niema pragnień, są tylko apetyty; niema życia, tylko chęć użycia. W ogromnych i strasznych zarysach przedstawia się nam ten drugi obóz... Noc, orgia! a wśród ciemności, dogasających ruin słychać wrzaski ochrypłych głosów. „Bracia moi podli, bracia moi mściwi“, woła głos jeden. „Obywatele schyleni nad prawidłem, w pocie i w poniżeniu, glancując buty, poczulimy prawa nasze“ woła drugi. Kobieta krzyczy: „Jestem wolną niewiastą i rozdaję miłość moją“. Podobnie po-

nurych i posępnych rysów szukać chyba w świecie dantejskim. Jeśli forma Fausta wpłynęła na tę „nieboską komedię“, treść jej przerosła społeczną doniosłością Fausta. Te karty są straszne. Człowiek na nich podobny jest do apokaliptycznego zwierzęcia. Tem to wszystko straszniejsze, że oto przed nami zwycięzcy, i że są to „stare zbrodnie w nowych szatach“. Zarody tego wszystkiego, co ludzkość dusiło, co do jednego tkwią w tym obozie, zwycięstwo nie przyniesie ulgi, dobra, szczęścia, zmian nawet. Tłum tego nie czuje, ale jest ktoś, co to rozumie. Twarz jego marmurowa zawsze, oblicze nie drgnie, ale pod ową ogromną czaszką wyłgł się twór, który się nazywa niepokój. Pankracy rozumie, że czegoś brak w jego budowie, czegoś może bardzo ważnego. Gdzie to coś jest? Czy nią w obozie przeciwników. Tytan demokracji idzie tam szukać. Chce on poznać tego Henryka, który oto zamknął się w zamku św. Trójcy, gdzie wie, że zginie, musi zginąć, ale chce zginąć. Dlaczego? Czy on może zagrzebie to coś, czego brak Pankracemu. Nie. Z rozmowy między Pankracym i Henrykiem okazuje się, że wszystkie zarzuty jakie jedna strona czyni drugiej są słuszne, ale każda pojedynczo nie umie dowieść racji swego bytu. To, co sobie przeciwstawiają, wygląda na jakieś olbrzymie, wiekowe nieporozumienie, ale jaka jest synteza tej tezy i antytezy, ani Henryk, ani Pankracy, nie wiedzą, ani rozumieją, nie odgadują. Przepaść się tylko powiększa. Walka musi być śmiercią jednych lub drugich. Jakoż na drugi dzień rozpoczyna się, zaciekle jak nigdy. Zamek pada. Orcio-poeta ginie: Henryk rzuca się w przepaść, Pankracy zwycięża. A teraz co? Czy jedno złe ma zastąpić drugie? czy cały ten poemat to tylko wybuch rozpacz? Mimowoli każdy, kto przeczytał poemat, spyta, gdzie jest poeta, co nam zostawi jako otuchę? Jeszcze nie koniec. Pankracy stoi jako tryumfator na szczycie zamku, obok niego powiernik Leonard! gdy nagle ukazuje się na niebie straszne widziadło: „Jak słup śnieżnej jasności stoi ponad przepaściami, oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli mściciel. Ze splecionych piorunów korona na skroni jego... Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze kto żyw“...

Pankracy, umierając, woła, jak Julian Apostata: *Galilee vicisti!* Zwycięstwo w idei Chrystusowej.

Komu fantastyczny nastrój poematu zostawił choć najmniejszą wątpliwość co do jego tendencji, co do myśli, temu prelegent układem całości pomógł do zrozumienia jej w całej pełni. Te dwa światy, walczące ze sobą, walczyły tylko w imię nienawiści, która *nie tworzy*. Duch poety, wyższy nad stronnictwa i partye, unosi się nad obozami i mówi nam, że nie o to dbać trzeba, by stare zbrodnie w nowe obłożyć szaty, to *tworzy* tylko miłość jedna, której widomym symbolem było zjawisko

owo, widziane przez Pankracego. Do wyrównania wiekowych przepaści trzeba *dobrej woli*. Poza rachunkiem logicznym, poza walką o byt, poza siłą, jest coś, co się w te kategorie nie mieści, a co wypadki dziejowe chryzmatem prawdziwej ludzkości znaczy, co świat człowieczy od zwierzęcego różni. Kto przy tej trzeciej sile stoi, ten przetrwa burzę i usłyszy w przyszłości: pokój ludziom dobrej woli!

Czasami jednak, w poziomych stosunkach życiowych, dobra wola nie wystarcza. Zdarzają się sytuacje, gdzie człowiek znajduje się między Scyllą i Charybdą, choć mu wogóle dobrej woli odmówić nie podobna. W takiej sytuacji znaleźli się obywatele ziemscy, gdy im obwieścili sądy gminne, że podług prawa niewolno jest brać żadnego fantu od szkodnika lub złodzieja, czyli, że np. kradnącemu drzewo w lesie nie można zafantować jego siekiery, pasącemu bydłę w cudzem zbożu nie można tem samem przytrzymać jego bydłęcia, ładującemu cudze zboże na wóz nie można zafantować tymczasowo wozu i t. d. Co czynić zatem? zapytywał prawników w liście otwartym jeden z wybitniejszych ziemian. Jak postępować w wypadkach najczęściej się zdarzających, gdy leśnik napotka w boru złodzieja ścinającego drzewo, a nieznanego mu z nazwiska, lub polowy dostrzeżga nieznanego człowieka zabierającego w polu skoszoną koniczynę, siano lub zboże? Bo wszak o świadkach nie może być mowy... Gdy prawnicy nie potrafili rozgryść tego orzecha, spróbował to uczynić Litwos w swej *Kronice tygodniowej*, wydrukowanej w N-rze 53 *Słowa* z 7 marca 1882 r. Zdaniem Sienkiewicza najpraktyczniejszym w takich razach środkiem byłoby przedstawić się nieznanemu złodziejowi, czekając, by z kolei i on wymienił swoje nazwisko, albo też poprosić go na obiad i między pieczeniem a deserem spytać, kogo mam przyjemność mieć u siebie? albo też, gdyby nawet przemawianie do jego „uczucie słowiańskich“ na nic się nie zdało, nosić ze sobą aparat fotograficzny i fotografować na poczekaniu. „Ten ostatni sposób zapełniłby niewątpliwie fizyognomiami pełnymi wyrazu albumy szlacheckie, ale prawdopodobnie okazałby się nie dość skutecznym jako ochrona lasów, zbóż i pługów“. Wszystko w takich razach zależy od wójta, a cóż to jest

wójt? „Jest to dodatek do łańcucha i medalu, czyli istota bierna. A co to jest istota bierna? Jest to istota, która bierze“... Wobec tego i sędziowie gminni nie widzą sposobu wyjścia z podobnego labiryntu.

Miedzy sędziami gminnymi są ludzie oświeceni, pełniący ciężkie obowiązki z wytrwałością godną tak ważnej sprawy, ale pytam, co zrobi najlepszy i najsprawiedliwszy sędzia, jeśli ktoś, przyszedłszy do niego, powie mu: „Sędzio! Oto pewien człowiek kradł mi drzewo w lesie, nie znam go i siekiery mu zabrać nie mogłem. Nie wiem także, jak się nazywa, domyślam się tylko, że musi to być Słowianin ze wsi leżącej na prawo, ale może i na lewo, albo może i z miasta“. Prawdopodobnie wówczas on sprawiedliwy sędzia odpowie, że skarga taka nie jest z tego świata, gdyż złodziej jest idealny... Tym sposobem poszkodowany pójdzie do domu nie tylko bez satysfakcji, ale jeszcze z sękiem w głowie: jak idealny złodziej mógł kraść realnie... Tak to łączą się ze sobą niepodobieństwa, a w gminach dzieją się rzeczy, o których naprawdę nie śniło się filozofom.

Zresztą i sądy gminne nie śpią na różach. Jako dowód opowiedział Litwos, na podstawie listu z Lubartowskiego, następującą tragikomedję.

Prolog. Sąd gminny 2-go okręgu powiatu Lubartowskiego, mając do rozpatrzenia kilkadziesiąt spraw z gmin Chuda Wola, Rudno, Wielkie i innych sąsiednich wsi, nie chcąc dla złej drogi ściągać kilkuset ludzi do swej rezydencji, na mocy służącego mu prawa postanowił odbyć parę posiedzeń w Michowie, jako mniej więcej środkowym punkcie wspomnianych gmin. Ponieważ jednak na kilkanaście godzin trudno byłoby wynaleźć mieszkanie, a w Michowie jest duży dom będący własnością gminy Chuda Wola, w którym mieści się wójtowska kancelarya, sąd więc postanowił odbyć posiedzenia w tym właśnie domu i zawiadomił o tem wójta. W *akcie pierwszym* oznaczają tedy termin spraw, wzywają strony, skarżących, poszkodowanych, obwinionych, świadków, biegłych, wydają polecenie, by policya dostawiła oskarżonych o kradzież i szkody, słowem: przygotowują wszystko co jest potrzebne do odbycia posiedzeń w Michowie. Tymczasem cóż się dzieje? Oto wójt zawiadamia, że „pan naczelnik“ nie pozwala mu udzielić kancelaryi na posiedzenie sądu. Zapytany naczelnik odpowiada, że o niczem nie słyszał i że nie ma nic przeciw temu. Sąd tryumfuje. Na tem kończy się akt pierwszy. Akt II. Przygotowania. W wigilią spraw zjeżdża do Michowa sekretarz sądu, z woźnym, ze stróżem i z „całą bryką utensylii sądowych“, a więc, pi-

sze autor listu, przywieziono ukaz Piotra W. (zierało), ustawy sądowe, kodeksa, akta spraw, druki i t. p., skończywszy na zielonym suknie i dzwonku. Na drugim wozie mieściły się skradzione przedmioty jako corpus delicti do spraw; przybyli też i ludzie z dalszych stron i oskarżeni pod konwojem. Widok wspaniały i nauczający. Nazajutrz (28 lutego) przybywa sąd, zbierają się gromady ludzi, sprawiedliwi się cieszą, niesprawiedliwi drżą, dzwonek się odzywa, posiedzenie rozpoczęte, gdy nagle... Nagle rozpoczyna się akt III. Drzwi otwierają się na rozcież i do sali wkracza wójt na czele ciała prawodawczego Chudej Woli. Kronika milczy, czy w tej chwili za oknem ozwała się posępna fanfara na nutę: „ach wybiła godzina!“ ale choćby się taka muzyka ozwała, musiałaby zapewne umilknąć, gdyż wójt zaczął do sądu świetną i pełną godności przemowę od słów: „Pocošta się tu przywlekli!“ Następnie w kilkunastu okresach nie pozostawiających pod względem stylu nic do życzenia wójt wytłomaczył sądowi, że w Michowie jest jarmark, że zatem kancelarya będzie potrzebna, i zakończył praktyczną uwagą, że wprowadzić nie może odstąpić kancelaryi michowskiej, ale natomiast posiedzenie może pójść... do kaduka. Wiemy, co to jest prawdziwa wymowa, zwłaszcza przy dodatku innych argumentów, łatwo zatem zgadniemy co się stało... Oto tegoż samego dnia widziano na drodze prowadzącej z Michowa w inne strony Europy długą karawanę, opuszczającą niewdzięczne miasto. Jeźdźcy mieli głowy pospuszczone... Nie potrzebuję objaśniać, że byli to: sędzia, pisarz, woźny, stróż, oskarżyciele, świadkowie, utensylia etc. Co się z nimi stało dalej, nie wiem. Starosłowińskim obyczajem złożonoby może roki pod cieniem jakiego olbrzymiego dębu, gdyby nie to, że dębów niema, bo je posprzedawali żydzi, a choćby dęby były, to w zimie nie dają cienia... W Michowie za to panowała radość. Jarmark trwał. Dokonywano poważnych obrotów handlowych, bito się w łapy przy układach, przytem, że użyję stylu handlowego: tendencja zwłaszcza w kierunku okowity była nader mocna. Legenda mówi jeszcze, że oskarżeni, których większość spodziewała się pójść do kozy, a których odjazd sądu uwolnił od kłopotów, wydali sobie obiad składkowy, na którym spełniano liczne toasty na cześć wójta i miejscowego parlamentu.

Gdy to się działo w Michowie, w Warszawie tymczasem „miało się już pod koniec“ gościnnym występom Modrzejewskiej, która znów wracała do Ameryki, a *Słowo* zapowiedziało druk odczytów Rogozińskiego, który właśnie opuścił Warszawę, by niebawem poszybować do Afryki, szukać jezior i... sławy. „Bogdaj nie znalazł nic innego“ życzył mu w swej kronice Sienkiewicz, a zdając sprawę z jego pożegnalnego odczytu,

kończącego się serdecznem: bądźcie zdrowi i pamiętajcie! nie omieszkaj podkreślić, że „młodego podróżnika, gdy to mówił, wzruszenie ścisnęło za gardło, głos mu drżał“...

Może za parę miesięcy, wśród jakiej bezsennej nocy w lasach afrykańskich, przypomni mu się ta sala, zalana światłem, i te zasłuchane spokojne twarze, które wydadzą mu się kochane bardzo. Żegnano go, wołając: do widzenia! do widzenia!... Trochę go było żal, może gdzie spadła jaka cicha łza, może pod niejednym kapelusikiem przesunęła się myśl, że są inne, nie tak odległe kraje, których prelegent nie widział, kraje hymenu, gdzie niema ani lasów, ani lampartów, ale co najwyżej maleńkie boba, które nie kasaają, bo nie mają ząbków... dziwny ten jednak człowiek woli widać zęby lamparcie.

W tym samym tygodniu, co ten ostatni odczyt Rogozińskiego, odbył się odczyt niejakiego Juliusza Brun o Wiktorze Hugo. Odczyt ten wygłoszony był przez prelegenta po francuzku, gdyż p. Brun był Francuzem. Nadto był sekretarzem znanego pisarza francuzkiego Mario Ucharda. Ostatnia okoliczność dała niemało do myślenia Sienkiewiczowi, bo zastanowiło go, „czy Mario Uchard jest ślepy, czy też literaci francuzcy są tak szczęśliwi, że mogą mieć swoich sekretarzy?“

Co do mnie, mam wprawdzie sekretarza, którego pseudonim znajdują czytelnicy na końcu niniejszej kroniki ¹⁾, ale tak leniwego, tak opieszałego w spisywaniu tego, co moja literacka głowa obmyśli, że chętnie bym go zmienił na innego, gdyby moje środki na to pozwalały. Muszę jednak wyznać, że jestem nader pobłażliwy dla jego lenistwa i że wogóle mam do niego pewną słabość, której nie radzę podzielać czytelnikom.

Bo że i czytelnicy bywają pobłażliwi, na to nie brak dowodów. „Znajdują się n. p. ludzie, utrzymujący, że *Niwa* nie jest nudna!“ Sienkiewicz, choć jeszcze przed rokiem był stałym współpracownikiem *Niwy*, obecnie, jako redaktor *Słowa*, przyznawał, że nie zgodziłby się nigdy na zdanie tak ryzykowne... Co mogło spowodować ten nagły zwrot w Sienkiewiczu? Sprawił to artykuł Kasznicy w *Niwie* o *Naszych oportu-*

¹⁾ Litwosa, czyli, że on sam musiał być swoim sekretarzem.

nistach, wymierzony głównie przeciwko *Słowu*. Sienkiewicz odpowiedział nań w swej kronice, a choć nie powodował się w swej replice „ani osobistemi powodami, ani obrażoną miłością własną, ani *szarą pyszką*, na którą narzekał już wielki Skarga, to jednak replika ta była niemiłosiernem przeszyciem napastnika na wylot...

Szanowny autor robi nam jeszcze zarzut, że w programie *Słowa* mieszczą się zdania, które mogłyby być podpisane „przez t. z. zachowawców i t. z. postępowców“. I to ma być zarzut. Ależ mógłbym sz. autorowi przytoczyć całe dziesiątki takich zdań, na które podpiszą się wszyscy postępowcy i zachowawcy, tacy nawet, którzy jaknajmniej podpisywali w swoim życiu. Czyby np. *Niwa* nie podpisała zdania, że gdzie idzie o sprawę publiczną, należy stłumić niechęci prywatne? Ja pierwszy namawiałbym ją do podpisania... Wogóle o zarzutach, któremi nas obarczono, powiemy, że jeśli nie są, według słów Merkucya, tak głębokie jak studnia, ani tak szerokie jak drzwi kościoła, to jednakże dowodzą pewnego rozdrażnienia, któremu ze względu na sprawę publiczną radziłyśmy koniec położyć. Zapewniamy, że potrafimy się bronić i nie oszczędzać napadających, jeśli nas do tego zmuszą, ale sądzimy, że i my i *Niwa* i każde inne pismo ma przed sobą o wiele podnioślejsze zadania, które winny być syntezą wszelkich różnic, niechęci i niesnasek. Nie walka o prenumeratorów, nie forytowanie miłych na koszt niemiłych, nie prywatne sympatyje lub antypatyje, mają nam być gwiazda przewodnią. Ma nią być dobro publiczne... Dla mnie ideałem byłoby pismo, któreby potrafiło zostać według słów poety, „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty“...

Ulubioną lekturą Sienkiewicza, oprócz powieści, były zawsze opisy podróży. Dlatego też, gdy wyszedł polski przekład *Marokko* Amicisa, przyszły autor *Listów z Afryki*, do której go ciągnęło od najdawniejszych czasów (stąd jego sympatya dla wyprawy Rogozińskiego), nie tylko przeczytał tę książkę, ale z niej obszernie zdał sprawę w trzeciej ze swych *Mieszanin literacko-artystycznych w Słowie*¹⁾.

Nie rzadszego, jak prawdziwie poczytna książka podróżnicza, podróżnik bowiem bywa albo specjalistą, i wówczas badania i opisy jego dla większości czytelników są niedostępne, albo, co się nader często

¹⁾ Nr 58 z dnia 15 marca 1882.

zdarza, nie umie spostrzeżeń swych wyrażać w sposób artystyczny i wydatny. Człowiekowi, który sam widział pewne kraje i ludzi, każdy opis wystarcza, bo mu widziane przypomina, mało zaś kto potrafi się postawić w położeniu czytelników, którym sam opis musi zastąpić wszystko.

Amicis posiada te zalety. Opisy jego odznaczają się barwnością i jasnością, a nawet świetnością, którą, zwłaszcza w opisach życia wschodniego, przypominają obrazy Benjamina Constant.

Amicis ma przytem jeden wysoki przymiot literacki, przymiot bardzo rzadki: oto umie kreślić krajobraz. Widzi się to Marokko, czytając książkę: jego faliste wzgórza i doliny wypalone słońcem, pola posiane kukurydzą, białe *kuby* czyli domki świętych, i duary czyli wioski, z których tłumy brązowych dzieci wybiegają na podróżników... Opisy są tak przezroczyste, jak atmosfera tamtejsza, która pozwala widzieć najdalsze przedmioty... Książka jest składana z notatek spisywanych widocznie natychmiast, pełno też w niej gwaru, ruchu, życia i tej żywotności, jaką posiadają tylko pierwsze wrażenia. Źle robi ten, kto podróż kreśli ze wspomnień. Zwolna bowiem człowiek oswaja się z otoczeniem, choćby najodrębniejszym, i z warunkami, choćby najmocniej odmiennymi od tych, w jakich żył dotąd. Oswoivszy się, nie odczuwa tak mocno, traci zdolność mierzenia faktów i ludzi naszą europejską miarą, i nie zapisuje wielu rzeczy, dlatego, że po pewnym czasie wydają mu się one już normalne, choć wedle naszych europejskich pojęć takimi nie są. Ale Amicis maluje na razie, dlatego jego wrażenia mają ową pierwszą barwę niewypływiałą przez czas i niepamięć.

Oto np. pierwsze wrażenie po przybyciu do Tangieru.

Łodzie z powodu odpływu nie mogły przybić do samego brzegu, podróżnicy więc musieli się przeprowiać na karkach arabów. Ten tłum ludzi koloru bronzu, dzikich, drapieżnych, wrzeszczących, biegł przez wodę, następnie porwał biednych europejczyków wraz z ich pakunkami na ramiona. Panie jechały w ten sposób obok panów. „Ja sam, pisze Amicis, odbyłem swój wjazd do Afryki konno na starym mulacie, z brodą opartą na jego ciemieniu, z końcami nóg w wodzie“.

Następuje opis Tangieru, który w sienkiewiczowskiej kopii, bodaj czy pod względem plastyki nie przewyższającej oryginału, przedstawia się w ten sposób:

Tangier ma domy odwrócone od ulic. Długie mury, poroziągane w jednostajne linie proste, rażą oczy, oślepiającą białością, którą pod-

nosi blask afrykańskiego słońca. Miasto, z powodu braku okien wychodzących na ulicę, miałoby głuchy pozór, gdyby nie mieszkańcy. Na ulicach rojno i gwarno. Oko europejczyka przywykłe do ciemnych ubiorów i ciemnych barw, przeważających w naszych miastach, nie może się nasycić przepyszną grą kolorów, odbijającą od lśniących śnieżnych murów... Przed podróżnikiem przesuwają się twarze czarne, białe, żółte i spiżowe; głowy o gęstych długich włosach i czaszki nagie, błyszczące, jakby z kruszeu odkute; ludzie wyschli, jak mumie... Są tam oblicza sułtanów, dzikich bojowników, czarnoksiężników, pustelników, zbójów, ludzi złamanych smutkiem olbrzymim czy nudą śmiertelną, a pośród nich nie wielu albo raczej nikogo z uśmiechem na ustach... Z góry leją się potoki słońca na głuche miasto, a w mieście ludność fantastyczna, barwna i jakby przygnieciona jakimś brzemieniem, jakby w rozbracie z życiem, zapatrzona w nieskończoność i stęskniona do ciszy grobowej. Na placach barwne łachmany, w twarzach powaga zmarłych.

Czytając ten opis Tangieru, nie można nie podziwiać siły wyobraźni Sienkiewicza. Boć jest to opis nie z natury, jeno z fantazyi, zasilonej jedynie przeczytaną książką. A jednak z natury nie mógł by być plastyczniejszy, prawdziwszy, barwniejszy, bardziej przesycony blaskiem i mieniący się jaskrawością kolorytu.

Niemniej interesującą jest charakterystyka ludności marokańskiej, zawarta w tem Sienkiewiczowskiem streszczeniu.

Pod maską chłodu i obojętności kryje się głęboka nienawiść do europejczyków. Arabowie tangierscy są do nich przyzwyczajeni i boją się ich, a jednak nie mogą częstokroć się powstrzymać. Fanatyzm wybucha przy lada okoliczności. Amicis widział dzieci dziesięcioletnie, ścisające pięści na jego widok i życzące mu „aby Allah rozkazał upiec cień jego pradziada“. Pewnego razu jakiś święty, czyli człowiek mający pomieszanie zmysłów, napluł w twarz jednemu z konsulów i nie można było wymóżyć na władzy ukarania fanatyka. Wzburzenia przeciw *głaurom* manifestują się zawsze, ilekroć odbywa się jakaś uroczystość, ilekroć święci napłyną w większej ilości do miasta. Wówczas ten tłum, zwykle poważny i apatyczny, zmienia się w stado dzikich rozhukanych zwierząt... Ludność dzieli się na rządzących i rządzonych, czyli obdzierających i obdzieranych, czyli gnębiących i gnębionych. Za to wszyscy są jednakowo leniwi i niechlujni, a przytem zdradzieccy, chciwi, nienawistni, ambitni i apatyczni. Są to na pozór sprzeczności, które jednakowoż godzą się doskonale w charakterze arabskim. Polityka zewnętrzna tamtejszego rządu polega na tem, by czynić jaknajmniej zadość żądaniom państw

europijskich, wewnętrzna, na wyciskaniu z poddanych pieniędzy i ścinaniu głów nieposłusznym. We wszystkich tych sprawach rząd doszedł do nadzwyczajnej wprawy. Postępu niema w Marokko. Jest to kraj cywilizacyi obumierającej i zdziczałej. Mieszkańcy zdolni są do czynów wyjątkowych w wyjątkowych warunkach, ale stracili zdolność do spokojnego życia w rozwoju. Mają to do siebie owe cywilizacye wschodnie, że doszedłszy w pierwszym rozmachu nader wysoko, następnie krzepną. Wytwarzają one siłę, strzelają kwiatem umysłowości, ale nie wytwarzają drogi, po której można iść i rozwijać się normalnie dalej. Państwa, które zrodził duch wschodu po wyczerpaniu zasobów fanatyzmu i siły istnieją dalej tylko na mocy inercyi. Ich niespojona budowa trzyma się tylko ciężarem, który z góry przygniata warstwy dolne. Mieszkańcy Marokko nie posiadają nie tylko zdolności, ale i ochoty do życia. Arabowie, którzy widzieli zapobiegliwość Europejczyków, ich wielkie i wspaniałe miasta, lub którym opowiadano dziwy o kulturze europejskiej, odpowiadali: „urządzacie się tak, jakbyście nie mieli umrzeć“. Pracy dla przyszłych pokoleń nie rozumieją. Gdy Europejczyk przycisnie ich rozumowaniem do muru, odpowiadają, że Allah jest wielki. Przeciw temu niema już argumentu.

O ile o książce Amicisa dało się powiedzieć, że jest pisana jasno, przeźroczysto i z talentem malarskim, o tyle *Pan Ślepy Paweł* Hodiego, któremu Sienkiewicz poświęcił drugą połowę swej „mieszaniny“, nie zasługiwał na tak pochlebne określenie. Pomimo całej życzliwości, jaką krytyk miał dla jej autora, musiał ją osądzić dosyć surowo.

Autora poznaliśmy w Paryżu. Jest to z rodu Rusin. Człowiek wykształcony bardzo, rozmyślający, ustawicznie zamyślony, pogrążony w sobie, posępny, napozór zamknięty, a w gruncie rzeczy nad wszelką miarę uczuciowy, posiada on pierwszorzędne zdolności. Czytająca publiczność nieraz musiała zwracać uwagę na świetne jego korespondencye z Paryża, których mnóstwo pomieszczał w swoim czasie w *Kłosach*. Potem zmęczył się i przestał pisać. Zwały się na niego liczne nieszcześcia. Miał chwilę zmierzchu i melancholii, co się odbiło w jego pracach, które stały się zawiłane i ciemne, ale potem przyszedł do równowagi.

Pan ślepy Paweł jest pierwszą powieścią Hodiego. Treść jej stanowią dzieje młodości bohatera, a młodość ta była chmurną wogóle. Chmurnym też i posępnym jest sam pan Paweł, Rusin, pochodzący z unickich księży. Wychowany przez dwór i razem

z synem dziedziców, Dyonizym, kształcony starannie, „jest on drażliwy, opryskliwy, pełen miłości własnej i niewyrozumiały. Siebie ma na względzie zawsze i do siebie wszystko odnosi. Jest przytem bezwzględny, jak każdy człowiek, który własne ją podniósł do wysokości zasady“. Że taki człowiek, spotkawszy na drodze swego życia, młodą ładną dziewczynę, nie posiada zbyt wielkich widoków podobania się jej, to nie jest dziwnem. To jednak stało się tragedią pana Pawła. Wróciwszy z Dyonizym z zagranicy, poznał na wsi (a wieś ta była majątkiem rodzinnym Dyonizego) kuzynkę księżzową, Micie, i zakochał się w niej. Kochał się w niej po swojemu, t. j. w sposób wyłączny, zawistny, wrażliwy. A że Micia była sobie zwykłą ładną dziewczyną, przeciętną parafialną gąską bez polotu, bez wyższej kultury moralnej i umysłowej, i wcale nie poetyczną nimfą, jaką ją chciał mieć autor, ale tylko rubensowską pięknoscią o hożem ciele i krwi gorącej, więc bardziej ją zniewalały płuche umizgi Dyonizego, niż płomienna, lecz wielce egoistyczna miłość Pawła. Niestety, ta namiętna a nieszczęśliwa miłość nie wzrusza czytelników.

Nie umie ona nawet wzbudzić ich sympatyj, i dlatego nikt nie odczuwa, dlaczego taki straszny dramat leży dla pana Pawła w tem, że Micia nie jego kocha. Jest to wielka wada tej powieści. W życiu, w naturze, taki pan Paweł mógł cierpieć z tego powodu, ale w powieści to nie dość. W powieści i czytelnicy muszą cierpieć z nim razem, muszą odczuwać jego zawody, rozpacz, bo inaczej cóż ich może cała powieść obchodzić. Sprawa przedstawia się poprostu jako *trop de bruit pour une omelette*. Cóż się bowiem dzieje. Oto Dyonizy umizga się, nimfa parafialna uśmiecha się, a Paweł? Ten do rydwanu swojej rozpacz zaprzęga cały świat: bogów, ludzi, całą naturę, całe otoczenie. Chodzi po nocach, filozofuje, rozpacza, nienawidzi, przepada, waryjuje, zabija... Jest tego wszystkiego za dużo. Użyto olbrzymiego aparatu dla wywołania małych skutków. Autor wpechnął tyle refleksyj, tyle materyału myślowego w tę prostą powszednią sprawę, że niema żadnej proporcji, między ważnością samej sprawy, a tą masą środków. Starczyłyby one na dwudziestu Otellów, zwyczajny pan Paweł i zwyczajna Micia giną pod tą masą przyborów tak dalece, że ich nie widać. Psuje to zupełnie harmonię estetyczną opowiadania. Oto góra jęczy i rodzi! Myślicie: urodzi smoka. Wcale nie: niewyhryczą mysz. Jest w tem coś śmiesznego. A przytem to co

stanowi typową stronę miłości i tych bólów, które się rodzą, gdy serce sereu nie odpowiada, to co znaleźć może oddźwięk jako ogólnie ludzkie w duszy każdego czytelnika, ginie tu zupełnie dlatego właśnie, że autor nadał jakieś nadzwyczajne cechy uczuciu tego pana Pawła. Autor starał się pogłębiać i pogłębiać swoją pracę, aż zstąpił do takich głębokości, w których zaczyna być ciemno. Pan Paweł zawiele filozofuje. Czytelnik chce bezpośrednio odczuć, jak biją serca i pulsa ludzkie w uczuciu, a zamiast tych bezpośrednich wrażeń dostaje analizę, i to ekscentryczną analizę. A często także: frazes, którego prawda nie szuka i którym się nie wypowiada. „Kochałem Micię (mówi pan Paweł) jak chłop ruski i jak Michał Anioł!“ Mimowoli przychodzi ochota spytać: a szczo heto? Proszę teraz wyrobić sobie jakiekolwiek wyobrażenie o tej miłości. Hryć i Michał Anioł! jaka jest tego synteza? Pan Paweł ma jedną wadę: oto podnosi siebie, swoje ja, swoje uczucie do takiej potęgi, na jaką czytelnik zgodzić się żadną miarą nie może. Wiemy tylko, że podczas, gdy Dyonizy wieczorami umizga się, tamten krąży między rzeką, ementarzem, cerkwią i rzy w ciemnościach. Nie jest on jednak demoniczny. On ma tylko niesmaczny charakter i jest nadzwyczaj wielomówny. Dyonizy jest tuzinkowym charakterem, ale ma wiele cierpliwości.

Największą wadą tej powieści jest, według Litwosa, „zupełny brak prostoty“, a całe opowiadanie jest utworem dziwnym, przy którego czytaniu raz po raz budzi się refleksja: co za szkoda, że tak doskonale pisana powieść jest tak źle napisana.

Pojedyncze rozdziały, brane osobno, mogłyby stanowić ozdobę niejednej powieści; złożone razem, dają całość przeładowaną, antypatyczną, przestylizowaną, przerafinowaną. Autorowi nie się nie udało. Chciał mieć Ślepego Pawła sympatycznym, ślepy Paweł jest niesmaczny; chciał mu przyznać słuszność, czytelnik mu jej nie przyznaje. Materiał, prawdopodobnie brany z życia, wydaje się nieprawdopodobnym, może właśnie dlatego, że nie ma w nim nic ogólnego, że przeszedł do powieści *in crudo*. Autor wypowiada niejedną głęboką myśl, ale w powieści studium psychologiczne nie jest głębokie. Pod względem artystycznym opowiadaniu brak plastyki... A jednak nie jest pospolicie pisany ten Ślepy Paweł! Szkoda tylko, że Hryć zginął w sukni Michała Anioła, jak mucha w morzu; bo też kudy Rzym, a kudy Niewyhrycze!

W dziesiątej z rzędu *Kronice tygodniowej*, wydrukowanej w *Słowie* d. 23 marca, poruszy Sienkiewicz, *ex re* jubileuszu prof. Józefa Przyborowskiego, ważną kwestję zakładów nau-

kowych, między którymi a społeczeństwem powinien zachodzić bliższy związek, niż to ma miejsce u nas. „Szkoła ma być emanacją społeczeństwa, czyli jego bezpośrednim wpływem, a więc nie może mieć odmiennego charakteru. Szkoła przytem winna w przyszłości ułatwiać życie swym wychowañcom, jeśli zaś po jej ukończeniu czują się wśród swego własnego ogółu obcemi, to tracą zamiast zyskiwać“. Szkoła urabia charakter swym wychowañcom, i jakie zasady w nich wpoi za młodu, takim będą hołdowali w wieku dojrzałym, gdy wyjdą na ludzi. Kto wie, czy prąd wśród dzisiejszej młodzieży, by żenić się dla posagu a nie z miłości, prąd, który coraz więcej znajduje zwolenników, nie jest tym kłosem, którego posiewu należy szukać wśród ławek szkolnych... Słowacki powiedział raz w przystępie rozgoryczenia w *Beniowskim*, że niezabudką ani bławatką już się dziś nie da wyprowadzić w pole: „Chyba mi posag położą na stole!“ Otóż młodzieńców takich, którzy sobie te sarkastyczne słowa poety wzięli za życiową dewizę, spotyka się zbyt wielu.

Znaną jest anegdota o dwóch mazurach, którzy wieźli dwie fury pełne żydów. Zawadziwszy wozami, pokłócili się. Jeden porwał za kłonicę i dalejże okładać żydów siedzących na wozie przeciwnika... Na to drugi mazur powiada: „Bijesz ty moich żydów, to ja będę bił twoich. Lam w swojej korespondencji do *Nowin* zauważył, że może i z miłością się tak zdarzyć. *Lobst du deinen Polen, lob ich meinen Polen...* Jest jednak wielka różnica w tem, że żydzi nie wołali zapewne o fakta... Za pozwoleniem. Różnica nie jest tak wielka. Takich faktów nikt nie pragnie. Gdy chodzi o miłość, to co innego. Wówczas dziewica lub młodzieniec, słysząc wyznanie, mogą słusznie powiedzieć: „Dziś mnie już niezabudką nie wywiedzie w pole!“ Świat bowiem stał się pozytywny...

Co gorsza, stał się nawet oportunistycznym, choć ludzie się tego wypierają. Dowodem, że się wypierają, jest prof. Kasznica, który niedawno „podrapał w oportunizm *Słowo*“, co wywołało replikę ze strony Sienkiewicza. Ponieważ ta replika wywołała jeszcze jedną replikę ze strony prof. Kasznicy, i to replikę, pełną najrozmaitszych insynuacji, np. przypisanie redaktorowi *Słowa* pewnej broszury wydanej w Krakowie, przeto

nowa replika Sienkiewicza wypadła tym razem niekoniecznie dla prof. Kasznicy przyjemnie... Stosownie do zapowiedzi, którą się kończyła pierwsza replika Litwosa, że nie myśli oszczędzać napadających, puścił Sienkiewicz wodze swemu sarkatystycznemu dowcipowi i obszedł się z prof. Kasznicą mniej więcej w taki sposób, jak się np. Wołodziejowski obszedł w *Potopie* w pojedynku z Kmicicem. Oto kilka wyjątków z tej ciętej polemiki.

Kierunek pismu nadaje redaktor, ponieważ zaś p. Kasznica wie dobrze, że nie redaktor *Słowa* jest autorem broszury o dziennikarstwie, nie powinien był zatem żenić broszury ze *Słowem*, choćby ze względu i na to jeszcze, że jakkolwiek wyklada prawo kanoniczne, niema prawa dawania ślubów... Oświadcza dalej p. Kasznica, że występuje z otwartą przyłbicą. Dobrze! Co do mnie, nie noszę szyszaka z przyłbicą, ale ponieważ nie nasuwałem także czapki na oczy, dziwię się, że p. Kasznica wyczytał na mojem obliczu gniew, podczas gdy była na niem zupełna pogoda. Bo o oportunizm, mający moją własną osobę na celu, p. Kasznica mógł mię posądzić doprawdy z mniejszą zasadą, niż ja jego, gdyż on musi się liczyć ze swoją pozycją, ja zaś, wyznaję ze smutkiem, innej pozycji, jak tej, którą daje pióro, nie miałem, piórem zaś, byle zdrowie służyło, można wszędzie i zawsze prowadzić po papierze. Dziennik w którym pracuję, nie jest oportunistycznym, dlatego właśnie, że jego redaktor nie jest i nie potrzebuje być oportunistą.

Nie będąc zaś nim, mógł w wielu kwestiach społecznych nietylko zabierać głos, ale pisać o nich otwarcie, co myślał. Do kwestyi takich należała np. sprawa odczytów popularnych, tudzież sprawa oświaty, która mu zawsze leżała na sercu.

Odczyty stały się nie objawem mody, ale potrzebą umysłową naszego miasta. Oddają one rzeczywistą usługę nietylko instytucjom, w imię których są podejmowane, ale i umysłowości naszej. Podnoszą one jej poziom, podtrzymują zamiłowanie do nauki, wyrabiają dojrzały sąd, wyganiają obskurantyzm. Ponieważ większość słuchaczy stanowią zawsze kobiety, więc owe lekcye ratuszowe dopełniają ich wykształcenia, a potrzeba takich dopełnień jest rzeczywista, bo nasze zakłady naukowe żeńskie... O Ryczywole zamilczeć wolę... Wogóle czy to pomimo szkół, czy wobec szkół, wracamy do dawnej starosłowińskiej prostoty. Statystyka wykazuje, że od lat kilkunastu zmniejsza się znacznie liczba umięjących czytać i pisać. Oczywiście liczba przestępstw wzrasta w stosunku prostym... Pewien Zulus czy Hotentot, proszony przez misjonarza, żeby dał przykład, co jest złe, odpowiedział: „Złe jest... jak mi kto żonę ukra-

kradnie“. „A dobre?“ Pytał dalej ksiądz, ucieszony pojętnością dzikiego wychowanka. „Dobre, to jak ja komu żonę ukradnę“. Owóż dotychczas nasi prowincjonalni słowianie mają pojęcie złego i dobrego nader zbliżone do pojęcia owego Zulusa, i pojęcie to utrzyma się dopóty, dopóki usiłowaniam duchowieństwa i ludzi prywatnych nie przyjdzie w pomoc szkoła. Inaczej wychowankę natury muszą dziecić, jakkolwiek drogą inicjatywy prywatnej robi się u nas dość wiele...

Natomiast czyni się bardzo mało, by wykorzenić zbytnie zamięłowanie do wszystkiego, co obce. I tak np. gdy nasz polski teatr, dzięki oszczędnościom, poczynionym przez dyrekcję, wyraźnie chyli się ku upadkowi (mowa o stanie naszego teatru w r. 1882) „mamy natomiast operę *włoską*, podobno bardzo niezłą, mówią o projektowanem przybyciu meiningenskiej trupy *niemieckiej*, a w niektórych salonach grywają komedyjki *francuskie*. All right! dodajemy po *angielsku*“.

Była to ostatnia *Kronika tygodniowa* Litwosa. Zaprzętnięty pracą twórczą, coraz bardziej odsuwał się od zajęć dziennikarskich. Upłynęło trzy tygodnie, a w feljetonie *Słowa* nie ukazał się ani jeden artykuł Sienkiewicza. Dopiero d. 22 kwietnia w N-rze 89 pojawił się w odcinku pierwszy ciąg *Wspomnienia z Maripozy*, które „spisane z opowiadania“ przez Henryka Sienkiewicza (już nie pod osłoną pseudonimu), skończyło się d. 25 kwietnia w N-rze 91. Jednocześnie zapowiedziało *Słowo* czytelnikom swym „powieść“ Sienkiewicza, mianowicie *Bartka zwycięzcę*, o którym już w lutym znajdowała się następująca wzmianka w *Kronice miejscowej*: „Henryk Sienkiewicz (Litwos) kończy obecnie powieść p. t. *Bartek zwycięzca*. Powieść ta drukowana będzie w piśmie naszym na początku przyszłego kwartału czyli od d. 1 kwietnia r. b.“ Tym razem jednak *Słowo* nie dotrzymało słowa, gdyż nadszedł 1 kwietnia, a w feljetonie, zamiast zapowiedzianego początku sienkiewiczowskiej powieści, figurował dalszy ciąg pracy ks. Gnatowskiego o *Marku Aureliusz* Renana... Początek *Bartka zwycięzcy* ukazał się dopiero d. 1 maja, w nagłówku zaś, pod tytułem, nosił nazwę nie powieści, jak głosiła zapowiedź, ale nowelli. Jako autor figurował tylko Henryk Sienkiewicz. O Litwosie już nie było

mowy, nawet w nawiasie. Wychodziła ta świetna historia bohaterских czynów Bartka Słowika przez dwa tygodnie: dnia 13 maja, w N-rze 106 ukazało się dokończenie, które czytelnicy *Słowa* pewno powitali z niekłamany żalem...

Nr 155 *Słowa* z d. 14 lipca rozpoczął „Henryk Sienkiewicz“, już nie Litwos, nową rubrykę w feljetonie swego dziennika p. t. *Sprawozdania powieściowe*. Widocznie, że miał zamiar sprawozdania takie z naszego ruchu na niwie powieściopisarstwa stale co pewien czas zamieszczać, ale skończyło się na zamiarze, gdyż po tym pierwszym feljetonie jakoś nie przyszło do dalszych. Ten pierwszy poświęcony był powieści Kraszewskiego *Na tułactwie* oraz nowellom Leopolda Meyeta *Do nieznanomiej*.

Przystępując do krytycznego omawiania powieści polskich w miarę ich ukazywania się, uważał Sienkiewicz za właściwe poprzedzić rozbiory te ogólnym poglądem na współczesny stan powieściopisarstwa i jego stosunek do czytającej publiczności, pod tym względem bowiem nasuwały mu się pewne refleksje, dosyć niepokojące.

Od pewnego czasu daje się widzieć dziwny objaw w sferze czytelniczej. W pismach, czy to codziennych, czy tygodniowych, czy miesięcznikach, publiczność żąda powieści, szuka powieści, a znalazłszy ją, niebardzo w niej smakuje. Jestto jakby rodzaj fałszywego apetytu, który tłómaczyć można w ten sposób, że nałóg jeszcze nie ustał, a przesyć już się rozpoczął. Tyczy się to zwłaszcza większych, kilkutomowych powieści, na których czytanie zdaje się braknąć cierpliwości. Objaw ten zauważono powszechnie u nas i za granicą. Żyjemy prędko, lubimy czytać prędko, a powszedniego życia, które przedstawia powieść obyczajowa, mamy we własnych troskach, zawodach i praktyce tak dalece dosyć, że w literaturze straciło ono dla nas interes. Nowsza też powieść stara się dać coś więcej czytelnikom, niż samo opowiadanie o losach bohatera i o szczęśliwym połączeniu Numy z Pompiliuszem. Usiłuje ona stać się albo dziełem sztuki, to jest utworem czysto artystycznym, albo analizą prawd życiowych na zasadzie nauki, albo odbiciem historii i losów całych warstw społecznych, albo nakoniec tem wszystkiem razem.

Oczywiście, że tam, gdzie się ma do czynienia z utworami fantazyi, granice nie mogą być ani ścisłe, ani jasne, a co

się tycze owego przesytu powieściowego, to należy go sobie, zdaniem Sienkiewicza, z jednej strony tłomaczyć nadmiarem produkeyi, z drugiej obniżeniem się skali talentów wogóle. „Jest ich więcej, ale są mniejsze, a stąd i spowszedniałe ich utwory nie mogą budzić takiego interesu, jaki budziły utwory dawnego pokolenia, na których potężna indywidualność autorska kładła właściwe sobie piętno“. Według autora *Bartka zwięzcy*, w roku 1882 taką potężną indywidualnością wśród polskich powieściopisarzy był przedewszystkiem Kraszewski.

Oczywiście i między powieściami Kraszewskiego bywają wielkie różnice: jedne są wykończone i wyszlifowane jak drogie kamienie, inne kreślone szkicowo bez wycieniowania konturów. Ale samo nazwisko daje już czytelnikowi gwarancję, że znajdzie utwór nie robiony wedle mody wzorów, nie konwencyonalną powieść, malowaną przez patrony, ale rzecz bezpośredniego uczucia, bezpośredniej obserwacji, oryginalnej myśli i, jeśli rzec tak można, herbu swego własnego, to jest taką, na której dusza ludzka odcisnęła swe indywidualne piętno. Ten subiektywny charakter dopełnia w niepospolity sposób obiektywna strona utworów. Z rysów rzucanych od niechcienia, z ową łatwością, którą Bóg jeden wie jak dla innych jest trudną, składa się całość, uderzająca taką prawdą, że odbijają się w niej twarze całych warstw społecznych.

„Obrazy współczesne“ Kraszewskiego, zatytułowane *Natułactwie* nie stanowią wyjątku w tej mierze, a główny bohater opowiadania, Floryan Małdrzyk, jest znakomitą figurą powieściową. Powieść zaczyna się w roku 1865, „gdy kraj nie był jeszcze zupełnie spokojnym“, a rozpoczyna się od tego, że Małdrzyk, pod wpływem namów swego szwagra, wyjeżdża na czas nieograniczony za granicę, sprzedawszy symulacyjnie majątek swój temuż szwagrowi, który go sobie oczywiście przywłaszcza... Tymczasem dawny jego właściciel pozostanie bez środków do życia. Charakterystyka „łatwowiernego“ Małdrzyka, jaką przy tej sposobności skreślił Sienkiewicz, równa się doskonałemu portretowi piórem.

Powieść opowiada właśnie o losach Małdrzyka w Dreźnie, w Paryżu i o oplakany powrocie do kraju przez Poznańskie i Galicyę. Małdrzyk należy do tego gatunku ludzi, o których Słowacki mówi „dobrzyby

z nich byli ludzie w szczęściu“. W nieszczęściu, w ubóstwie, w oderwaniu od rodzinnej gleby, bohater nasz nie ma dość hartu duszy, dość woli, dość energii, dość zasobów życiowych. Szlachciec ten w swoim Lasocinie był uczciwym, zacnym, uczynnym, pogodnym, nie był ni pracowitym ni próżniakiem. Wedle roli chodził nie jak Niemiec, ale jak prawdziwy szlachciec, który zrobiwszy co można powie sobie: „jakoś to będzie“, a resztę złoży na Opatrzność! Był on ostatnim z rodu Małdzyków herbu Wąż. Oni bywali oni senatorami Rzpłtej, więc pan Floryan mimo iż był człkiem oświeconym, czytającym, a może i trochę sceptycznym, nie mógł potłumić w sobie jakiegoś mimowiednego przekonania, żeć samej Opatrzności zależy coś na tem, by ostatniemu Małdzykowi nie było nadto źle na świecie. Tej niepokonanej wierze o stosunku Małdzyków do Opatrzności, obronić się nie mógł. Zresztą życie w Lasocinie dawało jej fundament. Było p. Floryanowi tak dobrze na ojcowskim zagonie, tak wygodnie, tak zamożnie i tak bez zachodów łatwo, jakby zaiste sama Opatrzność nad nim czuwała. Bóg błogosławił, a ludzie kochali za serce, bo serce było złote. Głowa także niby niegorsza. Jenó serce i głowa z tak miękkiego metalu, że ów metal pod uderzeniami nieszczęść nie tylko się giął, ale topniał. Safandulstwo, dobrowolność, brak umiejętności stosowania się do warunków życia i niezaradność sprawiły to, że ten człowiek o złotem sercu wszedł na pewne pochyłości za granicą. Podtrzymywał go energiczny przyjaciel, *homo novus*, ale podtrzymać nie mógł. Małdzyk upadał zwolna, nie żeby miał podłych czynów się dopuszczać, ale tracił na ambicji, na fantazyi, i na godności własnej. Był jak łódka bez steru, którą wiatr niesie gdzie chce. Twarde życie obezsiłało go, zamiast hartować. Praca wydała mu się karą. Przyzwyczajenia pańskie zostały. Był to zawsze pan na Lasocinie, choć często miewał krzywe obcasy. To też namęczył się, naznosił upokorzeń, naczynił niepotrzebnych ustępstw własnym wadom i ludziom, wreszcie wrócił do kraju i straciwszy ukochaną córkę, ożenił się dla spokoju z jakąś podstarzałą dewotką, co uczyniwszy, popadł pod jej pantofel.

Małdzyk uosabia, zdaniem Sienkiewicza, losy bardzo wielu emigrantów i narodowe wady nasze.

Ostatnie pokolenie, choć w niem jeszcze podobnych Małdzyków nie brak, pod wpływem ostatnich warunków poczyną się już z podobnych wad otrząsać. Dzięki tym różnym warunkom, społeczeństwo wydaje coraz więcej ludzi, którzy wyszedłszy z twardej szkoły, wzrósłszy wśród przeciwności, stwardnieli, zahartowali się i umieją sobie sami dawać rady. Ale w tem pokoleniu, do którego należał Małdzyk, iluż podobnych Małdzyków. Iluż to ludzi zdolnych do ogromnych jednorazowych poświęceń, nadzwyczajnych jednorazowych wysiłków, ale niezdolnych

do wytrwałej organicznej pracy, ludzi, którzy nie zapomniawszy niczego, również niczego się nie nauczyli. Ale jeśli za to drugie należy ich potępić, pierwsze zbawia ich pamięć.

Jeśli o powieści Kraszewskiego powiedzieć można, że jest „kreślona pospiesznie, szkicowo, z mistrzowską wprawą i bez śladu wysilenia“, to nowelle Meyeta *Do nieznajomej*, mogą być uważane za absolutny kontrast tego wszystkiego... „Nie-wiadome nazwisko na kopercie znane tylko autorowi, trochę łez, westchnień, nieco woni zasuszonych w pugilarzesie kwiatów z przymieszką perfum damskich, dobra doza księżycowego światła:“ oto jak te nowelle charakteryzuje Sienkiewicz, przyznający im nadto „wiele elegancyi i dobrego smaku, oraz nieco talentu“... Cokolwiek bądź, „jakom żyw, powiada, nie czytałem dawno książki tak sentymentalnej“. W dzisiejszych pozytywnych czasach, w wieku fizyologicznych romansów, jest to dziw prawdziwy, aby ktoś, wzięwszy harfę w rękę, zapomniał o świecie bożym i zapatrzony w „nieznajomą“ wzdychał do niej czule... „Ach! Słyszać naokoło szmery westchnień i ciche jęki smutków błahych, wiotkich, kruchych... Ale że tego w dzisiejszej literaturze niema nadto, że sentymentalizm w małych dozach ma swój smutny wdzięk, więc owe listy można czytać bez ekliwości, pod warunkiem, że drugi tom będzie na inną nutę“...

Pierwsza nowella p. t. *On pojechał, on nie wróci*, ma treść taką:

Wiosna wszędzie roztacza zapachy i uśmiechy. Przed nami park, klomby kwiatowe, rozkwitłe bzy i czeremchy, a wśród tej dekoracyi dwie kobiety. „Celinko“, mówi starsza... „Słucham mateczko“. „Pan Adam prosił mnie o twą rękę“. „Pan Adam, o mą rękę?...“ Celinka go nie chce; westchnienie podnosi jej stanik. „Ty myślisz o kim innym, Celinko...“ Nowe westchnienie, mdły rumieniec: „Tak“... On pojechał, ale wróci. Odtąd obie będą wybiegać na gościniec i słuchać z biciem serca każdego turkotu powozu. To on! Nie! I tak mijają dnie, miesiące, lata. On nie wrócił. Serce złamane. Koniec!

Inne opowiadania są na podobny temat. Wszystko to same smutne historie zawiedzionych serc.

Biedny guwerner pisał po cichu dramaty i kochał siostrę swego ucznia (alte Geschichte!) a córkę bogatego bankiera. Dramat zrobił furorę, i gdy wszyscy pytali o imię autora, biedny guwerner odkrył to imię bankierównie, a zarazem odkrył i serce gorejące ku niej zapałem. Bankierówna go wyśmiała. On odszedł ze złamanymi skrzydły. Znowu koniec. W trzeciej nowelli uczennica wdzięczy się do swego nauczyciela i zmusza go do czytania lekcji o kokieterii. Złudzenie! To ona daje mu lekcję kokieterii, bo gdy serce pedagoga topnieje pod wpływem czarnych jej oczu, ona w chwili maximum topnienia przedstawia mu swego narzeczonego. On odszedł ze złamanem sercem. W czwartej nowelli młody górnik przywiózł z za oceanu pieniądze i wierne serce. Pieniędźmi ratował majątek ukochanej, serce chciał jej dać w dodatku, ale „ludzie ci rozeszli się bez pożegnania, a czem dla siebie byli i być pragnęli, nie powiedzieli sobie może tak rychło, może nie powiedzieli sobie już nigdy“. Jeszcze złamane serce! Nie więcej szczęśliwy był i historyk Zygmunt. Ten kochał Ninie, Ninia zdawała się kochać jego. Ale gdy zbadawszy własne serce, wrócił po długiej nieobecności upomnieć się o jej rękę, ona podobnie, jak jej poprzedniczka w *Lekcjach kokieterii*, przedstawiła mu narzeczonego. Serce na dwoje!

Z podobnych zawodów składa się cała książka: same nieszczęścia, złamane serca i popsute szczęścia.

Mógłby ktoś zauważyć, iż takie rany goją się, takie zerwane strony nawiązują się na nowo, ale autor jest innego zdania. Trudno się z nim sprzeczać, gdyż smutek jego jest szczerzy; może się zresztą przez zawód miłosny niejedno potężne życie zmarnować, tylko, że tych potężnych dusz na świecie nie wiele, a że przez smutki miłosne przechodzą wszyscy, że każdemu studentowi po zdradzie Nini lub Loli świat wydaje się czarnym jak sadze w kominie, przeto podobne westchnienia, serdeczne niezgody, smutki i rozpacz na ogół bywają istotnie błahie, wiotkie, kruche. Są to słomiane ognie, więc i praca nad nimi, więc i pieśń o smętnem ich zgaśnięciu również musi być błahą. Gdy cała książka na ten wyłącznie temat jęczy, gdy w czytelnika wmawia się, że świat się przewraca, ponieważ Ninia zdradziła Musia, to człek ze zdrowym rozsądkiem powie sobie wówczas: co u licha! przecie oprócz tego bombardują Aleksandryę. Zawiele westchnień i sentymentów, każda litera wzdycha, każdy wiersz załamuje ręce, a takie wszystko czułe, że aż za czułe. Miłość to wielki temat, ale potrzeba umieć uderzyć w nią z taką siłą, by aż ze wszystkich serc posypały się iskry. Potrzeba także być niepospolitym artystą. Autora niniejszej książki zbawia to, że jest szczerzy, że sam czuje, że jego sentymenty nie są farbowane. Wierzy on istotnie w nieszczęścia, które opisuje. Książka przytem pisana jest wykwintnie. Daje to

opowiadaniu świeżość. Całość nie bez talentu. Naturalnie tej delikatnej tkaniny nie można młócić cepem krytycznym. Trzeba ją ostrożnie brać w rękę, by się nie podarła, lub nie uleciała jak pajęczyna, którą niesie najłżejszy wiatr, nawet westchnienie. Wadą literacką jest, że autor gra ciągle na jednej strunie, na kwincie, i gra piano, pianissimo...

Nie można było tego powiedzieć o wystawionej w lipcu 1882 r. sztuce ludowej Galasiewicza, *Wspólne winy*, według Sienkiewicza, który z niej zdał sprawę w N-rze 168 *Słowa*, nierównie wyżej stojącej, aniżeli *Czartowska ława* tegoż autora. „Pierwsza sztuka ze względu na treść swą jest może poetyczniejsza, ale druga przemyślana więcej, tworzona mniej przypadkowo, ze świadomością środków, z większą pewnością i o wiele jeszcze doskonalszą obserwacją“. Co się tyczy jej strony technicznej, mianowicie faktury samej, to autor słusznie bardzo nazwał sztukę swą *obrazem dramatycznym*, uchylił się bowiem przez tę nazwę od wymagań, jakie dramatowi lub komedyi w ścisłym znaczeniu stawiać można.

Dramat winien mieć swoją jednolitą architekturę, której szczegóły mają się składać na organiczną całość: nie może zatem nic być w nim odwizanem, epizodycznem, rozpiętniętem; koloryt rodzajowy i obserwacja mają w dramacie znaczenie materiału, cennego wprawdzie i niezbędnego, ale materiał ten winien być uorganizowany wedle ścisłego planu w całości. Obraz dramatyczny jest formą luźniejszą i dlatego może odpowiedniejszą dla utworów ludowych, w których charakterystyka mas musi być uwzględniona, a zatem w których trzeba wprowadzać i uwidaczniać mnóstwo szczegółów, nieraz przesłaniających, albo odsuwających na bok główne działanie i główne charaktery.

We *Wspólnych winach* szczegóły przeważają nad całością, charakterystyka mas nad jednolitą akcją dramatu, a koloryt nad charakterami głównymi. Ale za to w zakresie tych przeważających pierwiastków trudno wskazać utwór, który by z tą sztuką Galasiewicza mógł iść w porównanie.

Autor wzięł się w lud. Jego serce bije w takt z chłopskiem, jego myśl umie się tak tłumaczyć chłopską mową, jak nieczyja. Widzimy na scenie prawdę nie kłamstwo, żywe figury obserwowane bezpośrednio,

pochwycone w cechach najbardziej typowych, stworzone zarówno umiejętnie i szczerze, i to pierwsza główna zasługa autora, której nikt mu odjąć nie może. Autor mówi do publiczności: oto tacy są chłopci, poznajcie ich, zdajcie sobie z nich sprawę, z ich bytu, umysłu, charakterów, sympatyj i antypatyj, a będziecie wiedzieli, czego się po nich spodziewać, a na co z ich strony liczyć nie należy. Sztuka Galasiewicza jest pouczająca, otwiera ona wrota do tajemnic ludowych i jest promieniem światła dla tych, którzy w przyszłości będą pisać o ludzie, i to druga zasługa autora. Nakoniec jest w tej obserwacji, tak prawdziwej, miłość także tak prawdziwa, że bez frazesów można powiedzieć: ciepło serdeczne wieje z całości i napenia serce otuchą. Z ostatniego wyrazu winniśmy się wytłumaczyć. Owóż rzecz się tak ma: chłopci Galasiewicza są ciemni, chytry, leniwi, pijacy, chciwi na cudzą własność, wrażliwi na złe wpływy. Autor nie żałuje barw ciemnych. Rzekłbyś, albo on jest pesymistą, albo jego świat jest światem bez przyszłości, jest gruntem na którym, jeśli ktoś będzie budował, to mu się jego budowa na głowę zwali. Otóż nie! Autor nie ukrywa ani jednej złej strony ludu, a jednak lud ten okazuje się w jego utworach takim złotym, takim przepysznym, arcyswojskim i szczerym materiałem, że można na nim i z niego całe gmachy budować. Ciemne szczegółowe prawdy nie wyłączają tej ogólnej jasnej; owszem, wypływa ona z nich, jako naturalna konsekwencja, i dzięki jej, widz wychodzi i rozrzucony i z sercem przepełnionem błogiem uczuciem. A już nie dziwnego, że wobec podobnych wrażeń ani dba, ani chce zwracać uwagi na jakieś usterki w budowie sztuki, na zbyt nieco melodramatyczny liryzm niektórych postaci. Mówi sobie: sztuka mi się podoba, i życzę autorowi wszystkiego najlepszego.

Treścią sztuki jest antagonizm chłopca i szlachcica, chaty i dworu.

Pan Turski skrzywdził za lat młodzieńczych bogatego chłopca, Łukasza Skale. Chłop żuł zemstę przez lat czterdzieści, a robił pieniądze. Majątek podwoił, potroił, zwiększył w dziesięciokrotność, i wreszcie doczekał się ruiny szlachcica. Wówczas majątek zajął, pana wyrzucił, zemstę nasycił. Ale i sam poczuł jej gorzki smak. Oto miał dzieci: wyedukował je, chował synów w myśli, że w ich wiedzy znajdzie broń na panów, ale cóż się stało? Dzieci nie wyparły się ni rodzica ni pochodzenia, wyparły się jednak nienawiści. Młodszy gospodarz i starszy inżynier mieli na ustach tylko słowa zgody, pojednania i miłości. Starszy inżynier zakochał się w córce dziedzica... z wzajemnością, która mogła się znaleźć w pannie tylko młodszego pokolenia. Młodszy codziennie starał się przebłagać zawziętość ojca na dwór. Ojciec odepchnął ich obu, i został sam, samotny na starość, tylko ze swoją zemstą. Gromada cała stanęła ró-

wnież po stronie wypędzonego dziedzica, bo... chłopskie przysłowie przecie mówi: „nie daj Bóg Iwana za pana“, i zawzięty starzec został we dworze sam... z wyrzutami sumienia. Było mu ciężko. Pod chłopską czaszka bez ustanku paliło jak ogień pytanie: czy miał „racyją?“ Sądził że miał. Syn inżynier cytował mu słowa: „i odpuść nam nasze winy“. „Odpuszcza się temu, co żałuje, odpowiadał Skąła, a czy ten Jaśnie Wielmożny żałuje?“ Tak jest. Ten „Jaśnie Wielmożny“ żałował. Nieszczęście go skruszyło, przykłady oświeciły. Był w swoim czasie więcej lekko-myślny niż zły, ale nauczony niedolą bił się w piersi, pierwszy powiedział: moja wina, i pogodził się z losem i odpuścił jak chrześcjanin tym, którzy mu zawinili. Gromada przysłała z darami, z pomocą. Ambicya razdziła jej nie przyjąć i nawet potrzeby naglącej nie było, ale on przyjął, by serc nie odpychać, jak brat od braci. Potem gdy Skąłę gromada napadła, gdy swoi obciążyli go zarzutami i przekleństwami, on najbardziej skrzywdzony obronił go. Wówczas poruszyło się twarde serce chłopskie, i Skąła - dziedzic rzucił się z płaczem do nóg dawnego pana, który podjął go od nóg do piersi. Wspólne ich winy miało zmazać przysze pokolenie.

W roku 1882 wyszła w Warszawie dwutomowa monografia Maurycego Karasowskiego o Fryderyku Chopinie. Sienkiewicz, jako gorący wielbiciel nieśmiertelnego twórcy *Mazurek*, pragnąc spopularyzować to dzieło o nim, poświęcił mu w *Słowie* aż cztery feljetony, a jakkolwiek sprawozdanie to jest w znacznej swej części jedynie streszczeniem pomienionej książki, to jednak, ponieważ je pisał niepospolity mistrz pióra, zawiera ono niemało ustępów, którym równie pięknych darmo byśmy szukali u Karasowskiego... Niezależnie od tego zawierają te dwa tomy tyle krytycznego i biograficznego materiału, że czytelnik „poznaje Chopina, żyje z nim razem i czytając bezpośrednio w jego duszy, zdaje sobie sprawę zarówno z tej delikatnej artystycznej natury, jak i z jej twórczości“. Dzieje się to zwłaszcza dzięki listom Chopina, które są największą ozdobą książki.

W ostatnich czasach mało pojawiło się książek tak zajmujących. Czyta się te dwa tomy, jak romans, tembardziej zajmujący, że bohater jego to nie fikcja, ale jedna z chlub narodowych. Z drugiej strony w niej jednej powieści niema tyle romantycznego materiału, ile go jest w tem życiu artysty, pełnem wrażeń, uczuć, a jak najczęściej bywa: niedoli i bólu.

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że życie to chmuryło się już od dzieciństwa, że płynęło samotnie wśród obojętności ludzkiej, chłodu i nadludzkiej walki o trochę uczucia i marny liść lauru. Miało się wprost przeciwnie.

Zaczyna się ono, jak śliczny poranek wiosenny, i długo zapowiada pogodę. Przedewszystkiem otacza artystę od pierwszych dni ciepło rodzinnego życia... Rodzina kochała się nadzwyczaj, a mały Fryderyk, przedostatni z dzieci, jako jedynak był pieszczochem całego domu. Od dzieciństwa otaczała go też wysoka atmosfera umysłowa. Chopin ojciec był człowiekiem niepospolitego wykształcenia, żył tedy przeważnie w świecie literacko-artystycznym... Sami państwo Chopinowie trzymali na stancyi uczniów, którzy przeważnie należeli do wyższych albo najwyższych warstw społecznych, byli więc z temi sferami w ustawicznym zetknięciu. Z drugiej strony przedstawiciele arystokracji ówczesnej poczytywali sobie za zaszczyt bywać w domu Chopinów, w którym spotykali cały świat umysłowy warszawski. Łatwo zrozumieć, że z owego zetknięcia się rozumu i poloru wyrodziła się atmosfera, której wpływ musiał odbić się później na Fryderyku. Jakoż odbił się nader silnie. Fryderyk przedstawia się nam jako dziecko delikatne, wysoce rozwinięte, o subtelnych myślach i uczuciach. Nie masz w nim nic nieokrzesanego, grubego, brutalnego...

Pozatem dziecko od pierwszych dni zdradzało niezwykłą wrażliwość na muzykę. Usłyszawszy fortepian, mały Fryderyk wpadał w płacz niełatwo dający się ukoić. Niebawem jednak to przeszło. Malec tak wydierał się do fortepianu, że zanim skończył lat siedem, wzięto mu nauczyciela Żywnego. W ósmym roku już komponował, lubo nie umiał jeszcze pisać nut, a w dziesiątym wystąpił po raz pierwszy publicznie... Od tej chwili uznanym został za cudowne dziecko... Sława jego rosła z dniem każdym... Domy Czartoryskich, Sapiehów i t. d. ubiegały się o posiadanie „Szopenka“. Fryderyk improwizował wówczas bardzo wiele. Siadłszy do fortepianu, wznosił oczy w górę i nie spuszczał ich przez cały czas gry. Kto wtedy widział tę małą bladą główkę, o pełnych słodczy ustach, delikatnym profilu i bujnych włosach, kto widział ekstazę i zapamiętanie się zupełne w tonach, malujące się na tej natchnionej twarzy, ten łatwo mógł w owym chłopcu odgadnąć przyszłego geniusza...

Improwizacye Fryderyka stawały się arcydziełami. Trudności techniczne były już całkowicie pokonane, i słuchacze zdumiewali się, słuchając tych niesłyszanych dotychczas zwrotów, tych melodyi, niby w każdej polskiej duszy na dnie leżących, a przez nikogo jeszcze nie wyśpiewanych... Refleksya, pamięć o metodzie, o technice, ustępowała w takich chwilach w duszy artysty natchnieniu. Grywał jakby nieświadomie,

jakby zapominał o świecie, o sobie, i zatapiał się całkowicie we własnej muzyce. A był to przecie kilkunastoletni dopiero chłopiec. Mówią także ci, co go wówczas słyszeli, że późniejsze jego utwory są w znacznej części echem improwizacji. Mogłoby się здаwać, że sobie przypominał, co mu śpiewali aniołowie w dziecięcej duszy, i spisywał.

Przytem ten przyszły geniusz pracował z zapamiętałością... Rezultaty były zdumiewające. W tym czasie począł dawać mu lekye Elsner. Znakomity nauczyciel wtajemniczał swego ucznia w zasady kontrapunktu; Chopin jednak już wówczas pomiatał niekiedy zasadami i szedł za własną fantazją. Nauczyciel jednak, formalista, nie mający prawdziwej miłości sztuki, byłby się tem oburzał, byłby hamował młodociany zapał, a może gasił go formułami, ale szanowny starzec, sam mistrz niepospolity i kompozytor, odgadł, z kim ma do czynienia...

Wszystko to składało się na niezaprzeczony fakt, że początkowe życie przyszłego twórcy *Nokturnów*, snuło się prawdziwie różaną drogą.

Rodzina zacna i kochająca, rozumny nauczyciel, warunki jaknajpomyślniejsze coraz większego rozwoju, uznanie i miłość powszechna, oto, co go otaczało. Nic nie zostało w nim zaniedbanem, pomiętem, skrzywionem. Ten delikatny kwiat potrzebował ciepła, kochano go, potrzebował uznania, uznawano go, potrzebował przewodnika, któryby mu nie ze siebie nie narzucał, Elsner nie narzucał. Rzadko który talent powstaje i rozwija się w takich warunkach i wśród takich ułatwień. To też Fryderyk był dzieckiem szczęśliwym w całym znaczeniu tego wyrazu. Nadzwyczajna żywość jego charakteru znajdowała ujście w nadzwyczajnej wesołości... Milszego, weselszego, figlarniejszego, a przytem tak łagodnego i łatwego w obejściu się dziecka nie było w całej Warszawie. Koledzy kochali go na równi z nauczycielami. Nauczyciele wybaczały mu figle. Miał on znakomity talent do rysowania karykatur. Raz Bogumił Linde pochwycił go na uczynku, gdy pod ławką kreślił jego karykaturę, i zamiast skarcić, pochwalił tylko rysunek. Fryckowi widocznie wszystko było wolno. Nadto miał on jeszcze jeden talent, dar mimiczny, posunięty do najwyższego stopnia. Mógł ze swoją fizyognomią robić, co chciał, i naśladować, kogo chciał. Występował on często w teatrach amatorskich, a Wojciech Piasecki utrzymywał, że Fryderyk ma wszelkie dane na znakomitego aktora, zapewne komika. Pisał z równą łatwością, jak grał...

Dowodzą tego przedewszystkiem jego listy, pełne humoru, naturalności, swobody i umiejętności wypisania się, a nadto, odznaczające się doskonałą polszczyzną, nie mówiąc już o tem

że ustępy pełne poezji i romantycznego polotu trafiają się w nich bardzo często. „Smutne czy wesołe, zawsze są szczere, lotne, bezpretensjonalne, co częstokroć czyni z nich prawdziwe perły literackie. Na tę wartość literacką listów Chopina nie zwrócono jeszcze uwagi, a jednak świadczy ona o jednym więcej talencie tej nad miarę bogato uposażonej natury“.

Wesołość Chopina przerywały tylko chwile coraz częstsze, gdy komponował coś do druku, pracował nad temi utworami sumiennie, a nawet ciężko. Nie łatwo zadawał sobie sam siebie... Taka zdolność wyężniania siły duszy i ciała w jednej wyłączenie myśli właściwą jest tylko niepospolitym twórczym naturom. Nazywa się to pracą wewnętrzną. Chopin oddawał się jej tak dalece, że po nocach sypiać nie mógł. Częstokroć zrywał się z posłania i biegł do fortepianu. Rodzina umiała szanować w nim takie chwile. Służące płakały nad nim, sądząc, że panicz ma bzika. Również w zadumę wprawiały go pieśni i melodye wiejskie, których słuchiwał podczas wycieczek za miasto. Wówczas to ziarna przyszłych *Ma-zurków* padały w jego duszę... Ale praca i wewnętrzne egzaltacye w chwilach tworzenia podkopały jego zdrowie...

Wskutek tego co lata jeździł na wieś lub do wód zagranicznych, a przy tej sposobności zwiedzał i stolice europejskie, gdzie go przedewszystkiem zajmowała muzyka i muzycy. Jednego roku był w Berlinie, innym razem udał się do Wiednia, gdzie taki wywołał zachwyt swą grą i swym talentem kompozytorskim, że go namówiono do publicznego wystąpienia, a to wystąpienie miało ten skutek, że wrócił do kraju „już z zagranicznym patentem na znakomitość, tak zawsze u nas potrzebnym“. Okoliczność ta podniosła jego uznanie i powodzenie w Warszawie do jeszcze wyższego stopnia. Tymczasem młody twórca *Waryacy* z *Don Juana* i dwóch koncertów fortepianowych myślał o wyjeździe za granicę dla dalszego kształcenia się w kierunku artystycznym, a jeśli jakoś nie mógł się wybrać, to przyczyną nie był tu brak środków, których mu dostarczyły „pożegnalne“ koncerty w Teatrze Narodowym, ale kobieta.

Oto Fryderyk kochał się. Pierwszym jego ideałem była Konstancja Gładkowska, śpiewaczka, wychowanka konserwatorium. Gładkowska miała piękny głos i równie piękną twarz...

Zaczem poszło, że Chopin zapłonął ku niej afektem, że dla niej napisał Adagio swego koncertu, etc. Swoją drogą nie było to uczucie niezwykle silne. Dowodzą tego listy Chopina, w których pełno „lekkich“ wzmianek o Konstancyi, ale w nie-równie wyższym stopniu przepełnione kwestyami muzycznymi...

Dopiero przed samą podróżą odzywają się w nich posępne tony, w których prawdopodobnie brzmi i żal rychłego rozłączenia... Zresztą Chopin nie przypuszczał jeszcze, jakie wypadki oddzielią go od domu i od kraju. Tęsknił, bo wiedział, co zostawia, a nie wiedział, co go czeka. Może obawiał się tej przyszłości... Wszystko to jednak były powody i smutki dość błahe, wiotkie, kruche. Były to raczej chwilowe złe humory i przecucia.. Chopina tak zajmowała podróż, muzyka i własna przyszłość, że na poważniejsze uczucie nie było miejsca w jego sercu. Nadto był zajęty i rozerwany. Zdawać by się mogło, iż sam się łudził i sam wmawiał w siebie tę miłość do Gładkowskiej. Nęciły go, jako artystę, formy uczucia, romantyczne strony, efektu rozłączenia, żale z odległości, słowem, była to raczej miłość dla miłości, niż dla osoby. W pewnym wieku znajduje się lubą przyjemność w udręczeniach miłości, w drażnieniu siebie samego, a wówczas pierwsza spotkana na drodze kobieta staje się pozornie ideałem, a w rzeczywistości partnerem do gry potrzebnym. Że przytem dużo być musi wmawiania w siebie rozmaitych rzeczy i sztucznie wzniecanych egzaltacyi, łatwo zrozumieć, jak również i to, że takie uczucie trwać może dość długo, bo aż do chwili, w której go lepsze, silniejsze, rzeczywistsze nie zastąpi. Odjeżdżając, dostał Chopin od panny Konstancyi pierścionek na pamiątkę i gdy później był sam za granicą, w Wiedniu, gdy spotykał się z obojętnością, niechęcią, wtedy z pewnem rozczuleniem garnał się myślą do tej, której nie kochał wprawdzie, ale od której szło do niego ciepło serdeczne.

We dwa lata później Konstancya wyszła za mąż, a że listy Chopina nie wspominają o tem, w jaki sposób przyjął tę wiadomość, więc Sienkiewicz domyśla się (zdaje się trafnie), „że gdyby bolał, gdyby rozpaczał, echo tej rozpaczey doszłoby w jakikolwiek sposób do rodziny, do przyjaciół, a przez nich i do nas... Tymczasem pod tym względem cisza... Dobrze zrobiła panna Konstancya, że wyszła za mąż“.

W Wiedniu zaskoczyły Chopina wielkie wypadki r. 1830. W pierwszej chwili chciał razem z Woyciechowskim, swym towarzyszem podróży, wracać do Warszawy, ale jako „istota

najniezdecydowańsza na świecie“ zaniechał w końcu tego zamiaru, bo sam się na jego urzeczywistnienie zdobyć nie mógł...

Liszt miał jednak słuszność, pisząc, że ta genialna natura miała w sobie coś kobiecego. Potrzeba mu było zawsze jakiegoś dzielnego Woyciechowskiego, na którym by się mógł oprzeć, któryby za niego radził sobie z zewnętrznymi warunkami życia; inaczej nie umiał sobie dać rady, skarżył się i narzekał. Sam on znał siebie pod tym względem... W Wiedniu, sam, nie wiedział, co ma robić. Do Włoch (które były celem jego podróży) już nie pojechał, udał się natomiast do Paryża, dokąd przybył niby w przejeździe do Londynu, ale gdzie został, zetknąwszy się z polską emigracją. Z początku jednak czekały go liczne zawody. We Francyi czasy były również burzliwe, a on mało znany. Nie łatwo mu przyszło wybić się na wierzch. Sam też nie umiał do tego ręki przyłożyć, a tymczasem zniechęcał się. To rozpieszczone dziecko genialne potrzebowało, jak powietrza do oddychania, sympatycznego otoczenia, uwielbień, uznania. Inaczej żyć nie mógł. Zresztą nie ufał sobie i mimo wiedeńskich tryumfów i zachwytów, które budził w Niemczech, mimo uznania, które zyskał u najznakomitszych muzyków niemieckich, skoro znalazł się w Paryżu nieznany i nieceniony przez nikogo prócz Polaków, którzy, świeżo przybywszy, nie odgrywali jeszcze w świecie paryskim żadnej roli, zaraz zwątpił o sobie. Postanowił jeszcze kształcić się i, co za skromność ze strony najznakomitszego ówczesnego artysty! brać jeszcze lekcye. Przez jakiś czas nosił się z myślą wyjazdu do Ameryki. Zniechęcał się coraz bardziej, a ponieważ nie był wmieszany w wypadki 1830 roku, więc wreszcie postanowił wracać do Warszawy. Był to krok desperacki, ale zgadzał się na niego i stary Chopin.

Tymczasem zaszedł wypadek, który odrazu zmienił postać rzeczy.

Na krótko przed wyjazdem spotkał się Fryderyk z księciem Walentym Radziwiłłem, który zaprosił go na wieczór do Rotszyldów. Chopin poszedł. Tu, gdy go otoczyło najświetniejsze towarzystwo paryskie, gdy znalazł się wśród kwiatów, światła, przepychu i tej rozkosznej atmosfery, której tak potrzebowała ta wykwintna egzotyczna roślina, odrazu znalazł się w swoim żywiole. Upoił się. Gdy na prośbę gospodyni zasiadł do fortepianu, oczarował tak dalece wszystkich, improwizował tak niezrównanie, że nikt nie wiedział, czy zdumiewać się bardziej, czy podziwiać mistrza tak wielkiego, a tak mało jeszcze znanego.

Od tej chwili zaczęło się powodzić Chopinowi, zaczęło

poszło, że odrazu porzucił myśl wyjazdu z Paryża, czy to do Ameryki, czy do Warszawy.

Przyszło uznanie, sława, dostatek. Chopin nie umiał się wprawdzie rachować, ale zarabiał wiele, tyle przynajmniej, że mógł nie myśleć o kłopotach codziennego życia. Nie on ubiegał się o lekcye, ubiegano się o niego. Psuto go, rozpieszczano. Towarzystwa wydzierały go sobie. Niechętni lub zazdrośni musieli milczeć. Polskie pochodzenie Fryderyka, które w czasach dzisiejszych stanowiłoby przeszkodę, wówczas dodawało jeszcze uroku jego osobie. Sława jego rozchodziła się coraz szerzej i jędną mu fanatycznych wielbicieli. Stał się bóstwem kobiet.

Jedyną złą stroną tych powodzeń i tryumfów w wielkim świecie paryskim był zgubny wpływ podobnie „rozkosznego i gorączkowego“ życia na delikatne zdrowie artysty. Wprawdzie przerywał je raz po raz, czyniąc wycieczki do Niemiec, gdzie pozawierał nowe znajomości z najwybitniejszymi muzykami tamtejszymi, z Schumannem między innemi, ale kilkutygodniowy wypoczynek wobec całorocznego urągania higienie zdawał się na niewiele... W czasie jednego z tych pobytów w Niemczech, w Dreźnie, Chopin został narzeczonym Maryi Wodzińskiej.

Pokochana przez Fryderyka, panna odplacała mu wzajemnością, a gdy oświadczył się o jej rękę, został przez pannę i matkę przyjęty. Następnie panie te wracały do domu, by uzyskać pozwolenie ojca, Fryderyk zaś, tryumfujący, szczęśliwy i pełen nadziei, podążył do Paryża. Ale nadzieje jego krótko trwały. Dumny szlachcic za nic w świecie zgodzić się nie chciał, by jego córka poszła za muzyka, i stosunek się rozchwiał. Wypadek to podobny do historii Mickiewicza i Henrietty, jak dwie krople wody, ale zdaje się, że Chopin krócej bolał, niedługo bowiem potem spotkał się z kobietą, która na całe jego życie wywarła wpływ trwały a zgubny: z George Sand.

Rozważając stosunek tej kobiety do Musseta i do Chopina, trudno oprzeć się chęci porównania jej z owym opisanym przez Wiktora Hugo strasznym polipem, który zaczajony w otlachaniach porywa i wysysa tych, których burza mu zeszele. Alfred Musset padł już poprzednio i mścił się gryzącami słowy: *Honte à toi femme à l'oeil sombre!*... Ale Chopin nie słuchał tych słów... Jeśli nie mógł oprzeć się pewnemu podziwowi, jeśli był pod urokiem, to ten urok podobny był do wpływu, jaki oczy węża wywierają na ptaka. Ogólne wrażenie, przy pierwszym poznaniu, było ujemne, ale pani Sand (której chora i pożądliva wyobra-

źnia zapłonęła pod wpływem muzyki Chopina) zaczęła mu okazywać gwałtowną miłość. Z jego strony weszła także w grę miłość, ale.. własna. Bądź co bądź była to najznakomitsza kobieta Francyi. Początek wielu uczuć zaczyna się od pochlebionej miłości własnej. Potem dalej pożar się rozszerza, ogarnia, pali, trawi. Tak stało się i z Chopinem: był on po prostu porwany. Potem sam zapłonął. Następnie nałóg wzmocnił to chore uczucie; podtrzymywała je i bierność charakteru. Polip opasywał go ramionami swemi coraz silniej... Początkowo jednak, na chwile tej miłości, przypadała najświetniejsza epoka jego życia. Żył jak gdyby w świecie olimpijskim i sam był w nim nieśmiertelnem bóstwem... Cóż to za towarzystwo bywało u naszego artysty (w jego wykwinie umebłowanem mieszkaniu przy ulicy de la Chaussée d' Antin). Nie można sobie wyobrazić nic czarowniejszego nad te wieczory księżycowe, w czasie których Chopin przyjmował gości muzyką. Wówczas to w tajemniczych potokach bladego światła, zlewającego się z różowemi blaskami kominkowego ognia, widać było zadumaną olimpijską twarz Adama Mickiewicza, który pod wpływem harmonii błakał się myślą w nadziemskich sferach; obok niego siadywał Henryk Heine, dalej Liszt, Meyerbeyer, słynni malarze Ary Scheffer i Eugeniusz Delacroix, Adolf Nourrit słynny śpiewak, sędziwy Niemcewicz, Witwicki, a na koniec *la femme à l'oeil sombre*, George Sand. Wszystko co było najznakomitszego w Europie, olbrzymy myśli i geniuszu, to towarzystwo zbierające się na Chaussée d' Antin. W tem poufnem kółku Chopin promieniał radością i wpadał w dawną wesołość swych lat młodzieńczych, posuwając się aż do swawoli i figlów.

Niestety, zdrowie jego psuło się coraz bardziej, w Paryżu bowiem „nietylko żył, ale nadużywał życia“.

Na wiosnę roku 1838 udał się do wiejskiego mieszkania pani Sand, do Nohant... Ale pobyt na wsi nietylko nie poprawił zdrowia Fryderyka, ale je pogorszył. Więcej może, niż wieś, było mu potrzebne rozłączenie się z panią Sand, której uczucie poderwało jego zdrowie, a właśnie w Nohant był z nią ciągle. Pojawiły się symptomy suchot. Lekarze doradzali zmianę klimatu, a ponieważ George Sand miała właśnie wyjechać dla zdrowia syna na Majorkę, więc Chopin zabrał się z nimi razem.

Pobyt jednakże na tej wyspie, gdzie życie było jeszcze nadzwyczaj pierwotne, gdzie brakło wszelkich wygod i komfortu, bez którego Chopin nigdy obejść się nie umiał, naraził go na liczne przykrości. Oboje z Sand zajęli stary opuszczony klasztor Kartuzów, zwany Valdemosa. Tam wśród murów, krużganków i posępnych korytarzy, mieszkali w celach, siedzieli przy łożowych świeczkach osadzonych w ołowianych lichtarzach, i na kulawych krzesłach. Na dobitkę czas był zły, deszcz ciągle padał. W klasztorze byli oddzieleni od całego świata, żyli jak pustelnicy

i pani Sand musiała dawać rady wszystkiemu. Rozstrój nerwowy Chopina doszedł do najwyższego stopnia. W chwilach, gdy Sand z synem udawała się do miasta po zapasy, a Fryderyk zostawał samotny, cierpienia jego przechodziły wszelkie wyobrażenia. Miewał wizje i halucynacje. Wróciwszy do domu, zastawała go pani Sand nieprzytomnego, z oblakami oczyma i oblanego zimnym potem. Chwilami zdawało mu się, że umarł, że zaczęło się dla niego jakieś inne tajemnicze życie, wśród ciemności, wśród strasznych jakichś murów, pokręconych w tajemnicze kruzganki. To znów marzył, że otaczają go duchy, a wówczas zabobonny przestרח podnosił mu włosy na głowie. Dla odpędzenia marz siał do fortepianu i wówczas wyrwały mu się z pod ręki rozdzierające i tragiczne melodye, które podniecały go jeszcze bardziej. „Biedny artysta, powiada pani Sand, stawał się nieznośny w chorobie“. Jakoż stosunek był taki, że ona musiała dawać mu opiekę mężką, a on przyjmował ją, jak chora kobieta. Oboje może rozdrażniali się przytem na siebie, gdyż rzeczywiście życie ich było ciężkie... Na Majorce niesłychanie obawiają się suchot, więc unikano ich, jak zapowietrzonych.

Zdrowie Chopina poprawiło się jednak znakomicie w Marsylii, gdy dostał się w ręce rozumnego doktora. Pan Cauvières stwierdził stanowczo, że artysta nie ma suchot, i że przy odrobinie starania może całkowicie przyjść do sił. Pobyt w Nohant, dokąd oboje z Sand wrócili, wzmocnił go jeszcze bardziej i rozweselił. Bawiono się doskonale w gronie znakomitych gości, do których należał Liszt i E. Delacroix. Chopin z Lisztem przesadzali się w wesołości i figlach. Grywali przy zgaszonych świecach, naśladowali się wzajemnie. Ale przyszła zima. Sand a z nią Chopin przenieśli się do Paryża. Chopin, pomimo przestróg życzliwych przyjaciół, natychmiast wrócił do dawnego życia. Noce spędzał bezsennie, w dzień pracował, wogóle nadużywał, więc wkrótce pojawiły się znowu groźne symptomata. Śmierć ojca, która nastąpiła w 44 roku, była dlań strasznym ciosem. Nie mógł się zdobyć nawet na napisanie listu kondolencyjnego do matki, która niechętnem okiem patrzyła na jego stosunek z Georges Sand. Ale właśnie sama Sand zastąpiła go w tym względzie.

W liście swym donosiła między innemi matce Fryderyka, że nie tylko troszczyła się o jego zdrowie, ale wogóle otaczała go prawdziwie macierzyńską opieką. Na nieszczęście, wielka powieściopisarka, pisząc te słowa, kłamała, bo w rzeczywistości działała się wprost przeciwnie.

Oddawna uczucie jej dla Chopina poczęło chłódnać, a w końcu wygasło zupełnie. Stosunki ich utrzymywały się tylko, jeśli się tak wyrazić można, siłą bezwładności. Ale wkrótce kobieta ta poczęła mu da-

wać do poznania, że się go pragnie pozbyć. Położenie jego stawało się nieznosne i upokarzające. Chopin swego czasu porwany jej uczuciem, przywiązał się do niej następnie całym uniesieniem swej artystycznej natury, mocą przyzwyczajenia, słabością charakteru. Była mu ona poprostu potrzebna do życia. Później, kiedy pod wpływem upokorzeń, jakich doznawał, ochłódl dla niej, gdy poznawszy do gruntu tę kobietę o gorączkowej wyobraźni i rozszalałych zmysłach, a wyschłem sercu, uczuł dla niej nawet pogardę, wówczas jeszcze nałóg przemagał. Nie miał siły zerwać, choć w końcu ona aż nazbyt otwarcie dawała mu do poznania, że zerwać pragnie: kochała ona Chopina wielkiego, sławnego, młodszego od siebie, pełnego sił i fantazyi, teraz ten schorowany, wybladły człowiek był tylko jej ciężarem. Rola siostry miłosierdzia i opiekunki umierającego, rola wiernej do grobu, która może miała dla niej początkowo jakieś powaby, znudziła się jej teraz. Wielki artysta nie umierał dość prędko. Doszło do tego, że napisała romans pod tytułem *Lukrecya Floriani*, w którym odmalowawszy cały stosunek swój do Chopina, uczyniła z siebie ofiarę, z niego egoistę wyzyskującego ofiarności. Kartki drukowane z romansu umyślnie kładła na biurku Chopina, by czytał i poznawał siebie w bohaterze. Dzieci jej mawiały: „Czy pan wie, panie Chopin, że książę Karol to pan, a Lukrecya to mama“. Chopin tak dalece był wyczerpany, tak stracił wszelką energię, że i wówczas nie zerwał. Ile wybuchów, ile przykrych scen odbyło się między nimi, łatwo przypuścić. Zerwanie nastąpiło dopiero, gdy Chopin oburzył się potwornem jej postępowaniem z córką. Odtąd raz się tylko widzieli.

Ale chwile jego już były policzone. Choroba rozwinęła się do tego stopnia, że nie było na nią ratunku. Odbył jeszcze jedną podróż do Anglii, gdzie opiekowały się nim panny Stirling. Były to szkotki bogate, jak królowa Saba, entuzystki i zapalone wielbicielki Szopena. Opieka ich była poprostu anielska, ale nużyła chorego artystę... Po powrocie do Paryża czuł się już tak źle, że wszyscy przewidywali niedługi koniec, on tylko sam miał nadzieję. Na dobitkę choroba wyczerpała jego środki, lekcyi nie mógł już dawać, więc zbliżył się i niedostatek... Tymczasem śmierć zbliżała się do niego z nadzwyczajną szybkością. W pierwszej połowie października, Fryderyk mógł się podnosić tylko z obcą pomocą, 15 października począł konać... Przy łożu umierającego zasiadła siostra Jędrzejowiczowa, umyślnie przybyła z Warszawy, i najbliżsi przyjaciele. Delfina Potocka, która na kilka dni przed jego śmiercią, śpiewała mu przez łyżę pieśń Belliniego, była również obecną. Chopin zasnął cicho i spokojnie 17 października 1849 r.

Opowiedziawszy w ten sposób koleje życia Chopina, a śmiało rzec można, że streszczenie to książki Karasowskiego

należy do pereł literatury Chopinowskiej, dorzucił jeszcze Sienkiewicz kilka rysów charakterystyki ogólnej wielkiego muzyka, a rysy te składają się na doskonały szkic do wizerunku duchowego piewcy *Mazurków*.

Była to istota na wskróś artystyczna, tkliwa, czuła, jak mimoza, i wykwintna, kochająca piękno, nie znosząca zetknięcia się ze wszystkim, co szorstkie i brutalne. Brakło jej energii i siły, nie w muzyce wprawdzie, nie w twórczości, ale w życiu, które też i złamało się zbyt szybko... Ten genialny muzyk jest jednym z najbardziej wykwintnych i polerowanych ludzi swego czasu. We wszelkich sferach towarzyskich obraca się ze swobodą i łatwością eleganckiego światowca. Wykwintność ta odbija się w jego listach i w niezmiernie ujmującym obejściu się z ludźmi. Nikogo on nie razi, nie rani, nikt nie odbija się o kanty tej natury, bo natura sama nie ma kantów. Oczywiście jest, że w takiej kulturze wrodzona czułość i wrażliwość tej duszy musiała się rozwinąć do najsubtelniejszych granic... To też był najlepszym synem, bratem, przyjacielem. Nakoniec kochał swój kraj całą siłą nigdy nie gasnącego uczucia.

Co się tycze dzieła Karasowskiego, to zdaniem Sienkiewicza nie jest ono wolne od usterek, i to znacznych, przede wszystkim materyał, tyczący się Chopina, nie został całkowicie spożytkowany. „Należało uzupełnić go korespondencją p. Sand, skorzystać z pamiętnika, drukowanego przez prof. Tarnowskiego, a następnie z listów rozproszonych w rękach prywatnych“... Wogóle „materyału cennego znalazłoby się jeszcze dosyć, bez którego dzieło nie jest tak kompletnem, jakby być mogło. Są to braki ważne. Najważniejszym jest ten, że monografia ta nie wspomina prawie wcale o tem, coby nas nade wszystko zajmować mogło, to jest o stosunku Chopina do Adama Mickiewicza i innych znakomitości ówczesnych polskich“, przebywających na emigracyi. Bądź co bądź, na pochwałę jej przyznać należy, że niezależnie od swych usterek i braków, książka Karasowskiego jako pierwsza obszerniejsza monografia o Chopinie, „zawiera w sobie tyle materyału, że niechybnie posłuży za podstawę dla tego, kto w przyszłości zamierzy wyrzeźbić kompletny posąg mistrza“.

Upłynęło lat 20 prawie, gdy Sienkiewicz pisał te słowa, a „kompletny posąg“ Chopina nie został jeszcze odlany... A za-

danie jest wdzięczne, zwłaszcza, że i nowego materiału biograficznego nagromadziło się sporo...

W N-rze 238 *Słowa*, dnia 24 października 1882 roku, zaczęły wychodzić Sienkiewiczowskie wrażenia *Z puszczy białowieckiej*, a nim ukazało się ich dokończenie w N-rze 244, w Teatrze Rozmaitości wystawiono *Piękną Świętochowskiego*, z Lüdową w roli tytułowej, z Wisnowską w roli „brzydkiej“, z Królikowskim w roli męża „pięknej“. Prócz zwykłego dziennikarskiego sprawozdania po pierwszym przedstawieniu tego dramatu, poświęcił mu Sienkiewicz w N-rze 241 cały feljeton, w którym sztukę przywódcy pozytywistów warszawskich poddał wyczerpującej analizie krytycznej. Analiza ta nie wypadła na korzyść omawianego utworu, choć we wstępie zapowiedział w niej Sienkiewicz, że zamierza stanąć w obronie autora. Czy ten ostatni mógł być z obrony tej zadowolonym, trudno przypuścić... Zdaniem jednego z recenzentów, Świętochowski w *Pięknej* wybrał przedmiot bardzo nienowyy, ale obronił go w sposób bardzo niezwykły. Sienkiewicz stanowczo nie godził się na powyższą opinię, uważał, że nie tak należało postawić kwestyę, i to go pobudziło do wyrażenia swojej opinii o dramacie Świętochowskiego, na którego jasnym tle inni krytycy nie znajdowali prawie żadnych plam... „Że kobieta piękna narażona jest na tysiące pokus, którym nie podlega brzydka, że, jeśli nie wszyscy, to wielu przeciw niej spiskuje, że wywiera więcej uroku, budzi więcej uczuć od innych, że wreszcie trudniej jej przejść przez życie nieskalaną, niż tym, którym szpetota dała list żelazny bezpieczeństwa, to zaiste przedmiot nie nowy, nawet bardzo nie nowy, to teza, która nie potrzebuje dowodzenia, jest bowiem starą, jak świat, a przynajmniej jak ludzie“. Ale właśnie dlatego „pisarz ubiegający się o oryginalność, pisarz, posiadający nietylko odwagę, ale i zuchwałość swoich przekonań, które jeśli są istotnie zuchwałe, to tem samem muszą czemś przeciwstawiać się zwykłym i ogólnie przyjętym“, pisarz taki nie mógł zdaniem Sienkiewicza, a przede wszystkim nie chciałby stawiać, nawet w niezwykły sposób, tak oklepanej tezy. Pod tym względem należało oddać spra-

wiedliwość autorowi, że tezę swą postawił inaczej, że otoczywszy swą „piękną“ rojem wielbicieli, pragnących przypiąć rogi jej mężowi, stosunek ich do niej zarysował nadzwyczaj jasno.

W świecie zwierzęcym piękna samica pociąga największą ilość samców. Jest to prawo naturalnego wyboru. W świecie ludzkim, wedle tego co widzimy w dramacie, dzieje się tak samo. Sam profesor Bosławski wprawdzie zaprzecza temu. Zwierzę mieści się całkowicie w człowieku, ale człowiek nie mieści się całkowicie w zwierzęciu, mówi ten nowoczesny peripatetik: stosunki ludzkie są uduchowione; wspierają się na podstawie moralnej poczucia obowiązku. Ale to, co widzimy w dramacie, zaprzecza z kolei teorii profesora. Ryszard, Henryk i Dąbek, to trzy samce. Autor kreśląc te postacie, nie uwzględnił w nich nic więcej nad popęd. Chodziło o wykazanie tylko tego tak dalece, że nie uwzględnił nic innego. Samo pożądanie musi przecież w rozmaitych ludziach przybierać rozmaite formy zależne od charakteru, temperamentu, wychowania, pozycyi; autor nie uwzględnił i tego. Ci trzej pragną pięknej jednak, chociaż jeden z nich jest hrabią, drugi garbarzem, trzeci muzykiem. Te ich pozycje socyalne mają tylko o tyle znaczenie, o ile autor chciał wykazać, że piękną kobietę wiodą zarówno na pokuszenie: tytuł, pieniądz i talent, że jest bardzo obleganą i bardzo narażoną, ale w stosunku do pożądanego tych trzech panów, ich pozycje nie mają znaczenia. Jest ich trzech dlatego, żeby wykazać, że piękną zawsze wielu oblega. Mogłoby być zarówno pięciu lub dziesięciu. Ludźmi są o tyle tylko, że mają imiona chrzestne, że chodzą na dwóch nogach i że się o „piękną“ nie bódą jak jelenie i nie gryzą jak wilki. Zresztą każdy w zakresie możliwości robi na co go stać. Najsilniejszy ma danych najwięcej.

A piękna? Kobieta piękna, dlatego właśnie, że jest piękna, musi zginąć, podobnie jak ginie bóbr dlatego, że ma piękne futro, jak ginie koliber, że ma świetne pióra. Pierwszego dnia wstrzyma ją przeszkoda, drugiego obowiązek, trzeciego bojaźń, ale przyjdzie dzień czwarty, który ją pchnie w kuszące objęcia grzechu. Piękna zginąć musi. Ludzie muszą ją oskubać z cnoty, jak kolibra z piór. To konieczność stwierdzona prawem naturalnego doboru. Takim jest prawdziwe założenie sztuki Świętochowskiego. Kto powiada, konkluduje Sienkiewicz, że teza stara oklepana, ten się myli. „Teza jest nowa, tak dalece, że aż zdumiewa. Bo gdyby ktoś chciał twierdzić, że ogień tylko pali, a nie ogrzewa, że światło tylko oślepia, a nie rozświeca,

że woda tylko zatapia, a nie napaja i nie dźwiga okrętów, ten zaiste powiedziałby fałsz, rozminąłby się z prawdą, z rzeczywistością, z doświadczeniem codziennego życia, z pewnikami, które każdy codzien stwierdza, ale postawiłby tezę o tyle właśnie nową, o ile fałszywą. Taką cechę czegoś nowego posiada w zupełności, według Sienkiewicza, założenie dramatu Świętochowskiego. „Jeśli autor co innego miał na myśli, to tem gorzej dla niego, bo myśl zwichnął wykonaniem“. Cokolwiek bądź, „może żaden dramaturg nie postawił swego dramatycznego posągu na równie kruchej podstawie“.

Sztuka stoi na paradoksie. Ktoby dowiódł, że znał kobietę piękną, otaczaną, uwielbianą, która umarła cnotliwą, tenby zarazem wykazał, że słowa pana Zenona są fałszem od a do z, i jednym zamachem obalił bez ratunku sztukę. A pytam, kto nie znał w życiu kobiety pięknej, otaczanej, uwielbianej i cnotliwej? Autor jest nieuleczonym pesymistą. Bo cóż to jest piękność? Każda kobieta piękna jest brzydką w stosunku do piękniejszej od siebie, każda brzydka piękną w stosunku do brzydszej, każda czy piękna, czy brzydka piękną w stosunku do tego mężczyzny, któremu się podoba, przeto można by dojść do przekonania, że ogromna większość kobiet, a raczej wszystkie z wyjątkiem potworów, mogłyby i musiały mieć swój dzień czwarty. Inaczej mówiąc rozszerzenie wiedzy tam, gdzie autor mimo całej odwagi iść nie chciał. Z fałszywych premiss można wyprowadzić wniosek logiczny, ale nigdy prawdziwy. Kryterium życiowe przy pierwszym zetknięciu się z nim wykaże, że jestto ułuda, bańka mydlana, że to się ma tak do rzeczywistości i prawdy, jak owe obrazy jezior, drzew lub miast, któremi gra światła ludzi w pustyniach oko wędrowca. Autor wziął piękność w pojęciu oderwanem. W filozoficznej rozprawie jestto sposób tak dobry jak każdy inny, w dramacie, w przedstawieniu człowieka, jestto zaprzeczeniem samego dramatu i niemożebnością wiodącą natychmiast na rozdroża. W dramacie musi wystąpić nie *Piękna* ale kobieta piękna, a przytem zła lub dobra, uczciwa lub nieuczciwa, wychowana w zasadach cnoty lub lekkomyślna. Jak tysiące przyczyn składa się na jej fizjonomię zewnętrzną, tak tysiące na jej fizjonomię moralną. Oderwanej piękności nie podobna sobie ani nikomu wyobrazić wcielonej. Jeśli kobieta będzie piękność swoją cenić więcej niż honor i szczęście innych, to będzie piękną, nieuczciwą, zmysłową i t. d., jeśli mniej, to nie upadnie. Najpiękniejsza i najbardziej kuszona, może przytem być zimną jak ryba, lub kochać swoje dzieci jak pelikan. Na czynności jej sama tylko uroda nie może wpływać, ale również tysiące składników, ergo nie upadnie dlatego, że ma świetne pióra,

ale dlatego, że jest przytem taką lub owaką. Pojęcie „piękna“ bez niczego więcej, jest na scenie cieniem, co więcej: fałszem. Widz ani krytyk nie uwierzy w coś takiego. Niechże go autor nie łudzi, że to jest życie. Ale cóż spostrzegamy w dramacie pana Okońskiego? Oto, że i inne osoby to cienie. Mężczyźni to oderwane popędy, kobiety również. Trochę cech ludzkich ma brzydka Irena, ale nie dowodzi tego, czego autor chciał. Że brzydota obok piękności ostać się nie może, to jasne, ale brzydota może być dobrą, dobroć zaś w sferze etycznej jest tem, czem piękność w zakresie estetyki. Irena zaś jest obok brzydoty złą, wygadana, jest to „uczona sowa z pazurami“ albo osa, która tnie żądłem człowieka, którego kocha, bez miłosierdzia. Gdyby umiała cierpieć cicho, kość cudzy ból, może zmęczone serce kochanka nie oderwałoby się od niej. Zresztą w znacznej części i ona jest abstrakcją, jak inni, jak wszyscy... Dlatego wszyscy bez różnicy płci, wieku, wykształcenia, pozycji, mówią w dramacie jednym językiem, jednakowo myślą; niema w nim głępszych i mądrzejszych, wymowniejszych i mniej wymownych. Wszyscy szermują na jeden sposób, wszyscy igrają słowem, nadawając jednako pojęciom oderwanym znaczenie konkretne, wszyscy argumentują tak jak autorowi potrzeba, wszyscy nie są indywiduami, ale samym autorem. Pojedynczo brane osoby nie mają znaczenia, bo nie mają indywidualności, znaczą coś dopiero wszystkie razem. Macie głos dopiero we dwudziestu, powiedział kiedyś podobno Wagner skrzypkom. Mniej więcej mógłby toż samo powiedzieć swym działaczom i nasz autor. Razem wzięte grają pewien koncert. Dramat nie jest zderzeniem się życia z życiem, woli z wolą, charakteru z charakterem, człowieka z człowiekiem lub losem, ale jest rozmową doktryn. A ponieważ te doktryny są jaskrawe, niemiłosierne, ponieważ autor prawa świata zwierzęcego bez wahania przenosi w świat ludzki, ponieważ nie Bosławski ma rację, więc łatwo zrozumieć, dlaczego w dramacie ludzie jego tak mało robią ze sobą ceremonii. O rzeczywistość i prawdę życiową nie chodzi, więc panna tnie w oczy narzeczonemu: „jesteś kurczęciem“, więc druga panna mówi do mężczyzny: „kupuję sobie kochane ciało“, więc hrabia Ryszard, choć potomek rycerzy, nie prosi o wyznaczenie godziny schadзки, ale sam ją wyznacza kobiecie. Więc do głowy nie przychodzi mu dyskrecya, jako pierwszy obowiązek honoru, obserwowany nawet przez ludzi najbardziej zepsutych, więc zapowiada Zenonowi: ona tu przyjdzie, ciekawym co powie po pierwszym pocałunku, więc nakoniec wszyscy podsłuchują się i rozmawiają ze sobą tak brutalnie jak nigdy i nigdzie w życiu i na świecie nie rozmawiają. Jeśli bowiem chodzi o pojęcia oderwane, to właściwie jest wszystko jedno, a autor nie tworzy ludzi. Pytanie tylko czy to system, nowa zasada, nowa szkoła, czy impotencya twórczości? Wielbiciele twierdzą, że to zasada, że to nowy dramat. Nam się wydaje, że nie. Nowy dramat może sobie być nowym, tylko nie powinien przedstawiać być dramatem.

Każde dzieło sztuki polega na wcieleniu pewnych idei i przekonań w zewnętrzne zmysłowe kształty. W dziele scenicznem te pojęcia muszą być zakłęte w dusze i ciała ludzkie. Dramat musi tworzyć człowieka, któremu obserwacya winna dostarczyć cech indywidualnych. Inaczej nie będzie nowym dramatem, tylko niedołącznym dramatem lub miernym dramatem. Żywych ma tworzyć, kto akta życiowe na scenie przedstawia, serca, kto ruchy sere, dusze, kto porywy dusz. Czyny bez indywidualuów nie są zrozumiałe. Siła dramatyczna leży w życiu nie w paradoksie, choćby najjaskrawszej doktryny Okoński jest talentem i niepowszednim, ale do pisania, nie do tworzenia. Styl jego świeci, ale nie ogrzewa, bo krwi w nim niema. Czy siłę wcielania znajdzie w przyszłości, nie wiem, życzę. Wtedy i język jego stanie się prostszym, mniej wyrafinowanym, mniej sztucznym, a to co w nim błyszczy, będzie błyszczeć mocniej.

Stąd ostateczny wniosek, do jakiego Sienkiewicz na podstawie *Pięknej* doszedł o jej autorze, był ten, że Świętochowski, który „jest talentem“, i to talentem niepowszednim, jest wyłącznie talentem pisarskim, nie twórczym, talentem „do pisania, nie do tworzenia“. „Styl jego świeci, ale nie ogrzewa, bo krwi w nim niema“. Językowi jego brak prostoty, jest zbyt „wyrafinowanym“ i „sztucznym“.

Nierównie pobłażliwiej osądził Sienkiewicz *Jacusia* Lubowskiego, wystawionego w połowie grudnia 1882 r. po raz pierwszy na scenie teatru Rozmaitości ¹⁾.

Jest to sztuka wesoła, ale daleka od farsy, która śmiech tylko ma na celu i, nie licząc się z prawdopodobieństwem, używa dla wzbudzenia śmiechu t. z. szarży. W *Jacusiu* autor pragnie wywołać śmiech, ale ostrą satyrą obyczajów, a w szczególności satyrą uwielbienia dla bogactwa. Tendencję można by zamknąć w horacyuszowskich słowach! *O cives, cives! querenda pecunia primum est, virtus post nummos!* Tak było i tak jest. Pod tym względem świat widocznie zmienia się bardzo powoli.

Bohaterem sztuki jest młody gap, jakich wielu, z dobrem sercem, ale słabą głową. Jest on wychowankiem i synowcem bardzo bogatego szlachcica, który trzyma go krótko i traktuje ostro, jak ekonoma; pragnąc jednak, by chłopiec przetaił się w świecie, wysyła go do Warszawy... Tutaj, jako jedyny su-

¹⁾ Zob. Nr. 291 *Słowa* z d. 18 grudnia 1882.

kcesor prawdziwego Krezusa, Jacuś daje się wciągnąć w wir życia salonowego, a gdy doszła wieść o nagłej śmierci bogatego stryjaczka, odrazu zaczyna się oblawa na jego spadkobiercę: panny gwałtem chcą się wydać za niego, przyjaciele wyłudniają mu pieniądze. Sytuacja ta daje autorowi do chłostania pewnych sfer biczem satyry, co w połączeniu z mnóstwem arcyzabawnych perypetyi, czyni całą 4-aktową komedię „dzielną, wesołą i żywą“.

We wszystkich postaciach jest dużo dowcipu i pełno rysów, płynących z równie bezpośredniej, jak oryginalnej obserwacji. Nie masz tu nic robionego na obcy wzór, ni na obcy ład. To, co jest, wypływa wprost z autora. Jest to robota szczerą, co pozostanie zawsze jednym z większych przymiotów we wszystkich dziełach artyzmu. Małostki ludzkie, chciwość, próżność, gonitwa za pieniędzmi, a zwłaszcza hypokryzja towarzyska, sprawiają, że wady przemawiają jak przymioty, cynizm, jak szczerłość, występki, jak cnota, są pochwycone z niezwykłą bystrością.

Już to pod tym względem, w umiejętności satyrycznego tworzenia hipokrytów, mało kto z naszych pisarzy mógłby, zdaniem Sienkiewicza, wyrównać Lubowskiemu. Mało też mamy równie dobrych komedii, jak *Jacuś*, który bezwarunkowo należy do lepszych utworów swego autora.

Na tem sprawozdaniu teatralnem kończy się publicystyczna działalność Sienkiewicza, jako feljetonisty. Zaczął się rok 1883, ale w odcinku *Słowa* przestały się pojawiać artykuły z podpisem jego redaktora. W końcu lutego wprawdzie, w N-rze 57 ukazał się *Sachem*, po którym niebawem zaczęły wychodzić *Cudowne przygody Tartarina z Taraskonu* Alf. Daudeta (powieść, której Sienkiewicz jest szczególnym wielbicielem), ale Sienkiewicz-feljetonista umilkł. Co się stało? Co było powodem tego milczenia, tak dotkliwego dla czytelników *Słowa*?

Odpowiedzią na to pytanie była następująca obietnica *Od redakcyi*, pomieszczona jeszcze w grudniu roku zeszłego. „W feljetonie, prócz kronik literacko-artystycznych krajowych i zagranicznych, pomieszczać będziemy oryginalne powieści polskich autorów. Zapowiadamy mianowicie nową szerokiach rozmiarów powieść Henryka Sienkiewicza (Litwosa), któ-

rej druk rozpoczniemy w pierwszych tygodniach przyszłego 1883 roku“.

Powieścią tą było Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*. Zaczęła się ta „powieść z lat dawnych“ drukować dnia 2 maja 1883 roku, a że dzień ten stanowi epokę w twórczości Sienkiewicza, na to zgodzą się chyba wszyscy... Stanowi on także epokę w historii naszej literatury.



W dniu 10 września 1938 r. w Warszawie odbyło się posiedzenie Komisji ds. Historii i Filozofii Nauki, na którym omówiono projekt ustawy o Państwowym Instytucie Historii i Filozofii Nauki. Projekt ten, przygotowany przez Komisję, ma na celu uporządkowanie i umocnienie badań historycznych i filozoficznych w Polsce. Wskazano na konieczność stworzenia specjalnego organu, który będzie nadzorował i koordynował te badania, a także będzie odpowiedzialny za wydawanie publikacji z tego zakresu. Projekt przewiduje również powołanie specjalnych komisji badawczych w różnych dziedzinach historii i filozofii. Wskazano na konieczność zapewnienia odpowiednich warunków materialnych i kadrowych dla realizacji tych zadań. Projekt ustawy został omówiony i przyjęty przez Komisję, a następnie przekazany do Rady Ministrów.

WYDZIAŁ



SPIS RZECZY.

—••••—

	Str.
Przedmowa	I
Ⓐ Feljetony w <i>Gazecie Polskiej</i> (1873 r. Bez tytułu. — 1875 r. Chwila obecna)	7
II. Życie i obyczaje Warszawy w feljetonach literackich Sienkiewicza. (<i>Gazeta Polska</i> 1873—1875)	173
III. Mieszaniny literacko-artystyczne w <i>Niwie</i> (1879—1881)	205
IV. Malarstwo i rzeźba w feljetonach literackich Sienkiewicza (1873—1882)	307
Ⓥ Kroniki tygodniowe i feljetony w <i>Słowie</i> (1882—1883)	337



SPIS TREŚCI

Przedmowa	1
I. Wstęp	1
II. Oznaczenia	1
III. Wskazanie Wskazania w Wskazaniu	1
IV. Wskazanie Wskazania w Wskazaniu	1
V. Wskazanie Wskazania w Wskazaniu	1
VI. Wskazanie Wskazania w Wskazaniu	1
VII. Wskazanie Wskazania w Wskazaniu	1
VIII. Wskazanie Wskazania w Wskazaniu	1
IX. Wskazanie Wskazania w Wskazaniu	1
X. Wskazanie Wskazania w Wskazaniu	1







Inne prace tegoż autora:

Samotność, Krajobrazy i Opowiadania. Kraków, 1895.

O Słowackim i Krasińskim, Studya historyczno-literackie.
Kraków, 1895.

Anbelli i Trzy poematy, Przyczynki do dziejów twórczości Juliusza Słowackiego. Kraków, 1895. Nakładem Akademii Umiejętności.

Życie Juliusza Słowackiego, Biografia psychologiczna.
Kraków i Warszawa, 1897. Trzy tomy.

Fryderyk Chopin, Zarys biograficzny. Petersburg, 1898.

Miłość w życiu Zygmunta Krasińskiego. Warszawa, 1899. Biblioteka dzieł wyborowych. Dwa tomy.

Szkice i opowiadania historyczno-literackie. Kraków i Warszawa, 1900.

Z papierów po Elsnerze, Przyczynki do historii teatru i muzyki w Polsce. Warszawa, 1902.

W druku:

Pisma polskie Juliana Klaczki.



70647

UP - Kraków BG



1050234161